



Sabaa Tahir

ZNIWIARZ  
I  
BRAM

EMBERS IN THE ASHES

Sabaa Tahir

ŻNIWIARZ  
I  
BRAM  
EMBERS IN THE ASHES

przełożył  
Jerzy Malinowski



Tytuł oryginału: ***A Reaper at the Gates***

Ilustracje, zdjęcia oraz projekt okładki: *Krzysztof Krawiec*

Redakcja: *Jacek Ring*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Sylvia Rogowska-Kusz*

Korekta: *Katarzyna Szajowska,*  
*Barbara Milanowska (Lingventa.pl)*

Copyright © 2018 Sabaa Tahir

All rights reserved.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

© for the Polish translation by Jerzy Malinowski

ISBN 978-83-287-1039-9

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2020

## Spis treści

### CZEŚĆ I BEZIMIENNY KRÓL

I: Zwiastun Nocy

II: Laia

III: Elias

IV: Kruk Krwi

V: Laia

VI: Elias

VII: Kruk Krwi

VIII: Laia

IX: Elias

X: Kruk Krwi

### CZEŚĆ II PIEKŁO

XI: Laia

XII: Elias

XIII: Kruk Krwi

XIV: Laia

XV: Elias

XVI: Kruk Krwi

XVII: Laia

XVIII: Elias

XIX: Kruk Krwi

XX: Laia

XXI: Elias

XXII: Kruk Krwi

XXIII: Laia

XXIV: Elias

XXV: Kruk Krwi

XXVI: Laia

XXVII: Elias

XXVIII: Kruk Krwi

XXIX: Laia

XXX: Elias

### CZEŚĆ III ANTIUM

XXXI: Kruk Krwi

XXXII: Laia

XXXIII: Kruk Krwi

XXXIV: Elias

XXXV: Kruk Krwi

XXXVI: Laia

XXXVII: Elias

XXXVIII: Kruk Krwi

XXXIX: Laia

XL: Elias

XLI: Kruk Krwi

XLII: Laia

XLIII: Kruk Krwi

XLIV: Laia

XLV: Elias

CZĘŚĆ IV OBLĘŻENIE

XLVI: Kruk Krwi

XLVII: Laia

XLVIII: Kruk Krwi

XLIX: Laia

L: Elias

LI: Kruk Krwi

LII: Laia

LIII: Elias

LIV: Laia

LV: Kruk Krwi

LVI: Laia

CZĘŚĆ V UKOCHANY

LVII: Kruk Krwi

LVIII: Łowca Dusz

LIX: Zwiastun Nocy

Podziękowania

# CZEŚĆ I

## BEZIMIENNY KRÓL

## I: Zwiastun Nocy

*Kochasz zbyt mocno, mój królu.*

Królowa często wypowiadała te słowa w ciągu spędzonych razem stuleci. Dawniej z uśmiechem, później ze zmarszczonym czołem. Wpatrywała się przy tym w nasze dzieci biegające po pałacu, przemykające niczym błyskawice, cudownie urocze małe cyklony.

– Boję się o ciebie, Meheryo. – Jej głos drżał. – Boję się, co poczniesz, jeśli stanie się krzywda tym, których kochasz.

– Przysięgam, nic złego wam się nie stanie.

Mówiłem z młodzieńczą swadą i brawurą, choć przecież nie byłem młodzieniaszkiem. Nawet wtedy. Tamtego dnia podmuch wiatru od rzeki szarpał jej kruczoczarne włosy, a przez niemal przezroczyste zasłony w oknach sączyło się, niczym płynne złoto, światło słońca.

Była wystraszona. Wyciągnąłem do niej rękę.

– Zniszczę każdego, kto ośmieliłby się wyrządzić ci krzywdę – zapewniłem ją.

– Nie, Meheryo. – Od tamtej pory zastanawiam się, czy naprawdę bała się tego, kim się stanę. – Przysięgnij, że nigdy tego nie zrobisz. Jesteś nasz, Meheryo. Twoje serce jest czystą miłością. Masz dawać. Nie brać. Dlatego jesteś królem dzinnów. Daj słowo.

Złożyłem tamtego dnia dwie przysięgi. Zawsze miałem chronić. Zawsze miałem kochać.

Nie minął rok, a złamałem obie.

\*\*\*

Gwiazda wisi na ścianie jaskini z dala od ludzkich spojrzeń. Romb z wąskim ubytkiem na jednym wierzchołku. Niczym pajęczna sieć rozchodzą się od niego drobne pęknięcia, pamiątka po dniu, kiedy Scholarzy rozbili ją, uwięziwszy wcześniej mój lud. Metal połyskuje niecierpliwie, nabiera mocy. To potężna broń, zdolna zniszczyć starożytne miasto, starożytny lud. Zdolna uwięzić dzinny na tysiąc lat.

I zdolna je oswobodzić.

Jakby wyczuwając obecność bransoletki na moim nadgarstku, Gwiazda drży z tęsknoty za utraconym fragmentem. Czuję szarpnięcie, kiedy unoszę ramię, a bransoletka niczym srebrny węgorz ścieka z mojego nadgarstka i łączy się z Gwiazdą. Ubytek zasklepia się i znika.

Cztery ramiona Gwiazdy jarzą się, rozświetlając najdalsze zakątki granitowej pieczary, wywołując falę gniewnych syków otaczających mnie stworów. Po chwili blask przygasa i pozostaje tylko blade światło księżyca. Wokół moich stóp śmigają ghule.

*Panie. Panie.*

Za nimi czeka na moje rozkazy Pan Zjaw oraz władcy ifrytów – królowie i królowe wiatru i morza, piasku i jaskiń, powietrza i śniegu.

Wpatrują się we mnie milczący i nieufni, a ja spoglądam na pergamin, który trzymam w dłoniach. Jest niepozorny jak piasek. Ale spisane na nim słowa mają wielką wagę.

Na mój znak podchodzi do mnie Pan Zjaw. Skłania się niechętnie, wystraszony mocą mojej magii. Zawsze chciał się ode mnie uwolnić. Na razie jest mi jednak potrzebny. Zjawy są zlepkiem fragmentów różnych zagubionych dusz i są niewidzialne, kiedy tylko zechcą. Nawet dla słynnych Masek Imperium.

Wręczam mu pergamin i wtedy słyszę jej głos. Głos mojej królowej jest ledwie szeptem, płomykiem świecy w mroźną noc. *Jeśli to zrobisz, nie będziesz mógł wrócić. Nie będzie dla ciebie żadnej nadziei, Meheryo. Zastanów się.*

Robię to, o co prosi. Rozważam.

I wtedy przypominam sobie, że przecież ona od tysiąca lat jest martwa. Jej obecność jest złudzeniem. Jej głos jest oznaką mojej słabości. Wręczam zwój Panu Zjaw.

– Dopilnuj, żeby to trafiło do Kruka Krwi, Heleny Aquilli – polecam. – Do nikogo innego.

Pan Zjaw skłania się nisko, a ifryty szykują się do drogi. Każę pozostać ifrytom powietrza, dla nich mam inne zadanie. Pozostali przyklękają.

– Dawno temu przekazaliście Scholarom wiedzę, która doprowadziła do zguby mój lud i świat nadprzyrodzony. – Na wspomnienie tych słów zgromadzeni wydają z siebie cichy pomruk. – Daję wam szansę odkupienia win. Udacie się do naszych nowych sprzymierzeńców na południu. Nauczcie ich, jak wywoływać duchy z mroku. A wy – ghule pchają się jeden przez drugiego, żeby znaleźć się jak najbliżej – obżerajcie się. I nie zawiedźcie mnie.

Kiedy wszyscy już znikają, wpatruję się w Gwiazdę i myślę o zdradzieckiej dzinnicy. Dla ludzi ta broń może wydawać się obietnicą.

Ja odczuwam tylko nienawiść.

W wyobraźni pojawia się przede mną twarz. Laia z Serry. Przypominam sobie ciepło jej skóry na swoich dłoniach, dotyk nadgarstków splecionych na moim karku. Widok jej przymkniętych oczu.

*Kochałeś ją, mówi moja królowa. A potem ją zraniłeś.*

Nie powinienem się przejmować zdradzeniem scholarskiej dziewczyny. Przed nią oszukałem setki innych.

Mimo to czuję się nieswojo. Stało się coś niewytłumaczalnego, kiedy Laia z Serry podarowała mi bransoletkę... i kiedy zdała sobie sprawę, że chłopak, którego nazywała Keenanem, jest tylko zmyślony. Jak wszyscy ludzie, ujrzała w moich oczach najmroczniejsze chwile swojego życia. Ale kiedy zajrzałem do jej duszy,



coś... ktoś stamtąd na mnie spojrział. To była moja królowa. Patrzyła na mnie z głębin stuleci.

Widziałem jej przerażenie. Widziałem zasmucenie tym, kim się stałem. Widziałem cierpienie z powodu tego, co spotkało nasze dzieci i nasz lud z rąk Scholarów.

Myślę o mojej królowej przy okazji każdej zdrady. Każdej istoty ludzkiej, którą na przestrzeni tysiąca lat zmanipulowałem i rozkochałem, aż oddała mi swój fragment Gwiazdy.

Ale nigdy nie widziałem królowej w spojrzeniu człowieka. Nigdy nie czułem tak wyraźnie jej niezadowolenia i rozczarowania.

Jeszcze tylko raz. Jeden jedyny raz.

*Nie rób tego. Proszę, mówi moja królowa.*

Zagłuszam w sobie jej głos. Wyrzucam wspomnienie po niej. Pewnie już jej nie usłyszę.

## II: Laia

Wszystko w tej akcji wydaje się iść nie tak, jak trzeba. Oboje z Darinem to wiemy, nawet jeśli żadne z nas nie chce tego przyznać głośno.

Chociaż mój brat w ogóle rzadko się odzywa w tych dniach.

Duchowozy, które śledzimy, zatrzymują się wreszcie w pobliżu jakiejś wojańskiej wioski. Wychylam się zza przygniecionego ciężkim śniegiem krzaka, który posłużył nam za kryjówkę, i kiwam głową do Darina. On chwytając moją dłoń i mocno ją ściska. *Bądź ostrożna.*

Sięgam po swoją niewidzialność, moc nabytą niedawno, z którą wciąż jeszcze się nie oswoiłam. Mój oddech kłębi się w białych obłokach, jak wąż tańczący w rytm jakiejś niesłyszalnej pieśni. W pozostałych częściach Imperium wiosna już była w pełnym rozkwicie. Ale tu, niedaleko stolicy Antium, zima wciąż jeszcze smaga po twarzach swoimi lodowatymi palcami.

Mija północ i kilka palących się w wiosce lamp migocze w przybierającym na sile wietrze. Kiedy docieram w pobliże karawany z więźniami, cicho pohukuję, naśladując popularną w tych stronach sowę śnieżną.

Zbliżam się do duchowozów i czuję, jak cierpnie mi skóra. Wiedziona instynktem obracam się gwałtownie. Na pobliskim grzbiecie nikogo nie ma, a pełniący wartę wojańscy posiłkowi nawet nie drgnęli. Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku.

*Jesteś przewrażliwiona, Laio. Jak zwykle.* Przebywając w naszym obozie na obrzeżach Poczekalni, jakieś dwadzieścia mil stąd, zaplanowaliśmy z Darinem i przeprowadziliśmy sześć udanych napadów na karawany wiozące więźniów Imperium. Mój brat nie wykuł nawet najmniejszego kawałka serrańskiej stali. Ja nie odpowiadałam na listy Araja, przywódcy Scholarów, który uciekł z nami z więzienia Kauf. Za to razem z Afyą Arą-Nur i jej ludźmi zdołaliśmy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy uwolnić ponad czterystu Scholarów i Plemieńców.

To nie gwarantuje nam jednak, że i tym razem osiągniemy sukces. Ta karawana jest inna.

Widzę w oddali ubrane na czarno znajome postacie zbliżające się do obozu. To Afya i jej ludzie, odpowiadając na mój sygnał, szykują się do ataku. Ich obecność dodaje mi otuchy. O duchowozach i wiozących ich więźniach wiemy tylko dzięki tej Plemience, która pomogła mi uwolnić Darina z Kauf.

Za wytrych służy mi lodowy sopel. Sześć duchowozów stoi w półkolu, a pomiędzy nimi dwa wozy z zaopatrzeniem. Większość żołnierzy jest zajęta oporządzaniem koni i rozpalaniem ognisk. Drobiną śniegu siekają mi twarz. Docieram do pierwszego wozu, zaczynam majstrować przy zamku. Zapadki znajdujące się wewnątrz są zagadką dla moich zgrabiących, nieporadnych palców. *Szybciej, Laio.*

W wozie panuje cisza, jakby był pusty. Ale ja wiem swoje. Po chwili ciszę

przerywa kwilenie niemowlęcia. Ktoś szybko ucisza dziecko. Więźniowie wiedzą, że cisza jest jedynym sposobem na uniknięcie dodatkowych cierpień.

– Gdzie, na ognie piekielne, podzieli się wszyscy?! – Słyszę wrzask tuż przy swoim uchu i o mało nie wypuszczam z rąk wytrycha. Mija mnie jakiś legionista, a we mnie wzbiera panika. Nie ośmielam się oddychać. *A jeśli on mnie widzi? Jeśli moja niewidzialność zawiodła?* To już mi się zdarzało, kiedy byłam atakowana albo znalazłam się w tłumie ludzi.

– Obudź karczmarza. – Legionista zwraca się do podbiegającego do niego pośpiesznie posiłkowego. – Każ mu wytoczyć antałek i przygotować izby.

– Karczma jest pusta, panie. Wioska sprawia wrażenie opuszczonej.

Wojanie nie opuszczają swoich wiosek nawet w najsroźsze zimy. Chyba że przejdzie zaraza. Ale gdyby tak było, Afya wiedziałyby o tym.

*Powód, dla którego opuścili wioskę, to nie twój problem, Laio. Otwórz lepiej zamek.*

Posiłkowy z legionistą ruszają w stronę gospody. Kiedy tylko znikają mi z oczu, wsuwam wytrych do zamka. Oszroniony metal zgrzyta.

*No, dalej!* Bez Eliasa Veturiusa, który otwierał połowę zamków, muszę działać ze zdwojoną prędkością. Nie mam teraz czasu na myślenie o swoim przyjacielu, a mimo to nie potrafię pozbyć się uczucia niepokoju. Dzięki jego obecności podczas wcześniejszych ataków na konwoje nie zostaliśmy schwytani. Mówił, że tu też będzie.

Co, na bogów, mogło się stać z Eliaszem? Nigdy mnie nie zawiodł. W każdym razie kiedy chodziło o ataki na konwoje. Czyżby Shaeva zorientowała się, że przemycił Darina i mnie przez Poczekałnię w drodze powrotnej z chaty w Wolnym Kraju, i chce go teraz ukarać?

Niewiele wiem o Łowczyni Dusz. Jest nieśmiała i chyba mnie nie lubi. Czasem, kiedy Elias wymyka się z Poczekałni, żeby odwiedzić mnie i Darina, czuję, jak Shaeva nas obserwuje, ale nie mam o to pretensji. Ogarnia mnie tylko smutek. Choć bogowie wiedzą, że nie jestem dobra w rozpoznawaniu u innych złych intencji.

Gdyby chodziło o inną karawanę, innego więźnia, nie ryzykowałabym życia Darina, Plemieńców i swojego.

Ale Mamie Rila i członkowie plemienia Saif zasłużyli na to, by próbować ich uwolnić. Przybrana matka Eliasa poświęciła swoje ciało, wolność i całe plemię, żebyśmy mogła oswobodzić Darina. Nie mogę jej zawieść.

*Eliasa tu nie ma. Jesteś sama. Pospiesz się!*

Zamek w końcu ustępuje, a ja biegnę do następnego wozu. Ukryta w pobliskim zagajniku Afya pewnie klnie, widząc takie opóźnienie. Im dłużej będę się guzdrać, tym większe prawdopodobieństwo, że zostaniemy schwytani przez Wojan.

Po pokonaniu ostatniego zamka nucę umówiony sygnał. Po chwili strzały ze świstem przecinają powietrze. Wojanie padają bezgłośnie na ziemię pozbawieni uczucia przez wyjątkową truciznę pochodzącą z południa. Pół tuzina Plemieńców

podbiega do żołnierzy i podrzyna im gardła.

Odwracam wzrok, ale i tak słyszę dźwięk rozcinanego ciała i chrapliwe ostatnie oddechy. Wiem, że to konieczne. Bez serrańskiej stali ludzie Afyi nie mogą stanąć do walki z Wojanami. Mimo to skuteczność, z jaką Plemieńcy zadają śmierć, mrozi mi krew w żyłach. Nie wiem, czy kiedykolwiek do tego przywyknę.

Z cienia wyłania się drobna postać z połyskującą bronią. Misterne tatuaże Zaldary, wodza plemienia, przesłaniają długie, ciemne rękawy. Wydaję z siebie cichy syk, żeby wiedziała, gdzie jestem.

– Trochę ci to zajęło czasu. – Rozgląda się wokół, jej czarno-czerwone warkoczki kołyszą się. – A gdzie, do stu piorunów, jest Elias? On też nauczył się znikać?

Elias w końcu opowiedział Afyi o Poczekalni, o swojej śmierci w więzieniu Kauf, o wskrzeszeniu i umowie zawartej z Shaewą. Tamtego dnia Plemienka skłęła go straszliwie. „Zapomnij o nim, Laio – powiedziała mi potem. – To bezdenna głupota zakochać się w dawno zmarłej istocie kontaktującej się z duchami, niezależnie od tego, jak jest urodziwa”.

– Elias się nie pojawił.

Afya rzuca przekleństwo w języku sadhese i rusza w stronę duchowozów. Tłumaczy spokojnie więźniom, że mają pójść za jej ludźmi i zachowywać się cicho.

Z odległej o pięćdziesiąt metrów wioski dobiegają nas krzyki i świst napinanych cięciw łuków. Zostawiam Afyę i rzucam się biegiem w kierunku domów, gdzie w ciemnej alei przed karczmą bojownicy Afyi odpierają atak pół tuzina żołnierzy Imperium z legionistą na czele. Na śmiertelnie groźną stal wojańskich mieczy Plemieńcy odpowiadają gradem strzał. Wpadam w sam środek zawieruchy i uderzam ręką w szyję jakiegoś posiłkowego w skroń. Niepotrzebnie się martwiłam. Żołnierze padają jeden po drugim na ziemię.

Za szybko.

Gdzieś w pobliżu musi być więcej ludzi, jakieś dodatkowe ukryte siły. Albo czai się Maska.

– Laio. – Podskakuję wystraszona, słysząc swoje imię. Żłocista skóra Darina jest teraz ciemna od błota, którym chciał zamaskować swoją obecność. Kaptur zasłania niesforne pszeniczne włosy, które mu w końcu odrosły. Patrząc na niego, nikt by nie podejrzewał, że spędził sześć miesięcy w więzieniu Kauf. Ale gdzieś tam w czeluściach umysłu mój brat wciąż jeszcze walczy z demonami. Z demonami, które nie pozwalają mu wykuć serrańskiej stali.

*Jest tu ze mną, napominam się surowo. Walczy. Pomaga. Na broń też przyjdzie pora.*

– Mamie tu nie ma – odzywa się słabym od nieużywania głosem, kiedy klepię go w ramię. – Znalazłem jej przybranego syna, Shana. Powiedział, że żołnierze wywlekli ją z wozu, kiedy karawana zatrzymała się na nocny postój.

– W takim razie Mamie musi być w wiosce – zgaduję. – Zabierzcie stąd więźniów.

Znajdę ją.

– Ta wioska nie powinna być opuszczona – stwierdza Darin. – Coś tu nie gra. Ty idź. Ja poszukam Mamie.

– Jedno z was musi ją znaleźć. – Za naszymi plecami pojawia się Afya. – Ponieważ ja nie zamierzam tego robić. Musimy ukryć więźniów.

– Jeśli coś pójdzie nie tak – tłumaczę – wykorzystam swoją niewidzialność i wymknę się. Spotkamy się w obozie.

Mój brat unosi brwi i spokojnie jak zawsze zastanawia się nad tym, co powiedziałam. A kiedy w końcu podejmuje decyzję, jest niewzruszony jak skała – zupełnie jak nasza matka.

– Idę z tobą, siostrzyczko. Elias by się zgodził. On wie...

– Skoro tak się kumplujesz z Eliaszem – syczę ze złością – to powiedz mu, że kiedy następnym razem zobowiąże się pomóc nam w ataku na duchowozy, powinien dotrzymać słowa.

Usta Darina wykrzywiają się w przelotnym uśmiechu. To uśmiech matki.

– Laio, wiem, że jesteś na niego wściekła, ale...

– Niech mnie niebiosy strzegą przed mężczyznami i tym wszystkim, co wydaje im się, że wiedzą. Idź stąd. Afya cię potrzebuje. Potrzebują cię więźniowie. Idź.

Zanim zdąży zaprotestować, ruszam pędem do wioski. Jest tam nie więcej niż sto chat krytych strzechą i kilka wąskich, mrocznych uliczek. Dachy domów uginają się pod zwałami śniegu. Wiatr zawodzi w starannie utrzymanych ogrodach, a ja potykam się o pozostawioną na ścieżce miotłę. Mieszkańcy musieli opuścić wioskę całkiem niedawno i w pośpiechu.

Stąpam ostrożnie, wypatruję czegoś, co mogłoby się wyłonić z mroku. Przypominam sobie historie opowiadane w tawernach i przy ogniskach Plemieńców o zjawach rozrywających gardła morzańskich żeglarzy. O scholarskich rodzinach znajdujących w spalonych obozowiskach w Wolnym Kraju. O vattarach – niewielkich skrzydlatych stworzeniach – niszczących wozy i dręczących bydło.

A wszystko to jest wytworem bestii, która przybrała imię Keenan.

Zwiastuna Nocy.

Przystaję, żeby zajrzeć przez okno do wnętrza pogrążonej w ciemnościach chaty. Nie jestem w stanie niczego dostrzec. Kiedy podchodzę do kolejnej chaty, budzi się we mnie poczucie winy i własnej słabości. *Oddałaś Zwiastunowi Nocy swoją bransoletkę, szepcze mi do ucha. Czujesz, że stałaś się ofiarą jego manipulacji. Teraz Zwiastun Nocy jest o krok bliżej zniszczenia Scholarów. Kiedy odnajdzie pozostałe elementy Gwiazdy, uwolni dżinny. I co wtedy, Laio?*

Ale odnalezienie kolejnego kawałka Gwiazdy może mu zabrać lata, pocieszam się. Może brakuje więcej elementów. Może dziesiątków.

Gdzieś w oddali migocze światło. Odrywam swoje myśli od Zwiastuna Nocy

i ruszam w stronę chaty położonej na północnym skraju wioski. Jej drzwi są otwarte na oścież. W środku pali się lampa. Wślizguję się bezszelestnie do wnętrza. Jeśli ktoś się tam czai, nie powinien niczego zauważyć.

Mija chwila, nim mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności. A kiedy już odzyskuję zdolność widzenia, tłumię krzyk. Mamie Rila siedzi przywiązana do krzesła, a właściwie mizerny cień dawnej Mamie. Ciemna skóra wisi na niej, po gęstych, kręconych włosach nie ma śladu, zostały ścięte.

Chcę do niej podejść, ale powstrzymuje mnie jakiś pierwotny instynkt.

Za plecami słyszę odgłos ciężkiego buciora. Obracam się, podłoga trzeszczy pod moimi stopami. Dostrzegam charakterystyczny blask płynnego srebra – to Maska! Czyjaś dłoń zasłania mi usta, ktoś wykręca mi ręce do tyłu.

### III: Elias

Choć wymykam się z Poczekalni nie po raz pierwszy, wcale nie jest łatwiej. Kiedy zbliżam się do linii drzew na zachodzie, dostrzegam ledwie widoczny blask bieli. To duch. Połykam cisnące mi się na usta przekleństwo i zamieram w bezruchu. Jeśli dostrzeże mnie tak daleko od miejsca, w którym powinienem się znajdować, to cały Las Zmierzchu dowie się, co zamierzam. Duchy, jak się okazuje, uwielbiają plotki.

Jakie to irytujące. Już jestem spóźniony. Laia czeka na mnie już ponad godzinę, a wiem, że nie zrezygnuje z ataku na karawanę tylko dlatego, że mnie nie będzie.

*Już niedaleko.* Sadzę susami przez warstwę świeżego śniegu do widocznej przede mną granicy Poczekalni. Dla osoby niewtajemniczonej jest ona niewidoczna. Ale dla mnie i Shaevy świetlisty mur jest tak rzeczywisty, jakby został wzniesiony z kamienia. I choć ja mogę przez niego przeniknąć bez problemu, to stanowi on zaporę nie do pokonania dla duchów z jednej strony i ciekawskich istot ludzkich z drugiej. Shaeva długie miesiące tłumaczyła mi, jak ważne jest jego istnienie.

Shaeva będzie na mnie zła. To nie pierwszy raz, kiedy znikam jej z oczu, choć powinienem się szkolić do roli Łowcy Duchów. I choć jest dzinnem, to kiepsko sobie radzi z niesfornymi uczniami. Z drugiej strony, ja przez czternaście lat obmyślałem sposoby na wykiwanie centurionów w Czarnym Klifie. A dać się złapać oznaczało karę chłosty od komendantki. Shaeva zwykle tylko patrzy na mnie wilkiem.

– Chyba też muszę wprowadzić karę chłosty. – Głos Shaevy tnie powietrze niczym ostrze szabli, a ja mało nie wyskakuję ze swojej skóry. – Może wtedy będziesz tam, gdzie powinieś być, Eliasie, zamiast wymigiwać się od swoich obowiązków i zgrywać bohatera?

– Shaevo! Ja tylko... Czy ty... buchasz parą... – Nad Shaevą unosi się gęsty obłok pary.

– Ktoś – spogląda na mnie gniewnie – zapomniał rozwiesić pranie. Zabrakło mi koszul.

A ponieważ Shaeva jest dzinnem, jej nienaturalnie wysoka temperatura ciała wysuszy mokre ubrania w godzinę, najwyżej dwie. Noszenie mokrych rzeczy nie jest przyjemne i nic dziwnego, że wygląda, jakby miała ochotę mnie kopnąć.

Shaeva szarpie mnie za ramię, wieczne ciepło jej ciała rozgrzewa moje kości. Chwilę później jesteśmy wiele mil od granicy. Kręci mi się w głowie od magii, której używa do przeniesienia nas tak błyskawicznie przez Las Zmierzchu.

Na widok błyszczącego czerwienią gaju dzinnów wydaję z siebie jęk. Nienawidzę tego miejsca. Dzinny są uwięzione w drzewach, ale zachowały dość mocy, by wdzierać się do mojej głowy, ilekroć się tu pojawię.

Shaeva przewraca oczami, jakby miała do czynienia z wyjątkowo irytującym młodszym bratem. Potrząsa dłonią, a kiedy uwalniam się z jej uścisku, zdaję sobie sprawę, że mogę zrobić tylko kilka kroków. Musiała w końcu stracić do mnie

cierpliwość i ograniczyła przestrzeń, w której mogę się poruszać.

Staram się powściągnąć emocje, ale nie wytrzymuję.

– To wredna sztuczka.

– Z którą sobie poradzisz, jeśli ustoisz w miejscu na tyle długo, żebym zdążyła cię tego nauczyć. – Wskazuje głową gaj dzinnów, gdzie duchy śmigają między drzewami.

– Dusza dziecka potrzebuje ukojenia, Eliasie. Idź. Pokaż, czego się nauczyłeś w ostatnich tygodniach.

– Nie powinno mnie tu być. – Gwałtownie, acz nieskutecznie próbuję pokonać niewidzialną barierę. – Laia, Darin i Mamie mnie potrzebują.

Shaeva zadziera głowę i spogląda przez nagie gałęzie na rozgwieżdżone niebo.

– Za godzinę północ – mówi. – Atak już się rozpoczął. Laia będzie w niebezpieczeństwie. Darin i Afya również. Idź do gaju i pomóż tej duszyczce. Jeśli to zrobisz, usunę barierę i będziesz mógł pójść do przyjaciół.

– Jesteś bardziej zrędliva niż zwykle – dogryzam jej. – Nie jadłaś śniadania?

– Nie graj na zwłokę.

Przeklinam cicho i uzbrajam się mentalnie przeciwko dzinnom, wyobrażając sobie barierę otaczającą mój umysł, której nie są w stanie przeniknąć ich złośliwe podszepty. Zbliżając się do gaju, z każdym krokiem coraz wyraźniej czuję, jak mnie obserwują.

Chwilę później w mojej głowie rozbrzmiewa śmiech. Całe warstwy śmiechu, głos za głosem, szyderstwo za szyderstwem. To dzinny.

*Nie możesz pomóc duszom, żaloszny śmiertelniku. I nie możesz pomóc Lai z Serry. Będzie umierać powoli i w cierpieniu.*

Złośliwe groty strzał dzinnów przedzierają się przez moje starannie utworzone linie obronne. Wredne kreatury zgłębiają moje najbardziej mroczne myśli, konstruują wyobrażenia nieżywej Lai i sam już nie wiem, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczynają okropne wizje.

Zamykam oczy. *To nie jest prawda.* Otwieram je i widzę pod najbliższym drzewem martwą Helenę. Obok niej leży Darin. A za nim Mamie Rila. I Shan, mój przybrany brat. Dzinny przypominają mi o śmiertelnym żniwie podczas Pierwszej Próby. A myślałem, że wszystko to mam już za sobą.

Przypominam sobie ostrzeżenia Shaevy. „W gaju dzinny mają moc panowania nad twoim umysłem. Wykorzystywania twoich słabości”. Próbuję pozbyć się ich ze swojej głowy, ale one nie poddają się, ich szepty wdzierają się w mój umysł. Stojąca obok mnie Shaeva sztywnieje.

*Witaj, zdrajczynie.* Do Łowczyni Dusz dzinny zwracają się bardziej formalnie. *Nadszedł dla ciebie koniec.*

Shaeva zaciska zęby, a ja marzę o broni, która zmusiłaby je do milczenia. Shaeva ma dość na głowie bez ich szyderstw i złośliwości.



Tymczasem Łowczyni Dusz unosi dłoń w kierunku najbliższego drzewa. I choć nie widzę, jaką magię zastosowała, to dżinn milknie.

– Musisz się bardziej postarać – zwraca się do mnie. – Dżinny chcą, żebyś zajął się błahostkami.

– Los Lai, Darina i Mamie to nie błahostka.

– Ich życie jest niczym w obliczu upływającego czasu – mówi Shaeva. – Nie będę tu wiecznie, Eliasie. Musisz nauczyć się przeprowadzać dusze szybciej. Jest ich tak wiele. – Widząc moją zaciętą minę, wzdycha. – Powiedz, co zrobisz, jeśli jakaś dusza odmówi opuszczenia Poczekalni, dopóki nie umrze najbliższa jej osoba?

– No... cóż...

Shaeva wydaje z siebie jęk, a minę ma taką samą jak Helena, kiedy spóźniałem się na lekcje.

– A kiedy setki dusz będą jednocześnie wrzeszczeć? – pyta Shaeva. – Co zrobisz z duszą, która za życia robiła straszne rzeczy, a mimo to nie czuje żadnych wyrzutów sumienia? Wiesz, dlaczego jest tu tak mało dusz Plemieńców? Wiesz, co się stanie, jeśli nie przeprowadzisz dusz dostatecznie szybko?

– Skoro już o tym mowa – odzywam się z zaciekawiony – co się stanie, jeśli...

– Jeśli nie przeniesiesz dusz, będzie to oznaczać, że zawiodłeś w roli Łowcy Dusz. I będzie to także koniec takiego świata ludzi, jaki znasz. Mam nadzieję, że taki dzień nigdy nie nadejdzie.

Siada ciężko i chowa twarz w dłoniach. Po chwili przysiadam obok niej. Czuję nieprzyjemne kołatanie serca, widząc jej niepokój. To nie to samo jak wtedy, kiedy wściekali się na mnie centurionowie. Nic mnie nie obchodziło, co sobie myślą. Ale zależy mi na dobru Shaevy. Spędziliśmy razem wiele miesięcy, dzieliliśmy się obowiązkami Łowcy Dusz, ale rozmawialiśmy też o historii Wojan, dobrotliwie spieraliśmy się o to, kto ma zajmować się codziennymi obowiązkami, wymienialiśmy się poglądami na temat polowania i walki. Traktuję ją jak mądrzejszą, dużo starszą siostrę. I nie chcę jej zawieść.

– Zapomnij o świecie ludzi, Eliasie. Póki tego nie zrobisz, nie nauczysz się korzystać z magii Poczekalni.

– Cały czas pływam z wiatrem.

Shaeva nauczyła mnie tej sztuczki, ale i tak przemieszcza się szybciej ode mnie.

– Płynięcie z wiatrem to magia fizyczna, łatwo ją opanować. – Shaeva wzdycha. – W chwili gdy złożyłeś przysięgę, magia Poczekalni wniknęła do twojego krwiobiegu. W twoją krew wniknęła Mauth.

*Mauth.* Powstrzymuję się przed wzruszeniem ramion. To imię wciąż dziwnie brzmi w moich ustach. Nie wiedziałem, że magia ma własne imię, kiedy po raz pierwszy przemówiła do mnie za pośrednictwem Shaevy, domagając się złożenia przysięgi Łowcy Dusz.

– Mauth jest źródłem mocy całego magicznego świata, Eliasie. Mocy dżinnów,

ifrytów i ghuli. To on uzdrowił twoją przyjaciółkę Helenę. Jest także źródłem twojej mocy jako Łowcy Dusz.

*On.* Jakby magia była żywym stworzeniem.

– On pomoże ci przeprowadzić dusze, jeśli mu na to pozwolisz. Prawdziwa moc Mauth jest tutaj – Łowczyni Dusz delikatnie poklepuje moje serce, a potem skroń – i tutaj. Ale nie będziesz prawdziwym Łowcą Dusz, póki nie połączy cię z magią silna więź.

– Łatwo ci mówić. Jesteś dzinnem. Magia jest częścią ciebie. U mnie to nie jest takie proste. Szarpie mną, kiedy zbyt oddalę się od Lasu, jakbym był niesfornym psem. A gdybym dotknął Lai, na bogów... – Ból jest tak nieznośny, że krzywię się na samą myśl o nim.

*Widzisz, zdrajczyni, jak głupim pomysłem było powierzenie dusz umarłych temu śmiertelnikowi?*

Na to wtrącenie jej krewnych, dzinnów, Shaeva posyła w kierunku ich gaju falę uderzeniową magii tak silną, że nawet ja ją czuję.

– Setki dusz czekają na przejście i z każdym dniem ich przybywa. – Strużka potu płynie po skroni Shaevy, jakby ta toczyła jakąś niewidoczną dla mnie walkę. – Jestem bardzo zaniepokojona. – Mówi łagodnym tonem i wpatruje się w drzewa. – Boję się, że Zwiastun Nocy działa przeciwko nam, podstępnie i złośliwie. Nie potrafię jednak przejrzeć jego planu i to mnie bardzo martwi.

– Oczywiście, że działa przeciwko nam. Chce uwolnić uwięzione dzinny.

– Nie. Wyczuwam jakieś mroczne intencje. Jeśli coś mi się stanie, zanim skończę cię szkolić... – Robi głęboki wdech i bierze się w garść.

– Dam radę, Shaevo – staram się ją uspokoić. – Przysięgam. Ale obiecałem Lai, że jej dzisiaj pomogę. Mamie może już być martwa. Laia może już być martwa. Nie wiem tego, bo mnie tam nie ma.

O bogowie, jak mam jej to wytłumaczyć? Od tak dawna żyje z dala od ludzi, że pewnie mnie nie zrozumie. Czy ona pojmuje, czym jest miłość? Kiedy drażni się ze mną, twierdząc, że mówię przez sen, albo kiedy opowiada dziwne, zabawne historie, wiedząc, że tęsknię za Laią, mogłoby się wydawać, że pojmuje. Tymczasem teraz...

– Mamie Rila oddała swoje życie za mnie, ale jakimś cudem wciąż żyje – tłumaczę jej. – Nie chcę jej tutaj witać. Ani Lai.

– Kochając je, narażasz się na cierpienie – odpowiada Shaeva. – W końcu i tak przeminą. A ty przetrwasz. Za każdym razem, kiedy będziesz się żegnał z kolejną częścią swojego dawnego życia, umierać będzie częśćka ciebie.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – Każda wykradziona chwila z Laią jest na to dowodem. Tych kilka naszych pocałunków przerywanych przez Mauth. Uświadamiając sobie wagę swojej przysięgi, czuję, jak pogłębia się dzieląca nas przepaść. Za każdym razem, kiedy ją widzę, wydaje się bardziej odległa, jakbym patrzył na nią przez lornetkę.

– Głuptas. – W głosie Shaevy pobrzmiewa empatia. Jej czarne oczy tracą wyrazistość i czuję, jak znika ustanowiona przez nią bariera. – Sama znajdę duszę i przeprowadzę ją. Idź. Ale uważaj na siebie. Prawdziwego dżinna praktycznie nic nie może zabić, chyba że inny dżinn. Kiedy połączysz się z Mauth, też staniesz się odporny na ataki i nie będziesz podlegał wpływowi czasu. Ale na razie uważaj. Jeśli umrzesz ponownie, nie zdołam przywrócić cię do życia. Poza tym... – grzebie nogą w ziemi z nieśmiało spuszczoną głową – przyzwyczaiłam się do twojej obecności.

– Nie umrę. – Chwytam ją za ramię. – I obiecuję przez cały miesiąc zmywać naczyń.

Shaeva prycha z niedowierzaniem, ale ja już płynę z wiatrem pomiędzy drzewami z taką prędkością, że gałęzie boleśnie smagają mi twarz. Pół godziny później przelatuję nad naszą chatą, mijam granice Poczekalni i znajduję się na terytorium Imperium. Las się kończy, a mój lot zwalnia, bo słabnie moc magii.

Czuję, jak jakaś siła ciągnie mnie wstecz. To Mauth domaga się mojego powrotu. To boli, ale zaciskam zęby i posuwam się dalej. „Ból jest wyborem. Ulegnij mi, a przegrasz. Przeciwstaw się, a odniesiesz triumf”. Lekcja Keris Veturii, którą dobrze zapamiętałem.

Kiedy docieram w pobliże wioski, gdzie miałem się spotkać z Laią, jest już dawno po północy i światło księżyca nieśmiało przedziera się przez śnieżne chmury. *Błagam, niech okaże się, że atak przebiegł pomyślnie. Błagam, niech Mamie będzie cała i zdrowa.*

Ale kiedy wchodzę do wioski, wiem już, że coś poszło nie tak. Drzwi opustoszałych wozów skrzypią w porywach wiatru. Na martwych ciałach żołnierzy ochraniających karawanę zalega cienka warstwa śniegu. Nie widzę jednak wśród nich Maski. Nie ma też żadnych Plemieńców. W wiosce panuje cisza, choć powinien być zgiełk.

*To pułapka.*

Dociera to do mnie w jednej chwili. Czy to robota Keris? Czy Keris dowiedziała się o atakach Lai?

Naciągam kaptur na głowę, przykucam i wpatruję się w ślady na śniegu. Są niewyraźne, zatarte, ale dostrzegam jeden znajomy odcisk buta Lai.

Te ślady są tutaj nieprzypadkowo. Mam wiedzieć, że Laia weszła do wioski. I że z niej nie wyszła. To znaczy, że to nie na nią zastawiono pułapkę, tylko na mnie.

## IV: Kruk Krwi

---

– Niech cię szlag. – Trzymam Laię z Serry w żelaznym uścisku, ale ona stawia mi opór ze wszystkich swoich sił. Nie chce pozbyć się swojej niewidzialności, a ja czuję, jakbym szamotała się z wielką, dobrze zamaskowaną rybą. Przeklinam się w duchu za to, że nie ogłuszyłam jej w chwili, kiedy udało mi się ją pochwycić.

Kopie mnie wrednie w kostkę, a potem trafia łokciem w brzuch. Mój chwyt słabnie, a jej udaje się uwolnić. Rzucam się tam, skąd dochodzi odgłos butów szorujących o podłogę, dziko zadowolona z głośnego westchnięcia, jakie wydobywa się z jej ust, gdy ponownie ją chwytam. Nareszcie pojawia się jej postać i zanim zdąży ponownie zastosować sztuczkę ze znikaniem, wykręcam jej ręce do tyłu, a potem zwiążuję mocniej niż ofiarną kozę. Wciąż jeszcze ciężko dysząc z wysiłku, popycham ją na krzesło.

Laią patrzy na drugą osobę znajdującą się w chacie – na Mamie Rila, związaną i ledwie przytomną – i warczy coś przez knebel w ustach. Wierzga nogami jak muł i trafia mnie butem poniżej kolana. Krzywię się z bólu. *Nie odpłacaj jej tym samym, Kruku.*

Kiedy tak zaciekle walczy, magiczna strona mojej natury jest pełna podziwu dla jej żywotności. Ozdrowiała. Jest silna. Powinno mnie to drażnić.

Ale magia, której użyłam, połączyła nas bardziej, niż mogłam sobie tego życzyć. Czuję ulgę, widząc, z jakim wigorem stawia mi opór. To tak, jakbym dowiedziała się, że moja siostrzyczka Liwia jest cała i zdrowa.

*Ale nie będzie, jeśli ten plan się nie powiedzie.* Przeszywa mnie strach i powracają straszne wspomnienia. Sala tronowa. Imperator Marcus. Podcięte gardło matki. Podcięte gardło siostry, Hannah. Podcięte gardło ojca. Wszystko przeze mnie.

Nie zamierzam być świadkiem śmierci Liwii. Muszę wypełnić rozkazy Marcusa i doprowadzić do upadku komendantki Keris Veturii. Jeśli nie wrócę do Antium z tej misji z czymś, co dałoby się wykorzystać przeciwko niej, Marcus wyładuje swoją złość na Liwii. Przecież już tak postępował.

Tymczasem komendantka wydaje się niepokonana. Może liczyć na wsparcie najniższych warstw Plebejuszy i Merkatorów, ponieważ stłumiła rewolucję scholarską. Najpotężniejsze rody Imperium, ilustrianie, boją się jej i całego rodu Veturia. Keris jest zbyt przebiegła, by dopuścić do siebie zamachowców, a gdyby nawet udało mi się ją zabić, to jej zwolennicy wznęciłiby rewoltę.

To oznacza, że najpierw muszę osłabić jej pozycję w kręgu znamienitych rodów. Muszę im udowodnić, że komendantka jest tylko człowiekiem.

Do tego potrzebuję Eliasa Veturiusa. Jej syna, który miał być martwy, którego śmierć Keris ogłosiła, a który, jak się ostatnio dowiedziałam, żyje. Pokazanie Eliasa jako dowodu na nieskuteczność Keris będzie pierwszym krokiem do przekonania jej sojuszników, że komendantka wcale nie jest taka potężna, za jaką chciałyby uchodzić.

– Im bardziej, będziesz się bronić – zwracam się do Lai – tym ciaśniej cię związę. – Zaciskam mocniej węzeł. Laia krzywi się, a ja czuję gdzieś w głębi siebie nieprzyjemne ukłucie. Czyżby to był efekt uboczny tego, że ją uzdrowiłam?

„To cię zniszczy, jeśli nie będziesz ostrożna”. W uszach dzwonią mi słowa na temat mojej mocy uzdrawiania wypowiedziane przez Zwiastuna Nocy. Czy to właśnie miał na myśli? To, że więzi z osobą, którą uzdrowiłam, są nierozzerwalne?

Nie mam czasu teraz tego roztrząsać. Do zarekwirowanej przez nas chaty wchodzą kapitanowie Avitas Harper i Dex Atrius. Harper wita mnie skinieniem głowy, natomiast Dex skupia uwagę na Mamie i zaciska zęby.

– Dex – zwracam się do niego. – Już czas.

Dex nie może oderwać wzroku od Mamie. Nic dziwnego. Kilka miesięcy temu, kiedy ścigaliśmy Eliasa, to on z mojego rozkazu przesłuchiwał Mamie i pozostałych członków plemienia Saif. Od tamtej pory dręczy go poczucie winy.

– Atriusie! – warczę. Dex nerwowo porusza głową. – Zajmij pozycję.

Kiwa głową i znika. Harper czeka cierpliwie na rozkazy, nieporuszony słumionymi przekleństwami Lai i jękami bólu wydawanymi przez Mamie.

– Sprawdź okolicę – rzucam polecenie. – Upewnij się, czy żaden z wieśniaków nie wrócił. – Nie po to tygodniami przygotowywałam tę zasadzkę, żeby mi teraz jakiś ciekawski plebejusz pomieszał szyki.

Laia odprowadza wzrokiem Harpera do drzwi, a ja sięgam po sztylet i przycinam nim swoje paznokcie. Ciemne ubranie szczelnie opina irytujące krągłości dziewczyny, przypominając mi o własnych sterczących kościach. Biorę do ręki jej torbę, w której jest sztylet. Rozpoznaję go od razu. Należał do Eliasa. Jego dziadek Quinn podarował mu go na szesnaste urodziny.

A Elias najwyraźniej dał go Lai.

Mimo knebla Laia z wściekłością coś syczy, przenosząc wzrok z Mamie na mnie. Jest równie krnąbrna jak Hannah. Rodzi się we mnie pytanie, czy w innym życiu, w innych okolicznościach mogłabym się zaprzyjaźnić z tą Scholarką.

– Obiecuję, że nie będziesz krzyczeć – zwracam się do niej – to wyjmę ci knebel.

Laia się namyśla, w końcu kiwa głową. W chwili kiedy wyjmuję jej knebel, zaczyna wrzeszczeć.

– Co jej zrobiłaś? – Podskakuje razem z krzesłem, wpatrując się w nieprzytomną w tej chwili Mamie Rilę. – Ona potrzebuje lekarstwa. Co za potwór z ciebie...

Wymierzam jej policzek, a głucho plaśnięcie odbija się echem w chacie. Czuję nagłe nudności i zginam się wpół. *Co się dzieje, na bogów?* Wspieram się ciężko o blat stołu i prostuję z wysiłkiem, nim Laia zdąży coś zauważyć.

Laia unosi wysoko brodę. Z nosa cieknie jej krew. W złocistych, kocich oczach widzę zaskoczenie, ale także solidną dawkę strachu. *Najwyższy czas.*

– Waż słowa. – Staram się mówić spokojnie, beznamiętnie. – Bo znów cię

zaknebluję.

– Czego ode mnie chcesz?

– Wyłącznie twojego towarzystwa.

Mruży oczy, w końcu dostrzega kajdany przymocowane do krzesła w kącie.

– Działam sama – odzywa się. – Rób ze mną, co chcesz.

– Znaczysz tyle, co komar. – Wracam do przycinania paznokci, tłumiąc wesołość na widok tego, jak moje słowa ją denerwują. – Nie ośmielaj się mówić mi, co mam robić. Imperium nie rozgniotło cię jak robaka tylko dlatego, że na to nie pozwoliłam.

To oczywiście kłamstwo. W ciągu dwóch miesięcy napadła na sześć karawan, uwalniając setki więźniów. Bogowie tylko wiedzą, jak długo trwałyby jeszcze ten proceder, gdybym nie otrzymała listu.

Dotarł do mnie dwa tygodnie temu. Nie rozpoznałam charakteru pisma, a ten, kto go napisał, dostarczył list, niezauważony przez cały cholerny garnizon Masek.

NAPADY. DOKONUJE ICH DZIEWCZYNA.

Wyciszałam sprawę napadów. Dość już mieliśmy kłopotów z Plemieńcami rozwścieczonymi obecnością wojańskich legionów na ich pustyni. Na zachodzie Barbaryjczycy z Karkaun podbili klany dzikusów i teraz zagrażają naszym posterunkom w pobliżu Tiborum. Tymczasem czarownik Grimarr z Karkaun zgromadził swoich ludzi i poprowadził na południe, gdzie najechał nasze miasta portowe.

Marcus dopiero co zapewnił sobie lojalność rodów ilustrian. Gdyby dowiedziały się, że na prowincji trwa rebelia Scholarów, mogłyby zacząć się buntować. A gdyby wiedziały, że to ta sama dziewczyna, którą Marcus rzekomo zabił podczas Czwartej Próby, poczułyby krew.

Kolejny zamach stanu ilustrian jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję. Zwłaszcza że los Liwii spoczywa w rękach Marcusa.

Po przeczytaniu listu nietrudno było mi zgadnąć, że tą dziewczyną jest Laia. Raporty z więzienia Kauf pasowały do raportów z napadów na karawany. *Dziewczyna pojawia się nagle i równie niespodziewanie znika. To wskrzeszona z martwych Scholarka, która mści się na Imperium.*

To nie był duch, tylko dziewczyna. Dziewczyna z jednym wyjątkowo uzdolnionym współtowarzyszem.

Patrzemy sobie prosto w oczy, ona i ja. Laia z Serry jest wściekła. Targają nią silne uczucia. Na twarzy ma wypisane to wszystko, o czym w tej chwili myślę.

– Skoro jestem tylko komarem – odzywa się – to dlaczego... – Z jej miny widzę, że nareszcie zrozumiała. – Nie przyszedł tu po mnie. Ale jeśli chcesz mnie użyć jako przynęty...

– To na pewno mi się uda. Dobrze znam swoją ofiarę, Laio z Serry. Pojawi się tu najdalej za kwadrans. Jeśli się mylę... – Obracam ostrze sztyletu na palcu. Laia

blednie.

– On umarł. – Laia sprawia wrażenie, jakby wierzyła we własne kłamstwo. – W więzieniu Kauf. I nie przyjdzie.

– Przyjdzie, przyjdzie. – O bogowie, jak ja jej nienawidzę, kiedy to mówię. Bo przyjdzie tu dla niej. Nie dla mnie.

Odrzucam tę myśl. *To oznaka słabości, Kruku.* Przyklękam przed nią i ostrzem wodzę wzdłuż litery K wyciętej niegdyś na jej skórze przez komendantkę. Blizna jest stara. Mogłaby być skazą na jej połyskującej skórze. Tymczasem sprawia, że Laia wygląda na silniejszą. Bardziej wytrzymałą. Nienawidzę jej za to.

Ale to nie potrwa już długo. Nie pozwolę Lai z Serry wolno odejść. Przynosząc jej głowę, zapewnię sobie względy Marcusa i przedłużę życie swojej siostrzyczki.

Na krótką chwilę przychodzi mi na myśl Kucharka. Dawna niewolnica komendantki będzie wściekła, kiedy dowie się o śmierci dziewczyny. Z drugiej strony starucha znikła już dawno temu. Może sama nie żyje.

Laia musiała dostrzec w moich oczach żądzę mordu, bo skóra na jej twarzy staje się popielata i dziewczyna odwraca wzrok. A mnie znowu ogarnia fala mdłości. Przed oczami wirują mi białe plamki, opieram się o drewnianą poręcz krzesła ze sztyltem zwróconym ku sercu Lai.

– Wystarczy, Heleno.

Jego głos jest ostry, tnie niczym bicz komendantki. Tak jak podejrzewałam, wszedł tylnymi drzwiami. *Heleno.* Oczywiście musiał się do mnie zwrócić po imieniu.

Myślę o ojcu. *Tylko ty jesteś w stanie powstrzymać nadciągający mrok.* Myślę o Liwii, ukrywającej siniaki na szyi pod warstwą pudru, żeby dwór nie uznał jej za słabą. Obracam się.

– Elias Veturius. – Krew w żyłach mrozi mi myśl, że zdołał mnie zaskoczyć, choć zastawiłam na niego pułapkę. I nie przyszedł sam, wziął Dexa na zakładnika, związał mu ręce i trzyma teraz ostrze noża przy jego gardle. Zasłonięta maską twarz Dexa zastygła w grymasie wściekłości. *Dex, ty idioto.* Obrzucam go groźnym spojrzeniem. I zastanawiam się, czy chociaż spróbował walczyć.

– Zabij Dexa, jeśli chcesz – odzywam się. – Skoro jest taki głupi, że dał się złapać, to nie będę za nim tęsknić.

W świetle pochodni widzę przez chwilę twarz Eliasa. Patrzy na Mamie, na jej wymizerowane ciało, a w jego spojrzeniu narasta gniew. Zasycha mi w gardle z wrażenia, tymczasem Elias przenosi wzrok na mnie. W jego zaciśniętych szczękach, w ramionach, w sposobie, w jaki trzyma broń, widzę wypisane setki pytań. Znam mowę jego ciała, poznałam ją już w wieku sześciu lat. *Trzymaj się, Kruku Krwi.*

– Dex jest twoim sojusznikiem – zauważa Elias – a tych, jak słyszałem, ostatnio ci brakuje. Myślę, że brakowałoby ci go. Uwolnij Laię.

Przypominam sobie Trzecią Próbę. Śmierć Demetriusa z jego ręki. I Leandra. Elias się zmienił. Jest w nim jakiś mrok, którego wcześniej nie było.

*Jesteśmy tacy sami, stary przyjacielu.*

Podnoszę Laię z krzesła, rzucam na ścianę i przykładam jej ostrze sztyletu do gardła. Tym razem jestem przygotowana na falę mdłości i tylko zaciskam zęby, kiedy nadchodzi.

– Różni nas to, Veturiusie – mówię – że nie dbam o śmierć swoich sojuszników. Rzuć broń. Tam w kącie są kajdany. Załóż je i usiądź. Milcz. Jeśli zrobisz, co każę, Mamie będzie żyła, a ja nie ruszę w pościg za twoją bandą kryminalistów i uwolnionymi więźniami. Jeśli odmówisz, wyłapię ich i pozabijam co do jednego.

– Myślałam, że jest w tobie choć odrobina przyzwoitości – szepcze Laia. – Może nie dobroć, ale... – Spogląda na mój sztylet, a potem na Mamie.

*Bo jesteś głupia.* Elias waha się, a ja dociskam ostrze.

Za moimi plecami otwierają się drzwi. Harper z nożem w ręku wpuszcza falę zimnego powietrza. Elias ignoruje jego obecność, koncentruje swoją uwagę na mnie.

– Uwolnij też Laię – mówi. – Zawrzyjmy umowę.

– Eliasie... – Laia z trudem chwyta powietrze. – Nie! Poczekalnia...

Uciszam ją sykiem i Laia milknie. Nie mam na to czasu. Im dłużej będę się wahać, tym większe ryzyko, że Elias obmyśli sposób ucieczki. Postarałam się, żeby wiedział, że Laia jest we wsi. Powinnam była przewidzieć, że pojmie Dexa. *Jesteś idiotką, Kruku. Nie doceniłaś go.*

Laia próbuje coś powiedzieć, ale ja dociskam ostrze, nacinając skórę na jej szyi. Laia drży, jej oddech jest płytki. Huczy mi w głowie. Ból podsycia moją złość, z krwi moich martwych rodziców rodzi się we mnie ktoś nowy.

– Znam jej śpiewkę, Veturiusie.

Dex i Avitas nie rozumieją, co mam na myśli. Ale Elias wie.

– Mogę tu zostać całą noc. I cały dzień. Tyle, ile trzeba. Mogę jej zrobić krzywdę.

*A potem uzdrowić.* Nie mówię tego głośno, ale on przejrzał moje nikczemne zamiary. *I znów ją skrzywdzić, i znów uzdrowić. Aż doprowadzę cię w ten sposób do szaleństwa.*

– Heleno... – Złość Eliasa gaśnie, zastępuje ją zaskoczenie. Rozczarowanie. Ale on nie ma prawa czuć rozczarowania. – Nie zabijesz nas.

W jego głosie brakuje pewności. Znałeś mnie kiedyś dobrze, myślę sobie. Ale już mnie nie znasz. Sama siebie nie znam.

– Istnieją rzeczy gorsze od śmierci – mówię. – Chcesz poznać je ze mną?

Elias traci cierpliwość. *Postępuj ostrożnie, Kruku Krwi.* Choć stał się kimś innym, gdzieś w głębi pozostał Maską. Nie mogę posunąć się za daleko.

– Uwolnię Mamie. – Daję mu marchewkę, zanim zacznę wymachiwać kijem. – Jako gest dobrej woli. Avitas zostawi ją gdzieś, gdzie zdołają ją znaleźć twoi przyjaciele Plemięncy.

Elias spogląda na Avitasa Harpera, a ja przypominam sobie, że nie wie, iż ten jest



jego przyrodnim bratem. Zastanawiam się, czy mogę wykorzystać tę wiedzę przeciwko Eliasowi, ale postanawiam zachować ją dla siebie. To sekret Harpera, nie mój. Kiwam głową i mój człowiek wynosi Mamie z chaty.

– Uwolnij też Laię – odzywa się Elias – a zrobię, co zechcesz.

– Ona idzie z nami – odpowiadam. – Znam twoje sztuczki, Veturiusie. Ale nic z tego. Nic nie ugrasz, jeśli chcesz, żeby żyła. Rzuć broń. Załóż kajdany. Drugi raz nie poproszę.

Elias odpycha od siebie Dexa, któremu przeciął więzy na nadgarstkach, a następnie wymierza mu cios, który powala kapitana na kolana. Dex nie oddaje ciosu. *Głupiec!*

– To za przesłuchiwanie mojej rodziny – wyjaśnia Elias. – Nie myśl, że o tym nie wiedziałem.

– Przyprowadź konie – rozkazuję. Dex podnosi się z godnością z ziemi, prostuje się dumnie, jakby to nie jego broń była unurzana we krwi. Wychodzi z chaty, a Elias rzuca na ziemię sztylet.

– Puścisz teraz Laię – mówi Elias. – Nie zakneblujesz mnie. I będziesz się trzymać na dystans, Kruku Krwi.

To nie powinno boleć, że zwraca się do mnie, używając mojego tytułu. W końcu nie jestem już Heleną Aquillą.

Chociaż kiedy go ostatnio widziałam, byłam jeszcze Heleną. I kilka minut temu, kiedy mnie ujrzał, wypowiedział moje imię.

Puszczam gardło Lai. Dziewczyna łapczywie chwyta powietrze i po chwili jej twarz odzyskuje kolory. Mam mokrą dłoń, to krople krwi z jej szyi. Zaledwie kilka kropel. Trudno porównywać to ze strugami, jakie wyciekły z moich umierających rodziców i siostry.

*Tylko ty zdołasz powstrzymać nadciągający mrok.*

Powtarzam sobie te słowa w myślach. Przypominam samej sobie, dlaczego się tu znalazłam. I z tych resztek uczuć, które we mnie pozostały, krzeszę ogień.

## V: Laia

– Sprawdź Veturiusa – zwraca się Kruk Krwi do Avitasa Harpera, kiedy wraca bez Mamie. – Upewnij się, czy kajdany są dobrze zapięte.

Kruk odciąga mnie do drzwi chaty, jak najdalej od Eliasa. Obecność nas trojga w jednym pomieszczeniu jest dziwna i wygląda jak zapowiedź czegoś nieokreślonego. Wrażenie to szybko jednak mija, kiedy Kruk wbija ostrze sztyletu głębiej w moją skórę.

Musimy się za wszelką cenę stąd wydostać. Wolałabym nie czekać, aż Kruk spełni swoją groźbę i zacznie mnie torturować. Tymczasem Afya i Darin odchodzą pewnie od zmysłów z niepokoju.

– Koni nie ma, Kruku. – W progu tylnego wejścia pojawia się Dex.

Rozwścieczony Kruk Krwi wbija wzrok w Eliasa, ale on tylko wzrusza ramionami.

– Chyba nie myślałaś, że pozwolę im tu zostać?

– Idź, poszukaj jeszcze raz – rozkazuje Dexowi Kruk. – I przyprowadź tu duchowóz. Harper, jak długo jeszcze będziesz sprawdzał, czy te cholerne łańcuchy są nietknięte?

Sprawdzam dyskretnie, jak mocne są moje więzy, ale Kruk wyczuwa to i boleśnie wykręca mi ręce.

Elias siedzi na krześle z wyuczoną swobodą i obserwuje swoją dawną najlepszą przyjaciółkę. Nie daję się zwieść jego znudzonemu wyrazowi twarzy. Z każdą mijającą chwilą jego złocistobrązowa skóra blednie, aż w końcu widać wyraźnie, że źle się czuje. Wzywa go Poczekałnia i ciągnie ku sobie z coraz większą natarczywością. Już to wcześniej widziałam. Jeśli zostanie tu zbyt długo, będzie cierpiał.

– Wykorzystujecie mnie, żeby się dostać do mojej matki – odzywa się Elias. – Ona wyczuje to na odległość.

– Nie każ mi zmieniać zdania w kwestii knebla. – Kruk czerwieni się pod maską. – Harper, idź z Dexem. Wóz ma tu być za chwilę.

– Jak myślisz, co robi teraz Keris Veturia? – pyta Elias po wyjściu Harpera.

– Ty już nawet nie mieszkasz w cholernym Imperium. – Kruk Krwi ściska mnie mocniej. – Więc zamknij się.

– Nie muszę żyć w Imperium, żeby wiedzieć, co myśli komendantka. Chcesz ją zabić, prawda? Ona musi to wiedzieć. A w takim razie wie także, że jeśli ją zabijesz, to ryzykujesz wojnę domową z jej sprzymierzeńcami. I dlatego, kiedy ty marnujesz tu swój czas ze mną, ona już wróciła do stolicy i knuje diabli wiedzą co.

Kruk marszczy czoło. Całe życie słuchała rad Eliasa i jemu też doradzała. *A jeśli on ma rację?* Wydaje mi się, że słyszę, co sobie teraz myśli. Elias podchwytuje moje spojrzenie. Podobnie jak ja szuka jakiejś sposobności.

– Znajdź mojego dziadka – mówi Elias. – Jeśli chcesz ją dopaść, musisz zrozumieć jej sposób myślenia. Quin zna Keris lepiej niż ktokolwiek inny spośród żyjących.

– Quin opuścił Imperium – odpowiada Kruk.

– Akurat... Gdziekolwiek Keris się znajdzie, on będzie czekał w pobliżu, aż popełni jakiś błąd. Nie jest na tyle głupi, żeby ukrywać się w którejś ze swoich posiadłości. I nie będzie sam. Wciąż wielu ludzi jest mu oddanych.

– To bez znaczenia. – Kruk Krwi macha lekceważąco ręką, odrzucając radę Eliasza.  
– Keris i ta kreatura, którą trzyma przy sobie...

Czuję ucisk w żołądku. *Zwiastun Nocy. Ona ma na myśli Zwiastuna Nocy.*

– ...coś knują – kończy Kruk. – Muszę ją zniszczyć, zanim ona zniszczy Imperium. Tygodniami polowałam na Quina Veturiusa. Nie mam czasu, żeby znowu to robić.

Elias unosi się w krzesło, przygotowuje się do zrobienia ruchu. Kruk poluzował żelazny uścisk, a ja skręcam dłonie, szarpnię nimi, usiłuję wyswobodzić je z więzów.

– Więc chcesz ją zniszczyć. – Kajdany Eliasza pobrzękują. Coś błysnęło w jego dłoni? Wytrych? Jak zdołał go ukryć przed Avitasem? – Pamiętaj, że ona robi rzeczy, których bardzo byś nie chciała. Znajdzie twój słaby punkt i wykorzysta go. To potrafi najlepiej.

Kiedy Elias unosi rękę, Kruk odwraca głowę w jego stronę i mruży oczy. W tej samej chwili wchodzi Harper.

– Wóz czeka, Kruku – melduje.

– Bierz ją. – Popycha mnie w stronę Avitasa. – I trzymaj jej nóż przy gardle. – Harper przyciąga mnie do siebie. Gdybym zdołała odwrócić uwagę Kruka i Avitasa na chwilę dość długą, żeby Elias zdążył zaatakować...

Używam sztuczki, której Elias nauczył mnie, gdy podróżowaliśmy razem. Kopię Avitasa w łydkę, a potem rzucam się na ziemię.

Avitas klnie, Kruk się obraca, a Elias, uwolniwszy się z kajdan, rzuca się naprzód. W chwili krótszej od mrugnięcia okiem sięga po swoją broń. Nóż ze świstem przecina powietrze nad moją głową, ale Harper robi unik i ciągnie mnie za sobą. Kruk Krwi wrzeszczy, kiedy Elias przygniata ją swoim ciałem i przystawia jej nóż do gardła. Coś jednak błyszczy w jej dłoni. To sztylet. O bogowie, gotowa nim pchnąć Eliasza.

– Eliasie! – ostrzegam go, ale nagle jego ciało nieruchomieje.

Z jego gardła dobywa się zduszony okrzyk. Nóż wypada mu z dłoni, a Kruk wydostaje się spod niego z ironicznymi wykrzywionymi ustami.

– Laio. – W spojrzeniu Eliasza widzę wściekłość. I bezsilność. A potem w pokoju zalega ciemność. Dostrzegam długie, ciemne włosy, blask brązowej skóry. Wpatrują się we mnie bezdennie czarne oczy. Shaeva.

W jednej chwili Shaeva i Elias znikają. Ziemia drży pod naszymi stopami, na ułamek sekundy zrywa się wiatr, zawodzi głośno i rozpaczliwie jak jęczące dusze.

Kruk Krwi rzuca się tam, gdzie przed chwilą znajdował się Elias, ale jego już nie ma. Chwyta mnie za gardło, kieruje sztylet prosto w moje serce i popycha mnie z powrotem na krzesło.

– Kim, do diabła, była ta kobieta? – szepcze.

Otwierają się z hukiem drzwi i do środka wbiega Dex z szablą w dłoni. Nim zdąży wydusić z siebie słowo, Kruk wrzeszczy do niego z całych sił:

– Przeczesać wioskę! Veturius zniknął jak jakaś przeklęta zjawia.

– Eliasa nie ma w wiosce – wtrącam się. – Ona go zabrała.

– Kto go zabrał? – Nie mogę mówić, ostrze jest zbyt blisko mego ciała, ale ona nie pozwala mi poruszyć żadnym mięśniem. – Mów!

– Zabierz sztylet, Kruku – odzywa się Avitas, rozglądając się uważnie wokół jakby w nadziei, że Elias może powrócić. – Może wtedy coś powie.

Kruk Krwi odsuwa ostrze od mojego ciała może o grubość włosa. Rękę ma pewną, ale pod maską jej twarz płonie.

– Mów albo umrzesz.

Plącze mi się język, kiedy próbuję wytłumaczyć – najchętniej, jak potrafię – kim jest Shaeva i kim stał się Elias. Mówiąc to, zdaję sobie sprawę, jak niewiarygodnie brzmią moje słowa. Kruk Krwi nie odzywa się, ale całym swoim ciałem wyraża niedowierzanie.

Kiedy kończę, wstaje, opuszcza dłoń ze sztyletem i wpatruje się w noc. Do świtu pozostało tylko kilka godzin.

– Możesz sprowadzić tu Eliasa z powrotem? – pyta cicho.

Kręcę głową, a ona klęka przede mną. Jej twarz nagle staje się pogodna, ciało rozluźnione. Nasze spojrzenia spotykają się, ale jej wzrok jest nieobecny, jakby odpłynęła myślami gdzieś daleko.

– Gdyby imperator wiedział, że żyjesz, chętnie przesłuchałby cię osobiście – mówi Kruk Krwi. – Nie jesteś głupia i zgodzisz się ze mną, że lepsza byłaby śmierć. Zrobię to szybko.

*O bogowie.* Nogi mam wolne, ale ręce związane. Mogłabym uwolnić prawą rękę, gdybym szarpnęła dostatecznie mocno...

Avitas chowa szablę do pochwy i schyla się za moimi plecami. Czuję jego ciepłą skórę na swoich nadgarstkach i czekam, aż zaciśnie mocniej sznur. Ale on tego nie robi.

Przeciwnie, sznur krępujący mi ręce spada na ziemię. Harper wyszeptuje tylko jedno słowo, tak cicho, że nie jestem pewna, czy naprawdę je wypowiedział.

– Idź.

Nie mogę się poruszyć. Napotykam spojrzenie Kruka Krwi. *Spojrzę śmierci w oczy.* W jej srebrzystych rysach twarzy pojawia się smutek. Nagle wydaje się starsza, nie wygląda już na swoje dwadzieścia lat. Widziała zbyt dużo krwi. Zbyt dużo

śmierci.

Pamiętam, jak Elias opowiadał mi, co Marcus zrobił z rodziną Kruka. Dowiedział się tego od ducha Hanny Aquilli, który nękał go miesiącami, zanim przeszedł na drugą stronę.

Słuchając tej opowieści, czułam się coraz gorzej. Pamiętam inny ponury poranek wiele lat temu. Obudził mnie głośny szloch w domu. Pomyślałam, że dziadek przyniósł do domu jakieś zwierzę. Ranne stworzenie, umierające powoli i w cierpieniu.

Ale kiedy weszłam do dużego pokoju, zobaczyłam babcię kołyszącą się w przód i w tył w ramionach dziadka próbującego uciszyć ją, żeby nikt nie usłyszał oznak rozpacz po stracie córki – mojej matki. Nikt nie mógł się dowiedzieć. Imperium było gotowe zetrzeć w proch wszystko, co reprezentowała sobą Lwica, ale także wszystkich, którzy byli z nią w jakikolwiek sposób powiązani.

Tego dnia poszliśmy wszyscy na targ sprzedać dzemy babci. Dziadek, Darin, babcia i ja. Babcia nie uroniła ani jednej łzy. Jej lament słyszałam tylko raz, tamtego ranka.

Krukowi Krwi także odmówiono prawa do publicznego opłakiwania swoich bliskich. Była przecież drugą osobą w Imperium, a jej rodzina została stracona za to, że nie wypełniła rozkazów imperatora.

– Przykro mi – szepczę, kiedy unosi sżytylet. Wyciągam palce – nie po to, żeby zatrzymać sżytylet, tylko żeby ująć jej drugą dłoń. Kruk Krwi sżytywieje. Skóra jej dłoni jest zimna, bezduszna. W ułamku sekundy jej zaskoczenie zamienia się w złość.

*Najokrutniejszy gniew rodzi się z najgłębszej bóleści. Tak zwykła mawiać babcia. Mów, Laio.*

– Moi rodzice też zostali zamordowani. I moja siostra. W Kauf. Byłam mała i nie widziałam tego. Ale nigdy nie mogłam ich opłakiwać. Nie pozwalano mi. Nikt nawet nie wspominał o ich śmierci, ale myślę o nich każdego dnia. Przykro mi, że straciłam swoich najbliższych. Naprawdę.

Przez chwilę widzę przed sobą dziewczynę, która mnie uzdrowiła. Dziewczynę, która pozwoliła Eliasowi i mnie uciec z Czarnego Klifu. Dziewczynę, która powiedziała mi, jak dotrzeć do więzienia Kauf.

I zanim ta dziewczyna zniknie – a wiem, że zniknie – zbieram w sobie wszystkie siły, zrywam się z krzesła, mijam w pędzie Avitasa i podbiegam do drzwi. Jeszcze dwa kroki i słyszę krzyk Kruka. Trzeci krok i jej sżytylet przecina ze świstem powietrze.

Za późno. Jestem już za drzwiami, mijam nic niepodejrzewającego Dexa i znikam w mroku nocy jak duch.

## VI: Elias

Shaeva rzuca mnie w takie ciemności, że zastanawiam się, czy trafiłem do jednego z piekielnych kręgów. Trzyma mnie mocno, choć jej nie widzę. Nie płyniemy z wiatrem, mam wrażenie, że w ogóle się nie poruszamy. A jednak jej ciało emanuje magią, która parzy moją skórę niczym płomień.

Stopniowo wraca mi zdolność widzenia i okazuje się, że unoszę się nad oceanem. Niebo nade mną jest wzburzone, gęste od bladej, żółtych chmur. Czuję obok siebie obecność Shaevy, ale nie mogę oderwać wzroku od wzburzonej powierzchni wody, kipiącej od ruchu jakichś wielkich stworów. Ze stworów tych emanuje zło, wrogość, która dociera do najgłębszych zakamarków mojej duszy. Ogarnia mnie przerażenie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłem, nawet jako dziecko w Czarnym Klifie.

*Kończy się noc, Eliasie Veturiusie. Strzeż się.*

Głos jest tak cichy, że muszę się wysilić, by dosłyszeć wszystkie sylaby. Nim jednak zrozumieć sens słów, ocean znika, powraca ciemność, a głos i obrazy blakną w mojej pamięci.

\*\*\*

Kiedy się budzę, drewniane belki stropowe nad głową i poduszka z pierza pod nią natychmiast mi mówią, gdzie jestem. To chata Shaevy, mój dom. Kłody drewna pękają z trzaskiem w ogniu, zapach aromatycznego curry wypełnia przestrzeń. Przez długą chwilę leżę w łóżku i cieszę spokojem, jaki daje poczucie bezpieczeństwa i ciepła pod własnym dachem.

*Lai!* Przypominam sobie, co się stało, i zrywam się z łóżka. Czuję potworny ból głowy. *Niech to piekło pochłonie.*

Muszę wracać do wioski, do Lai. Wstaję, odnajduję szable rzucone byle jak pod łóżko i wlokę się do drzwi. Na zewnątrz szaleje mroźny wiatr, okręca i unosi wysoko ciężkie śnieżne płatki. Dusze jęczą żałośnie, z udręką i gromadzą się na mój widok.

– Cześć, mały. – Jeden z cieni podpływa blisko. Jest tak niewyraźny i blade, że ledwie rozpoznaję twarz. – Widziałeś moją przytulankę?

Znam ją. To Chucherko. Jedna z pierwszych dusz, które tu spotkałem.

– Nie, przykro mi – odpowiadam burkliwie.

– Eliasie. – Na skraju polany pojawia się Shaeva, przez ramię przewiesiła koszyk pełen zimowych ziół. Chucherko, jak zawsze nieśmiało, znika. – Nie powinieneś jeszcze wstawać.

– Coś ze mną nie tak? – zwracam się do Łowczyni Dusz pełen pretensji. – Stało się coś?

– Byłeś przez cały dzień nieprzytomny. – Shaeva nie zwraca uwagi na mój gniewny ton. – Nie płynęliśmy z wiatrem, tylko przyturlałam nas tutaj. Tak jest

szybciej, ale to szkodzi ciału śmiertelników.

– A Laia... Mamie...?

– Przestań, Eliasie. – Shaeva siada na wystającym z ziemi korzeniu wielkiego cisu i bierze głęboki wdech. Drzewo zdaje się pochylać i obejmować jej ciało. Shaeva wyjmuje z koszyka garść zielska i nerwowo obrywa liście z gałązek. – Mało brakowało, a dałbyś się zabić. To nie wystarczy?

– Nie powinnaś była zabierać mnie stamtąd w taki sposób. – Nie potrafię pohamować gniewu, ona zresztą też, spogląda na mnie złowrogo. – Nic by mi się nie stało. Muszę wracać do tamtej wioski.

– Ty imbecylny! – Shaeva rzuca koszyk na ziemię. – Kruk Krwi miał w mankiecie sztylet. Ostrze było o centymetr od twojego brzucha. Mauth próbował cię ściągnąć tu z powrotem, ale ty na to nie zważałeś. Gdybym nie przybyła, to wrzeszczałabym teraz na twoją duszę. – Minę ma naprawdę wściekłą. – Mimo złych przeczuć pozwoliłam ci pomóc twoim przyjaciółom. A ty wszystko zaprzepaściłeś.

– Nie możesz oczekiwać, że będę stale siedział w Poczekalni i nie kontaktowałem się z istotami ludzkimi – argumentuję. – Oszalałbym. A jeśli chodzi o Laię... Troszczyć się o nią, Shaevo. Nie mogę tak zwyczajnie...

– Och, Eliasie. – Shaeva wstaje i wyciąga do mnie ręce. Choć przemarzłem, ciepło jej ciała nie daje mi poczucia komfortu. Łowczyni Dusz wzdycha, jej głos jest pełen zawstydenia. – Myślisz, że ja nigdy nie kochałam? Kochałam. Raz. On był piękny. Cudowny. Ta miłość mnie zaślepiła i zaniedbałam swoje obowiązki, choć były świętą powinnością. Świat ucierpiał z powodu mojej miłości. Nadal cierpi. – Oddycha chrapliwie, a wokół nas, jakby w reakcji na jej udrękę, nasilają się jęki dusz. – Rozumiem twoje cierpienie. Naprawdę. Ale dla nas, Eliasie, obowiązek musi stać na pierwszym miejscu, przed pożądaniem, smutkiem, samotnością. Tu nie ma miejsca na miłość. Wybrałaś Poczekalnię, a Poczekalnia wybrała ciebie. Teraz musisz oddać się jej całej – ciałem i duszą.

*Ciałem i duszą.* Przebiega mnie zimny dreszcz, kiedy przypominam sobie, co dawno temu powiedział mi Kain – że pewnego dnia dostanę szansę na wolność. *Prawdziwą wolność – ciała i duszy.* Czyżby to przewidział? – zastanawiam się. Czy skierował mnie na drogę ku wolności, wiedząc, że pewnego dnia zostanie mi zabrana? Czy to było moim przeznaczeniem od zawsze?

– Potrzebuję trochę czasu. Jeden dzień. Jeśli mam być przykuty do tego miejsca na wieczność, to jestem Lai i Mamie winien przynajmniej pożegnanie, choć nie mam pojęcia, co im powiem.

Shaeva milczy długą chwilę, wreszcie się odzywa:

– Dam ci kilka godzin – odzywa się w końcu. – Potem już żadnych szaleństw. Musisz się dużo nauczyć, Eliasie. A ja nie wiem, ile czasu będę musiała cię uczyć. Od chwili gdy przysięgłeś zostać Łowcą Dusz, moja moc zaczęła słabnąć.

– Wiem. – Trącam ją butem i uśmiecham się, próbując złagodzić napięcie między nami. – Za każdym razem, kiedy nie chce ci się zmywać naczyni, przypominasz mi

o tym. – Parodiuję jej poważny ton. – Eliasie, moja moc słabnie... więc gdybyś mógł zamieść schody na ganek i przynieść drewna...

Shaeva chichocze.

– Tak jakbyś umiał zamia... zamiatać...

Uśmiech znika z jej twarzy. Pojawia się dziwny grymas, zaciska i rozwiera dłonie, jakby chciała chwycić broń, której przecież nie ma.

Śnieg wokół nas wiruje coraz wolniej. Wiatr przycicha, w końcu ustaje zupełnie. Cienie w lesie pogłębiają się, są tak czarne, że sprawiają wrażenie portalu do innego świata.

– Co się dzieje, Shaevo?

Łowczyni Dusz drży ze strachu.

– Wróć do chaty, Eliasie.

– Cokolwiek to jest, stawimy temu czoło raz...

Shaeva wbija palce w moje ramiona.

– Wielu rzeczy jeszcze nie potrafisz, a jeśli ty zawiedziesz, świat zginie. To dopiero początek. Pamiętaj, masz spać w chacie. Tam cię nie skrzywdzą. I odzyskaj Plemieńców, Eliasie. Od dawna są moimi sprzymierzeńcami. Zapytaj ich o historię o... – Słowa więzną jej w gardle, tułów wygina się w łuk.

– Na bogów! Shaevo...!

– Księżyc przypuszcza atak na łuczника i wojowniczkę! – Jej głos zmienia się, zwielokrotnia. To głos dziecka i głos starej kobiety, a w tle jej własny, jakby wszystkie wcielenia Shaevy, przeszłe i przyszłe, przemawiały naraz. – Narodził się kat. Zdrajca stąpa po ziemi. Strzeżcie się! Nadchodzi Kosiarz, pozostawia za sobą płomienie i to on podpali ten świat. Zapanuje wielkie zło.

Shaeva wznosi ramiona do nieba, do skrytych za ciężkimi śnieżnymi chmurami konstelacji gwiazd.

– Shaevo! – Potrząsam ją za ramiona. *Zabierz ją do środka!* W chacie zawsze się uspokaja. To jej jedyne sanktuarium w tym zapomnianym przez bogów miejscu. Ale kiedy próbuję podnieść ją i zabrać ze sobą, odpycha mnie. – Shaevo, nie bądź taka uparta...

– Zapamiętaj wszystko, co powiem, zanim nadejdzie czas – szepcze. – Dlatego przyszedł. Tego ode mnie chce. Przysięgnij.

– Przysięgam.

Zbliża dłonie do mojej twarzy. W jednej chwili jej palce stają się zimne.

– Wkrótce przekonasz się, jaka jest cena za twoją przysięgę, braciszku. Mam nadzieję, że nie będziesz mnie bardzo źle wspominał.

Padła na kolana, przewracając kosz z ziołami. Wysypują się z niego zielone i żółte liście stanowiące niestosowny kontrast z poszarzałym śniegiem. Na polanie panuje cisza. Nawet dusze zamilkły.



*Coś jest nie w porządku.* Wokół chaty gromadzą się zwykle tabuny dusz. A teraz znikły. Wszystkie, co do jednej.

W zachodniej części Lasu, gdzie przed chwilą cienie były tylko cieniami, coś się kręci. Mrok porusza się, skręca jak w agonii, aż w końcu wyłania się z niego zakapturzona postać okryta w szaty z najczystszej nocy. Spod kaptura spozierają na mnie dwa miniaturowe słońca.

Nigdy wcześniej go nie widziałem. Opisywano mi tylko jego wygląd. Mimo to wiem, kim jest. Na czeluści piekielne, znam go.

To Zwiastun Nocy.

## VII: Kruk Krwi

Rząd ściętych głów wita Dexa, Avitasa i mnie, kiedy wkraczamy do Antium przez nabijaną żelaznymi ćwiekami główną bramę. Większość należy do Scholarów, ale dostrzegłam też kilka wojańskich. Na ulicach zalega brudna breja, a nad miastem wiszą chmury ciężkie od śniegu.

Przejeżdżam obok makabrycznego widowiska, Harper podąża w ślad za mną, ale Dex wstrzymuje wodze i wpatruje się w ścięte głowy. Jego milczenie wytrąca mnie z równowagi. Przesłuchanie członków plemienia Saif wciąż nie daje mu spokoju.

– Jedź do koszar, Dex – zwracam się do niego. – Do północy chcę mieć na swoim biurku raport o wszystkich aktualnych misjach. – Moją uwagę zwracają dwie kobiety wałęsające się w pobliżu posterunku. Kurtyzany. – Potem idź się zabawić. Przestań myśleć o akcji.

– Nie chadzam do burdeli – odpowiada cicho Dex, podążając za moim spojrzeniem. – A nawet jeśli, to wszystko nie jest takie proste, Kruku. Wiesz o tym dobrze.

Rzucam Avitasowi Harperowi gniewne spojrzenie. *Wynocha!*

– Na placu Mandiasa jest salon Madame Heery – mówię, kiedy Harper jest na tyle daleko, że nie może podsłuchiwać. – To „Dom zapomnienia”. Heera jest dyskretna. Dobrze traktuje swoje kobiety... i mężczyzn. – Widząc, że Dex się waha, tracę cierpliwość. – Pozwalasz zżerać się własnemu sumieniu. Dość nas to kosztowało w wiosce. Ta akcja miała dać nam przewagę nad Keris, tymczasem nic z niej nie wyszło. Marcus nie będzie zadowolony. A jego niezadowolenie odbije się na mojej siostrze. Kiedy upadam na duchu, odwiedzam Heerę. To pomaga. Pójdiesz tam czy nie, mało mnie to obchodzi. Ale przestań się nad sobą użalać i przydadź się wreszcie do czegoś. Moja cierpliwość się skończyła.

Dex odjeżdża, a Harper wbija w bok konia ostrogi.

– Bywasz u Heery? – W jego głosie jest coś więcej niż zwykła ciekawość.

– Potrafisz czytać z ruchu warg?

– Tylko twoich, Kruku. – Spojrzenie jego zielonych oczu wędruje do moich ust tak szybko, że ledwie to dostrzegam. – Wybacz mi to pytanie. Przypuszczałem, że są ochotnicy, którzy zaspokajają twoje... potrzeby. Zastępca poprzedniego Kruka Krwi organizował czasem dla niego osoby do towarzystwa, jeśli więc potrzebowałabyś, żebym...

Na samą myśl zaczynają płonąć mi policzki.

– Przestań gadać tam z tyłu – mówię. Jedziemy galopem w stronę pałacu, którego perłowy blask jest bezczelnym oszustwem skrywającym ogrom zbrodni. Zewnętrzne bramy są o tej porze szeroko otwarte, a ilustriańscy dworzanie i merkatorzy knują i robią wszystko, by dostać się do sali tronowej i wkraść w łaski imperatora.

- Walka z Morzanami zajmie dużo czasu...
- ...flota jest już zaangażowana...
- ...Veturia ich zmiążdży...

Tłumię westchnienie, słysząc o niekończących się machinacjach największych rodów. Ich postępowanie zawsze wyprowadzało mojego ojca z równowagi. Na mój widok milkną. Ich zakłopotanie sprawia mi ponurą satysfakcję.

Razem z Harperem szybko mijamy dworzan. Mężczyźni w długich, obszytych futrem płaszczach cofają się w popłochu, żeby nie obryzgało ich błoto spod kopyt mojego wierzchowca. Kobiety w paradnych strojach spoglądają na mnie ukradkiem. Nikt nie śmie spojrzeć mi prosto w oczy.

Świnie. Żaden z nich nie wspomniął słowem członków mojej rodziny zgładzonych przez Marcusa. Nawet w prywatnej rozmowie.

Moja matka, ojciec i siostra zginęli jako zdrajcy i nic tego nie zmieni. Marcus chciał mnie upokorzyć, ale nie czułam wstydu. Mój ojciec poświęcił życie dla ratowania Imperium i nadejdzie dzień, kiedy ten fakt stanie się powszechnie znany. Tymczasem teraz jest tak, jakby moja rodzina nigdy nie istniała. Jakby ich życie było wytworem wyobraźni.

Jedynymi osobami, które ośmieliły się wspominać moich rodziców, są Liwia, stara jędzowata Scholarka niewidziana przeze mnie od tygodni, i scholarska dziewczyna, której głowę powinnam teraz nieść jako trofeum.

Słyszę gwar rozmów w sali tronowej na długo przed tym, jak moim oczom ukazują się prowadzące do niej podwójne drzwi. Kiedy wchodzę, stojący na warcie żołnierze salutują. Dobrze wiedzą, co przytrafia się tym, którzy o tym zapomną.

Marcus siedzi sztywno na tronie. Palce wielkich dłoni zaciska na poręczach, ukryta za maską twarz nie wyraża żadnych emocji. Krwistoczerwona peleryna spływa na podłogę, kontrastując wyraźnie z pancerzem ze srebra i miedzi. Broń u jego boku jest ostra jak brzytwa ku rozgoryczeniu starszych przedstawicieli ilustrijskich rodów, którzy u boku imperatora wydają się słabi i bezbronni.

Komendantki tu nie ma. Jest za to Liwia. Siedzi na tronie obok Marcusa, a jej twarz jest równie obojętna jak oblicze Maski. Jestem wściekła, że zmusza się ją do siedzenia tutaj, a z drugiej strony odczuwam ulgę, ponieważ żyje. Wygląda olśniewająco w lawendowej sukni suto zdobionej złotem.

Siostra siedzi wyprostowana, gruba warstwa pudru na jej policzkach maskuje siniaki. Jej dwórki – kuzynki Marcusa o żółtych oczach – stoją zbite w gromadkę kilka kroków dalej. Są plebejuskami, które moja siostra zabrała z ich wioski w geście dobrej woli wobec Marcusa i jego rodziny. I podejrzewam, że podobnie jak dla mnie, dwór jest dla nich miejscem nieznośnym.

Marcus skupia swoją uwagę na mnie ku wyraźnemu niezadowoleniu stojącego przed nim ambasadora Morzan. Kiedy się zbliżam, ramiona imperatora zaczynają drżeć.

– Nie musisz mnie ostrzegać – mruczy. Ambasador marszczy czoło, a ja zdaję sobie sprawę, że Marcus nie zwracał się do niego. Mówi do siebie. Ku zdumieniu ambasadora imperator przywołuje go skinieniem dłoni.

– Powiedz swojemu tchórzliwemu królowi, żeby się nie trząsł ze strachu – odzywa się Marcus. – Imperium nie jest zainteresowane prowadzeniem wojny z Morzanami. A jeśli potrzebuje dowodu naszej dobrej woli, to niech przedstawi nam listę swoich wrogów. Wyślę mu w prezencie ich głowy. – Ambasador blednie i wycofuje się, a Marcus przywołuje gestem mnie.

Nie pozdrawiam Liwii. Niech dwór sobie myśli, że nasze relacje nie są dobre. Siostra ma dość kłopotów na głowie, a połowa tych sępów chętnie wykorzystałaby dla swoich celów jej związki ze mną.

– Imperatorze. – Przyklękam i pochylam głowę. Choć robię tak od miesięcy, wcale nie jest mi łatwiej. Obok klęka Harper.

– Wszyscy wyjść! – warczy Marcus. Ponieważ ilustrianie nie poruszają się dość zwawo, rzuca w najbliższego z nich sztyletem.

Straże wyprowadzają ilustrian, ale wielu nie jest w stanie wyjść dostatecznie szybko. Marcus uśmiecha się, jego chichot brzmi złowieszczo w sali tronowej, w której króluje strach.

Liwia wstaje i z gracją zbiera fałdy sukni. Szybciej, siostrzyczko, popędzam ją w duchu. Wychodź stąd. Ale nim zrobi krok, Marcus chwyta ją za nadgarstek.

– Ty zostajesz. – Zmusza ją, by usiadła na tronie. Spojrzenia siostry i moje spotykają się na ułamek sekundy. Nie wyczuwam strachu, raczej ostrzeżenie. Avitas, niemy świadek, cofa się kilka kroków.

Marcus wyciąga zwój papirusu i rzuca go w moją stronę. Pieczęć herbowa frunie w powietrzu i ląduje w moich rękach. Widnieje na niej litera K i dwa skrzyżowane pod nią miecze. To znak komendantki.

– No, dalej – zwraca się do mnie Marcus. – Czytaj.

Liwia obserwuje mnie, widzę, że jest spięta, choć nauczyła się skrywać niepokój.

Mój Panie, Imperatorze,

czarownik Grimarr z Karkaus nasila ataki na Navium. Potrzebujemy więcej ludzi. Najważniejsze rody Navium przyłączają się do prośby. Poniżej ich pieczęcie. Wystarczyłoby pół legionu.

Służba przede wszystkim, aż po grób.

*Generał Keris Veturia*

– Ona ma tam cały legion – odzywam się. – Pięć tysięcy ludzi powinno jej wystarczyć do stłumienia śmiesznej barbaryjskiej rebelii.

– Mimo to – Marcus rzuca kolejne rulony – piszą do mnie listy rody Equitius, Tatus, Argus, Modius, Vissellius. Wszyscy domagają się wsparcia. Ich pełnomocnicy

tu w Antium nękają mnie bez przerwy od czasu, kiedy nadeszła wiadomość od Keris. Trzystu cywilów już zginęło, flota barbarzyjskich psów zbliża się do portu. Kimkolwiek jest ten Grimarr, bez wątplenia spróbuje zdobyć miasto.

– Ale Kris na pewno...

– Ona coś knuje, tępa suko! – Ryk Marcusa niesie się echem po sali i w jednej chwili imperator jest przy mnie.

Harper zamiera w bezruchu, a Liwia unosi się na tronie. Ledwie zauważalnie kręcąc głową. *Poradzę sobie z nim, siostrzyczko.*

– Wbij sobie to do swojego pustego łba. – Marcus puka palcem w moje czoło. – Gdybyś zajęła się nią tak, jak ci kazałem, nie doszłoby do tego.

*Zamknij się.*

Obraca się, ale Liwia nie powiedziała ani słowa. Wzrok Marcusa jest utkwiony gdzieś w połowie odległości dzielącej go od mojej siostry. Przypominam sobie o podejrzeniach Liwii, że imperator widzi ducha swojego brata bliźniaka, Zaka, zamordowanego kilka miesięcy temu podczas Prób.

Marcus tak zbliża swoją twarz do mojej, że marszczy się powierzchnia maski. Wygląda, jakby za chwilę oczy miały mu wyjść z orbit.

– Nie wspominałeś o zamordowaniu jej, panie. – Odsuwam się od niego powoli. – Kazałeś ją zniszczyć, a zniszczenie wymaga czasu.

– Żądałem – pohamowuje swój gniew i ten nagły spokój jest bardziej przerażający od wybuchów złości – kompetencji. Miałaś na to trzy miesiące. Dzisiaj z jej oczodołów powinny już wyłazić robaki. Tymczasem jest potężniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, a Imperium słabnie. Powiedz mi zatem, Kruku Krwi, co zamierzasz zrobić w jej sprawie.

– Mam informację. – Staram się, by mój głos i mowa ciała były przekonujące. Jestem pewna. Zniszczę ją. – Ta informacja wystarczy, by ją unieszkodliwić.

– Co to za informacja?

Nie mogę mu zdradzić, co Elias powiedział o Quinie. To nie jest dostatecznie użyteczne, a nawet gdyby było, Marcus wypytywałby mnie dalej. Gdyby dowiedział się, że w moich rękach byli Laia i Elias i wymknęli mi się, rozprawiłby się z moją siostrą na dobre.

– Ściany mają uszy, panie – szepczę. – Nie zawsze przyjazne.

Marcus wpatruje się we mnie, potem obraca się, jednym szarpnięciem stawia moją siostrę na nogi, popycha i wykręca jej rękę do tyłu.

Spokój, z jakim Liwia to przyjmuje, to spokój kobiety, która musiała szybko przywyknąć do przemocy i zrobi wszystko, żeby przeżyć. Zaciskam dłoń na rękojeści szabli, ale w tej samej chwili napotykam spojrzenie Liwii. Jej lęk, nie o siebie, lecz o mnie, każe mi się opanować. *Pamiętaj, im wyraźniej będziesz okazywać gniew, tym srożej ona będzie cierpieć z jego ręki.*

Zmuszam się do logicznego postępowania i jednocześnie nienawidzę siebie za to. Nienawidzę siebie za to, że nie ucinam rąk, które krzywdzą moją siostrę, nie obcinam języka, który kala ją obraźliwymi słowami. Nienawidzę siebie za to, że nie podaję jej broni, żeby zrobiła to wszystko sama.

– Twoja siostra pięknie gra na lutni. – Marcus, mówiąc to, przekrzywia głowę. – Bawiła wielu moich gości, a nawet ich zachwycała swoją muzykalnością. Jestem jednak pewien, że potrafi znaleźć też inne sposoby zabawiania gości. – Nachyla się do ucha Liwii, a jej wzrok gdzieś odpływa, usta ma zaciśnięte. – Potrafisz śpiewać, skarbie? Na pewno masz piękny głos. – Powoli, z rozmysłem odgina jej palec. Coraz mocniej i mocniej... To jest nie do zniesienia. Robię krok naprzód i czuję silny chwyt na swoim ramieniu.

– Tylko pogorszysz sprawę – szepcze mi do ucha Avitas.

Słychać trzask i palec się łamie. Liwia otwiera szeroko usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

– To – mówi Marcus – z powodu twojego niepowodzenia. – Chwyta kolejny palec Liwii i odgina go powoli. Wiem, że czerpie satysfakcję z każdej sekundy. Na czole siostry pojawiają się kropelki potu, jej twarz jest biała jak płótno.

Kiedy kości pękają, Liwia kwili cicho i zagryza wargi.

– Moja dzielna ptaszyna. – Marcus uśmiecha się do niej, a ja mam ochotę poderżnąć mu gardło. – Wiesz przecież, że wolę, kiedy krzyczysz. – Odwraca się do mnie i jego uśmiech gaśnie. – A to jest przypomnienie, co się stanie, jeśli mnie znowu zawiedziesz.

Marcus ciska moją siostrę na tron. Liwia uderza głową o twardy kamień. Wzdryga się, tuli do siebie dłoń z połamanymi palcami, obrzuca Marcusa nienawistnym spojrzeniem, ale zaraz tłumy gniew i znów ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Udasz się do Navium, Kruku – odzywa się Marcus. – Wywieszysz, co knuje Suka z Czarnego Klifu. Zniszczysz ją, kawałek po kawałku. I masz zrobić to szybko. Chcę dostać jej głowę zatkniętą na włócznie przed Świętem Księżyca. Masz pięć miesięcy. To dość czasu nawet dla kogoś takiego jak ty, czyż nie? Co trzy dni będziesz mnie informowała o postępach za pomocą bębnow. A jeśli – zerka na Liwię – nie będę zadowolony z twoich poczynań, będę łamał twojej siostrzyczce kolejne kości, aż pozostaną z niej strzępy.

## VIII: Laia

---

Biegnę już kilka godzin, skrywam się przed doprowadzającą do szału liczbą wojańskich patroli, cały czas utrzymuję swoją niewidzialność, aż wreszcie czuję pulsowanie w skroniach i drżenie nóg z zimna i wyczerpania. Moje zatroskane myśli krążą bez ustanku wokół Eliasa, Darina, Afyi. Nawet jeśli są bezpieczni, co poczniemy teraz, kiedy Imperium dowiedziało się o naszych atakach? Wojanie zaleją całe terytorium żołnierzami. Nie możemy dalej działać. Ryzyko jest zbyt duże.

*Nieważne. Dotrzyj do obozowiska. I proś bogów, żeby Darin też tam dotarł.*

O północy, dzień po naszym rajdzie, dostrzegam wreszcie wysoki, nagi dąb skrywający nasz namiot. Jego gałęzie pojękują głośno na wietrze. Rżą konie, pod drzewem poruszają się znajome postacie. *Darin!* Z gardła dobywa mi się szloch ulgi. Zupełnie opuściły mnie siły, nie potrafię nawet krzyknąć. Po prostu stoję się widzialna.

W tej samej chwili mój umysł zasnuwa mrok. Widzę jakiś ciemny pokój i zgarbioną postać. Chwilę później wizja znika, a ja ruszam pędem do obozowiska. Spozstrzega mnie Darin, wybiega mi naprzeciw i chwyta w objęcia. Z okrągłego namiotu ze skór, który służy Darinowi i mnie ze schronienie, wypada Afya. Na jej twarzy złość miesza się z ulgą.

– Jesteś skończoną kretynką, dziewczyno!

– Laio, co się stało?

– Znaleźliście Mamie? Czy więźniowie są bezpieczni? Czy Elias...

Afya powstrzymuje ją wyciągniętą w górę ręką.

– Mamie zajmuje się znachor z plemienia Nur – mówi Zaldera. – Moi ludzie zabiorą więźniów na tereny Plemieńców. Zamierzałam do nich dołączyć, ale...

Spogląda na Darina, a ja w jednej chwili wszystko pojmuję. Nie chciała go zostawiać samego. Nie wiedziała, czy wróć. Opowiadam im w skrócie o pułapce zastawionej przez Kruka Krwi i zniknięciu Eliasa.

– Widzieliście Eliasa? – *Proszę, niech mu nic nie będzie.* – Czy wyszedł z Lasu?

Afya drży, oglądając się przez ramię na ścianę drzew będącą zachodnią granicą Poczekałni. Darin tylko kręci głową.

Zerkam spode łba na Las. Tak chciałabym mieć w sobie moc wypalenia ścieżki prowadzącej prosto do chaty dzinnów. *Dlaczego go zabrałaś, Shaevo? Dlaczego tak go dręczysz?*

– Wejdz do środka – Darin zaciąga mnie do namiotu i okrywa moje ramiona wełnianym kocem ze swojego posłania – bo zamarzniesz na śmierć.

Afya zdejmuje skórę zasłaniającą otwór u szczytu namiotu i rozgrzebuje żar niewielkiego ogniska. Po dłuższej chwili zajadam się daniem z ziemniaków i cukinii, które ugotował Darin. Potrawa jest rozgotowana i ma tyle papryki, że trudno ją

przełknąć. Darin zawsze był beznadziejnym kucharzem.

– Czas naszych rajdów się skończył – odzywa się Afya. – Ale jeśli chcecie dalej walczyć z Imperium, chodźcie ze mną. Dołączcie do plemienia Nur. – Urywa i zastanawia się chwilę. – Na stałe. – Kończy.

Darin i ja wymieniamy spojrzenia. Plemieńcy przyjmują nowych członków tylko przez małżeństwo albo adopcję dzieci. Dostać propozycję dołączenia do plemienia to nie byle co. Zwłaszcza jeśli proponuje to Zaldera.

Wzruszona wspaniałomyślnością Afyi chcę ująć jej dłoń, ale ona odtrąca moją rękę.

– I tak jesteście praktycznie jak rodzina – mówi Afya. – Poza tym znasz mnie, dziewczyno. Chcę czegoś w zamian. – Zwraca się teraz do mojego brata. – Wielu zginęło, żeby cię ocalić, Darinie z Serry. Czas, żebyś zaczął kuć serrańską stal. Zdobędę dla ciebie materiały. Bogowie wiedzą, że Plemieńcy potrzebują wszelkiej możliwej pomocy.

Mój brat zgina dłoń, zawsze tak robi, kiedy pojawią się bóle fantomowe po utraconych palcach. Twarz mu blednie, zaciska usta. Budzą się tkwiące w nim demony.

Tak bardzo chcę, żeby Darin przemówił, żeby przyjął propozycję Afyi. To być może jedyna szansa, by kontynuować walkę z Imperium. Ale kiedy zwracam się w jego stronę, on wychodzi z namiotu, mamrocząc, że potrzebuje świeżego powietrza.

– Jakież wieści od naszych szpiegów? – pytam Afyę, pragnąc odwrócić jej uwagę od mojego brata. – Wojanie nie wycofują swoich sił?

– Przysłali na pustynię kolejny legion z Przełęczu Atelli – odpowiada Afya. – Aresztowali setki ludzi z plemienia Nur pod fałszywymi zarzutami łapownictwa, przemytu i bogowie wiedzą jakimi jeszcze. Krążą plotki, że zamierzają przewieźć więźniów do miast Imperium i sprzedać ich jako niewolników.

– Plemiona chroni traktat zawarty z imperatorem Taiusem, który ma obowiązywać przez pięć wieków – wtrącam.

– Imperator Marcus ma w nosie traktat – odpowiada Afya. – Ale nie to jest najgorsze. W Sadh jakiś legionista zabił Kehanni z plemienia Alli.

Otwieram usta ze zdumienia. Kehanni są skarbnicami plemiennej historii i w hierarchii zajmują drugie miejsce tuż za Zalderami. Zabicie jednego z nich jest aktem wypowiedzenia wojny.

– W odwecie plemię Alli zaatakowało najbliższy garnizon wojański – ciągnie Afya. – A Imperium tylko na to czekało. Dowodząca garnizonem Maska odpowiedziała zmasowanym atakiem i teraz członkowie plemienia Alli są martwi albo siedzą w więzieniach. Swoją zemstę zapowiedziały już plemiona Siyyad i Fozi. Ich Zaldarowie wydali rozkazy ataku na wioski Imperium, w wyniku czego zginęły setki Wojan, nie tylko żołnierzy.

Afya rzuca mi znaczące spojrzenie. Jeśli plemiona zwrócą się przeciwko



niewinnym Wojanom – dzieciom, cywilom, starcom – Imperium odpowie stanowczo.

– Prowokują nas. – Afya spogląda w niebo, żeby określić godzinę. – Osłabiają. Potrzebujemy serrańskiej stali, Laio. Przemysł moją propozycję. – Zakłada pelerynę i wychodzi z namiotu, ale zatrzymuje się jeszcze w progu. – Ale pospiesz się. Coś dziwnego wisi w powietrzu. Czuję to wyraźnie. Boję się nie tylko Wojan.

Słowa Afyi prześladowają mnie całą noc. Krótco przed świtem przestają liczyć na sen i wychodzę przed namiot, gdzie pełni wartę mój brat.

Duchy w Poczekalni są niespokojne, bez wątpienia rozzłoszczone naszą obecnością. Ich udręczone głosy mieszają się z porywistym północnym wiatrem, tworząc mroźny, przerażający chór. Przysiadam obok Darina i otulam się szczelnie kocem.

Siedzimy w milczeniu wpatrzeni w czubki drzew Poczekalni zmieniające barwę z czarnej w granatową wraz z nadchodzącym brzaskiem.

– Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego nie robię bronii – odzywa się po pewnym czasie Darin.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

Mój brat splata i rozplata dłonie. Taki nawyk ma od dzieciństwa. Brakuje mu środkowego i serdecznego palca lewej, dominującej ręki.

– Materiały łatwo zdobyć – mówi. Jęki duchów nasilają się i musi podnieść głos. –

To samo wykuwanie jest skomplikowane. Proporcje metali w stopie, temperatura płomienia, sposób hartowania i polerowania. Większość z tego pamiętam, ale... – Mruży oczy, jakby chciał dojrzeć coś w oddali. – Tyle rzeczy zapomniałem. W celi śmierci w Kauf zniknęły z mojej pamięci całe tygodnie życia. Nie pamiętam już twarzy ojca ani babci. – Lamenty duchów utrudniają mi zrozumienie słów brata. – Co, jeśli twoja przyjaciółka Izzi zginęła na darmo? Co, jeśli na darmo zginęli członkowie rodziny Afyi? Co, jeśli Elias na darmo przysiągł odgrywać całą wieczność rolę Łowcy Duszy? Co, jeśli wykuję broń, która będzie się łamać?

Mogłabym powiedzieć mu, że nic takiego się nie zdarzy, ale Darin zawsze wie, kiedy kłamię. Chwytam jego lewą dłoń. Jest silna. Bezlitosna.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, Darinie. Ale nie zrobimy tego, zanim...

Przerywa mi wyjątkowo przeraźliwy krzyk z Lasu. Czubki drzew drżą, ziemia pojękuje. Pośród najbliższych drzew gromadzą się strzępki bieli, ich zawrodenie staje się coraz głośniejsze.

– Co w nie wstąpiło? – Darin krzywi się na ten dźwięk. Zwykle nie zwracamy uwagi na duchy. Ale teraz mam ochotę zatkać sobie uszy dłońmi.

I wtedy zdaję sobie sprawę, że krzyki duchów nie są pozbawione znaczenia. Pod warstwą głębokiego bólu kryją się słowa. A właściwie jedno słowo.

*Laia. Laia. Laia.*

Mój brat też to słyszy. Siega po sztylet, ale głos ma spokojny, jak dawniej, przed

uwięzieniem w Kauf.

– Pamiętaj, co mówił Elias. Nie można im wierzyć. Wyją po to, żeby nas wystraszyć.

– Posłuchaj ich, Darinie – szepczę. – Posłuchaj.

*To twoja wina, Laio.* Duchy napierają na niewidzialną granicę Poczekalni, ich blade formy mieszają się ze sobą, tworząc gęstą, duszącą mgłę. *On jest już blisko.*

– Kto? – Ruszam w kierunku drzew, nie zważając na protesty brata. Nigdy nie wchodziłam do Lasu bez Eliasa u boku. Nie wiem, czy mi wolno. – Mówicie o Eliasie? Czy nic mu nie jest?

*Nadchodzi śmierć. Przez ciebie.*

Rękojeść sztyletu w mojej dłoni staje się w jednej chwili śliska.

– Wy tłumaczcie! – krzyczę.

Nogi prowadzą mnie tak blisko linii drzew, że widzę ścieżkę, którą Elias przychodzi tu na spotkania z nami. Nigdy nie byłam w chacie Eliasa i Shaevy, ale mówił mi, że znajduje się ona na końcu tej ścieżki, nie dalej niż dwie mile stąd. Założyliśmy nasze obozowisko w tym miejscu ze względu na tę ścieżkę, bo nią Elias może najszybciej do nas dotrzeć.

– Coś tu jest nie w porządku – mówię do Darina. – Coś się stało...

– Duchy, jak to duchy, Laio – uspokaja mnie Darin. – Chcą cię zwabić i doprowadzić do szaleństwa.

– Ale przecież nigdy nie doprowadzały do szaleństwa ani mnie, ani ciebie.

Na te słowa mój brat milknie. Żadne z nas nie wie, dlaczego Poczekalnia nie działa na nas nigdy tak źle jak na innych, na przykład Plemieńców czy Wojan, którzy omijali ją szerokim łukiem.

– Widziałeś kiedykolwiek tyle dusz tak blisko granicy, Darinie? – Duchy zdają się mnożyć w zastraszającym tempie. – Tu nie może chodzić tylko o to, żeby mi dokuczyć. Coś się stało z Eliaszem. Coś złego. – Czuję jakieś szarpnięcie, którego nie potrafię wytłumaczyć, przymus, by iść w stronę Lasu Zmierzchu.

Biegnę w pośpiechu do namiotu i zbieram swoje rzeczy.

– Nie musisz ze mną iść.

Ale Darin już chwytą swoje zawiniątko.

– Gdzie ty, tam i ja – odpowiada. – Las jest duży. Elias może być wszędzie.

– Jest niedaleko. – Podpowiedź instynktu jest wyjątkowo wyraźna. – Jestem tego pewna. – Kiedy docieramy do linii drzew, spodziewam się jakiegoś oporu. Ale napotykam jedynie taką gęstwinę dusz, że trudno przez nią cokolwiek dojrzeć.

*On tu jest. Przyszedł. Przez ciebie. Przez to, co zrobiłaś.*

Zmuszam się ze wszystkich sił do ignorowania duchów i ruszam wąską ścieżką. Po pewnym czasie skupisko duchów rzednie. Odwracam się i widzę, że ich szeregi drżą

ze strachu.

Wymieniamy się z Darinem spojrzeniami. *Czego, na bogów, mogą bać się duchy?*

Z każdym krokiem coraz trudniej oddychać. W Poczekalni jestem nie po raz pierwszy. Kiedy kilka miesięcy temu zaczęliśmy z Darinem napadać na konwoje z więźniami, Elias zabrał nas z kraju Morzan i przetransportował do Poczekalni, płynąc z wiatrem. Las nigdy nie był specjalnie przyjazny, ale nigdy nie był też tak przytłaczający.

Ogarnia mnie strach i przyspieszam kroku. Drzewa tu są mniejsze i przez prześwity między pniami dostrzegam polanę i szary skośny dach chaty.

Darin chwyta mnie za ramię, przykładą palec do ust i ciągnie na ziemię. Teraz posuwamy się powoli, z wielką ostrożnością. Naszych uszu dochodzi błagalny głos kobiety. Drugi głos, znajomy baryton, klnie. Ogarnia mnie uczucie ulgi. *Elias.*

Ulga jest tylko chwilowa. Głos kobiety cichnie. Drzewa trzęsą się gwałtownie, w moim polu widzenia pojawia się plama czarnych włosów i brązowej skóry. Shaeva. Zaciska palce na moim ramieniu i stawia mnie na nogi.

– Odpowiedzi na twoje pytania są w Adisie. – Krzywię się i próbuję się wyswobodzić, ale Shaeva trzyma mnie z siłą dżinna. – U Pszczelarza. Ale bądź ostrożna, bo, jak ciebie, otaczają go kłamstwa i okrywa cień. Odszukaj go, dziecko, na własne ryzyko. Ocalisz nas wszystkich, ale dużo cię to będzie kosztować...

Jej ciało odgina się w tył, jakby ciągnięte przez jakąś niewidzialną rękę. Serce tłucze mi się w piersi. *O bogowie, nie...*

– Laia z Serry. – Poznałabym ten węzowy syk wszędzie. Jest jak budzące się morze, jak trzęsienie ziemi. – Zawsze pojawiaasz się tam, gdzie nie jesteś mile widziana.

Darin ostrzega mnie krzykiem, ale gniew zwycięża z ostrożnością i wchodzę na polanę. Elias stoi przy drzewie jak spętany jakimiś niewidzialnymi więzami, napina mięśnie, próbując się uwolnić. Szarpie się niczym zwierzę w sidłach, zaciska pięści.

Shaeva klęczy, jej czarne włosy spływają na ziemię, ma woskową skórę. Twarz ma naznaczoną zmarszczkami, zniszczoną.

Nad nią stoi spowity w mroku Zwiastun Nocy. W dłoni trzyma sierp połyskujący niczym unurzane w truciźnie brylanty. Trzyma sierp lekko w palcach, ale jego ciało jest spięte – zamierza go użyć.

Z mojego gardła wydobywa się jakieś dziwne warknięcie. Muszę coś zrobić. Muszę go powstrzymać. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie mogę się poruszyć. Magia, która złapała w sidła Eliasa, zawładnęła także Darinem i mną.

– Zwiastunie Nocy – szepcze Shaeva. – Wybacz mi mój błąd. Byłam młoda... – Krztusi się. Zwiastun Nocy gładzi palcami jej czoło jak ojciec udzielający błogosławieństwa.

A potem zatapia ostrze sierpa w jej sercu.

Ciało Shaevy drży, ramiona młócą powietrze, usta się otwierają. Spodziewam się

krzyku, jęku. Tymczasem płyną słowa.

*Jeszcze jeden fragment i Żniwiarz stanie u bram.*

*Wróble utoną i nikt się nie dowie.*

*Przeszłość spłonie, nikt tego nie powstrzyma.*

*Zmarły powstanie i nikt nie przeżyje.*

*Dziecię skąpie się we krwi, ale będzie żyło.*

*Perła pęknie, wędrze się zimno.*

*Rzeźnik upadnie, nikt jej nie podtrzyma.*

*Duch upadnie, jej ciało szczyźnie.*

*Do Święta Księżycy Król pozna odpowiedź.*

*Do Święta Księżycy zapomniany odnajdzie swojego mistrza.*

Podbródek Shaevy opada. Rzęsy trzepoczą jak skrzydła motyla, z ostrza zatopionego w piersi kapie krew równie czerwona jak moja. Twarz wiotczeje.

Potem jej ciało staje w ogniu, płomienie zamieniają je w ułamku sekundy w popiół.

– Nie! – krzyczy Elias, a po policzkach spływają mu dwie strużki łez.

*Nie rozwścieczaj Zwiastuna Nocy, Eliasie, chcę krzyknąć. Nie daj się zabić.*

W powietrzu wokół Zwiastuna Nocy wiruje obłoczek rozżarzonych węgielków – tylko tyle pozostało z Shaevy. Zwiastun Nocy spogląda na Eliasa, przekrzywia głowę i rusza w jego kierunku z sierpem w dłoni.

Pamiętam, jak Elias opowiadał mi kiedyś, czego dowiedział się od Łowczyni Dusz: że Gwiazda chroni tych, którzy jej dotkną. Zwiastun Nocy nie może zabić Eliasa. Może go jednak zranić.

Rzucam się naprzód... i odskakuję. Zwiastun Nocy ignoruje mnie, pewny swej mocy. *Nie skrzywdzisz Eliasa. Nie pozwolę.* Rośnie gdzieś we mnie, w środku, jakaś zwierzęca, mroczna siła i przejmuje władzę nad ciałem. Czułam ją już kiedyś, wiele miesięcy temu, kiedy walczyłam ze Zwiastunem Nocy pod więzieniem Kauf. Z moich ust wydobywa się zwierzęcy krzyk. Tym razem udaje mi się przebić barierę. Darin jest pół kroku za mną, ale Zwiastun Nocy macha dłonią i mój brat zamiera w bezruchu. Na mnie magia dzinna nie działa. Staję pomiędzy Zwiastunem Nocy a Eliaszem, trzymając sztylet w dłoni.

– Nie waż się go tknąć! – wołam.

Słoneczne oczy Zwiastuna Nocy wpatrują się najpierw we mnie, potem w Eliasa, próbując odczytać, co nas łączy. *Potwór!* Jak blisko jest uwolnienia dzinnów? Shaeva w swojej przepowiedni sprzed chwili odpowiedziała na to pytanie. Pozostał do odnalezienia już tylko jeden fragment Gwiazdy. Czy Zwiastun Nocy wie, gdzie go szukać? Co zyskał na śmierci Shaevy?

Kiedy tak mi się przygląda, przypominam sobie, jaką walkę toczyła w nim miłość i nienawiść. Walkę, która zakończyła się totalnym spustoszeniem.

Zwiastun Nocy niespokojnie napina ramiona. Czyżby czytał w moich myślach? Przenosi wzrok ponad moim ramieniem na Eliasa.

– Eliasie Veturiusie. – Dżinn pochyla się w moją stronę, a ja wzdrygam się i opieram o pierś Eliasa. Jestem pomiędzy nimi dwoma. Czuję szybkie uderzenia serca Eliasa, jego rozpacz po śmierci Shaevy, a także nieprawdopodobny gniew Zwiastuna Nocy podsycany tysiącem lat cierpienia.

– Była słodka, chłopcze. – Dżinn zdaje się mnie nie zauważać. – Jak rosa o poranku.

Elias bierze głęboki oddech, próbując się uspokoić. Napotyka ogniste spojrzenie Zwiastuna Nocy i blednie. Potem wydaje z siebie pomruk, który brzmi, jakby dochodził z trzewi ziemi. Cienie wiją się pod jego skórą jak atramentowa winna latorośl. Wszystkie mięśnie ramion, tułowia, dłoni napinają się i wreszcie uwalnia się z niewidzialnych więzów. Unosi ramiona, a fala uderzeniowa emanująca z jego skóry przewraca mnie na plecy.

Zwiastun Nocy chwieje się, ale po chwili odzyskuje równowagę.

– Aha – mruczy. – Szczenię próbuje gryźć. Tym lepiej.

Nie mogę dostrzec jego twarzy skrytej pod kapturem. Ale z tonu jego głosu wynika, że się uśmiecha. Prostuje się i na polanie zrywa się wiatr.

– Walka ze słabym przeciwnikiem to żadna zabawa.

Spogląda na wschód, na coś znajdującego się daleko poza zasięgiem wzroku. W powietrzu słychać szepty, jakby z kimś się porozumiewał. Nagle porywa go wiatr i podobnie jak w lesie w pobliżu Kauf, znika. Tylko że tym razem jego zniknięciu nie towarzyszy cisza. Polanę zapełniają duchy, otaczają mnie.

*To przez ciebie, Laio!*

*Shaeva jest martwa.*

*Elias jest potępiony.*

*Dżinn jest bliski zwycięstwa.*

*To przeze mnie.*

Jest ich tu tak dużo. Słowa prawdy oplatają mnie niczym łańcuch. Próbuję się temu przeciwstawić, ale nie mogę, ponieważ duchy nie kłamią.

*Brakuje jednego fragmentu.* Zwiastun Nocy musi znaleźć ten jeden fragment i będzie mógł uwolnić swój ród. Jest już blisko. Tak blisko, że trudno temu zaprzeczać. Tak blisko, że muszę działać.

Duchy wirują wokół mnie. Są wściekłe, boją się, że rozerwą mnie na strzępy. Na szczęście Elias przedziera się przez ich ciżbę i stawia mnie na nogi.

Obok mnie jest Darin, podnosi z ziemi moją torbę, spogląda złowrogo na duchy, które wycofują się do lasu.

Darin kiwa głową, zanim zdąży powiedzieć słowo. Słyszał, co mówiła Shaeva. Wie, co musimy zrobić.

– Idziemy do Adisy – odzywam się mimo wszystko. – Musimy go powstrzymać. Pora z tym skończyć.

## IX: Elias

Całe brzemień Poczekalni spada na moje barki i ciąży mi jak głaz. Las jest częścią mnie, wyczuwam jego granice, czuję obecność duchów i drzew. Jakby ktoś wyrył mi w umyśle żywą mapę tego miejsca.

Podstawą tego brzemienia jest nieobecność Shaevy. Patrzę na upuszczony kosz z ziołami, nigdy już nie doda ich do potraw, nie zje w swoim domu.

– Eliasie... duchy... – Laia podchodzi bliżej. Zwykle pełne żałości dusze zmieniły się w brutalne i gwałtowne cienie. Potrzebna mi magia Mauth, żeby je uciszyć. Muszę je poskromić, tak jak wspominała o tym Shaeva.

Ale kiedy sięgam swoją wolą po *Mauth*, czuję tylko ślad magii, która szybko znika.

– Eliasie? – Mimo wrzasku duchów Laia bierze mnie za rękę, ma zatroskaną twarz. – Przykro mi z powodu Shaevy. Czy ona naprawdę...

Potakuję. Tak, umarła.

– To stało się tak szybko.

Czuję jakiś rodzaj ulgi, że ktoś jeszcze jest tak samo zaskoczony jak ja.

– Czy ty... – Laia kręci głową. – Oczywiście, że nie masz się dobrze. O bogowie, jakżebyś miał się dobrze czuć?

Naszą uwagę przykuwa jęk Darina. Duchy otaczają go, napastują, szepczą bogowie wiedzą co. *Na moce piekielne*. Muszę stąd zabrać Laię i Darina.

– Jeśli chcecie dotrzeć do Adisa – mówię – najszybciej będzie przez Las. Obejście go zajmie wam miesiące.

– Racja. – Laia urywa i marszczy czoło. – Ale, Eliasie...

Jeśli będziemy dalej rozmawiali o Shaevie, chyba coś we mnie pęknie. Była tu, a teraz jej nie ma i nic nie zdoła tego zmienić. Nieodwołalność śmierci zawsze będzie odbierana jak zdrada. Ale złościć się na to, kiedy przyjaciele są w niebezpieczeństwie, byłoby głupotą. Muszę coś zrobić. Muszę udowodnić, że Shaeva nie umarła na darmo.

Laia wciąż gada, a ja chwytam Darina za rękę i unoszę się z wiatrem. Milknę dopiero wtedy, gdy Las znika nam z horyzontu. Ścisną moją dłoń i wiem, że rozumiem, dlaczego wolę milczenie.

Nie potrafię płynąć z wiatrem tak szybko jak Shaeva, ale już po kwadransie docieramy do jednego z mostów na Rzece Zmierzchu i po sekundzie go mijamy. Skręcam na północny wschód, a Laia zerka na mnie spod kosmyka włosów, który przesłania jej oko. Chcę z nią porozmawiać. *Do diabła ze Zwiastunem Nocy*, chcę powiedzieć. *Nie obchodzi mnie, co powiedział. Ważne jest dla mnie tylko to, że tobie nic się nie stało.*

– Wkrótce będziemy na miejscu – zaczynam, ale odzywają się inne głosy, nienawistny chór, który rozpoznaję natychmiast.

*Nie uda ci się, uzurpatorze.*

To dzinny. Ale przecież ich gaj jest mile stąd. Jak to robią, że słyszę je z tak daleka?

*Podłe psy. Wasz świat upadnie. Nasz król już pokrzyżował wam plany. A to dopiero początek.*

– Won! – wrzeszczę. Przypominam sobie szepty, które słyszałem, nim zniknął Zwiastun Nocy. Na pewno wydawał tym płomienistym potworom polecenia. Dzinny wybuchają śmiechem.

*Nasz ród jest potężny, śmiertelniku. Nie zdołasz zastąpić dzinna. Nie zdołasz dobrze pełnić funkcji Łowcy Dusz.*

Staram się ich nie słuchać i mam nadzieję, że w końcu się zamkną. Czy wcześniej tak samo prześladowały Shaevę? Czy wciąż ryczały jej w głowie, a ona mi o tym nie mówiła?

Serce mi się ściska, kiedy myślę o Łowczyni Dusz i wszystkich pozostałych. O Tristasie, Demetriusie, Leandrze. O Kruku Krwi. O moim dziadku. Czy każdy, kto się do mnie zbliży, jest skazany na cierpienie?

Darin drży, zaciska zęby w reakcji na atak duchów. Laia ma poszarzałą twarz, ale nie skarży się ani słowem.

*W końcu znikną. Wytrzymasz. Tu nie ma miejsca na miłość.*

Dłoń Lai jest zimna i taka drobna. Czuję pod palcami puls, subtelne przypomnienie jej śmiertelności. Nawet jeśli dożyje starości, jej wiek będzie niczym w porównaniu z życiem Łowcy Dusz. Ona w końcu umrze, a ja będę trwał, coraz mniej ludzki.

– Tam. – Laia wskazuje przed siebie. Las rzędzie i pomiędzy drzewami dostrzegam chatę, w której Darin kilka miesięcy temu dochodził do siebie po pobycie w więzieniu Kauf.

Docieramy do linii drzew i puszczam dłonie rodzeństwa.

– Nie wiem, jak ci dziękować... – Darin obejmuje mnie mocno.

– Nie dajcie się zabić – odpowiadam. – To będzie wystarczające podziękowanie. Mam dość problemów na głowie, nie chcę tu widzieć waszych dusz.

Darin uśmiecha się niepewnie, zerka na siostrę i ostrożnie kieruje się w stronę chaty.

Laia zaciska dłonie, nie patrząc na mnie. Jej warkocz jak zwykle rozplątał się i włosy spływają jej teraz swobodnie na ramiona. Nie mogę się powstrzymać i wyciągam dłoń, żeby dotknąć jednego kosmyka.

– Ja... mam coś dla ciebie. – Przeszukuję kieszenie i wyjmuję kawałek drewna. Jest niewykończony, z grubsza tylko wyrzeźbiony. – Czasem sięgasz dłonią, szukając swojej dawnej bransoletki. – Nagle czuję się głupio. Dlaczego miałbym dawać jej to paskudztwo? Wygląda, jakby zrobił to sześciolatek. – Jest niewykończona, ale pomyślałem, że...



– Jest śliczna. – Jej palce gładzą moje, kiedy wyjmuję mi z dłoni rzeźbę. Ten dotyk. O bogowie! Wstrzymuję oddech i tłumię pragnienie, które rozsadza mi żyły. A ona zakłada bransoletkę. Cieszy mnie znajomy widok dłoni spoczywającej na ramieniu. – Dziękuję.

– Uważajcie na siebie w Adisie. – Wracam do spraw przyziemnych. Łatwiej mi mówić o nich niż o tym, że czuję, jakby ktoś wyrwał mi serce z piersi i wrzucił do ognia. – Morzanie znają twoją twarz, a jeśli dowiedzą się, co potrafi Darin...

Dostrzegam uśmiech na jej twarzy i zdaję sobie sprawę, że jak skończony głupiec mówię jej rzeczy, które ona dobrze wie.

– Myślałam, że będziemy mieli więcej czasu – odzywa się Laia. – Że znajdziemy jakiś sposób, by cię uwolnić. Że Shaeva zwolni cię od przysięgi albo...

Podobnie jak ja sprawia wrażenie załamanej. Muszę pozwolić jej odejść. *Walcz ze Zwiastunem Nocy, powinienem powiedzieć. Zwyciężaj. Bądź szczęśliwa. Pamiętaj o mnie.* Bo dlaczego miałyby tu wracać? Jej przyszłość jest w świecie żywych.

*Powiedz to, Eliasie, woła głos rozsądku. Ułatw to sobie i jej. Nie bądź żałosny.*

– Laio, powinnaś...

– Nie chcę, żebyś odchodził. Jeszcze nie. – Gładzi mój policzek, palce zatrzymują się na moich wargach. Pragnie mnie, widzę to, czuję, a moje pragnienie staje się jeszcze bardziej dotkliwe. – Nie tak szybko.

– Ja też nie chcę odejść. – Biorę ją w ramiona, rozkoszuję się ciepłem jej ciała, łukiem jej bioder w moich dłoniach. Przytula twarz do mojego policzka, a ja wdycham jej zapach.

Mauth szarpie mną nagle i gwałtownie. Wbrew swej woli chwieję się, ciągnięty w stronę Lasu.

*Nie! Nie! Niech będą przeklęte duchy. Niech będzie przeklęty Mauth. Niech będzie przeklęta Poczekalnia.*

Chwytam ją za rękę i przyciągam do siebie, a ona jakby tylko na to czekała, zamyka oczy i unosi się na palcach. Zatapia palce w moich włosach. Wargi ma miękkie i pełne, a kiedy czuję wszystkie krągłości jej ciała, miękną mi nogi w kolanach. Słyszę tylko Laię, widzę Laię, czuję Laię.

Oczami wyobraźni widzę, jak kładę ją w Lesie na ziemi i godzinami odkrywam każdy fragment jej ciała. Przez chwilę widzę, jak powinno wyglądać nasze życie: Laia z książkami i swoimi pacjentami, ja w szkole, która uczy nie tylko zabijania i dyscypliny. Maleństwo ze złotymi oczami i połyskującą brązową skórą. Pierwsze siwe włosy Lai, coraz dojrzalsze, mądrzejsze spojrzenie jej oczu.

– Jesteś okrutny, Eliasie – szepczą jej wargi przy moich wargach. – Jak można dawać dziewczynie wszystko, czego pragnie, a potem jej to odbierać.

– To nie jest nasz koniec, Laio z Serry. – Nie mogę zrezygnować z tego, co moglibyśmy mieć. Nie dbam o złożoną przysięgę. – Słyszysz mnie? To nie koniec.

– Nigdy nie kłamałeś. – Laia ociera dłonią wilgotne oczy. – Nie rób tego teraz.

Odchodzi wyprostowana, a kiedy dociera do chaty, z ziemi podnosi się czekający tam na nią Darin. Laia mija go szybko, a on podąża za nią.

Wpatruję się w nią, póki nie stanie się tylko cieniem na odległym horyzoncie. Obejrzyj się, błagam bezgłośnie. Choć raz się obejrzyj.

Nie robi tego. Może to i dobrze.

## X: Kruk Krwi

Resztę dnia spędziłam w koszarach Czarnej Gwardii na czytaniu szpiegowskich meldunków. Większość była nudna: przeniesienie więźnia, które mogło zagwarantować lojalność jednego z merkatorskich rodów; dochodzenie w sprawie śmierci głowy jednej z ilustriąńskich rodzin.

Moją uwagę zwracają raporty z Tiborum. Wraz z nadejściem wiosny spodziewane są bandyckie rajdy klanów z Karkaus osiadłych w górach.

Tymczasem moi szpiedzy donoszą, że Karkaunowie są spokojni. Być może ich wódz, cały ten Grimarr, zaangażował zbyt wiele sił do ataku na Navium. Jeśli tak, to Tiborum może mówić o szczęściu.

A może ci dranie o niebieskich twarzach coś knują.

Żądam raportów ze wszystkich północnych garnizonów. Nim dzwony wybiją północ, czuję się zmęczona, a przejrzałam dopiero połowę. Mimo to przerywam pracę, rezygnuję z posiłku, choć burczy mi w brzuchu, wkładam buty i narzucam na siebie płaszcz. Sen nie przyjdzie. Nie teraz, kiedy w uszach wciąż pobrzmiwa mi odgłos łamanych kości Liwii. Nie teraz, kiedy zastanawiam się, jaką pułapkę zastawiła na mnie komendantka w Navium.

Na korytarzu przed moją kwaterą jest cicho i ciemno. Większość gwardzistów powinna spać, choć straż trzyma przynajmniej pół tuzina ludzi. Nie chcę, żeby ktoś mnie śledził, podejrzewam, że komendantka ma szpiegów wśród moich ludzi. Kieruję się do zbrojowni, skąd jest tajemne przejście do centrum miasta.

– Kruku. – Szept jest ledwie słyszalny, ale i tak podskakuję nerwowo, klnąc na widok pary zielonych oczu, przypominających kocie, połyskujących w końcu korytarza.

– Avitasie. Czemu się tu czaisz?

– Nie wchodź do tunelu w zbrojowni – ostrzega mnie. – Jest pod obserwacją człowieka opłacanego przez ród Sissellius. Zająłbym się nim, ale dziś brakło mi czasu.

– Szpiegujesz mnie?

– Jesteś przewidywalna, Kruku. Ilekroć Marcus ją skrzywdzi, ty wyruszasz na przechadzkę. Kapitan Dex przypomniał mi, że to wbrew regulaminowi, żeby Kruk Krwi chodził bez obstawy, więc jestem.

Wiem, że Harper tylko wykonuje swoje obowiązki. Zachowywałam się nieodpowiedzialnie, włócząc się po mieście bez obstawy. Mimo to czuję rozdrażnienie. Harper przyjmuje moje wyrazy niezadowolenia z pogodnym spokojem i wskazuje głową szafę. Tam musi być wejście do drugiego tunelu.

Jesteśmy w ciasnej przestrzeni i moja zbroja z brzękiem uderza o jego zbroję. Krzywię się i mam nadzieję, że nikt nas nie usłyszy. Bogowie tylko wiedzą, co

powiedzieliby inni, gdyby znaleźli nas przytulonych do siebie w szafie.

Na myśl o tym płoną mi policzki. Dzięki wam, bogowie, że mam na sobie maskę.

– Gdzie jest to cholerne wejście? – zwracam się do Harpera.

– Powinno być... – Sięga za moimi plecami i grzebie w wiszących mundurach. Odchylam się do tyłu i widzę gładką, brązową skórę jego szyi. Wydziela lekki, ledwo wyczuwalny, ale ciepły zapach przypominający cynamon i cedr. Wdycham go i podnoszę wzrok.

A on wpatruje się we mnie z uniesionymi brwiami.

– Pachniesz... całkiem przyjemnie – zauważam zduszonym głosem. – Tak tylko przypadkiem zauważyłam.

– Oczywiście, Kruku. – Wykrzywia lekko usta. Czyżby to był uśmiech?

– Idziemy? – Wyczuwając moje rozdrażnienie, Harper odchyła tylną ścianę szafy za moimi plecami i szybko znika w przejściu. Nie odzywamy się więcej do siebie, wędrując sekretnymi korytarzami koszar Czarnej Gwardii, by wyjść wreszcie w zimną wiosenną noc.

Kiedy znajdujemy się na powierzchni, Harper zostaje w tyle i wkrótce zapominam o jego obecności. Z kapturem nasuniętym nisko na czoło przemykam po najniższym poziomie Antium, zatłoczonej scholarskiej dzielnicy, mijam gospody i wypełnione po brzegi bary, baraki zamieszkałe przez plebejuszy. Strażnicy przy górnej bramie nie zwracają na mnie uwagi, kiedy wchodzę na wyższą kondygnację miasta.

Łapię się na tym, że idąc, bawię się pierścieniem ojca, pierścieniem rodu Aquilla. Czasem, gdy na niego spoglądam, zdaje mi się, że wciąż widzę na nim krew, krew, która obryzgała moją twarz i zbroję, kiedy Marcus poderżnął ojcu gardło.

*Nie myśl o tym.* Obracam pierścień na palcu w nadziei, że przyniesie mi to ukojenie. *Daj mi mądrość przodków z rodu Aquilla.* Zastanawiam się chwilę. *Pomóż mi pokonać wroga.*

Wkrótce docieram do celu, zadrzewionego parku w pobliżu Archiwum. Spodziewałam się, że o tej porze budynek będzie tonął w ciemnościach, tymczasem w kilku oknach palą się lampy, a archiwiści są zajęci pracą. Długi budynek z kolumnadą zaskakuje swoją wielkością i prostotą. W jego wnętrzu przechowywane są wszelkie dokumenty dotyczące rodowodów, urodzin, śmierci, wszelkie meldunki, traktaty, umowy handlowe i kodeksy praw.

Jeśli uznać, że imperator jest sercem Imperium, a lud jego fundamentem, to Archiwum jest pamięcią. Nawet kiedy czuję się beznadziejnie, widok tego gmachu przypomina mi o wszystkim, co zbudowali Wojanie w ciągu pięciuset lat istnienia Imperium.

– Wszystkie imperia w końcu upadają, Kruku Krwi.

Z cienia wyłania się Kain, a ja sięgam po szablę. Wiele razy zastanawiałam się, co zrobię, jeśli ponownie ujrzę augura. Zawsze zdawało mi się, że zachowam spokój. I milczenie. Będę powściągliwa. Nie pozwolę czytać w swoich myślach.

Moje zamiary zniknęły na widok jego przekłętej twarzy. Zdumiewa mnie pasja, z jaką mam ochotę skrócić jego wąły kark. Nie wiedziałam, że jest we mnie tyle nienawiści. W uszach pobrzmiwa mi błaganie Hanny – *Heleno, wybacz*. I ciche słowa matki, kiedy klęczała, czekając na śmierć. *Siła, moje dziecko*. Pierścień ojca wpija mi się w dłoń.

Ale kiedy sięgam po broń, moje ramię za sprawą augura zastyga w powietrzu i po chwili opada do boku. Brak kontroli nad własnym ciałem rozwściecza mnie i niepokoi.

– Ileż złości – mruczy Kain.

– Zniszczyłeś mi życie. Mogłeś ich ocalić. Ty... ty potworze.

– A co powiedzieć o tobie, Kruku Krwi? Ty nie jesteś potworem? – Kain ma twarz przesłoniętą kapturem, ale i tak dostrzegam w jego oczach błysk zaciekawienia.

– Ty jesteś inny – wyrzucam z siebie. – Jesteś taki jak oni. Jak komendantka, Marcus, Zwiastun Nocy...

– Och, drogie dziecko, Zwiastun Nocy nie jest potworem, choć może robić potworne rzeczy. Rozdziera go żal i dlatego toczy sprawiedliwą wojnę, żeby naprawić dotkliwe zło. Podobnie jak ty. Moim zdaniem jesteś do niego bardziej podobna, niż mogłoby ci się wydawać. Mogłabyś się od niego wiele nauczyć, gdyby raczył udzielać ci lekcji.

– Nie chcę mieć do czynienia z żadnym z was – wypluwam z siebie. – Jesteś potworem, nawet jeśli...

– A ty jesteś wcieleniem perfekcji? – Kain przekrzywia głowę i sprawia wrażenie szczerze zaciekawionego. – Żyjesz, oddychasz, jesz i śpisz kosztem tych, którym się mniej poszczęściło. Całe twoje życie polega na gnębieniu tych, których uważasz za gorszych od siebie. Ale dlaczego właśnie ty, Kruku Krwi? Dlaczego los sprawił, że jesteś oprawcą, a nie ofiarą? Co jest ważne w twoim życiu?

– Imperium. – Nie powinnam była odpowiadać. Należało go zignorować. Trudno jednak zapomnieć o szacunku, jakim się go darzyło całe życie. – Jest sensem mojego życia.

– Być może. – Kain wzrusza ramionami, dziwny ludzki gest. – Nie przyszedłem tu, po prawdzie, prowadzić z tobą dysput filozoficznych. Przybywam z wiadomością.

Zza pazuchy wyciąga kopertę. Dostrzegam pieczęć przedstawiającą ptaka frunącego nad skąpanym w słońcu miastem i wyrywam mu ją z rąk. *To list od Liwii*.

Rozrywając kopertę, zerkam na augura.

Przybywaj do mnie, siostrze. Potrzebuję cię.

Twoja na zawsze,

Liwia

– Kiedy to wysłała? – Szybko drugi raz przebiegam wzrokiem tekst. – I dlaczego

przesłała list przez ciebie? Mogła przecież...

– Poprosiła, a ja się zgodziłem. Każdy inny posłaniec byłby śledzony. A to nie byłoby mi na rękę. Ani jej. – Kain dotyka delikatnie mojej ukrytej pod maską brwi. – Żegnaj, Kruku Krwi. Zobaczymy się jeszcze, zanim nadejdzie twój koniec.

Cofa się i znika, a z mroku wyłania się Harper z zaciśniętymi ustami. Najwidoczniej lubi augurów tak samo jak ja.

– Możesz nie wpuszczać ich do swojego umysłu – mówi. – Zwiastuna Nocy także. Mogę ci pokazać, jak to zrobić, jeśli chcesz.

– Świetnie – odpowiadam, kierując się do pałacu. – Powiesz mi w drodze do Navium.

Wkrótce docieramy do balkonu apartamentów Liwii. Nie dostrzegam ani jednego żołnierza. Muszę zrugać Farisa, który dowodzi jej osobistą gwardią. Nagle wyczuwam jakiś ruch. Nie jestem sama.

– Spokojnie, Kruku. – Faris Candelan pojawia się w zwieńczonych łukiem wrotach prowadzących do pokojów Liwii. Ma uniesione ręce, blond włosy w nieładzie. – Ona czeka na ciebie.

– Powinieneś ją uprzedzić, że wzywanie mnie jest głupotą.

– Nie pouczam żony imperatora, co ma robić – odpowiada Faris. – Moim zadaniem jest pilnować, żeby nikt jej nie skrzywdził, kiedy robi to, co robi. – W tonie jego głosu jest coś takiego, że włosy stają mi dęba i w jednej chwili przystawiam mu sztylet do gardła.

– Pilnuj jej, Farisie. Jeśli Marcus zacznie podejrzewać, że Liwia nie jest wobec niego lojalna, zabije ją, a ilustrianie uznają, że miał do tego prawo.

– Nie obawiaj się – odpowiada Faris. – W dzielnicy tkaczy czeka na mnie słodka merkatorska dziewczyna. Ma najbardziej wyjątkowe biodra, jakie w życiu widziałem. Powinienem być teraz u niej. – Rzuca mi gniewne spojrzenie, a ja zabieram sztylet. – Ale służba nie druźba.

– Powinno być was dwóch na służbie – zauważam. – Kim jest ten drugi?

Z cienia wyłania się jakaś postać. Złamany w trzech miejscach nos, ciemnobrązowa cera i błękitne oczy, zawsze roziskrzony, nawet pod srebrną maską.

– Rallius? Na ogień piekielny, to ty?

Silvio Rallius saltuje, a potem szczerzy zęby w uśmiechu, który zawsze sprawiał, że nogi miękły w kolanach wszystkim ilustriańskim pannom, mnie także. Elias i ja uważaliśmy go za bohatera, choć był tylko dwa lata starszy od nas. Był jednym z niewielu przedstawicieli wyższej klasy, który nie znęcał się nad młodszymi uczniami.

– Kruku Krwi – saltuje. – Moja szabla jest na twoje rozkazy.

– Słowa równie miłe jak uśmiech. – Nie odwzajemniam uśmiechu i Rallius szybko pojmuję, że ma do czynienia z Krukiem Krwi, a nie młodą kadetką z Czarnego Klifu.

– Udowodnij, że są prawdziwe. Chronij ją, bo stracisz życie.

Mijam ich obu i kieruję się do sypialni Liwii. Moje oczy przyzwyczajają się powoli do ciemności. Pojawia się zarys pomieszczenia. Skrzypi podłoga, tkaniny na ścianach szeleszczą, zdają się szeptać. Łóżko Liwii jest puste. Na stoliku nocnym stoi nietknięta filiżanka z herbatą, sądząc po zapachu – z dzikich kwiatów.

Liwia wychyla głowę zza gobelinu. Ledwie ją widzę, więc i szpiedzy mieliby kłopot.

– Powinnaś wypić napar – odzywam się, wykazując troskę o jej zranioną dłoń. – To musi boleć.

Jej suknia szeleści. Powietrze jest zatęchłe, cuchną zawilgocone kamienie. Przed nami rozciąga się długi korytarz. Liwia zamyka za nami drzwi i wreszcie się odzywa.

– Imperatorowa dzielnie znosząca ból zyskuje szacunek – mówi. – Moje dwórki rozgłaszają plotki, że wzgardziłam naparem i znoszę ból bez słowa skargi. Ale na ogień piekielny, to naprawdę boli.

Kiedy to mówi, pojawia się w mojej głowie myśl, żeby ją uleczyć, zaśpiewać jej uzdrawiającą pieśń.

– Ja... ja mogłabym ci pomóc. – *O bogowie, jak mam jej to wytłumaczyć?* – Ja...

– Nie mamy czasu, siostró – szepcze Liwia. – Chodź. Ten korytarz łączy moje pokoje z jego pokojami. Już z niego korzystałam. Ale zachowaj ciszę. Nie może nas przyłapać.

Ruszamy korytarzem w kierunku wąskiego pasma światła. W połowie korytarza słychać jakieś szmery. To światło dochodzi ze szpiegowskiego otworu, na tyle dużego, by przepuszczać dźwięki, ale zbyt małego, żeby wyraźnie widzieć. Dostrzegam Marcusa, bez zbroi, krążącego po ogromnych komnatach.

– Musisz przestać to robić, kiedy jestem w sali tronowej. – Zanurza palce we włosach. – Umrzesz, jeśli zrzucasz mnie z tronu, uznając za szaleńca.

Cisza. A potem:

– Nie zrobię jej krzywdy! Nic na to nie poradzę, że jej siostra tego pragnie...

Krztuszę się z wrażenia, ale Liwia ściska moje ramię.

– Mam swoje powody – szepcze.

– Zrobię, co trzeba, żeby utrzymać Imperium – warczy Marcus, a ja po raz pierwszy coś widzę. Błady cień, jak lustrzane odbicie twarzy pod wodą. Chwilę później obraz znika. Wzdramam się. To pewnie tylko gra świateł. – Jeśli to oznaczałoby złamanie kilku palców, żeby utrzymać w karchach twojego wspaniałego Kruka Krwi, to niech tak będzie. Ja chciałem złamać jej rękę...

– Na ogień piekielny – szepczę do Liwii. – Ależ wrzeszczy. Oszalał.

– Jemu się wydaje, że to, co widzi, istnieje naprawdę. – Liwia kręci głową. – Może istnieje. To nie ma znaczenia. On nie może pozostać na tronie. W najlepszym razie słucha rozkazów ducha. W najgorszym – ma halucynacje.

– Musimy go wspierać – mówię. – Augurowie ogłosili go imperatorem. Jeśli zostanie zdetronizowany albo zabity, grozi nam wojna domowa. Albo komendantka ogłosi się imperatorową.

– Musimy? – Liwia chwyta zdrową ręką moją dłoń i kładzie ją na swoim brzuchu. Nie mówi nic. Nie musi.

– Och! Ty... to dlatego ty i on... – Czarny Klif przygotował mnie na różne sytuacje. Ale nie na to, że moja siostra będzie w ciąży z człowiekiem, który poderzwał gardła naszych rodziców i siostry.

– Masz swoją odpowiedź, Kruku Krwi.

– Jego potomek – szepczę.

– Następca tronu.

O bogowie. Jeśli Marcus zniknie, kiedy dziecko się urodzi, Liwia i ród Aquilla będą rządzić Imperium do czasu, aż potomek osiągnie dorosłość. Moglibyśmy zrobić z niego prawdziwego, sprawiedliwego męża stanu. Ilustriańskie rody zaakceptowałyby to, ponieważ następca tronu pochodziłby z dobrego domu. Plebejusze zaakceptowałyby go, ponieważ jest synem Marcusa, więc ich także reprezentowałby w jakiś sposób. Ale...

– Skąd wiesz, że to chłopiec?

Patrzy mi w oczy. Nigdy w życiu nie widziałam u nikogo takiej niezachwianej pewności.

– To jest chłopiec, Kruku Krwi – odpowiada. – Musisz mi uwierzyć. Już się porusza. Do Święta Księżycy, jeśli wszystko pójdzie dobrze, przyjdzie na świat.

Wzdrygam się, znów to Święto Księżycy.

– Jeśli komendantka się dowie, będzie cię ścigać. Muszę...

– Zabij ją. – Liwia wyjmuję mi to z ust. – Zanim się dowie.

Pytam Liwię, czy Marcus wie o ciąży, ale ona kręci głową.

– Dopiero dzisiaj się upewniłam. Chciałam, żebyś dowiedziała się pierwsza.

– Powiedz mu, Liwio. Marcus pragnie potomka. Może nie będzie... – Wskazuję na jej dłoń. – Ale nie mów nikomu więcej. Ukrywaj to przed światem.

Liwia przykłada palec do ust. Marcus przestał mamrotać.

– Idź już, Kruku – szepcze Liwia.

*Matko! Ojcze! Hanno!* Nagle tracę dech. On nie skrzywdzi Liwii. Prędzej umrę, niż na to pozwolę.

– Będę z nim walczyć...

– Będziesz z nim walczyć. – Siostra zaciska palce na moim ramieniu. – Umrze, bo pokona go twój gniew. – Ciągnie mnie do swojego pokoju. – A w szaleństwie szukania następcy my zostaniemy zabite. Ale my musimy żyć. Dla niego. – Liwia dotyka brzucha. – Dla ojca i matki, i Hanny. Dla Imperium. Chodź.



Wpycha mnie do pokoju akurat w chwili, gdy korytarz zalewa światło. Przebiegam przez pokój, spuszczam się z balkonu po linie, mijam Farisa i Ralliusa i przeklinam samą siebie, słysząc wrzaski Marcusa i dźwięk wymierzonego celnie ciosu. W uszach rezonuje mi trzask kolejnych łamanych kości mojej siostry.

## CZEŚĆ II

### PIEKŁO

## XI: Laia

*Cztery tygodnie później*

Przedzieramy się z Darinem przez morze scholarskich uchodźców pełną kolein drogą do Adisy. Dwa kolejne umęczone ciała, dwie kolejne brudne twarze pośród setek innych szukających schronienia w lśniącej blaskiem stolicy Morzan.

W tłumie posuwających się z trudem naprzód uchodźców panuje cisza. Większość tych Scholarów została odprawiona przez inne morzańskie miasta. Wszyscy byli świadkami burzenia ich domów, torturowania, mordowania, gwałcenia i więzienia ich bliskich i przyjaciół.

Wojanie posługują się bronią z bezlitosną sprawnością. Chcą złamać Scholarów. Jeśli nie powstrzymam Zwiastuna Nocy, jeśli nie znajdę Pszczelarza w Adisie, ich plan się powiedzie.

Prześladuje mnie myśl o prorocत्वie Shaevy. Rozmawiamy o tym z Darinem bez ustanku, próbując zrozumieć sens każdego słowa. Niektóre, jak „wróble” czy „Rzeźnik”, przywołują stare wspomnienia, ulotne myśli, których znaczenia nie potrafimy jednak pojąć.

– Rozszyfrujemy to – pociesza mnie Darin, widząc moje zmarszczone czoło. – Teraz mamy poważniejsze problemy.

*Nasz cień.* Mężczyzna pojawił się trzy dni temu i idzie za nami, odkąd opuściliśmy pewną niewielką wioskę. Przynajmniej wtedy go zauważyliśmy. Od tej pory trzyma się na tyle daleko od nas, że nie możemy mu się dobrze przyjrzeć, ale na tyle blisko, że rękojeść mojej szabli zdaje się przyspawana do dłoni. Za każdym razem kiedy przywdziewam swoją niewidzialność, żeby się do niego zbliżyć, on znika.

– Wciąż tam jest. – Darin rzuca ukradkowe spojrzenie za siebie. – Czai się jak jakaś przekłeta zhora.

Cienie pod oczami brata sprawiają, że jego źrenice wydają się prawie czarne. Kości policzkowe wystają mu tak wyraźnie jak wtedy, kiedy oswobodziłam go z więzienia w Kauf. Odkąd pojawił się nasz cień, Darin mało sypia. Ale i wcześniej męczyły go koszmary o Kauf i naczelniku. Czasem marzy mi się, żeby naczelnik wrócił do życia tylko po to, żebym mogła zabić go sama. To dziwne, że potwory mogą sięgać zza grobu i być równie potężne po śmierci jak za życia.

– Zgubimy go za bramami miasta. – Robię wszystko, żeby mój głos brzmiał przekonująco. – Staraj się nie rzucać w oczy, kiedy będziemy wchodzić. Znajdź jakiś tani zajazd, gdzie nikt nie zwróci na nas uwagi. A potem – dodaję – zaczniemy rozpytywać o Pszczelarza.

Pod pozorem poprawiania kaptura oglądam się niepostrzeżenie na naszego prześladowcę. Jest teraz blisko. Pod chustą przesłaniającą twarz widzę, jak jego czerwone, sierpowate usta wykrzywiają się w uśmiechu. W dłoni trzyma połyskującą

szablę.

Odwracam wzrok. Schodzimy ze wzgórza i naszym oczom ukazują się połyskujące złotem mury Adisy, cud białego granitu przybierającego pomarańczową barwę pod krwistym niebem. Z odległości prawie mili widać szereg szarych namiotów rozstawionych wzdłuż wschodniego muru. To obóz scholarskich uchodźców. W znajdującej się na północ od miasta zatoce unoszą się na wodzie tłuste bryły lodu. Ich słony zapach przedziera się przez tumany kurzu na drodze.

Chmury wiszą nisko nad horyzontem, rozwiewa je południowy ciepły wiatr. Kiedy obłoki się rozdzielają, z gardeł wędrowców dobywa się zbiorowe westchnienie zachwytu, ponieważ z samego serca miasta wyrasta w niebo wieża z kamienia i szkła. Lśni bielą i w nadprzyrodzony sposób utrzymuje równowagę, w swoim spiralnym kształcie przypominając róg jakiegoś mitycznego stworzenia. Słyszałam o niej już wcześniej, ale najlepszy opis nie jest w stanie oddać jej majestatu. To Wielka Biblioteka Adisy.

Pamięć przywołuje niechciane wspomnienia. Rude włosy, brązowe oczy i kłamliwe usta. Keenan, Zwiastun Nocy, mówiący, że też chciałby zobaczyć Wielką Bibliotekę.

*Była słodka, chłopcze. Jak rosa o poranku.* Skóra mi cierpnie na myśl o świństwach, jakie wygadywał w Poczekałni.

– Spójrz. – Wskazuję głową ciżbę ludzką gromadzącą się u bram miasta, przepychającą się, próbującą dostać się do środka przed zapadnięciem nocy i zamknięciem wrót. – Tam go możemy zgubić. Zwłaszcza jeśli ja zniknę.

Kiedy jesteśmy blisko bramy, pochylam się, udając, że zawiązuję sznurowadło, i przywdziewam niewidzialność.

– Jestem obok ciebie – szepczę, wstając, a Darin kiwa głową i zaczyna przedzierać się przez tłum, pomagając sobie łokciami. Im jesteśmy bliżej bramy, tym wolniej się poruszamy. W końcu, kiedy słońce zanika za horyzontem na zachodzie, stajemy przed masywnymi drewnianymi wrotami zdobionymi wizerunkami wielorybów i węgorzy, ośmiornic i syren. Za bramą ciągnie się brukowana ulica znikająca w labiryncie pomalowanych na jasne kolory budynków. W oknach domów migoczą światła lamp. Myślę o matce, która przybyła do Adisy, kiedy była zaledwie kilka lat starsza ode mnie. Czy miasto wyglądało wtedy tak samo? Czy czuła taki sam niepokój, jak ja teraz?

– Twój poręczyciel?

Jeden z tuzinów morzańskich strażników zwraca uwagę na Darina i mimo napierającego tłumy jest na swój chłodny sposób uprzejmy. Zaskoczony Darin kręci głową.

– Mój poręczyciel?

– U kogo zatrzymasz się w mieście? U jakiej rodziny albo gildii?

– Zatrzymamy się w oberży – tłumaczy Darin. – Mamy czym zapłacić...

– Złoto mogą wam skraść. Macie podać nazwę zajazdu, w którym zamierzacie się zatrzymać, i nazwisko osoby, która będzie mogła za was poręczyć. Kiedy podacie nazwisko, zaczekacie w strefie kwarantanny, aż zweryfikujemy podane przez was informacje, a potem będziecie mogli wejść do Adisy.

Darin ma niepewną minę. Nie znamy nikogo w Adisie. Od rozstania z Eliaszem próbowaliśmy kilkakrotnie skontaktować się z przywódcą Skirytów, Arajem, który uciekł razem z nami z Kauf, ale bez rezultatu.

Darin przytakuje żołnierzowi, zupełnie jakbyśmy mieli jakiś inny pomysł.

– A jeśli nie mamy poręczyciela? – pyta.

– W takim razie wejście do obozu scholarskich uchodźców znajduje się na wschód stąd. – Żołnierz, który do tej pory był skoncentrowany na napierającym tłumie za naszymi plecami, przygląda się teraz uważnie Darinowi.

– Mów...

– Pora stąd zniknąć – szepczę bratu do ucha, a on mówi coś cicho do żołnierza i wycofuje się, znikając wśród motłochu.

– Nie mógł znać mojej twarzy – mówi Darin. – Nigdy wcześniej go nie spotkałem.

– Może dla niego wszyscy Scholarzy wyglądają jednakowo – odpowiadam, choć mnie samej to tłumaczenie nie przekonuje. Oglądamy się kilkakrotnie za siebie, sprawdzając, czy żołnierz za nami nie idzie. Zwalniam dopiero wówczas, kiedy dostrzegam go stojącego przy bramie, zajętego rozmową z kolejną grupą Scholarów. Kierujemy się na wschód i stajemy w jednej z tuzina długich kolejek formujących się przed wejściem do obozu.

Babcia opowiadała mi różne historie o tym, co robiła moja matka, kiedy ponad dwadzieścia pięć lat temu kierowała ruchem oporu w Adisie. Król Morzan, Irmand, współpracował z nią i pomagał chronić Scholarów. Dawał im pracę, pozwalał się osiedlać i wtapiać w społeczność Morzan.

Sytuacja zmieniała się na gorsze od tamtej pory.

Nawet z zewnątrz obóz uchodźców sprawia przygnębiające wrażenie. Grupy dzieciaków wałęsają się bez celu pomiędzy namiotami. Większość jest zbyt mała, by pozostawiać je bez opieki. Na błotnistych ścieżkach widzę bezpańskie psy.

Dlaczego to spotyka zawsze nas? Tak dużo ludzi, w tym tyle dzieci, wciąż jest ściganych, gnębionych, poniewieranych. Tyle rozbitych rodzin, zniszczonych nadziei. Teraz znowu Scholarzy są wyrzucani za mury miasta, muszą spać w lichych namiotach, walczyć o każdy kęs pożywienia, głodować, marznąć, cierpieć.

I jeszcze oczekuje się od nas, że będziemy wdzięczni. Że będziemy zadowoleni. Tak, wielu z nas jest szczęśliwych. Szczęśliwych, bo udało im się ujść z życiem. Ale to nie wystarczy. Dla mnie to za mało.

Powoli zbliżamy się do wejścia i teraz widać obóz wyraźniej. Na wietrze powiewają przybite do ściany białe arkusze pergaminu. Mrużę oczy, ale dopiero kiedy trafiamy na sam początek kolejki, dostrzegam, co się na nich znajduje.

Moja twarz. I twarz Darina. Patrzą na nas posępnym wzrokiem. A niżej jest napis:

Z OSOBISTEGO ROZKAZU  
KRÓLA MORZAN IRMANDA  
ŚCIGANI SĄ:  
LAIA I DARIN Z SERRY  
ZA PODŻEGANIE DO REBELII, AGITACJĘ  
I KONSPIROWANIE PRZECIWKO KORONIE  
NAGRODA: 10000 MAREK

Przypomina to plakaty wiszące w gabinecie komendantki w Czarnym Klifie. Takie jak ten z Nur, kiedy Kruk Krwi ścigał Eliasa i mnie i wyznaczył za nas wysoką nagrodę.

– Co my takiego zrobiliśmy królowi Irmandowi? – szepczę. – Czyżby stali za tym Wojanie?

– Przecież oni nie wiedzą, że tu jesteśmy!

– Mają swoich szpiegów, jak wszyscy – odpowiadam. – Obejrzyj się za siebie, jeśli kogoś rozpoznasz, to udawaj...

Na końcu kolejki powstaje zamieszanie. To oddział morzańskich żołnierzy z Adisy maszeruje w kierunku obozu. Darin garbi się i naciąga kaptur na głowę. Rozbrzmiewają krzyki gniewu i strachu, nagle robi się jasno i po chwili pojawia się obłok czarnego dymu.

Wracają wspomnienia. Myślami jestem w Serze, w noc, kiedy żołnierze pojмали Darina. Znów słyszę walenie w drzwi i patrzę na srebrną twarz Maski. Widzę krew babci i dziadka leżącego na podłodze. Słyszę krzyk Darina: „Laio! Uciekaj!”.

Głosy przerażenia stają się coraz głośniejsze. Scholarzy uciekają. Dzieci zbijają się w gromadkę, kurczą się w sobie, jakby chciały pozostać niezauważone. Morzańscy żołnierze w niebiesko-złoty uniformach krążą pomiędzy namiotami, rozrywają je na strzępy i zagląдают do środka, czegoś szukając.

A raczej kogoś.

Scholarzy pierzchają we wszystkich możliwych kierunkach. Narasta panika i strach. *Dlaczego zawsze my?* Odarto nas z godności, rozbito rodziny, odebrano dzieciom rodziców. Nasza krew wsiąka w ziemię. Za jakie straszne grzechy płacą Scholarzy, wszystkie kolejne pokolenia? Dlaczego ceną jest to jedno, co nam pozostało, nasze życie?

Spokojny do niedawna Darin stoi teraz bez ruchu obok mnie i wygląda na równie przerażonego jak ja. Nie mogę się załamać, on mnie potrzebuje.

– Idziemy. – Odciągam go na bok, ale żołnierze zaganiają do obozu wszystkich stojących w kolejce. Dostrzegam w pobliżu, pomiędzy dwoma namiotami ciemną

przestrzeń. – Pospiesz się, Darinie.

– Nie ma ich tu! – rozlega się za naszymi plecami krzyk. Jakaś scholarska kobieta, sama skóra i kości, opędza się od morzańskiej żołnierki. – Mówiłam wam...

– Wiemy, że ich ukrywacie. – Morzanka jest nieco wyższa ode mnie, jej łuskowata, srebrna zbroja ciasno opina umięśnione ramiona. W rzeźbionej brązowej twarzy nie ma okrucieństwa Maski, choć jest ona równie przerażająca. Żołnierka zrywa z jednego z namiotów plakat z naszymi wizerunkami. – Wydajcie Laię i Darina z Serry, a damy wam spokój. W przeciwnym razie zetrzemy ten obóz z powierzchni ziemi, a uchodźców rozpędzimy na cztery wiatry. Jesteśmy wspaniałomyślni, ale nie głupi.

Nieco dalej żołnierze zapędzają dziesiątki scholarskich dzieci do prowizorycznej zagrody. Dwa kolejne namioty stają w płomieniach, w niebo unosi się rozżarzony popiół. Na dźwięk i widok płomieni przechodzi mnie dreszcz.

– Pamiętasz przepowiednię? – szepcze Darin. – „Wróble utoną i nikt się nie dowie”. Scholarzy to wróble, Laio. Morzanie zawsze byli nazywani ludźmi morza. To oni są powodzią.

– Nie możemy na to pozwolić – wyduszam z siebie z trudem. – Oni cierpią z naszego powodu. Ten obóz to ich jedyny dom. A my ich go pozbawiamy.

Darin w lot pojmuje moje intencje. Kręci głową, robi krok w tył, wygląda na spanikowanego.

– Nie! – woła. – Nie możemy. Jak znajdziemy Pszczelarza, kiedy zamkną nas w więzieniu? Albo zabiją? Jak mamy... – Krztusi się i tylko kręci głową.

– I tak nas uwiężą. – Chwytam go za ramiona i potrząsam. Muszę wyrwać go z tego przerażenia. Muszę sprawić, żeby mi zaufał. – Ale przysięgam na bogów, że wydostanę nas z więzienia. Nie możemy pozwolić, żeby spalili obóz. Morzanie przyszli po nas.

Za naszymi plecami rozlega się głośny krzyk. Jakiś scholarski mężczyzna szarpie się z Morzanką, która wrywa z jego ramion dziecko.

– Nie krzywdź jej – błaga. – Proszę... proszę...

Darin przygląda się tej scenie roztrzęsiony.

– Masz rację – odzywa się w końcu. Słowa z trudem przechodzą mu przez gardło, a ja czuję ulgę, jestem dumna, a jednocześnie mam złamane serce, bo wyobrażam sobie, jak mój brat jest znowu zamykany w więzieniu. – Ale nikt inny nie będzie ryzykował życia z mojego powodu. Zwłaszcza ty. Sam się ujawnię. Ty pozostaniesz bezpieczna...

– Nie ma mowy – protestuję. – Nigdy więcej. Gdzie ty, tam i ja.

Porzucam swoją niewidzialność i silne zawroty głowy prawie mnie przewracają na ziemię. Widzę jakieś zatechłe pomieszczenie, a w nim kobietę o jasnych włosach. Nie mogę dostrzec jej twarzy. Kim ona jest?

Po kilku sekundach odzyskuję jasność widzenia. Kręcę głową, pozbywając się

resztek wizji i wychodzę z ukrycia pomiędzy namiotami.

Morzańska żołnierka ma nadzwyczajny instynkt. Choć dzieli nas od niej dobre dziesięć kroków, kiedy tylko pojawia się w dziennym świetle, natychmiast odwraca głowę w naszym kierunku. Pióropusz i skośne otwory na oczy na jej hełmie sprawiają, że przypomina trochę rozwścieczonego jastrzębia, ale jej dłoń spoczywa jakby od niechcenia na rękojeści szabli, kiedy patrzy, jak się zbliżamy.

– Laia i Darin z Serry. – Nie wydaje się zaskoczona. Musiała się spodziewać, że nas tu znajdzie. Musiała wiedzieć, że przyszliśmy do Adisy. – Jesteście aresztowani pod zarzutem konspirowania przeciwko Królestwu Morzan. Pójdziecie ze mną.



## XII: Elias

Choć słońce jeszcze nie zaszło, w obozowisku Plemieńców, do którego się zbliżam, panuje zupełna cisza. Ogniska są wygaszone, konie ukryte pod brezentowym dachem. Pomalowane na czerwono i żółto wozy pozamykano, a z ich okien sączy się blade światło.

Poruszam się powoli i ostrożnie. Mauth ciągnie mnie ku sobie i muszę użyć całej swojej siły, by mu się nie poddać.

Kilkaset kroków dalej na zachód wody morza Duskan rozbijają się z hukiem o skalisty brzeg, zagłuszając żalosalne dźwięki wydawane przez białogłowe mewy. Jednak moje instynkty Maski są wyostrzone jak zawsze i wyczuwam zbliżanie się *Kehanni* plemienia Nasur na długo przedtem, zanim się pojawi w zasięgu mojego wzroku w towarzystwie sześciu ochraniających ją współplemieńców.

– Eliasie Veturiusie. – Srebrne dredy sięgają jej do pasa, widzę wyraźnie zdobne tatuaże na brązowej skórze. – Spóźniłeś się.

– Przepraszam, *Kehanni*. – Nie zamierzam się więcej tłumaczyć. *Kehanni* mają wyjątkową zdolność wyłapywania kłamstw. – I błagam o wybaczenie.

– Nieładnie! – Kręci nosem. – Błagałeś też o spotkanie ze mną. Sama nie wiem, dlaczego się zgodziłam. Wojanie kilka tygodni temu napadli na magazyny zboża i zabrali syna mojego brata. Tylko przez szacunek dla Mamie Rili nie wypatroszę cię jak wieprza, chłopcze.

*Tylko spróbuj.*

– Masz jakieś wieści od Mamie? – pytam.

– Jest dobrze ukryta i dochodzi do siebie po tym, co zrobili jej twoi pobratymcy. Jeśli sądzisz, że zdradzę ci, gdzie ona jest, to jesteś większym głupcem, niż myślę. Chodź. – Wskazuje ruchem głowy wóz. Ruszam za nią. Rozumiem jej złość. Wojnę toczoną przez Wojan przeciwko Plemieńcom znaczą spalone wozy, lamenty ludzi, których rodziny zginęły lub trafiły do więzienia.

*Kehanni* idzie szybko, a ja czuję coraz silniejszy opór Mauth, tak dotkliwy, że mam ochotę zawrócić i biec z powrotem do oddalonej o dziesięć mil Poczekalni. Mam wrażenie, że popełniam jakiś błąd, jakbym o czymś zapomniał. Nie wiem tylko, czy tak podpowiada mi instynkt, czy może Mauth manipuluje moimi myślami. W ostatnich tygodniach kilkakrotnie już czułem, jak ktoś lub coś przemyka obok Poczekalni, próbuje się tam dostać i wywołać u mnie jakąś reakcję. Za każdym razem udawałem się w takie miejsce i za każdym razem nie znajdowałem niczego ani nikogo.

Na szczęście deszcz sprawił, że uciszyły się dżinny. Te płomieniste stwory nie znoszą deszczu. Problem mają za to dusze pozostające zbyt długo w Poczekalni, ponieważ nie jestem w stanie przeprowadzić ich dostatecznie szybko. W uszach dźwięczy mi cały czas ostrzeżenie Shaevy.

„Jeśli nie przeniesiesz dusz, będzie to oznaczać, że zawiodłeś w roli Łowcy Dusz. I będzie to także koniec takiego świata ludzi, jaki znasz”.

Mauth ciągnie mnie z powrotem, ale udaje mi się zignorować jego wysiłki. Mijamy z *Kehanni* kolejne wozy karawany, aż docieramy do jednego stojącego w oddaleniu od pozostałych. Jego czerń kontrastuje z wymyślnymi zdobieniami innych wozów.

To jest dom *Fakiry*, osoby zajmującej się przygotowaniem zwłok do pochówku.

Ocieram twarz z kropli deszczu, a *Kehanni* stuka do drewnianych drzwi wozu.

– Z całym szacunkiem – zwracam się do niej – ale muszę porozmawiać z tobą...

Ja przechowuję historie żywych. Historie zmarłych zna *Fakira*.

Drzwi otwierają się niemal natychmiast i w progu staje dziewczyna, może szesnastoletnia. Na mój widok wybałusza oczy, nerwowo szarpie kosmyk kręconych, rudobrazowych włosów i zagryza wargi. Na jej skórze, jaśniejszej od skóry Mamie, ale ciemniejszej od mojej, widzę mnóstwo piegów. Ramiona ma pokryte granatowymi tatuażami w geometryczne wzory, które przywodzą na myśl czaszki.

Jakiś rodzaj niepewności w jej postawie przypomina mi Laię i czuję nagle silną tęsknotę. Zdaję sobie sprawę, że stoję jak oniemiały przed drzwiami. W końcu *Kehanni* wpycha mnie do wnętrza oświetlonego przez kilka różnokolorowych lamp. Na półce wiszącej w drugim końcu wozu stoją słoje z jakąś cieczą o charakterystycznym silnym i drażniącym zapachu.

– To jest Aubarit – odzywa się z progu *Kehanni* – nasza nowa *Fakira*. Ona się dopiero uczy. – *Kehanni* uśmiecha się lekko. Nic dziwnego, że zgodziła się mi pomóc. Kieruje mnie do dziewczyny, która pewnie w niczym nie okaże się pomocna. – Z nią rozmawiaj.

Drzwi zatrząskują się. Aubarit i ja stoimy długą chwilę, patrząc na siebie nawzajem.

– Jesteś młoda – wyrywa mi się, kiedy siadam. – Nasz *Fakir* z plemienia Saif był starszy niż góry.

– Nie obawiaj się, *bhai*. – Aubarit zwraca się do mnie grzecznościowym słowem oznaczającym „brata”, ale drżący głos zdradza jej niepokój. Mam wyrzuty sumienia, że wypomniałem jej młody wiek. – Uczono mnie o Tajemnicach. Przybywasz z Lasu, Eliasie Veturiusie. Z posiadłości Bani al-Mauth. Czy to ona przysłała cię, żebyś nam pomógł?

*Czy ona powiedziała „Mauth”?*

– Skąd znasz to imię, Mauth? Masz na myśli Shaevę?

– *Astagma!* – Aubarit wykrzykuje zakłęcie przeciwko złemu oku. – Nie wymawiamy jej imienia, *bhai!* Bani al-Mauth jest świętością. Wybranką Śmierci. Łowczynią Dusz. Strażnikiem Wrót. Święta tajemnica jej istnienia jest znana tylko *Fakikom* i ich uczniom. Nie wspominałabym o niej, gdybyś nie przybywał z Jaga al-Mauth. Z posiadłości Mauth.

– Shaev... och, Bani al-Mauth nie żyje. Ja ją zastępuję. Uczyła mnie, kiedy...

Aubarit pada na kolana, jakby nagle przestało bić jej serce.

– Wybacz mi, Banu al-Mauth. – Zwracam uwagę, że zmienił się nieco tytuł i teraz zwraca się do mnie w rodzaju męskim. – Nie wiedziałam.

– Nie musiałaś wiedzieć. – Podnoszę ją z klęczek zakłopotany jej lękiem. – Próbuję przeprowadzić dusze. Muszę użyć magii w Poczekalni, ale nie wiem jak. A dusz przybywa. Z każdym dniem jest ich więcej.

Aubarit blednie i zaciska kurczowo dłonie.

– Tak nie może być, Banu al-Mauth. Musisz je przeprowadzić. W przeciwnym razie...

– Co się stanie? – wpadam jej w słowo. – Wspomniałaś o Tajemnicach. Jak się o nich uczyłaś? Są gdzieś spisane? Na zwojach? W księgach?

– Zapisać Tajemnice to pozbawić je mocy – mówi *Fakira*, przykładając dłoń do czoła. – Uczą ich tylko *Fakirzy*, bo to my obcujemy ze zmarłymi, kiedy opuszczają świat żyjących. Obmywamy ich ciała i obcujemy z ich duszami, żeby łatwiej było im przejść przez Jaga al-Mauth na drugą stronę. Łowczyni Dusze ich nie widzi. Ona... ty... nie masz ich widzieć.

„Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego jest tu tak mało dusz, Plemieńców?” – przypominam sobie słowa Shaevy.

– Czy wasze Tajemnice wspominają coś o magii Poczekalni?

– Nie, Banu al-Mauth – odpowiada Aubarit. – Chociaż... – Jej głos cichnie, a słowa przyjmują formę pieśni. – Jeśli szukasz prawdy wśród drzew, Las przywoła dla ciebie swoje wspomnienia.

– Wspomnienia? – Marszczę z namysłem czoło. Shaeva nic o tym nie wspominała. – Drzewa bez wątpienia widziały niejedno. Ale magia, jaką znam, nie pozwala mi z nimi rozmawiać.

– Tajemnice rzadko bywają dosłowne. – Aubarit kręci głową. – Las może oznaczać drzewa albo coś zupełnie innego.

Gadające metaforycznie drzewa w niczym mi nie pomogą.

– Spotkałaś kiedyś Bani al-Mauth? – pytam dziewczynę. – Mówiła ci coś o magii i o tym, jak ją stosuje?

– Widziałam ją raz, kiedy dziadek wybrał mnie na swoją uczennicę. Dała mi swoje błogosławieństwo. A ja myślałam... myślałam, że ona przysłała cię, żebyś nam pomógł.

– W czym miałbym wam pomóc? – pytam. – W walce z Wojanami?

– Nie... – Aubarit się zacina. – Nie zwracaj sobie głowy takimi błahostkami, Banu al-Mauth. Musisz przeprowadzić dusze, ale żeby to zrobić, musisz usunąć się z tego świata, nie tracić czasu na pomaganie obcym.

– Powiedz mi, co się dzieje – nalegam. – Sam zadecyduję, czym sobie zwracać głowę, a czym nie.

Aubarit z niezdecydowaniem zaciska dłonie, ale widząc moje zniecierpliwienie, wreszcie zaczyna cicho mówić.

– Nasi *Fakirzy* umierają. Kilku zginęło z rąk Wojan. Ale pozostali... – Kręci głową. – Mój dziadek został znaleziony w płytkim stawie. W płucach miał wodę, chociaż umiał pływać.

– Może zmarł na serce?

– Był silny jak tur i jeszcze nie miał sześćdziesiątki. Ale to nie wszystko, Banu al-Mauth. Staralam się dotrzeć do jego duszy. A musisz wiedzieć, że uczono mnie, jak być *Fakirą*, od dnia, kiedy zaczęłam mówić. Nigdy nie miałam problemów w obcowaniu z duszami. Tym razem jednak czułam, że coś mnie blokuje. Kiedy wreszcie mi się udało, dusza dziadka nie mogła ze mną rozmawiać. Dzieje się coś złego. Nie mam żadnych wiadomości od innych *Fakirów*, wszyscy walczą z Wojanami. Ale to jest coś groźniejszego niż wojna. Nie wiem, co robić.

Nagle szarpnięcie prawie podrywa mnie na nogi. Po drugiej stronie wyczuwam zniecierpliwienie. Może *Mauth* nie chce, żebym usłyszał tę informację. Magia chce chyba, żebym trwał w niewiedzy.

– Przekaż swoim *Fakirom* moje słowa – zwracam się do Aubarit. – Banu al-Mauth rozkazuje dla ich bezpieczeństwa, żeby ich wozy nie były oddzielone od reszty karawany. Mają je też przemalować, żeby wyglądały jak wszystkie pozostałe. Waszym wrogom trudniej będzie ich wtedy znaleźć. – Przerywam na chwilę. Szarpnięcia są tak mocne, że robi mi się słabo. Nie poddaję się jednak, ponieważ nikt inny nie może pomóc Aubarit i pozostałym *Fakirom*.

– Zapytaj pozostałych *Fakirów*, czy też mają trudności z obcowaniem z duszami – ciągnę. – I sprawdź, czy zdarzało się to już wcześniej.

– Inni *Fakirzy* mnie nie posłuchają.

– Jesteś *Fakirem* od niedawna. – Muszę już iść, ale nie mogę jej tak zostawić, wątpiącej w siebie, w swoją moc. – Ale to nie oznacza, że brak ci umiejętności. Zobacz, jak *Kehanni* obnosi się ze swoją siłą. Musisz być taka sama. Dla dobra swojego ludu.

Mauth ciągnie mnie znowu do siebie z taką energią, że chcąc nie chcąc wstaję.

– Muszę wracać do Poczekalni. Jeśli będziesz mnie potrzebować, podejdź do granicy Lasu. Będę wiedział, że tam jesteś. Tylko nie próbuj wchodzić.

Chwilę później wychodzę na deszcz. Niebo nad Poczekalnią przecinają błyskawice. Czuję, jak pioruny uderzają w moją domenę: na północy, w pobliżu chaty i bliżej, w brzeg rzeki. Ta świadomość zdaje się mi przyrodzona, jakbym wiedział, że zostałem zraniony albo ugryziony.

Wracając z wiatrem do domu, wciąż myślę o słowach Aubarit. Shaeva nigdy nie mówiła, że *Fakirzy* są tak blisko związani z jej zajęciem. Nigdy nie wspominała, że wiedzą o jej istnieniu, ani tym bardziej że stworzyli całą mitologię na jej temat. Wszystko, co wiedziałem do tej pory o *Fakirach*, to tyle, że zajmują się zmarłymi

i należy ich szanować, choć wzbudzają większy lęk niż Zalzar czy *Kehanni*.

Może gdybym bardziej uważał, dostrzegłbym jakiś związek. Plemięcy zawsze byli bardzo nieufni wobec Lasu. Afya nie chce się do niego zbliżyć, a plemię Saif nigdy nie podeszło bliżej niż na odległość stu pięćdziesięciu mil, kiedy byłem dzieckiem.

Jestem coraz bliżej Poczekalni, a tymczasem szarpnięcia Mauth, zamiast słabnąć, przybierają na sile. Czy on chce tylko, żebym wreszcie wrócił, czy może czegoś jeszcze?

Docieram do granicy Lasu, a kiedy ją przekraczam, ogłusza mnie skowyt dusz. Są coraz bardziej rozwścieczone, zdaje się, że popadły w obłąd. Co je tak zirytowało w ciągu tej godziny, kiedy nie było mnie tutaj?

Z dziwną determinacją napierają na granicę Poczekalni. W pierwszej chwili myślę, że zobaczyły coś przy murze. Martwe zwierzę? Ludzkie ciało? Ale kiedy przedzieram się między nimi, drżąc z zimna, zdaję sobie sprawę, że przy murze niczego nie ma. Dusze napierają na sam mur. Próbują się wydostać.

### XIII: Kruk Krwi

Niebo na południu zasnuwają kłęby czarnego dymu, kiedy statek zaczyna w końcu zbliżać się do Navium. Chmury deszczowe, które przez ostatnie dwa tygodnie nieustannie dręczyły nas ulewami, wciąż wiszą nad horyzontem i nie dają wytchnienia. Największe miasto portowe Imperium płonie, a wraz z nim w pożodze giną jego mieszkańcy.

Stoję na dziobie, podchodzi do mnie Avitas. Tymczasem Dex ruga kapitana, każąc mu płynąć szybciej. W powietrzu niesie się dudnienie bębnow. To Navium wysłała szyfrowane rozkazy, których nikt już nie słucha.

Srebrna twarz Harpera jest ściągnięta, kąciki ust opuszczone, czoło zmarszczone. Przez wiele godzin spędzonych na statku uczył mnie, jak zamknąć swój umysł przed intruzami, co polegało głównie na milczącym wpatrywaniu się sobie w oczy. Dobrze poznałam jego twarz. I wiem, że wiadomości, z którymi przychodzi, są złe.

– Grimarr i jego ludzie zaatakowali o świcie trzy tygodnie temu – tłumaczy. – Nasi szpiedzy donoszą, że Karkaus dotknęła klęska głodu. Dziesiątki tysięcy ludzi umarło. Najeżdżali południowe wybrzeże od miesiący, ale nasze informacje na temat zgromadzonej przez nich floty są nieaktualne. Zaatakowali siłą ponad trzystu okrętów i w pierwszej kolejności uderzyli w port handlowy. Z dwustu pięćdziesięciu statków handlowych dwieście czterdzieści trzy zostały zniszczone.

Takiego ciosu merkatorzy długo nie zapomną.

– Przeciwdziałanie?

– Admirał Lenidas zaatakował dwukrotnie. Za pierwszym razem zatopił trzy barbarzyjskie okręty, ale potem sztorm zmusił go do powrotu do portu. Za drugim razem Grimarr odparł nasze natarcie i zmusił nas do odwrotu.

– Grimarr zmusił admirała Lenidasa do odwrotu?

Kimkolwiek jest ten człowiek, nie jest głupcem. Lenidas dowodzi flotą Imperium od trzydziestu lat. To on zaprojektował Wyspę, wojskowy port w Navium, strzeżony przez ogromną wieżę strażniczą. To on od dziesięcioleci walczył z Barbarzyjczykami na morzu.

– Z meldunków wynika, że Grimarr skontrował wszystkie sztuczki Lenidasa. Potem jego ludzie zablokowali port. Miasto jest oblegane. W Dzielnicy Południowo-Zachodniej zginęło już tysiąc ludzi. To tam Grimarr atakuje najzacieklej.

Dzielnice Południowo-Zachodnią zamieszkują niemal wyłącznie plebejusze – dokerzy, marynarze, rybacy, bednarze, kowale i ich rodziny.

– Keris Veturia szykuje operację, która ma odeprzeć kolejny atak Barbarzyjczyków.

– Keris nie powinna niczego szykować sama – mówię. – Lenidas musi pohamować jej zapędy. Gdzie on jest?

– Po drugiej porażce został stracony – informuje mnie Avitas i widzę, że jest

równie wzburzony tym faktem jak ja. – Pod zarzutem rażących uchybień – dodaje. – Dwa dni temu.

– Staruszek całe życie poświęcił służbie. – Czuję się odrętwiała. Lenidas osobiście szkolił mnie przez sześć miesięcy, kiedy byłam piątoklasistką, tuż przed tym, jak otrzymałam własną maskę. Był jednym z nielicznych dostojników z południa, którym mój ojciec ufał. – Walczył z ludem z Karkaus przez pięćdziesiąt lat. Wiedział o nich więcej niż ktokolwiek inny.

– Oficjalnie komendantka uznała, że stracił zbyt wielu ludzi podczas ataku i lekceważył jej liczne ostrzeżenia.

– A nieoficjalnie chciała przejąć kontrolę nad armią. – Niech ją piekło pochłonie. – Dlaczego ilustrianie na to pozwolili? Przecież ona nie jest żadnym bóstwem. Mogli ją powstrzymać.

– Wiesz dobrze, jaki był Lenidas, Kruku – odzywa się Avitas. – Nie brał jeńców i nie pozwalał innym mówić, co ma robić. W jednakowy sposób traktował ilustrian, merkatorów i plebejuszy. Ich zdaniem Lenidas pozwolił spłonąć portowi handlowemu.

– I teraz w Navium dowodzi Keris.

– Wzywa nas – uzupełnia Avitas. – Nadeszła wieść, że trafimy do niej pod obstawą. Jest na Wyspie.

*Jęzda.* Próbuje odebrać mi dowodzenie, choć jeszcze nie wkroczyłam do miasta. Zamierzałam w pierwszej kolejności udać się na Wyspę. Ale jeśli uczynię tak teraz, okażę się petentem szukającym aprobaty przełożonych.

– Pieprzyć jej wezwania.

Moją uwagę przykuwa jakieś poruszenie w dokach. Powietrze rozdziera głośnie rżenie i dyszenie koni, w oddali dostrzegam czarno-czerwoną zbroję Czarnej Gwardii. Żołnierz klnie głośno i próbuje zapanować nad bestiami, ale one wierzgają i nie chcą się uspokoić.

Aż nagle zwierzęta uspokajają się, spuszczają łby. Ludzie w dokach się rozstępują.

W polu widzenia pojawia się postać w czerni.

– Na moce piekielne – wyrzuca z siebie Avitas z niedowierzaniem.

Upiorne spojrzenie Zwiastuna Nocy jest utkwione we mnie. Nie jestem zaskoczona. Spodziewałam się, że Keris będzie trzymać tego dzinna potwora blisko siebie. Wie, że próbuję ją zabić. Wie, że jeśli z pomocą swojego ulubieńca o nadprzyrodzonych mocach uda jej się wedrzeć do mojej głowy, nie mam szans.

Przypominam sobie godziny spędzone z Avitasem uczącym mnie strzec dostępu do swojego umysłu. Bez końca spokojnie tłumaczył, żeby traktować swoje najskrytsze myśli jak klejnoty zamknięte w skrzyni spoczywającej we wraku okrętu gdzieś na dnie nieznanego morza. Harper nie wiedział o ciąży Liwii. Z nikim o tym nie rozmawiałam. Wie za to, że przyszłość Imperium zależy od tego, czy uda się unieszkodliwić komendantkę. Był bardzo wymagającym nauczycielem.

Nie było czasu na sprawdzanie moich umiejętności. Mogłam mieć tylko nadzieję, że przygotowania były wystarczające. Gdyby Keris dowiedziała się, że Liwia jest w ciąży, kilka dni później w pałacu pojawiliby się zabójcy.

Mimo to, kiedy przybijamy do brzegu, w głowie mam mętlik. *Skup się, Kruku. Od tego zależy życie twojej siostry. Od tego zależy przyszłość Imperium.*

Schodząc po trapie, nie patrzę Zwiastunowi Nocy w oczy. Popełniłam już raz ten błąd, wiele miesięcy temu, kiedy spotkałam go w Serze. Teraz wiem, że te oczy pokazywały moją przyszłość. Zobaczyłam w nich śmierć najbliższych. Wtedy tego nie rozumiałam, myślałam, że to moje własne lęki.

– Witaj, Kruku Krwi. – Nie potrafię ukryć drżenia, słysząc chrapliwy głos Zwiastuna Nocy. Przywołuje mnie gestem do siebie. *Jestem głową rodu Aquilla. Jestem Maską. Dowodzę Czarną Gwardią. Jestem Krukiem Krwi, prawą ręką imperatora Wojan.* Zmuszam ciało do zachowania spokoju, mierząc go z wyższością wzrokiem.

Ale ciało mnie zdradza.

Odgłos płynącej rzeki cichnie. Woda nie uderza już o burty statku. Dokerzy nie pokrzykują na siebie. Maszty nie trzeszczą, nie słychać łopotu żagli ani odległego szumu morza. Dżinna spowija kompletna cisza, rodzaj klosza, którego nic nie zdoła przebić.

*Panuj nad sobą, Kruku. Nie daj mu niczego.*

– Aha – odzywa się Zwiastun Nocy spokojnie, kiedy staję przed nim. – Winszuję, Kruku Krwi. Widzę, że zostaniesz ciotką.



## XIV: Laia

Więzienie Morzan jest wielkie, zimne i panuje w nim niesamowita cisza. Krążę po marnie oświetlonej celi, dotykając dłonią kamiennej ściany. Jest tak gruba, że mogłabym krzyczeć w nieskończoność, a siedzący po drugiej stronie korytarza Darin i tak by mnie nie usłyszał.

Mój brat musi teraz odchodzić od zmysłów. Wyobrażam sobie, jak zaciska pięści, drepce po celi i zastanawia się, kiedy uciekniemy. Jeśli w ogóle. Może to nie jest Kauf, ale jednak więzienie. A demony prześladowające Darina nie pozwolą mu o tym zapomnieć.

A to znaczy, że muszę zachować spokój i równowagę ducha za nas oboje i znaleźć drogę ucieczki.

Kończy się noc, nastaje świt, ale dopiero późnym popołudniem słyszę szcęk zamka i do mojej celi wkraczają trzy postacie. W jednej z nich rozpoznaję panią kapitan, która nas aresztowała, druga to jeden z jej żołnierzy. Moją uwagę przykuwa jednak trzecia postać, wysoka, szczelnie okryta kobieta, otoczona przez ghule.

Gromadzą się jak wygłodniałe kruki u jej stóp, sycząc i drapiąc ją. Zdaję sobie sprawę, że ona ich nie widzi.

– Przyprowadź tu jej brata, kapitanie Eleiba. – Jej serrański akcent jest chrapliwy i melodyjny. Z takim głosem mogłaby zostać *Kehanni*. Jest mniej więcej w wieku Afyi, może trochę starsza, ma jasnobrązową cerę i gęste, proste, czarne włosy spięte w kok. Wyprostowana jak struna kroczy z gracją, jakby niosła na głowie książkę. –

Siadaj, dziecko – zwraca się do mnie i choć głos ma miły, to kryjąca się w nim groźba jeży mi włosy na głowie. Czy ghule wywierają na nią wpływ? Nie wiedziałam, że dysponują taką mocą.

„Żywią się żalem, smutkiem i zapachem krwi”. Tak powiedział mi dawno temu Spiro Teluman. Jakie smutki trapią tę kobietę?

Do celi wchodzi Darin. Zwalnia w progu, wybałusza oczy. On też widzi ghule. Kiedy siada obok mnie na pryczy, chwytam jego dłoń i ściskam mocno. *Nie mogą nas tu zatrzymać. Nie pozwolę im na to.*

Kobieta przygląda mi się długą chwilę, a potem się uśmiecha.

– W niczym nie przypominasz Lwicy – zwraca się do mnie. – Za to ty – spogląda na Darina – jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody. Postępowała rozsądnie, ukrywając cię. Podejrzewam, że tylko dlatego jeszcze żyjesz.

Ghule wspinają się po jej pelerynie i syczą jej do ucha. Wargi kobiety wykrzywają się w szyderyczym uśmiechu.

– Mój ojciec mówi, że Mirra zawsze miała swoje sekrety. Zastanawiam się, czy jesteś do niej podobny także pod innymi względami. Czy wolisz walczyć, niż naprawiać, niszczyć, zamiast budować...

– Jak śmiesz tak mówić o mojej matce. – Twarz czerwienieje mi z gniewu.

– Do księżniczki Morzan Nikli masz zwracać się „księżniczko” albo „Wasza Wysokość” – zwraca mi uwagę Eleiba – i z szacunkiem należnym jej pozycji.

Ta kobieta nawiedzona przez ghule będzie pewnego dnia rządziła królestwem Morzan? Mam ochotę odgonić od niej widmowe stwory, ale wyglądałoby to na napaść na nią. Morzanie podchodzą mniej sceptycznie do magii niż Scholarzy, ale coś mi mówi, że nie uwierzą mi, kiedy powiem im, co widzę.

– Nie fatyguj się, Eleibo – prycha Nikla. – Powinłam się domyślić, że tej dziewczynie braknie subtelności w takim samym stopniu jak Lwicy. A teraz porozmawiajmy o tym, dlaczego się tu znaleźliście.

– Bardzo proszę – mówię przez zaciśnięte zęby, bo wiem, że moje życie jest w rękach Nikli. – Mój brat i ja jesteśmy tutaj, żeby...

– Robić broń z serrańskiej stali – kończy za mnie Nikla. – I dostarczać ją scholarskim uchodźcom zalewającym miasto. Wzniąć powstanie. Rzucić wyzwanie Morzanom mimo tego wszystkiego, co robiliśmy dla waszego ludu, odkąd Imperium wysiedliło was setki lat temu.

Jestem tak osłupiała, że trudno mi wydusić z siebie słowo.

– Nie – zaprzeczam głośno. – Mylisz się, księżniczko. Nie przybyliśmy tu, by wykuwać broń, tylko...

Mam jej powiedzieć o Zwiastunie Nocy? O Shaevie? Wspominam wszystkie historie o magicznej przemocy zasłyszane w drodze. Ghule mogą ją przekonywać, że kłamie, ale moim obowiązkiem jest ją ostrzec.

– Rodzi się zagrożenie, księżniczko. Poważne zagrożenie. Bez wątpienia słyssałaś opowieści o morzańskich statkach tonących na spokojnych wodach, o dzieciach znikających nocą.

Stojąca obok Nikli Eleiba sztywnieje, w jej oczach dostrzegam potwierdzenie swoich słów. Ona wie! Tymczasem Nikla unosi dłoń. Ghule chichoczą perfidnie, wpatrują się we mnie zmrużonymi czerwonymi oczami.

– Posyłasz przed sobą sprzymierzeńców i rozsiewasz takie plotki wśród Scholarów – odzywa się Nikla. – Opowieści o legendarnych potworach. Tak, twoi mali przyjaciele dobrze wypełniają polecenia.

Araj. Skiryaci. Wzdycham. Elias ostrzegał mnie, że przywódca Skirytów będzie rozpowiadał na prawo i lewo o moich wyczynach. Nie przywiązywałam jednak do tego wagi.

– Rozsławili cię wśród niedawno przybyłych Scholarów, uciemienzonego ludu podatnego na manipulacje. A potem przybyłaś tu z bratem, z całym dziedzictwem waszej matki i obiecujesz im serrańską stal i poczucie bezpieczeństwa. Wszyscy buntownicy mówią to samo, dziewczyno. Te opowieści różnią się jedynie szczegółami.

– Nie szukamy kłopotów. – Rosną we mnie obawy, ale przypominam sobie

dziadka, jak odbierał bliźniaczy poród, a ja spanikowałam. To był pierwszy poród, jaki widziałam, i wtedy jego spokój dał mi ukojenie, przestały mi się trząść ręce. – Chcemy tylko...

– Nie traktuj mnie protekcyjnie. Nasi ludzie zrobili dla was wszystko. – Nikla przechadza się po niewielkiej celi, a ghule podążają za nią jak stado wiernych psów. – Wpuściliśmy was do naszego miasta i pozwoliliśmy zintegrować się z morzańską kulturą. Ale nasza wspaniałomyślność ma swoje granice. Nie jesteśmy takimi sadystami jak Wojanie. Ale nie będziemy też witać z otwartymi ramionami awanturników. Wiedz, że jeśli nie będziecie ze mną współpracować, każę kapitan Eleibie wsadzić was na statek płynący do terytoriów Plemieńców, tak jak postąpiliśmy z waszymi przyjaciółmi.

*O bogowie.* Teraz już wiem, co się stało z Arajem, Tas i całą resztą Skirytów. Mam tylko nadzieję, że są cali i zdrowi.

– Na terytoriach Plemieńców roi się od Wojan. – Próbuję powściągnąć złość, ale im dłużej ta kobieta mówi, tym bardziej chce mi się krzyżeć. – Jeśli nas tam pošlecie, zostaniemy zabici albo zrobią z nas niewolników.

– To prawda. – Nikla przekrzywia głowę, w świetle lamp jej oczy robią się równie czerwone jak oczy ghuli. Czy to Zwiastun Nocy nasłał na nią ghule? A może Nikla jest jego kolejnym ludzkim sojusznikiem, podobnie jak naczelnik więzienia Kauf czy komendantka?

– Mam dla ciebie propozycję, Darinie z Serry – ciągnie Nikla. – Jeśli jesteś rozsądny, przyznasz, że jest ona uczciwa. Chcesz wykuwać serrańską stal. Bardzo dobrze. Wykuwaj ją dla morzańskiej armii. Dostarczymy ci wszystko, czego będziesz potrzebował, i zapewnimy utrzymanie tobie i twojej siostrze.

– Nie. – Darin siedzi ze wzrokiem utkwionym w podłogę. – Nie zrobię tego.

Powiedział „nie zrobię”, a nie „nie mogę zrobić”, zauważam. Pojawia się promyk nadziei. Najważniejsze jest to, czy mój brat pamięta jeszcze, jak się wyrabia stal. Może w drodze z Lasu Zmierzchu do Adisy coś w nim drgnęło i przypomniał sobie wszystko, czego nauczył go Spiro?

– Zastanów się...

– Nie zrobię tego. – Darin podnosi się, jest wyższy o pół głowy od Nikli. Eleiba staje pomiędzy nimi, ale Darin mówi spokojnie i cicho, ręce ma opuszczone wzdłuż tułowia, otwarte dłonie. – Nie uzbroję kolejnej grupy ludzi, żeby mój lud nie musiał zdawać się na ich łaskę.

– Wypuść nas, proszę. – Kopię gromadkę ghuli, rozpraszając ją, zanim znowu zgromadzą się wokół Nikli. – Nie chcemy wam wyrządzić żadnej krzywdy. Macie większe powody do zmartwienia od dwojga Scholarów, którzy zamierzają trzymać się z dala od kłopotów. Imperium zaatakowało Plemieńców, może też zwrócić się przeciwko Morzanom.

– Wojanie podpisali traktat z Morzanami.

– Wcześniej podpisali też traktat z Plemieńcami – przypominam jej. – A mimo to na pustyni zginęły lub zostały pojmane setki ludzi. Nie znasz nowego imperatora, księżniczko. On jest... inny. To nie jest człowiek, z którym da się współpracować. On jest...

– Nie mów mi o polityce, dziewczyno. – Nikla nie dostrzega ghula, który przywarł do jej policzka i uśmiecha się obrzydliwie. Zbiera mi się na mdłości. – Na dworze mojego ojca liczono się z moją opinią, zanim ty się urodziłaś. – Zwraca się teraz do Darina. – Moja oferta pozostaje aktualna. Albo będziesz robił broń dla mojej armii, albo możesz szukać szczęścia na terytoriach Plemieńców. Masz czas do namysłu do świtu.

\*\*\*

Nie zamierzamy z Darinem marnować czasu na omawianie propozycji Nikli. Wiem, że jest ona nie do zaakceptowania. Ghule zawładnęły jej ciałem, co oznacza, że to Zwiastun Nocy kieruje morzańską polityką. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują teraz Scholarzy, jest kolejna grupa tyranizująca ich dlatego, że nie mają odpowiedniej broni.

– Powiedziałaś „nie zrobię tego”. – Długo się zastanawiałam, zanim odważyłam się wspomnieć o nieuprzejmej odpowiedzi Darina na propozycję Nikli. Darin krąży teraz po celi jak rozdrażniony rumak uwięziony w zagrodzie. – Kiedy Nikla poprosiła, żebyś robił dla nich broń, powiedziałaś „nie zrobię tego”, a nie „nie mogę tego zrobić”.

– Przejęzyczenie. – Darin zatrzymuje się, stoi do mnie plecami i choć trudno mi to przyznać, wiem, że kłamie. Powinnam naciskać czy dać mu spokój?

*Już sobie odpuszczalaś, Laio. Jeśli odpuszczysz teraz, to będzie znaczyło, że Izzi umarła na darmo. Że Elisa został uwięziony na darmo. Że kuzyn Afyi zginął na darmo.*

Zmieniam taktykę.

– Myślisz, że Spiro...

– Czy moglibyśmy nie rozmawiać o Spirze, broni i wykuwaniu stali? – Darin siada obok mnie przygarbiony, wygląda, jakby przytłaczały go ściany i sufit celi. Zaciska pięści. – Jak się stąd wydostaniemy?

– Dobre pytanie – dobiega nas czyjś głos od progu. Podskakuję nerwowo na pryczy. Przecież przed chwilą drzwi były zamknięte naглуcho. – Znam na nie odpowiedź, więc może mnie wysłuchacie.

O futrynę opiera się młody ciemnoskóry Scholar. Nie kryje się przed strażnikami, bo ich nie ma. Zniknęli.

Mężczyzna jest przystojny, ma czarne włosy i smukłą sylwetkę szermierza. Jego ramiona pokrywają tatuaże, ale w panującym półmroku nie potrafię dostrzec, co symbolizują. Podrzuca w dłoni pęk kluczy jak piłkę. Jest w tym jakaś drażniąca niefrasobliwość. Charakterystyczny błysk w jego oczach i chytry uśmieszek wydają

mi się znajome.

– Znam cię. – Robię krok w tył i żałuję, że nie mam swojego sztyletu. – To ty chodziłeś za nami jak cień.

Mężczyzna gnie się w szyderczym ukłonie, co natychmiast budzi moją podejrzliwość. Darin się najeża.

– Jestem Musa z Adisy – przedstawia się mężczyzna. Syn Ziada i Azmathy z Adisy. Wnuk Mehra i Sairy z Adisy. I wasz jedyny przyjaciel w tym mieście.

– Powiedziałaś, że znasz sposób na rozwiązanie naszych problemów. – Ufać temu człowiekowi byłoby głupotą, ale Darin i ja musimy się jakoś stąd wydostać. Całe to gadanie Nikli o wsadzeniu nas na statek to bzdury. Nie pozwoliłaby tak po prostu odejść człowiekowi znającemu sekret serrańskiej stali.

– Zabiorę was stąd, ale nie za darmo.

*No jasne.*

– Jaka jest twoja cena?

– Ty – zwraca się do Darina – zrobisz broń dla Scholarów. A ty – przenosi wzrok na mnie – pomożesz mi wskrzesić scholarski ruch oporu.

Zapada długa cisza, a ja z trudem hamuję się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. I pewnie wybuchłabym, gdyby nasza sytuacja nie była tak tragiczna.

– Nie, dziękuję. Mam dosyć przekłętego ruchu oporu i wszystkich tych, którzy go wspierają.

– Spodziewałem się, że to powiesz – stwierdza Musa – po tym, jak potraktowali cię Mazen i Keenan. – Uśmiecha się ponuro, a ja zaciskam pięści i patrzę na niego kompletnie zaskoczona.

*Skąd on to wie?*

– Przepraszam – dodaje. – Nie Keenan, tylko Zwiastun Nocy. Tak czy owak, twoja nieufność jest usprawiedliwiona. Ale musisz przecież powstrzymać władcę dzinnów, prawda? Więc nie możesz tu tkwić.

Gapimy się na niego z Darinem z rozdziawionymi ustami. Pierwsza odzyskuje głos.

– Skąd wiesz o...

– Patrzę. Słucham. – Musa przytupuje i zerka w głąb korytarza. Nagle sztywnieje. Gdzieś z zewnątrz dochodzą głosy, ostre, pośpiesznie wydawane komendy. – Decydujcie – mówi. – Nie ma już czasu.

– Nie – odpowiada za nas oboje Darin, a ja marszczę czoło. To do niego niepodobne. – Powinieneś już iść, jeśli nie chcesz, żeby cię z nami zamknęli.

– Słyszałem, że jesteś uparty. – Musa wzdycha. – Ale pomyśl logicznie. Nawet jeśli odkryjecie sposób na wydostanie się stąd, to jak znajdziecie Pszczelarza, mając cały czas morzańską pogoń na karku? Zwłaszcza jeśli Pszczelarz nie chce być znaleziony?

– Skąd... – Powstrzymuję się przed kolejnym pytaniem. Już mi na nie odpowiedział. Patrzy. Słucha. – Ty znasz Pszczelarza – stwierdzam.

– Przysięgam, że was do niego zaprowadzę. – Musa rozcina ostrzem noża skórę na dłoni, krew kapie na podłogę. Unoszę brwi. Przysięga krwi to nie byle co. – Zaraz po tym, jak was stąd zabiorę. O ile przyjmiecie moje warunki. Musimy się jednak pospieszyć.

– Darinie. – Chwytam brata za ramię i odciągam go w kąt celi. – Jeśli on zaprowadzi nas do Pszczelarza, zaoszczędzimy kilka tygodni.

– Nie ufam mu – odpowiada Darin. – Wiesz, że o niczym tak nie marzę jak o tym, żeby się stąd wydostać. Ale nie mogę składać obietnic bez pokrycia. Ty też nie powinnaś. Dlaczego on chce, żebyś mu pomogła w odrodzeniu ruchu oporu? Jaką będzie miał z tego korzyść? Dlaczego nie zajmie się tym sam?

– Też mu nie dowierzam – mówię. – Ale on daje nam szansę stąd uciec. – Wpatruję się uważnie w oczy brata. Myślę o jego niedawnym kłamstwie. I choć nie chcę go zranić, to wiem, że jeśli mamy się stąd wyrwać, musimy to zrobić.

– Wybaczcie – odzywa się Musa – ale naprawdę już musimy...

– Zamknij się – warczę i zwracam się do Darina. – Okłamałeś mnie. Na temat broni. Nie! – Uciszam go, unosząc dłoń. – Nie jestem zła. Ale wydaje mi się, że nie wiesz, co robisz. Ty po prostu nie chcesz robić broni. To samolubne. Nasz lud nas potrzebuje, Darinie. I to powinno znaczyć więcej niż twoje pragnienia czy niepokoje. Widziałeś sam, co dzieje się ze Scholarami. I lepiej nie będzie. Nawet jeśli pokonam Zwiastuna Nocy, zawsze będziemy kimś gorszym, jeśli nie upomnimy się o swoją godność. Potrzebujemy serrańskiej stali.

– Ja chcę ją wytwarzać, Laio, naprawdę...

– Więc spróbuj – odpowiadam. – O nic więcej cię nie proszę. Spróbuj. Dla Izzi. Dla Afyi, która straciła wielu swoich ludzi, pomagając nam. Dla – głos mi się łamie – dla Eliasa... który poświęcił życie dla ciebie.

W błękitnych oczach Darina widzę zaskoczenie i ból. Znów budzą się jego demony, domagają się uwagi. Ale gdzieś tam pod pokładami strachu nadal jest synem Lwicy i tym razem odwaga bierze górę.

– Tam gdzie ty, siostrzyczko, tam i ja. Spróbuję.

W jednej chwili Musa, który bezwstydnie podsłuchiwał naszą rozmowę, przywołuje nas i wyprowadza na korytarz. Wychodząc, Darin chwyta go za gardło i rzuca na ścianę. Słyszę dźwięk przypominający ćwierkanie ptaków, który cichnie, kiedy Musa wykonuje dziwny ruch ręką imitujący cięcie. Czyżby ghul?

– Jeśli skrzywdzisz moją siostrę – mówi spokojnym tonem Darin – jeśli ją zdradzisz albo zawiedziesz jej zaufanie, jeśli sprawisz jej ból, to przysięgam na bogów, że cię zabiję.

Musa wykrztusza z siebie odpowiedź, a kiedy Darin go puszcza, w głębi korytarza słychać zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Kilka chwil później drzwi się

otwierają i w progu pojawia się Eleiba z szablą w dłoni.

– Musa! – warczy. – Powinnam była się domyślić. Jesteś aresztowany.

– No i masz. – Musa rozmasowuje szyję. – Gdyby nie twoje braterskie pozy, byłibyśmy już daleko stąd. – Następnie szepcze coś niezrozumiale i Eleiba zatacza się do tyłu, klnąc szpetnie, jakby nagle zaatakowało ją coś, czego nie możemy zobaczyć.

Musa spogląda na Darina, potem na mnie.

– Jeszcze jakieś groźby? Będziecie dalej marnować czas na dyskusje? Nie. Świetnie. W takim razie wynośmy się stąd wreszcie.

\*\*\*

Bladym świtem Musa, Darin i ja wychodzimy z pracowni krawieckiej na ulicę Adisy. W głowie mi się kręci po wędrowce dziwnym labiryntem tuneli, korytarzy i przejść, które nas doprowadziły do tego miejsca. Najważniejsze, że jesteśmy wolni.

– Niezły czas – odzywa się Musa. – Jeśli się pospieszymy, dotrzemy do bezpiecznej kryjówki, zanim...

– Zaczekaj. – Chwytam go za ramię. – Nigdzie z tobą nie pójdziemy. – Stojący obok mnie Darin żarliwie przytakuje. – Dopóki nie powiesz nam, kim jesteś. Skąd zna cię kapitan Eleiba? Co ją, na bogów, zaatakowało? Słyszałam jakiś dźwięk. Przypominał ghula. Nie dziw się, że mnie to niepokoi. Widziałam stado ghuli otaczających księżniczkę Nikłę.

Musa z łatwością oswobadza się z mojego uścisku, gładzi koszulę, która jest całkiem dobrze skrojona jak na scholarski strój.

– Ona nie zawsze taka była – odpowiada. – Mam na myśli Nikłę, księżniczkę. Ale to teraz nieważne. Zaraz będzie świt. Naprawdę nie mamy czasu...

– Przestań szukać wymówek – pryham. – I zacznij wreszcie się tłumaczyć.

Poirytowany Musa wydaje z siebie jęk.

– Jeśli odpowiem na wasze jedno pytanie, przestaniecie mnie irytować i pozwolicie się wreszcie zaprowadzić w bezpieczne miejsce?

Zastanawiam się, zerkam na Darina, ale on tylko wymijająco wzrusza ramionami. Teraz, kiedy Musa wyprowadził nas z więzienia, chciałabym uzyskać od niego garść informacji. A kiedy je uzyskam, przywdzieję niewidzialność, ogłuszę go i razem z Darinem znikniemy mu z oczu.

– Zgoda – odpowiadam w końcu. – Kim jest Pszczelarz i jak mogę go znaleźć?

– Och, Laio z Serry. – Jego białe zęby lśnią jak u zadowolonego z siebie rumaka. Pokazuje mi swoje ramię i teraz, w promieniach słońca mogę wreszcie bliżej przyjrzeć się jego tatuażom. Są ich dziesiątki, większych i mniejszych, wszystkie przedstawiają pszczoły gromadzące się wokół ula.

– Pszczelarz to ja, oczywiście. – Uśmiecha się. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że tego nie podejrzewałaś.

## XV: Elias

Od kilku dni na przemian przypochlebiam się i straszę duchy zgromadzone przy murze. Bogowie tylko wiedzą, co się stanie, jeśli pokonają tę przeszkodę. Zdaje mi się, że od godziny są coraz bardziej opętane i rozszalałe. Nie mogę się skupić, moje myśli zagłusza ich przekłętą zawodzenie.

Minęły już dwa tygodnie od chwili, gdy opuściłem Aubarit, a nadal nie wiem, jak szybciej przeprowadzić dusze i jak pomóc *Fakirze*. W nocy szukam schronienia w swoim jedynym sanktuarium, chacie Shaevy. Dusze próbują mnie obłąpić, kiedy tam wchodzę, są dzikie jak tajfun nawiedzający Wyspę Południową.

*Ona nie powinna była...*

*Mój mąż, czy on jest tutaj, powiedz...*

*Widziałaś moją ukochaną...*

Zwykle, kiedy zamykam drzwi chaty, pozostawiając dusze na zewnątrz, mam wyrzuty sumienia. Ale nie dziś. Jestem zbyt zmęczony, zbyt zły na siebie z powodu swojej bezsilności, zbyt zniesmaczony ulgą, jaką daje mi absolutna cisza panująca w chacie.

*Śpij w chacie. Tam nie mogą cię skrzywdzić.*

Shaeva w jakiś magiczny sposób odizolowała chatę od duchów i dzinnów. Jak widać, gusła nie umarły wraz z nią. Wiedziała, że będę potrzebował miejsca, gdzie uda mi się zebrać myśli, i jestem jej za to wdzięczny.

Moja wdzięczność nie trwa jednak długo. Po przygotowaniu i zjedzeniu marnego posiłku, który Shaeva pewnie by wyśmiała, nie mogę zasnąć. Krążę w kółko po chacie dręczony poczuciem winy. Przy jej łóżku wciąż jeszcze stoją buty Łowczyni Dusz. Na stole leżą strzały, do których mocowała pierzyska. Te drobne ślady jej życia zwykle dawały mi ukojenie, zwłaszcza tuż po jej śmierci. Tak jak sama chata przypominały jej wiarę w to, że mogę zostać Łowcą Dusz.

Dziś jednak jej wspomnienie mnie prześladowuje. *Dlaczego mnie nie słuchałeś, Eliasie? Dlaczego się nie uczyłeś?* O bogowie, Shaeva byłaby teraz bardzo rozczarowana.

Kopię z całych sił w drzwi. Głupi pomysł – boli mnie teraz noga. Zastanawiam się, czy całe moje życie będzie się już składało z tych krótkich chwil, kiedy będę sobie uświadamiał własną bezradność oraz to, jakim jestem idiotą. Czy kiedykolwiek zyskam pewność, że wiem, co robię? Czy stanę się starcem niepewnym siebie i zakłopotanym własnymi głupimi posunięciami?

„Nie bądź taki żaloszny”. O dziwo, tym razem w mojej głowie rozbrzmiewa głos Keris Veturii. *Jak szybciej przeprowadzać dusze? Znajdź odpowiedź. Pomyśl.*

Przypominam sobie słowa Aubarit. „Musisz przeprowadzić dusze, ale żeby to zrobić, musisz usunąć się z tego świata”. Brzmi podobnie jak rada Shaevy. Ale



przecież już usunąłem się ze świata. Pożegnałem Laię i Darina. Trzymałem się z dala od wszystkich innych, którzy zbliżali się do Lasu. Wykradam z ludzkich siedzib to, co mi potrzebne, zamiast kupować, tak jak chciałbym to robić.

„Las przywoła dla ciebie swoje wspomnienia”. Czy Tajemnice miały na myśli Mauth? A może jest w tych słowach coś więcej? „Las może oznaczać coś zupełnie innego”, powiedziała Aubarit. Może dusze? Ale one nie spędzają dość czasu w Poczekalni, żeby wiedzieć wszystko.

Z drugiej strony, jeśli się dobrze nad tym zastanowić, nie wszystkie duchy opuszczają Poczekalnię szybko.

*Chucherko.* Chwytam szablę – bardziej z przyzwyczajenia niż z realnej potrzeby – i wybiegam z chaty. Kiedy do niej wchodziłem, słyszałem jej głos. Teraz jednak nigdzie w pobliżu jej nie ma.

*Niech cię szlag, Eliasie, myśl!* Chucherko zwykle unikało Shaevy. Jeśli ta dusza przemawiała, to zwykle do mnie i mówiła wtedy o swojej przytulance. I w przeciwieństwie do innych cieni lubiła wodę. Często pojawiała się w pobliżu strumyka na południe od chaty.

Ścieżka jest wyraźna. Kiedy wprowadziłem się do chaty, Shaeva natychmiast przerzuciła na mnie wszystkie obowiązki domowe wymagające użycia wody.

„Na co ci mięśnie – drażniła się ze mną – jeśli nie po to, żeby dźwigać różne rzeczy dla innych?”

Dostrzegam błysk bieli. Chucherko siedzi na brzegu strumienia i wpatruje się w płynącą wodę.

Obraca ku mnie twarz i próbuje umknąć. Nie jest w nastroju do rozmowy, ale nie mogę pozwolić, żeby mi teraz uciekła.

– Szukasz swojej przytulanki, prawda?

Chucherko zatrzymuje się i w jednej chwili jest już przy mnie.

– Wiesz, gdzie ona jest? – W jej głosie jest tyle szczęścia, że przytłacza mnie poczucie winy.

– Cóż, niezupełnie – odpowiadam. – Ale może byś mi pomogła? A ja pomógłbym tobie?

Chucherko przekrzywia głowę w zamyśleniu.

– Próbuję dowiedzieć się czegoś o magii Poczekalni – rzucam szybko, bojąc się, że Chucherko zniknie. – O Mauth – uściślam. – Jesteś tu już długo. Możesz mi powiedzieć, czy Las ma... wspomnienia?

– Gdzie jest moja przytulanka?

Przeklinam pod nosem. Powinienem wiedzieć, że żadna dusza – zwłaszcza taka, która odmawia przejścia na drugą stronę – mi nie pomoże.

– Przepraszam – mówię głośno. – Poszukam twojej przytulanki. – Odwracam się w stronę chaty. Chyba potrzebuję snu. Może rano przyjdzie mi do głowy lepszy

pomysł. Albo wróć do Aubarit i zapytam, czy pamięta coś jeszcze. A może znajde innego *Fakira*...

– Wspomnienia są w bólu.

Obracam się tak gwałtownie, że tylko jakimś cudem nie ukręcam sobie głowy.

– Co powiedziałaś?

– Wspomnienia są w bólu. – Chucherko okrąża mnie, a ja obracam się w ślad za nią. Nie tracę jej ani na chwilę z oczu. – Wspomnienia są tam, gdzie największe cierpienie, największy gniew.

– Co masz na myśli, mówiąc „największe cierpienie”?

– Cierpienie takie jak moje. Wspomnienia są w bólu. W ich bólu. Ten ból je spala, bo żyją z nim dłużej niż ja.

*Ich ból.*

– Masz na myśli dżinny? – pytam zdławionym głosem.

Ale Chucherko znika, słyszę jeszcze tylko, jak przywołuje swoją przytulankę. Próbuje za nią biec, ale nie nadążam. Zwabione moim głosem gromadzą się inne dusze i zalewają mnie swoim cierpieniem. Uciekam od nich, frunąc z wiatrem, choć wiem, że nie powinienem lekceważyć ich udręki. W końcu i tak ponownie mnie znajdują, a wtedy będę musiał spróbować przeprowadzić część z nich na drugą stronę, choćby po to, żeby nie postradać zmysłów od ich ciągłego uzalania się. Ale zanim tak się stanie, muszę sobie wszystko poukładać w głowie. Im dłużej będę czekał, tym więcej dusz się zgromadzi w Poczekalni.

*Pospiesz się z myśleniem, Eliasie!* Czy dżinny mogą mi jakoś pomóc? Są uwięzione od tysiąca lat, ale kiedyś były wolne i władały najpotężniejszą magią. Są istotami nadprzyrodzonymi. Zrodzonymi z magii, jak ifryty, zmory i ghule. Uchwyciłem się tej myśli jak pies kości. Dżinny muszą wiedzieć znacznie więcej o magii.

Muszę znaleźć sposób, żeby tę wiedzę od nich wydobyć.

## XVI: Kruk Krwi

– Pragną cię powitać głowy rodów z Navium – mówi Zwiastun Nocy, kiedy opuszczamy doki.

Prawie go nie słucham. On wie, że Liwia jest w ciąży. Podzieli się tą informacją z komendantką. W najbliższych dniach moja siostra będzie musiała zmierzyć się z bandą napastników i zabójców i nie będzie mnie wtedy przy niej.

Harper cofa się i rozmawia rozgorączkowany z żołnierzem Czarnej Gwardii, który przyprowadził dla nas konie. Teraz, kiedy już wie o ciąży, przekaże Farisowi i Ralliusowi rozkazy potrojenia straży chroniącej Liwię.

– Głowy rodów są na Wyspie? – pytam Zwiastuna Nocy.

– W rzeczy samej, Kruku Krwi.

W obecnej sytuacji pozostaje mi zawierzyć ludziom chroniącym Liwię. Teraz pilniejszą sprawą jest komendantka. Już zyskała przewagę, posyłając Zwiastuna Nocy, który ma mnie osłabić.

Nie dam jej jednak tej satysfakcji. Chce, żebym udała się na Wyspę? Proszę bardzo. Tak czy owak, muszę odzyskać kontrolę nad tym tonącym okrętem. Jeśli będą tam przedstawiciele najważniejszych rodów, tym lepiej. Staną się świadkami tego, jak odbieram jej władzę.

Jedziemy ulicami miasta zrujnowanego w trakcie ataku ludu z Karkaus. Mijamy zawalone budynki, wypalone zgliszcza.

Ziemia drży, powietrze przeszywa świst kamiennych pocisków miotanych przez balisty. W pewnej chwili jesteśmy zmuszeni zmienić trasę. Przejeżdżamy teraz w pobliżu obłożonej Dzielnicy Południowo-Zachodniej Navium.

Do naszych uszu docierają wrzaski głośniejsze od ryku płomieni. Zasłaniam twarz bandaną, żeby nie czuć dławiącego smrodu palących się ciał.

Mija nas w pośpiechu grupa plebejuszy z dziećmi na rękę i węzełkami z resztkami dobytku. Sposrzegam kobietę z naciągniętym głęboko na głowę kapturem. Jej twarz i ciało skrywają poły peleryny, a dłonie ma poplamione na złoto. Kolor jest tak niezwykle, że wstrzymuję konia, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

Galopem przejeżdża obok nas grupa strażaków, z wiader rozlewa się morska woda. Strażacy mijają nas, a kobieta znika. Żołnierze wyprowadzają z ogarniętego chaosem rejonu całe rodziny. Ze wszystkich stron dobiegają wołania o pomoc. Na środku ulicy stoi przerażona i milcząca mała dziewczynka z twarzą zalaną krwią. Ma nie więcej niż cztery lata. Bez namysłu zawracam wierzchowca i ruszam w jej stronę.

– Kruku, nie! – Nagle pojawia się Avitas i spina swojego konia. – Ktoś się nią zajmie. My musimy dotrzeć na Wyspę.

Wbrew sobie zawracam, choć powinnam podjechać do dziecka i je uleczyć. Żeby się powstrzymać, zaciskam z całych sił palce na brzegu siodła.

Zwiastun Nocy przygląda mi się uważnie z grzbietu swojego ogiera. Nie wyczuwam w tym spojrzeniu złej woli, tylko ciekawość.

– Nie jesteś taka jak ona – komentuje. – Komendantka nie troszczy się o lud.

– Myślałam, że to w niej cenisz, bo sam nie troszczysz się o swój lud.

– Nie troszczę się o twój lud – mówi z naciskiem Zwiastun Nocy. – Ale zdumiewa mnie Keris. Wy, ludzie, tak łatwo zawierzacie innym w zamian za odrobinę nadziei.

– I uważasz, że to czyni nas głupcami? – Kręcę głową. – Nadzieja jest silniejsza niż strach. I silniejsza od nienawiści.

– Masz rację, Kruku Krwi. Keris mogłaby to wykorzystać jako swoją broń. Tymczasem nie robi tego. To głupota.

Marny z niego sojusznik, myślę sobie. Albo niezadowolony, skoro tak otwarcie ją krytykuje.

– Nie jestem jej sojusznikiem, Kruku Krwi. – Zwiastun Nocy przekrzywia głowę, a ja wyczuwam, że jest rozbawiony. – Jestem jej panem.

Pół godziny później naszym oczom ukazuje się port w Navium. Część handlowa, otwarta na morze, jest zrujnowana. Z kanału portowego wystają połamane maszty i porwane, przemoczone żagle. Olbrzymie, porzewiałe, porośnięte mchem i pąklami łańcuchy broniące wejścia do portu są podniesione. Dlaczego nie podniesiono ich, kiedy atakował Grimarr? Gdzie była załoga wież strażniczych? Dlaczego nie powstrzymaliśmy natarcia?

Na północ od portu handlowego znajduje się drugi port, składający się z dwóch kręgów. Ten wewnętrzny krąg to Wyspa, połączona ze stałym lądem mostem. Nad Wyspą góruje olbrzymia wieża z krenelażem. Z jej szczytu widać wybrzeże na odległość wielu mil. Zewnętrzny krąg to zadaszony port wojańskiej floty z setkami stanowisk dla okrętów. Jego rozmiary są zdumiewające.

– Okręty są w porcie, Kruku – zauważa Dex. – Sami im pozwalamy, żeby nas rozgromili.

Choć wiedziałam to już z wcześniejszego raportu Harpera, nie mogę uwierzyć własnym oczom, widząc nasze okręty kołyszące się spokojnie przy nabrzeżu. Zaciskam bezsilnie pięści na myśl o skali zniszczenia.

Kiedy docieramy wreszcie do mostu prowadzącego na Wyspę, staję gwałtownie w miejscu. Na sznurze pod murem wisi admirał Lenidas, a na jego skręconych dziwacznie zwłokach siedzi tłusta wrona. Zagryzam wargi, żeby powstrzymać wymioty. Jego połamane kończyny i popękana od pejcza skóra są dowodem, że śmierć była powolna i bolesna.

Wbiegam na wieżę strażniczą po dwa stopnie naraz. Dex i Harper biegną, starając się dotrzymać mi kroku. Ten ostatni odchrząkuje głośno tuż przed wejściem do sali dowodzenia.

– Kruku. – Nachyla się do mojego ucha, jest wyraźnie zaniepokojony. – Ona urządziła tę szopkę. Czuję to. Nie tańcz, jak ci zagra.

Kiwam zdawkowo głową. Czy on myśli, że tego nie wiem? Wchodzę do wnętrza. Ludzie rodu Veturius pełniący służbę na wieży natychmiast salutują. Komendantka wydaje rozkazy posłańcom i zupełnie ignoruje moją obecność. Wokół mapy rozłożonej na masywnym stole gromadzi się najwyższe dowództwo i tuzin przedstawicieli możnych rodów Navium. Wszyscy obracają się jak jeden mąż.

– Witaj, bratanku. – Rozpoznaję po głosie Janusa Atriusa, wuja Dexa i głowę rodu Atria. Kiwa głową krewnemu, a potem mi salutuje. Nie potrafię dostrzec jego miny, ale zanim powie słowo, zerka ukosem na Keris. – Czy złożono ci meldunek o sytuacji, Kruku?

– Połowa Dzielnicy Południowo-Zachodniej płonie – odpowiadam. – Żadnego innego meldunku nie potrzebuję. Dlaczego nie kontratakujemy? Do zapadnięcia zmroku jest jeszcze kilka godzin. Musimy wykorzystać światło dnia.

Janus i kilka innych głów rodów pomrukuje z aprobatą. Ale reszta kręci głowami, a niektórzy wdają się w głośną dysputę. Dostrzegam, że admirał Argus i wiceadmirał Vissellius wymieniają pełne niechęci spojrzenia. W żadnym z nich na pewno nie znajdę sojusznika.

– Kruku Krwi. – Komendantka skończyła rozmawiać z posłańcami. W sali zapada cisza. Choć do szaleństwa doprowadza mnie jej protekcyjny ton, to podziwiam sposób, w jaki okazuje swoją władzę. Mimo że zgromadzeni tu mężczyźni są wielkimi panami, to żaden nie ośmiela się jej przeciwstawić. – Oczekiwaliśmy, że przybędziesz już kilka dni temu. Ja... my – obrzuca spojrzeniem głowy rodów i oficerów marynarki – jesteśmy na twoje rozkazy.

Nie udaje mi się ukryć zaskoczenia. Jako Kruk Krwi jestem najwyższym rangą oficerem i imperator przysłał mnie tu, żebym objęła dowództwo nad obroną Navium. Nie spodziewałam się jednak, że komendantka tak łatwo ustąpi. Nie spodziewałam się, że w ogóle ustąpi.

Harper rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. „Nie tańcz, jak ci zagra”.

– Keris – zwracam się do komendantki, skrywając nieufność. – Dlaczego nasze okręty nie są na wodzie?

– Pogoda jest zdradliwa, Kruku. Przez kilka ostatnich tygodni szalały sztormy. – Podchodzi do wysokiego okna wychodzącego na południe. Stąd widzę całe wybrzeże, a także odległe maszty potężnej floty Karkaunów. – Ta ściana chmur wisi tu od trzech dni. Kiedy ostatnio zwodowaliśmy flotę, pogoda była podobna.

– Lenidas lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jaka jest pogoda na morzu.

– Lenidas zignorował rozkazy dowódczyni tylko dlatego, że dowodziła siłami lądowymi, a nie flotą. – Admirał Argus jest głową jednego z najpotężniejszych merkatorskich rodów i widać, jak rozwścieczyła go utrata floty handlowej. – Generał Veturia zabroniła mu wodować okręty, lecz on nie posłuchał. Dlatego wszyscy, jak tu jesteśmy – rzuca spojrzenie spode łba – poparliśmy decyzję o egzekucji Lenidas.

– Nie wszyscy – oświadcza chłodno Janus Atrius.

– Nie chodzi o Lenidasa – odzywam się. Staruszek nie żyje i choć nie zasłużył na tak haniebną śmierć, tej bitwy nie wygram. – Keris, czy byłeś w Dzielnicy Południowo-Zachodniej po tym, jak rozpoczął się atak?

Argus wysuwa się naprzód, staje przede mną jak przykucnięta wojownicza ropucha.

– Komendantka...

Stojący obok mnie Dex kładzie dłoń na rękojęści szabli.

– Przerwij mi jeszcze raz, Argusie – zwracam się do admirała – a każę kapitanowi Atriusowi zrobić naszyjnik z twoich wnętrzności.

W pomieszczeniu zapada grobowa cisza. Daję zgromadzonym czas, żeby dotarły do nich moje słowa.

– Panowie – odzywam się wreszcie. – Nie zwołużę floty bez waszej aprobaty. Ale weźcie pod uwagę, jakie ponosimy straty. Już zginęło ponad tysiąc ludzi, a kolejne dziesiątki umierają w tej chwili. Widziałam dzieci z urwanymi kończynami, kobiety przygniecione gruzami, powoli konające. Grimarr to bezwzględny przeciwnik. Pozwolimy mu zdobyć miasto?

– Większa część miasta jest bezpieczna – zauważa Vissellius. – Tylko dzielnica Południowo-Zachodnia...

– To, że nie są merkatorami czy ilustrianami, nie czyni życia tych ludzi mniej wartościowym. Musimy coś zrobić.

– Balisty na wieży strażniczej... – wtrąca Keris, uciszając dłońią pozostałych.

– Są zbyt daleko, by wyrządzić większą szkodę wrogim okrętom – przerywam jej. – Jaki, na bogów, był twój plan? Zamierzałaś siedzieć tu i pozwolić im zniszczyć miasto?

– Nasz plan zakładał przekonanie ich, że mogą zaatakować miasto – odpowiada komendantka. – Gdyby popełnili błąd i dokonali desantu, starlibyśmy ich z powierzchni ziemi. Zaatakowalibyśmy ich okręty – wskazuje na mapę – z pobliskiej zatoczki, dokąd przerzucilibyśmy naszą flotę pod osłoną nocy. Zatrzymalibyśmy siły lądowe, a jednocześnie przejęli ich okręty, które zastąpiłyby statki merkatorów zatopione w porcie.

Przekłęta pogoda nie ma tu żadnego znaczenia. Komendantka chce przejąć barbaryjskie okręty. Przejmując je, miałyby w garści głowy rodów, a przecież lepiej liczyć na ich wsparcie, kiedy ponownie spróbuje obalić Marcusa.

– A kiedy dokładnie zamierzałaś to zrobić?

– Spodziewaliśmy się trzytygodniowego oblężenia. Blokowaliśmy ich dostawy. W końcu Grimarrowi i jego ludziom zabrakłoby żywności.

– Kiedy skończą z Dzielnicą Południowo-Zachodnią, zajmą się Południowo-Wschodnią. Chcesz pozwolić, żeby tysiące domów były oblegane prawie miesiąc? Tam żyje ponad sto tysięcy ludzi...

– Ewakuujemy południową część miasta, Kruku.

– Nie dość szybko – zauważam. Musimy chronić Navium, to oczywiste. Ale wyczuwam tu pułapkę. Harper cały czas trzyma dłoń na rękojeści szabli. On też to czuje. Poza tym nie mogę pozwolić, żeby Grimarr mordował moich ludzi. – Admirale Argusie, ile czasu zajmie przygotowanie floty?

– Możemy spuścić okręty na wodę przed drugim dzwonem, ale pogoda...

– Zaatakujemy wroga na morzu – postanawiam i choć obiecałam, że zapytam głowy rodów o opinię, to nie mam teraz na to czasu. – I zrobimy to natychmiast.

– Jestem z tobą, Kruku. – Janus Atrius występuje krok naprzód, a w jego ślady idzie pół tuzina oficerów i notabli. Większość jest najwyraźniej przeciwna.

– Weź pod uwagę, Kruku – odzywa się Keris – że flota jest naszą jedyną obroną. Jeśli nadejdzie sztorm...

– I ty, i ja dobrze wiemy – odpowiadam spokojnie – że to nie ma nic wspólnego z pogodą.

Zerkam na Dexa, który potakuje, i Harpera obserwującego komendantkę z nieprzeniknioną miną. „Nie tańcz, jak ci zagra”. Mogłabym w ten sposób ułatwić jej zadanie. Muszę jednak wymyślić jakiś sposób, by wydostać się z zastawionej przez nią pułapki. Chodzi o życie moich ludzi, nie mogę pozwolić, by umierali.

– Admirale Argusie. – Ton mojego głosu nie dopuszcza sprzeciwu i choć widzę w jego spojrzeniu niezadowolenie, to nie pozwala sobie na żaden komentarz. – Zwodować flotę.

\*\*\*

Godzinę później ludzie są zebrani i rozpoczyna się mozolny proces wodowania okrętów. Po dwóch godzinach flota wypływa z portu wojennego i kieruje się do części handlowej. Po trzech godzinach nasi ludzie walczą z armią Grimarra.

Ale po czterech godzinach gęstnieją chmury deszczowe, niebo przybiera granatową barwę i już wiem, że mamy problem. Niebo przecinają błyskawice, uderzają w jeden maszt po drugim. Płomienie sięgają wysoko, a odległe błyski światła mówią mi, że ważą się losy bitwy i to nie my zwyciężamy.

Sztorm rozpoczyna się nagle, dociera do Navium od południa niesiony złowrogim wiatrem. Jest już za późno, żeby wycofać flotę.

– Admirale Argusie pływa po tych wodach od dwudziestu lat – uspokaja mnie Dex. – Może jest psem Keris, ale sprowadzi flotę do portu. Nie chce przecież umierać.

Powinna być popłynąć z nimi. Ale komendantka, Harper i Dex zaprotestowali. W tym jednym byli zgodni.

Podchodzę do Keris, która rozmawia cicho z posłańcem z wieży bębnowej.

– Na razie nie ma żadnych meldunków, Kruku – zwraca się do mnie. Na wieży nic nie słychać z powodu sztormu. Musimy czekać.

Posłaniec odchodzi i przez chwilę pozostajemy same.

– Kim jest ten Grimarr? – pytam ją. – Dlaczego nic o nim nie wiemy?

– To fanatyk, czarownik, który czci zmarłych. Uważa, że jego duchowym posłannictwem jest nawrócenie tych, których uważa za nieoświeconych. Dotyczy to także Wojan.

– Zabijając nas.

– Jak widać. Jest stosunkowo młody, ma może dziesięć lat więcej od ciebie. Jego ojciec handlował skórami, więc Grimarr jako chłopiec przemierzał imperium wzdłuż i wszerz, miał zatem okazję poznać nasze zwyczaje. Wrócił do swojego ludu dziesięć lat temu, kiedy zapanowała klęska głodu. Klany głodowały, były słabe i uległe. – Komendantka wzrusza ramionami. – Zrobił z nimi, co chciał.

Jestem zaskoczona jej wiedzą i najwyraźniej widać to na mojej twarzy.

– Jaka jest pierwsza reguła wojny, Kruku?

*Poznaj swojego przeciwnika.* Nie muszę tego mówić głośno.

Wyglądam przez okno na burzowe chmury i przechodzi mnie dreszcz. Ta zawierucha sprawia wrażenie nadprzyrodzonej. Dzikiej. Z przerażeniem myślę, co się stanie, jeśli nasza flota ulegnie. Posłaliśmy na morze niemal wszystkie okręty, w porcie pozostało ich może dziesięć. Nadchodzi noc, a nadal nie ma żadnych wieści.

*Nie możemy stracić floty. Jesteśmy Imperium. Wojanami. Ludzie Argusa są wyszkoleni. Widywali gorsze sztormy.*

Chwytam się każdego skrawka nadziei, jaką podsuwa mi umysł. Ale wraz z upływem czasu rozbłyski odległej bitwy nie słabną. Coraz rzadziej tylko odzywa się nasza artyleria pokładowa.

– Powinniśmy podnieść łańcuchy chroniące port, Kruku – odzywa się w końcu komendantka. Notable zgadzają się z nią, pomrukując gniewnie.

– Nasza flota jest poza portem.

– Jeśli flota ocaleje, dowiemy się o tym rano i opuścimy łańcuchy. Jeśli nie, to łańcuchy nie pozwolą wrogowi wdrzeć się do Navium.

Kiwam głową na znak zgody i zostają wydane odpowiednie rozkazy. Nadchodzi noc. Czy to sztorm niesie drwiące okrzyki napastników, czy to tylko wiatr? „Nadzieja jest silniejsza od strachu. I silniejsza od nienawiści”. Powiedziałam te słowa Zwiastunowi Nocy i kiedy zapadają ciemności, staram się ich trzymać. Nieważne, co przyniesie świt, nie stracę nadziei.

Wkrótce niebo blednie. Chmury odpływają. Czerwone i szare dachy miasta błyszczą w bladym świetle słonecznym. Morze jest gładkie jak szklana tafla. I nie ma na nim nic prócz okrętów wroga.

Wojańska flota znikła.

*To niemożliwe.*

– Nie posłuchałaś – odzywa się głowa rodu Serica, bogatych handlarzy jedwabiu.



Mój ojciec uważał go za przyjaciela. Mężczyzna jest błądy i drżą mu ręce. Nie ma w jego słowach jadu, ponieważ jest w szoku. – A flota... miasto...

– Ostrzegałam cię, Kruku Krwi. – Słyszac słowa Keris, włos jeży mi się na głowie. Jej spojrzenie jest lodowate, ale nutę triumfu głęboko ukryła. *O co chodzi, na bogów?*

Właśnie straciliśmy całą naszą cholerną flotę. Zginęły tysiące ludzi. Nawet komendantka nie ma się z czego cieszyć w obliczu tej tragedii.

Chyba że taki był jej plan.

Zdaję sobie sprawę, że w istocie tak było. Za jednym zamachem nadszarpnęła mój autorytet, zepsuła opinię i sprawiła, że możne rody uznają ją za dowódcę. Kosztem, jaki musiała ponieść, była cała nasza flota. Plan jest odrażający, diabelski i nie chce mi się nawet o tym myśleć. Choć powinnam.

*Poznaj swojego wroga.*

O niebiosa. Powinnam była zdawać sobie sprawę, że komendantka nie odda tak łatwo władzy.

Z drugiej strony, nie mogła wiedzieć, że zbliża się sztorm. Nikt nie mógł się tego spodziewać. Niebo było tak czyste, a chmury tak odległe.

I nagle, stanowczo za późno, przypominam sobie o Zwiastunie Nocy. Kiedy zawiózł mnie na Wyspę, zniknął. Więcej o nim nie myślałam. Jaką moc posiada? Czy może wywoływać sztormy? I czy to zrobił?

A jeśli tak, to czy zrobił to na żądanie komendantki? Przecież Keris mogła dowieść mojej niekompetencji na tysiące sposobów. Utrata całej floty wydaje się przesadą. Nawet jeśli ustąpię jej pola, to jak zamierza bronić Navium bez okrętów?

Nie, tu musi się toczyć jakaś inna gra. Tylko jaka?

Spoglądam na Dexa, który kręci głową z niedowierzaniem. Nie śmiem spojrzeć na Harpera.

– Pójdę na brzeg sprawdzić, czy uda się coś uratować z wraków – mówi komendantka. – Jeśli oczywiście pozwolisz, Kruku Krwi.

– Idź.

Przedstawiciele możnych rodów opuszczają salę, bez wątpienia chcą się podzielić nowymi informacjami z bliskimi. Keris idzie w ich ślady, ale w progu zatrzymuje się i odwraca. Ona znów jest komendantką, a ja głupiutką uczennicą. W jej oczach widzę rozbawienie i drapieźność. Uśmiecha się.

– Witaj w Navium, Kruku Krwi.

## XVII: Laia

Jest głęboka noc, kiedy docieramy do kryjówki Musy, kuźni znajdującej się w głównej stoczni Adisy, tuż za obozem dla scholarskich uchodźców. O tej porze stocznia jest wyludniona, szkielety budowanych w niej okrętów rzucają złowieszcze cienie.

Musa, nie oglądając się za siebie, otwiera tylne wejście do kuźni, za to ja się niepokoję, mam jakieś niejasne przeczucie, że ktoś lub coś nas śledzi.

Kilka godzin później niepokój znika, a stocznia rozbrzmiewa nawoływaniem budowniczych, waleniem młotów i pełnym protestu skrzypieniem giętego drewna. Ze swojego pokoju na piętrze spoglądam na dziedziniec, gdzie jakaś siwowłosa Scholarka dokłada drewna do ognia. Kakofonia dźwięków w stoczni pozwalałaby potajemnie wykuwać tu broń. Musa powiedział, że dostarczy Darinowi wszelkich potrzebnych materiałów. To oznacza, że mój brat musi zająć się produkcją. Nie ma już teraz żadnej wymówki.

Ja z kolei mogłabym jeszcze jakoś wypłatać się z umowy zawartej z Musą. „Pomożesz mi wskrzesić scholarski ruch oporu”. Dlaczego nie zrobił tego sam? Ma środki. I są na pewno setki Scholarów, którzy przyłączyliby się do niego, szczególnie po aktach ludobójstwa ze strony Imperium.

Tu musi chodzić o coś innego, o coś, o czym nie chce mi powiedzieć.

Po wymarzonej od dawna kąpieli schodzę na dół ubrana w wełnianą ciemnoczerwoną sukienkę i nowe, tylko odrobinę za duże buty. Z dziedzińca dobiegają moich uszu uderzenia stali o stal i głośny śmiech jakichś dwóch kobiet. Kuźnia, choć jest budynkiem fabrycznym, wewnątrz przypomina dom. Są tu grube dywany, na biurku leży rzucony od niechcenia szal, wiszą urocze plemieńskie latarnie. U podnóża schodów ciągnie się długi, szeroki korytarz prowadzący do salonu. Drzwi są szeroko otwarte, dobiega zza nich głos Musy.

– ...bardzo wprawny i mógłby ci asystować – mówi Musa. – Kiedy możesz zacząć?

– Zaraz – odpowiada po długiej przerwie Darin. – Ale trochę czasu zajmie mi przypomnienie sobie formuły. Sporo zapomniałem. – Jego głos jest silniejszy niż w ostatnich tygodniach. Odpoczynek i kąpiel musiały zdziałać cuda.

– W takim razie zapoznam cię z tutejszymi kowalami. Robią garnki, misy, podkowy. Na te przedmioty jest takie zapotrzebowanie, że usprawiedliwi to ilość zużytej przez nas rudy i węgla.

Ktoś za moimi plecami odchrząkuje głośno. Odgłosy kucia milkną, a ja odwracam się i spoglądam na siwowłosą śniadą Scholarkę, którą widziałam na dziedzińcu. Ma na sobie przypalony miejscami skórzany kaftan roboczy. Obok niej stoi młoda kobieta, chyba jej córka, i przygląda mi się ciekawie zielonymi oczami.

– Laio z Serry – odzywa się starsza z kobiet. – Jestem kowalem Zellą, a to jest

moja córka Taure. To dla nas zaszczyt gościć potomków Lwicy. – Zella ujmuje moje dłonie. – Nie wierz w kłamstwa na temat twojej matki rozpowszechniane przez Morzan, drogie dziecko. Oni się ciebie boją. I chcą cię w ten sposób zranić.

– Jakie kłamstwa?

– Słyszeliśmy o wszystkim, co zrobiłaś w Imperium – wyrzuca z siebie jednym tchem Taure, ale zachwyty w jej głosie niepokoi mnie.

– To głównie kwestia szczęścia. Wspomniałaś o mojej matce...

– To nie szczęście. – Z salonu wychodzi Musa, a za nim Darin. – Laia bez wątplenia ma w sobie odwagę matki i znajomość strategii ojca. Zello, pokaż Darinowi, gdzie będzie robił broń, i daj mu to, czego potrzebuje. A ty, Laio, wejdź, proszę. Śniadanie czeka.

Troje kowali odchodzi. Taure jeszcze raz rzuca mi pełne szacunku spojrzenie przez ramię. Wiercę się z zakłopotaniem, ale Musa zaprasza mnie już do salonu.

– Coś ty im o mnie naopowiadał? – syczę przez zęby.

– Nic nie mówiłem. – Wręcza mi tacę z owocami, chlebem i masłem. – Twoja sława cię wyprzedza. Ważny jest tu fakt, że w sposób szlachetny poświęciłaś się dla dobra uchodźców.

Jego zadowolony z siebie wyraz twarzy przyprawia mnie o gęsią skórkę. Dlaczego sprawia wrażenie takiego radosnego?

– Zaplanowałaś pojmanie Darina i mnie?

– Musiałem was jakoś sprawdzić, a wiedziałem, że zdołam wydostać was z więzienia. Postarałem się, żeby kapitan Eleiba dowiedziała się, że wkraczacie do miasta. Zrobiłem to anonimowo, rzecz jasna. Byłem pewny, że jeśli jesteś przywódcą, a taką miałem nadzieję, to nie pozwolisz cierpieć swojemu ludowi, samej się ukrywając.

– Co masz na myśli, mówiąc „przywódca”? – Mrużę oczy.

– To tylko słowo, Laio. Nie ugryzie cię. Tak czy owak, miałem rację.

– Jak śmiałaś narazić tych biedaków na cierpienie?! Stracili swoje domy, swój dobytek. Morzanie zniszczyli obóz.

– Uspokój się. – Musa przewraca oczami. – Nikt nie zginął. Morzanie są zbyt cywilizowani, by tak postępować. Kapitan Eleibę i mnie sporo różni, ale jest człowiekiem honoru. Już rozdała im nowe namioty. Ale teraz będzie wiedziała, że to ja dałem jej znać o was. Będzie chciała się ze mną policzyć. Poradzę sobie z nią później. Najpierw musimy...

– My?

– Najpierw – Musa chrząka znacząco – musisz coś zjeść. Jesteś zła. A ja nie lubię rozmawiać z rozdrażnionymi ludźmi.

*Jak on może wszystko traktować tak lekko?* Robię krok w jego kierunku i zaciskam pięści.

Niemal natychmiast jakaś siła odrzuca mnie w tył. Jakby odepchnęła mnie setka drobnych dłoni. Próbuję się wyswobodzić, ale dłonie trzymają mnie mocno. Instynktownie staram się zniknąć i nawet przez chwilę mi się to udaje. Ale ku mojemu zaskoczeniu Musa niewzruszony moją magią chwyta mnie za ramię i znów staję się widzialna.

– Dysponuję własną magią, Laio z Serry – mówi, a z jego twarzy znika wesołość. – Twoja magia na mnie nie działa. Wiem, co powiedziała ci Shaeva, rozmawiałaś o tym z bratem, idąc tutaj. „Odpowiedzi na twoje pytania są w Adisie. U Pszczelarza. Ale bądź ostrożna, bo, jak ciebie, otaczają go kłamstwa i okrywa cień”. Magia jest moim kłamstwem, Laio, podobnie jak twoim. Mogę być twoim sojusznikiem albo wrogiem. Tak czy owak, będę trzymał cię za słowo. Pomożesz mi wskrziesić ruch oporu.

Puszczam moje ramię, a ja odsuwam się i obciążam sukienkę, starając się nie pokazać po sobie, jakie wrażenie zrobiło na mnie jego wyznanie.

– Wygląda na to, że dla ciebie to tylko zabawa – szepczę. – Nie mam czasu, żeby wskrzieszać z tobą ruch oporu. Muszę powstrzymać Zwiastuna Nocy. Shaeva kazała mi szukać Pszczelarza. I oto jesteś. Tyle że myślałam...

– Myślałaś, że będę starym mędrce, który dokładnie ci powie, co musisz zrobić, żeby powstrzymać dzinny? Życie nie jest takie proste, Laio. Ale możesz być pewna, że to nie jest zabawa. To sposób ocalenia twojego ludu. Jeśli będziesz ze mną współpracować, nie tylko pokonasz Zwiastuna Nocy, ale pomożesz też Scholarom. Na przykład, gdybyśmy współpracowali z królem Morzan...

– Masz na myśli króla, który wyznaczył nagrodę za moją głowę? – pryham. – Tego, który kazał zamknąć kobiety, mężczyzn i dzieci w obozach poza miastem, zamiast potraktować ich jak ludzi? Chodzi ci o tego króla?

Odsuwam od siebie tacę z niedokończonym posiłkiem.

– Jak możesz mi pomóc? Dlaczego Shaeva przysłała mnie do ciebie?

– Ponieważ mogę ci zaofiarować to, czego potrzebujesz. – Musa odchyła się na oparcie krzesła. – To moja specjalność. Powiedz więc, czego potrzebujesz.

– Potrzebuję... – *Muszę potrafić czytać w myślach. Posiadać nadprzyrodzoną siłę większą niż tylko znikanie. Być Maską.* – Muszę mieć oko na Zwiastuna Nocy – odpowiadam wreszcie. – I na jego sojuszników. Przepowiednia mówi, że potrzebuje jeszcze tylko jednego elementu i Gwiazda będzie kompletna. Muszę wiedzieć, czy znalazł ten element albo jest tego bliski. Muszę wiedzieć, czy... nie przymila się do kogoś. Czy nie próbuje zdobyć czyjegoś zaufania. Rozkochać w sobie. Ale... – czuję się beznadziejnie, mówiąc to głośno – jak tego dokonać?

– Wiem z dobrego źródła, że od miesiąca jest w Navium.

– Skąd...

– Nie każ mi się powtarzać, Laio z Serry. Co ja robię?

– Patrzysz. – Czuję taką ulgę, że nawet nie drażni mnie arogancja w jego głosie. –

Słuchasz. Jak szybko możesz mi dostarczyć informacji o dzinnie?

– Pomyślmy. – Musa gładzi się po brodzie. – Dowiedzenie się, że uwolniłaś Eliasa z lochów Czarnego Klifu, zajęło mi tydzień. Sześć dni, że wzniciłaś zamieszki w Nur. Pięć, żeby dowiedzieć się, co Elias Veturius szeptał ci do ucha w nocy, kiedy zostawił cię na pustyni i poszedł do Kauf. Dwa, żeby wiedzieć, co naczelnik więzienia...

– Zaczekaj – przerywam mu gwałtownie. Nagle w pokoju robi się gorąco. Staralam się nie myśleć o Eliasie. Ale on, jak duch, cały czas jest obecny. – Wróc. Co Elias szeptał mi do ucha w nocy, kiedy zostawił mnie i poszedł do Kauf?

– To było niezłe. – Musa patrzy przed siebie rozmarzony. – Bardzo dramatyczne. Mógłbym któregoś dnia użyć podobnych słów wobec jakiejś szczęściary.

*O bogowie, z nim nie da się wytrzymać.*

– Wiesz, czy Elias ma się dobrze? – Stukam niecierpliwie palcami w polerowany blat stołu. – Czy wiesz...

– Moi szpiedzy nie wchodzą do Lasu Zmierzchu – odpowiada Musa. – Za bardzo się boją. Zapomnij o swoim pięknym Wojaninie. A informacje, których potrzebujesz, zdobędę.

– Muszę też wiedzieć, jak powstrzymać Zwiastuna Nocy – dodaję. – Jak z nim walczyć. A takie rzeczy można znaleźć tylko w księgach. Zabierzesz mnie do Wielkiej Biblioteki? Musi tam być coś na temat historii dzinnów, o tym, jak zostali pokonani przez Scholarów.

– Och. – Musa obiera kawałek jabłka i wpycha go do ust, kręcąc głową. – To może zająć trochę czasu, ponieważ mam tam zakaz wstępu. Sugerowałbym, żebyś ukradkiem wślizgnęła się do biblioteki, ale król Irmand zatrudnił Jadunę, która pilnuje wejścia przed wszelkimi stworzeniami używającymi magii.

*Jaduna.* Babcia opowiadała bajki o porywczym władczyniach magii żyjących na zatrutych terytoriach na zachód od Imperium. Wolę nie sprawdzać, czy w tych bajkach tkwi ziarno prawdy.

– No właśnie. – Musa kiwa głową. – Potrafią wyniuchać magię, tak jak rekin wyczuwa krew. Wierz mi, nie chciałabyś się spotkać z jedną z nich.

– Ale...

– Nie martw się. Wymyślmy coś innego. A tymczasem możesz zacząć wypełniać swoją część naszej umowy.

– Posłuchaj. – Staram się, żeby mój głos brzmiał przekonująco. Obawiam się, że Musa nie zechce wysłuchać moich słów ponownie. – Musisz wiedzieć, że nie mam pojęcia, jak...

– Nie wymigasz się od tego. Nawet nie próbuj. Nie oczekuję od ciebie, że zmobilizujesz jutro czy za tydzień stu wojowników. Najpierw musisz stać się kimś wartym wysłuchania, osobą, za którą warto podążyć. A żeby tak się stało, Scholarzy w Adisie i w obozach muszą się dowiedzieć, kim jesteś i czego dokonałaś. A to

oznacza, że w obecnej chwili potrzebuję tylko twoich opowieści.

– Opowieści?

– Tak, opowieści. Zrób sobie herbaty, Laio. Myślę, że to trochę potrwa.

\*\*\*

Spędzam dnie z Darinem, poruszam miechami, dorzucam węgla do pieca, sprawdzam, czy snop iskier powstający przy każdym uderzeniu jego młota nie wywoła pożaru w kuźni. Toczymy bitwy na dziedzińcu, sprawdzając jakość wykutej przez niego broni, która jednak najczęściej się łamie. Mimo to Darin nie poddaje się i z każdym dniem spędzonym w kuźni jest coraz silniejszy, coraz bardziej przypomina siebie z dawnych lat. Zupełnie jakby unoszenie młota przypominało mu o człowieku, jakim był przed uwięzieniem w Kauf, jakim chce być teraz.

Tymczasem mnie nie pozostaje nic innego, jak czekać.

– Żadnego opuszczania kuźni. – Musa powtarza to bez ustanku. – Jaduny składają raporty królowi. Jeśli cię zobaczą, to trafisz z powrotem do więzienia i drugi raz nie uda mi się ciebie ocalić.

Jeśli nawet Musa ma dla mnie jakieś informacje, to nie dzieli się nimi. A może nie ma żadnych wieści ze świata zewnętrznego. Z każdym mijającym dniem staję się coraz bardziej podejrzliwa. Czy ten Scholar naprawdę zamierza mi pomóc? A może jego obietnice to tylko fortel, który ma skłonić Darina do produkcji broni?

Mija tydzień. Potem kolejny. Święto Księżycy przypada za osiem tygodni, a ja spędzam czas na testowaniu szabli, które się łamią. Pewnego ranka, kiedy Musy nie ma w kuźni, wślizguję się do jego pokoju w nadziei, że znajdę coś, cokolwiek, o jego przeszłości, o ruchu oporu, o sieci informatorów. Jednak dowiaduję się jedynie, że lubi kandyzowane migdały, które są poutykane wszędzie: w szufladach, pod łóżkiem, a co najdziwniejsze, w parze starych butów.

Wieczorami Musa przeważnie poznaje mnie z innymi Scholarami, którym ufa. Część z nich to uchodźcy jak ja, ale jest też wielu Scholarów z Adisy. Za każdym razem muszę opowiadać od nowa swoją historię. Za każdym razem Musa nie chce powiedzieć, na czym polega jego plan wskrzeszenia ruchu oporu.

*Co miałaś na myśli, Shaevo? Dlaczego posłałaś mnie do tego człowieka?*

Pewnego dnia nadchodzą wreszcie wiadomości w postaci zwoju, który Musa wyciąga w trakcie kolacji. Darin i Zella są zajęci rozmową, Taure opowiada mi historię dziewczyny, na którą się natknęła w obozie, a ja rzucam mordercze spojrzenia Musie, opychającemu się spokojnie, jakby losy świata nie zależały od posiadanych przez niego informacji.

Tylko dlatego, że wpatruję się w niego badawczo, dostrzegam pojawienie się zwoju. W jednej chwili go nie ma, w drugiej Musa już go rozwija.

– Zwiastun Nocy – czyta – jest w Navium z komendantką, głowami rodów, Krukiem Krwi i jej ludźmi. Nie opuszcza miasta od tygodni. Między komendantką

a Krukiem Krwi dochodzi do jakiegoś konfliktu...

– To mi w niczym nie pomoże – wzdycham. – Muszę wiedzieć, z kim się widuje, z kim rozmawia...

– Najwyraźniej większość czasu spędza w swoich apartamentach, dochodząc do siebie po zatopieniu wojańskiej floty – odpowiada Musa. – Zamordowanie kilku tysięcy dusz i posłanie okrętów na dno musiało go kosztować dużo energii.

– Potrzebuję czegoś więcej. Przecież musi robić coś jeszcze prócz siedzenia w pokoju. Czy otaczają go jakieś nadprzyrodzone stwory? Czy stają się silniejsze? Co z Plemieńcami?

Ale Musa nie ma nic więcej do powiedzenia, przynajmniej na razie.

To oznacza, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Muszę się przedostać do miasta. Jaduny Jadunami, a ja muszę się dowiedzieć, co się dzieje w Imperium. Po kolacji, kiedy Darin, Taure i Zella dyskutują na temat glinki używanej do schładzania ostrzy, ja ziewam i odchodzę od stołu. Musa zrobił to już wcześniej. Przystaję pod drzwiami jego pokoju. Ze środka dochodzi donośne chrapanie. Chwilę później jestem już niewidzialna i zmierzam prosto na zachód, w kierunku centrum Adisy.

Choć byłam w obozie uchodźców tylko kilka chwil, to widzę, że różnica pomiędzy nim a morzańskim miastem jest porażająca. Obóz składał się z obskurnych, wyświechtanych namiotów i wszechobecnego błota. Wzdłuż brukowanych ulic Adisy stoją domy w kolorze lazuru i fioletu, a samo miasto jest bardziej gwarne teraz, wieczorem, niż w dzień. W obozie pełno było młodych Scholarów ze sterczącymi obojczykami i wzdętymi brzuchami. Tu nie widzę ani jednego głodującego dziecka.

*Cóż to za król, który na to pozwala? Naprawdę nie ma w mieście miejsca dla Scholarów marznących u bram?*

*Może to nie król? Może to jego owładnięta przez ghule córka?* Te stwory też przemykają przez rynek, przeklęte pojawiają się co chwila w tłumie.

W centrum miasta elegancko ubrani Morzanie targują się i żartują. Nad głowami fruną latawce z jedwabiu, wielkie jak statki. Zatrzymuję się i pożeram wzrokiem gliniane naczynia pełne bogato ilustrowanych książek. Ankaneski wróżbita z dalekiego południa przepowiada przyszłość. Obserwuje go Jaduna z oczami umalowanymi henną i naszyjnikiem ze złotych monet. Przypominam sobie ostrzeżenie Musy i oddalam się.

Mijający mnie Morzanie są tak pewni siebie, jaka ja chyba nigdy nie będę. Panująca tu wolność i swoboda nijak nie pasują do losu mojego ludu. Dane jest to innym, nie tym, którzy żyją w ciągłej niepewności i rozpaczy. Dane jest to ludziom tak nawykłym do wolności, że nie wyobrażają sobie innego życia.

– Czego się spodziewasz? Plemieńcy nie poddadzą się tak łatwo jak Scholarzy. Nie pozwolą zrobić z siebie niewolników. – Dwóch morzańskich kucharzy dyskutuje głośno nad naczyniem ze smażonymi ciasteczkami. Podchodzę bliżej.

– Rozumiem ich wściekłość – mówi jeden z nich. – Ale żeby napadać na

niewinnych wieśniaków...

Ktoś mnie potrąca i z trudem utrzymuję swoją niewidzialność. Tłum jest tu zbyt gęsty, więc odchodzę. Zatrzymuję się dopiero na widok grupy dzieci zgromadzonych przy drzwiach.

– ...spaliła Czarny Klif i zabiła Maszę...

Kilkoro to Scholarzy z Adisanu. Mają pyzate twarze i są dobrze ubrane. Pozostałe dzieci to Morzanie. Wszystkie wpatrują się w list gończy z wizerunkiem moim, Darina i, o dziwo, Musy.

– Słyszałem, że ugodziła nożem naczelnika Kauf...

– Mam nadzieję, że wyzwoli nas od zjaw...

„Potrzebna mi tylko twoja historia”, powiedział Musa. Dziwnie jest słuchać teraz tej historii tak bardzo przeinaczonej.

– Wujek Musa mówi, że ona zna magię, tak jak Lwica...

– A mój tata mówi, że wujek Musa jest kłamcą. Mówi, że Lwica była głupia i mordowała ludzi...

– Mama mówi, że Lwica zabijała dzieci...

Serce mi się kraje. Wiem, że nie powinnam przejmować się ich słowami. To tylko dzieci. Ale i tak chcę się im pokazać. *Ona była wesółą i mądrą, mam ochotę powiedzieć. Potrafiła zestrzelić wróbla siedzącego na gałęzi z odległości stu kroków. Jedyne, czego pragnęła dla nas, dla was, to prawdziwa wolność. Chciała, żeby żyło nam się lepiej.*

W uliczce pojawia się kolejne dziecko.

– *Kehanni! Kehanni!* – woła i wszystkie dzieci biegną na pobliskie podwórko, skąd dochodzi głęboki głos snującej opowieść *Kehanni*. Idę za nimi i wchodzę na podwórko szczelnie wypełnione słuchaczami.

*Kehanni* ma srebrzyste włosy i twarz osoby, która zna tysiąc bajek. Ma na sobie bogato zdobioną, sięgającą łydek suknię i szerokie spodnie wyszywane lusterkami odbijającymi światło. Jej głos jest gardłowy i choć powinnam iść dalej, znajduję wolne miejsce pod ścianą, żeby stanąć tam i posłuchać.

– Ghule opadły dręczone smutkiem dziecko. – Mówi z wyraźnym serrańskim akcentem. – I chociaż chciał pomóc swojej chorowitej siostrze, te baśniowe stwory szeptami sączyły mu jad do uszu tak długo, aż jego serce stało się poskręcane niczym korzenie starego drzewa dzinnów.

Kiedy *Kehanni* wyśpiewuje swoją opowieść, zdaję sobie sprawę, że jest w niej zawarta prawda, rodzaj historii. Czyż nie to samo widziałam podczas rozmowy z księżniczką Nikłą?

Wiem już, że opowieści *Kehanni* mają w sobie tyle samo prawdy co księgi w Wielkiej Bibliotece. A może więcej, bo w starych bajkach brak sceptycyzmu, który mógłby przesłaniać prawdę. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większa ogarnia



mnie euforia. Elias nauczył się zabijać ifryty pieśnią, którą śpiewała mu Mamie Rila. A może takie historie pomogą mi zrozumieć naturę Zwiastuna Nocy? Może podpowiedzą, jak go powstrzymać? Odrywam się od ściany i podchodzę do *Kehanni*. Nareszcie mam okazję dowiedzieć się czegoś użytecznego na temat dzinnów.

*Laio...*

Kiedy do moich uszu dociera szept, podskakuję, potrącając stojącego obok mężczyznę, a ten rozgląda się teraz nerwowo w poszukiwaniu osoby, która go popchnęła.

Szybko toruję sobie drogę pośród zaabsorbowanych słuchaczy i opuszczam podwórko. Coś mnie obserwuje. Czuję to. Cokolwiek to jest, nie chcę, żeby narobiło kłopotów w tłumie słuchającym *Kehanni*.

Przebiegam przez zatłoczony rynek, co chwila oglądając się za siebie. Kątem oka widzę przemykający czarny cień. Ghule czy coś gorszego? Przyspieszam kroku, wychodzę z rynku i znikam w spokojnej bocznej uliczce. Oglądam się raz jeszcze przez ramię.

*Przeszłość powinna spłonąć i nic tego nie spowolni.*

Rozpoznaję ten szept, sposób, w jaki wgryza się w mój umysł. *Zwiastun Nocy!* Jestem zbyt przerażona, by choćby krzyknąć. Mogę tylko stać.

Obracam się, próbując wyłuskać jego postać z cienia.

– Pokaż się. – Mój głos jest niewiele donośniejszy od szeptu. – Pokaż się, potworze.

*Ośmielasz się mnie oceniać, Laio z Serry? Jak możesz, skoro nie wiesz, jaki mrok skrywa się w twoim własnym sercu?*

– Nie boję się ciebie – kłamię, a on zaczyna się śmiać. Mrużę oczy. Chwila ciemności, zupełnie nic, a kiedy ponownie je otwieram, czuję, że znów jestem sama. *Zwiastun Nocy* zniknął.

Wracam do kuźni cała drżąca. Wewnątrz jest ciemno, wszyscy położyli się spać. Mimo to z niewidzialności rezygnuję dopiero wtedy, kiedy jestem w swoim pokoju.

W tej samej chwili robi mi się ciemno przed oczami. Stoję w pokoju, a właściwie komórce. W ciemności dostrzegam śpiewającą kobietę.

*Gwiazdę przyniosła*

*Do mojego domu*

*I zapłonęła jasno chwałą*

Pieśń płynie wokół mnie, choć słowa cichną. Pieśń przerywają dziwne odgłosy przypominające łamiącą się gałąź. Kiedy otwieram oczy, wizja znika i śpiewająca kobieta również. W domu panuje cisza i tylko Darin mamrocze coś przez sen w swoim pokoju.

*Co to było?*

Czy to magia ma na mnie taki wpływ? A może to sprawka *Zwiastuna Nocy*?

Czyżby się bawił moim umysłem? Siadam szybko i rozglądam się po pogrążonym w mroku pokoju. W dłoni czuję ciepło bransoletki Eliasa. Wyobrażam sobie jego głos. *Cienie są tylko cieniami, Laio. Zwiastun Nocy nie może cię skrzywdzić.*

Owszem, może. Już skrzywdził. I wkrótce zrobi to ponownie.

Wracam do łóżka, nie zdejmuję bransoletki, chcę, żeby łagodny baryton Eliasa kołował moje zmysły. Tymczasem widzę twarz Zwiastuna Nocy. Słyszę jego głos. I sen nie przychodzi.

## XVIII: Elias

Dżinny wiedzą, że nadchodzę. Kiedy docieram do ich gaju, jestem wytrącony z równowagi pełną wyczekiwania ciszą. Dziwne, że cisza może być głośna jak krzyk. Tak, wiedzą, że tu jestem. I wiedzą, że czegoś chcę.

*Witaj, śmiertelniku. Skóra mi cierpnie na chóralne zawołanie dżinnów. Przyszedłeś błagać o wybaczenie za to, że istniejesz?*

– Przyszedłem prosić o pomoc.

Śmiech dżinnów rani mi uszy.

– Nie chcę wam sprawiać kłopotu. – To irytujące, ale pokora może mi pomóc. Na pewno nie mogę zachowywać się bezczelnie. – Wiem, że cierpicie. Wiem, że to, co wam zrobiono dawno temu, jest źródłem waszego cierpienia. Ja też byłem uwięziony.

*Wydaje ci się, że twoje marne ludzkie więzienie może choć w przybliżeniu równać się z naszą udręką?*

O bogowie, po co ja to mówiłem? – myślę. Głupiec ze mnie.

– Ja tylko... Nie życzę nikomu takiego bólu.

Długa cisza. A potem: *Jesteś taki jak ona.*

– Jak Shaeva? – pytam. – Ale magia tworzyła z nią więź, a ze mną nie...

*Jak twoja matka, Keris. Dżinny czują moją konsternację i śmieją się. Myślisz, że nie? Może nie znasz jej tak dobrze, jak ci się wydaje. A może, śmiertelniku, nie znasz samego siebie?*

– Nie jestem pozbawionym serca, morderczym...

*Nigdy nie posiłdziesz magii Łowcy Dusz. Jesteś zbyt silnie związany z tymi, których kochasz. Zbyt otwarty na ból. Twój gatunek jest słaby. Nawet Keris Veturia nie potrafi zerwać więzów łączących ją ze śmiertelnikami.*

– Moją matkę wiąże tylko władza.

Czuję, że dżinny są zadowolone w tym swoim leśnym więzieniu. *Jak ty mało wiesz, chłopcze. Historia twojej matki jest w twojej krwi. Jej przeszłość. Jej wspomnienia. Możemy ci pokazać.*

Ich aksamitny głos przypomina mi czasy, kiedy Czaszka próbował namówić mnie, czternastolatka, do odwiedzenia go w jego pokoju, gdzie miał mi pokazać otrzymaną od ojca nową szablę.

*W głębi serca pragniesz poznać ją lepiej, mówią dżinny. Nie okłamuj nas, Eliasie Veturiusie, bo kiedy jesteś w naszym gaju, na nic się zdadzą twoje wykręty. My widzimy wszystko.*

Wokół moich kostek prześlizguje się coś szorstkiego. Z ziemi wyrasta winorośl przypominająca wielkie, pokryte korą węże. Okręca się wokół moich nóg, zatrzymując mnie w miejscu. Próbuję sięgnąć po broń, ale winorośl wiąże szablę do

moich pleców i blokuje ramiona.

– Przestańcie! Przesta...

Dżinny wdzierają się do mojego umysłu, grzebią w nim, buszują, rozpalają ogień w miejscach, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego.

Próbuję odeprzeć ten atak, ale bez skutku. Zostaję uwięziony we własnym umyśle, we własnych wspomnieniach. Znow jestem niemowlęciem wpatrzonym w srebrną twarz kobiety, której długie blond włosy pociemniały od potu. Dłonie komendantki są zakrwawione, twarz płonie. Jej ciało drży, ale kiedy przesuwa palcami po mojej twarzy, dotyk jest łagodny.

– Jesteś do niego podobny – szepcze. Nie sprawia wrażenia rozżłoszczonej, choć zawsze sądziłem, że będzie. Wydaje się raczej skonsternowana, prawie oszołomiona.

Potem widzę siebie jako czteroletniego chłopca, włóczącego się w mroźną zimową noc po obozowisku plemienia Saif w grubej kurtce zapiętej pod szyję.

Kiedy inne dzieci gromadzą się wokół Mamie Rila, żeby wysłuchać przerażającej opowieści o Bezimiennym Królu, ja obserwuję, jak młody Elias chodzi po skalistej pustyni za kręgiem wozów. Droga Mleczna przypomina błądy obłok na onyksowym niebie, a noc jest na tyle jasna, że wyraźnie widzę drogę przed sobą. Z zachodu zbliża się rytmiczny tupot. Na pobliskiej grani pojawia się koń. Zsiada z niego jakaś kobieta, pod jej ciężką plemienną suknią połyskuje pancerz. Na plecach i piersi ma przewieszony chyba tuzin szabel. Wiatr smaga stwardniałą wysuszoną ziemię wokół niej. W blasku gwiazd jej blond włosy są równie srebrne jak twarz.

To się nie wydarzyło, myślę ze wzburzeniem. Nie pamiętam tego. Ona mnie zostawiła. Nigdy nie wróciła.

Keris Veturia przyklęka na jedno kolano, ale pozostaje w odległości kilku kroków, jakby bała się, że mnie wystraszy. Wygląda tak młodo, trudno mi przyznać, że to ona.

– Jak masz na imię? – W końcu rozpoznaję to, co ją wyróżnia, twardy głos, zimny i nieczuły jak ziemia pod naszymi stopami.

– Ilyaas.

– Ilyass – powtarza z namysłem komendantka, jakby próbowała pojąć jego znaczenie. – Wracaj do obozowiska, Ilyaasie. W nocy po pustyni włóczą się mroczne stwory.

Nie słyszę swojej odpowiedzi, ponieważ jestem już w pokoju, którego wyposażeniem są tylko łóżko, stół i duże palenisko. Łukowe okna i grube mury, a także zapach soli mówią mi, że znalazłem się w Navium. Na południe dotarło lato i przez okno wdiera się ciężkie gorące powietrze. Mimo to w palenisku płonie ogień.

Keris jest starsza, starsza niż wtedy, gdy widziałem ją ostatni raz kilka miesięcy wcześniej, tuż przed tym, jak mnie otruła. Unosi koszulę i przygląda się uważnie czemuś, co wygląda na siniak, choć trudno to stwierdzić z całą pewnością, ponieważ jej skóra ma kolor srebra. Przypominam sobie, że dawno temu ukradła Krukowi Krwi koszulę z żywego metalu, która przywarła do jej ciała tak ściśle jak srebrna maska do

twarzy.

Spod srebrnej koszuli wyłania się w pełnej krasie jej tatuaż ZAWSZE ZWYCIĘSCY.

Keris obmacuje siniak, a ja dostrzegam w pokoju dziwny przedmiot, zupełnie niepasujący do skromnego wyposażenia. Jest to gliniana rzeźba przedstawiająca matkę trzymającą na rękach niemowlę. Komendantka z rozmysłem nie zwraca na nią uwagi.

Opuszcza koszulę i nakłada pancerz. Zerka w upstrzone lustro i wreszcie przenosi spojrzenie na posąg. Przygląda mu się w zamyśleniu, uważnie, jakby obawiała się, że rzeźba ożyje. Potem obraca się na pięcie, unosi ją i wrzuca do paleniska. Woła głośno i po chwili do pokoju wchodzi niewolnik.

– To ty ją znalazłeś. – Komendantka wskazuje posąg w palenisku. – Mówiłeś komuś o tym? – Mężczyzna zaprzecza, a ona kiwa głową i skinieniem dłoni każe mu podejść bliżej.

*Nie rób tego, chcę go ostrzec. Uciekaj.*

Jednym gwałtownym ruchem moja matka skręca mu kark. Zastanawiam się, czy zdążył coś poczuć.

– I niech tak zostanie – mówi komendantka do trupa niewolnika.

Mrugam i znów jestem w gaju dzinnów. Żadna winorośl nie trzyma mnie już w miejscu, a świt barwi las na czerwono i pomarańczowo. Minęło kilka godzin.

Dżinny wciąż buszują w moim umyśle. Walczę z nimi, wyrzucam je ze swojej głowy, a sam wnikam w ich świadomość. Są wyraźnie zaskoczone i na chwilę opuszczają gardę. Czuję ich wściekłość, niedowierzenie, głębokie zbiorowe cierpienie. I szybko stłumiony atak paniki. To podejrzane.

Wyrzucają mnie ze swojej świadomości.

– Coś ukrywacie – mówię głośno.

*Pilnuj granic, Eliasie Veturiusie, prychają dżinny. Zobacz, co ci szykujemy.*

To atak. Czuję to wyraźnie. Tyle że to nie jest atak z zewnątrz, spoza Lasu. To atak od wewnątrz.

*Idź i zobacz sam, jak duchy uciekają z Poczekalni. Zobacz, jak ginie twój lud. Nie możesz tego zmienić. Nie możesz tego powstrzymać.*

Klnę głośno, słysząc słowa augura z odległej przeszłości rzucone mi prosto w twarz. Frunę z wiatrem do południowej granicy z prędkością, której mogłaby mi pozazdrościć Shaeva. Widzę tam tysiące duchów zgromadzonych w jednym miejscu, napierających na granicę z brutalną, zwierzęcą siłą.

Sięgam po *Mauth*, po magię, ale równie dobrze mógłbym próbować złapać powietrze. Duchy rozstępują się z wrzaskliwym niezadowoleniem, kiedy przeciskam się pomiędzy nimi.

Granica wyduje się nienaruszona. Przesuwam dłońmi po błyszczącej złotej ścianie,

szukając jakiejś wyrwy.

W oddali w porannym słońcu połyskują czerwone i niebieskie wozy plemienia Nasur, w niebo unosi się dym z ognisk. Ku mojemu zaskoczeniu obozowisko rozrosło się i przeniosło bliżej Lasu. Poznają zielono-złote wozy ustawione w okrąg niedaleko wybrzeża morza Duskan. Plemię Nur, plemię Afyi, dołączyło do plemienia Aubarit.

Co robi tu Afya? Skoro trwa wojna z Imperium, plemiona nie powinny gromadzić się w jednym miejscu. Afya jest na tyle rozsądna, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

– Banu al-Mauth?

Z zagłębienia w ziemi tuż przede mną wyłania się Aubarit.

– *Fakira*. – Wychodzę z Lasu, mój puls ostrzegawczo przyspiesza, choć nie wyczuwam niczego nadzwyczajnego. – To nie jest dobry moment...

– Przeklęty Elias Veturius! – Poznają tę drobną kobietę, która pojawia się obok Aubarit, po ogniu w oczach, choć poza tym jest zupełnie nierozpoznawalna. Twarz ma naznaczoną zmarszczkami, a chusta zasłaniająca jej zawsze nienagannie zaplecione warkocze nie jest w stanie ukryć, że dziś włosy ma w nieładzie. Ma cienie pod oczami i czuję od niej silny zapach potu. – Co tu się, u diabła, dzieje?

– Zaldaro! – Aubarit wydaje się zgorzozna. – Zwracaj się do niego Banu...

– Nie nazywaj go tak! On się nazywa Elias Veturius. Jest głupcem jak każdy mężczyzna i podejrzewam, że to przez niego dusze plemienia Nur utknęły...

– Spokojnie, Afyo – odzywam się. – O co chodzi... – Głos więźnie mi w gardle, kiedy Mauth ciągnie mnie brutalnie do siebie. Jest w tym jakaś wyjątkowa zaciekłość. Obracam się. Kilka kroków ode mnie materializuje się na wietrze jakaś twarz. Jest wykrzywiona, wściekła i mknie w kierunku obozowiska Plemieńców. Za nią podąża następna, przyciągana przez odległą karawanę jak sęp do padliny.

Część duchów uciekła. Musiały wydostać się, zanim przybyłem.

*Może będą tylko krążyć po okolicy, zawodząc i usychając z tęsknoty za utraconym życiem. One nie mają ciała. Nie mogą właściwie nic zrobić.*

Ledwie sformułowałem tę myśl, kiedy nieoczekiwanie z drzew rosnących w pobliżu obozowiska zrywają się chmary ptaków, kracząc ostrzegawczo.

– Eliasie... – odzywa się Afya, ale uciszam ją, unosząc dłoń. Przez chwilę panuje cisza. Potem rozlega się przeciągły krzyk.

## XIX: Kruk Krwi

Kruku Krwi,

w Antium lato jest w pełnym rozkwicie i coraz trudniej schronić się przed upałem. Imperator raduje się ze zmiany pory roku, choć trapi go bardzo los korony.

Letnie burze dokuczają wszystkim na dworze tak samo jak upały. Staram się pomagać, ale nie jest to łatwe.

Każdego dnia jestem wdzięczna za obecność plebejuszy. Ich wsparcie zarówno dla imperatora, jak i dla mnie jest nieocenione w tym czasie próby.

Lojalna do końca,  
imperatorowa Liwia Aquilla Farrar

Ktoś otworzył ten list na długo przedtem, zanim dotarł do mnie. Próby szyfrowania swoich prawdziwych myśli przez moją siostrę, choć pomysłowe, są bezużyteczne. Komendantka już wie, że Liwia jest w ciąży. Powiedział jej o tym Zwiastun Nocy.

Pozostałą część listu Keris też rozszyfruje bez problemu: że Liwia nie może już dłużej ukrywać, że jest w ciąży; że imperator staje się coraz bardziej niezrównoważony; że moja siostra trzyma wilki na dystans; że Marcus pozostaje na tronie już tylko dzięki wsparciu plebejuszy.

Że muszę pokonać komendantkę szybko, jeśli chcę ocalić Liwię i jej dziecko.

Czytam list, spacerując po południowej plaży Navium pełnej wraków naszej floty. Porwane żagle, pokryte wodorostami maszty, połamane deski. Wszystko to są dowody mojej klęski.

Kiedy przyklękam, żeby przesunąć dłonią po wygładzonym przez ocean kadłubie, za moimi plecami pojawia się Dex.

– Głowa rodu Tatia nie spotka się z tobą, Kruku.

– Jaką tym razem ma wymówkę?

– Jedzie odwiedzić chorą ciotkę. – Dex wzdycha. Wygląda na równie wyczerpanego jak ja. – Rozmawiał z głową rodu Equitia.

Faktycznie. Głowa rodu Equitia wyłgał się tym samym dwa dni temu. I choć podejrzewałam, że Tatius, podobnie jak pozostali, będzie próbował mnie unikać, to nie traciłam nadziei.

– Nikt nam już nie pozostał – mówi Dex, kiedy wracamy z plaży do koszar Czarnej Gwardii. – Argus i Vissellius nie żyją, a ich potomkowie obwiniają o to ciebie. Pozostali są zbyt wściekli z powodu utraty floty. Tatius w czasie burzy stracił jedną czwartą swojego rodu.

– Tu nie chodzi tylko o flotę – zauważam. – Gdyby tak było, to palnęliby mi kazanie, zmusiliby mnie do przeprosin i płaszczenia się przed nimi. – W końcu to są

szlachetnie urodzeni Wojanie. Kochają protekcyjne traktowanie kobiet równie mocno jak swoje pieniądze. – Albo boją się komendantki, albo obiecała im coś, czego ja nie mogę zaoferować.

– Pieniądze? – zastanawia się głośno Dex. – Więcej okrętów?

– Ona nie ma okrętów – odpowiadam. – Nawet gdybyśmy jakimś cudem przejęli flotę Grimarra, to wystarczyłoby to zaledwie na odbudowanie naszej floty. Jest bogata, ale nie na tyle, żeby zapłacić wszystkim rodom.

Tu musi chodzić o coś innego. Jak mam jednak się tego dowiedzieć, skoro żaden z wielmożów nie chce ze mną rozmawiać?

Zbliżyliśmy się do miasta i naszym oczom ukazują się wciąż płonące ruiny Dzielnicy Południowo-Zachodniej. W ciągu dwóch tygodni od mojego przybycia Grimarr zaatakował jeszcze dwukrotnie. Z braku floty nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko przycupnąć i mieć nadzieję, że nie rozprzestrzeni się pożary wywołane przez ich pociski.

Podczas obu ataków głowy rodów i Keris odsunęli mnie od podejmowania decyzji. Wspiera mnie tylko Janus Atrius, ale jego samotny głos nic nie znaczy w obliczu jednomyślności sojuszników Keris.

Mam ochotę poucinać im głowy. Ale Keris szuka tylko okazji, żeby się mnie pozbyć – uwięzić albo zabić. Jeśli zaczną zabijać głowy rodów, dokona tego.

Nie, muszę się wykazać większą przebiegłością. Spinam konia. Na ataki Grimarra nic nie poradzę. Ale mogę osłabić Keris, jeśli zdobędę na jej temat jakieś informacje.

– Będziemy mieli dzień albo dwa spokoju, zanim Grimarr zaplanuje swój kolejny ruch – zwracam się do Dexa. – Na moim biurku jest trochę papierów na tutejsze głowy rodów. Opisano tam wszystkie ich brudne sekrety. Zaczynij ich dyskretnie przypierać do muru. Sprawdź, czy zdołasz ich zmusić do rozmowy.

Dex zostawia mnie, a ja wracam do koszar, gdzie czeka na mnie zaniepokojony Avitas.

– Nie powinnaś jeździć po mieście sama, Kruku – mówi z wyrzutem. – Zgodnie z regulaminem...

– Nie będę marnowała czasu Dexa czy twojego, żebyście mnie wszędzie eskortowali – odpowiadam. – Znalazłeś? – Avitas kiwa głową.

– W górach za miastem jest co najmniej dwieście posiadłości. – Avitas rozkłada na biurku mapę, na której są zaznaczone wszystkie domy. – Niemal wszystkie z nich należą do rodów stowarzyszonych z Keris. Trzy są opuszczone.

Przypominam sobie, co Elias mówił o miejscu pobytu Quina. „Gdziekolwiek Keris się znajdzie, on będzie w pobliżu czekał, aż popełni jakiś błąd. Nie jest na tyle głupi, żeby ukrywać się w którejś ze swoich posiadłości. I nie będzie sam”.

Jedno z opuszczonych domostw znajduje się na dnie doliny. Nie ma tam źródeł wody ani lasu, w którym mogliby się ukryć żołnierze. Drugi dom jest za mały, by pomieścić choćby tuzin ludzi.



Za to trzeci...

– Ten. – Stukam palcem w mapę. – Zbudowany na wzgórzu. Dogodna lokalizacja do obrony. W pobliżu jest strumień. Łatwo wykopać tunel do szybkiej ucieczki. I spójrz... – Wskazuję drugą stronę wzgórza. – Niedaleko są miasta, gdzie można uzupełnić zapasy bez zwracania specjalnej uwagi.

Wyruszamy bezzwłocznie. Zabieramy ze sobą dwóch gwardzistów, którzy mają za zadanie zlikwidować ewentualnych szpiegów. W południe jesteśmy głęboko w górach na wschód od Navium.

– Kruku – zwraca się do mnie Harper, kiedy miasto niknie nam z oczu – powinnaś wiedzieć, że komendantce złożono nocną wizytę.

– Zwiastun Nocy?

Avitas kręci głową.

– W ciągu ostatnich dwóch tygodni miały miejsce trzy włamania do jej kwatery na Wyspie. W czasie pierwszego, jak donosi mój szpieg, pozostawiono otwarte okno. Podczas drugiego na łóżku Keris pozostawiono pewną rzecz. Rzeźbę.

– Rzeźbę?

– Przedstawiała matkę z dzieckiem na ręku. Komendantka zniszczyła ją i zabiła niewolnika, który ją znalazł. Podczas trzeciego włamania podrzucono kolejną rzeźbę. Mój kontakt wyciągnął ją z paleniska.

Avitas sięga do juków i wręcza mi chropawą figurkę z żółtej gliny, poczerniałą z jednej strony. Przedstawia kobietę z pochyloną głową. Z dziwną żałością i tęsknotą wyciąga rękę do dziecka, które czyni ten sam gest. Ich dłonie się nie stykają.

Obie postaci mają otwarte usta. Sprawiają wrażenie, jakby krzyczały. Zaniepokojona oddaje figurkę Avitasowi.

– Nikt nie widział włamywacza. – Avitas chowa rzeźbę. – Tymczasem komendantka zataiła, że doszło do włamań.

Wiele osób chciałoby się wślizgnąć niepostrzeżenie do kwatery komendantki. Skoro jednak nie udało jej się do tej pory schwytać włamywacza, znaczyło to, że dysponuje on umiejętnościami, jakie zaobserwowałam tylko u jednej osoby. U kobiety, której nie widziałam od miesięcy. Kucharki.

Rozmyślałam o tym w trakcie podróży, ale nie potrafię wyłapać sensu takiego działania. Jeśli Kucharka mogła wślizgnąć się do kwatery komendantki, dlaczego jej po prostu nie zabiła? Po co zostawiała te osobliwe rzeźby?

Kilka godzin później, po uciążliwej wspinaczce krętymi górskimi ścieżkami, docieramy do olbrzymiego starego lasu. Na zachodzie widoczne są światła Navium i ogniska wciąż dymiących pożarów oraz czarny wąż rzeki Rei wijącej się przez środek.

Zostawiamy konie koło strumyka, a kiedy podchodzimy do linii drzew, wyciągam sztylet. Jeśli jest tam Quin, to nie przyjmie serdecznie niezapowiedzianej wizyty Kruka Krwi imperatora Marcusa.

Harper odczepia swój łuk i ostrożnie wkraczamy między drzewa. Cykają świerszcze, rechoczą żaby – typowe odgłosy natury letnią porą. I choć jest ciemno, to w świetle księżycy widzę, że nikt nie chodził tędy od miesiący, może nawet lat.

Z każdym krokiem coraz bardziej tracę nadzieję. Jutro mam wysłać raport do Marcusa. Co mam mu powiedzieć, jeśli Quina tu nie będzie?

Harper klnie głośno i niespodziewanie, a po chwili słyszę ciche *ciach* i stłumione chrząknięcie. Z drzew zwisa cały szereg toporów. Harper w ostatniej chwili uskoczył, a ja nigdy nie byłam szczęśliwsza, widząc, że mój sojusznik nie stracił głowy.

Następne dwie godziny mijają nam na omijaniu starannie zastawionych pułapek, z których każda kolejna jest bardziej wymyślna i lepiej ukryta od poprzedniej.

– Przeklęty obłąkaniec. – Harper przecina nisko rozciągniętą nad ziemią linkę dowiazaną do zawieszanej wysoko sieci najeżonej ostrymi kawałkami szkła. – On nawet nie próbuje nikogo złapać. Woli zabić.

– On nie jest obłąkany. – Zniżam głos do szeptu. Księżyc jest wysoko na niebie. Minęła północ. – Jest skrupulatny. – Pomiędzy drzewami połyskuje szyba okna.

Coś się w lesie zmienia, nocne stworzenia nagle umilkły. Jestem przekonana, że nie jesteśmy już z Harperem sami w tym lesie.

– Skończmy z tym raz na zawsze. – Wyciągam szablę i mam tylko nadzieję, że nie przemawiam teraz do bandy rozbójników albo jakiegoś szalonego pustelnika.

Cisza. Przez krótką chwilę myślę, że się myliłam.

A zaraz potem słyszę szelest kroków za nami, dookoła nas. Zza drzewa wyłania się potężnie zbudowana postać o srebrnej twarzy i z gęstymi siwymi włosami częściowo skrytymi pod kapturem. Wygląda tak samo jak kilka miesięcy temu, kiedy wyprowadzałam go z Serry.

Otoczają nas dwa tuziny ludzi w nieskazitelnie czystych mundurach w barwach rodu Veturia. Kiedy robię krok naprzód, wyprężają się i jak jeden mąż salutują.

– Kruk Krwi. – Quin salutuje ostatni. – O takiej przeklętej porze.

\*\*\*

Quin każe Harperowi zostać ze swoimi ludźmi, a następnie prowadzi mnie przez sypiący się budynek wbudowany w skalistą górę do ciągu jaskiń. Nic dziwnego, że Keris nie znalazła staruszka. Tunele są tak rozbudowane, że zbadanie ich wszystkich zajęłoby miesiące.

– Spodziewałem się ciebie już kilka tygodni temu – mówi Quin. – Dlaczego do tej pory nie zamordowałaś Keris?

– Nie tak łatwo ją zabić, generale – odpowiadam. – Zwłaszcza jeśli Marcus nie chce, żeby to wyglądało na zabójstwo. – Pniemy się w górę, aż docieramy do niewielkiego płaskowyzu otoczonego z czterech stron skałami, ale otwartego na niebo. Tu znajduje się ukryty zdziczały ogród. Musiał być piękny niegdyś, kiedy

o niego dbano.

– Mam coś dla ciebie. – Wyjmuję z kieszeni maskę Eliasa. – Elias dał mi ją, zanim opuścił Czarny Klif. Pomyślałam, że chciałbyś ją mieć.

Dłoń Quina zawisa nad maską.

– Koszmarem było kazać temu chłopcu nosić coś takiego – mówi. – Myślałem, że pewnego dnia zgubi to cholerstwo.

Starzec obraca maskę w dłoni, a metal marszczy się jak woda.

– One stają się częścią nas. Dopiero kiedy łączą się z nami, stajemy się prawdziwi. Mój ojciec zwykł mawiać, że po połączeniu maska przejmuje tożsamość żołnierza, przez co traci on część duszy, której już nigdy nie odzyska.

– A ty co powiesz, generale?

– Jesteśmy tym, co umieścimy w masce. Elias włożył niedużo, więc mało dostał w zamian. – Spodziewam się, że zapyta mnie o wnuka, ale on tylko chowa maskę do kieszeni. – Opowiedz mi o swoim wrogu, Kruku Krwi.

Kiedy relacjonuję atak na Navium, utratę floty, a nawet pojawienie się rzeźby, Quin milczy. Podchodzimy do stawu z brzegami wyłożonymi kamieniami.

– Ona coś knuje, generale – mówię. – Potrzebuję twojej pomocy, żeby się dowiedzieć co.

– Keris tutaj uczyła się chodzić, zanim zawiozłem ją i jej matkę do Serry. – Wskazuje ruchem głowy ledwie widoczną ścieżkę prowadzącą do obrośniętej bluszczem pergoli. – Miała dziewięć miesięcy. Była kruszyną. O bogowie, Karinna była taka dumna. Kochała to dziecko do szaleństwa.

Na widok mojej miny Quin unosi brwi.

– Myślałaś, że moja ukochana zmarła żona była potworem, od którego uczyła się Keris? Przeciwnie. Karinna nie pozwoliłaby, żeby dziecku spadł włos z głowy. Mieliliśmy dziesiątki niewolników, ale Karinna uparła się, że wszystko będzie robić sama: karmić, przewijać, bawić się. Ubóstwiali się wzajemnie.

Opis jasnowłosej Keris jako niemowlęcia jest tak odległy od tego, kim jest ona dzisiaj, że nie potrafię sobie tego wyobrazić. Zmuszam się, żeby nie zadać dziesiątków pytań, które cisną mi się na usta. Quin mówi powoli, robi długie przerwy, a ja zastanawiam się, czy kiedykolwiek z kimś o tym rozmawiał.

– Nie było mnie tam z nimi – ciągnie opowieść. – Byłem już generałem, kiedy pobraliśmy się z Karinną. Karkaunowie napierali na zachodzie i imperator nie mógł mnie oszczędzać. – Ton jego głosu jest nie tyle smutny, ile tęskny. – I wtedy Karinna umarła. Imperator nie dał mi urlopu, tak więc minął rok, zanim wróciłem do domu. Do tego czasu Keris przestała mówić. Spędziłem z nią miesiąc i znów musiałem wracać na pole bitwy. Kiedy została przyjeta do Czarnego Klifu, byłem pewny, że po tygodniu umrze. Była taka delikatna. Zupełnie jak jej matka.

– Ale nie umarła – mówię. Staram się nie przytupywać nogą ze zniecierpliwienia. Ciekawa jestem, kiedy przejdzie do rzeczy.

– Jest z rodu Veturia. Nas trudno zabić. Bogowie tylko wiedzą, przez co przeszła w Czarnym Klifie. Nie miała takiego szczęścia do przyjaciół jak ty, dziewczyno. Koledzy urządzili jej z życia piekło. Próbowałem ją szkolić, tak jak szkoliłem Eliasa, ale ona nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Czarny Klif ją wypaczył. Tuż po ukończeniu uczelni zawiązała sojusz ze Zwiastunem Nocy. To jej najbliższy przyjaciel.

– On nie jest jej przyjacielem, tylko mistrzem – mamroczę, przypominając sobie słowa dżinna. – A co z ojcem Eliasa?

– Kimkolwiek był, dbała o niego. – Mijamy staw. Dalej niskie wzgórza ustępują miejsca pustyni Plemieńców, niebieskiej o świcie. – Kiedy Elias został przyjęty do Czarnego Klifu, denerwowała się, bała się, że straci oficcerskie szlify. Nigdy wcześniej ani potem nie widziałem u niej tyle emocji, co wtedy. Powiedziała, że pozwoliła dziecku żyć, ponieważ jego ojciec by sobie tego życzył.

Więc Keris kochała Ariusa Harpera? Niewiele było o nim wiadomo, ale komendantka zawsze tak bardzo nienawidziła Eliasa, że sądziłam, iż jego ojciec jej się narzucał.

– Znałeś Ariusa Harpera, generale?

– Był plebejuszem. – Quin rzuca mi zaciekawione spojrzenie zdziwiony nagłą zmianą tematu. – Centurionem w Czarnym Klifie, który regularnie zbierał cięgi za okazywanie uczniom litości, a nawet uprzejmości.

– Jak umarł?

– Został zabity przez grupę Masek, kolegów Keris, dzień po ukończeniu przez nich akademii. To było bestialstwo. Tamtych było więcej niż tuzin i zatłukli go na śmierć. Wszyscy byli ilustrianami. Ich ojcowie zatuszowali sprawę tak skutecznie, że nawet ja nie wiedziałem wtedy o całym zdarzeniu.

Dlaczego Maski miałyby zabijać centuriona? Czy Keris znała ich plany? Może poprosiła ich o to? Ale Quin mówił, że nie miała przyjaciół w Czarnym Klifie, a inni uczniowie ją prześladowali. A jeśli to nie ona kazała zabić Ariusa, jeśli naprawdę go kochała, to dlaczego tak bardzo nienawidzi Eliasa?

– Uważasz, że Arius Harper jest ojcem? – Quin zaczyna rozumieć. – W takim razie kapitan Harper jest...

– Przyrodnim bratem Eliasa. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Jej przeszłość nie tłumaczy tego, co teraz wyprawia w Navium. Poświęciła flotę, żeby pozbawić mnie władzy. Dlaczego?

– Mój wnuk zawsze mi powtarzał, że bystra z ciebie dziewczyna. – Quin spogląda na mnie gniewnie. – Czyżby się mylił? Nie patrz tylko na to, co robi. Patrz na nią. Czego ona chce? Przyjrzyj się jej przeszłości, jej historii. Jak mogła zmienić jej umysł? Zwiastun Nocy jest jej mistrzem, mówisz. W takim razie czego on chce? Czy robi to dla niego? Co byłaby gotowa zrobić dla możnych rodów, gdyby te zgodziły się na zniszczenie przez tę podłą świnię Grimarra biednych dzielnic miasta? Rusz głową. Jeśli wydaje ci się, że moją córkę obchodzi los portowego miasta położonego z dala

od ośrodka decyzyjnego Imperium, to grubo się mylisz.

– Ale dostała rozkaz...

– Keris nic nie obchodzi rozkazy. Ją obchodzi tylko jedno: władza. Ty kochasz Imperium, Kruku Krwi. Dlatego wierzysz, że skoro Keris dorastała jako Maska, to również powinna być lojalna. Nie jest. Jest lojalna tylko wobec siebie. Jeśli to zrozumiesz, być może ją pokonasz. A jeśli nie, to utopi cię w łyżce wody.

## XX: Laia

Kiedy tylko niebo zaczyna się rozjaśniać, wkładam sukienkę i zbiegam po schodach. Jeśli się pospieszę, może uda mi się jeszcze złapać karawanę Plemieńców, którą widziałam wczorajszego wieczora, i oczywiście *Kehanni*.

Ale w drzwiach czeka na mnie Zella i wierci się niespokojnie.

– Musa prosił, żebyś została tutaj – mówi. – Dla własnego bezpieczeństwa, Laio. Księżniczka Nikla wysłała na ulice Jaduny, które mają cię odnaleźć. Widocznie jedna z nich musiała wyczuć, że byłaś tam wczoraj wieczorem. – Wykręca teraz nerwowo dłonie. – Musa mówi, że masz nie używać swojej magii, bo ściągniesz tu Jadunę i wszyscy trafimy do więzienia. To jego słowa – dodaje szybko. – Nie moje.

– Co ty o nim wiesz, Zello? – pytam szybko, zanim odejdzie. – Co on tu robi? Dlaczego sam nie wskrzesił ruchu oporu?

– Jestem tylko kowalem, Laio. I starą przyjaciółką jego rodziny. Jeśli masz pytania, powinnaś je zadać jemu.

Klnę pod nosem i wykradam się na dziedziniec, gdzie pomagam Darinowi wygładzać kamieniami stertę wykutych ostrzy.

– Słyszałam go, Darinie – relacjonuję swoje spotkanie ze Zwiastunem Nocy. – Pojawił się obok mnie, chełpił się i triumfował. A potem zniknął. To znaczy, że może być wszędzie. Może zdobył już nawet ostatni element Gwiazdy.

Tak bardzo chciałabym zwalczyć narastające we mnie zwątpienie. Stłumić je i po prostu uwierzyć, że mogę powstrzymać dżinną. Nie czuję strachu jak dawniej. Ale czasem ogarnia mnie gniew porzuconej kochanki.

– Gdyby Zwiastun Nocy zdobył ostatni element Gwiazdy – odzywa się mój brat, gładząc ostrze szabli kamieniem – wiedzielibyśmy o tym. Przeceniasz go, Laio, a sama w siebie nie wierzysz. On się ciebie boi. Boi się tego, czego się dowiesz. I tego, co z tą wiedzą zrobisz.

– Nie powinien się mnie bać.

– Powinien jak diabli. – Darin przeciera wypolerowane ostrze ściereczką i oddaje mi je, a potem sięga po swoją pierwszą szablę z serrańskiej stali, którą dał mi Spiro Teluman i którą niosłam ze sobą przez całe Imperium.

– Nie ma sensu, żeby się bał – upieram się. – Oddałam mu bransoletkę. Pozwoliłam mu zabić Shaevę. Dlaczego miałby się mnie bać?

Podnoszę głos, aż stojące po drugiej stronie dziedzińca Taure i Zella wymieniają znaczące spojrzenia i ulatniają się.

– Ponieważ możesz go powstrzymać i on o tym dobrze wie. – Darin na lewej dłoni zaciska klamrę zastępującą mu dwa brakujące palce, żeby łatwiej było trzymać młot. Tym razem mocuje do niej rękojeść swojej szabli. – Po co miałby zabijać Shaevę albo sprzymierzać się z komendantką? Po co miałby wprowadzać chaos w Poczekalni? To

wszystko ze strachu przed porażką. I wreszcie po co pokazałby ci się akurat w chwili, kiedy zdałaś sobie sprawę, że *Kehanni* może udzielić odpowiedzi na twoje pytania?

O tym nie pomyślałam i teraz tym bardziej chciałabym porozmawiać z Plemienką. Kiedy wreszcie wróci ten Musa?

– Spiro zabiłby mnie, gdyby zobaczył, jak mało w niej artyzmu. – Darin wskazuje na moją szablę. – Ale jeśli to jest prawdziwa serrańska stal, to należy się cieszyć. Chodź. Może ta się wreszcie nie złamie.

Ostrza naszych szabli uderzają o siebie, syjąc naokoło iskry. Ostatnia partia szabli, którą wypróbowaliśmy, nie łamie się już tak szybko, nastawiam się więc na długie, ciężkie starcie. Po kilku minutach za sprawą szorstkiej powierzchni rękojeści dłoni mam całą w pęcherzach. Ta broń jest tak różna od pieczołowicie wykończonego sztyletu podarowanego mi przez Eliasa. Ale wytrzymuje starcie.

Z domu wychodzą Zella i Taure i z rosnącym zainteresowaniem obserwują starcie, bo szabla w dalszym ciągu jest cała.

Darin naciera na mnie, a ja daję upust swojej zaciekleści i paruję każdy cios. W końcu brat kończy walkę, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Zabiera szablę z moich rąk.

– Ona nie ma serca. – Unosi szablę na wysokość oczu, które promieniają blaskiem, jakiego nie widziałam w nich od miesiący. – Ani duszy. Ale jest niezła. Czas na kolejną.

Zella i Taure dołączają do nas, a my testujemy jedną szablę po drugiej. Wszystkie okazują się dobre. Dostrzegam Musę dopiero wtedy, kiedy wychodzi z domu, energicznie klaszcząc w dłonie.

– Wspaniale – mówi. – Nie miałem żadnych wątpliwości, że...

Chwytam Musę za ramię i ciągnę go w stronę drzwi domu, nie zważając na jego głośne protesty.

– Muszę się spotkać z pewną *Kehanni*. Od kilku godzin czekam, aż wrócisz.

– Plemiona opuściły Adisę i wyruszyły na pustynię walczyć z Wojanami – tłumaczy Musa, a ja przypominam sobie, co mówiła Afya o atakach na wojańskich wieśniaków.

– Nie mogli odjechać daleko od miasta – odzywam się z nadzieją. – Widziałam, jak pewna *Kehanni* snuje opowieści niedaleko rynku. Srebrne włosy, purpurowo-białe wozy.

– Plemię Sulud – stwierdza Musa. – Znam *Kehanni*, o której mówisz. One nie powie ci tak po prostu tego, co chcesz wiedzieć, Laio. Zażąda zapłaty.

– W porządku, zapłacimy jej, ile sobie zażyczy...

– To nie takie proste. – Musa uwalnia ramię z mojego uścisku. – Ona nie jest straganiarzem sprzedającym błyskotki. Opowiada historie na własnych warunkach. Tradycyjnymi podarunkami za taką opowieść są rzeczy, których nie mamy: bele jedwabiu, szkatułka ze złotem, zapas żywności.

Mierzę go wzrokiem od stóp do głów, oceniam jego buty ze srebrnymi sprzączkami, bryczesy z miękkiej skóry, koszulę z drobno tkanej bawełny.

– Nie powiesz mi, że nie jesteś bogaty. Taure mówiła, że twój ojciec zbierał połowę miodu w kraju Morzan.

– Mam trochę ubrań. I trochę złota. Ale Morzanie przejęli mój majątek i moje pszczoły, całą spuściznę, kiedy... – Kręci głową. – Nieważne, po prostu zabrali i teraz mam ograniczone środki.

Widzę, jak słysząc te słowa, Zella i Taure wymieniają spojrzenia i notują sobie w pamięci, żeby je później odnaleźć. Potrzebuję informacji o przeszłości Musy, a od niego na pewno ich nie uzyskam. Mój brat wciąż ściska w dłoniach jedną z nowych szabli. Promień słońca odbija się od stalowego ostrza i oślepia mnie.

– Wiem, co jej podarować – mówię. – Coś, co będzie chciała mieć. Czego nie odmówi.

Musa podążyła za moim spojrzeniem i oboje patrzymy teraz na serrańską stal. Spodziewam się, co mi powie. Że Scholarzy bardziej jej potrzebują albo że mamy jej za mało. Tymczasem on tylko unosi brwi.

– Wiesz, co plemiona robią na południu – przypomina mi. – Nie mają żadnej litości dla Wojan bez względu na to, czy to żołnierz, czy cywil.

Czerwienię się.

– Masz dla mnie jakieś informacje o Zwiastunie Nocy? – zmieniam temat. Musa kręci głową. – W takim razie to jest najlepsza okazja, żeby się czegoś dowiedzieć. Jeśli tylko Darin zechce się podzielić swoimi szablami.

Darin wzdycha z rezygnacją.

– Musisz powstrzymać Zwiastuna Nocy. Żeby to zrobić, potrzebujesz informacji. Jestem pewny, że przyjmie taki prezent. Ale, Laio...

Zaplatam ręce na piersi, spodziewając się słów krytyki.

– Matka dokonywała takich wymian – ciągnie Darin. – Wymian, których pewnie nie chciała. Robiła to dla dobra swojego ludu. Dlatego była nazywana Lwicą. Dlatego mogła dowodzić ruchem oporu. Ale w końcu to się na niej zemściło. Nas też to będzie dużo kosztować.

– Matka robiła, co musiała – odpowiadam. – Dla nas, Darinie, nawet jeśli wyglądało, że tak nie jest. O bogowie, chciałabym mieć w sobie choć połowę jej odwagi, połowę jej siły. Ale nie mam, to nie jest takie proste. Nie chcę, żeby cierpiały niewinne osoby. Ale muszę mieć coś na Zwiastuna Nocy. Myślę, że matka by się zgodziła.

– Nie możesz... – Przez twarz Darina przebiega grymas. Nie wiem, czy to ból, czy złość, w każdym razie jakieś emocje, które pragnie starannie ukryć. – Masz własną siłę – mówi wreszcie. – I ona nie musi być taka sama jak Lwicy.

– Ale tym razem jest. – Staję się nagle twarda jak skała, bo jeśli taka nie będę, to znowu zacznę się zastanawiać, co mogę podarować *Kehanni*, zamiast jak najszybciej



ją dogonić.

Stojący obok Musa kręci głową, co tylko mnie bardziej rozsierdza.

– Chciałeś, żebym była przywódczynią ruchu oporu – zwracam się do niego. – Oto lekcja, jaką dostałam od ostatniego znanego mi bojownika o wolność. Żeby dowodzić, trzeba robić straszne rzeczy. Wyruszamy za godzinę. Jedziesz z nami albo zostajesz. Mało mnie to obchodzi.

Nie czekając na odpowiedź Musy, odchodzę. Czuję jednak jego zaskoczenie. I Darina. Czuję ich rozczarowanie. Wolałabym się tym zbytnio nie przejmować.

## XXI: Elias

Krzyki dochodzące z obozowiska Plemieńców mają zdecydowanie ludzki charakter i z każdą chwilą stają się głośniejsze. Biegnę w tamtą stronę, za mną podąża Aubarit i Afya. Ta ostatnia domaga się wyjaśnień, co się dzieje.

– Ukryjcie się – przerywam tyradę Zaldary. – Później odpowiem na wszystkie twoje pytania, a teraz po prostu się ukryjcie.

Z obozowiska plemienia Nur uykają dziesiątki ludzi. Kiedy jestem już blisko, sięgam po szablę. Najbliższy wóz, z którego dobiegają krzyki, jest jasnozielony, ozdobiony lusterkami. Znam go dobrze. Należy do młodszego brata Afyi, Gibrana.

Drzwi z tyłu wozu otwierają się na oścież i w progu staje przystojny młody Plemieniec. Wyciąga z wnętrza jakiegoś mężczyznę i rzuca go na ziemię jak zepsuta lalkę.

– Wujku Tash! – Afya mija mnie i podbiega do wozu. – Gib, nie! – woła do brata.

Ale kiedy Gibran obraca twarz w jej stronę, Afya cofa się przerażona. Oczy Gibrana są całe białe. Jest opętany. Zbiegły duch przejął jego ciało.

A wszystko dlatego, że nie przeprowadziłem ich dość szybko. Dlatego że jest ich za dużo, nie mają dokąd pójść i wracają do świata żywych.

Gibran rzuca się w stronę Afyi. I choć dzieli ich kilka metrów, dopada jej jednym susem, chwytając za gardło i unosi. Drobną kobietą wierzga nogami, jej twarz purpurowieje. Zanim do nich docieram, Gibran ją też rzuca na ziemię.

Budzi się mój instynkt Maski i zaczynam się ostrożnie podkradać. Gdyby udało mi się pozbawić Plemieńca przytomności, może Tajemnice Aubarit podpowiedziałyby mi, jak wypędzić z jego ciała ducha.

Niestety, opętany Gibran nie jest zwyczajnym przeciwnikiem. Sposób, w jaki rzucił Afyę na ziemię, świadczy o tym, że duch, który zawładnął jego ciałem, ma znacznie większą siłę fizyczną niż prawdziwy Gibran.

Dostaję gęsiej skórki. Dostrzegł mnie. Przykucam za wozem. Wie, że nadchodzę, ale nie zamierzam mu ułatwiać zadania.

W oddali grupa mężczyzn i kobiet zbiera dzieci i biegnie w kierunku rzeki popędzana wołaniem Aubarit. Szukam wzrokiem wśród nich Afyi, ale gdzieś zniknęła.

Kiedy odwracam się do Gibrana, jego też nie ma. *Jesteś idiotą, Eliasie. Nigdy nie odwracaj się plecami do wroga.* Chowam szablę do pochwy, nie chcę go zranić.

Za późno. Słyszę jakiś świst w powietrzu. Gibran rzuca mi się na plecy, a ja uginam się pod jego ciężarem. Jego ramię, szczupłe, ale umięśnione po miesiącach walk z Wojanami, zaciska się na moim gardle. Ma siłę pięciu mężczyzn.

– Pokroili i spalili, wąsy kukurydzy, krew i mąkę... – szepcze mi do ucha nie swoim głosem.

Wiem, że jako Łowca Dusz mogę umrzeć. Ale, na bogów, nie zginę chyba z ręki opętanego przez duchy Plemieńca plotącego mi do ucha jakieś bzdury.

Szarpię i drapię paznokciami jego ramię, zataczając się. Nagle rozbrzmiewa metaliczny pogłos i jego uścisk słabnie. Ciężko dysząc, chwytam się za gardło, obracam i widzę Afyę dzierżącą w dłoni żeliwny rondel. Odsuwa się od Gibrana, który, choć chwilowo ogłuszony, zaczyna już wstawać.

– Uciekaj! – wołam do Afyi, wskakując Gibranowi na plecy. – Nad rzekę! Szybko! – Afya obraca się na pięcie, a Gibran pada na ziemię. Nie mogę go uspokoić. Wymierzam mu cios w głowę. Potem drugi. I trzeci. Na ognie piekielne, chyba będę musiał go zabić, żeby wypędzić z jego ciała ducha. *Nie mogę go zabić. To tylko chłopiec. Nie zasłużył sobie na taki los.*

– Niech cię szlag! – wydaję z siebie ni to prychnięcie, ni okrzyk. Nikt tak nie potrafi rozśmieszyć Afyi jak Gibran. To dobry chłopak, kocha swoją rodzinę, przyjaciół i liczne narzeczone. I jest młody, zbyt młody, żeby spotkał go taki los. –

Wyjdź z niego! Wyłaź! No już! – Po piątym ciosie Gibran wreszcie traci przytomność. Duch opuszcza go i znika. Mam nadzieję, że wrócił do Poczekalni.

– Gib! – Afya wraca i upuszcza rondel. – Czy to go zabiło? – zwraca się do mnie. – Co to było? Skąd się to coś wzięło?

– Uciekł z Poczekalni – wyjaśniam. Jeśli Gibran umrze, to przeze mnie, bo nie przeprowadziłem dusz na drugą stronę. *Nie umieraj, Gibranie. Proszę, nie umieraj.* – Są jeszcze jakieś? – pytam.

Afya kręci głową, ale ja się nie uspokoję, póki sam nie sprawdzę całego obozowiska. Jestem pewny, że widziałem więcej niż jednego ducha uciekającego z Poczekalni.

– Jak one uciekły? – pyta Afya. – Co się stało?

– To ja zawiodłem. – Patrzę przyjaciółce prosto w oczy. Zmuszam się do tego, ponieważ to prawda, a ona zasługuje na to, żeby ją poznać. Myślałem, że będzie wściekła, tymczasem ona chwytła mnie za ramię i mocno je ścisła.

– Muszę sprawdzić, czy nie ma tu jeszcze jakiegoś. – Wyrrywam rękę z uścisku. Nie zasługuję na jej wyrozumiałość. – Każ wszystkim pozostać nad rzeką, a najlepiej niech wejdą do wody, jeśli mogą. Duchy nie znoszą wody.

– Pomóż mi go podnieść – mówi Afya, a potem ciągnie brata, trzymając go mocno za ramię, które przerwuciła sobie przez barki. Robi kilka kroków, nagle zatrzymuje się i zamiera w bezruchu. Puszcza ramię Gibrana, który pada na ziemię, a ona robi głęboki wdech jak wężący wilk. Odwraca się w moją stronę, a oczy ma białe jak śnieg.

*O nie.*

Afya podbiega do mnie z nieprawdopodobną prędkością. Kontrast pomiędzy tak dobrze znaną mi twarzą i figurą a gwałtownością jej działań przyprawia mnie o gęsią skórę. W ręku trzyma rondel i wiem, że jeśli mnie nim trafi, to czeka mnie potworny

ból głowy. Zamachuje się na mnie niezdarnie, a ja chwytam ją za nadgarstek i ściskam mocno. Każda normalna kobieta musiałaby po czymś takim wypuścić rondel z ręki, tymczasem ona tylko powarkuje na mnie gardłowo, mroząc mi krew w żyłach.

*Myśl, Eliasie, myśl. Przecież w Czarnym Klifie uczyli cię nie tylko walki.*

Obok nas przebiega mała dziewczynka, która do tej pory tu się ukrywała, a teraz próbuje uciec. Afya, jak zwierzę wyczuwające słabszą ofiarę, zostawia mnie i rusza w pościg za małą. Dziecko przebiera nogami z całych sił, ale nie jest dość szybkie. Afya rzuca się na dziewczynkę. Słyszę trzask łamanego karku i triumfalne chrząknięcie mojej przyjaciółki. Ryczę ze wściekłości.

Z głębi Lasu dobiega mnie śmiech dzinnów. Ignoruję to i przybieram tkwiącą gdzieś głęboko we mnie postawę Maski.

Żadna istota ludzka nie słyszy dzinnów, ale duch w ciele Afyi zatrzymuje się, przekrzywia głowę i nasłuchuje. Wykorzystuję tę chwilę nieuwagi i rzucam nożem prosto w jej twarz. Rękojeść trafia w czoło i Afya pada na ziemię. Na chwilę zapominam o niej i rozglądam się za innymi duchami.

I nagle czuję w sobie iskierkę magii. Ta skromna magia, którą otrzymałem, zobowiązując się do bycia Łowcą Dusz, odpowiada na coś większego. Cienka smuga mroku snuje się jak dym z Poczekalni w moim kierunku. *To Mauth!*

Przez chwilę wypełnia mnie magia Mauth. Duch opuszczający ciało Afyi nie może się równać z tą siłą. Owijam magią ducha, żeby go unieruchomić, i posyłam go z powrotem do Poczekalni. Sto kroków dalej dostrzegam ostatniego zbiegłego ducha czającego się w ciele jakiejś młodej kobiety, która atakuje teraz swoją rodzinę. Posyłam w jego kierunku magię jak pejcz i unieruchamiam go. Duch ryczy ze złości, ale wyrwam go z ciała kobiety i wrzucam z powrotem do Lasu.

O bogowie, co za moc! Jakbym się do tego urodził. Chce mi się krzyczeć ze szczęścia. Nareszcie magia przyszła do mnie.

Przyklękam obok jęczącej Afyi. Na czole rośnie jej guz, ale nie jest tak poważnie ranna jak Gibran. Chcę ją zanieść do jej plemienia, ale nagle wyczerpuje się przepelniająca mnie moc.

– Co takiego? Nie... – Próbuję uchwycić dłońmi tę smugę, ale wymyka mi się i znika w Lesie. Czuję się dziwnie, jakby opuściły mnie też moje własne siły. Jedyńm śladem po magii jest przyciąganie Mauth – ta mroczna natarczywość obecna zawsze, kiedy opuszczam Poczekalnię.

– Banu al-Mauth? – Obok mnie pojawia się Aubarit. Zakrywa dłonią usta na widok Afyi. – Zaldara... jej brat...

– Przykro mi, *Fakiro* – mówię. – To moja wina, że duchy uciekły.

Kolejne szarpnięcie przez Mauth. Tym razem zatrzymuje mnie w pół kroku. Jest inne niż wcześniej. Nie niecierpliwe, tylko gwałtowne.

Uszy wypełnia mi śmiech dzinnów, jest w nim zapowiedź odwetu i ognia. *Czujesz coś, Eliasie Veturiusie? Może dym?*

Co one knują? Nie mogą uciec ze swojego więzienia w gaju, tego mogę być już pewien. Magia Gwiazdy zamknęła je tam i ich jedyną siłą jest ich głos. A głosy można ignorować.

*Głósów można używać. Wracaj do domu, Eliasie. Zobacz, co na ciebie czeka.*

Dom. Chata Shaevy. Moje sanktuarium. „Śpij w chacie. Tam cię nie skrzywdzą”.

Nie tłumacząc się przed Aubarit, płynę z wiatrem w stronę drzew. Kiedy tylko przekraczam granicę, wyczuwam intruzów, wielu intruzów, daleko na północy. To samo czułem od tygodni, gdy sprawdzałem granice Lasu. Kiedy na chwilę pojawiają się w Lesie, widzę je swoim umysłem. Są większe od ghuli czy zjaw, a mniejsze od zmór. *To ifryty.*

Dżinny musiały je ostrzec, ponieważ umykają z Poczekalni. Teraz są już za daleko, nie złapię ich.

Zanim docieram do polany, już wiem. Zanim poczuję dym, zanim zobaczę płomienie, zanim minę miejsca, gdzie umarła Shaeva i gdzie zostałem nazwany Łowcą Dusz, wiem.

A mimo to nie mogę uwierzyć, dopóki nie nastąpię butami na rozżarzone węgielki, które pozostały z chaty Shaevy. Ifryty nie tylko podpaliły chatę, ale połamały też belki i ścięły wszystkie rośliny w ogrodzie. Zniszczyły chatę i magię, z której została zbudowana. Nie ma już mojego sanktuarium, mojego domu. I nigdy już nie będzie.

Tymczasem dżinny zanoszą się śmiechem.

## XXII: Kruk Krwi

---

Grimarr atakuje następnego wieczoru o zachodzie słońca, tuż po naszym powrocie z Avitasem do Navium. Po zniszczeniu większej części Dzielnicy Południowo-Zachodniej teraz za cel obrał Południowo-Wschodnią. Ostrzał jest intensywny i bezlitosny. Kiedy słońce ostatecznie chowa się za horyzontem, w dzielnicy jest goręcej niż na stosie. Ze wszystkich stron dobiega głos bębnow nawiązujących do ewakuacji. Balisty na wieżach strażniczych świszczą, a komendantka gromadzi wojsko na plażach na wypadek desantu, choć nie kontratakuję.

Wiem, że komendantka nie pozwoli mi wrócić na Wyspę. Otacza ją gromada wartowników. Na samą myśl o tym gotuje się we mnie. *Mogłaś z nią walczyć. Mogłaś zebrać Czarną Gwardię i dokonać krwawej łaźni.*

Wiadomo jednak, że kiedy Grimarr spróbuje zająć miasto, będzie się liczył każdy żołnierz.

Wraz z Harperem, Dexem, Janusem Atriussem i garstką czarnogwardzistów ruszam do Dzielnicy Południowo-Wschodniej. Krzyki mężczyzn i kobiet przywracają mnie do rzeczywistości, którą tam zastaję – kompletnego zniszczenia. Wysokie budynki zostały zamienione w stertę gruzów i popiołów, a przerażeni plebejusze desperacko próbują opuścić to miejsce. Wielu jest rannych i choć żołnierze wydają ewakuowanym rozkazy, to wyląda na to, że nikt nie wie, dokąd uciekać.

„Nadzieja jest silniejsza niż strach. I silniejsza od nienawiści”. Dźwięczy mi w uszach wspomnienie. I jeszcze słowa Liwii: „Każdego dnia jestem wdzięczna za obecność plebejuszy. Ich wsparcie zarówno dla imperatora, jak i dla mnie jest nieocenione w tym czasie próby”. A także Quina: „Ją obchodzi tylko jedno – władza”. *Jak mogę ją jej odebrać?*

W mojej głowie rodzi się plan.

– Dex, otwórz koszary Czarnej Gwardii. Rozgłoś, że plebejusze mogą się tam schronić. Na północ stąd ród Aquilla ma posiadłość. To najwyżej pół godziny drogi piechotą. Każ służbie opróżnić dolne piętra domu i zapewnić żywność, wodę i miejsce do spania. Tam urządzimy szpital polowy.

– Ród Atria ma dom w pobliżu posiadłości Aquilli. – Dex spogląda na swojego wuja, który kiwa głową.

– Wydam rozkaz, żeby go otwarto – mówi Janus.

– Weźcie tych ludzi. – Wskazuję pozostałych żołnierzy Czarnej Gwardii. – Sprowadźcie do obu posiadłości medyków. Zabierzcie zapas leków z innych dzielnic. I zadbajcie o to, żeby każdy, lekarz czy pacjent, wiedział, że znalazł się tam z rozkazu Kruka Krwi.

Dex i Janus odchodzą z żołnierzami, a ja zwracam się do Harpera:

– Zdobądź informacje o majątku wszystkich rodów, których przedstawiciele byli na Wyspie w dniu naszego przyjazdu. O każdym statku, każdym kawałku koronki,

butelce rumu, czymkolwiek tam jeszcze handlują. Chcę wiedzieć, jak zarabiają pieniądze. Zwróć uwagę na domy admirała Argusa i wiceadmirała Visselliusa. Żonę Argusa widziano, jak dwa dni temu wydawała obrzydliwą sumę u krawca. Chcę wiedzieć, dlaczego nie opłakiwała męża jak reszta rodziny.

Dex błyskawicznie dosiadł konia, tymczasem Harper ledwo się wgramolił na grzbiet swojego wierzchowca. *Co się z nim dzieje?*

– Słyszałeś, co mówiłam? Jedź.

– Musisz ciągle mieć przy sobie straż, Kruku Krwi – tłumaczy Avitas. – Nie dlatego że nie dasz sobie rady, ale dlatego że Kruk Krwi musi pokazywać swoją siłę. A siłą jest liczebność.

– Siłą jest zwyciężanie – odpowiadam. – Żeby zwyciężyć, potrzebuję ludzi, którym mogę ufać. – Avitas zaciska zęby i zawraca konia.

O północy ostrzał ustaje. Koszary Czarnej Gwardii są pełne tych, którzy uciekli z Dzielnicy Południowo-Wschodniej, a posiadłości rodów Aquilla i Atria pękają w szwach od rannych.

Idę pomiędzy rannymi w posiadłości mojego rodu, a moje ciało aż rwie się do najbardziej poszkodowanych. Potrzeba wyleczenia tych ludzi jest dojmująca. Na widok tej skali cierpienia moją głowę wypełniają dziesiątki uzdrawiających pieśni.

– To plebejusze. – Dex, który dołączył do mnie, kręci głową. – Co do jednego.

– Kruku Krwi. – Mężczyzna o ostrych rysach twarzy, ubrany w biały fartuch, blednie na mój widok. – Jestem porucznik Silvius. Usiądź, proszę...

– Nic mi nie jest. – Chłód w moim głosie sprawia, że prostuje się jak struna. – Mów, czego wam potrzeba.

– Leków, herbaty, bandaży, spirytusu – wymienia Silvius. – I więcej rąk.

– Dex! – wołam. – Pomóż porucznikowi. Ja się zajmę tamtymi. – Wskazuję gniewny tłum zgromadzony przed szpitalem.

Kiedy wychodzę, tłum milknie. Szacunek dla Kruka Krwi jest tak głęboko zakorzeniony, że nawet w obliczu cierpienia trzymają język za zębami. Wszyscy prócz jednej kobiety, która przedziera się przez tłum i zatrzymuje tuż przy mnie.

– Tam jest mój synek – szepcze. – Nie wiem, czy żyje, czy jest ranny...

– Wasze rodziny są pod dobrą opieką – zwracam się do zgromadzonych. – Ale musicie pozwolić lekarzom pracować.

– Dlaczego nie kontratakujemy? – Przed szeregiem wysuwa się posiłkowy w podartym mundurze, z jego czoła spływa strużka krwi. – Cała moja rodzina... – Kręci głową. – Dlaczego nie odpowiadamy na atak?

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale powstrzymamy barbarzyńców. Nie postawią stopy w Navium. Przysięgam wam na krew i kości.

Kiedy tłum rzednie, znów czuję potrzebę uzdrawiania. *Nadzieja jest silniejsza niż strach.* A gdybym tak mogła dać tym ludziom więcej nadziei?

Szybki rzut oka mówi mi, że porucznik Silvius jest pochłonięty rozmową z Dexem. Przez tylny dziedziniec wślizguję się do skrzydła zajętego przez dzieci. Pielęgniarka skłania głowę na powitanie, ale zostawia mnie w spokoju.

Kiedy jest zajęta czymś innym, ja przysiadam przy ciemnowłosym dziecku. Jego rzęsy zawijają się tak, jak moje nigdy nie chcą, policzki ma okrągłe i ziemiste. Biorę małą zimną rączkę w swoją dłoń i szukam jego pieśni.

*Żagle jak ptaki na morzu, śmiech jego ojca obserwującego delfiny...*

Nie nucę pieśni głośno. Nucę ją w swojej głowie, tak jak dawno temu dla Kucharki. Jeden takt, drugi, trzeci, aż ogarnia mnie słabość. Kiedy otwieram oczy, jego twarz nie jest już tak nienaturalnie szara. Podchodzę do kolejnego dziecka. Z każdym postępuję podobnie, uśmierzam ból i zabieram znad krawędzi.

Moje ciało jest coraz bardziej zmęczone, ale pozostały jeszcze dziesiątki rannych. Śpiewam im, jednemu po drugim, aż wreszcie nie mam siły chodzić. Potrzebuję przerwy. Muszę odpocząć.

Nagle ciszę przerywa czyjeś chlipanie. To mały chłopczyk pod ścianą, ciemnowłosy i szarooki. Ranę na piersi zakrywają zakrwawione bandaże. Podchodzę do niego. Jest przytomny.

– Boję się – szepcze.

– Ból wkrótce minie.

– Nie – odpowiada. – Ich się boję.

Mija chwila, nim zaczynam rozumieć.

– Karkaunów?

– Oni wrócą. Zabiją nas.

Rozglądam się. Niedaleko leży drewniana taca, wystarczająco gruba na moje potrzeby.

– Zobacz, chłopcze, kiedy otworzę dłoń i spróbuję złamać to drewno – uderzam w tacę – nic się nie dzieje. Ale jeśli zacisnę dłoń w pięść... – Tym razem z łatwością rozbijam tacę, strasząc przy okazji pielęgniarkę. – Jesteśmy Wojanami, dziecko. Jesteśmy pięścią. A nasz wróg jest drewnem. Musimy go rozbić.

Znajduję jego pieśń, a kiedy zapada w drzemkę, kieruję się do drzwi. Wychodzę na dziedziniec i ze zdumieniem stwierdzam, że do świtu została godzina, najwyżej dwie. W szpitalu jest teraz o wiele spokojniej. Po drugiej stronie podwórka stoją Dex i Silvius, który mówiąc, pochyla w zamyśleniu głowę. Niepokoi mnie moje zmęczenie. Przypominam sobie słowa Harpera o sile w liczebności i mam ochotę zawołać swojego przyjaciela.

Powstrzymuję się jednak. Jest między Dexem i Silviusem jakaś dobra energia, która sprawia, że uśmiecham się, chyba po raz pierwszy tego dnia.

Idę do bramy bez Dexa. Do koszar jest tylko kawałek drogi piechotą.

Moje zmysły szwankują, a nogi są coraz słabsze. Mijam patrol złożony z plutonu



żołnierzy, którzy mi salutują, a których ja ledwie dostrzegam. Żałuję, że nie poprosiłam jednak Dexa, żeby mi towarzyszył. Mam nadzieję, że wróg nie rozpocznie teraz ataku. Nie miałabym siły walczyć z muchą.

Zmęczenie sprawia, że zapominam o złości na własną niemoc. Będę dziś dobrze spała. Może nawet coś mi się przyśni.

Słyszę odgłos kroków za plecami.

Dex? Nie. Ulica jest pusta. Mrużę oczy, próbując coś dostrzec w ciemnościach. Tym razem podejrzaną szuranie rozlega się przede mną. Ktoś stara się pozostać niewidoczny.

Moje zmysły się wyostają. Nie po to spędziłam piętnaście lat w Czarnym Klifie, żeby teraz zaczynał mnie jakiś idiota kilka przecznic od koszar.

– Okazałbyś się głupcem, gdybyś próbował! – wołam głosem Kruka i sięgam po szablę. – Ale proszę, dostarcz mi rozrywki.

Kiedy z mroku nadlatuje pierwsza strzała, nawykowo ścinam ją w powietrzu szablą. Uczono nas tego setki godzin. Za strzałą pojawia się nóż.

– Pokaż się! – warczę. Po mojej prawej stronie porusza się jakiś cień, więc rzucam w tamtym kierunku nożem. Postać pada na ziemię dziesięć kroków ode mnie, trzymając się kurczowo za gardło.

Podchodzę i zamierzam zerwać jej kaptur z głowy. *Śmierdzący, zdradziecki tchórz...*

Ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. W moim boku eksploduje ból, nagły i przeszywający. Spoglądam w dół. Wszędzie pełno krwi.

*To ze szpitala?* Nie. To moja krew.

*Idź, Kruku. Pospiesz się. Uciekaj stąd.*

Nie mogę. Nie mam siły. Padam na kolana i mogę jedynie patrzeć, jak wycieka ze mnie życie.

## XXIII: Laia

Kiedy wyruszamy z Musą z Adisy, słońce stoi już wysoko, a jego promienie rozpraszają mgłę, która przywędrowała znad morza. Nie przekraczamy jednak murów miasta aż do wczesnego wieczoru, ponieważ strażnicy uważnie przyglądają się wszystkim wjeżdżającym i opuszczającym miasto.

Przebranie Musy – za staruszka z osłem – jest tak zdumiewająco przekonujące, że strażnicy nie zwracają na niego szczególnej uwagi. Mimo to czeka, aż zapadną zupełne ciemności, zanim schowa do torby swój kraciasty płaszcz i złachmanioną perukę. W pobliskim młodniku spomiędzy sterty chrustu dźwiganej przez osła wyjmuje szablę z serrańskiej stali i klepięciem w zadek odsyła zwierzę z powrotem.

– Moi informatorzy powiedzieli mi, że plemię Sulud odjechało poprzedniego wieczoru, a to oznacza, że znajdziemy ich obozowisko w jednej z nadmorskich wiosek na południu – mówi Musa. W odpowiedzi kiwam głową i oglądam się przez ramię. Cienie poruszają się i kurczą. Choć lato jest w pełni, drzę i krocę szybko przez bagniste łąki.

– Mogłabyś przestać tak się oglądać za siebie? – strofuje mnie Musa odporny jak nigdy na moją magię. – Denerwujesz mnie.

– Po prostu chciałabym, żebyśmy się pospieszyli – odpowiadam. – Czuję się dziwnie. Jakby coś było za naszymi plecami. – Poprzedniego wieczoru Zwiastun Nocy zniknął tak szybko, że zaczynam mieć wątpliwości, czy w ogóle był w Adisie. Ale od tamtej pory nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś mnie obserwuje.

– Tam dalej mam ukryte konie. Kiedy do nich dotrzemy, będziemy poruszać się szybciej. – Musa śmieje się z mojej niecierpliwości. – Co, nie masz ochoty na konwersację ze mną w drodze? Jest mi przykro.

– Chcę tylko dotrzeć do *Kehanni* – odburkuję, choć nie jest to jedyny powód, dla którego irytuje mnie nasza powolność. Musa przygląda mi się uważnie, a ja wydłużam krok. Nie może uwierzyć, że zamierzam dać broń Plemięcom, nawet jeśli miałabym w zamian uzyskać informacje na temat Zwiastuna Nocy. Nie, kiedy ta broń mogłaby posłużyć do zabijania niewinnych wojańskich cywilów na południu.

Nie powstrzymuje mnie jednak, choć mógłby z łatwością to zrobić, wykorzystując swoją dziwną magię. A nawet towarzyszy mi, choć z wyraźnym niesmakiem.

Jego niezadowolenie mnie uwiera. Po części dlatego nic do niego nie mówię. Nie chcę, żeby mnie oceniał. Milczę z jeszcze jednego powodu.

Rozmawiając z nim, dowiedziałabym się o nim czegoś. Zrozumiałabym go. Może nawet byśmy się ze sobą zaprzyjaźnili. Wiem, jak to jest, kiedy się z kimś podróżuje, dzieli chlebem i radościami, zbliża do siebie.

Może to głupie, ale boję się. Bo znam też ból utraty przyjaciół. Rodziny. *Matka. Ojciec. Lis. Babcia. Dziadek. Izzi. Elias.* Zbyt wiele osób straciłam. Zbyt wiele bólu.

Zrzucam swoją niewidzialność.

– Jak dotąd nie odpowiedziałeś na żadne moje pytanie. Mimo to tak, chcę z tobą rozmawiać, tylko że...

Pojawiają się zawroty głowy. Poznają to uczucie. *Nie, nie teraz, kiedy muszę dotrzeć do Kehanni.* I choć chce mi się krzyknąć z rozpacz, to nie jestem w stanie powstrzymać wizji: zatęchły pokój, kobieca postać. Ma jasne włosy. Twarz ukrytą w cieniu. Znów słyszę ten głos, tak znajomy.

*Gwiazdę przyniosła*

*Do mojego domu*

*I zapłonęła jasno chwałą*

*Jej śmiech jak*

*Pozłocista pieśń*

*Wróbla o deszczowej chmurze.*

Chcę podejść bliżej. Chcę zobaczyć jej twarz. Głos znam, słyszałam go już wcześniej. Szukam w pamięci. *Kim ona jest?* Rozlega się cichy trzask. Śpiew ucicha.

– Au! – Przytomnieję, kiedy Musa wymierza mi policzek. – Co jest? – Odpycham go.

– Padłaś na ziemię jak omdlała heroina w teatrze – odpowiada ze złością. – Próbuję cię ocucić od godziny. Zawsze tak się dzieje, kiedy korzystasz ze swojej niewidzialności? To dość kłopotliwe.

– Tylko ostatnio. – Podnoszę się z ziemi. Boli mnie głowa, ale nie od upadku i nie od policzka wymierzonego przez Musę. – Wcześniej to się nie zdarzało. Te omdlenia trwają coraz dłużej.

– Im częściej używasz magii, tym więcej ci ona zabiera. Przynajmniej ze mną tak jest. – Musa podaje mi manierkę i mnie popędza. Tym razem to on ogląda się przez ramię.

– Co? Zobaczyłeś tam coś? Czy to...

– Jest po zmroku. A tak daleko od miasta trafiają się rozbójnicy. Lepiej dotrzyjmy do koni. Narzekałaś, że nigdy nie odpowiadam na pytania. Pytaj, postaram się ciebie nie zawieść.

Wiem, że chce odwrócić moją uwagę, ale ciekawość bierze górę. Z nikim nie rozmawiałam o swojej magii. Zamierzałam kiedyś porozmawiać z Darinem, ale z drugiej strony nie chciałam go tym obciążać. Jedyńą osobą, która mogłaby mnie zrozumieć, był Kruk Krwi ze swoją zdolnością uzdrawiania. Krzywię się na myśl o rozmowie z nią na ten temat.

– Co magia ci zabiera?

Musa milczy dłuższą chwilę, otaczają nas coraz większe ciemności. Gwiazdy tworzą na niebie srebrne pasmo i oświetlają nam drogę prawie tak dobrze jak księżyc w pełni.

– Magia sprawia, że chcę nad wszystkim zapanować, nawet kiedy nie ma takiej

potrzeby – odpowiada. – To jest magia manipulacji, mówienia, naginania istot niższych ode mnie do swojej woli. Dlatego tak dobrze radziłem sobie z pszczołami ojca. Ale jeśli zbyt połam na magii, wyłazi ze mnie moje gorsze ja. Staję się tyranem.

– A te stworzenia, którymi potrafisz manipulować, czy są wśród nich ghule?

– Nie marnuję czasu na komunikowanie się z tymi małymi bydlakami.

Gdzieś w pobliżu stopy Musy rozlega się ćwierkanie i dostrzegam opalizujące światło, które po chwili znika. Musa unosi ręce, które – mogłabym przysiąc – przed chwilą były puste. Teraz trzyma w nich zwój.

– To dla ciebie – mówi.

Zabieram zwój, czytam szybko i zawiedziona opuszczam rękę.

– To mi nic nie mówi.

– To ci mówi, że Kruk Krwi jest ranny. – Zerka na pergamin. – A możliwe rody zwróciły się przeciwko niej. Stałby się cud, gdyby przeżyła. Interesujące. Zastanawiam się...

– Nie obchodzi mnie Kruk Krwi ani wojańska polityka – wyrzucam z siebie. – Muszę wiedzieć, z kim jeszcze spędza czas Zwiastun Nocy.

– Zachowujesz się jak porzucona kochanka. – Musa unosi brwi, a ja zdaję sobie sprawę, że musi wiedzieć o mnie i Keenanie. O tym, co między nami zaszło. Czuję się zakłopotana. Żałuję, że tak się przed nim otworzyłam.

– Och, Laio *aapan*. – Używa eleganckiego morzańskiego zwrotu znaczącego „siostrzyczko” i szturcha mnie łokciem. – Wszyscy popełniają błędy w miłości. A ja najwięcej.

*Miłość*. Wzdycham. Miłość jest radością, której towarzyszy niedola, uniesieniem, od którego tylko krok do rozpacz. Jest płomieniem, który cudownie ogrzewa i spala na popiół, gdy się do niego zbliżyć. Nienawidzę miłości. Tęsknię za nią. Miłość doprowadza mnie do szaleństwa.

Tak czy siak, nie jest to coś, o czym chciałabym z kimkolwiek rozmawiać, a zwłaszcza z Musą.

– A czy wśród głów możliwych rodów jest ktoś, z kim Zwiastun Nocy spędza więcej czasu? – pytam.

Kolejne śpiewne ćwierkanie.

– Mój przyjaciel mówi, że sprawdzi.

Przez krótką chwilę widzę opalizujące skrzydła i nagle zaczynam rozumieć.

– Musa – szepczę. – Czy to była strzyga? – Strzygi, podobnie jak zmy, są istotami nadprzyrodzonymi, ale mniejszymi, szybszymi, bardziej przebiegłymi i podstępny. Ponoć chętnie zwabiają ludzi w śmiertelne pułapki.

– Moi mali szpiedzy. Szybcy jak wiatr. Mają fioła na punkcie kandyzowanych migdałów, które, jak pewnie zauważyłaś, poutykałem w swoim pokoju. – Rzuca mi

filuterne spojrzenie, a ja czerwienię się ze wstydu. – W rzeczywistości są uroczymi stworzeniami, kiedy się je bliżej pozna.

– Strzygi są urocze? – Unoszę z powątpiewaniem brwi.

– Nie wchodziłbym im w drogę, co to, to nie. Ale są bardzo oddane. W każdym razie bardziej lojalne niż większość ludzi.

Dziwne, ale ten komentarz sprawia, że w końcu staję się mniej podejrzliwa wobec Musy. Jeszcze mu nie ufam, ale zaczynam go lubić. Nie wiedziałam, ile tracę, nie mając nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Z Darinem nawet najprostsza rozmowa wymagała niezwykłego wycucia.

– A co z moim zadaniem? – pytam. – Opowiesz moją historię i robisz ze mnie, hm... bohaterkę.

– Raczej przywódczynię.

Wiedziałam, że zadawanie się z nim nie ograniczy się do rekrutowania bojowników ruchu oporu.

– Chcesz, żebym przewodziła ruchowi oporu?

– Gdybym powiedział ci o tym tam, w więziennej celi, odrzuciłabyś moją ofertę.

– Ponieważ nie mam ochoty niczemu przewodzić. Zobacz, co stało się z moją matką. Z Mazenem. – Spokój Musy tylko mnie rozjusza. – Dlaczego nie zrobisz tego sam? Dlaczego ja?

– Ja jestem Scholarem z Adisy – tłumaczy Musa. – Moja rodzina żyje tu ponad dwieście lat. Uchodźcy nie potrzebują, żebym mówił w ich imieniu. Potrzebują kogoś, kto rozumie ich cierpienie i będzie ich reprezentował przed królem Irmandem.

– Czy to miałeś na myśli, mówiąc, że chcesz współpracować z królem? – Spoglądam na niego z nagłym niepokojem. – Zapomniałeś już, że król chce uwięzić mnie, Darina i ciebie?

– To sprawka Nikli. – Musa lekceważy moje protesty. – Wątpię, czy powiedziała ojcu, że ty i Darin byliście już w jej szponach. Król jest stary. Schorowany. A ona wykorzystuje jego słabość, żeby pozbyć się Scholarów z Adisy i z obozów dla uchodźców. Chce przejąć ziemię i tytuły Scholarów z Adisy. Ale na razie księżniczka nie rządzi. Póki żyje król, jest nadzieja, że wysłucha naszych argumentów. Zwłaszcza z ust córki Lwicy, którą uważał za swoją przyjaciółkę.

Zerka na mnie i zaczyna chichotać.

– Nie martw się tak. Nie pójdziesz nieprzygotowana. Będziemy mieli tylko jedną szansę, żeby przedstawić królowi nasze postulaty. Przyszłość naszego ludu zależeć będzie od tego, czy nam się uda. Potrzebujemy wsparcia ze strony uchodźców, a także adisańskich Scholarów. Dlatego każę ci się spotykać z tyloma ludźmi. Jeśli wystarczająco dużo Scholarów opowie się po naszej stronie, król Irmand będzie musiał nas wysłuchać.

Jednak zebranie takiej liczby sprzymierzeńców wymaga czasu, którego nie mam. Ogarnia mnie poczucie winy. Musa poświęcił tygodnie na budowanie mojej pozycji,

ale kiedy tylko się dowiem, jak powstrzymać Zwiastuna Nocy, wyjadę z Adisy. I co zostanie z jego planów?

Lepsza żywa, żeby mogła walczyć, mówię do siebie, niż zabita w apokalipsie szykowanej przez dżinny.

Docieramy do czekających na nas koni, a wkrótce potem rozpętuje się burza i w ciągu kilku minut jesteśmy przemoczeni do suchej nitki. Nadal jestem ostrożna i nalegam, żebyśmy jechali dalej nocą.

Strzygi Musy donoszą o lokalizacji plemienia Sulud i wreszcie zatrzymujemy się przed nadbrzeżną wioską akurat w chwili, gdy kutry rybackie wypływają w morze. Na przesiąkniętych wodą polach uprawnych wokół wioski pełno jest robotników rolnych zbierających plony. Wozy plemienia Sulud stoją w pobliżu portu, o rzut kamieniem od jedynej gospody we wsi, gdzie Musa wynajmuje pokoje.

Mam nadzieję, że *Kehanni* wie coś o Zwiastunie Nocy. Święto Księżyca, które ma nastąpić za siedem tygodni, wisi nade mną jak katowski topór. *Proszę*. Wznoszę modły do gwiazd w nadziei, że wszechświat mnie wysłucha. *Pozwólcie mi dowiedzieć się czegoś użytecznego*.

Musa nalega, żebyśmy się najpierw umyli. „Ona nie wpuści nas do swojego wozu, jeśli będziemy cuchnęli końmi i potem”. Kiedy w końcu wychodzimy z gospody, czeka na nas grupa Plemieńców. Witają Musę jak starego przyjaciela, a mnie z oficjalną uprzejmością. Bez fanfar jesteśmy prowadzeni do największego z wozów ozdobionego malunkami purpurowych ryb i żółtych kwiatów, białych czapli i krystalicznie czystych rzek. Kiedy otwierają się drzwi, radośnie pobrzękują przesłaniające je wisiorki z matowego srebra.

*Kehanni* ma na sobie prostą suknię, nie tak finezyjną jak tamtego wieczoru, ale jej zachowanie jest równie dostojne. Liczne bransoletki przesłaniają wyblakłe nieco tatuaże na ramionach.

– Musa z Adisy – wita mojego towarzysza. – Nadal pakujesz się w kłopoty, z których potem nie możesz się wyplątać?

– Jak zawsze, *Kehanni*.

– Aha. – *Kehanni* wpatruje się w niego badawczo. – Więc w końcu przekonałeś się, jaka ona jest.

W oczach Musy widzę cierpienie i wiem, że nie rozmawiają o mnie.

– Nadal wiążę z nią nadzieje.

– Nie czekaj na nią, dziecko. Czasem ci, których kochamy, są dla nas tak straceni, jakby sama śmierć się o nich upomniała. Pozostaje nam tylko żałować, że wybrali niewłaściwą drogę. Jeśli spróbujesz nią podążyć, również zatopisz się w mroku.

Musa otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale *Kehanni* zwraca się już do mnie.

– Przynosisz z sobą pytania, Laio z Serry. A czy przynosisz też zapłatę?

– Mam broń z serrańskiej stali – odpowiadam. – Sześć szabli, świeżo wykutych.

*Kehanni* kręci nosem i wzywa jednego ze swoich krewnych. Musa podchwytuje moje spojrzenie i choć nic nie mówi, zaczynam się niespokojnie wiercić. Myślę o słowach Darina. „Masz własną siłę. I ona nie musi być taka sama jak Lwicy”.

– Zaczekaj. – Kładę dłoń na szablach, które *Kehanni* przekazuje właśnie Plemięncowi. – Proszę, używajcie ich do obrony. Walczcie nimi z żołnierzami, a nie... a nie z tymi, którzy są niewinni. Proszę.

Plemieniec patrzy na *Kehanni* wyczekująco. Ona mruży do niego coś w języku *sadhese* i mężczyzna odchodzi.

– Laio z Serry, ty będziesz mówić Plemięncowi, jak ma się bronić?

– Nie. – Splatam palce. – Będę prosić, żeby ta broń, która jest podarunkiem, nie była używana do przelewania niewinnej krwi.

– Hm. – To jedyny komentarz *Kehanni*, która sięga w głąb wozu, a potem podsuwa mi pod nos drewnianą misę z solą. Wzdycham z ulgą i sypię szczyptę soli na język. Tego zwyczaju nauczyła mnie Afya. Od tej chwili jesteśmy pod ochroną plemienia. Żaden z jego członków nie może nas skrzywdzić.

– Twój podarek został przyjęty, Laio z Serry. Jak mogę ci pomóc?

– Słyszałam, jak snułaś opowieści w Adisie. Czy możesz mi opowiedzieć o dzinnach? Czy one mają jakiś słaby punkt? Czy jest sposób, żeby je... – Chciałam powiedzieć „zabić”, ale to zbyt zimne słowo. – ...skrzywdzić?

– Podczas wojny prowadzonej przez Scholarów ze światem nadprzyrodzonym twoi przodkowie mordowali dzinny stałą, solą i letnim deszczem padającym z nieba. Ale zadajesz niewłaściwe pytanie, Laio z Serry. Znam cię. Wiem, że nie szukasz sposobu na zabicie dzinnów. Ty chcesz zniszczyć Zwiastuna Nocy. A to zupełnie coś innego.

– Czy to możliwe? Czy można go zabić?

*Kehanni* opiera się na stosie poduszek i pogrąża w rozmyślaniach. Odgłos jej palców gładzących lakierowane drewno ścian wozu przypomina szelest piasku przesypującego się w klepsydrze.

– On jest najpotężniejszym ze swojego gatunku – odzywa się wreszcie. – Deszcz na jego skórze zamieni się w parę, a stal w płynny metal. Gdybyś spróbowała użyć przeciwko niemu soli, wyśmiałyby cię, ponieważ uodpornił się na jej działanie. Nie, Zwiastuna Nocy nie da się zabić. W każdym razie nie zabije go żadna istota ludzka. Ale można go powstrzymać.

– Jak?

Deszcz dudni w drewniany dach wozu, a mnie przypomina to przeszywający dźwięk bębnow Imperium.

– Wróc tu w nocy – mówi *Kehanni*. – Kiedy księżyc będzie wysoko na niebie. Wtedy ci powiem.

– Z całym szacunkiem, *Kehanni*... – Musa wzdycha.

– W nocy.

– Ale my... – Kręcę głową.

– Nasze opowieści to nie kość pozostawiona na drodze, skąd może ją zabrać każde głodne zwierzę. – *Kehanni* podnosi głos, a ja się wzdragam. – Nasze opowieści mają swój cel. Mają duszę. Oddychają, Laio z Serry. I, oczywiście, mają moc. Ale równie wielką, a może nawet większą moc mają opowieści nieopowiedziane. Wyśpiewam ci taką opowieść, opowieść długo nieopowiadaną. Opowieść o imieniu i jego znaczeniu. O tym, że imię znaczy więcej niż jakiegokolwiek inne istniejące słowo. Ale muszę się do tego przygotować, bo takie historie są jak smoki wydobyte z głębokiej studni. Czy ktoś wzywa smoki? Nie. Smoka można tylko grzecznie zaprosić i mieć nadzieję, że przyjdzie. To tyle. Dziś w nocy.

*Kehanni* nie zamierza powiedzieć teraz ani słowa więcej, więc wracamy z Musą do gospody. On znika w swoim pokoju, mało entuzjastycznie machając mi ręką.

Plemienka powiedziała, że Zwiastuna Nocy można powstrzymać. Czy powie mi jak? Drzę z niecierpliwości. Jaką opowieść dziś wyśpiewa?

„Opowieść długo nieopowiadana. Opowieść o imieniu i jego znaczeniu”.  
Otwieram drzwi swojego pokoju. W progu zamieram w bezruchu.

Ktoś jest w środku.



## XXIV: Elias

---

Kiedy nie ma już chaty, która mnie chroniła, mój umysł jest narażony na działanie dżinnów. I choć staram się nie usnąć, to przecież jestem tylko człowiekiem.

Odkąd zostałem Łowcą Dusz, nic mi się nie śni. Uświadamiam to sobie dopiero teraz, kiedy otwieram oczy i znajduję się na ciemnej, opustoszałej ulicy. Na wietrze powiewa flaga – skrzyżowane młoty na czarnym tle. To flaga Marcusa. W letnim powietrzu czuję smak soli i coś gorzkiego. Krew. Dym. Opalony kamień.

Wiatr niesie szept. Rozpoznaję świszczące tony dżinnów. Czy to jedna ze stworzonych przez nie iluzji? A może rzeczywistość?

Ciszę przerywa skomlenie. Jakaś zakapturzona postać osuwa się na ziemię za moimi plecami. Przyglądam się jej chwilę, wreszcie podchodzę. Jestem ostrożny, bo wystająca spod peleryny jasna dłoń jest mocno zaciśnięta na rękojeści szabli. Moje obawy znikają, kiedy widzę twarz.

To Kruk Krwi. Na jej skulonym ciele wykwita krew, bezlitośnie i nieubłaganie plamiąc bruk dookoła.

– Przepraszam – szepcze na mój widok. – Przepraszam za to, co zrobiłam Mamie Rila. Imperium... – Zaczyna kaszleć, a ja kucam obok i kładę jej dłoń na plecach. Jest ciepła. Żyje.

– Kto ci to zrobił? – Jakaś część mnie wie, że to sen, ale szybko o tym zapominam i po prostu jestem tam, tkwię w tym, jakby to była najrzeczywistsza rzeczywistość. Twarz Kruka jest umęczona i blada, szczęka zębami, choć noc jest pogodna i ciepła. Kiedy przesuwam dłońmi po jej ramionach, szukając ran, drży, a potem rozchyła pelerynę i pokazuje mi ranę na brzuchu. Wygląda to źle.

Bardzo źle.

*To jest sen. Tylko sen.* Mimo to ogarnia mnie strach. Byłem na nią zły, kiedy się ostatnio widzieliśmy, ale kiedy widzę ją w takim stanie, kieruję złość ku temu, kto jej to zrobił. *Gdzie jest najbliższy szpital? Trzeba ją tam zabrać. Nie, do koszar. Jakich koszar?*

Przecież nie mogę nic zrobić, to tylko sen.

– Przyszedłeś, żeby zaprosić mnie do... jak ona to nazywała... Poczekałni?

– Nie jesteś martwa – mówię. – I nie umrzesz. Słyszysz? – Wraca ważne wspomnienie. Pierwsza Próba, atakujący ją Marcus, lekkie ciało Kruka, które znoszę ze szczytu wzgórza. – Będiesz żyła. Znajdziesz tego, kto to zrobił. Zapłaci ci za to. Wstań. Idź do jakiegoś bezpiecznego miejsca. – Muszę jej powiedzieć te słowa. Czuję to tak wyraźnie. Jej źrenice rozszerzają się, ciało się prostuje.

– Jesteś Krukiem Krwi Imperium – mówię. – I masz przeżyć. Wstawaj.

Kiedy odnajduje moje spojrzenie, ma szkliste oczy. Wstrzymuję oddech, ponieważ to wszystko jest takie rzeczywiste – kształty, emocje, barwy. Sposób, w jaki jej twarz

zmienia się pod maską, zaciśnięte szczęki.

I wtedy znika, a z nią miasto. Zapada cisza. Ciemność. Kiedy ponownie otwieram oczy, spodziewam się, że zobaczę Poczekalnię. Ale tym razem jestem w pokoju, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Gładka drewniana podłoga jest czysta, leżą na niej poduszki. W powietrzu unosi się lekki, znajomy zapach. Serce zaczyna mi mocniej bić, a moje ciało rozpoznaje ten zapach szybciej niż umysł.

Otwierają się drzwi i wchodzi Laia. Ma rozpuszczone czarne włosy i zagryza wargę, jak zawsze kiedy jest głęboko zamyślona. Do pokoju wpada blade światło pochodni z korytarza, rozświetlając jej złocistobrazową twarz. Pod oczami ma purpurowe cienie.

W oddali grzmi ocean, a skrzypienie starych kutrów zmagających się z falami tworzy oddzielną dziwną melodię.

Ruszam w jej stronę, przyciągany płynącą z głębi duszy tęsknotą. Chcę usłyszeć, jak wypowiada moje imię. Chcę zanurzyć dłonie w chłodnym cieniu jej włosów, znaleźć ukojenie w jej spojrzeniu.

Laia na mój widok zastyga, a jej usta układają się w wielkie O.

– Ty... Tutaj... Jak...

– To sen – mówię. – Jestem w Poczekalni. Zasnąłem.

– Sen? – Kręci przecząco głową. – Nie, Eliasie. To prawda. Przed chwilą byłam na dole, rozmawiałam z Musą...

*Kim, do diabła, jest ten Musa?*

– Zazdrosny? – Laia śmieje się, a ja tak bardzo chcę słyszeć ten śmiech. – Teraz wiem, że to nie jest sen. Śpiący Elias wiedziałby, że nigdy nie musi być zazdrosny.

– Nie jestem... – Zastanawiam się. – Nieważne. Jestem zazdrosny. Powiedz mi chociaż, że jest stary. Albo zrzedliwy. A może to przygłup?

– Jest młody. Przystojny. I bystry.

– Pewnie jest kiepski w łóż... – Laia uderza mnie w ramię. – W walce – poprawiam się szybko. – Chciałem powiedzieć „w walce”.

– Nie dorasta ci do pięt – mówi Laia i kręci głową. – Chyba jestem bardziej zmęczona, niż sądziłam. Ale przecież mogłabym przysiąc, że nie zasnęłam. Czuję, że nie śpię. Czy przyleciałeś z wiatrem? Jak to zrobiłeś, skoro śpisz?

– Bardzo bym chciał, żeby to nie był sen – odpowiadam. – Ale śpię. Przecież nie mógłbym...

Wyciągam rękę, która przez chwilę krąży w pobliżu jej dłoni. Chwytam tę dłoń i choć raz nie boję się, że duchy mi przeszkodzą. Ściskam ją. Jej dłoń mieści się idealnie w mojej. Unoszę ją i pieszczę palcami jej palce.

– Nie mogę tego zrobić – mówię. – Duchy z Poczekalni mi nie pozwolą.

– W takim razie powiedz mi, śpiący Eliasie – mruczy Laia – co mi powiedziałeś w noc, kiedy zostawiłeś mnie na pustyni? W tamtą noc, kiedy zostawiłeś mi liścik. Co

powiedziałaś?

– Powiedziałem... – Kręcę głową. Mamie Rila mawiała, że sny to część nas samych, z którą nie potrafimy się zmierzyć za dnia. Gdybym tamtej nocy nie opuścił Lai... Gdyby Keenan nie miał okazji jej zdradzić... Gdyby nie schwytał mnie naczelnik więzienia... Gdybym nie przysiągł pozostać w Poczekalni...

*To nie byłoby mnie tutaj. Nigdy.*

Ta śniona wersja Lai zadaje mi pytania, ponieważ sam je sobie zadaję. Wiem, że powinienem być ostrożny. Że to moja słabość, którą muszę zwalczyć.

Z drugiej strony pragnę rozkoszować się tym, że widzę Laię, bo nie miałem przecież pojęcia, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

– Tęskniłam za tobą. – Odgarnia kosmyk włosów, a ja nie mogę oderwać oczu od skóry jej nadgarstka ginącego w kloszowym rękawie, od zagłębienia szyi, kształtu jej długich nóg w bryczesach. To tylko sen, Eliasie, napominam się. I próbuję nie myśleć, jak bardzo chciałbym poczuć, jak te nogi mnie oplatają. Oczywiście, jej nogi wyglądają niezmiernie i idealnie i chciałbym, żebyśmy...

Kiedy kładzie mi dłoń na policzku, rozkoszuję się miękkością opuszek palców, gładkością paznokci. Patrząc jej w oczy, złociste i nieskończone, i pełne pożądania, jakie i ja czuję. Nie chcę, żeby to się skończyło. Nie chcę, żeby obudziło mnie zawrodożenie duchów i intrygi dzinnów.

Rozplatom jej warkocz. Ona chwyta moją drugą dłoń i kładzie na swoim biodrze, a ja gładzę tę krągłość delikatnie, na co ona zamyka oczy.

– Dlaczego tak jest? – pyta. – Dlaczego musimy być rozdzieleni? Tęsknię za tym, co mogłoby być między nami, Eliasie. Czy to możliwe...

Kładzie dłoń na mojej piersi, na strzępach koszuli porwanej w bitwie z duchami.

– Co ci się stało? – pyta zaniepokojona i ogląda mnie z troską uzdrowicielki. – I dlaczego pachniesz dymem?

Znów samokontrola. Jej pytania to moja podświadomość obwiniająca mnie za popełnione błędy.

– Ifryty spaliły Shaevy... mój dom. To taka sztuczka dzinnów, która ma mi dokuczyć.

– Nie. – Laia błędnie. – Dlaczego? Czy to Zwiastun Nocy?

– Być może. Musiał posłać ifryty, a dzinny powiedziały im, jak bezpiecznie przedostać się do Lasu. Nie sięgam nawet do pięt Shaevie, Laio. Nie przeprowadzam dusz na drugą stronę dość szybko. Trzy z nich uciekły i narobiły strasznych rzeczy. Nie potrafię zapanować nad dzinnami. I nie potrafię sprawić, żeby dusze nie cierpiały.

– To moja wina – mówi Laia. – Gdybym mu nie zaufała, gdybym nie oddała mu bransoletki, Shaeva nadal by żyła.

Tak powiedziałyby prawdziwa Laia. Dziwne. Patrząc na nią skonsternowany. Ale to przecież sen, prawda? A Kruk Krwi? Mam nadzieję, że tamto to był naprawdę tylko

sen.

Spodziewam się, że Laia powie coś, co sam myślę. Tymczasem ona dalej oskarża siebie.

– Każdego dnia zadaję sobie pytanie, dlaczego nie widziałam, jaki on jest naprawdę...

– Nie. – Ścieram łzy z jej czarnych rzęs. – Nie obwiniaj się. – Mówię powoli, głos mam skrzekliwy. Czyżbym zapomniał, jak się mówi? – Proszę, to nie twoja...

Unosi głowę, a mnie ogarnia pożądanie. Nie mogę się powstrzymać i przyciągam ją do siebie. Jej usta są niecierpliwe. Przecież nie wie, kiedy znów będzie mogła mnie pocałować. Ja czuję tę samą dziką potrzebę.

Rozsądek krzyczy, że to wszystko jest zbyt realne. Ale żaden duch nam nie przeszkadza. Pragnę jej. Ona pragnie mnie. Pragniemy się wzajemnie od tak dawna.

Kiedy odrywa wargi od moich, jestem pewny, że się obudzę, że te cudowne chwile bez duchów, bez *Mauth*, właśnie się kończą. Ale ona tylko zdejmuje ze mnie strzępy koszuli i przeciąga delikatnie paznokciami po mojej nagiej skórze, wzdychając z przyjemności lub pożądania, a może z jednego i drugiego.

Już brakuje mi jej ust, nie wytrzymam dłużej, a kiedy na drodze do nich staje mi jej ramię, zaczynam je całować. Potem muskam szyję i pierwotna część mojej natury cieszy się, słysząc jej jęki, czując, jak jej ciało mi się poddaje.

Oddech Lai staje się ciężki, z każdym moim pocałunkiem coraz bardziej chrapliwy, aż wreszcie czuję, jak oplata mnie nogami. Opuszczam ramiona, żeby ją podtrzymać. Łóżko jest za daleko, ale jest ściana, więc przygważdżam ją do niej, a ona drapie paznokciami moje plecy, mrużąc:

– Tak, Eliasie, o tak...

– Wiesz, co zamierzam ci zrobić? – szepczę jej do ucha.

– Powiedz mi. – Jej język muska moje ucho i tracę oddech. – Pokaż mi...

Obejmuje mnie udami w pasie, czuję żar jej ciała, nie mogę dłużej wytrzymać, rzucam ją na łóżko i zawisam nad nią. Kreśli palcami kółka na mojej piersi, a potem jej dłoń wędruje niżej i niżej... Rzucam przekleństwo w języku sadhese i chwytam ją za nadgarstek.

– Najpierw ja – szepczę i przesuwam dłonią po zagłębieniu jej brzucha, a ponaglany jej westchnieniami przesuwam rękę niżej, poruszam palcami w rytm jej ciała, aż wreszcie Laia wygina się w łuk, a jej ramiona drżą na mojej szyi. Zaczynamy rzucać z siebie ubrania i nasze spojrzenia się spotykają.

Uśmiecha się do mnie. Uśmiech jest słodki, niepewny, pełen nadziei i speszony. Znam ten uśmiech. Myślę o nim cały czas.

Ale to nie jest uśmiech, który mógłby pojawić się we śnie. Ani to pożądanie. Moje. I jej. To też nie są emocje, które sen mógłby udawać.

Czy to może być rzeczywistość? Czy w jakiś sposób przypląnąłem tu z wiatrem?

*Co za różnica? Grunt, że jesteś.*

Nagle coś słyszę. Szepty, takie same słyszałem, kiedy byłem przy Kruku Krwi. To dzinny.

Więc to nie sen. Laia jest naprawdę tutaj, w gospodzie. I ja tu jestem. A skoro tu jestem, to musi być sprawka dzinnów. Jak zdołały mnie tu przenieść? Skąd wiedziały, gdzie jest Laia? I dlaczego mnie tu przeniosły?

Zabieram ręce, żeby usiąść. Laia jest rozczarowana.

– Masz rację – odzywam się. – Ja... ja tu jestem. To dzieje się naprawdę. Choć nie powinno.

– Eliasie. – Śmieje się znowu. – To musi być sen. Najpiękniejszy sen. – Przyciąga mnie z powrotem do siebie. – Jesteś w nim dokładnie taki, jaki jesteś naprawdę. Na czym skończyliśmy...

Urywa nagle i jest tak, jakby świat zamarł. Nic się nie porusza, nawet cienie. Chwilę później świat ożywa, a Laia drży, jakby przenikliwy chłód wdarł się do jej żył.

Albo do jej umysłu. Bo kiedy teraz patrzy, nie jest już Laią. Ma zupełnie białe oczy. Odskakuję, kiedy odpycha mnie z nienaturalną siłą. To duch? Czy ona została opętana?

– Wracaj! – Jej głos zupełnie się zmienił. Rozpoznaję go. To głos, którym mówiła Shaeva, kiedy przyrzekałem zostać Łowcą Dusz. Ten sam głos przemawiał do mnie w tamtym dziwnym miejscu, kiedy Shaeva zabrała mnie z wioski. Głos Mauth.

Ciało Lai unosi się, zamienia w cień, rysy jej twarzy rozmywają się, ciało staje się obce.

– Gdzie ona jest? – krzyczę. – Co z nią zrobiłeś?

– Wracaj. Dzinny cię zwodzą. Wykorzystują twoją słabość przeciwko tobie. Wracaj.

Mauth, w postaci cienia Lai, bierze zamach, jakby próbował posłać mnie z powrotem do Poczekalni. Cios odrzuca mnie pod ścianę.

– Przestań. – Unoszę ręce w poddańczym geście. – Kto mnie tu przyniósł? To byłeś ty? A może dzinny?

– Dzinny, głupcze – odpowiada Mauth. Mauth, bo nie mogę sobie pozwolić, by uważać go za Laię niezależnie od tego, jaką formę przyjmuje. – Ściągają energię, której nie wykorzystujesz. I same rosną w siłę. Rozpraszają twoją uwagę powabem ludzkiego świata. Im więcej w tobie uczuć, tym więcej popełniasz błędów. A im więcej popełniasz błędów, tym one stają się silniejsze.

– Jak... w jaki sposób do mnie przemawiasz? – pytam. – Opętałeś ją? Czy to ją krzywdzi?

– Jej los nie powinien cię obchodzić. – Mauth popycha mnie, ale ja stoję twardo na nogach. – Ani jej życie.

– Jeśli ją skrzywdziłeś...

– Ona tego nie będzie pamiętać. Wracaj. Poddaj się mojej woli. Zapomnij o przeszłości. Zapomnij o człowieczeństwie. Musisz, nie rozumiesz tego?

– Nie mogę! – krzyczę. – To jest część mnie. Ale potrzebuję magii...

– Magia pozwoli ci przeprowadzić duchy. I pozwoli ci poskromić dzinny. Musisz jednak porzucić swoje dawne ja. Już nie jesteś Eliasem Veturiusem. Jesteś Łowcą Dusz. Jesteś mną. Wiem, czego pragnie twoje serce. Nie dostanie tego.

Desperacko próbuję odrzucić te pragnienia. Takie głupie. Takie małe. Dom z ogródkiem, uśmiech, przyszłość.

– Zapomnij o marzeniach. – Mauth złości się coraz bardziej. – Zapomnij o sercu. Liczy się tylko przysięga, że będziesz mi służył. Tu nie ma miejsca na miłość. Odszukaj dzinny. Odkryj ich sekrety. A wtedy zrozumiesz.

– Nigdy tego nie zrozumiem – odpowiadam. – Nigdy nie zrezygnuję z tego, o co walczyłem.

– Musisz, Eliasie. W przeciwnym razie wszystko będzie stracone.

Mauth wylewa się z Lai jak cyklon nieprzebranych szarych cieni i jej ciało pada bez czucia na podłogę. Robię krok w jej kierunku, ale Mauth porywa mnie ze sobą w mrok. Kilka sekund, minut, a może godzin później padam z hukiem na spaloną ziemię przed chatą Shaevy. Z nieba leją się strugi ciepłego letniego deszczu i po chwili jestem cały przemoczony.

Na moce piekielne, więc to była prawda. Byłem z Laią w państwie Morzan, a ona nie będzie tego pamiętać. Byłem z Krukiem Krwi w Navium. Czy przeżyła? Powinienem był jej pomóc. Zanieść ją do koszar.

Sama myśl o nich budzi gniew Mauth. Zginam się wpół, przeszyty nagłym płomieniem bólu.

„Odszukaj dzinny. Odkryj ich sekrety”. W głowie dźwięczy mi rozkaz Mauth. Przecież prosiłem już wcześniej dzinny o pomoc. A one otumaniały mnie, pozwalając uciec duchom.

Przychodzą mi na myśl słowa komendantki. „Bywa sukces. Bywa porażka. Wszystko, co pomiędzy, jest dla tych, którzy są zbyt słabi, by żyć”.

Muszę posiąść magię. Mauth uważa, że aby tego dokonać, potrzebuję dzinnów. Tym razem nie zwrócę się do tych stworów jako Elias Veturius. Nawet nie jako Łowca Dusz.

Pójdę do nich jako Maska Veturius, budzący grozę Wojanin, żołnierz Imperium. Pójdę do nich jako morderczy syn Suki z Czarnego Klifu, jako potwór, który zabił swoich przyjaciół, a jako dziecko wyrzynał w pień wrogów Imperium i patrzył niewzruszony, jak młodzi żołnierze ginęli.

Tym razem nie będę prosił dzinnów o pomoc.

Sam sięgnę po magię.

## XXV: Kruk Krwi

---

„Jesteś Krukiem Krwi Imperium. I masz przeżyć”.

Kto wypowiedział te słowa? Szukam w pamięci. Ktoś tu był ze mną, w tej ciemnej uliczce. Przyjacieli...

Ale kiedy otwieram oczy i z trudem klękam, jestem sama i wybrzmiewa już tylko echo tamtych słów.

Kolana mi drżą, kiedy próbuję wstać. Staram się głęboko oddychać, ale powietrze nie napełnia płuc. *Ponieważ utraciłaś całą krew, Kruku.*

Zrywam z siebie pelerynę i jęcząc z bólu, obwiązuję ją wokół brzucha. Teraz przydałby się patrol, ale oczywiście komendantka, która zapewne to wszystko zaplanowała, zadbała, żeby w pobliżu żadnego nie było.

*Przecież napastników mogło być więcej.* Muszę wstać. Dotrzeć do koszar Czarnej Gwardii.

*Po co?* – podszeptują mi głosy. *Ciemność czeka z otwartymi ramionami. Czeka twoja rodzina.*

Matka. Ojciec. Muszę sobie coś przypomnieć. Zaciskam dłonie w pięść i czuję coś okrągłego, zimnego. Pierścień. Ptak w locie.

„To ty powstrzymujesz mrok”. Ktoś mi to powiedział. Ale nie, te słowa nie mają znaczenia. Liczy się tylko ból przeszywający nagłymi falami moje ciało.

„To ty powstrzymujesz mrok”. Wspomnienia rozpalają się w moim umyśle. Przykładam dłoń do oczu, moja maska się marszczy. Zimny metal daje mi siłę, wyrывa z odrętwienia.

Mój ojciec wypowiedział te słowa. *Liwia! Dziecko! Regencja!* Moja rodzina żyje. Imperium żyje. Muszę chronić jedno i drugie.

Czołgam się z zaciśniętymi zębami, wściekła na łyzy płynące niepohamowanym strumieniem po policzkach. Jak daleko jest do koszar? Stąd co najmniej ćwierć mili. Nie więcej niż pięćset kroków. Pięćset kroków to tyle co nic.

*I co, kiedy tam dotrzesz? Co, jeśli ktoś cię zobaczy? Pozwolisz, żeby twoi ludzie widzieli cię taką słabą? Co, jeśli ktoś spotka cię po drodze? Napastnik prawdopodobnie nie był sam.*

Wtedy będę walczyć z jego współnikami. I będę żyła. Bo jeśli nie, to wszystko jest stracone.

Zerkam na pierścień ojca, czerpię z niego siłę i zmuszam się, by iść naprzód. Jestem Maską. Nazywam się Aquilla. Jestem Krukiem Krwi. Ból to drobiazg.

Docieram do ściany pobliskiego domu. W domach o tej porze panują ciemności. Może w jednym z nich znalazłabym pomoc, a może trafiłabym na wrogów. Komendantka jest przewidująca. Jeśli nasłała zabójcę, mogła też przekupić mieszkańców tej ulicy, żeby zyskać pewność, że nikt mi nie pomoże.

*Ruszaj się, Kruku.* Idę ulicą do czasu, kiedy zacznę czuć coś dziwnego w nogach. Zimno. Zwalniam, próbuję złapać oddech. I nagle przestaję się poruszać. Jestem na kolanach. Na ognie piekielne. Znam to uczucie. To słabość. Bezużyteczność. Beznadzieja. Czułam to samo, kiedy Marcus pchnął mnie nożem podczas Pierwszej Próby.

Wtedy ocalił mnie Elias. Ponieważ był – jest – moim przyjacielem. Jak mogłam widzieć w nim kogoś innego po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Jeśli teraz, w obliczu końca wszystkiego, jest mi czegoś żal, to tego, że go prześladowałam. Że skrzywdziłam swoją rodzinę. Że skrzywdziłam jego.

Czy teraz się z nim spotkam? W Poczekalni? Czy mnie tam przywita? Co za szaleństwo, że on jest przykuty do tamtego miejsca, kiedy świat go potrzebuje.

– Zasłużyłeś na coś lepszego – szepczę.

– Kruku! – Na odgłos szurania butów zaciskam zęby i sięgam po sztylet. Rozpoznaję jednak czarne włosy i złocistą skórę i choć jestem zmieszana, to niespecjalnie zaskoczona, bo przecież to mój najlepszy przyjaciel, który nigdy nie pozwoliłby mi umrzeć.

– Jesteś...

– Kruku, posłuchaj mnie, nie odpływaj. Zostań ze mną. – Ale nie, to nie Elias. W tym głosie nie ma tego wyjątkowego letniego ciepła. Głos jest zimny i szorstki. Jak zima. Jak mój. Słyszę kolejny głos, też znajomy. To Dex. – W rezydencji Aquilli jest lekarz...

– Sprowadź go! – woła zimny głos. – Ale najpierw pomóż mi zdjąć jej zbroję, łatwiej będzie ją nieść. Uważaj na brzuch.

Teraz poznaję ten pierwszy głos. To Avitas Harper. Dziwne, ten cichy i spokojny Harper. Troskliwy i rozważny. Wypełnia go pustka, którą dobrze rozumiem.

Błyskawicznie rozpina zbroję. Jęczę, kiedy ją zdejmuję. Pochyla się nade mną przystojna twarz Dexa. To dobry żołnierz. Prawdziwy przyjaciel. Ale tyle w nim bólu. I zawsze jest samotny.

– To nie fair – szepczę do niego. – Powinieneś kochać, kogo zechcesz. Jak Imperium by cię traktowało, gdyby wiedzieli...

Twarz Dexa blednie, zerka nerwowo na Avitasa.

– Zachowaj siły, Kruku – przerywa mi. Potem znika, a czyjeś muskularne ramię obejmuje mnie w pasie. Harper zakłada sobie moją rękę na barki i robimy jeden krok, potem drugi. Ale straciłam zbyt wiele krwi i słaniam się na nogach.

– Zanieś mnie, idioto – warczę. Chwilę później jest mi już lekko.

– Wszystko będzie dobrze, Heleno... Kruku. – Głos Harpera się załamuje. Emocje? Strach?

– Nie pozwól, żeby ktoś mnie zobaczył – szepczę. – To jest poni... poniżające.

Krótki, szczekliwy śmiech.



– Tylko ty mogłaś o tym pomyśleć, kiedy twoje flaki wloką się po chodniku. Wytrzymaj, Kruku Krwi. Koszary już blisko.

Podchodzi do głównego wejścia, ale ja stanowczo kręcę głową.

– Wnieś mnie tylnym wejściem. Plebejusze, którzy są w środku, nie mogą mnie zobaczyć w takim stanie...

– Nie mamy wyboru. Do szpitala dotrzemy najszybciej tędy.

– Nie! – wołam i uderzam Harpera w pierś. – Nie mogą mnie takiej zobaczyć! Wiesz przecież, co ona robi. Wykorzysta to przeciwko mnie. Patrycjusze już uważają mnie za słabą.

– Kapitanie Harper. – Słyszac głęboki, starczy i nieznoszący sprzeciwu głos, Harper zamiera. – Wnieś ją tędy.

– Trzymaj się od nas z daleka. – Harper cofa się dwa kroki, ale Zwiastun Nocy chwytą go za ramię.

– Mógłbym zabić was samą myślą, synu – odzywa się spokojnie. – Jeśli chcesz, żeby żyła, wnieś ją.

Harper waha się chwilę, ale wykonuje polecenie. Chcę zaprotestować, ale nie jestem w stanie wypowiedzieć jednego słowa. Jego ciało jest wyprężone jak struna, serce bije mu szybko jak rwący nurt rzeki. Ale jego zasłonięta maską twarz wyraża spokój. Odprężam się. Przymykam oczy. *Ach, spać...*

– Nie odpływaj, Kruku. – Głos Harpera jest ostry, a ja jęczę w proteście. – Otwórz oczy. Nie musisz nic mówić. Tylko nie zasypiaj.

Staram się skoncentrować na wirującym mi przed oczami stroju Zwiastuna Nocy, który coś szepcze. Nie słyszę wyraźnie jego słów. Znika ściana z cegły, która jeszcze przed chwilą była przed nami. *Magia!* Chwilę później widzę koszary. Wartownicy przed budynkiem dostrzegają nasze sylwetki i sięgają po broń. Ale Zwiastun Nocy znów coś mamrocze i nagle odwracają się, jakby nas nie widzieli.

– Połóż ją, kapitanie. – Wchodzimy do mojej kwatery i Zwiastun Nocy wskazuje łóżko. – A potem wyjdź.

Harper delikatnie układa mnie na łóżku. Mimo to krzywię się, przeszywa mnie kolejna fala bólu promieniującego od rany. Kiedy Harper się cofa, czuję chłód.

– Nie zostawię jej. – Prostuje się i patrzy hardo Zwiastunowi Nocy w oczy.

– Zgoda – odzywa się Zwiastun Nocy po namyśle. – Ale zejdziesz mi z drogi.

Dzinn siada obok mnie na łóżku. Kiedy rozpina mi koszulę, przez chwilę widzę jego dłoń wystającą z rękawa. Jest ciemna i powykręcana, ale emanuje jakimś upiornym blaskiem. Przypominam sobie dzień, kiedy po raz pierwszy go spotkałam w Serze. Zaśpiewał wtedy dosłownie jedną nutę i siniaki na mojej twarzy zniknęły.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Nie mogę ci pomóc – odpowiada. – Ale ty możesz pomóc sobie sama.

– Nie potrafię się uzdrowić.

– Twoja moc uzdrawiania pozwala ci wydobrzeć szybciej niż normalnemu człowiekowi – tłumaczy. Dociera do mnie, że Avitas słyszy naszą rozmowę. Może powinnam kazać mu wyjść z pokoju. Jestem jednak zbyt osłabiona, żeby się tym przejmować. – Jakim cudem żyłabyś teraz, dziecko, skoro straciłaś tyle krwi? Przyjrzyj się ranie, a potem odnajdź swoją pieśń. Szybko.

To nie jest prośba, tylko rozkaz.

Nucę, strasznie fałszując, uśmierzam ból i szukam swojej melodii. Zamykam oczy i znów jestem dziewczynką przytulającą Hannę, która przyszła w nocy do mojego łóżka przerażona przysnionymi potworami. Matka znalazła nas i zaśpiewała nam kołysankę. Czasami nocą, w Czarnym Klifie, myśl o jej piosence przynosiła mi ukojenie. Ale kiedy śpiewam ją teraz, nic się nie dzieje.

Dlaczego miałyby się coś dziać? Moja pieśń nie jest o ukojeniu. Jest o klęsce i bólu. O walce i krwi, śmierci i władzy. To nie jest pieśń Heleny Aquilli. To pieśń Kruka Krwi. Nie mogę jej odnaleźć. Nie potrafię się skupić.

Zwiastun Nocy wyśpiewuje dwa takty. Gniew, myślę. Miłość. W tych dwóch słowach zawarty jest cały surowy, zimny świat. Mój świat. Ja sama.

Śpiewam te same dwa takty. Z dwóch robią się cztery, z czterech czternaście. Gniew dla moich wrogów, myślę. Miłość dla moich ludzi. To jest moja pieśń.

Ale to boli, o niebiosa, jak to boli. Zwiastun Nocy chwyta mnie za rękę.

– Przelej ból we mnie, dziecko – mówi. – Wyrzuć go z siebie.

Jego słowa uruchamiają lawinę. Kiedy cały ciężar mojej rany przechodzi na niego, nie krzywi się nawet. Nie porusza się, siedzi jak posąg. Czuję mrowienie, skóra potwornie mnie piecze i zaczynam wyc z bólu.

Słysząc świst szabli wyjmowanej pospiesznie z pochwy.

– Coś ty jej zrobił?!

Zwiastun Nocy obraca się do Avitasa i wykonuje gest. Harper rzuca szablę, jakby rękojeść parzyła jego dłoń.

– Spójrz. – Dżinn wskazuje moją ranę, po której pozostała już tylko blizna w kształcie gwiazdy. Sączy się z niej jeszcze krew, ale nie jest już groźna.

Ciche przekleństwo Harpera mówi mi, że wkrótce będę musiała mu wszystko wyjaśnić. Ale tym pomartwię się później. Czuję wyczerpanie, ale kiedy Zwiastun Nocy puszcza moją dłoń, mogę usiąść na łóżku.

– Zaczekaj – szepczę. – Powiesz jej o tym? – Dobrze wie, kogo mam na myśli.

– Dlaczego miałbym mówić? Żeby znów próbowała cię zabić? Nie jestem jej sługą, Kruka Krwi. To ona jest moim. Zaatakowała cię wbrew moim rozkazom. Nie toleruję nieposłuszeństwa, więc pokrzyżowałem jej plany.

– Nie rozumiem. Dlaczego miałbyś mi pomagać? Czego ode mnie chcesz?

– Nie pomagam tobie, Kruka Krwi. – Wstaje i wygładza pelerynę. – Pomagam sobie.

\*\*\*

Kiedy się budzę, jest już noc, a krokwie w dachu drżą od wybuchów pocisków wyrzucanych z katapult. Barbaryjczycy musieli wznowić ostrzał Navium.

Jestem w pokoju sama, a moja zbroja została starannie powieszona na ścianie. Wstaję i klnę. Moja rana przeszła ze stanu śmiertelnie do irytująco bolesnej. *Przestań biadolić. Nakładaj zbroję.* Kulejąc, podchodzę do ściany. Wszystkie stawy mam sztywne jak u staruszki w czasie srogiej zimy. Mam nadzieję, że za kilka minut ciało się rozgrzeje i zdołam dosiąść wierzchowca.

– Wychodzisz, żeby znów dać się zabić? – Znajomy chrapliwy głos rozlega się tak niespodziewanie, że w pierwszej chwili nie mogę uwierzyć w jego realność. – Matka będzie się martwić.

Kucharka jak zwykle siedzi w oknie. Mimo kaptura, mimo że widziałam jej blizny już wcześniej, wygląd jej okaleczonej twarzy jest tak wstrząsający, że odwracam wzrok. Jej peleryna jest podarta, a burza siwych włosów przypomina ptasie gniazdo. Żółte plamy na palcach mówią mi od razu, kto zostawił gliniane posążki w pokoju komendantki.

– Słyszałam, że ugodzono cię nożem. – Kucharka wskakuje do pokoju. – Pomyślałam sobie, wpadnę i nakrzyczę na ciebie, że na to pozwoliłaś. – Kręci głową. – Jesteś głupia. Powinnaś wiedzieć, że chodzić sama po nocach możesz tylko wtedy, gdy będzie cię dzieliło sto mil od Suki z Czarnego Klifu.

– A tobie mam pozostawić zadanie zabicia jej? – pryham. – Kiepsko ci poszło, zgodzisz się? Udało ci się zostawić tylko kilka glinianych figurek.

– Nie próbowałam jej zabić. – Kucharka szczyrzy zęby w uśmiechu. Upiorny widok. Nie wdaje się w szczegóły. – Nie podziękowałaś mi za zabicie tych, którzy napadli na ciebie. Ani za szepnięcie Harperowi, żeby przestał ślęczeć nad raportami i przeniósł twój odwłok w bezpieczne miejsce.

– Dziękuję.

– Wiesz chyba, że to bydlę o słonecznych oczach czegoś od ciebie chce?

Nie tracę czasu na dopytywanie, skąd wie, że Zwiastun Nocy mnie uleczył.

– Nie ufam mu – odpowiadam. – Nie jestem taka głupia.

– W takim razie dlaczego pozwoliłaś sobie pomóc? On planuje wojnę, wiedziałaś o tym? I na pewno wziął cię pod uwagę w swoich planach. Jeszcze nie wiesz, co to oznacza.

– Wojna? – Siadam. – Wojna z Karkaunami?

Kucharka prycha, sięga po świecę ze stołu i rzuca nią w moją głowę.

– Nie ta wojna, głupia! Prawdziwa wojna. Ta, która trwa od dnia, kiedy mój kretyński lud postanowił, że sprytnie będzie zaatakować i zniszczyć dżinny. O to tu chodzi, dziewczyno. I o to chodzi komendantce. To nie Karkaunów komendantka chce pokonać.

– Wy tłumacz się – mówię. – Co ty...

– Wyjedź stąd – przerywa mi. – Wyjedź jak najdalej od komendantki. Postanowiła cię zniszczyć i znajdzie na to sposób. Jedź do siostry. Zapewnij jej bezpieczeństwo. Miej oko na tego waszego imperatora. A kiedy prawdziwa wojna się rozpocznie, bądź gotowa.

– Najpierw muszę się rozprawić z komendantką. Ta wojna, o której mówisz... – Na korytarzu słyszeć kroki. Kucharka wskakuje na okno, przytrzymując się framugi. Dostrzegam coś dziwnego. Skóra na jej dłoni jest gładka. Nie tak młoda jak moja, ale nie jest to skóra siwowłosej staruszki.

Wpatruje się we mnie przenikliwie czarnymi oczami.

– Chcesz dobrać się do Suki z Czarnego Klifu? Chcesz ją zniszczyć? Najpierw musisz się stać taka jak ona. A ty tego nie potrafisz, dziewczyno.

## XXVI: Laia

---

Mam mętlik w głowie, kiedy wkładam buty. Przespałam cały dzień, takie dziwne miałam sny. Cudowne, ale...

– Laio! – szepcze przez zamknięte drzwi Musa. – Na bogów, nic ci nie jest? Laio!

Drzwi otwierają się z hukiem, zanim zdążam odpowiedzieć. Musa wchodzi i chwyta mnie za ramiona, jakby chciał sprawdzić, czy to naprawdę ja.

– Zbieraj swoje rzeczy. – Rozgląda się po pokoju, zagląda pod łóżko. – Musimy stąd wiać.

– Co się stało? – pytam i od razu przychodzi mi na myśl Zwiastun Nocy i jego sługusy. – Czy to... Czy on...

– Zmory. – Twarz Musy jest blada jak niepolerowane ostrze szabli. – Zmory zaatakowały plemię Sulud, a teraz może idą po nas.

*O nie! Nie!*

– *A Kehanni...*

– Nie wiem, czy żyje – odpowiada Musa. – Sprawdzenie tego byłoby zbyt ryzykowne. Chodźże wreszcie.

Biegniemy do schodów na tyłach gospody, a potem skradamy się jak najciszej do stajni. Jest na tyle późno, że większość mieszkańców wioski leży w łóżkach.

– Zmory zabiły wszystkich po cichu – relacjonuje Musa. – Nic bym o tym nie wiedział, gdyby nie obudziły mnie strzygi.

– Musimy sprawdzić, czy ktoś ocalał – mówię, zakładając siodło.

Musa wskakuje na grzbiet swojego wierzchowca.

– Jeśli pojedziemy do tego obozowiska, bogowie tylko wiedzą, co zastaniemy.

– Miałam już do czynienia ze zmorami. – Kończę zapinać popręgi. – W tym obozowisku było ponad pięćdziesiąt osób. Jeśli choć jedna przeżyła...

Musa kręci głową.

– Większość w porę uciekła. Pozostało tylko kilka wozów. Ci ludzie mieli poczekać, aż *Kehanni* będzie gotowa do drogi. A ona została...

– Z naszego powodu – kończę. – Tym bardziej powinniśmy sprawdzić, czy ona albo ktoś z jej pobratymców nie potrzebuje pomocy.

Musa jęczy w proteście, ale jedzie za mną w stronę obozowiska. Spodziewam się tam ciszy, tymczasem krople deszczu uderzające o dach wozów nie pozwalają nam usłyszeć nawet własnych kroków.

Pierwsze ciało leży przy wejściu do obozowiska. Wygląda źle, jest w wielu miejscach połamane i zmiażdżone. Czuję suchość w gardle. Poznają tego mężczyznę. To jeden z Plemieńców, którzy nas przywitani. Trzech innych członków jego rodziny leży kilka kroków dalej. Od razu widać, że nie żyją.

Nigdzie nie widać *Kehanni*. Cichy świergot przy uchu Musy mówi mi, że strzygi też zauważyły jej nieobecność. Musa wskazuje ruchem głowy wóz *Kehanni*. Kiedy do niego podchodzę, Musa zagradza mi drogę wyciągniętym ramieniem.

– *Aapan*. – Napięcie na jego twarzy odzwierciedla moje przeczucia. – Może ja wejdę pierwszy. Na wszelki wypadek.

– Widziałam więzienie Kauf od środka, Muso. – Mijam go. – Nie może być nic gorszego.

Drzwi otwierają się bezszelestnie. Widzę *Kehanni* wgniecioną w ścianę naprzeciwko. Sprawia wrażenie dużo mniejszej, niż była jeszcze kilka godzin temu, staruszki, której nie pozwolono wyśpiewać ostatniej opowieści. Nie widzę żadnych otwartych ran, ale dziwny kąt, pod jakim ułożone są jej kończyny, wyjaśnia, w jaki sposób zginęła. Zasłaniam dłonią usta, żeby powstrzymać falę mdłości. O bogowie, jak ona musiała cierpieć.

Nagle z ust *Kehanni* dobywa się jęk.

– Na ognie piekielne. – W dwóch susach jestem przy niej. – Musa, biegnij do koni. W jukach, z prawej strony...

– Nie. – W zapadniętych oczach *Kehanni* widzę gasnący blask. – Słuchajcie. – Oboje z Musą milkniemy. Deszcz zagłusza jej słowa. – Powróćcie do słów augurów – szepcze. Przepowiednia. Wielka Biblioteka...

– Augurów? – Nic z tego nie rozumiem. – Co augurzy mają wspólnego ze Zwiastunem Nocy? Są sprzymierzeńcami?

– W pewnym sensie – szepcze *Kehanni*. – W pewnym sensie.

Jej powieki opadają. Nie żyje. Od progu drzwi słychać głośny, pełen przerażenia świergot.

– Idziemy stąd – odzywa się Musa. – Zmory wracają. Wiedzą, że tu jesteśmy.

Popędzani przez spanikowane strzygi mkniemy w deszczu tak szybko, że na końskich pyskach pojawia się piana. *Przepraszam. Przepraszam*. Powtarzam te słowa w myślach bez przerwy, choć nie wiem, do kogo je kieruję. Do konia za to, że każe mu cierpieć? Do *Kehanni* za zadanie jej pytania, które sprowadziło na nią śmierć? Czy wreszcie do Plemieńców, którzy zginęli, próbując ją chronić?

– Proroctwa augurów – mówi Musa, kiedy w końcu zwalniamy. – Jedynym miejscem, gdzie możemy je znaleźć, jest Wielka Biblioteka. *Kehanni* próbowała nam to powiedzieć. Ale nie uda nam się wejść do biblioteki.

– Nie ma rzeczy niemożliwych – powtarzam słowa Eliasa. – Wejdziemy. Musimy wejść. Ale najpierw trzeba dotrzeć do miasta.

I znów mkniemy przez noc, ale tym razem nie muszę popędzać Musy. Połowę drogi spędzam na oglądaniu się przez ramię, a drugą połowę na wymyślaniu sposobu dostania się do Wielkiej Biblioteki. Niebo jest czyste, ale droga nadal zdradliwa z powodu błota. Strzygi trzymają się nas. Od czasu do czasu ich skrzydła połyskują w mroku. W jakiś dziwny sposób ich obecność dodaje mi otuchy.

Kiedy w samym środku nocy wyrastają przed nami mury Adisy, chce mi się płakać ze szczęścia. Dopóki naszym oczom nie ukaże się mglisty blask płomieni.

– Obóz uchodźców. – Musa spina konia. – Palą namioty.

– Co tam się stało?

Musa nie zna odpowiedzi. W obozie panuje taki chaos, że Morzanie ewakuujący w pośpiechu Scholarów nie zauważają dwóch dodatkowych postaci pośród setek uciekających wąskimi zakurzonymi uliczkami. Musa znika na chwilę, żeby zamienić parę słów z jednym z Morzan. Po chwili wraca.

– Nie sądzę, żeby to była sprawka Morzan – próbuje przekrzyczeć ryk ognia. –

W przeciwnym razie, po co by teraz pomagali? I dlaczego ogień rozprzestrzenił się tak szybko? Jeden z żołnierzy powiedział mi, że zauważyli ogień zaledwie godzinę temu.

Przemierzamy zadymione uliczki obozu, otwieramy namioty, wyciągamy z nich śpiących, niczego nieświadomych ludzi, przeganiamy dzieci w bezpieczne miejsca za obozem. Robimy, co możemy. Wokół nas słychać krzyki ludzi otoczonych przez ogień. Ludzi szukających swoich rodzin. Ludzi, którzy odnaleźli członków rodzin rannych lub martwych.

*Zawsze my. Oczy pieką mnie od dymu, mam spoconą i zażawioną twarz. Zawsze mój lud.*

Biegamy z Musą tam i z powrotem, pomagając tym, którzy nie są w stanie iść samodzielnie. Jakaś Morzanka w mundurze daje nam wodę pitną dla ocalałych. Kiedy obraca w moją stronę twarz, zamieram. To kapitan Eleiba. Ma zaczerwienione oczy i drżą jej ręce. Nasze spojrzenia spotykają się, ale ona tylko kiwa głową i wraca do swoich zajęć.

„Nic ci nie będzie. Wszystko w porządku”. Wygłaszam takie nonsensy do tych, którzy zostali poparzeni, którzy pluja krwią. „Oczywiście, że znajdziemy twoją matkę. Twoją córkę. Twojego wnuka. Twoją siostrę”. Kłamstwa. Niezliczone kłamstwa. Nienawidzę siebie za to. Ale prawda jest bardziej okrutna.

Setki osób są wciąż uwięzione w obozie, kiedy pośród dymu i płomieni dostrzegam coś dziwnego. Nad Adisą unosi się czerwona luna. Czuję nagłą suchość w gardle. Czyżby pożar obozu się rozprzestrzenił? Nie, to niemożliwe. Miasto chroniły potężne mury.

Wycofuję się z obozu, mając nadzieję, że z zewnątrz będzie lepszy widok. Zaczyna ogarniać mnie przerażenie. To samo czułam, kiedy zdarzyło się coś potwornego, a ja budziłam się i nie pamiętałam. A potem sobie przypominałam.

Krzyki wokół mnie się nasilają. Nie ja jedna zauważyłam tę lunę.

– Musa. – Mój towarzysz szykuje się do kolejnej eskapady w głąb obozu, licząc na to, że jeszcze kogoś uratuje. – Spójrz...

Obracam go twarzą w kierunku miasta. Ciepły wiatr znad oceanu rozprasza na moment dym nad obozem. I wtedy widzimy wyraźnie.

Nazwać ten pożar ogromnym to jak nazwać komendantkę nieuprzejmą. Jest potężny. To prawdziwe piekło, które zmienia niebo w krwawy koszmar. Gęsty obłok dymu oświetlają strzelające wysoko w górę płomienie.

– Laio... – Musa nie może wydobyć z siebie głosu. – To jest... To jest...

Nie musi kończyć. Wiem od chwili, gdy zobaczyłam, jak wysoko sięgają płomienie. Żaden inny budynek w Adisie nie jest tak wysoki.

Wielka Biblioteka. Wielka Biblioteka płonie.



## XXVII: Elias

---

Przez dwa tygodnie knuję, żeby wydobyć prawdę z dzinnów. W sklepiku w pobliskiej wiosce jest wszystko, czego potrzebuję. Reszta zależy od pogody, która w końcu mi sprzyja, kiedy ze wschodu nadciąga letnia burza i skrapia rześcicie całą Poczekalnię.

Nie mam nic przeciwko deszczowi. Napełniam deszczówką tuzin wiader i zanoszę je w pobliskie gaju dzinnów. Uśmiecham się, czekając, aż dzinny zaczną mnie dręczyć. *Chodźcie tu, diabły. Obserwujcie mnie. Wsłuchujcie się w moje myśli. Drzyjcie przed tym, co nadchodzi.*

Mijam pierwszy rząd drzew, a ich korony splątują się coraz bardziej. Panuje cisza, ale duchota przytłacza mnie, jakbym kroczył w wodzie w pełnym wojańskim rynsztunku. To jest próba zmuszenia mnie do porzucenia worka z solą, który dźwigam. Kiedy rozsypuję sól wokół drzew, słyszę już niespokojne prykanie dzinnów.

Sięgam po świeżo naostrzony topór i macham nim kilka razy na próbę. Następnie zanurzam ostrze w deszczówce i zatapiam je na sześć cali w pniu najbliższego drzewa. Wrzask, jaki się rozlega w głębi gaju, przyprawia o gęsią skórkę, a jednocześnie jest diabelnie satysfakcjonujący.

– Macie swoje sekrety – odzywam się. – Chcę je poznać. Mówcie, to przestanę.

*Głupcze. Rozetnij drzewa, a rozbłyśniemy.*

– Kłamstwo – mówię teraz jak Maska przesłuchująca więźnia. – Gdyby uwolnienie was było takie proste, już dawno poprosilibyście o to ifryty.

Ponownie zanurzam topór w wodzie i dodatkowo wcieram w ostrze sól. Po drugim uderzeniu krzyk dzinnów jest tak głośny, że zgromadzone w pobliżu duchy pierzchają. Kiedy unoszę topór po raz trzeci, dzinny zaczynają mówić.

*Przestań. Proszę. Podejdź bliżej.*

– Jeśli to jakaś sztuczka...

*Jeśli chcesz poznać nasze sekrety, musisz je sobie wziąć. Podejdź bliżej.*

Wchodzę głębiej w zagajnik, w dłoni ściskam topór. Błoto oblepia mi buty.

*Bliżej.*

Z każdym krokiem jest coraz trudniej iść, ale przedzieram się dalej, aż w końcu nie mogę się wcale poruszyć.

*Jak to jest znaleźć się w pułapce, Łowco Dusz?*

Nieoczekiwanie nie mogę mówić, nic nie widzę i nic nie czuję prócz równomiernego bicia własnego serca. Walczę z ciemnością i ciszą. Rzucam się na ściany swojego więzienia jak ćma zamknięta w słoiku. W panice sięgam po *Mauth*, ale magia nie odpowiada.

*Jak to jest być zakutym w kajdany?*

– Co ze mną robicie?

*Spójrz, Eliasie Veturiusie. Chciałeś poznać nasze sekrety. Są przed tobą.*

Nagle znów jestem wolny. Las przede mną się przerzedza, a teren łagodnie wznosi. Idę dalej i w pewnym momencie patrzę ze szczytu na płytką dolinę, której dnem płynie wartko Rzeka Zmierzchu.

W dolinie są dziesiątki, nie, setki kamiennych budowli. Miasto, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Miasto, o którym Shaeva nigdy nie wspominała. Miasto, którego nie było na dziwnej mapie Poczekalni. Wygląda na opuszczone.

– Co to za miejsce? – pytam.

W strugach deszczu do doliny frunie ptak z jakimś małym, szamoczącym się stworzeniem w pazurach. Czubki drzew kołyszą się na wietrze jak niespokojne morze.

*Dom. W głosie dzinnów nie wyczuwam teraz żadnej urazy. To jest dom.*

Mauth popycha mnie naprzód i schodzę wśród wysokich, soczystych traw w dół, ku miastu. Dla pewności trzymam w dłoni sztylet.

To miejsce nie przypomina żadnego miasta, które znam. Ulice są ułożone w koncentryczne półkola wokół budynku stojącego na brzegu Rzeki Zmierzchu. Bruk, budynki, wszystko jest zrobione z dziwnego czarnego kamienia. Czerń jest tak czysta, że kilkakrotnie dotykam kamieni pełen podziwu.

Chowam sztylet. Byłem już na tylu cmentarzach, że znam tę atmosferę. Tu nie ma żywej duszy. Nawet duchów tu nie ma.

Chciałbym przejść się każdą z uliczek, ale ciągnie mnie do dużego budynku na brzegu. Jest większy od pałacu imperatora w Antium i sto razy piękniejszy. Kamienne bloki są ułożone jeden na drugim z takim wycuciem symetrii, że nie mogły zostać wyciosane ludzką ręką.

Nie widzę kolumn, kopuł ani zdobień. Budynki Imperium, Morzan i Plemieńców są odzwierciedleniem ich mieszkańców. Tamte miasta śmieją się i płaczą, krzyczą i prychają. To miasto jest pojedynczą nutą, najczystsza nutą, jaką można wyśpiewać.

Do budynku prowadzą schody. Po dotknięciu para masywnych drzwi u szczytu schodów otwiera się z taką łatwością, jakby zawiasy naoliwiono dziś rano. Wewnątrz z lekkim pyknięciem zapalają się niebieskim płomieniem trzy tuziny pochodni.

I wtedy uświadamiam sobie, że ściany, które wydawały się zrobione z czarnego kamienia, są czymś zupełnie innym. Odbijają blask płomieni, tak jak woda odbija promienie słoneczne, przez co całe pomieszczenie staje się łagodnie szafirowe. Chociaż olbrzymie okna są otwarte, to grzmoty burzy są niczym więcej jak cichym pomrukiem.

Nie mogę się zupełnie połapać, czym ten budynek jest. Jego rozmiary każą sądzić, że odbywały się tu zgromadzenia. Ale z drugiej strony stoi tu tylko jedna niska ławka pośrodku.

Mauth ciągnie mnie po schodach, przez szereg pokojów do kolejnej sali z wielkim oknem. Unosi się tu zapach rzeki i deszczu. Pochodnie barwią pomieszczenie na białą.

Unoszę rękę, żeby dotknąć ściany. Kiedy to robię, ściana ożywa i wypełniają ją mgliste obrazy. Cofam dłoń i obrazy znikają.

Ostrożnie dotykam jej ponownie. W pierwszej chwili nie rozumiem, co obrazy przedstawiają. Bawiące się zwierzęta. Liście tańczące na wietrze. Dziuple drzew przypominające twarze. Na widok tych obrazów przypomina mi się Mamie Rila, jej głos, kiedy wyśpiewywała bajki. Teraz rozumiem. To są dziecięce bajki. Tu mieszkały dzieci. Ale nie ludzkie dzieci.

„Dom”, powiedziały dżinny. To były dzieci dżinnów.

Mijając pokój po pokoju, docieram na szczyt budynku, gdzie znajduje się wysoka rotunda z widokiem na miasto i rzekę.

Kiedy dotykam ścian, znów pojawiają się obrazy. Tym razem są to jednak widoki miasta. W oknach powiewają paski pomarańczowego, żółtego i zielonego jedwabiu. W przepelnionych donicach rosną kwiaty przypominające wyglądem klejnoty. Trele ptaków i szmery głosów mówią o lepszych czasach.

Ludzie w czarnych strojach przechadzają się po mieście. Jedna kobieta ma ciemną skórę i kręcone włosy jak Dex. Inna z kolei jest blada i ma jasne włosy jak Kruk Krwi. Niektórzy są chudzi jak ostrze szabli, inni krągłejsi jak Mamie Rila, zanim wpadła w łapy Imperium. Każde z nich kroczy z gracją, jaką widziałem tylko u Shaevy.

Nie chodzą jednak samotnie. Wszyscy są otoczeni duchami.

Dostrzegam mężczyznę o kasztanowych włosach i twarzy tak pięknej, że nawet mnie to nie irytuje. Otaczają go duchy dzieci. Rozmawiają z nim i zalewają go swoją miłością.

Nie słyszę, co mówią, ale wiem, co robi. On daje duchom miłość. Nie osądza, nie jest zły, nie zadaje pytań. A duchy, jeden po drugim, wędrują ku rzece. Spokojnie i radośnie.

Czyżby to był sekret tego, co robiła Shaeva? Mam dać duszom miłość, a wtedy przejdą na drugą stronę? Niemożliwe. To stoi w sprzeczności ze wszystkim, co Shaeva mówiła o tłumieniu emocji.

Duchy tu są spokojne, dużo pogodniejsze niż za życia Shaevy. Nie wyczuwam szalonego bólu przepelniającego Poczekałnię. Duchów jest też dużo mniej. Małe grupki karnie podążają za ubranymi na czarno postaciami.

Tutaj Łowców Dusz są dziesiątki. Nie, setki.

Z budynków wychodzą inne postacie, ludzkie w formie, ale stworzone z czarnoczerwonych płomieni, wspaniałe i wolne. Tu i ówdzie dostrzegam dzieci zmieniające swoją formę z ludzkiej w płomienistą i na odwrót z szybkością trzepotu skrzydeł kolibra.

Kiedy Łowcy Dusz i ich duchy mijają dżinny, te ustępują im z drogi i pochylają

głowy. Dzieci obserwują te sceny z daleka z rozdziawionymi ustami. Szepczą coś do siebie, a mowa ich ciała przypomina mi zachowanie wojańskich dzieci na widok Maski. Strach. Zazdrość.

Mimo to Łowcy Dusz nie są samotni. Rozmawiają ze sobą. Jakaś kobieta się uśmiecha, kiedy płomieniste dziecko przebiega obok niej, przyjmując ludzką formę, zanim zostanie złapane przez dżinn. Oni mają rodziny. Partnerów. Dzieci.

Oczami wyobraźni widzę Laię i siebie w domu, żyjących razem. Czy to byłoby możliwe?

Miasto faluje. To jakiś rodzaj drżenia powietrza. Dżinny odwracają głowy w kierunku krańca doliny, gdzie powiewa rząd sztandarów z piórem i otwartą książką na zielonym tle. Tak wyglądało godło Imperium Scholarów przed jego upadkiem.

Szybko zmieniają się obrazy. Przybywa ze swoją świętą ludzki młody król. Wita go dżinn o kasztanowych włosach z kobietą dżinnem o oliwkowej cerze i dwoje brykających płomienistych dzieci. Korona na głowie wyraźnie dżinnowi przeszkadza, jakby nie był przyzwyczajony do jej noszenia.

Wreszcie go poznaję. Ma inne włosy i figurę, ale jest w jego zachowaniu coś znajomego. To Bezimienny Król. Zwiastun Nocy.

Po obu stronach króla i królowej stoi dwoje płomienistych gwardzistów uzbrojonych w sierpy z czarnego diamentu. Choć nie mają ludzkich rysów, poznaję postać stojącą przy dzieciach. To Shaeva. Wpatruje się w królewskiego gościa z fascynacją. On to zauważa.

Akcja przyspiesza. Scholarski król najpierw prosi, przypochlebia się, a wreszcie stanowczo żąda ujawnienia sekretów dżinnów. Zwiastun Nocy odmawia, ale Scholar nie ustępuje.

Shaeva spotyka się ze scholarskim królem w jego gościnnych apartamentach. W ciągu kilku tygodni król zaprzyjaźnia się z nią. Śmieją się razem. Słucha jej opowieści. Ona się w nim zakochuje, tymczasem on knuje.

W umyśle Zwiastuna Nocy rodzą się złe przeczucia. Czuje zagrożenie i nocami, kiedy wszyscy śpią, krąży po ulicach swojego miasta. Kiedy żona coś do niego mówi, uśmiecha się. Kiedy dzieci się z nim bawią, śmieje się. Tłumi ich lęki. Tymczasem jego niepokój rośnie.

Shaeva znajduje scholarskiego króla na polanie za miastem. Król swoim zachowaniem przypomina mi kogoś, ale myśl ta mi umyka, zanim zdążę ją sformułować. Shaeva i król kłócą się. On ucisza jej gniew. Składa obietnice. Nawet z perspektywy tysiąca lat widzę, że nie zamierza ich dotrzymać.

Mijają trzy księżycy. I wtedy Scholarzy atakują, wdzierając się ogniem i stalą do Lasu Zmierzchu.

Dżinny odpierają atak z łatwością, ale i ze zdumieniem. Nie rozumieją tego, co się stało. Wiedzą, że ludzie chcą osiąść ich moc. „Ale po co, skoro panuje równowaga? Po co, skoro zabieramy dusze waszych zmarłych i przeprowadzamy je na drugą

stronę, żeby was nie dręczyły?”

Miasto jest pełne duchów. Dżinny muszą walczyć i brakuje Łowców Dusz, którzy przeprowadzaliby dusze. Zmuszone do czekania i cierpienia duchy zaczynają krzyczeć, zawodzą swoją przerażającą pieśń żałobną. Król dżinnów spotyka się z panem ifrytów. Dzieci króla dżinnów zostają odesłane wraz z setkami innych.

Teraz obrazy przedstawiają dzieci w Lesie.

*O nie. Nie.* Mam ochotę oderwać dłoń od ściany i przerwać wizje. Na dzieci czyha niebezpieczeństwo. Słyszę trzask łamanej gałązki, pomiędzy drzewami przemyka jakiś cień. W tej samej chwili płomieniste dzieci zaczynają biec przez Las. Są nieświadomymi istotami oświetlającymi swym blaskiem pnie drzew, liście i trawy, a jakiś rodzaj magii upiększa wszystko, czego dotkną. Szepty tych istot brzmią jak dźwięk dzwonów, a poruszają się one jak wesołe, śmiałe płomyki ogniska w mroźną noc.

Zapada nagle cisza. *Idziecie wprost w zasadzkę! Chrońcie je, głupcy!* Mam ochotę krzyczeć do gwardzistów. Zza drzew wyłaniają się ludzie z mieczami błyszczącymi od letniego deszczu.

Przerażone płomieniste dzieci zbijają się w gromadę. Kiedy są razem, ich płomień staje się jaśniejszy.

I nagle ogniki gasną.

Nie chcę widzieć dalszego ciągu. Znam go z opowieści. Shaeva dała scholarskiemu królowi Gwiazdę. A on i sabat jego magików uwięzili dżinny.

*Rozumiesz teraz, Eliasie Veturiusie?* – pytają dżinny.

– Zniszczyliśmy was – odpowiadam.

*Zniszczyliście samych siebie. Przez tysiąc lat mieliście tylko jednego Łowcę Dusz. Ale Shaeva była przynajmniej dżinnem. Była w niej przyrodzona magia. A mimo to liczba duchów rosła, sam widziałeś jej wysiłki. W tobie nie ma żadnej magii. Jak takie beztalencie, zwykły śmiertelnik może dokonać tego, z czym nie dał sobie rady dżinn? Duchy napierają na granice jak woda na tamę. Nigdy nie zdołasz przeprowadzić duchów tak szybko, by tama nie pękła. Poniesiesz porażkę.*

Tym razem dżinny nie próbują żadnych sztuczek. Nie muszą. Prawda wyzierająca z ich słów jest dostatecznie przerażająca.

## XXVIII: Kruk Krwi

---

Jest głęboka noc, kiedy coś wyrywa mnie ze snu.

– Plaża. – Zdaję sobie sprawę, że głośno wypowiedziałam to słowo, dopiero gdy słyszę skrzywienie zbroi. Pełniący wartę pod moimi drzwiami Avitas zrywa się z krzesła wybudzony z drzemki.

– Ale z ciebie wartownik – pryham. – Zasnąłeś niemal natychmiast.

– Wybacz, Kruku Krwi – odpowiada sztywno. – Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie...

– Żartowałam. – Przewracam oczami. Spuszczam nogi na podłogę i rozglądam się w poszukiwaniu spodni. Avitas czerwienieje i odwraca twarz do ściany, stukając palcami w rękojeść szabli.

– Nie mów mi, że nie widziałeś nigdy wcześniej nagiego żołnierza, kapitanie.

Następuje chwila ciszy, a potem rozlega się chichot, cichy i chrapliwy. Czuję się... dziwnie. Jakby chciał mi zdradzić jakiś sekret. Jakbym zamierzała zbliżyć się do niego, żeby tego wysłuchać.

– Nie takiego jak ty, Kruku Krwi.

Teraz mnie robi się gorąco. Otwieram usta, próbując wymyślić jakąś ciętą ripostę. Nic nie przychodzi mi do głowy. O bogowie, jakie to szczęście, że nie widzi mnie teraz wyraźnie, czerwonej jak burak, z ustami rozdziawionymi jak u ryby. *Nie wygłupiaj się, Kruku.* Zasznurowuję bryczesy, narzucam pelerynę i chwytam za broń, starając się pozbyć zakłopotania. W Czarnym Klifie widywałam golusieńkich przyjaciół – Dexa, Farisa, Eliasa – i nigdy nie drgnęła mi nawet powieka. Tym razem też nie zamierzam dać się upokorzyć rumieńcem.

– Muszę pójść na plażę. – Nakładam zbroję, krzywiąc się z bólu, kiedy napinam mięśnie brzucha. – Sprawdzić, czy... – Nie chcę mówić tego na głos ani nawet o tym myśleć, bo może jestem zupełnie stuknięta.

– Zechcesz najpierw wyjaśnić to? – Harper wskazuje mój brzuch. Oczywiście. Przecież był świadkiem mojego uzdrowienia. Słyszał, co mówił Zwiastun Nocy.

– Wolałabym nie.

– Silvius, ten lekarz, na żądanie Dexa przyszedł cię zbadać. Nie wpuściłem go. Powiedziałem, że Dex przesadza, a rana nie jest poważna. Lekarz wspominał, że w krótkim czasie stan zdrowia grupy dzieci w szpitalu w cudowny sposób się poprawił. – Harper przerywa, a ponieważ nadal milczę, wzdycha z irytacją. – Jestem twoją prawą ręką, Kruku, a nie znam twoich sekretów. I dlatego nie mogę cię chronić, kiedy inni próbują je poznać.

– Nie potrzebuję ochrony.

– Jesteś po Marcusie drugą osobą w Imperium – ciągnie Harper. – Jeśli nie potrzebowałaś ochrony, to tylko dlatego, że nikt nie widział w tobie zagrożenia.

Potrzeba ochrony nie jest oznaką słabości. Słabością jest brak zaufania do sprzymierzeńców. – Harper rzadko podnosi głos ponad monotonię Maski. Patrzę na niego ze zdumieniem, bo teraz każde jego słowo brzmi jak smagnięcie bicia.

*Zamknij się i wyjdź. Nie mam teraz czasu. Z trudem się powstrzymuję przed wypowiedzeniem tych słów. On ma rację.*

– Lepiej, żebyś usiadł – odzywam się. Kiedy kończę opowiadać mu o magii – ifrytach, uzdrowieniu Eliasa, a potem Lai i wszystkim tym, co zdarzyło się później – Harper jest głęboko zamyślony. Sądziłam, że będzie zadawał pytania, dociekał, żądał więcej wyjaśnień.

– Póki sama tak nie postanowisz – mówi – nikt się o tym nie dowie. A teraz... wspominałaś coś o plaży.

Jestem zaskoczona, że tak szybko zmienił temat. Jestem mu też za to wdzięczna.

– Kiedy byłam mała, słyszałam pewną opowieść – odzywam się. – O Zwiastunie Nocy, dzinnie, którego lud został uwięziony przez Scholarów. Który od tysiąca lat żyje pragnieniem zemsty.

– Ta historia jest aktualna, ponieważ...

– A jeśli nadchodzi czas wojny? Nie wojny z Karkaunami, wojny znacznie większej. – Nie potrafię opisać uczuć, jakich doznawałam, kiedy Kucharka o tym mówiła. Czulałam gęsią skórkę. Miałam wrażenie, że mówi prawdę. Wracam myślami do słów Quina na temat Zwiastuna Nocy. „Czego on chce? Czy komendantka zdobędzie to dla niego? Co takiego obiecała możnym rodom, że pozwalają, żeby ta świnia Grimarr pustoszył ubogie dzielnice miasta?”

– Słyszałaś Zwiastuna Nocy. Komendantka nie jest jego sojusznikiem ani wspólnikiem. Jest mu podległa. On chce wojny ze Scholarami, a ona pomoże mu ją toczyć. W Imperium już zniszczyła Scholarów. Teraz zajmie się tymi, którzy stamtąd uciekli.

– Do królestwa Morzan. – Harper kręci głową. – Będzie potrzebowała okrętów, żeby walczyć z Morzanami. Ich flota nie ma sobie równych.

– Właśnie. – Klnę z bólu, próbując założyć zbroję. Avitas w jednej chwili jest przy mnie i delikatnie zapina klamry. – Jedno mnie zastanawia. Keris nie pomagałaby Zwiastunowi Nocy z czystej lojalności. Słyszałaś, co mówił Quin. Ona jest lojalna tylko wobec siebie. Co w takim razie Zwiastun Nocy może zaoferować jej w zamian?

– Imperium – odpowiada Harper. – Tron. Ale gdyby tak miało się stać, dlaczego ocalał ci życie?

Kręcę głową. Nie wiem.

– Muszę iść na plażę. Później ci to wytłumaczę. Przynies mi raporty na temat możnych rodów i ich majątku. Powiedz plebejuszom o szpitalach. Otwórz ich więcej, poszukaj pomocy u naszych sprzymierzeńców. Rekwiruj domy, jeśli zajdzie taka potrzeba. I pamiętaj, wszędzie gdzie plebejusze znajdą schronienie i pomoc, ma powiewać sztandar Kruka i flaga Imperium.

Znajduję czarną pelerynę, utykam włosy pod chustą i wychodzę z pokoju. Czuję przyciągającą siłę rannych plebejuszy leżących na dziedzińcu koszar, ale muszę się jej przeciwstawić. Dziś potrzebny jest inny rodzaj magii.

Do miasta docieram tunelami i w końcu jestem na ulicy Navium. Komendantka wysłała patrole pilnujące, czy Karkaunowie nie próbują wdrzeć się do miasta. Choć plażę dzieli od koszar Czarnej Gwardii zaledwie dwie mile, dotarcie do niej zajmuje mi blisko trzy godziny, a nawet wtedy dwukrotnie zawracam, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi.

Kiedy zbliżam się do plaży, natychmiast dostrzegam wartowników. Większość przechadza się wzdłuż niskiego, nierównego klifu opadającego ku szerokiej łasze piachu. Sporo patroli jest jednak na samej plaży.

Żołnierze są tu rzekomo po to, żeby Grimarr nie dokonał niespodziewanego desantu. Ale gdyby to był jedyny powód, to nie byłoby ich tu aż tak wielu. Musi istnieć inny powód. Komendantka nie ryzykuje. Musi wiedzieć, że uszłam z życiem z zamachu.

Wychodzę zza rogu jednego z domów i ruszam biegiem w stronę chaty niewiele wyższej ode mnie. Kiedy się w niej usadawiam, poprawiam chustę na głowie, smaruję maskę błotem i tym razem podbiegam do znajdującej się jeszcze bliżej plaży szopy, w której przechowywane są sieci rybackie.

Jestem już naprawdę blisko, ale dochodzę do wniosku, że nie da się dotrzeć do plaży niezauważenie. Zwłaszcza bez wsparcia.

Tak bardzo przydałaby mi się teraz obecność Eliasa. On jest specjalistą od z pozoru niewykonalnych zadań. Jakimś cudem zawsze mu się udawało, a potem zawadiacko się uśmiechał. Było to inspirujące i zarazem denerwujące.

Niestety, Eliasa tu nie ma. A ja nie mogę ryzykować, że mnie przyłapią. Zawiedziona wycofuję się, kiedy obok mnie pojawia się jakiś cień. Sięgam po szablę, ale czyjaś dłoń już knebluje mi usta. Gryzę ją i uderzam napastnika łokciem. Słyszę syk bólu, ale żadnego innego dźwięku. *Cedr. Cynamon.*

– Harper? – pytam szeptem.

– Na moce piekielne, Kruku – jęczy. – Masz kościste łokcie.

– A ty jesteś idiotą. – Żałuję, że jestem zmuszona szeptać. Chętnie wyładowałabym na nim swoją złość. – Co tutaj robisz? Wydałam ci przecież rozkazy...

– Przekazałem je Dexowi. – Harper wygląda na trochę skruszonego, ale to wcale nie łagodzi mojego gniewu. – To jest robota dla dwóch Masek, Kruku. Bierzemy się do niej, zanim odkryją naszą obecność?

Niech go szlag, teraz zirytował mnie jeszcze bardziej. Tym bardziej że ma rację. Po raz kolejny. Uderzam go łokciem po raz drugi. Wiem, że to dziecinne, ale jak miło jest słyszeć to pełne boleści „au!”.

– Odwróć uwagę tych głupców. – Wskazuję najbliższą grupkę wartowników. – I wykaż się. Skoro już tu jesteś, to postaraj się tego nie spartolić.



Harper zniknął, a ja niecałą godzinę później wycofałam się z plaży, bo widziałam już to, co chciałam zobaczyć. Spotykamy się z Harperem we wcześniej ustalonym miejscu. Jego strój jest w tylko trochę gorszym stanie po tym, jak przekonywał żołnierzy, że w pobliżu zaczyna się desant Karkaunów.

– I co? – pyta.

Kręcę tylko głową. Nie wiem, czy bardziej jestem zaintrygowana czy przerażona.

– Przyrowadź mi konia – mówię. – Muszę odwiedzić pewną jaskinię. I znaleźć sposób na skontaktowanie się z Quinem. – Zerkam na plażę pełną wraków. – Jeśli jest tak źle, jak myślę, to potrzebna nam będzie każda pomoc.

\*\*\*

Ponad tydzień po tym, jak o mało nie zginęłam na ulicach Navium, i miesiąc po przybyciu do miasta Grimarr dokonuje ostatecznego natarcia. Zaczyna się ono o północy. Okręty Karkaunów pojawiają się niebezpiecznie blisko wybrzeża, a bębny ze wschodniej wieży strażniczej obwieszczają najgorsze: Grimarr przygotowuje do spuszczenia na wodę małe jednostki, które przetransportują jego siły lądowe do Navium. Czarownik ma dość czekania i ciągłych przerw w dostawach. Dość głodu. Chce zdobyć miasto.

Katapulty Navium miotają kamienie i ogień, ale marna to obrona przed pociskami zapalającymi wystrzelowanymi z setek wrogich okrętów. Stacjonująca na Wyspie komendantka wysyła rozkazy do dwóch i pół tysiąca żołnierzy czekających w ruinach Dzielnicy Południowo-Wschodniej na spodziewany tam desant Karkaunów. Większość z tych ludzi, jak mówi mi Dex, to posiłkowi. Plebejusze. Dobrzy ludzie, z których wielu zginie, jeśli mój plan się nie powiedzie.

Dex znajduje mnie na dziedzińcu koszar Czarnej Gwardii, gdzie przebywają coraz bardziej zdenerwowani plebejusze. Członkowie ich rodzin zmierzają się dziś z hordą Grimarra. Wszyscy zostali zmuszeni do opuszczenia swoich domostw. Z każdą mijającą minutą maleją szanse na to, że będą mieli do czego wracać.

– Jesteśmy gotowi, Kruku – melduje Dex.

Na mój rozkaz zginą dwa tuziny ludzi, ludzi, którzy słuchają bezwarunkowo rozkazów. Posłańcy, załogi wież strażniczych, wreszcie sami bębniści na wieżach. Jeśli chcemy pokonać Grimarra, musimy najpierw pokonać komendantkę, a to wymaga przecięcia jej łączności. Nie możemy ryzykować. Kiedy umilkną bębny, będziemy mieli tylko kilka minut na wprowadzenie naszego planu w życie.

„Chcesz ją zniszczyć? Najpierw musisz się stać taka jak ona”.

Wydaję rozkaz i Dex wraz z grupą dwudziestu ludzi zniknął. Kilka chwil później pojawia się Avitas ze zwojem. Odbieram go w taki sposób, żeby dla plebejuszy znajdujących się najbliżej mnie widoczna była litera K, znak Keris Veturii. Wieść rozchodzi się lotem błyskawicy. Keris Veturia, komendantka miasta, kobieta, która pozwoliła palić plebejuszowskie dzielnice Navium, przysłała Krukowi Krwi i Czarnej

Gwardii wiadomość.

Posyłam milczące podziękowania Kucharce, gdziekolwiek teraz jest. To ona zdobyła dla mnie tę pieczęć, bardzo przy tym ryzykując, i wręczyła mi ją z lakonicznym ostrzeżeniem: „Cokolwiek zaplanowałaś, lepiej, żeby ci się powiodło. Ponieważ jej zemsta byłaby okrutna, nadeszłaby z najmniej spodziewanej strony i trafiła w najczulszy punkt”.

Rozwijam zwój – oczywiście niezapisany – i udaję, że czytam. Następnie z wściekłością mnę papirus w dłoniach i wrzucam do ognia.

Plebejusze obserwują tę scenę z rosnącym niepokojem. *Wszystko zmierza w dobrym kierunku*. Są jak sucha hubka, która zaraz zapłonie żywym ogniem. Cały tydzień ich przygotowywałam, sączyłam im do ucha opowieści o komendantce prowadzącej z możliwymi wystawne życie, kiedy plebejusze przymierają głodem. Szybko zaczęła rodzić się plotka, że Keris Veturia chce z okrętów Grimarra stworzyć własną flotę handlową. Możliwe rody miały pozwolić bezlitosnemu watażce Grimarrowi splądrować Dzielnicę Południowo-Wschodnią w zamian za ocalenie dzielnic ilustrian i merkatorów. Wszystko to było kłamstwem, ale na tyle wiarygodnym, że zdołało rozbudzić gniew.

– Nie zgodzę się na to – mówię na tyle głośno, żeby mój głos został usłyszany. Udaję złość, ale szybko rodzi się ona we mnie naprawdę. Wystarczy, że przypomnę sobie zbrodnię Keris: poświęciła tysiące istnień ludzkich, żeby zdobyć okręty potrzebne w wojnie prowadzonej przez Zwiastuna Nocy. Przekonała moźnych, żeby chciwość wzięła w nich górę nad troską o ich ludzi. Jest zdrajczynią i dlatego trzeba ją zniszczyć.

– Kruku. – Avitas robi krok w tył, znakomicie odgrywając swoją rolę. – Rozkaz to rozkaz.

– Nie tym razem – odpowiadam. – Ona nie może tak po prostu siedzieć sobie tam w wieży, w wieży, którą ukradła najznakomitszemu admirałowi tego miasta, i oczekiwać, że nie wzbudzi to naszego sprzeciwu.

– Nie mamy ludzi...

– Jeśli chcecie zrobić porządek z Keris Veturią – odzywa się mój człowiek przebrany w plebejuszowski strój i wmieszany w tłum – to ja idę z wami. Mam do niej osobisty żal.

– Ja też. – Podnosi się dwóch kolejnych mężczyzn, sojuszników rodu Aquilla i Atria. Przyglądam się pozostałym plebejuszom. *No, dalej*.

– I ja. – Kobieta, która to mówi, nie jest jednym z moich ludzi. A kiedy ona wstaje z pałką w rękę, w jej ślad idą inni. Obok niej staje młodsza kobieta, wyglądająca na jej siostrę. Potem z tyłu podnosi się jakiś mężczyzna.

– I ja! – Dołączają kolejne osoby, aż wreszcie wszyscy stoją. To jakby powtórzenie buntu zaplanowanego przez Mamie Rila, tyle że tym razem buntownicy stoją po mojej stronie.

Odwracam się do wyjścia i zauważam, że Avitas zniknął. Ma sprowadzić posiłkowych, którzy przeszli na naszą stronę, i plebejuszy z innych miejsc schronienia.

Wylewamy się na ulice, zmierzając ku Wyspie, a kiedy Harper ze swoimi ludźmi mnie odnajduje, podąża za mną już spory tłum. Obok mnie kroczy Avitas. W jednej ręce trzyma pochodnię, w drugiej szablę. Chociaż raz na jego twarzy widzę wściekłość, a nie spokój. Harper jest plebejuszem, ale jak wszystkie Maski potrafi panować nad emocjami. Nigdy nie przyszło mi do głowy pytać go, co czuł, kiedy działy się straszne rzeczy w dzielnicach plebejuszów.

– Myśl teraz o przyszłości, Kruku. – Zerka na mnie i wiem, że czyta mi w myślach.  
– Jeśli czujesz się z jakiegoś powodu winna, zajmiesz się tym później.

Kiedy wreszcie docieramy do mostu wiodącego na Wyspę, zaalarmowani naszym przybyciem strażnicy miejscy zwierają szyki. Nie zwalniam kroku, natomiast z tłumu wychodzi naprzód któryś z posiłkowych.

– Karkaunowie zaatakowali wieże sygnalizacyjne! – wrzeszczy zdyszany do kapitana straży miejskiej, też plebejusza. – Zabili bębnistów i strażników. Komendantka nie może skontaktować się ze swoimi ludźmi.

– Miasto upadnie, jeśli się nie ruszycie – odzywam się do kapitana. – Jeśli mnie wpuścisz, zostaniesz okrzyknięty bohaterem. Jeśli dalej będziesz jej bronił, umrzesz jak tchórz.

– Nie ma potrzeby dramatyzować, Kruku Krwi.

Po drugiej stronie mostu otwierają się drewniane wrota prowadzące do wieży na Wyspie i pojawia się w niej komendantka, a za jej plecami możnowładcy. W jej zimnym głosie wyczuwam drżenie wywołane złością. Gwardziści bez słowa rozstępują się i wchodzimy na most.

– Kruku Krwi – odzywa się komendantka. – Nie rozumiesz subtelnych zasad funkcjonowania...

– My tu umieramy – rozlega się czyjś wściekły głos – a ty obżerasz się dziczyzną i świeżymi owocami w wieży, która nie należy do ciebie.

Tłumię ironiczny uśmiezek. Jeden z możliwych trzy dni temu dostarczył na Wyspę partię świeżych owoców. Zadbłam o to, żeby ta wiadomość dotarła do plebejuszy.

– Generale Veturio! – Przybiega posłaniec z Dzielnicy Południowo-Wschodniej i tym razem to nie jest mój człowiek. – Karkaunowie dokonali desantu. Wojskiem dowodzi Grimarr, a jego ludzie wdzierają się do dzielnicy. Podobno budowane są stosy. Grupa Wojan, która wpadła do niewoli i odmówiła złożenia hołdu Grimarrowi, została rzucona na stos. Nasi żołnierze czekają na rozkazy.

Keris się waha. Krótką chwilę. To jedna chwila słabości. „Chcesz ją zniszczyć? Musisz stać się taka jak ona”.

– Przejmuję dowodzenie nad tą operacją militarną. – Mijam ją i daję znak Avitasowi oraz posiłkowym stojącym na przedzie tłumu, żeby szli za mną. – Jesteś

zwolniona z obowiązków, Keris Veturio. Możesz obserwować przebieg walki, szanowne głowy rodów również. *Niech to się uda. Proszę.*

Kieruję się ku krętym schodom, za mną idą Avitas i posiłkowi. Kiedy docieramy do punktu dowodzenia Wyspy, Avitas zapala pochodnię dającą niebieskie światło i wchodzimy dalej, na sam szczyt wieży. Cała nasza nadzieja w tej pochodni, choć wydaje się tak mała i niepozorna.

Avitas macha pochodnią trzykrotnie. Czekamy.

I czekamy.

O bogowie. Nie po to wszystko tak starannie przygotowaliśmy, żeby teraz miało pójść na marne.

– Kruku! – Harper wskazuje na morze na zachodzie, gdzie zza skalistego cypla wyłania się las masztów.

Wojańska flota.

Z ust plebejuszów, którzy wdrapali się z nami na wieżę, dobywa się westchnienie. Natomiast szacowni patrycjusze zielenieją na twarzach i są przerażeni.

A jeśli chodzi o komendantkę, to odkąd ją znam, nie widziałam jej nigdy zszokowanej czy choćby lekko zaskoczonej. Teraz jest blada jak trup.

– Flota nie zatonąła tamtej nocy – szepczę jej do ucha. – Odpłynęła. A ty powiedziałaś swojemu panu, dzinnowi, żeby wyrzucił na brzeg stare wraki. Ludzie mieli być przekonani, że nasza flota poszła na dno i że to moja wina. Byłam na plaży, Keris, przedarłam się tam mimo twoich wartowników. Maszty, żagle, wszystkie pozostałości, jakie morze wyrzuciło na brzeg, musiały pochodzić z okrętów znajdujących się pod wodą od dziesięcioleci.

– Po co miałabym ukrywać flotę? To niedorzeczne.

– Ponieważ potrzebujesz naszej floty w wojnie Zwiastuna Nocy z Morzanami i Scholarami. Pomyślałaś więc, że przeczekasz inwazję Karkaunów. Niech zginie kilka tysięcy plebejuszów. Niech Grimarr zaatakuje na lądzie. Niech jego siły zostaną zdziesiątkowane. A wtedy ty ukradniesz jego okręty. Miałabyś wówczas flotę dwukrotnie większą od floty Morzan.

– Admirał Argus i wiceadmirał Vissellius nigdy nie oddadzą się pod twoje dowodzenie.

– Przyznajesz więc, że żyją? – Chce mi się śmiać. – A ja się zastanawiałam, dlaczego wszyscy ich oplakują, a ich żony nie wyglądają na przejęte.

Z wież Navium nagle zaczyna dobiegać dźwięk bębnow. To moi bębniści wysyłają wiadomości. Poprzednich zabili Dex i jego ludzie. Z wieży rozbiegają się we wszystkich kierunkach posłańcy, którzy czekali tylko na mój sygnał. Przesyłam przez nich rozkazy dla ludzi w Dzielnicy Południowo-Zachodniej, którzy muszą teraz prowadzić zażartą walkę z najeźdźcami.

Kątem oka dostrzegam, że komendantka wycofuje się w stronę schodów. Niemal natychmiast pojawia się obok niej dwóch żołnierzy, uniemożliwiając jej ucieczkę.

Chcę, żeby patrzyła. Chcę, żeby widziała, jak jej plan legnie w gruzach.

Avitas wyciąga w moim kierunku ostatnią pochodnię, a ja podchodzę z nią najpierw do południowej części wieży, tej najbliższej morza, a potem do północnej, od strony portu wojennego.

Głośny zgrzyt łańcuchów opuszczanych na dno kanału jest słyszalny nawet tu, na szczycie wieży. Natomiast z portu wypływają resztki naszej floty, dwa tuziny okrętów, które nie zostały poprzednio zwodowane.

Nikt z setek plebejuszy obserwujących sytuację z położonego niżej tarasu nie mógł pomylić flag powiewających na masztach: dwóch skrzyżowanych mieczy na czarnym tle. To pierwotna flaga rodu Veturia, zanim Keris dodała do niej literę K.

Nikt nie mógł też pomylić sylwetki dumnej, siwej postaci stojącej za sterem pierwszego w szyku okrętu.

– Admirał Argus i wiceadmirał Vissellius nie żyją – zwracam się do Keris. – Flotą dowodzi obecnie admirał Quin Veturius. A załogę floty stanowią teraz ludzie Veturiusa oraz ochotnicy z rodu Atria.

Widzę, że do Keris Veturii dociera to, co zrobiłam. Zdaje sobie sprawę, że przybywa jej ojciec, który, jak sądziła, ukrywa się gdzieś daleko. Dociera do niej, że została pokonana. Na jej czole pojawiają się kropelki potu, bezsilnie zaciska pięści. Mundur ma rozpięty pod szyją. Dostrzegam pierwsze trzy litery jej tatuażu: ZAW...

Kiedy podchwytuje moje spojrzenie, zaciska usta i poprawia kołnierz.

– Nie musiało tak być, Kruku Krwi. – Głos komendantki brzmi miękko jak zawsze, kiedy jest najbardziej niebezpieczna. – Zapamiętaj to. Gdybyś zrezygnowała, mogłabyś ocalić tyle istnień. Ale teraz... – Wzrusza ramionami. – Teraz będę musiała uciec się do brutalniejszych metod.

Czuję zimny dreszcz na plecach, ale zmuszam się, by go zignorować, i zwracam się do członków Czarnej Gwardii ze sprzymierzonych ze mną rodów.

– Zabierzcie ją do celi. – Nie patrzę, kiedy ją wyprowadzają. Teraz zwracam się do głów możliwych rodów: – Co wam obiecała? – pytam. – Rynek zbytu na wasze towary? Na twoją broń, Tatusie? Na twoje zboże, Modiusie? Na twoje konie, Equitiusie, i na twoje drewno, Ligniusie? Wojna stwarza takie niesamowite okazje dla chciwych, tchórzliwych oszustów, prawda?

– Kruku. – Avitas tłumaczy mowę bębnową. – Grimarr wycofuje wojska. Zauważył atak na swoje okręty i teraz płynie bronić floty.

– Nic wam z tego nie przyjdzie – mówię do patrycjuszy. – Południowe morza zabarwią się dziś na czerwono od krwi Karkaunów. A kiedy lud Navium będzie opowiadał tę historię, o was będą mówić, jak mówią o Karkaunach – z obrzydzeniem i pogardą. Chyba że na moje ręce złożycie hołd imperatorowi Marcusowi Farrarowi. I obsadzicie swoimi ludźmi te okręty. – Wskazuję flotę opuszczającą port wojenny.

To nie trwa długo. Dex pozostaje na Wyspie, żeby obserwować bitwę i zapewnić bezpieczeństwo plebejuszom. Avitas i ja, na skutek moich nacisków, wsiadamy na

pokład ostatniego okrętu. Jestem zła na walki, palę się, żeby wziąć odwet na tych barbarzyńskich draniach, odpłacić im za tygodnie ostrzału artyleryjskiego. Znajdę Grimarra. Będzie cierpiał.

– Kruku. – Avitas, który zniknął pod pokładem, wraca z błyszczącym młotem bojowym. – Znalazłem to w posiadłości rodu Aquilla, kiedy szukałem zapasów. Spójrz.

Czarny metal zdobią trzy słowa. *Lojalni do końca.*

Młot leży w mojej dłoni, jakbym się z nim urodziła. Nie jest ani zbyt ciężki, ani zbyt lekki. Na jednym końcu jest ostry hak do zadawania szybkiej śmierci, natomiast tępy koniec jest idealny do rozwalania głów.

Nim skończy się noc, oba końce młota znajdują zastosowanie. Kiedy zaczyna świtać, na wodzie pozostaje może tuzin okrętów wroga. Wycofują się na południe ścigani przez Quina Veturiusa. Choć polowałam na niego zawzięcie, czarownik Grimarr mi się wymknął. Widziałam go tylko raz, przez krótką chwilę. Był wysoki, blade i śmiertelnie przerażony.

Okrzyki naszych marynarzy napełniają moje serce niepohamowaną radością. Zwyciężyliśmy. My zwyciężyliśmy. Karkaunowie odpłynęli. Quin zniszczy tych, którzy pozostali. Plebejusze mnie poparli. A komendantka jest uwięziona. Wkrótce wyjdzie na jaw cała jej perfidia.

Wracam do koszar Czarnej Gwardii w zakrwawionej zbroi, z młotem przewieszonym przez plecy. Plebejusze ustępują nam z drogi, na widok mój, Harpera i moich ludzi rozlegają się wiwaty.

*Kruk Krwi! Kruk Krwi!*

Idę po schodach do swojej kwatery, gdzie czeka na mnie list z pieczęcią imperatora Marcusa. Wiem już, co w nim znajdę: ułaskawienie Quina Veturiusa, przywrócenie mu godności głowy rodu oraz nowe stanowisko – admirała floty w Navium. Zażądałam tego kilka dni temu za pośrednictwem szyfrowanej wiadomości przesłanej przez bębny. Marcus, przekonywany długo przez Liwie, w końcu na to przystał.

*Kruk Krwi! Kruk Krwi!*

Ktoś puka do moich drzwi. Avitas otwiera i w progu staje blade jak ściana Dex. Jego mina mrozi mi krew w żyłach.

– Kruku – mówi zduszonym głosem. – Nadeszła wiadomość z Antium. Masz zostawić wszystkie niedokończone sprawy i wracać natychmiast do stolicy. Imperatorowa, twoja siostra, została otruta.

## XXIX: Laia

---

*Przeszłość powinna splotnąć i nic tego nie spowolni.*

Zwiastun Nocy powiedział mi, co się wydarzy. Choć równie dobrze mógł mi to wykrzyknąć prosto w twarz. A ja byłam zbyt głupia, by to zrozumieć.

– Nie, Laio, stój! – Ledwie słyszę ten głos w ryku płomieni trawiących obóz uchodźców. Przeciskam się przez tłum zszokowanych Morzan i Scholarów w stronę miasta. Wciąż mogłabym dotrzeć do biblioteki. Wciąż mogłabym znaleźć księgę o augurach. Płoną tylko górne piętra gmachu. Może dolne ocalały...

– Co ty wyprawiasz? – Musa obraca mnie ku sobie, na twarzy ma popiół i łzy. – Morzanie opuścili obóz. Biegną ratować bibliotekę. Scholarzy potrzebują pomocy!

– Zabierz Darina! – krzyczę. – I Zelle, i Taure. Ja muszę się dostać do biblioteki.

– *Apan*, tu są wciąż jeszcze Scholarzy, którzy...

– Kiedy to wreszcie zrozumiesz? Ruch oporu jest nieważny. Ważne jest jedynie, żeby powstrzymać *jego*. Jeśli tego nie zrobimy, uwolni dzinny, a wtedy zginą wszyscy, także ci, których teraz ratujemy.

Jego odpowiedź ginie gdzieś w odgłosach otaczających nas spanikowanych ludzi. Odwracam się i ruszam biegiem. Przywdziewam swoją niewidzialność i przeciskam się między Morzanami napierającymi na bramę obozu.

Na ulice wylały się setki mieszkańców Adisy. Część tylko patrzy na płonącą bibliotekę, inni łudzą się, że zdołają pomóc w gaszeniu pożaru. Po bruku przetaczają się wozy strażackie, żołnierze rozwijają grube węże, którymi będą pompować wodę z morza.

Mijam ich wszystkich, dziękując bogom za dar niewidzialności. Kiedy docieram do Wielkiej Biblioteki, widzę bibliotekarzy w niebieskich fartuchach wynoszących w pośpiechu księgi, zwoje i artefakty, pchających wózki pełne bezcennych woluminów. Wielu próbuje wrócić do środka, ale ogień rozprzestrzenia się szybko i co rozsądniejsi koledzy ich powstrzymują.

Mnie nie ma kto powstrzymać, przeciskam się pomiędzy Morzanami wylewającymi się z drzwi frontowych. Na parterze budynku panuje rodzaj kontrolowanego chaosu. Jakiś mężczyzna stoi na biurku i wydaje rozkazy niewielkiej grupce mężczyzn i kobiet. Wypełniają je z taką szybkością i zaangażowaniem, jakby kierowała nimi Maska z biczem w dłoni.

Zadzieram głowę. Pierwsze piętro to labirynt rozgałęziających się we wszystkich kierunkach korytarzy. Czy jest szansa, że księga o augurach znajduje się właśnie tam?

*Myśl, Laio!* Morzanom od stuleci powierzano wiedzę całego świata, ponieważ opiekowali się nią troskliwie i w sposób zorganizowany. To oznacza, że musi być tu gdzieś rodzaj mapy. Znajduję ją wyrytą na ścianie. Biblioteka liczy ponad dwadzieścia poziomów i jest tu tyle książek, że można dostać zawrotu głowy. Kiedy

zaczynam już tracić nadzieję, znajduję odpowiedni napis: *Historia Wojan – poziom 3*.

Na schodach jest pusto. Bibliotekarze nie są tacy głupi, żeby wchodzić na wyższe piętra. Kiedy mijam drugi poziom, klatkę schodową wypełnia dym, a w oddali huczą płomienie. Z rozmiarów pożogu zdają sobie sprawę dopiero na trzecim piętrze.

Ten poziom jest już w połowie ogarnięty przez pożar. Ale choć dym jest gęsty, a płomienie łakome, półki po mojej prawej stronie pozostały nietknięte. Zasłaniam twarz koszulą, z oczu ciekną mi łzy. Podbiegam i zdejmuję pierwszą z brzegu książkę. *Jasnowidze ankaneńscy i oszustwa w przepowiadaniu przyszłości*. Sięgam do następnej półki, gdzie są tysiące książek o Ziemiach Południowych, a potem do kolejnej poświęconej plemionom. *Historia Scholarów. Podbój Scholarów. Wojanie lacertiańscy*.

Podchodzę bliżej. Płomienie też się zbliżają. Oglądam się za siebie i nie widzę już schodów. Ogień rozprzestrzenia się szybciej, niż powinien, w płomieniach widzę powykęcane twarze. *Wietrzne ifryty!* Te stworzenia wykorzystują swoją moc do rozdmuchiwania ognia, żeby szybciej się rozprzestrzeniał. Przykucam. I choć jestem niewidzialna, to nie wiem, czy dzięki swojej magii ifryty mnie nie widzą. Jeśli tak, to już po mnie.

Moją uwagę zwraca mdła pozłota kolejnej książki i jej tytuł: *Zawsze zwycięscy: Życie i podboje generała Quina Veturiusa*.

To dziadek Eliasa. Spoglądam wyżej, ale tam jest tylko plakietka: *Historia Wojan*. Szybko przeglądam tytuły. Wszystko na tej półce to książki o generałach i imperatorach. Gdybyśmy z Musą wrócili wcześniej do miasta! Nawet godzina czyniła różnicę. Nawet dziesięć minut.

Jestem blisko, tak blisko.

– Tu jesteś!

Za moimi plecami pojawia się kobieta w czerwonej sukni. Całe ramiona pokrywają ciemnoszkarłatne tatuaże. Srebrne i złote monety wplecione w jej kasztanowe włosy i oplatające czoło błyszczą teraz pomarańczowym blaskiem. Moja niewidzialność najwyraźniej na nią nie działa, ponieważ patrzy wprost w moją twarz bladymi źrenicami oczu obwiedzionych henną. To Jaduna.

– Ty jesteś Laia z Serry. – Wydaje się zaskoczona moim widokiem. Podchodzi bliżej, a ja cofam się o krok. Musiała widzieć moją twarz na listach gończych rozwieszonych w mieście przez księżniczkę Niklę. – Uciekaj stąd, dziewczyno. Szybko, póki schody się nie zajęły.

– Muszę znaleźć księgę o augurach, o ich przepowiedniach...

– Nie przeczytasz jej, jeśli tu zostaniesz. – Chwyta mnie za ramię, a jej dotyk natychmiast mrozi mi skórę. *Magia!* Zauważam, że powietrze wokół niej jest chłodne i wolne od dymu. Pożar jej nie przeszkadza, tymczasem ja już z trudem oddycham.

– Proszę. – Dyszę ciężko i schylam się, kiedy dym gęstnieje. – Pomóż mi. Potrzebuję tych przepowiedni. Zwiastun Nocy...



Jaduna zdaje się nie słuchać. Ciągnie mnie siłą ku schodom, ale zapieram się nogami.

– Stój! – Próbuję wyrwać ramię z uścisku. – Zwiastun Nocy zamierza uwolnić dzinny.

Paplam coś jeszcze, błagając ją o pomoc. Ale ona ciągnie mnie za sobą z nadludzką, magiczną siłą.

– My nie mamy żadnych zatargów z dzinnami – odzywa się Jaduna. – Ani z Meheryą. Jego plany nas nie obchodzą.

– Każdy uważa, że nic go nie obchodzi, dopóki potwory nie pojawią się u jego drzwi!

Jaduna krzywi się na mój wrzask, ale nie dbam o to.

– Dopóki nie spalą domu, nie zabiją rodziny!

– Jestem odpowiedzialna za Wielką Bibliotekę, a to oznacza, że muszę stąd wyprowadzić ciebie i wszystkich innych, którym grozi niebezpieczeństwo.

– A jak myślisz, kogo należy obwiniać za ten pożar? – Kiedy mówię te słowa, dym rozstępuje się i w naszym kierunku toczy się coś białego z precyzją wskazującą na złe zamiary. To ifryt!

– Uważaj! – Rzucam się na Jadunę i przewracam ją na plecy, kuląc się, kiedy wietrzny ifryt mija nas w tak małej odległości, że włosy stają mi dęba. Jaduna wysuwa się spode mnie, śledząc wściekłym wzrokiem ifryta. Jednym susem podrywa się i mknie za stworem z szybkością komety. Wpada w płomienie i znika. Odwracam się w stronę półki z książkami, ale nie widzę jej przez dym. Krztusząc się, padam na kolana i na czworakach zbliżam się do półki.

*Laio.* Czy ten szept zrodził się w mojej głowie, czy naprawdę go słyszałam? Przede mną klęczy ktoś w czarnym stroju i wpatruje się we mnie błyszczącymi oczami. To nie jest Zwiastun Nocy. Gdyby to był on, nie zdołałabym utrzymać swojej niewidzialności. To jakaś projekcja albo ghule płatają mi figle. Co wcale nie zmniejsza mojej odrazy ani strachu.

*Umrzesz tutaj, udusisz się dymem,* mówi Zwiastun Nocy. *Będziesz martwa jak reszta twojej rodziny. Martwa bez potrzeby, z powodu własnej głupoty. Ostrzegałem cię...*

– Laio!

Postać Zwiastuna Nocy się rozwiewa. Głos, który mnie woła, brzmi znajomo. I jest prawdziwy. To Darin. Co on tu robi? Zawracam i podążam za tym głosem. Znajduję brata u szczytu schodów, których połowę ogarnął już pożar. *Przekłęty głupiec!*

Nie odważam się zrzucić niewidzialności ze strachu przed kolejną utratą przytomności, ale kiedy jestem blisko, wołam Darina i chwytam go za ramię.

– Jestem tutaj! Wracaj, Darinie! Ja muszę czegoś poszukać.

Ale Darin ciągnie mnie już po schodach.

– Oboje musimy uciekać! Drugie piętro już płonie!

– Muszę...

– Musisz żyć, jeśli chcesz go powstrzymać. – Oczy Darina płoną. A trzecie piętro to w tej chwili ściana ognia.

Zbiegamy po schodach, z góry spadają kawałki tynku i kamienie, w powietrzu fruwać rozżarzone węgielki. Wzdrygam się, kiedy lądują na nagich ramionach Darina, ale on je tylko strzepuje, nie zważając na ból. Nagle słyszymy trzask wielkiej belki i Darin w ostatniej chwili uchyla się przed nią. Jesteśmy zmuszeni cofnąć się kilka stopni. Płuca wypełnia mi dym, czuję palący ból w piersiach i zginam się wpół, nie mogąc powstrzymać kaszlu.

– Obejmij mnie ramieniem, Laio! – wrzeszczy Darin. – Nie widzę cię!

O bogowie, nie mogę oddychać, nie mogę myśleć. *Nie zrzucaj niewidzialności. Darin mógłby nie dać rady wyciągnąć cię stąd.*

Docieramy do drugiego piętra i tu schody są już zajęte ogniem. Na moce piekielne. Jaka ja jestem głupia. Nie należało tu wchodzić. Darin nie przyszedłby za mną. A teraz oboje zginieemy. Matka byłaby zła z powodu mojej lekkomyślności. *Przepraszam, mamo. Przepraszam, tato. Bardzo was przepraszam.* Tak zginął Elias. Ale przynajmniej spotkam się z nim w Poczekalni. Przynajmniej się z nim pożegniam.

Darin widzi coś, czego ja nie dostrzegam – drogę ucieczki. Ciągnie mnie za sobą, a ja krzyczę, bo żar parzy moje nogi.

Największe płomienie pozostają za nami. Darin chwytam mnie w pasie, lekko unosi i ciągnie, a ja stopami szoruję po podłodze. Wreszcie wypadamy przez drzwi frontowe na zewnątrz. Widzę wszystko jak przez mgłę. Drabiny, wiadra, pompy i ludzi. Tyle tu ludzi.

Ogarnia mnie ciemność, a kiedy znów otwieram oczy, siedzę oparta o ścianę w jakiejś bocznej uliczce. Przede mną klęczy Darin, cały w popiele, i szlocha ze szczęścia.

– Jesteś taka głupia, Laio! – Szturcza mnie. Chyba znów jestem widzialna, ponieważ bierze mnie w ramiona, potem znów szturcza i ponownie przytula. – Jesteś jedyną bliską mi osobą. Jedyną, jaka mi pozostała. Pomyślałaś o tym, zanim wskoczyłaś do płonącego budynku?

– Przepraszam. – Głos mam zachrypnięty, ledwo sama siebie słyszę. – Myślałam... Miałam nadzieję... – *O bogowie, księża. Nie znalazłam księgi.* Na myśl o porażce robi mi się słabo. – A biblioteka?

– Nie ma biblioteki, dziewczyno. – Obracamy się z Darinem, kiedy z ciemności wyłania się jakaś postać. Piękna czerwona suknia Jaduny jest osmolona, ale ją nadal otacza dotkliwy chłód. – Ifryty dobrze wykonały zadanie.

Darin powoli się podnosi, sięgając po szablę. Ja też wstaję, ale muszę się przytrzymać ściany, bo świat wokół mnie wiruje. Teraz Jaduna na pewno nas arestuje. Nie ma sposobu, żebyśmy jej uciekli. Pozostaje mi tylko znaleźć w sobie

dość sił, by z nią walczyć.

Jaduna nie podchodzi bliżej. Przygląda mi się tylko przez chwilę.

– Ocaliłaś mi życie – mówi. – Tamten ifryt by mnie zabił. Jestem twoją dłużniczką.

– Proszę, nie aresztuj nas. Po prostu zostaw nas w spokoju, w ten sposób będziemy kwita.

Spodziewam się ostrej repliki, ale ona wpatruje się we mnie nieodgadnionym wzrokiem.

– Jesteś młoda i trzymasz się w cieniu – prycha. – Jesteś podobna do niego, twojego przyjaciela. Tego, którego zwą Musą. Widziałam go w mieście, jak szeptem rozповідаł różne historie, tym swoim przekonującym tonem głosu tworzył legendę. Oboje jesteście skażeni mrokiem. Musisz udać się do mojej ojczyzny, Kotamy, na wschodzie. Mój lud ci pomoże.

– Nie mogę iść na wschód. – Kręcę głową. – Zwiastun Nocy wciąż jest groźny.

– Meherya? – pyta speszona kobieta.

– Ty wcześniej to powiedziałaś. Nie wiem, co znaczy to słowo.

– To jego imię, Laio z Serry. Jego pierwsze, najprawdziwsze imię. Ono opisuje wszystko, czego dokonał i co jeszcze zrobi. Jego moc jest w tym imieniu, ale i słabość. Ale – Jaduna wzrusza ramionami – to tylko stara magia. Zemsta Zwiastuna Nocy dawno została przepowiedziana. Najrozsądniej będzie, Laio z Serry, jeśli wyjedziesz stąd i udasz się do Kotamy...

– Nie obchodzi mnie Kotama. – Tracę cierpliwość i zapominam, że rozmawiam z kobietą, która potrafi pewnie zabić jednym ruchem ręki. – Muszę go powstrzymać.

– Po co? – Jaduna kręci głową. – Jeśli go powstrzymasz, wiesz, co się stanie? Jakie będą konsekwencje, skala zniszczeń...

– Na razie nie wiem, jak go powstrzymać.

Zrywa się wiatr i z sąsiedniej ulicy dobiegają nas krzyki. Ogień może rozprzestrzenić się na całe miasto. Jaduna marszczy czoło, ogląda się przez ramię i zaciska palce. W jej dłoniach pojawia się coś małego i prostokątnego.

– Może to ci pomoże.

Wręcza mi tajemniczy przedmiot. Jest to gruba, ciężka księga z tytułem wytłoczonym srebrnymi literami. *Historia wieszczów i proroków w Imperium Wojańskim* napisana przez Fifiusa Antoniusa Tulliusa.

– Tak spłacę swój dług – mówi Jaduna. – Pamiętaj o mojej propozycji. Jeśli trafisz do Kotamy, pytaj o D'arju. To najlepsza nauczycielka w Zatoce Łez. Pomoże ci zapanować nad mrokiem, żeby nie zawładnął twoim ludem.

Jaduna znika. Otwieram książkę, a w środku znajduję rysunek przedstawiający mężczyznę w czarnym stroju. Jego twarz jest zasłonięta, ale ręce są blade, a spod kaptura widać czerwone oczy. To augur.

Wymieniamy z Darinem spojrzenia, a zaraz potem uciekamy stamtąd, bojąc się, że

Jaduna zmieni zdanie.

\*\*\*

Dwie godziny później przedzieram się z bratem przez ulice Adisy. Mam nadzieję, że Musa wrócił do kuźni, bo nie mam czasu uganiać się za nim po obozie dla uchodźców. Nie teraz. Nie po tym, co wyczytałam w księdze.

Ku mojej uldze w kuźni pali się światło, a Musa siedzi w dużym pokoju. Zella opatruje oparzenie na jego ramieniu. Musa otwiera usta, ale nie dopuszczam go do głosu.

– Kruk przeżył zamach na swoje życie – mówię. – Wiesz jak? Co się stało? Jakie były okoliczności?

– Przynajmniej usiądź...

– Muszę to wiedzieć!

Musa gdera i znika w swoim pokoju. Słyszę, jak tam się miota, a po chwili wraca z naręczem zwojów. Próbuję wziąć jeden do ręki, ale uderza mnie w wyciągniętą dłoń.

– Są zaszyfrowane – wyjaśnia. Przejrzenie wszystkich zajmuje mu długie minuty. – Aha, tutaj. – Została ugodzona sztyletem przez sługusów Keris. Jeden z jej ludzi zaniósł ją do koszar. Widziano, jak Zwiastun Nocy opuszcza jej kwaterę, a dwie noce później zaczęła znów wydawać rozkazy.

– Czytaj – mówię i otwieram książkę o augurach w miejscu, które wcześniej zaznaczyłam.

– *Krew ojca i krew syna są zwiastunami mroku – czyta na głos Musa. – Król rozświetli ścieżkę Rzeźnika, a kiedy Rzeźnik ulegnie sile najgłębszej miłości, nadejdzie noc. Tylko Duch może przeciwstawić się rzezi. Kiedy potomek Lwicy upomni się o chlubę Rzeźnika, zniknie i krew siedmiu pokoleń przeminie, nim Król będzie mógł ponownie szukać zemsty.* Przekleści augurowie, to nie ma sensu.

– Owszem, ma – odpowiadam. – Musisz wiedzieć, że kruk to gatunek ptaka znany z tego, że swoją ofiarę przed pożarciem nabija na ciernie. Czytałam o tym w jakiejś książce. Ludzie nazywają je „rzeźnickimi ptakami”. I stąd wziął się *Kruk Krwi*.

– Ta przepowiednia nie może mówić o niej – protestuje Musa. – A co z drugą przepowiednią? *Rzeźnik przegra i nic jej nie powstrzyma.*

– Może to się jeszcze nie wydarzyło – podpowiada Darin. – Szukamy fragmentu o Gwieździe, prawda? Czy w tych raportach jest coś o tym, czy Kruk Krwi nosi jakąś biżuterię? A może jakiś rodzaj broni?

– Ona ma... – Musa przegląda ponownie zwoje, a po chwili przekrzywia głowę i słucha. To szepcze mu do ucha jedna z jego strzyg. – Pierścień? Tak, ona ma pierścień Kruka Krwi, który dostała jesienią zeszłego roku, kiedy objęła urząd. Ma też pierścień rodu Aquilla.

– Kiedy dostała ten pierścień? – pytam.

– Nie mam pojęcia... – Musa ponownie przekrzywia głowę. – Dostała go od ojca, zanim umarł. W dzień jego śmierci.

*Krew ojca.* Musiała zbryzgać pierścień, kiedy umierał. Taki pierścień byłby oczywiście jej chlubą, ponieważ jest symbolem rodu.

– A Zwiastun Nocy? – pytam. – Był cały czas w Navium?

Znam odpowiedź, zanim Musa skinie głową.

– Widzisz, Musa? – Obracam wokół ramienia bransoletkę otrzymaną od Eliasa. – Zwiastun Nocy był w Navium, ponieważ tam cały czas znajdował się jego cel. Nie musiał nigdzie wyjeżdżać. Ona to ma. Kruk Krwi ma ostatni element Gwiazdy.

## XXX: Elias

*Banu al-Mauth.*

Kiedy włóczę się po mieście džinnów, wzywa mnie głos z daleka, jak cienka żyłka rzucona w bezkres oceanu. Ale ja wiem, czyj to głos. To Aubarit Ara-Nur. *Fakira*. Powiedziałem jej, że jeśli będzie mnie potrzebować, powinna podejść do skraju lasu i zawołać.

Nie mogę teraz do niej pójść z tym wszystkim, co już wiem. Ponieważ zrozumiałem wreszcie, dlaczego Mauth odmawia Łowcom Dusz człowieczeństwa. Człowieczeństwo to emocje. Emocje oznaczają niestabilność. Jedynym celem Mauth jest połączenie świata żywych i umarłych, a niestabilność temu zagraża.

Ta wiedza przynosi mi dziwne ukojenie. Nie wiem, jak uwolnię swoje człowieczeństwo. Nie wiem, czy potrafię. Ale wiem przynajmniej, że powinienem.

Mauth miesza. Magia unosi się nad ziemią mroczną mgiełką, wtapia się w wątle winorośle. Sięgam po nią. Magii nie jest dużo, jakby Mauth mi nie dowierzał.

Opuszczam miasto džinnów i niemal natychmiast staję naprzeciw chmary duchów tak gęstej, że ledwie co przez nią widzę.

*Banu al-Mauth. Pomóż nam.*

Nawet stąd wyczuwam w głosie Aubarit błagalny ton. Wydaje się przerażona. *Przykro mi, Aubarit. Nie mogę.*

– Cześć, mały. – Przede mną materializuje się duch. To Chucherko. Krąży w kółko bardzo pobudzona.

– Musisz tam przyjść – szepcze. – Twój ludzie gasną. Twoja rodzina. Potrzebują cię tak, jak mnie potrzebuje przytulanka. Idź do nich. Idź.

– Moja... rodzina? – Do głowy przychodzi mi komendantka, Wojanie.

– Twoja prawdziwa rodzina. Ludzie pustyni – tłumaczy Chucherko. – Bardzo cierpią.

Nie mogę do nich pójść, nie teraz. Muszę przeprowadzić dusze, w przeciwnym razie będzie ich przybywać, džinny nadal będą wykradać magię, a moje problemy jeszcze się zwiększą.

*Banu al-Mauth. Pomóż nam. Prosimy.*

Jeśli jednak plemię jest w niebezpieczeństwie, muszę przynajmniej przekonać się dlaczego. Może jakaś moja niewielka interwencja by im pomogła, a wtedy wróciłbym szybko do Lasu i zajął się swoim zadaniem.

Próbuję nie zwracać uwagi na to, że ziemia rozstępuje się za moimi plecami, duchy wrzeszczą, a drzewa pojękują. Kiedy docieram do południowej granicy, wzmacniam mur magią, żeby żaden duch go nie pokonał, i ruszam w kierunku widocznych w oddali wozów.

Po opuszczeniu Poczekalni słyszę znajomy odgłos wojańskich bębnow. Najbliższy garnizon znajduje się wiele mil stąd, ale echo jest złowieszcze nawet tutaj. Choć bębny są za daleko, żebym zdołał przetłumaczyć treść wiadomości, to długotrwałe wojańskie wyszkolenie podpowiada mi, że dzieje się coś niedobrego. I na dodatek dotyczy to Plemieńców.

Kiedy docieram do obozowiska, przekonuję się, że rozrosło się nieprawdopodobnie. Tam gdzie były tylko plemiona Nasur i Saif, teraz stoi ponad tysiąc wozów. Przypomina to *madżlis*, zgromadzenie plemienne zwoływane tylko w najdramatyczniejszych momentach.

W jednym miejscu zebrały się tysiące Plemieńców. Gdybym był wojańskim generałem starającym się zdławić rebelię i schwytać niewolników, wykorzystałbym tę wyjątkową okazję.

Na mój widok dzieci rozpierzchają się i kryją pod wozami. Czuję okropny, słodkawy smród. W pobliżu leżą na słońcu dwa końskie ścierwa, a nad nimi kłębi się rój much.

Czyżby Wojanie już zaatakowali? Niemożliwe. Gdyby tu dotarli, pojmaliby dzieci w niewolę. Na północnym krańcu obozowiska dostrzegam znajome wozy. Plemię Saif. Moja rodzina.

Podchodzę powoli, niepokojąc się, co zastanę. Kiedy od wozów dzieli mnie tylko kilka kroków, materializuje się przede mną dziwny stwór. Nie jest człowiekiem – to wiem od razu. Ale nie jest też dostatecznie przezroczysty jak na ducha. To musi być coś pomiędzy. W pierwszej chwili nie rozpoznaję go. Potem jego osobliwe, koślawe kształty stają się przerażająco znajome. To wuj Akbi, głowa plemienia Saif i starszy brat Mamie Rila. Wuj posadził mnie po raz pierwszy na grzbiecie kucyka, kiedy miałem trzy lata. Kiedy jako piątoklasista wróciłem do plemienia, płakał i tulił mnie jak własnego syna.

Upiór zbliża się do mnie, powłócząc nogami, a ja sięgam po szablę. To nie jest dusza. W takim razie co to jest?

*Eliasie Veturiusie*, dziwny półduch mojego wuja szepcze w języku sadhese. *Ona nigdy cię nie chciała. Po co jej takie płaczące blade coś? Wzięła cię tylko dlatego, że bała się złych spojrzeń. I co na nas sprowadziłeś? Tylko zło i cierpienie, śmierć i ruinę...*

Przypominam sobie. Kiedy byłem mały, bałem się, że wuj Akbi tak myśli. Chociaż nigdy tego nie powiedział.

*Chodź, zobacz, do czego doprowadziłeś.* Upiór odpływa w kierunku obozowiska plemienia Saif, gdzie na ustawionych w rzędzie posłaniach leży sześciu Plemieńców. Wszyscy wydają się martwi.

Jest wśród nich wuj Akbi.

– Nie! O nie... – Podbiegam do niego. Gdzie jest reszta plemienia Saif? Gdzie jest Mamie? Jak to się stało?

– Banu al-Mauth! – Obok mnie pojawia się Aubarit i wybucha na mój widok płaczem. – Byłam pod Lasem już dziesięć razy. Musisz nam pomóc – zawodzi. – Plemieńcy popadli w szaleństwo. Jest tu zbyt dużo...

– Co się stało?

– Dwa tygodnie temu, kiedy sobie poszedłeś, przybyło kolejne plemię. A potem następne i następne. Niektóre straciły *Fakirów*, a wszystkie miały problem z przeprowadzeniem swoich zmarłych, zupełnie taki sam jak ja z moim dziadkiem. A potem, dwa dni temu...

*Czyli wtedy, kiedy zniknąłem w Lesie.*

– Dusze zmarłych w ogóle przestały wędrować. Ciała nie umierają, a *ruh* – dusza – ich nie opuszcza. Trwają nawet ci poważnie ranni. Są... są potworni. – *Fakira* cała drży. – Dręczą swoje rodziny. Doprowadzają żywych do samobójstwa. Jednym z nich jest twój wuj. Ale przekonaj się sam, co się dzieje. Ci, którzy chcą się zabić, też nie umierają.

Z jednego z wozów wyłania się jakaś szczupła postać i rzuca mi się w ramiona. Nie poznałbym jej, gdybym nie usłyszał jej głosu, zmęczonego, ale nadal dźwięcznego.

– Mamie? – Prawie nic z niej nie zostało. Chce mi się krzyczeć na widok jej wątłych, a niegdyś silnych ramion, wymizerowanej, a niegdyś pełnej twarzy. Mamie Rila wygląda na równie zdumioną moim widokiem, jak ja jej.

– Aubarit Ara-Nasur powiedziała mi, że mieszkasz w Lesie pośród duchów – zwraca się do mnie. – Ale ja jej nie wierzyłam.

– Mamie. – Tradycja wymaga, żebym opłakiwał razem z nią wuja Akbi. Żebym dzielił z nią ból. Nie ma jednak teraz na to czasu. Ujmuję jej dłonie. Są zimniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. – Musicie się rozproszyć. Niebezpiecznie jest gromadzić wszystkie plemiona w jednym miejscu. Słyszałaś bębny? – Zdumienie na jej twarzy mówi mi, że nikt z obozowiska nie zauważył gorączkowej wymiany informacji przez Wojan.

To oznacza, że Imperium coś knuje, a Plemieńcy nie mają o tym pojęcia.

– Aubarit – zwracam się do *Fakiry*. – Muszę odnaleźć Afyę.

– Jestem tutaj, Banu al-Mauth. – Razi mnie oficjalny ton Afyi. Zbliża się do mnie, powłócząc nogami, ramiona ma opuszczone. Chcę ją zapytać o Gibrana, ale się boję. – Wieść o twoim przybyciu rozniosła się szybko.

– Wyślijcie zwiadowców wszędzie prócz Lasu – mówię. – Sądzę, że nadchodzą Wojanie. I obawiam się, że zaatakują bez pardonu. Musicie być gotowi.

Afya kręci głową i znów jest tą dawną, krnąbrną i niepokorną kobietą.

– Jak mamy być gotowi, skoro nasi zmarli nie umierają i dręczą nas ich duchy?

– Będziemy się tym martwić, kiedy się dowiemy, z czym mamy do czynienia – mówię szybko, choć nie mam pojęcia, jak może brzmieć odpowiedź. – Może się myłę i Wojanie przeprowadzają tylko ćwiczenia.



Nie myślę się i Afya o tym wie. Szybko odchodzi do swoich ludzi i zaczyna wydawać polecenia. Gibrana nie ma wśród nich.

Rozglądam się. Za dużo plemion zgromadziło się w jednym miejscu.

– Aubarit, Mamie, możecie trochę rozproszyć plemiona? Skierujcie część z nich na południe.

– Nikt się stąd nie ruszy, Eliasie. Twój wuj zwołał *madżlis*. Zanim jednak rozpoczęło się zgromadzenie, wodzowie trzech kolejnych plemion zostali opętani przez duchy. Dwóch rzuciło się do morza, a twój wuj... – W oczach Mamie pojawiają się łzy. – Każdy boi się ruszyć z miejsca. Wierzą, że w liczebności siła.

– Musisz coś zrobić, Banu al-Mauth – szepcze Aubarit. – Dusze naszych pobratymców nas niszczą. Kiedy nadejdą Wojanie, pozostanie im nas otoczyć. Już jesteśmy pokonani.

– Jeszcze nie, Aubarit. – Ściskam jej dłoń. – Jeszcze nie.

To robota przeklętego Zwiastuna Nocy. Niszcząc plemiona, wywoła jeszcze większy chaos. Niszcząc moich przyjaciół. Plemię Saif, moją rodzinę. Wiem to. Odwracam się w stronę Lasu i sięgam po *Mauth*.

Wstrzymuję się. Sięganie po magię dla ratowania życia ludzi, których kocham, jest tym właśnie, czego Mauth sobie nie życzy. „Dla nas, Eliasie, obowiązek musi stać na pierwszym miejscu, przed pożądaniem, smutkiem, samotnością. Tu nie ma miejsca na miłość”. Muszę powściągnąć emocje. Nauczyła mnie tego wizyta w mieście dzinnów. Choć sam nie wiem jak.

Wiem za to, co to znaczy być Maską. Zimną. Morderczą. Wyzutą z emocji.

– Banu... – odzywa się Aubarit.

– Cisza! – To jest mój głos, choć ostry i zimny. Poznają go. Głos Maski, którą, jak sądziłem, nigdy już nie będę.

– Eliasie! – Mamie czuje się znieważona moim zachowaniem. Nie tego mnie uczyła. Ale kiedy zwracam ku niej swoją twarz – twarz syna Keris Veturii – robi krok w tył, a potem dumnie się prostuje. Mimo tego, co się dzieje, jest *Kehanni* i nie będzie tolerować takiego braku szacunku, zwłaszcza ze strony swoich dzieci.

Ale Aubarit, być może wyczuwając burzę, myśli w mojej głowie, kładzie uspokajająco dłoń na jej nadgarstku.

*Obowiązek przede wszystkim, aż do śmierci* – zawołanie z Czarnego Klifu znów zaczyna mnie prześladować. *Obowiązek przede wszystkim*.

Wracam ponownie myślami do Mauth. Muszę powstrzymać duchy, żeby plemiona mogły je przeprowadzić. Potem mogę wrócić do Lasu do swoich obowiązków.

Tak bardzo chcę, żeby magia mi odpowiedziała. Żeby skomunikowała się ze mną. Pokierowała mną. Powiedziała, co mam robić.

Gdzieś w pobliżu kwili dziecko, jego płacz rozdziera mi serce. Powinienem do niego pójść. Sprawdzić, co się dzieje. Ale lekceważę to. Udaję, że jestem Shaevą,

zimną i nieczułą, zajmującą się tylko swoimi obowiązkami, bo jedynie one są ważne. Udaję, że jestem Maską.

Czuję, że gdzieś w głębi Lasu budzi się magia.

*Tu nie ma miejsca na miłość*, powtarzam sobie. Tymczasem magia zaczyna płynąć smużką z Lasu, ostrożnie zbliża się do Maski tkwiącej we mnie. Uzbrajam się w cierpliwość, jakiej nauczyła nas komendantka w Czarnym Klifie. Patrzę i czekam spokojnie jak drapieżnik tropiący ofiarę.

Kiedy magia ostatecznie wnika we mnie, Aubarit wybałusza oczy, bo musiała poczuć nagły przypływ energii.

Martwi mnie paradoks magii. Muszę ocalić ludzi, na których mi zależy, ale nie może mi na nich zależeć, jeśli chcę użyć magii.

*Tu nie ma miejsca na miłość*.

Nagle dzięki magii to, co było ukryte, staje się widoczne. Wszędzie dookoła kłębią się mroczne cienie, jak złośliwe guzy na umęczonym ciele. To ghule. Kopię te najbliższe. Odskakują, ale po chwili wracają. Najwięcej ich gromadzi się w pobliżu namiotów, w których Aubarit i inni *Fakirzy* umieścili chorych.

Czuję ulgę, ponieważ rozwiązanie jest takie proste. Jednocześnie jestem zły na siebie, że nie widziałem ghuli wcześniej.

– Potrzebna jest sól – zwracam się do Aubarit i Mamie. – Dotkniętych chorobą otaczają ghule i to one wstrzymują ich dusze. Rozsypcie sól wokół tych, którzy powinni być martwi. Ghule boją się soli. Kiedy rozpędzicie te głupie stworzenia na cztery wiatry, umarli przejdą na drugą stronę, a wy ponownie nawiążecie kontakt z ich duszami.

Aubarit i Mamie niemal natychmiast pędzą szukać soli i opowiedzieć swoim współplemieńcom o antidotum. Kiedy rozsypują sól wokół leżących ciał, powietrze wypełniają syki i prychnie rozwścieczonych i bezradnych ghuli, choć tylko ja słyszę te dźwięki. Obchodzę z *Fakirą* całe obozowisko. Magia wciąż mnie wypełnia, a ja upewniam się, czy ghule nie czekają gdzieś w pobliżu na moje odejście, żeby podpełznąć znowu.

Przygotowuję się do powrotu do Poczekalni, ale zatrzymuje mnie jakiś krzyk dobiegający z oddali. Tuż obok mnie Afya wstrzymuje konia.

– Wojanie sformowali legion – dyszy ciężko. – Blisko pięć tysięcy ludzi. Idą w naszą stronę. Poruszają się bardzo szybko.

*Na moce piekielne*. W chwili gdy w mojej głowie pojawia się ta myśl, wyraz niepokoju o los plemion, magia mnie opuszcza. Bez niej czuję się pusty w środku. Słaby.

– Kiedy Wojanie tu dotrą, Afyo? – *Powiedz, że dopiero za kilka dni. Powiedz, że dopiero ekwipują wojsko, przygotowują broń, szykują się do wymarszu.*

Głos Afyi drży, kiedy odpowiada.

– O świcie.



CZEŚĆ III

ANTIUM

## XXXI: Kruk Krwi

Avitas Harper i ja nie zatrzymujemy się na posiłki. Nie zatrzymujemy się na nocleg. Pijemy z manierek w czasie jazdy, a z koni zsiadamy tylko po to, by je zmienić.

Mogę uzdrowić siostrę. Potrafię. Jeśli tylko będę przy niej.

Po trzech dniach podróży docieramy do Serry, gdzie wreszcie zatrzymuję konia. Avitas zdejmuje mnie z jego grzbietu, a ja ze zmęczenia i głodu nie mam nawet siły odepchnąć jego pomocnych dłoni.

– Zostaw mnie!

– Teraz coś zjesz. – Harper też jest wściekły, oczy mu płoną, kiedy popycha mnie w stronę drzwi koszar Czarnej Gwardii. – Potem odpoczniesz. W przeciwnym razie szans nie będzie miała ani twoja siostra, ani Imperium.

– Posiłek – zgadzam się z Harperem. – I dwie godziny snu.

– Dwa posiłki – poprawia mnie Harper. – I cztery godziny snu. Chcesz czy nie.

– Nie masz rodzeństwa – pryham. – Ani nikogo, kto wiedziałby, kim jesteś. A nawet gdybyś miał, to nie byłeś świadkiem tego, jak twoja rodzina... z twojego powodu...

Oczy mi płoną. Nie pocieszaj mnie! – krzyczę w myślach do Harpera. Nawet nie próbuj.

Harper przygląda mi się uważnie, a potem odwraca się tyłem i z wściekłością rozkazuje straży przygotować posiłek i kwatery. Kiedy odwraca się z powrotem, jestem już pozbierana.

– Wolisz spać tutaj, w koszarach – pyta – czy w swoim dawnym domu?

– Moja siostra jest mi domem – odpowiadam. – Póki do niej nie dotrę, wszystko jedno, gdzie będę spała.

W pewnym momencie zasypiam. Budzą mnie w środku nocy koszmary. Jestem w swojej kwaterze, otulona kocem.

– Harper?

Wyłania się z cienia, chwilę się waha i wreszcie przyklęka przy wezglowiu łóżka. Włosy ma potargane, na twarzy nie ma maski. Kładzie ciepłą dłoń na moim ramieniu i popycha mnie z powrotem na poduszkę. Choć raz jego oczy coś wyrażają, widzę w nich troskę, zmęczenie i coś jeszcze, czego nie rozpoznaję. Czekam, aż cofnie dłoń, ale on tego nie robi.

– Śpij, Kruku. Jeszcze trochę.

\*\*\*

Dziesięć dni po opuszczeniu Serry docieramy do Antium. Jesteśmy spoceni

i brudni, a nasze konie zdyszane i spienione.

– Ona jeszcze żyje. – Uprzedzony przez strażników o naszym przybyciu Faris wita nas przy masywnej żelaznej kracie u bram miasta.

– Miałeś ją chronić. – Chwytam go za gardło, a złość dodaje mi sił. Strażnicy w bramie cofają się zaleknieni, a grupa Scholarów tynkująca okoliczny mur rozpierzcha się. – Miałeś zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Ukarz mnie, jeśli taka twoja wola – wykrztusza z siebie Faris. – Zasługuję na to. Ale najpierw idź do niej.

Odpycham go od siebie.

– Jak to się stało? – pytam.

– Trucizna – rzuca. – Wolno działająca. Bogowie tylko wiedzą, gdzie ten potwór ją zdobył. – Keris. To na pewno jej robota. Jakie to szczęście, że siedzi w więzieniu w Navium.

– Zwykle odczekujemy sześć godzin od chwili, kiedy ktoś kosztuje jej posiłek – tłumaczy Faris. – Testerów nadzorujemy osobiście ja i Rallius. Tym razem padli martwi po siedmiu godzinach. Posiłek w jej żołądku znajdował się przez godzinę. Wywołaliśmy wymioty i dlatego nie umarła natychmiast, ale...

– Dziecko?

– Żyje, jak twierdzi położna.

W pałacu panuje cisza. Faris przynajmniej nie rozgłaszał wiadomości o otruciu imperatorowej. Spodziewam się, że Marcus gdzieś tu jest, ale okazuje się, że w otoczeniu dworu przyjmuje petentów i w komnatach królewskich spodziewany jest za kilka godzin. To dobra wiadomość.

Faris zatrzymuje się przed drzwiami komnaty Liwii.

– Ona nie jest taka, jaką ją pamiętasz, Kruku.

Wchodzę do komnaty i nie zwracam uwagi na jej dwórki mające miny wyrażające szczerą rozpacz. Dlatego nienawidzę ich trochę mniej za to, że są tak bardzo żywe, podczas gdy moja siostra jest bliska śmierci.

– Wyjdźcie – rozkazuję. – Wszystkie. I nikomu ani słowa.

Wychodzą szybko, choć niechętnie, w progu oglądają się jeszcze, rzucając mojej siostrze tęskne spojrzenia. Liwia zawsze szybko znajdowała przyjaciół. Po prostu traktuje wszystkich ludzi z szacunkiem.

– Pilnuj drzwi – mówię do Harpera, kiedy ostatnia dwórka opuszcza komnatę. – Nikt nie ma prawa tu wejść. Nawet imperator. Wymyśl coś, żeby go nie wpuścić.

Avitas salutuje i zamyka za sobą starannie drzwi.

Komnata jest pełna cieni, a Liwia leży bez ruchu na łożu. Twarz ma bladą, oddech płytki. Nie widzę żadnej rany, ale czuję truciznę płynącą w jej żyłach, bezwzględного wroga pożerającego ją od środka. Fakt, że przeżyła tak długo w tak marnym stanie, jest prawdziwym cudem.

– To nie cud, Kruku Krwi. – Zza łóżka wyłania się cień okryty czernią z oczami gorejącymi jak słońce.

– Co tu robisz? – Ten przeklęty dzinn musiał wiedzieć, co wyczynia komendantka. Może nawet przyrządził dla niej odpowiednią truciznę.

– Nosisz swoje myśli na wierzchu, tak jak na wierzchu nosisz broń – mówi Zwiastun Nocy. – Komendantka nie jest tak przejrzysta. Nic nie wiedziałem o jej planach. Ale zdołałem utrzymać ją w takim stanie do twojego przyjazdu. Uzdrawienie jej należy teraz do ciebie.

– Powiedz, dlaczego mi pomagasz. – Jestem wściekła, że muszę z nim rozmawiać, zamiast zająć się od razu siostrą. – Żadnych kłamstw. Mów prawdę. Jesteś sojusznikiem Keris. Od lat. To była jej sprawka. Jaka grę prowadzisz?

Przez długą chwilę wydaje mi się, że zaprzeczy, jakoby był podwójnym agentem. Albo wścieknie się i rozerwie mnie na strzępy.

– Masz coś, czego bardzo chcę, Kruku – odpowiada wreszcie, ważąc słowa. – Coś, z czego wartości nie zdajesz sobie sprawy. Ale żeby móc tę rzecz wykorzystać, muszę otrzymać ją jako wyraz miłości. I zaufania.

– Próbujeś zdobyć moją miłość i zaufanie? Nie licz na to.

– Miłość? Nie. W każdym razie nie spodziewam się. Ale zaufanie, owszem. Pragnę twojego zaufania. Dasz mi je. Musisz. Wkrótce czeka cię próba, drogie dziecko. Wszystko, co ci drogie, spłonie, nie będziesz mogła liczyć tego dnia na przyjaciół, sojuszników, towarzyszy broni. Tego dnia zaufanie do mnie będzie twoją jedyną bronią. Ale nie mogę cię zmusić, żebyś mi zaufała. – Wycofuje się, pozwalając mi podejść do Liwii.

Patrząc kątem oka na dzinna, badam ją, wsłuchuję się w bicie serca. Czuję umysłem jej serce, ciało i krew. Zwiastun Nocy nie kłamał. Bez pomocy żadna istota ludzka nie przeżyłaby działania tej trucizny.

– Tracisz cenny czas, Kruku Krwi – odzywa się Zwiastun Nocy. – Śpiewaj.

Gdyby Zwiastun Nocy chciał mnie zranić, tak naprawdę skrzywdzić, pozwoliłby umrzeć Liwii. I zabiłby mnie.

Pieśń Liwii z łatwością płynie z moich ust. Znam tę pieśń od chwili, gdy była niemowlęciem. Trzymałam ją w ramionach, tuliłam, kochałam. Śpiewam teraz o jej sile, śpiewam o słodczy i poczuciu humoru, które są w niej mimo okropności, jakich doświadczyła. Czuję, jak jej organizm się wzmacnia, krew regeneruje.

Nagle widzę, że coś jest nie w porządku. Przenoszę uwagę z serca na brzuch. Wraca mi świadomość.

Dziecko.

On – siostra miała rację, to chłopiec – teraz śpi. Ale coś jest nie tak. Jego serce powinno bić szybko i delikatnie jak skrzydła ptaka, a jest zbyt powolne. Jego wciąż rozwijający się umysł jest zbyt ociężały.

Jaka może być pieśń tego dziecka? Nie znam go przecież. Nie wiem o nim nic

prócz tego, że jest po części Marcusem, a po części Liwią i naszą jedyną szansą na zjednoczone Imperium.

– Kim chcesz, żeby był? – pyta Zwiastun Nocy. Podskakuję nerwowo. Byłam tak zajęta uzdrawianiem, że zapomniałam o jego obecności. – Wojownikiem? Przywódcą? Dyplomatą? Jest w nim *ruh*, jego dusza, ale jeszcze się nie uformowała. Jeśli chcesz, żeby żył, musisz ukształtować go z tego, co się w niej znajduje – jego krwi, jego rodziny. Wiedz jednak, że czyniąc tak, na zawsze zwiążesz się z nim i z postawionym mu celem. Nigdy nie zdołasz się z tych więzów wyswobodzić.

– On jest moją rodziną – szepczę. – To mój siostrzeniec. Nie chciałabym się od niego uwalniać.

Zaczynam nucić w poszukiwaniu jego pieśni. Czy chcę, żeby był taki jak ja? Jak Elias? Na pewno nie jak Marcus.

Chcę, żeby był Aquillą. I Wojaninem. Więc wyśpiewuję mu Liwię, jej łagodność i wesołość. Wyśpiewuję mu upór, roztropność i rozwagę mojego ojca. Mądrość i inteligencję mojej matki. I żywiołowość Hanny.

Z cech jego ojca wyśpiewuję mu tylko siłę i umiejętność walki. Czegoś jednak brakuje. Czuję to. To dziecko pewnego dnia zostanie imperatorem. Potrzebuje czegoś głęboko zakorzenionego, czegoś, co przetrwa na zawsze – miłości swojego ludu.

Ta myśl pojawia się w mojej głowie nagle, ale jakby była tam zawsze. Dlatego wyśpiewuję mu własną miłość, miłość, jaką poznałam na ulicach Navium, w walce o swój lud, w ich walce o moje życie. Miłość, którą poznałam w szpitalu, uzdrawiając dzieci i mówiąc im, żeby się nie bały.

Serce dziecka zaczyna znowu bić odpowiednim rytmem, jego ciało się wzmacnia. Czuję, jak zaczyna kopać moją siostrę i z ulgą się wycofuję.

– Dobra robota, Kruku – odzywa się Zwiastun Nocy. – Ona teraz będzie spała. I ty też powinnaś, jeśli nie chcesz, żeby uzdrawianie nadwerżyło twoje siły. Trzymaj się z dala od wszelkich rannych ludzi. Twoja moc powróci. Będzie chciała być wysłuchana, wykorzystana, ujawniona. Musisz się jej przeciwstawić, w przeciwnym razie zniszczy cię.

Wypowiadając te ostatnie słowa, znika, a ja przenoszę wzrok na Liwię. Śpi spokojnie, na jej twarzy ponownie pojawia się rumieniec. Niepewnie sięgam dłonią do jej brzucha, świadoma rodzącego się tam życia. Czuję kopnięcie.

Chcę odezwać się do dziecka, kiedy nagle słyszę szelest zasłony za łóżem. Odruchowo sięgam po młot na plecach. Z korytarza łączącego komnaty Marcusa i Liwii dochodzi jakiś dźwięk. Nie sprawdziłam tych drzwi. *Kruku, jaka jesteś głupia!*

Chwilę później zza kotary wyłania się uśmiechnięty imperator Marcus.

*Może nie widział, jak uzdrawiam Liwię. Może nic nie wie. To trwało tylko kilka minut. Nie mógł obserwować nas cały czas. Zwiastun Nocy zobaczyłby go, wyczuł w jakiś sposób.*

Ale zaraz potem przypominam sobie, że Marcus nauczył się od Zwiastuna Nocy,



jak nie dopuszczać do swoich myśli augurów. Być może dzinnów też nie dopuszcza.

– Miałaś swoje sekrety, Kruku – odzywa się Marcus, a słowa te rozwiewają wszelkie nadzieje, że udało mi się utrzymać magiczne umiejętności w tajemnicy. – Wiesz przecież, że nie lubię sekretów.

## XXXII: Laia

---

To musiał być Kruk Krwi. To nie będzie żaden dworzaniec czy przygłupi stajenny, któremu mogłabym bez problemu ściągnąć pierścień z palca.

– Jak mam go jej zabrać? – Przechadzam się po dziedzińcu na tyłach kuźni. Jest środek nocy, Taure i Zella są w obozie uchodźców i starają się pomóc Scholarom pozostawionym swojemu losowi przez Morzan.

– Nawet jeśli będę niewidzialna – mówię do Musy – to pierścień wciąż będzie na jej palcu. Przecież ona jest Maską. A jeśli będzie z nią Zwiastun Nocy, to nie wiem, czy moja niewidzialność w ogóle zadziała. Dotarcie do Navium zajmie dwa miesiące. A Święto Księżyca ma nastąpić już za siedem tygodni.

– Jej nie ma już w Navium – odpowiada Musa. – Pojechała do Antium. Możemy zlecić przejęcie pierścienia komuś, kto już jest w stolicy. Znam tam wielu ludzi.

– Raczej stwory – włącza się Darin. – A jeśli oni...

Skrzekliwy świergot przerywa gwałtownie naszą rozmowę.

– Nie tkną żadnej części Gwiazdy – deklaruje Musa po wysłuchaniu wiadomości. – Za bardzo boją się Zwiastuna Nocy.

– Na wszelki wypadek przeczytaj to ponownie. – Podtykam mu księgę pod nos. – *Tylko Duch może przeciwstawić się rzezi. Kiedy potomek Lwicy upomni się o chlubę Rzeźnika, zniknie.* To ja jestem potomkiem mojej matki, Muso. Sam mnie odnalazłeś. Ja jestem Duchem. Znasz kogoś jeszcze, kto potrafi zniknąć?

– Skoro ty jesteś Duchem – odzywa się Musa – to o co chodzi z tym upadaniem? I ciałem, które szczeźnie? A może źle zapamiętałam przepowiednie Shaevy?

Nie zapomniałam. *Duch upadnie, jego ciało szczeźnie.*

– One nie mają znaczenia – odpowiadam. – Narazisz na niebezpieczeństwo losy świata, próbując odgadnąć znaczenie przepowiedni?

– Może nie chcę narażać ciebie, *aapan* – mówi Musa. – W obozie dla uchodźców dzieją się straszne rzeczy. Prawie dziesięć tysięcy ludzi jest bez dachu nad głową, a kolejny tysiąc odniósł rany. Jesteś nam potrzebna w charakterze głosu wszystkich Scholarów. Jesteś nam potrzebna w charakterze miecza i tarczy. A będziesz tym bardziej potrzebna, jeśli Zwiastunowi Nocy się powiedzie. Jeśli dasz się zabić, nie będzie z ciebie pożytku.

– Od samego początku wiedziałeś, że to jest rodzaj umowy – mówię. – Ty pomożesz mnie odnaleźć ostatni fragment Gwiazdy i pokonać Zwiastuna Nocy, a ja potem zostanę przywódcą ruchu oporu na północy. I jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to Zwiastunowi Nocy nie ma prawa się powieść.

– Wojanie nie zaprzestaną ataków. Może nie od razu, ale w najbliższej przyszłości. Komendantka już próbowała przejąć wojańską flotę, a także flotę Karkaunów. Nie udało jej się, ale wiadomo, że potrzebowała tych okrętów, żeby zaatakować Morzan.

Wolne Kraje muszą szykować się do wojny. A Scholarzy potrzebują silnego głosu, który przemówi w ich imieniu, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

– To nie będzie miało znaczenia, kiedy wszyscy będziemy martwi.

– Spójrz na siebie. – Musa kręci głową z dezaprobatą. – Sprawiasz wrażenie, jakbyś już szykowała się do drogi do Antium.

– Święto Księżycy za niecałe sześć tygodni, Muso. Nie mam czasu.

– Co proponujesz? – pyta Darin. – Laia ma rację. Nie mamy czasu.

– Twoja twarz jest znana w Imperium. Zwiastun Nocy potrafi czytać w twoich myślach, a twoja niewidzialność nie działa, kiedy on jest w pobliżu. Będziesz w Antium potrzebowała wsparcia ludzi, którzy znają miasto i Wojan. Mogę takich zapewnić. Skontaktują cię z Krukiem Krwi. I nikt nie będzie czytał w twoich myślach.

– A w waszych?

– Moi ludzie... hm... mój człowiek potrafi trzymać takich na dystans. Jego umysł jest jak stalowa pułapka, a przy tym jest cichy i bystry jak zjawia. Ale...

– Żadnego ale – przerywam mu. – Zrobię, co chcesz, ale dopiero po powrocie.

– Jeszcze cię o nic nie prosiłem, Laio.

– Coś mi mówi, że się do tego przymierzasz – zauważa cicho Darin.

– Faktycznie. – Musa wstaje. – Chodźcie ze mną. Wy tłumaczę wszystko po drodze. Ale... – mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów z wyrazem niesmaku – najpierw powinnaś pójść do łaźni.

– Dokąd idziemy? – W mojej głowie rodzi się niejasne podejrzenie.

– Do pałacu. Porozmawiać z królem.

\*\*\*

Cztery godziny później moszczę się obok Musy w wyściełanym fotelu w pałacowym przedpokoju, czekając na audiencję u człowieka, z którym nie mam ochoty się spotykać.

– To fatalny pomysł – szepczę do Musy. – Nie mamy poparcia uchodźców, Scholarów z Adisy czy bojowników ruchu oporu...

– Wybierasz się do Antium, żeby zapolować na dżinna – odpowiada Musa. – Chcę, żebyś porozmawiała z królem, zanim zginiesz.

– To, że znał moją matkę, nie oznacza, że mnie wysłucha. Ty żyjesz tu od urodzenia. Tobie łatwiej będzie przekonać króla, żeby pomógł Scholarom. Król na pewno cię zna, w przeciwnym razie nie zgodziłby się na tę audiencję.

– Ta audiencja jest możliwa tylko dlatego, że król jest przekonany, iż przyjmuje na niej sławną córkę swojej przyjaciółki. Zapamiętaj, musisz go przekonać, że Scholarzy potrzebują pomocy, a zagrożeniem są Wojanie. O Zwiastunie Nocy nie ma potrzeby wspominać.

– Rozumiem. – *Powtarzasz mi to chyba po raz dziesiąty*, mam ochotę dodać.

Chwytam dekolt sukni i odsłaniam literę K wypaloną na mojej skórze przez komendantkę. Kreacja, jaką Musa dla mnie wyszukał, jest obcisła od góry i rozkloszowana od pasa. Na turkusowobłękitnym tle widać delikatną siateczkę koloru morskiej zieleni. Dół i górę zdobią kwiaty wyszywane złotą nitką i maleńkie szmaragdy. Siateczka u dołu sukni przybiera granatową barwę. Na nogach mam pantofle z miękkiej płowej skóry, подарowane mi przez Taure. Włosy związałam w kok, a skórę wyszorowałam tak mocno, że wciąż jeszcze mnie piecze.

Zerkam na swoje odbicie w lustrzanej ścianie pałacowego przedsionka i szybko odwracam wzrok. Chciałabym, żeby Elias mógł mnie teraz zobaczyć. Żeby był obok mnie zamiast Musy, elegancko ubrany.

– Przestań się wiercić, *aapan* – wyrывa mnie z zadumy Musa. – Pognieciesz sukienkę. – Ma na sobie śnieżnobiałą koszulę i długą, dopasowaną marynarkę ze złotymi guzikami. Jego włosy, zwykle zaczesane do tyłu, opadają teraz gęstymi, ciemnymi falami na ramiona. Niejedna osoba ogląda się za nami, kiedy idziemy z kapitan Eleibą pałacowymi korytarzami. Niektórzy dworzanie próbują nawet do nas podejść, ale Eleiba ich odgania.

– Nie zdołam tego zrobić, Muso. – Nie mogę usiedzieć spokojnie w miejscu i zaczynam się przechadzać po przedpokoju. – Mówiłeś, że będziemy mieli tylko jedną szansę, żeby przekonać króla do udzielenia nam pomocy. Że od tego zależy przyszłość naszego ludu. Nie jestem taka jak moja matka. Nie jestem odpowiednią osobą...

Za drzwiami rozlega się odgłos kroków, otwierają się drzwi do sali audiencji. W progu czeka kapitan Eleiba.

– Powodzenia. – Musa robi krok w tył. Dopiero teraz widzę, że nie zamierza ze mną wchodzić.

– Ty też idziesz!

– Laia z Serry – obwieszcza kapitan Eleiba donośnym głosem – córka Mirry i Jahana z Serry. – Obrzuca Musę lodowatym spojrzeniem. – I Musa z Adisy, księżę małżonek jej wysokości księżniczki Nikli z Adisy.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że muszę głupio wyglądać z rozdziawionymi ustami. Musa kręci głową.

– Nie jestem tu mile widziany, Eleibo...

– W takim razie trzeba było nie przychodzić – rzuca pani kapitan. – Król czeka.

Musa trzyma się kilka kroków za mną, więc nie mogę mu nawet posłać gniewnego spojrzenia. Wchodzę do sali audiencji i niemal natychmiast przytłacza mnie widok strzelistej, wysadzanej kamieniami szlachetnymi kopuły, posadzki z macicy perłowej i hebanowego drewna oraz kolumn z różowego kwarcu. W jednej chwili czuję się jak wieśniaczka.

W północnej części pomieszczenia czeka starszy mężczyzna, jak przypuszczam

król Irmand, w towarzystwie znacznie młodszej kobiety. To księżniczka Nikla. Trony, na których zasiadają, wykonano z sezonowanego drewna i ozdobiono wizerunkami ryb, delfinów, wielorybów oraz krabów.

W sali nie ma nikogo prócz królewskiej rodziny i straży. Eleiba staje za tronem króla i nerwowo uderza palcem o udo.

Król sprawia wrażenie skurczonego, dawniej rosłego mężczyzny, który zbyt gwałtownie się postarzał. Nikla wydaje się przy tym wątłym mężczyźnie potężna, choć nie jest już tak skromnie ubrana jak wtedy w więziennej celi. Ma bogato zdobioną suknię podobną do mojej, a ciemne włosy ułożone w wyszukaną fryzurę przypominającą falę rozbijającą się o skalisty brzeg.

Na widok gniewu na jej twarzy zaczynają mi się plątać nogi i gorączkowo szukam drogi ucieczki. Żałuję jednocześnie, że nie mam przy sobie broni.

Ale księżniczka tylko patrzy na mnie wilkiem. Nie jest na szczęście otoczona przez ghule, choć kilka tych stworów czai się w cieniach sali tronowej.

– Ach, pojawił się mój niesforny zięć. – Niski głos starca przeczy jego wątłej posturze. – Brakowało mi twojego poczucia humoru, chłopcze.

– A mnie twojego, Wasza Wysokość. – Musa mówi to z dużą dozą serdeczności i ostentacyjnie omija wzrokiem Eleibę.

– Laio z Serry. – Księżniczka ignoruje swojego męża. – Witaj w Adisie. Od dawna pragnęliśmy cię poznać.

*Chciałaś powiedzieć, że od dawna pragnęłaś mnie zabić, więdźmo.* Wyraz irytacji musi się wyraźnie malować na mojej twarzy, bo Musa rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie, a następnie gnie się w ukłonie. Z ociąganiem idę w jego ślady. Zmarszczki wokół ust Nikli się pogłębiają.

*O bogowie. Jak mam przemawiać do króla? Jestem nikiem. Jak mam go do czegokolwiek przekonać?*

Król gestem każe nam się wyprostować.

– Znałem twoich rodziców, Laio z Serry – mówi król. – Masz urodę swojego ojca. Był przystojny jak dzinn. Tylko żaru w nim nie było. W przeciwieństwie do Lwicy. – Irmand przygląda mi się z zainteresowaniem. – No dobrze, córko Mirry, czy masz jakieś życzenie? Ze względu na twoją zmarłą matkę, która przez długie lata była moją przyjaciółką i sojusznikiem, wysłucham cię.

Księżniczka Nikla z trudem tłumy grymas, słysząc słowa „przyjaciółka” i „sojusznik”, i tylko błyszcza jej oczy. A we mnie narasta gniew na myśl o tym, co mówiła o mojej matce. Kiedy przypomnę sobie, co dzieci w mieście mówiły na temat Lwicy. Nikla świdruje mnie wzrokiem. Za jej plecami przemyka między kolumnami z różowego kwarcu coś ciemnego i podejrzanego – ghul.

Na wspomnienie mroku, z którym musimy się zmierzyć, krzyżuję ramiona na piersi i patrzę królowi prosto w oczy. Nie jestem nikiem. Jestem Laią z Serry i w tej chwili jedynym głosem mojego ludu.

– Scholarzy cierpią niezasłużenie, Wasza Wysokość – odzywam się. – A ty możesz to powstrzymać.

Opowiadam mu o pożarze w obozie dla uchodźców. O wszystkich zabitych Scholarach. O wojnie, jaką toczy z moim ludem Imperium, o zbrodniach komendantki, potwornościach więzienia Kauf. A potem, choć Musa ostrzegwał mnie, by tego nie robić, wspominam o Zwiastunie Nocy. W tej chwili jestem *Kehanni*. Muszę zrobić wszystko, żeby mi uwierzyli.

Nie ośmielam się spojrzeć na Musę, dopóki nie skończę. Kątem oka widzę jednak, że ma zaciśnięte pięści i wzrok utkwiony w Nikli. Staram się kierować całą swoją uwagę na króla. Nie zauważyłam, że ghule wyłaniają się z cienia i gromadzą wokół księżniczki. Nie zauważyłam, że wieszają się na niej jak pijawki.

Musa wygląda, jakby przypatrywał się powolnym torturom, którym poddawana jest kochana przez niego osoba.

– Pomóż Scholarom, Wasza Miłość – zwracam się do króla. – Oni cierpią, choć nie muszą. I szykuj swoje wojska. Niezależnie od tego, czy Zwiastun Nocy przybędzie czy nie, musisz...

– Ja muszę? – Starzec marszczy czoło. – *Ja muszę?*

– Tak – odpowiadam śmiało. – Jeśli chcesz, żeby twój lud przeżył, musisz szykować się do wojny.

Nikla robi krok w moją stronę i kładzie dłoń na rękojeści broni, ale w porę się hamuje.

– Nie słuchaj jej, ojcze. Ona jest nikim. Zwyczajną dziewczynką opowiadającą bzdury.

– Nie lekceważ mnie. – Teraz ja robię krok naprzód i atmosfera gęstnieje. Eleiba sięga po broń, twarze strażników tężeją, Musa błaga szeptem, żebym się uspokoiła. – Jestem córką Lwicy. Zniszczyłam Czarny Klif. Ocaliłam życie Eliasowi Veturiusowi. Przeżyłam ataki komendantki Keris Veturii. Przeżyłam zdradę ruchu oporu i Zwiastuna Nocy. Przewędrowałam całe Imperium i wdarłam się do więzienia Kauf. Ocaliłam brata i setki innych Scholarów. Nie jestem nikim. Jeśli nie przygotujesz się do wojny, Wasza Wysokość, a Zwiastun Nocy uwolni dzinny, wszyscy zginiemy.

– A jak mamy się szykować do wojny, Laio z Serry, nie posiadając serrańskiej stali? – pyta księżniczka Nikla. – Wiemy, że twój brat żyje. Musa bez wątplenia ukrył go i teraz twój brat robi broń dla waszego ruchu oporu.

– Darin z Serry pragnie wykuć broń dla Morzan – wchodzi jej w słowo Musa, a ja zastanawiam się, kiedy rozmawiał na ten temat z Darinem. – A także nauczyć tej sztuki morzańskich kowali. O ile Scholarzy dostaną tyle samo broni i Darin wyszkoli tylu samo scholarskich kowali. A także o ile Scholarzy, którzy stracili swoje domostwa, otrzymają tymczasowe zakwaterowanie w mieście oraz zatrudnienie.

– Łgarstwa – syczy Nikla. – Ojcze, oni próbują cię zwieść. Chodzi im wyłącznie o uzbrojenie ruchu oporu.

Mam ochotę jej odpowiedzieć, jednak postanawiam ją zignorować. To króla muszę przekonać, nie ją.

– Wasza Wysokość, to jest dobra oferta. Lepszej nikt ci nie złoży. Wojanie nie zamierzają ci pomóc, a jak inaczej zdobędziesz serrańską stal?

Król przygląda mi się uważnie, ale z jego oczu znikają iskierki rozbawienia.

– To grubiaństwo, Laio z Serry, mówić królowi, co ma robić.

– Nie jestem grubiańska – odpowiadam. – Tylko zdesperowana, kiedy widzę cierpienie mojego ludu.

– Słyszę w twoich słowach prawdę, dziewczyno. A mimo to... – Król spogląda na córkę. Kiedy nie ma wokół niej ghuli, wygląda dostojnie, nawet pięknie, ale teraz jest wściekła i bezlitosna, ma pobladłe usta i błyszczące oczy.

Starzec kręci głową.

– Być może to, co mówisz, jest prawdą, ale jeśli uzbroimy się w serrańską stal, przygotujemy naszą flotę i siły obrony, Wojanie wypowiedzą nam wojnę, oskarżając nas o planowanie ataku.

– Wojanie są w ciągłej gotowości bojowej – tłumaczę. – Nie mogą zaatakować cię dlatego, że zrobisz to samo.

– Och, dziecko. – W westchnieniu słyhać, ile ma lat. – Zdajesz sobie sprawę, jaką ekwilibrystkę musieli uprawiać przez ostatnie pięćset lat Morzanie, mając za sąsiada Imperium? Wiesz, jak skomplikował sytuację napływ Scholarów do naszego kraju? Jestem stary, wkrótce umrę. Co pozostawię swojej córce? Dziesiątki tysięcy uchodźców. Spaloną Wielką Bibliotekę. Podzielony naród, gdzie połowa opowiada się za pomocą Scholarom, a druga połowa ma dość pomagania im od pięciuset lat. I ja mam szykować armię? Wierzyć na słowo dziewczynie, która nielegalnie produkuje broń?

– Pomóż przynajmniej Scholarom z obozu dla uchodźców – mówię. – Oni...

– Dostaną nowe namioty. W swoim czasie. To wszystko, co możemy zrobić.

– Ojciec – odzywa się Nikla. – Żądam, żeby tę dziewczynę i jej brata, który bez wątpienia ukrywa się gdzieś w mieście, zamknąć w więzieniu.

– Nie – odpowiada król Irmand i choć jego słowa brzmią władczo, to z niepokojem obserwuję, jak trzęsą mu się ręce. Już niedługo to jego córka zostanie królową.

– Jeśli będziemy ich trzymać w areszcie, córko, damy Wojanom pretekst do kwestionowania naszej woli utrzymania pokoju. Są przecież ścigani w Imperium, prawda?

– Panie – odzywam się. – Posłuchaj, proszę. Przyjaźniłeś się z moją matką, ufałeś jej. Proszę, zaufaj teraz mnie.

– Było dla mnie zaszczytem poznać córkę Mirry. Twoją matkę i mnie różniło wiele, słyszałem też przez lata wiele haniebnych plotek na jej temat. Ale serce miała dobre. Tego jestem pewien. Ze względu na naszą przyjaźń daję tobie i twojemu bratu

dwa dni na opuszczenie miasta. Kapitan Eleiba dopilnuje waszych przygotowań i wyjazdu. A ty Muso – król kręci głową – nie wracaj tu więcej.

Król wyciąga rękę do kapitan Eleiby, która chwyta ją i pomaga mu wstać.

– Dopilnuj, żeby Laia z Serry i jej brat znaleźli drogę do portu, kapitanie. Ja muszę zająć się rządzeniem.



## XXXIII: Kruk Krwi

---

Nie mogę cieszyć się z tego, że ocalałam Liwię i w ten sposób pokrzyżowałam plany komendantki. Marcus wie już, co potrafię, i choć nie mówił o tym dużo, to jest tylko kwestią czasu, kiedy wykorzysta tę wiedzę przeciwko mnie.

Gorsze jest to, że kilka dni po przyjeździe do Antium dotarła do mnie wiadomość, iż Keris zdołała odzyskać wolność.

– Głowy ilustriańskich rodów znalazły jakiś cholerny kruczek prawny. – Marcus krąży po swoim gabinecie, rozgniatając butami szczątki stołu, który rozbił w drobny mak w ataku furii. – Ponoć głowa rodu nie może być więziona dłużej niż tydzień bez zgody dwóch trzecich pozostałych patrycjuszy.

– Przecież ona nie jest głową rodu Veturia.

– Była, kiedy wtrącałaś ją do więzienia – odpowiada Marcus. – Najwidoczniej to się liczy.

– Pozwoliła zginąć tysiącom ludzi w Navium.

– Jesteś głupia! – wrzeszczy Marcus. – Navium jest wiele setek mil stąd. Tamtejsi ilustrianie i merkatorzy nie mogą nam pomóc. Nie potrafili nawet utrzymać jej pod kluczem. Jej sprzymierzeńcy w Antium już rozpowszechniają jakąś dziwną historię, że w Navium zachowywała się wspaniale. Powinienem pościnać im głowy. –

Przekrzywia głowę i mamrocze: – Wiem, wiem, zetniesz jedną, a w jej miejsce pojawi się tuzin innych.

Na moce piekielne. On znowu rozmawia z duchem swojego brata. Czekam, aż przestanie, a ponieważ tego nie robi, wycofuję się niepostrzeżenie i cicho zamykam za sobą drzwi. Tam już czeka na mnie zniecierpliwiony Harper.

– Keris będzie tu za nieco ponad dwa tygodnie – informuję go, kiedy wychodzimy wprost pod pałac południowe słońce. – I po czasie spędzonym w celi będzie jeszcze niebezpieczniejsza. – Zerkam przez ramię na pałac. – Marcus spędza coraz więcej czasu na rozmowach z duchem swojego brata. Kiedy Keris tu się pojawi, postara się to wykorzystać. Wyślij wiadomość do Dexa. – Mój przyjaciel został w Navium, gdzie miał dopilnować odbudowy zniszczonych dzielnic miasta. – Napisz, żeby miał na nią oko. Napisz też, że potrzebuję go tutaj jak najszybciej.

Godzinę później Harper wchodzi do mojego gabinetu i zabieramy się do pracy.

– Plebejusze są nieufni wobec Keris po tym, co wydarzyło się w Navium – mówię. – Teraz musimy zachwiać zaufaniem, jakim darzą ją ilustrianie.

– Trzeba zająć się jej osobą – podpowiada Avitas. – Większość ilustrian to ludzie z uprzedzeniami klasowymi. Żaden z jej sojuszników nie wie, że ojciec Eliasa był plebejuszem. Trzeba to rozgłosić.

– To nie wystarczy – studzę jego zapał. – To dawne dzieje, a Eliasa już nie ma. Ale... Czego o niej nie wiemy? Jakie ma tajemnice? Ten jej tatuaż... Wspominała

w ogóle o nim, kiedy z nią współpracowałeś?

– Wiem jedynie, że po raz pierwszy zauważono go u niej dwadzieścia lat temu, jakiś rok po tym, jak zostawiła Eliasa na pustyni. Stacjonowała wtedy w Delphinium.

– Ja widziałam kawałek tego tatuażu w Navium – mówię. – Tylko trzy litery: ZAW. Atrament różnił się kolorem. Nie wszystkie trzy litery powstały jednocześnie. Może to inicjały?

– To nie są inicjały. – Oczy Avitasa błyszczą, wreszcie zrozumiał. – To hasło jej rodu: Zawsze zwycięscy.

*Oczywiście.*

– Przejrzyj rejestry zgonów w Delphinium – mówię do Harpera. – W Imperium nie ma zbyt wielu tatuażystów. Sprawdź, czy któryś mieszkający w okolicach Delphinium nie zmarł w tamtym czasie. Przy robieniu tatuażu musiała się obnażyć i kogoś, kto widział ją naga, nie zostawiłaby żywego.

Tok myślenia przerywa mi pukanie do drzwi. W progu staje plebejuszowski kapral i salutuje.

– Kapral Favrus z raportami z garnizonów melduje. – Nie doczekawszy się z mojej strony żadnej reakcji, mówi dalej: – W ubiegłym miesiącu zażądałaś raportów ze wszystkich garnizonów na północy, Kruku Krwi.

Teraz sobie przypominam. Karkaunowie w okolicach Tiborum byli zbyt spokojni i chciałam wiedzieć, czy czegoś nie knują.

– Zaczekaj na zewnątrz, kapralu.

– Ja zajmę się tymi raportami – deklaruje się Avitas. – Do ciebie czeka kolejka ludzi z ważniejszymi informacjami dotyczącymi wrogów i sojuszników Marcusa, a poza tym dobrze byłoby się pojawić na dziedzińcu i trochę potrenować. Weź swój młot i przypomnij ludziom, kim jesteś.

Mam ochotę powiedzieć mu, że jestem zbyt zmęczona, ale przypominam sobie, co pewnego razu powiedział Quin Veturius Eliasowi: „Kiedy jesteś słaby, spójrz na pole bitwy. W bitwie odnajdziesz siłę. W bitwie odnajdziesz moc”.

– Dam sobie radę z raportami i małym treningiem – odpowiadam. – Kiedy pojawi się tu, będzie dużo trudniej.

Avitas wychodzi i chwilę później Favrus zaczyna mi trąkotać na temat Karkaunów.

– Większość wycofała się w góry, Kruku. Doszło do kilku potyczek, ale to nic nadzwyczajnego. Tiborum meldowało o kilku mało znaczących rajdach na przedmieścia.

– Szczegóły. – Słucham go jednym uchem, myśląc o dziesiątkach innych spraw wymagających mojej uwagi.

Kapral milczy. Podnoszę głowę i dostrzegam jego niespokojne spojrzenie. Szybko ucieka wzrokiem i zaczyna podawać suche fakty: liczba ofiar, intensywność potyczek.

– Kapralu Favrusie. – Przywykłam do bardziej szczegółowych raportów. – Czy możesz mi powiedzieć, które manewry obronne okazały się skuteczne, a które zakończyły się niepowodzeniem? Albo które klany Karkaunów atakowały?

– Nie przypuszczałem, że to ma znaczenie, Kruku. Dowódcy garnizonów mówili, że potyczki nie miały znaczenia.

– Wszystko, co dotyczy naszych wrogów, ma znaczenie. – Nie chciałabym oddawać go w ręce centurionów, ale w końcu jest Maską i należy do Czarnej Gwardii. Powinien wiedzieć, jak postępować. – To, czego nie wiemy o Karkaunach, może spowodować naszą klęskę. Sądziłyśmy, że siedzą sobie przy ogniskach i praktykują jakieś heretyckie obrzędy, a tymczasem głód i wojny z południem skłoniły ich do zbudowania potężnej floty, która zniszczyła nasz największy port.

– Oczywiście, Kruku – mówi pobladły nagle Favrus. – Zdobędę szczegóły tych potyczek.

Wygląda na to, że kapral chce już wyjść, ale instynkt podpowiada mi coś innego. Coś dziwnego się dzieje, a ja zbyt długo jestem Maską, by lekceważyć takie sygnały.

Kiedy mu się przyglądam, kapral stoi nieruchomo z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i tylko z czoła płynie mu strużka potu. Ciekawe, bo w moim gabinecie wcale nie jest ciepło.

– Odmaszerować. – Odprawiam kaprala, udając, że nie zauważyłam jego zdenerwowania. Myślę o tym, w drodze na plac treningowy. Kiedy docieram na miejsce, rozstępują się obecni tam członkowie Czarnej Gwardii. Wymachując młotem, rzucam wyzwanie, które podejmuje Maska z rodu Rallia, a ja na chwilę zapominam o kapralu Favrusie.

Dawno nie trenowałam. Zdążyłam już zapomnieć, jak widok przeciwnika oczyszcza umysł. Zapomniałam, jak miło jest walczyć z kimś, kto walczyć potrafi. Z Maską wyszkoloną w Czarnym Klifie. Pokonuję ilustriańskiego przeciwnika błyskawicznie, a moje zwycięstwo zostaje nagrodzone aplauzem widzów. Godzinę później mężczyźni obserwujących zmagania jest więcej, a po dwóch godzinach nie ma już chętnych do walki ze mną.

Nadal jednak nie znalazłam odpowiedzi w sprawie kaprala Favrusa. Wciąż się zastanawiam, kiedy przez dziedziniec przechodzi żołnierz o nazwisku Alistar. Jest jednym z przyjaciół Harpera, plebejuszem służącym tu, w Antium, od dziesięciu lat. To dobry człowiek i zdaniem Dexa godny zaufania.

– Alistar. – Kapitan podbiega do mnie zaciekawiony. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z nim osobiście. – Czy znasz kaprala Favrusa?

– Oczywiście, Kruku. Jest nowy w Czarnej Gwardii. Został przeniesiony z Serry. Spokojny. Trzyma się na uboczu.

– Obserwuj go. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Ważny może być każdy szczegół. Zwróć szczególną uwagę na jego związki z północnymi garnizonami. Wspominał o potyczkach z Karkaunami, ale... – Kręcę niespokojnie głową. – Jest coś, czego mi nie mówi.

Alistar odchodzi, a ja odszukuję teczkę kaprala Favrusa z czasów poprzedniego Kruka Krwi. Zastanawia mnie fakt, że jest to najbardziej nijaki żołnierz, jaki kiedykolwiek trafił do Czarnej Gwardii. Nagle drzwi mojego gabinetu otwierają się z hukiem i do środka wpada pobladły Silvio Rallius.

– Kruku Krwi! – woła od progu. – Proszę, musisz pójść do pałacu. Imperator... miał jakiś atak w sali tronowej. Zaczął krzyczeć do kogoś, kogo nikt inny nie widział. A potem pobiegł do komnat imperatorowej.

*Liwia!* Rozgorączkowana biegnę do pałacu. Pod drzwiami jej komnaty chodzi tam i z powrotem zdenerwowany i wściekły Faris.

– Jest w środku – melduje mi, krztusząc się. – Kruku, on nie jest zdrowy na umyśle. On...

– Zdrada, poruczniku Candelan – warczę. Na bogów, czy on nie zdaje sobie sprawy, ile mogą kosztować takie słowa? Przecież są tu inni strażnicy, którzy przekażą je wrogom Marcusa. Są scholarscy niewolnicy, którzy mogą być na usługach komendantki. I co stanie się wtedy z Liwią? – Wszyscy Imperatorzy czasem stają się... zbyt emocjonalni. Nie wiesz, jaki to ciężar nosić koronę. I nigdy tego nie zrozumiesz. – Plotę bzdury, ale Kruk Krwi musi stanąć murem za Imperatorem.

Przynajmniej do czasu, kiedy go zabije.

Wchodzę do komnaty i natychmiast uderza mnie cierpienie Liwii. Jestem świadoma jej bólu, czuję go. Czuję też równomierne, szybkie bicie serca jej dziecka, błogo nieświadomego obecności potwora siedzącego obok jego matki.

Moja siostra ma pobladłą twarz, jej jedna dłoń spoczywa na brzuchu. Marcus siedzi rozwalony w krześle obok i gładzi jej drugą rękę jak czuły kochanek.

Spostrzegam od razu, że ramię Liwii nie wygląda dobrze. Jest wygięte pod dziwnym kątem. Marcus musiał je złamać.

– Uzdrów ją, Kruku Krwi. – Imperator podnosi na mnie wzrok. – Chcę zobaczyć, jak to robisz.

Nie chce mi się nawet zastanawiać nad tym, jak bardzo nienawidzę tego człowieka. Szybko zaczynam śpiewać pieśń Liwii, bo nie mogę dłużej znieść jej bólu. Kości zrastają się, znów są mocne.

– Interesujące – odzywa się głucho Marcus. – Na ciebie też to działa? – pyta. – Gdybym na przykład zabrał ci twój młot i roztrzaskał ci nim kolano, to potrafiłabyś się uzdrowić?

– Nie – kłamię gładko, choć w środku skręca mnie ze złości i obrzydzenia. – To na mnie nie działa.

Marcus przekrzywia głowę.

– Ale jeśli roztrzaskam jej kolano – wskazuje Liwię – to uzdrowisz ją pieśnią?

Patrzę na niego z przerażeniem.

– Odpowiedz, Kruku, bo złamię jej drugą rękę.

– Tak – odpowiadam. – Tak, mogę ją uzdrowić. Ale ona jest matką twojego dziecka...

– Jest ilustriańską kurwą, którą sprzedałaś mi w zamian za swoje nędzne życie – wypluwa z siebie Marcus. – Jedyne pożytek z niej taki, że nosi mojego potomka. Ale kiedy mój syn się urodzi, wyrzucę ją... – Jego twarz blednie z piorunującą szybkością. Ni to ryczy, ni wrzeszczy, palce przypominają teraz szpony. Zerkam na drzwi w nadziei, że słysząc te odgłosy, do środka wpadnie Rallius i Faris.

Ale drzwi się nie otwierają. Gwardziści mają pewnie nadzieję, że to tylko ja wywołałam ten atak złości.

– Dość! – woła teraz, ale nie do mnie i nie do Liwii. – Chciałeś tego. Kazałeś mi to zrobić. Ty... – Marcus łapie się za głowę, a z jego gardła dobywa się zwierzęcy jęk. – Uzdrow ją. – Chwyta moją dłoń, prawie miażdżąc mi przy tym palce, i kładzie ją na swoim czole. – Uzdrow moją głowę!

– Ja nie...

– Uzdrow ją albo przysięgam na bogów, że kiedy przyjdzie czas, wytnę jej dziecko z brzucha. – Chwyta moją lewą dłoń i przyciska do boku swojej głowy, zatapiając boleśnie palce w moim nadgarstku. – Uzdrow mnie!

– Usiądź. – Nigdy wcześniej nie pragnęłam tak bardzo zabić drugiego człowieka. Rodzi mi się w głowie pytanie, czy moje zdolności mogą też zabijać. Czy mogłabym mu pokieroszować kości pieśnią? Zatrzymać serce?

O bogowie, nie mam pojęcia, jak się uzdrawia załamane go mężczyznę. Jak się leczy halucynacje? Czy to jego jedyne dolegliwości? A może cierpi na coś poważniejszego? Czy to tkwi w jego sercu, czy w umyśle?

Jedyne, co mogę zrobić, to poszukać jego pieśni. Najpierw badam serce, ale jest silne i zdrowe, będzie biło jeszcze wiele lat. Okrażam jego umysł i w końcu wnikam do niego. To jest jak chodzenie po zatrutym bagnie. Ciemność. Ból. Wściekłość. I głęboka, trwała pustka. Przypomina mi się Kucharka, tyle że ten mrok jest inny, bardziej poraniony.

Staram się ukoić te elementy myśli, które wywołują wściekłość, ale bez skutku. Dostrzegam coś dziwnie znajomego: chuda sylwetka, żółte oczy, ciemna skóra, czarne włosy, smutna twarz. *Taki mógłby być, gdyby zrobił, o co go prosiłam.* Zachariusz?

Słyszę jakieś szepty, ale nie jestem pewna, kto mówi. O bogowie, w co ja się wpakowałam. Pomóżcie mi, krzyczę w myślach, choć sama nie wiem, do kogo. Pewnie do ojca. Do matki. *Nie wiem, co robić.*

– Przestań!

To rozkaz, nie prośba, i nawet Marcus obraca głowę na te słowa. Ponieważ tego głosu nie można zlekceważyć, nie może go zlekceważyć nawet władca wojańskiego Imperium.

Pośrodku sali stoi Zwiastun Nocy. Okna nie są otwarte. Drzwi również nie. Przerazony wyraz twarzy Liwii mówi mi, że ona też jest zaskoczona nieoczekiwaną

obecnością dżinna.

– Ona nie może cię uzdrowić, imperatorze – odzywa się niskim, budzącym grozę głosem. – Nie cierpisz na żadną chorobę. Duch twojego brata jest prawdziwy. Nie da ci spokoju, póki nie podporządkujesz się jego woli.

– Ty... – Po raz pierwszy od wielu lat twarz Marcusa wyraża coś więcej niż tylko złośliwość i nienawiść. Sprawia wrażenie udręczonego. – Wiedziałeś. Zak powiedział mi, że widział przyszłość w twoich oczach. Spójrz na mnie, niech i ja zobaczę swój koniec.

– Nie pokażę ci twojego końca – odpowiada Zwiastun Nocy. – Pokażę ci najmroczniejsze chwile z twojej przyszłości. Twój brat widział swoje. Ty wkrótce zmierzysz się ze swoimi, imperatorze. Daj spokój Krukowi. Daj spokój imperatorowej. Zatrósz się o swoje imperium, w przeciwnym razie śmierć brata pójdzie na marne.

Marcus chwiejnym krokiem oddala się od Zwiastuna Nocy i zmierza ku drzwiom. Rzucił mi spojrzenie tak nienawistne, iż wiem, że jeszcze się ze mną policzy, a potem, potykając się o próg, wychodzi.

Obracam się w stronę Zwiastuna Nocy. Wciąż jeszcze drzę po tym, co zobaczyłam w umyśle Marcusa. Zadaję sobie to samo pytanie, co wcześniej: Jaką prowadzisz grę? Nie muszę go wypowiadać głośno.

– To nie gra, Kruku Krwi – odpowiada dżinn. – Przeciwnie. Przekonasz się.

## XXXIV: Elias

---

Do pojawienia się Wojan pozostało dwanaście godzin. Dwanaście godzin na przygotowanie kilku tysięcy Plemieńców, którzy są zupełnie niegotowi do prowadzenia walki. Dwanaście godzin na znalezienie bezpiecznego schronienia dla dzieci i rannych.

Gdyby było dokąd uciekać, prosiłbym Plemieńców, żeby wiali stąd jak najszybciej. Ale na wschodzie jest morze, a na północy Las. Natomiast Wojanie nadciągają z południa i zachodu.

Mauth ciągnie mnie do siebie z każdą minutą coraz boleśniej. Wiem, że muszę wracać do Lasu. Ale jeśli czegoś nie zrobię, tysiące Plemieńców zostaną zmasakrowane. W Poczekalni pojawi się jeszcze więcej dusz. I co ja wtedy pocznę?

Widać wyraźnie, że plemiona zamierzają walczyć. Zalदारowie, którzy zachowali zdrowy rozsądek, szykują konie i broń. Ale to nie wystarczy. Chociaż mamy przewagę liczebną, to Wojanie przewyższają nas umiejętnościami. Pułapki z zatrutymi strzałami to jedno. Ale zmierzyć się z armią na polu bitwy, kiedy nasi ludzie od wielu dni nie spali i nie odżywiali się odpowiednio...?

– Banu al-Mauth. – Głos Afyi jest silniejszy niż jeszcze godzinę temu. – Sól działa. Wciąż jest jeszcze wielu zmarłych, którymi musimy się zająć, ale dusze zostały uwolnione i już nie dręczą swoich rodzin.

– Za to mamy teraz mnóstwo trupów. – Za plecami Afyi pojawia się Mamie, pobladła i zmęczona. – Musimy je pochować zgodnie z rytuałem.

– Rozmawiałam z pozostałymi Zalдарami – odzywa się Afya. – Możemy zebrać łącznie tysiąc koni...

– Nie musicie – uspokajam ją. – Ja się tym zajmę.

– Użyjesz... magii? – Zalдara patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Niekoniecznie. – Zastanawiam się. Mam większość potrzebnych rzeczy, ale jest coś, co ułatwiłoby mi zadanie. – Afyo, masz jeszcze trochę tych strzał, których używałaś podczas napadów na duchowozy?

Mamie i Afya wymieniają spojrzenia, potem matka podchodzi do mnie na tyle blisko, żebym ją usłyszał. Chwyta moje dłonie.

– Co planujesz, synu?

Może powinienem jej powiedzieć. Ale starałaby się odwieść mnie od tego, wiem, że tak by postąpiła. Kocha mnie, a miłość zaślepia.

– Wolałabyś nie wiedzieć. – Oswobadzam się, nie śmiąc spojrzeć jej w oczy.

Kiedy opuszczam obozowisko, Mauth przywołuje mnie z taką mocą, że pewnie za chwilę ściągnie mnie siłą, tak jak ostatnio, kiedy dzinny przeniosły mnie do Lai.

Pierwszy raz zabiłem, mając jedenaście lat. Potem przez kilka dni widziałem twarz swojego przeciwnika. Słyszałem jego głos. A potem zabiłem znów. I znów, i znów.

Zbyt szybko przestałem widzieć ich twarze. Przestałem się zastanawiać, jak mieli na imię i kogo zostawili. Zabijałem, bo takie dostawałem rozkazy, a kiedy już uwolniłem się od Czarnego Klifu, zabijałem, bo musiałem, żeby samemu przeżyć.

Dawniej wiedziałem dokładnie, ilu ludzi pozbawiłem życia. Teraz już nie pamiętam. Gdzieś w trakcie się nauczyłem, żeby nie zaprzętać sobie tym głowy. I muszę się tego trzymać.

Kiedy się nad tym zastanawiam, moje więzy z Mauth się rozluźniają. Nie wyposaża mnie w magię, ale pozwala bezboleśnie kontynuować podróż.

Wojańska armia zatrzymuje się na skraju płaskowyżu przed obozowiskiem. Jej ciemne namioty kontrastują z jasną pustynią, a ogniska wyglądają jak gwiazdy na niebie w ciepłą noc. Po półgodzinie cierplivej obserwacji dostrzegam wreszcie namiot dowódcy, a po kolejnym kwadransie mam gotowy plan wdarcia się do ich obozu i ucieczki. Moja twarz jest znana, ale większość tamtych ludzi żywi przekonanie, że nie żyję. Nie będą się mnie spodziewać i to mi daje przewagę.

Przestrzeń między namiotami zasnuwają cienie, a ja pozwalam się im otulać, gdy przekradam się przez obóz. Namiot dowódcy znajduje się w samym środku, ale żołnierze stawiali go w pośpiechu i zamiast zostawić wolną przestrzeń wokół niego, sąsiaduje bezpośrednio z innymi namiotami. Dotarcie do niego nie będzie proste, ale też nie niemożliwe.

Kiedy zbliżam się do namiotu ze strzałami gotowymi do użycia, jakiś wewnętrzny głos zaczyna gwałtownie protestować.

„Poznasz smak zwycięstwa albo poznasz dotyk śmierci”. Słyszę szept komendantki w swoim uchu, stare wspomnienie. „Nie ma nic innego”. Zawsze tak jest, zanim zabiję. Nawet kiedy walczyłem z Maską, żeby Laia mogła uwolnić więźniów z duchowozu, nawet wtedy toczyłem tę wewnętrzną walkę. Nawet wtedy wahanie zbierało swoje żniwo. Moi wrogowie umrą, zabierając ze sobą częśćkę mnie.

*Pole bitwy jest moją świątynią.*

Zbliżam się do namiotu i dostrzegam fałdę niewidoczną dla nikogo znajdującego się w środku. Powoli rozcinam tkaninę. Pięć Masek, w tym dowódca, siedzi przy stole, spożywając posiłek i dyskutując na temat nadchodzącego starcia.

Nie spodziewają się mnie, ale są przecież Maskami. Będę musiał działać szybko, zanim podniosą alarm. A to oznacza, że muszę ich wyeliminować strzałami otrzymanymi od Afyi.

*Czubek miecza jest moim kapłanem.*

Muszę to zrobić. Muszę tę armię pozbawić głowy. Dzięki temu Plemieńcy będą mieli szansę uciec. Te Maski zabiłyby mój lud, moją rodzinę. Zrobiliby z nich niewolników, biliby ich i w końcu pozbawili życia.

*Taniec śmierci jest moją modlitwą.*

Ale choć wiem, do czego są zdolne Maski, nie chcę zabijać. Nie chcę przynależeć do tego świata krwi, przemocy, zemsty. Nie chcę być Maską.



Moje życzenia się nie liczą. Ci ludzie muszą umrzeć. Plemiona muszą zostać  
obronione. Muszę zapomnieć o swoim człowieczeństwie. Wkraczam do namiotu.

I uwalniam tkwiącą we mnie Maskę.

## XXXV: Kruk Krwi

---

Tydzień po napaści Marcusa na Liwię Harper wychodzi w końcu z Archiwum, w którym spędzał każdą wolną chwilę od czasu, gdy powierzyłam mu misję specjalną.

– Archiwiści byli przygotowywani do przeprowadzki – raportuje. – Świadectwa urodzeń i drzewa genealogiczne wszędzie leżą w nieładzie. Scholarscy niewolnicy starają się to jakoś uporządkować, ale ponieważ nie potrafią czytać, robią jeszcze większy bałagan.

Kładzie na moim biurku stertę aktów zgonu i pada na krzesło naprzeciwko mnie.

– Miałaś rację. W ciągu ostatnich dwudziestu lat dziesięciu tatuażystów zmarło śmiercią nienaturalną w pobliżu miast, gdzie stacjonowała komendantka. Jeden całkiem niedawno, niedaleko Antium. Pozostali pochodzili z różnych stron, od ziem Plemieńców po Delphinium. Ale znalazłem coś jeszcze.

Wręcza mi listę z nazwiskami. Jest ich trzynaście, wszystkie ilustriańskie, wszystkie ze znanych rodów. Rozpoznaję dwa – ci zostali znaleźieni martwi całkiem niedawno, tutaj, w Antium. Pamiętam, że czytałam o nich kilka tygodni temu, w dniu, kiedy Marcus wysłał mnie do Navium. Jeszcze jedno nazwisko zwraca moją uwagę.

– Daemon Cassius – odczytuję na głos. – Skąd znam to nazwisko?

– Został zamordowany w ubiegłym roku w Serze przez bojowników ruchu oporu. Zdarzyło się to kilka tygodni przed zabójstwem tatuażysty z Serry. Każdy z tych ilustrian został zabity tuż przed nagłą śmiercią miejscowego tatuażysty. W różnych miastach. Na różne sposoby. I wszyscy byli Maskami.

– Już sobie przypominam – wchodzi mi w słowo. – Cassius został zamordowany w swoim domu. Żona znalazła go w zamkniętym pokoju. Elias i ja braliśmy udział w Próbach, kiedy to się stało. Ciekawe, jak grupka Scholarów zdołała zabić Maskę.

– Titus Rufius – czyta Harper. – Zginął przypadkowo podczas polowania dziewięć lat temu w wieku trzydziestu dwóch lat. Iustin Sergius, otruty w wieku dwudziestu pięciu lat, prawdopodobnie przez scholarskiego niewolnika, który przyznał się do zbrodni szesnaście lat temu. Caius Sissellius miał trzydzieści osiem lat. Utonął w rodzinnym majątku w rzece, w której pływał, zanim nauczył się chodzić. To zdarzyło się trzy lata temu.

– Zwróć uwagę, Avitasie, na ich wiek. – Przyglądam się uważnie liście. – I na to, że wszyscy byli Maskami. To oznacza, że wszyscy kończyli jej akademię. Ona ich знаła.

– Wszyscy zmarli przedwcześnie, wielu nienaturalną śmiercią. Ale dlaczego? Dlaczego ich zabiła?

– Musieli w jakiś sposób wejść jej w drogę. Keris zawsze była ambitna. Może dostawali przydziały, które ona chciała dostać, albo w jakiś inny sposób psuli jej szyki. Albo... och...

Przypominam sobie, co mówił Quin o Ariusie Harperze: „Został zabity przez grupę Masek, kolegów Keris, dzień po ukończeniu przez nich akademii. To było bestialstwo. Tamtych było więcej niż tuzin i zatłukli go na śmierć. Wszyscy byli ilustrianami”.

– Nie zginęli dlatego, że weszli jej w drogę. – Streszczam Harperowi, co powiedział mi Quin. – To była zemsta. Ariusa Harpera zatłukli na śmierć. – Podnoszę wzrok znad zwoju. Ciekawe, czy jego ojciec też miał zielone oczy. – Twojego ojca.

Avitas długą chwilę milczy.

– Ja... nie wiedziałem, jak umarł.

*Niech to ognie piekielne.*

– Przepraszam – wyrzucam z siebie szybko. – Myślałam... O bogowie, Avitasie.

– Nieważne. – Okno mojego gabinetu nagle wydaje mu się bardzo interesujące. – Odszedł tyle lat temu. Jakie ma znaczenie, że został zabity? Komendantka nie należy do osób sentymentalnych.

Jestem zaskoczona, jak szybko przechodzi nad tym do porządku dziennego, i zastanawiam się, czy powinnam go ponownie przeprosić albo powiedzieć, że jeśli nie chce, żeby okoliczności śmierci jego ojca zostały upublicznione, to ja to zrozumieć. Szybko jednak dociera do mnie, że Avitas chce, żebym to ja przeszła nad tym do porządku dziennego. Żebym była Krukiem Krwi.

– Tu nie chodzi o sentyment – staram się mówić z przekonaniem, choć mam wątpliwości. W końcu komendantka wzięła Avitasa pod swoje skrzydła, na tyle, na ile ktoś jej pokroju mógł się zdobyć. – Tylko o siłę. Ona go kochała. Oni go zabili. Odebrali jej siły. Zabijając ich, odzyskuje dawną moc.

– Jak możemy to wykorzystać przeciwko niej?

– Przekażemy te informacje głowom rodów – tłumaczę. – Dowiedzą się o tatuażu, o zmarłych tatuażystach, Ariusie Harperze, zamordowanych ilustrianach.

– Potrzebujemy dowodów.

– Mamy dowody. – Wskazuję akty zgonu. – Wystarczy spojrzeć. Jeśli przekażemy te dokumenty tylko kilku zaufanym patrycjuszom, reszta nie będzie chciała nawet rzucić na nie okiem. Zobacz, jak poradziła sobie z tym, co stało się w Navium. Nie miało znaczenia, że kłamie. Liczyło się tylko to, że ludzie jej uwierzyli.

– Powinniśmy zacząć od Sisselliusa i Rufiusa – odzywa się Harper. – To jej najbardziej zaufani stronnicy. Pozostali im uwierzą.

Przez kolejne trzy dni rozsiewamy z Harperem plotki. I wtedy, kiedy jestem na dworze i słucham, jak Marcus spiera się z posłem Plemieńców...

– Ilustrianie z jej rocznika! Plebejusza! Możecie sobie wyobrazić?

– Nie ma dowodów.

– Nie ma ich dość, żeby ją uwięzić, ale Sissellius widział akty zgonu. Powiązania są oczywiste. Wiecie przecież, jak ten człowiek brzydzi się bezpodstawnymi

plotkami. Poza tym dowód znajduje się na jej ciele, ten plugawy tatuaż...

Po kilku dniach czuję zmieniającą się atmosferę. Widzę, jak patrycjusze zaczynają dystansować się od Keris. Niektórzy wręcz stają w opozycji do niej. Kiedy komendantka wróci do Antium, przekona się, że miasto wita ją mniej przychylnie, niż się spodziewa.

\*\*\*

Kapitan Alistar wysłał mi wiadomość, że ma jakieś informacje, tego samego dnia, kiedy Dex wraca do Antium. W związku z tym przywołuję obu do siebie, na plac treningowy.

– Keris będzie tu za tydzień.

Dex pojawia się prosto z drogi, uwalany błotem i wykończony podróżą. Mimo to staje do walki ze mną i zsuwa hełm tak nisko, że nie mogę czytać z ruchu jego warg. Ledwie go słyszę w głośnym szczękaniu broni i okrzykach szkolących się mężczyzn.

– Ona wie, że to ty rozpowszechniłaś prawdę na temat jej tatuażu i wszystkich morderstw. Wysłała za tobą dwóch zabójców. Zlikwidowałem ich, zanim tu dotarli, ale bogowie tylko wiedzą, co jeszcze wymyśli, kiedy tu się pojawi.

– Czy jedzie prosto do Antium?

– Zatrzymała się w Roost – odpowiada Dex. – Śledziłem ją, ale mało brakowało, żeby jej ludzie mnie pojмали. Wtedy postanowiłem wracać bezpośrednio tutaj. Sprawdzę jeszcze, co mówią moi szpiedzy. – Dex patrzy mi przez ramię i marszczy brwi.

Przy wejściu do koszar zbiera się gromadka żołnierzy Czarnej Gwardii. W pierwszej chwili myślę, że wybuchły walki. Biegnę do nich z młotem w rękę.

– Sprowadźcie lekarza! – woła jeden z żołnierzy.

– To nie ma sensu. Jad węża karka...

Otoczają ciasnym pierścieniem jednego ze strażników wymiotującego czarną żółcią. Poznają go od razu, to kapitan Alistar.

– Na moce piekielne! – Pochylam się nad chorym. – Sprowadźcie z koszar lekarza! Szybko!

Niestety, było już za późno. Czarna żółć, czerwone cętki wokół nosa i uszu. To jad węża karka. Nie ma szans na ratunek.

Przez tłum przeciska się Harper i przykłęka obok mnie.

– Co się stało, Kruku?

– Nic... – Alistar chwyta mnie za poły munduru i przyciąga do siebie. – Nic, żadnych ataków, nic – rzezi ledwo słyszalnie. – Kruku, nigdzie ich nie ma...

Jego chwyty słabnie i pada martwy na ziemię.

– Rozejść się – rozkazuję zebranim. Mężczyźni odchodzą powoli, pozostają tylko

Dex i Harper, patrzący z przerażeniem na ciało żołnierza.

Pochyliam się i wyszarpuję z zaciśniętej dłoni Alistara plik papierów. Spodziewam się znaleźć w nich informacje na temat kaprala Favrusa. Tymczasem są to meldunki z garnizonów na północy przesyłane przez dowódców.

– Karkaunowie zniknęli. – Harper czytający mi przez ramię wydaje się równie zaskoczony jak ja. – W okolicach Tiborum nie było żadnych ataków. Od miesiąca na północy nic się nie działo. Kapral Favrus kłamał. Karkaunowie są spokojni.

– Karkaunowie nigdy nie są spokojni – odpowiadam. – W zeszłym roku o tej porze podbijali terytoria Dzikusów. Zatrzymaliśmy ich w Tiborum. Zatrzymaliśmy ich w Navium. Stracili flotę. Na południu cierpią głód, a czarownik podburza ich i nawołuje do walki. Na dobrą sprawę powinni nękać wszystkie wioski stąd aż do morza.

– Spójrz na to, Kruku. – Harper przeszukał kieszenie Alistara i wręcza mi kolejny zwój. – Musiał to znaleźć w rzeczach Favrusa. Tekst jest zaszyfrowany.

– Złamcie ten szyfr – mówię. Dzieje się coś złego, bardzo złego. – I znajdźcie Favrusa. Śmierć Alistara nie była przypadkowa. Kapral musiał w tym maczać palce. Wyślijcie wiadomości do północnych garnizonów. Niech wyślą zwiadowców i sprawdzą, co się dzieje z okolicznymi klanami Karkaunów. Chcę wiedzieć, gdzie są i co robią. Na odpowiedź czekam do zapadnięcia zmroku. Jeśli ci dranie szykują atak na Tiborum, miasto może upaść. Może już jest za późno. Dex...

Mój stary przyjaciel wzdycha, bo wie już, że za chwilę ruszy w drogę.

– Pojedziesz na północ – mówię. – Skontroluj przełęcz wokół Nevenes. Karkaunowie mogą przemieszczać się w stronę Delphinium. Nie będą mieli dość ludzi, żeby utrzymać miasto, ale byliby głupcami, gdyby nie spróbowali.

– Jak tylko się czegoś dowiem, prześlę raport bębni.

Przed zachodem słońca docierają informacje z najbardziej wysuniętych na zachód garnizonów. Karkaunowie porzucili swoje obozowiska na zachodzie. Ich jaskinie są puste, zwierzęta hodowlane zniknęły, nieliczne pola uprawne i ogrody leżą odłogiem. Nie mogą planować ataku na Tiborum.

To oznacza, że gromadzą siły gdzie indziej. Ale gdzie? I w jakim celu?

## XXXVI: Laia

Musa nie zamierza się tłumaczyć, kiedy opuszczamy pałac, a o jego zdenerwowaniu świadczy tylko szybki krok.

– Przepraszam... – Szturcham go w żebra, kiedy mknie nieznanymi mi wcześniej ulicami. – Wasza Wysokość...

– Nie teraz – burczy.

Chciałabym mu zadać mnóstwo pytań, ale w tej chwili mamy na głowie większy problem – jak pozbyć się kapitan Eleiby. Eleiba zamieniła kilka słów z królem, potem wyprowadziła nas z sali tronowej, a teraz idzie krok w krok za nami. Kiedy Musa wkracza do dzielnicy gęsto zabudowanej, ja przygotowuję się do przybrania niewidzialności, ponieważ spodziewam się, że zaatakuje naszą opiekunkę. Tymczasem on zatrzymuje się na środku ulicy.

– I co teraz? – pyta.

Eleiba odchrząkuje i zwraca się do mnie.

– Jego Królewska Mość, król Irmand, dziękuje ci za ostrzeżenia, Laio, i pragnie cię zapewnić, że nie będzie tolerował wtrącania się istot nadprzyrodzonych w sprawy jego królestwa. Król przyjmuje ofertę Darina z Serry wyprodukowania broni i deklaruje, że zapewni schronienie Scholarom w mieście do czasu znalezienia dla nich stałych mieszkań. Pragnie również przekazać ci to. – Eleiba kładzie mi na dłoni srebrny sygnet ozdobiony trójzębem. – Jeśli pokażesz go jakiemukolwiek Morzaninowi, będzie dla niego zaszczytem pomóc ci.

– Wiedziałem, że go przekonasz. – Musa się uśmiecha.

– Ale przecież księżniczka...

– Król Irmand rządzi od sześćdziesięciu lat – odzywa się Eleiba. – A księżniczka Nikla... nie zawsze była taka jak teraz. Król nie ma innego potomka i nie chce podważać jej znaczenia, otwarcie się z nią nie zgadzając. Mimo to wie, co jest najlepsze dla jego ludu.

Zdobywam się tylko na skinienie głową.

– Powodzenia, Laio z Serry – mówi cicho Eleiba. – Może się jeszcze spotkamy.

– Przygotujcie miasto do obrony – mówię i nagle tracę odwagę. Eleiba unosi idealnie łukowate brwi, a ja czuję się jak idiotka, dając rady kobiecie dwadzieścia lat ode mnie starszej i dużo mądrzejszej. – Jesteś kapitanem gwardii. Masz władzę. Proszę, zrób, co tylko możesz. A jeśli masz przyjaciół gdzieś w Wolnym Kraju, poproś ich, żeby uczynili to samo.

Kiedy Eleiba znika nam z oczu, Musa odpowiada na niezadane przeze mnie pytanie.

– Dziesięć lat temu Nikla i ja pobraliśmy się potajemnie. Byliśmy wtedy niewiele starsi od ciebie, ale znacznie głępsi. Ona miała starszego brata, który miał zostać

w przyszłości królem. Ale kiedy umarł, ona została następczynią tronu i wtedy się rozstaliśmy.

Krzywię się, słysząc jego niedbały ton. Dziesięć lat swojego życia opisał w czterech zdaniach.

– Nie wspominałem o tym wcześniej, bo nie miało to znaczenia. Jesteśmy od lat w separacji. To ona zabrała mi ziemię, tytuły, majątek...

– I serce.

Chrapliwy śmiech Musy odbija się echem od kamiennych ścian budynków po obu stronach ulicy.

– To też – mówi w końcu. – Powinnaś się przebrać i spakować rzeczy. Pożegnaj się z Darinem. Spotkamy się przy wschodniej bramie. Przyniosę zapasy żywności i najświeższe informacje.

Musi wiedzieć, że chcę go jakoś pocieszyć, bo szybko znika w mroku. Pół godziny później zaplatam włosy w gruby warkocz i zostawiam suknię w kuźni. Darin siedzi z Taure i Zellą na podwórku i rozpała ogień, podczas gdy kobiety oblepiają gliną ostrze miecza.

Kiedy się pojawia, podnosi wzrok, dostrzega moją spakowaną torbę.

– Będę gotowy za godzinę – mówi po wysłuchaniu mojej opowieści o audiencji u króla. – Ale lepiej powiedz Musie, że za dwie godziny.

– Scholarzy potrzebują cię, Darinie. I Morzanie też.

Darin sztywnieje.

– Zgodziłem się robić broń dla Morzan, zanim zdałem sobie sprawę, że wkrótce wyjeżdżasz. Oni mogą zaczekać. Nie zostaną tutaj.

– Musisz – odpowiadam. – A ja muszę powstrzymać Zwiastuna Nocy. Jeśli mi się nie uda, nasz lud musi być gotowy do walki. Jaki jest sens, żebyśmy wszyscy cierpieli, skoro nie damy naszym ludziom szansy zwycięstwa w walce?

– Gdzie ty idziesz, idę i ja – szepcze Darin. – Tak sobie obiecaliśmy.

– Czy ta obietnica jest warta więcej od przyszłości naszego ludu?

– Mówisz jak matka.

– A ty mówisz, jakby to było coś złego.

– Bo to jest złe. Ona postawiła ruch oporu, swój lud ponad wszystko: ponad męża, dzieci, siebie samą. Gdybyś wiedziała...

– Gdybym co wiedziała?

– Nic. – Darin wzdycha ciężko.

– Nie – protestuję. – Już raz tak zrobiłeś. Wiem, że matka nie była ideałem. Słyszałam... plotki. Ale nie była taka, jaką przedstawia ją księżniczka Nikla. Nie była potworem.

Darin rzuca swój fartuch na kowadło i zaczyna pakować narzędzia, uparcie

odmawiając rozmowy o matce.

– Będziesz potrzebowała kogoś, kto cię ochroni. Afyi i Eliasa tu nie ma. Kto zrobi to lepiej niż rodzony brat?

– Słyszałeś, co mówił Musa. Ma kogoś, kto mi pomoże.

– A wiesz, kto to? Podał ci jego nazwisko? Skąd wiesz, że będziesz mogła mu zaufać?

– Nie wiem, ale ufam Musie.

– Dlaczego? Słabo go znasz, tak jak słabo znałaś Keenana, to znaczy Zwiastuna Nocy. Jak słabo znałaś Mazena...

– Myliłam się co do nich – przyznaję. Tłumię wzbierający we mnie gniew. – Ale nie sądzę, żebym myliła się co do Musy. Jest irytujący, działa mi na nerwy, ale jest szczerzy. Poza tym oboje dysponujemy magią. Nie ma nikogo innego, z kim mogłabym choćby o tym porozmawiać.

– Możesz porozmawiać ze mną.

– Po wydarzeniach w Kauf trudno mi było z tobą rozmawiać o śniadaniu, a co dopiero o magii. – Nienawidzę tego. Nienawidzę kłócić się z nim. Mam ochotę się poddać. Zgodzić się, żeby poszedł ze mną. Nie czułabym się tak samotna i nie bałabym się tak bardzo.

*Nie liczy się twój strach ani twoja samotność, Laio. Liczy się tylko ocalenie Scholarów.*

– Jeśli coś mi się stanie, kto będzie głosem Scholarów? Kto zna prawdziwe plany Zwiastuna Nocy? Kto zadba, żeby Morzanie się przygotowali?

– Na bogów, Laio, przestań. – Darin nigdy nie podnosił głosu i teraz zupełnie mnie zaskoczył. – Idę z tobą. Koniec kropka.

Wzdycham, ponieważ miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie, choć podejrzewałam, iż może coś takiego się zdarzyć. Mój brat jest uparty. Teraz rozumiem, dlaczego Elias zostawił kartkę kilka miesięcy temu, kiedy miał zniknąć, zamiast się pożegnać. Nie dlatego że mu nie zależało. Przeciwnie, dlatego że za bardzo mu zależało.

– Ja po prostu zniknę – tłumaczę mu. – Nie będziesz mógł mnie wysledzić.

– Nie zrobisz tego. – Darin patrzy na mnie z niedowierzaniem i niesmakiem.

– Zrobię, jeśli to może powstrzymać cię przed łożeniem za mną.

– Oczekujesz, że tak łatwo się z tym pogodzę? – pyta Darin. – Będę patrzył, jak stąd odchodzisz, wiedząc, że jedyny członek rodziny, jaki mi pozostał, znów zamierza ryzykować życie?

– Mocne słowa! A co ty robiłeś, gdy przez tyle miesięcy spotykałeś się ze Spirem? Powinieneś to doskonale rozumieć, Darinie. – Złość bierze mnie we władanie, każde słowo jest jak trujący jad sączący się z moich ust. *Nie mów tak, Laio. Nie mów.* Ale ja nie mogę się powstrzymać. – Najechali nas z twojego powodu. Babcia i dziadek



zginęli przez ciebie. Trafiłam do Czarnego Klifu ze względu na ciebie. – Odsłaniam dekolt, pokazując wypaloną przez komendantkę literę K. – To też mam z twojego powodu. Przewędrowałam pół świata, straciłam jedną z prawdziwych przyjaciółek i widziałam, jak mężczyzna, którego kocham, został uwięziony w jakimś piekielnym podziemnym świecie – wszystko to z twojego powodu. Więc nie mów mi o ryzyku. Nawet nie próbuj mi tego tłumaczyć.

Sama nie wiem, jak długo powstrzymywałam się przed tym, żeby to wykrzyknąć. Teraz nie mogę się powstrzymać, słowa same płyną mi z ust.

– Zostaniesz tutaj – odzywam się tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Będziesz robił broń. Dasz nam szansę na zwycięstwo. Jesteś to winien babci i dziadkowi, Izzi i Eliasowi, i mnie. Nie myśl, że o tym zapomnę!

Darin stoi z rozdziawioną gębą, a ja zatrzymuję za sobą drzwi kuźni. Wściekłość prowadzi mnie w stronę miasta, a kiedy jestem w połowie drogi do zachodniej bramy, obok mnie pojawia się Musa.

– Spektakularny bój. – Podbiega ukradkiem jak duch i zrównuje się ze mną. – Nie sądzisz, że powinnaś go przeprosić, zanim opuścisz miasto? Byłaś dość szorstka.

– Musisz wszystko podsłuchiwać?

– Nic na to nie poradzę, że strzygi są takimi plotkarami. – Wzrusza ramionami. – Choć miło było słyszeć, jak w końcu głośno przyznałaś, co czujesz do Eliasa. Nigdy wcześniej o nim nie mówiłaś.

– Elias to nie twój interes. – Czuję, jak płoną mi policzki.

– Tak, bo pozwolił ci dotrzymać słowa, *aapan* – mówi Musa. – Zaprowadzę cię do twojego wierzchowca. W jukach znajdziesz mapy i zapas żywności. Zaznaczyłem na mapie drogę prowadzącą prosto na zachód, przez góry. Powinnaś dotrzeć do Lasu Zmierzchu za nieco ponad trzy tygodnie. Mój człowiek spotka się z tobą po drugiej stronie i poprowadzi cię do Antium.

Docieramy do bramy zachodniej w chwili, kiedy dzwony na wieży wybijają północ. Wraz z ostatnim uderzeniem dzwonów rozlega się cichy świst. Sztylet wyciągany z pochwy. Sięgam po broń i jednocześnie czuję, że coś przelatuje koło mojego ucha.

Słyszę pełen wściekłości świergot i czuję pchnięcie małych dłoni. Padam na ziemię, pociągając za sobą Musę, i w tej samej chwili nad naszymi głowami przelatuje strzała. Po chwili z mroku nadlatują następne, ale wszystkie chybiają celu, spadają bezużytecznie na ziemię dzięki strzygom Musy.

– Nikło! – woła wściekły Musa. – Pokaż się!

Cień porusza się i z mroku wyłania się księżniczka. Spogląda na nas złowrogo, jej twarz jest ledwie widoczna, tyle ghuli ją obsiadło.

– Powinnaś się domyślić, że zdrajczyni Eleiba puści was wolno – wyrzuca z siebie. – Jeszcze za to zapłaci.

Słysząc kolejne kroki. To żołnierze Nikli otaczają Musę i mnie. Musa powoli

przesuwa się i staje pomiędzy Niklą a mną.

– Posłuchaj głosu rozsądku – odzywa się. – Oboje wiemy...

– Nie odzywaj się do mnie! – wrzeszczy księżniczka, a ghule radośnie jej przyklaskują. – Miałaś swoją szansę.

– Kiedy ją popchnę – szepcze ledwo słyszalnie Musa – uciekaj.

Zastanawiam się nad jego słowami, a tymczasem on już mnie mija i podbiega do Nikli. Z cienia wyłaniają się strażnicy w srebrnych zbrojach i nacierają na Musę z niezwykłą szybkością.

Nie mogę pozwolić, żeby go pojmali. Bogowie tylko wiedzą, co mogliby mu zrobić. Jeśli jednak zrobię krzywdę któremuś z tych Morzan, król Irmand zwróci się przeciwko nam. Sięgam po sztylet, ale czyjaś ręka chwytą mnie za nadgarstek i powstrzymuje.

– Idź, siostrzyczko – mówi Darin dzierżący w ręku długi kij. Za jego plecami dostrzegam Taure, Zellę i grupkę Scholarów z obozu dla uchodźców. – Postaramy się, żeby nikt tutaj nie zginął. Idź już. I ocal nas.

– Musa... i ty... jeśli was aresztują...

– Nic nam nie będzie – przerywa mi Darin. – Miałaś rację. Musimy być przygotowani. Ale nie mamy szans, jeśli teraz stąd nie pójdziesz. Jedź, Laio. Powstrzymaj go. Ja będę z tobą tutaj. – Dotyka mojego serca. – Jedź.

I tak jak dawno temu w Serze znowu znikam, a w moich uszach pobrzmiwa głos brata.

\*\*\*

Przez pierwsze trzy dni podróży prawie się nie zatrzymuję z obawy przed wytropieniem przez ludzi Nikli. Przychodzą mi do głowy różne rozwiązania i gnębią koszmary: Morzanie pojmują Darina, Musę, Zellę i Taure. Król posyła żołnierzy, którzy mają mnie sprowadzić z powrotem. Scholarzy cierpią głód albo gorzej – zostają wypędzeni z Adisy i znowu są uchodźcami.

Ale czwartego ranka po opuszczeniu Adisy budzi mnie cichy świergot przy uchu. Nauczyłam się kojarzyć go z Musą i teraz spodziewam się go zobaczyć, kiedy otworzę oczy. Ale znajduję tylko papirus na swojej piersi, a na nim zapisane jedno słowo.

*Bezpieczna.*

Nareszcie przestaję się oglądać przez ramię, a zaczynam patrzeć przed siebie. Eleiba mówiła prawdę. Ilekroć zatrzymuję się i pokazuję sygnet od króla, bez zbędnych pytań otrzymuję wypoczętego wierzchowca i zapas żywności. Ta pomoc przychodzi w samą porę, ponieważ jestem zdesperowana. Z każdym dniem jest bliżej do Świąta Księżyca i do ostatecznego zwycięstwa Zwiastuna Nocy. Każdy kolejny dzień przybliża go do znalezienia sposobu na przechytrzenie Kruka Krwi i skłonienia go do przekazania pierścienia, dzięki któremu uwolni swoich pobratymców.

Jadąc, analizuję pozostałe fragmenty przepowiedni Shaevy. Niepokoi mnie wzmianka o Rzeźniku, ale jeszcze bardziej słowa: „Zmarły powstanie i nikt nie przeżyje”.

Zmarli to domena Eliasa. Jeśli powstaną, to czy uciekną z Poczekalni? Co się stanie, jeśli uciekną? I co z końcem przepowiedni? Wydaje się nie mieć sensu. Prócz słów: „Duch upadnie, jej ciało szejnie”. Tu znaczenie jest niepokojąco jasne – umrę.

Z drugiej strony to jest przepowiednia, więc nie została wyryta w kamieniu.

Spotykam po drodze wielu podróżników, ale królewski sygnet robi swoje i nie muszę się tłumaczyć. Po tygodniu przedzierania się przez góry i dziesięciu dniach wędrówki przez pola uprawne na horyzoncie pojawia się Las Zmierzchu, niebieska niewyraźna linia pod wełnistymi obłokami. Jestem z dala od większych miast, nie ma tu zajazdów i gościńców, nie ma już nawet pojedynczych gospodarstw. Nie czuję się jednak osamotniona, oczekiwanie na to, co się wydarzy, dodaje mi skrzydeł.

Wkrótce znów spotkam Eliasa.

Przypominam sobie, co wymknęło mi się z ust podczas kłótni z Darinem: „mężczyzna, którego kocham”.

Myślałam, że kocham Keenana, ale tamta miłość zrodziła się z rozpacz i samotności, wbrew mnie, nie zważając na mnie samą.

To, co czuję do Eliasa, jest inne, to płomień, który noszę w sercu. Czasem, kiedy głęboką nocą przemierzam pustynię, wyobrażam sobie przyszłość z nim. Nie śmiem jednak zbyt pilnie się jej przyglądać. Przecież może nigdy nie nadejść.

Zastanawiam się, jaki się stał w ciągu tych miesięcy, kiedy byliśmy rozdzieleni. Czy się zmienił? Czy je? Dbą o siebie? O bogowie, mam nadzieję, że nie zapuścił brody. Nienawidzę brodaczy.

Las zmienia się z odległej linii w ścianę sękatych pni, które tak dobrze znam. Nawet w słonecznym blasku południa Las wygląda złowieszczo.

Zostawiam konia, żeby poskubał trawę, a sama zbliżam się do linii drzew. Zrywa się wiatr i ich korony kołyszą się niespokojnie. Liście cicho i delikatnie szemrzają.

– Eliasi? – Panuje zadziwiająca cisza, nie słyhać zawodzenia duchów. Ogarnia mnie lęk. A jeśli Elias nie zdołał przeprowadzić dusz? Jeśli coś mu się stało?

Panujący w lesie bezruch każe mi myśleć o drapieźniku czającym się w wysokich trawach, obserwującym niczego nieświadomą ofiarę. Ale kiedy słońce niknie na zachodzie, narasta we mnie znajomy mrok, który każe zbliżyć się do drzew. Czułam ten mrok w obecności Zwiastuna Nocy, dawno temu, kiedy szukałam u niego odpowiedzi na swoje pytania. Czułam go później, kiedy umierała Shaeva, kiedy myślałam, że dzinny skrzywdzą Eliasa.

Ten mrok nie wydaje się czymś złym, jest częścią mnie.

Wkraczam pomiędzy drzewa, czujna, z bronią w ręku. Nic się nie dzieje. Las jest spokojny, ale ptaki wciąż jeszcze śpiewają, a w poszyciu poruszają się małe stworzenia. Nie ma duchów. Wchodzę głębiej, gdzie otacza mnie mrok.

Cienie potężnieją. Jakiś głos mnie woła. Nie, nie jeden, wiele głosów.

*Witaj w Poczekalni, Laio z Serry, słyszę mruczenie. Witaj w naszym domu i więzieniu. Podejdiesz bliżej?*

## XXXVII: Elias

---

Maski nie zauważają strzał, dopóki pierwsza ofiara nie wyląduje twarzą w talerzu z ryżem. Są zadowoleni z siebie – zwiadowcy donieśli im, że Plemieńcy będą łatwym łupem, i zbyt pewni swoich umiejętności nie wystawili wart.

To wspinała wiadomość. Ale nie wystarczy.

Pierwsza Maska, która mnie dostrzeża, wyłapuje dwie strzały w powietrzu i rusza na mnie z szablą, która w jakiś magiczny sposób pojawia się w jego dłoni.

Jednak we mnie też jest mrok, mam własną magię. Choć jestem daleko od Poczekalni, to wystarcza jej, bym popłynął z wiatrem, znalazł się za jego plecami i wbił w niego kolejną strzałę. Dwie Maski rzucają się w moim kierunku, a trzecia – dowódca – biegnie do wyjścia wszcząć alarm.

Pojawiam się tuż przed nim i wykorzystując element zaskoczenia, wbijam ostrze szabli w jego gardło. *Nie myśl, Eliasie, działaj.* Ramiona mam obryzgane krwią i coraz trudniej mi znieść to, co robię, ale zbliżają się pozostałe Maski, a ciało tego mężczyzny jest odpowiednią tarczą. Popycham je w kierunku jednego z napastników i nacieram na drugiego. Uchylam się przed ciosem w szczękę, a potem przed kopniakiem.

Napastnik ma tuż nad nadgarstkiem kawałek ciała nieprzesłonięty zbroją i tam właśnie wbijam ostatnią strzałę Afyi. Chwilę później jest martwy, za to za gardło chwytam mnie ostatnia z Masek.

„Jesteś śmiertelny”. Shaeva przypomniała mi o tym, zanim zamordował ją Zwiastun Nocy. Jeśli tutaj umrę, nie będzie miał kto strzec Poczekalni. Biorę się w garść, trafiam Maskę kolanem w krocze, zatapiam szablę w jego piersi, a potem podrzynam mu gardło.

W namiocie, w którym szalała jeszcze przed chwilą wichura, panuje nagły spokój, zakłócany tylko moim ciężkim, urywanym oddechem. Na zewnątrz słychać głosy żołnierzy; ich głośny śmiech i narzekania zagłuszyły hałas spowodowany moim atakiem.

Wkrótce ktoś znajdzie ciała Masek, wychodzę więc z namiotu i na obrzeżach obozowiska kradnę konia. Nim zostanie wszczęty alarm, będę już daleko w drodze na zachód ku najbliższej wieży z bębniami.

Z legionistami stojącymi na warcie pod wieżą radzę sobie szybko. Jednego trafiam strzałą w pierś, a drugi orientuje się, co się dzieje, kiedy ostrze mojej szabli tkwi już w jego gardle. Wbiegam po schodach na górę, ale w połowie drogi moja lepsza część krzyczy w proteście: *Oni nie zasłużyli na śmierć. Nic złego ci nie zrobili.*

Ostatni żywy człowiek na wieży to główny bębniasta. Siedzi na szczycie wieży obok ogromnego bębna wsłuchany w wiadomości napływające z północy. To, co słyszy, zapisuje na długim zwoju papirusu i jest tak tym zajęty, że nie słyszy, kiedy nadchodzi. Jestem już zbyt zmęczony, by się skradać. Chcę, żeby się wystraszył.

Dlatego staję w progu jak postać z koszmaru, zbryzgany krwią, z poplamioną na czerwono szablą.

– Wstań – mówię łagodnie. – I podejdź do bębna.

– Ja... ja... – Zerka w dół, gdzie powinny stać strażę.

– Oni nie żyją, jeśli chcesz wiedzieć. – Pokazuję mu zakrwawione dłonie. – Ruszaj się.

Bierze do rąk pałeczki i ze strachu dwukrotnie je upuszcza.

– A teraz coś dla mnie zabębniś. – Podchodzę do niego i unoszę w powietrzu jedną z szabel Telumana. – Jeśli zmienisz choć jedno słowo, będę wiedział.

– Jeśli wyślę fałszywą wiadomość, dowódca mnie zabije.

– Czy twój dowódca to wysoka, blada Maska z jasną brodą i blizną na brodzie? – Kiedy bębniśta potakuje, uspokajam go. – Nie żyje. A jeśli nie wyślesz fałszywej wiadomości, wypatroszę cię i zrzucę ze szczytu wieży. Wybór należy do ciebie.

Wiadomość zawiera rozkaz przygotowania legionu do ataku na Plemieńców w odległości czterdziestu mil stąd. Kiedy bębniśta kończy, zabijam go. Musiał wiedzieć, że taki będzie koniec. Mimo to nie potrafię spojrzeć mu w oczy, kiedy to robię.

Moja zbroja wygląda odrażająco, nie mogę znieść zapachu krwi, więc zdejmuję ją, kradnę ubranie z magazynu i ruszam w stronę Poczekalni. Im jestem bliżej, tym większą czuję ulgę. Plemieńcy zyskali czas. Minie wiele godzin, nim Wojanie się zorientują, że wiadomość była fałszywa. Moja rodzina zdoła uciec przed siłami Imperium. I wreszcie będę mógł się zająć przeprowadzaniem dusz. Przywracaniem równowagi. Najwyższy czas.

Pierwszy sygnał, że coś jest nie w porządku – bardzo nie w porządku – pojawia się, kiedy docieram do granicznego muru. Powinien być wysoki i złocisty, połyskujący. Tymczasem jest blady, nierówny. Myślę, że powinienem go naprawić, ale kiedy tylko przekraczam linię drzew, dopada mnie pełen bólu wrzask duchów. Przypominam sobie, co czułem, gdy zabijałem tamtych Wojan. Jaki byłem otumaniony. Odpycham od siebie myśl o Plemieńcach, mamie i Aubarit. Nieśmiało budzi się *Mauth*. Wołam do najbliższego ducha.

– Witaj w Poczekalni, świecie duchów. Jestem Łowcą Dusz i pomogę ci przejść na drugą stronę.

– To ja nie żyję? – szepcze duch. – Myślałem, że to sen...

Magia daje mi wiedzę o duchach, jakiej wcześniej nie miałem. Wiem wszystko o ich życiu i potrzebach. Po chwili rozumiem, że ta dusza potrzebuje wybaczenia. Ale jak jej je dać? Jak robiła to Shaeva, szybko i za pomocą jednej myśli?

Ta zagadka wstrzymuje mnie na chwilę i w tym samym momencie skowyt duchów cichnie. Uświadamiam sobie coś dziwnego, w Lesie zaszła zmiana. Las wydaje się inny. Jest inny.

Szybko zdaję sobie sprawę dlaczego. Ktoś tu jest. Ktoś, kogo nie powinno tu być.

Ktoś, kto znalazł drogę do gaju dzinnów.

## XXXVIII: Kruk Krwi

Siedzę pochylona nad biurkiem, zatopiona w myślach, kiedy nagle czuję czyjąś dłoń na ramieniu. Jestem gotowa odrąbać ją szablą, która w jednej chwili pojawia się w mojej ręce, ale poznaję morską zieleń oczu Harpera.

– Nie rób tak więcej – warczę – chyba że chcesz stracić kończynę. – Stos papierów na biurku świadczy o całych dniach spędzonych na ślęczeniu nad raportami Alistara. Wstaję i czuję zawroty głowy. Chyba przegapiłam posiłek, a może trzy z rzędu. – Która godzina?

– Trzeci dzwon przed świtem, Kruku. Wybacz, że cię niepokoję. Dex właśnie przysłał wiadomość.

– Nareszcie. – Minęły cztery dni od ostatnich wieści i zaczęłam się już martwić, czy przyjacielowi nie przydarzyło się coś złego.

Zbliżam pergamin do lampy trzymanej przez Harpera. Dopiero teraz zauważam, że jest bez koszuli, każdy jego mięsień jest napięty, ma zaciśnięte usta i nie emanuje z niego jak zwykle spokój.

– Co się dzieje?

– Przeczytaj.

Karkaunowie w sile blisko pięćdziesięciu tysięcy ludzi gromadzą się na przełęczy Umbral. Dowodzi Grimarr. Podciągnijcie legiony. Wróg rusza na Antium.

– Jest coś jeszcze, Kruku – mówi Avitas. – Próbowałem odszyfrować list, znaleziony przy Alistarze, ale ona użyła atramentu sympatycznego. Pozostała tylko końcówka listu.

*Ona.*

– Keris Veturia – mówię, a Avitas potwierdza skinieniem głowy. Mam ochotę krzyczeć. – Zdradziecka suka. Musiała spotykać się z Karkaunami. Gdzie jest ten przeklęty kapral Favrus?

– Znalaziono go martwego w jego kwaterze. Nie miał żadnych ran. Trucizna.

Keris kazała go zamordować tak samo jak kapitana Alistara. Teraz, kiedy wiemy, jak bardzo pragnie rządzić Imperium, jej intencje są oczywiste – nie chciała, żebyśmy się dowiedzieli o nadciągającej armii Grimarra. Chciała, żebyśmy z Marcusem wyszli na groźnych, niekompetentnych głupców. Co się stanie, jeśli złakniony krwi czarownik przystąpi do oblężenia Antium? Wie, że dzięki wsparciu moglibyśmy zniszczyć Karkaunów, choć byłoby to okupione dużymi stratami. Co gorsza, wykorzystując panujący chaos, Keris postara się zniszczyć Marcusa, Liwię i mnie. Potem pokona Karkaunów, zostanie okrzyknięta bohaterką i dostanie to, czego zawsze pragnęła i co z pewnością obiecał jej Zwiastun Nocy – tron.



Nie mogę jednak tego dowieść, mimo że wiem, jakie są jej intencje.

„To nie musi się tak skończyć, Kruku Krwi. Pamiętaj o tym”.

– Musimy o tym powiedzieć imperatorowi. – Muszę też przekonać Marcusa, żeby wywiózł Liwię z miasta. Jeśli armia Grimarra idzie tutaj, Antium jest dla niej najbardziej niebezpiecznym miejscem. W Antium zapanuje chaos. A Keris dobrze się czuje w chaosie.

Godzinę później siedzimy zamknięci w pokoju dowodzenia imperatora Marcusa. Posłańcy biegają po mieście, ściągając do pałacu generałów, z których wielu to głowy możnych rodów. Na stole pojawia się tuzin map, każda przedstawia inną część północnych terytoriów.

– Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy? – pyta, krążąc po pokoju, przebiegły jak lis generał Crispin Rufius, głowa rodu Rufia. Kilka miesięcy temu Marcus zrzucił jego brata ze skały Cardium. Nie spodziewam się, żeby był chętny do udzielenia wsparcia.

– Raporty z garnizonów docierają codziennie. Jeśli działo się coś nadzwyczajnego, powinien to zauważyć co najmniej tuzin ludzi.

Marcus przekrzywia głowę, jakby słuchał czegoś, czego reszta z nas nie może usłyszeć. Generałowie wymieniają spojrzenia, a ja tłumię przekleństwa cisnące mi się na usta. To nie jest odpowiedni czas na pogaduszki ze zmarłym bratem. Marcus mruży coś pod nosem, potem kiwa głową. Ale kiedy się wreszcie odzywa, jest całkowicie opanowany.

– Raporty zostały zmanipulowane – mówi imperator – przez kogoś, kto przedkłada własne interesy nad dobro Imperium. – Aluzja jest czytelna i choć nie mam dowodów na to, że Rufius maczał palce w zmienianiu treści raportów, zebrani w pomieszczeniu mężczyźni patrzą na niego podejrzliwie. Generał czerwienieje na twarzy.

– Ja tylko mówię, że to jest bardzo nietypowe.

– A jednak stało się – mówię, trzymając dłoń na rękoności, żeby pamiętać, jak zważyłam jego brata i wielu innych do naszej posiadłości, a potem zaprowadziłam ich na skraj skały Cardium. – Teraz ponosimy tego konsekwencje. Ten, kto to zaplanował, chciał osłabić Imperium. Możecie teraz dyskutować, dlaczego nie wiedzieliśmy o planowanym ataku Karkaunów, albo pomóc nam ich powstrzymać.

W pokoju zalega cisza, a Marcus wykorzystuje chwilę i wskazuje palcem przełęcz Umbral na północ od Antium.

– Grimarr gromadzi siły na północ od przełęczy. Stamtąd na rączym koniu można dotrzeć do Antium w cztery dni. Armii zajmie to dwa tygodnie.

Spieramy się już cztery godziny. Antium strzeże sześć legionów, czyli trzydzieści tysięcy żołnierzy. Jeden z generałów chce wysłać legion na północ, żeby zatrzymać Grimarra, zanim ten dotrze do miasta. Kapitan gwardii miejskiej, mój kuzyn Baristus Aquillus, zgłasza się na ochotnika na dowódcę takiego oddziału. Krążę poirytowana po pokoju. Każda minuta bez wiążącej decyzji zbliża komendantkę do Antium. Teraz

życiu mojej siostry i siostrzeńca zagraża nie tylko Keris, ale także Karkaunowie.

Spodziewam się, że Marcus, naciskany przez generałów, okaże swoją chwiejność. Czekam, kiedy wsłucha się w głosy, które słyszy. Tymczasem, o dziwo, jest dawnym sobą, jakby groźba wojny obudziła w nim na nowo podstępne gojownika.

O świcie generałowie opuszczają salę narad z nowymi rozkazami. Mają uzbroić i przygotować do walki legiony i wzmocnić siły obrony w Antium. Bębny dudnią bez chwili przerwy, domagając się wsparcia gubernatorów prowincji Silas i Estium. Marcus mobilizuje rezerwistów. Nie musi się martwić o ducha bojowego. Mieszkańcy Antium są Wojanami z krwi i kości. Grimarr i jego ludzie spustoszyli nasz port. Na wieść o kolejnym ataku do koszar zgłaszają się setki żądnych zemsty młodych mężczyzn i kobiet.

– Mój panie. – Biorę imperatora na stronę. Powinnam wybrać może lepszy moment, ale nastroje Marcusa są zbyt zmienne, a teraz wydaje się przytomny jak nigdy wcześniej. – Jest jeszcze kwestia twojej żony i potomka.

Marcus zastyga w bezruchu. Słucha głosu przemawiającego do niego ducha Zaka. Bezgłośnie błagam ducha, żeby przekonał imperatora.

– Co z nimi? – pyta Marcus.

– Jeśli dojdzie do oblężenia, to jest ostatnie miejsce, gdzie powinni przebywać. Święto Księżycy już za niecały miesiąc. Wtedy Liwia ma rodzić. Radziłabym zabrać ją w bezpieczne miejsce, najlepiej do Silas albo Estium.

– Nie.

– Nie tylko oblężenie jest zagrożeniem – przekonuję go dalej. – Za kilka dni pojawi się tu Keris. Już raz próbowała pozbawić życia imperatorową. Jest wściekła. Podejmie kolejną próbę. Musimy pokrzyżować jej plany, zanim do tego dojdzie. Jeśli nie będzie wiedziała, gdzie jest Liwia i potomek, nie zdoła ich skrzywdzić.

– Jeśli zabiorę żonę i nienarodzone dziecko z Antium, ludzie pomyślą, że boję się tych odzianych w skóry bydłaków z pomalowanymi twarzami. – Marcus nie odrywa wzroku od rozłożonej na stole mapy, ale każdy jego mięsień jest napięty. Z trudem hamuje złość. – Dziecko powinno urodzić się w Antium, w pałacu imperatora, w obecności świadków, żeby nikt nie podważył jego pochodzenia.

– Możemy to zrobić dyskretnie. – Desperacko próbuję go przekonać do swoich racji. Muszę zadbać o regencję. Nie mogę pozwolić, by ktoś skrzywdził siostrę. Już raz zawiodłam. – Nikt nie musi wiedzieć, że wyjechała. Miasto będzie się szykować do wojny, a możni niczego nie zauważą.

– Nagle zaczęłaś się interesować przetrwaniem mojej dynastii.

– Liwia jest jedyną krewną, jaka mi pozostała – tłumaczę. – Nie chcę, żeby zginęła. A co do dynastii, jestem twoim Krukiem Krwi. Nie zamierzam obrażać twojej inteligencji i twierdzić, że cię lubię, mój panie. Wydajesz mi się... trudny. Ale mój los i los mojej siostry jest związany z twoim i jeśli twoja linia wygaśnie, obie umrzemy. Proszę, odeślij Liwię i dziecko w bezpieczne miejsce. – Biorę głęboki wdech. –

Myślę, że on też by tego chciał.

Nie wymieniam Zachariasza z imienia. Wzmianka o nim jest posunięciem albo błyskotliwym, albo bezdennie głupim. Marcus wreszcie odrywa wzrok od mapy. Zaciska szczęki i pięści. Szykuję się na cios...

Tymczasem on rzuca przez zaciśnięte zęby:

– Wyślij ją do mojej rodziny. Rodzice są w Silas. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, szczególnie Suka z Czarnego Klifu. Jeśli z tego powodu coś się stanie mojemu potomkowi, to zatknę twoją głowę na włócznie, Kruku. Kiedy już ją odeślesz, wracaj tu. Mamy coś do zrobienia.

\*\*\*

Nisko nad horyzontem wiszą ciężkie chmury. Czuję zapach zbliżającej się burzy. Liwia musi wyruszyć w drogę, nim burza nadejdzie.

Faris rozstawił swoich ludzi wzdłuż ulicy. Wiedzą tylko, że imperatorowa jedzie odwiedzić chorą ciotkę na przedmieściach. O zachodzie słońca karetą wróci, ale w środku będzie siedziała inna kobieta ubrana jak Liwia.

– Rallius i ja zajmiemy się wszystkim, Kruku. – Faris zezuje na tuzin żołnierzy Czarnej Gwardii czekających na końcu ulicy.

– Jedziesz z moją jedyną siostrą i następcą tronu – mówię. – Posłałabym z wami cały legion, a i to byłoby mało.

– To niedorzeczne – odzywa się Liwia, kiedy sadzam ją w karecie. Zaczynają spadać pierwsze krople deszczu. – Utrzymamy miasto. Ty utrzymasz miasto.

– Nadciągają Karkaunowie, zgadza się – mówię. – Ale i Keris. Już raz o mało cię nie straciłam, bo jej nie upilnowałam. Żyjesz tylko dlatego...

– Wiem. – Siostra nie pytała mnie dotąd o uzdrowienie. Może zdaje sobie sprawę, że nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie możemy ryzykować. – Staram się, by mój głos zabrzmiał twardo. – Nie możemy ryzykować przyszłości Imperium. Jedź. I uważaj na siebie. Ufaj Farisowi i Ralliusowi, i nikomu innemu. Kiedy znowu będzie tu bezpiecznie, pošlę po ciebie.

– Nie chcę jechać. – Liwia chwyta mnie za rękę. – Nie zostawię cię tutaj.

Przychodzi mi na myśl ojciec. I jego srogość. Teraz ja jestem głową rodu Aquilla i muszę zadbać o jego przyszłość.

– Pojedziesz. – Uwalniam palce z jej uścisku. Rozlegają się grzmoty, dużo bliżej, niż mogłam się spodziewać. – Pozostaniesz w ukryciu. I zrobisz to z taką samą gracją, z jaką robisz wszystko inne, imperatorowo Liwio Aquillo Farrar. Lojalna do końca. Powtórz.

Siostra zagryza wargi, a jej oczy płoną gniewem. W końcu kiwa jednak głową.

– Lojalna do końca – powtarza za mną.

Kiedy burza rozpętuje się nad Antium, Liwia jest już daleko od miasta.

Tymczasem ja odczuwam ulgę tylko na krótko. „Mamy coś do zrobienia”. Nieprędko zapomnę to, co Marcus robił Liwii. Wracam pamięcią do czasów Prób sprzed roku. Do dręczących mnie koszmarów z Marcusem w roli imperatora i mną wykonującą jego polecenia. Co teraz dla mnie szykuje?

## XXXIX: Laia

---

Krew mi zastyga w żyłach, kiedy słyszę dziwne, pulsujące perfidią i złością dźwięki wydawane przez dzinny. Pod nimi kryje się jednak rzeka prawie niedosłyszalnego smutku, takiego samego jak w głosie Zwiastuna Nocy.

– Gdzie jest Elias? – Wiem, że nie powiedzą mi nic istotnego, mimo to pytam, bo lepsza jakakolwiek odpowiedź niż milczenie.

*Powiemy ci, nuca. Ale musisz przyjść tu do nas.*

– Nie jestem taka głupia. – Kładę dłoń na rękojęści sztyletu, choć jest to pusty gest. – Znam waszego króla, pamiętacie o tym? Jesteście tak samo oślizgłe jak on.

*To nie są żadne sztuczki, Laio, córko Mirry. W przeciwieństwie do ciebie nie boimy się prawdy, ponieważ to prawda uwolni nas z tego więzienia. I prawda uwolni ciebie z twojego więzienia. Chodź do nas.*

Elias nigdy nie ufał dzinnom. Ja też nie powinnam, wiem to. Ale Eliasa tu nie ma. Nie ma też duchów. Musiało się stać coś bardzo złego, w przeciwnym razie byłby tutaj. Muszę przejść przez Las. Nie ma innej drogi do Antium, do Kruka Krwi, do ostatniego fragmentu Gwiazdy.

Stanie w miejscu i zadreżczenie się w niczym mi nie pomoże. Ruszam na zachód, kierując się wskazaniem kompasu w mojej głowie, poruszając się jak najszybciej i korzystając z tego, że jeszcze jest jasno. Może Elias zniknął tylko na chwilę. Może zaraz wróci.

A może nie wie, że tu jestem. Może coś mu się stało.

*Albo, szepczą dzinny, wcale go to nie obchodzi. Ma ważniejsze sprawy na głowie. Nie mówią tego złośliwie. Po prostu stwierdzają fakt.*

*Nasz król ci to pokazał, prawda? Zobaczyłaś to w jego oczach: odchodzącego Eliasa. Eliasa wybierającego obowiązek, a nie ciebie. On ci nie pomoże, Laio. Ale my możemy ci pomóc. Jeśli nam pozwolisz, ukážemy ci prawdę.*

– Dlaczego miałybyście mi pomagać? Wiecie przecież, po co tu jestem. Wiecie, co zamierzam zrobić.

*Prawda uwolni nas z tego więzienia, powtarzają dzinny. I prawda uwolni ciebie z twojego więzienia. Pozwól sobie pomóc.*

– Trzymajcie się ode mnie z daleka.

Dzinny milkną. Czy mogę mieć nadzieję, że zostawią mnie w spokoju? Wiatr wieje mi w plecy, rozwiewa włosy i szarpie ubranie. Obracam się i szukam w cieniu wrogów. Ale to tylko wiatr.

Kiedy zapada noc, opadam z sił. Nie mogę już dalej iść i chcąc nie chcąc, zatrzymuję się. Ze sztyletem w dłoni przykucam za szerokim pniem drzewa. Las jest dziwnie spokojny, a kiedy moje ciało styka się z ziemią i korą drzewa, sama czuję się spokojniejsza, zupełnie jakbym była w znajomym mi miejscu.

W najczarniejszej godzinie nocy ogarnia mnie senność i pojawiają się senne marzenia. Szybuję nad Poczekalnią, tuż nad koronami drzew, rozszerzona, a jednocześnie przerażona. *Mój lud. Oni więżą mój lud.* Wiem tyle, że muszę do nich dotrzeć.

Budzę się z przeświadczeniem, że stało się coś złego. Otaczające mnie drzewa nie są tymi samymi, wśród których zasypiałam. Są szerokie jak ulice w Adisie i połyskują upiorną czerwienią, jakby w ich wnętrzach płonął ogień.

– Witaj w naszym więzieniu, Laio z Serry.

Z cienia wyłania się Zwiastun Nocy, głos ma tkliwy, wręcz czuły. Krąży naokoło drzew, gładząc dziwnie rozżarzonymi dłońmi ich pnie. Drzewa szepczą do niego coś, czego nie jestem w stanie usłyszeć, a on ucisza je dotykem.

– To ty mnie tu sprowadziłeś?

– Sprowadzili cię moi bracia. Ciesz się, że jesteś cała. Marzyli o tym, żeby rozszarpać cię na strzępy.

– Gdybyś był w stanie mnie zabić, już dawno byś to zrobił – odpowiadam. – Chroni mnie Gwiazda.

– Faktycznie, moja kochana.

– Nie zwracaj się tak do mnie. Nie wiesz, czym jest miłość.

– Owszem, wiem. – Był do mnie odwrócony plecami, ale teraz paraliżuje mnie swoim upiornym spojrzeniem. Głęboka gorycz bijąca z jego słów sprawia, że powietrze gęstnieje. – Urodziłem się, by kochać. To było moim powołaniem, moim celem. A teraz jest przekleństwem. Wiem o miłości więcej niż jakakolwiek żyjąca istota. A na pewno więcej niż dziewczyna, która oddaje swoje serce byle komu.

– Powiedz, gdzie jest Elias.

– Jaka niecierpliwa. Zupełnie jak matka. Posiedź chwilę z moimi braćmi. Tak rzadko ich ktoś odwiedza.

– Nic nie wiesz o mojej matce i ojcu. Powiedz, gdzie jest Elias.

Jego słowa przyprawiają mnie o mdłości. Mówi tonem mającym stworzyć wrażenie intymnej bliskości, której sobie nie życzę.

– Co zrobisz, jeśli nie powiem ci, gdzie jest Elias? Odejdiesz?

– Tak właśnie postąpię – odpowiadam, ale mój głos jest słabszy, niżbym sobie życzyła. Nie mogę poruszyć nogami. O bogowie, czuję się chora. Dotykam dłońmi ziemi i przechodzi mnie dreszcz. W mojej głowie pojawia się nieoczekiwane przeze mnie słowo. *Dom.*

– Poczekalnia śpiewa dla ciebie. Ona cię zna, Laio z Serry.

– Dlaczego?

Zwiastun Nocy wybucha śmiechem, a wtóruje mu chór dzinnów i po chwili wydaje mi się, że śmiech dobiega ze wszystkich stron.

– To jest źródło wszelkiej magii w tym świecie. Jesteśmy z nią połączeni, a przez

nią połączeni ze sobą.

Gdzieś tu wyczuwam kłamstwo. Ale jest też ziarno prawdy, a ja nie potrafię oddzielić jednego od drugiego.

– Powiedz mi, kochana – te słowa brzmią oblesnie w jego ustach – czy miewałaś wizje po użyciu magii?

Krew mrozi mi się w żyłach. Ta kobieta. Cela.

– To ty sprowadziłeś te wizje? Obserwowałeś mnie.

– Prawdę mówiąc, zasługujesz na wolność. Pozwól, że cię uwolnię, Laio z Serry.

– Nie potrzebuję twojej prawdy. – Chcę, żeby opuścił moją głowę, ale jest przebiegły i śliski jak węgorz. Razem ze swoimi braćmi owija się wokół mojego umysłu, ściskając go coraz mocniej i dusząc. Dlaczego zasnąłam? Dlaczego pozwoliłam, żeby schwytały mnie dzinny? *Wstań, Laio! Uciekaj!*

– Nie uciekniesz od prawdy, Laio. Zasługujesz na to, by wiedzieć, drogie dziecko. Zbyt długo trzymano to przed tobą w tajemnicy. Od czego zacząć? Może od twojej matki.

– Nie!

Powietrze wokół mnie faluje, a ja sama już nie wiem, czy ta wizja jest prawdziwa, czy może to wszystko dzieje się w mojej głowie. Przede mną stoi matka. Jest w ciąży. To ja, uświadamiam sobie. Chodzi tam i z powrotem przed chatą. Ojciec coś do niej mówi. W oddali wznoszą się ku niebu gęsto zalesione góry Morzan.

– Musimy wracać, Jahan – mówi matka. – Kiedy dziecko się urodzi...

– I zabierzemy je ze sobą? – Ojciec zanurza palce w gęstej, niesfornej czuprynie, jaką po nim odziedziczyłam. Za plecami ojca rozlega się śmiech. To Darin, puciołowaty i rozkosznie nieświadomy siedzi z siedmioletnią Lis. Na widok siostry serce mi się kraje. Tak dawno nie widziałam jej twarzy. W przeciwieństwie do Darina Lis obserwuje wszystko uważnie i przenosi co chwila wzrok z ojca na matkę. Jest dzieckiem, którego szczęście tłumi dziwna atmosfera pomiędzy rodzicami, czasem słoneczna, ale częściej wietrzna i chmurna.

– Nie możemy narażać ich na takie niebezpieczeństwo, Mirro...

Ciemność. Czuję zapachy. Morelowy sad i gorący piasek. Jestem w Serze. Znów pojawia się matka, tym razem w skórzanym ubraniu, z łukiem i kołczanem przewieszonymi na plecach. Jasne włosy ma związane w kok. Energicznie puka do znanych mi podniszczonych drzwi. Za nią klęczy ojciec. Na jednym ramieniu trzyma mnie, na drugim Darina. Mam cztery lata, Darin sześć. Ojciec całuje nas w policzki i coś szepcze, ale nie słyszę słów.

Drzwi otwierają się i w progu staje babcia. Trzyma się pod boki i jest tak wściekła, że mam ochotę się rozpłakać. *Nie bądź zła, chcę jej powiedzieć. Będziesz później za nią tęskniła. Będziesz żałować tego gniewu. Będziesz żałować, że nie przywitałaś jej z otwartymi ramionami.* Babcia zerka na ojca, Darina i na mnie. Robi krok w naszym kierunku.

Ciemność. I nagle dziwnie znajome miejsce. Zawilgocony pokój. W środku kobieta o jasnych włosach. Dopiero po chwili ją rozpoznaję. To moja matka. A ten pokój nie jest pokojem. To cela więzienna.

– Prawda uwolni cię od iluzji, Laio z Serry – szepcze Zwiastun Nocy. – Uwolni cię od brzemienia nadziei.

– Nie chcę tego. – Obraz mojej matki nie znika. – Nie chcę być wolna. Powiedz mi tylko, gdzie jest Elias – błagam uwięziona we własnym umyśle. – Pozwól mi odejść.

Zwiastun Nocy milczy. W oddali podryguje płomień pochodni, a drzwi celi matki się otwierają. Matka jest posiniaczona, pochodnia oświetla jej rany, krótko ścięte włosy, wychudzoną sylwetkę.

– Jesteś gotowa do współpracy? – Mroźny ton tego głosu trudno pomylić.

– Nigdy nie będę z tobą współpracowała. – Matka spluwa pod nogi Keris Veturii. Komendantka jest młodsza, ale jest takim samym potworem jak obecnie. Uszy rani mi przeraźliwy krzyk. Krzyk dziecka. Wiem, kim jest. O bogowie, wiem. To Lis. Moja siostra.

Skręcąm się i sama zaczynam krzyczeć, żeby ją zagłuszyć. Nie mogę na nią patrzeć. Nie mogę jej słuchać.

– Ona nie ma w sobie tyle sił, co ty – mówi Keris do matki. – Twój mąż też jest słaby. Załamał się, błagał o śmierć. Błagał o twoją śmierć. Żadnej lojalności. Powiedział mi wszystko.

– Nigdy by tego nie zrobił.

– Jak mało wiemy o ludziach, dopóki ich nie złamiemy. – Keris wchodzi do celi. – Póki nie odrzemy ich ze wszystkiego, pozostawiając tylko to, co najsłabsze. Nauczyłam się tego dawno temu, Mirro z Serry. I teraz nauczę ciebie. Obnażę prawdziwą ciebie. I nie będę cię nawet musiała tknąć.

Kolejny krzyk, tym razem głos należy do mężczyzny.

– Pytają o ciebie – ciągnie komendantka. – Zastanawiają się, dlaczego każesz im cierpieć. Prędzej czy później, Mirro, podasz mi nazwiska swoich sprzymierzeńców z Serry. – Oczy Keris wypełnia niezdrowa radość. – Będę wykrwawiać twoją rodzinę, póki mi wszystkiego nie powiesz.

Keris odchodzi, a matka wrzeszczy z całych sił i rzuca się na drzwi celi. Na podłodze poruszają się cienie. Mija dzień, potem kolejny. Matka cały czas słyszy pełne bólu krzyki Lis i ojca. Ja też je słyszę. Matka odchodzi od zmysłów. Próbuje wydostać się z celi. Próbuje przechytrzyć strażników. Próbuje ich zabić. Wszystko na nic.

Drzwi celi się otwierają i strażnicy wciągają do środka ojca. Ledwie go poznaję. Jest nieprzytomny, kiedy rzucają go w kąt. Po chwili w celi ląduje Lis. Nie mogę patrzeć na to, co z nią zrobiła Keris. Była dzieckiem, miała tylko dwanaście lat. *Mamo, jak ty to wytrzymałaś? Jakim cudem zupełnie nie oszalałaś?*

Siostra drży i kuli się w kącie. Jej milczenie, pustka w błękitnych oczach będą



mnie prześladować aż do śmierci.

Matka bierze Lis w ramiona. Lis nie reaguje. Ich ciała kołyszą się rytmicznie.

*Gwiazdę przyniosła*

*Do mojego domu*

*I zapłonęła jasno chwałą*

Lis zamyka oczy. Matka zwija się w kłębek wokół niej, dłonią gładzi jej policzki. W oczach matki nie ma łez. Nie ma niczego.

*Jej śmiech jak*

*Pozłocista pieśń*

*Wróbla o deszczowej chmurze.*

Matka kładzie jedną dłoń na czubku ostrzyżonej głowy Lis, a drugą na jej brodzie.

*I kiedy śpi*

*To jakby słońce*

*Zgasło i ostygło.*

Rozlega się trzask, znacznie cichszy niż w moich wizjach. Ledwie słyszalny, jak łamiące się skrzydło ptaka. Lis osuwa się bez życia na posadzkę z karkiem skręconym rękami naszej matki.

Wydaje mi się, że krzyczę. Wydaje mi się, że ten krzyk, ten skrzek to ja. W tym świecie? W jakimś innym? Nie mogę uciec. Nie mogę opuścić tego miejsca. Nie mogę uciec przed tym, co widzę.

– Mirro? – szepcze ojciec. – Lis... Gdzie jest Lis...

– Lis śpi, kochanie. – Głos matki jest cichy, nikły. Podpełza do ojca i kładzie sobie jego głowę na kolanach. – Zasnęła.

– Ja... starałem się, ale nie wiem, jak długo jeszcze...

– Nie bój się, kochany. Nie będziecie więcej cierpieć.

Kiedy skręca kark ojcu, trzask jest głośniejszy. Cisza, jaka potem następuje, przesywa mnie do szpiku kości. To śmierć nadziei, nagła i niezapowiedziana.

Mimo to Lwica nie płacze.

Wchodzi komendantka i obrzuca spojrzeniem martwe ciała.

– Jesteś silna, Mirro – mówi, a w jej oczach można dostrzec coś na kształt podziwu. – Silniejsza niż moja matka. Wiesz, że pozwoliłabym żyć twojemu dziecku.

Matka gwałtownie zadziera głowę. Jest zrozpaczona.

– To nie byłoby życie – szepcze.

– Być może – odpowiada Keris. – Ale czy możesz być tego pewna?

Kolejna odsłona. Komendantka ma nałożone rękawice i trzyma rozżarzone węgle. Podchodzi do matki przywiązanej do stołu.

Gdzieś z głębi umysłu wypływa wspomnienie. „Byłaś kiedyś przywiązana do stołu

i czuć, jak rozżarzone węgle wypalają ci gardło?” Dawno temu wypowiedziała te słowa Kucharka w kuchni w Czarnym Klifie. Dlaczego wtedy mi to powiedziała?

Czas przyspiesza. Blond włosy matki są teraz śnieżnobiałe. Komendantka kaleczy jej twarz, pozostawiając szpetne blizny. To już nie jest twarz matki, to nie jest twarz Lwicy, to jest twarz...

„Czy ktoś kaleczył ci twarz tępym nożem, a Maska polewała rany słoną wodą?”

Nie, nie wierzę. Kucharka musiała doświadczyć tego samego co matka. Może komendantka w taki sposób starała się zmusić do mówienia wszystkich rebeliantów. Kucharka jest staruszką, a matka byłaby jeszcze stosunkowo młoda.

Z drugiej strony Kucharka nigdy nie zachowywała się jak staruszka. Była silna. Blizny są takie same. I te włosy.

I oczy. Nigdy nie przyglądałam się uważnie oczom Kucharki. Teraz jednak przypominam je sobie. Głęboko osadzone, ciemnoblękitne.

A jednak to niemożliwe.

– To prawda, Laio – odzywa się Zwiastun Nocy, a ja drzę, bo wiem, że nie kłamie.  
– Twoja matka żyje. Znasz ją. A teraz jesteś wolna.

## XL: Elias

Jak ktoś mógł się dostać do gaju dzinnów bez mojej wiedzy? Mur graniczny powinien zatrzymać intruza. Ale nie wtedy, gdy jest cienki i słaby, jak teraz. Duchy napierają w jednym miejscu, daleko na wschodzie, a ja zwalniam. Czy mam podeprzeć mur? Przeprowadzić dusze? Jeszcze nigdy nie były tak pobudzone jak w tej chwili.

Jeśli w gaju znalazła się istota ludzka, bogowie tylko wiedzą, jakich cierpień mogła doznać z rąk dzinnów.

Ruszam w kierunku intruza, Mauth ciągnie mnie ku sobie, jego ciężar jest dla mnie jak kula u nogi. Duchy próbują zagrozić mi przejście, tworząc gęsty obłok, przez który nic nie widać.

*Mamy ją, Eliasie.* Kiedy dzinny mówią, duchy przestają zawodzić. Nagła cisza działa mi na nerwy. Wydaje się, że cały Las nasłuchuje.

*Mamy ją, Eliasie, i rozerwiemy jej umysł na strzępy.*

– Kogo? – Odrywam się od duchów, ignoruję ich jęki i niecierpliwe szarpnięcia Mauth. – Kogo macie?

*Przyjdź i przekonaj się, uzurpatorze.*

Czyżby udało im się pojmać Mamie? Albo Afyę? Strach oplata mnie jak bluszcz i przyspieszam swoją podróż z wiatrem. Machinacje dzinnów już przyczyniły się do cierpień plemienia Aubarit. Afya i Gibran zostali opętani. Mamie straciła brata, zginęły setki Plemieńców. Kruk Krwi znajduje się zbyt daleko, żeby mogły go skrzywdzić. Ze wszystkich, których kocham, tylko Kruk i jeszcze jedna osoba uniknęły napaści.

Ale przecież chyba nie mają w swoich rękach Lai. Ona jest w Adisie i szuka sposobu na powstrzymanie Zwiastuna Nocy. *Szybciej, Eliasie, szybciej.* Walczę z oporem Mauth, przedzieram się przez chmurę coraz bardziej rozwścieczonych duchów i wreszcie docieram do gaju dzinnów.

Na pierwszy rzut oka wygląda tak jak zwykle. A potem dostrzegam ją, skuloną na ziemi. Poznaję szary płaszcz. Dostała go ode mnie dawno temu, pewnej nocy, kiedy nie przypuszczałem nawet, jak wiele będzie dla mnie znaczyć w przyszłości.

Spomiędzy drzew na północy zerka na mnie jakiś cień. *Zwiastun Nocy!* Rzucam się w jego kierunku, ale cień znika tak szybko, że gdyby nie niesiony przez wiatr śmiech, uznałbym go za przywidzenie.

W dwóch krokach jestem przy Lai, choć trudno mi uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Ziemia drży silniej niż kiedykolwiek wcześniej. Mauth jest wściekły. Nic mnie to nie obchodzi. Co te cholerne dzinny mogły jej zrobić?

– Laio! – wołam, ale jej złote oczy są nieobecne, a wargi bezmyślnie rozchylone. – Laio? – Obracam jej głowę w swoją stronę. – Posłuchaj mnie. Cokolwiek Zwiastun

Nocy ci powiedział, cokolwiek próbował ci wmówić, to tylko sztuczki. Kłamstwo...

*My nie kłamiemy. Powiedzieliśmy jej prawdę i prawda ją uwolniła. Nigdy już nie będzie łudzić się nadzieją.*

Muszę wyrwać jej umysł z ich szponów.

*Jak tego dokonasz, uzurpatorze, skoro nie potrafisz zapanować nad magią?*

– Powiedzcie, co jej zrobiliście!

*Jak sobie życzysz.* Chwilę później moje ciało jest tak samo unieruchomione w gaju jak ciało Lai, a dżinny pokazują mi, w jakim celu przechodziła przez Poczekałnię. Musi dotrzeć do Antium, do Kruka Krwi, do pierścienia. Musi powstrzymać Zwiastuna Nocy.

Ale teraz zapomniała o swojej misji, w jej głowie buzuje ogień, jest zagubiona, krąży po więzieniu i patrzy, co stało się z jej rodziną.

*Pokażemy ci jej historię, żebyś mógł cierpieć razem z nią, Eliasie. Wykrzycz swój gniew. Wykrzycz swoją bezsilność. Jaki to słodki dźwięk.*

Moja szabla nic tu nie zdołała. Nie zdołają nic groźby. Dżinny zagnieździły się w jej głowie.

Potężne szarpnięcie Mauth powala mnie na kolana i sprawia ból. Coś dzieje się w Poczekałni. Czuję to. Coś dzieje się na granicy.

*Zostaw ją, Eliasie. Idź i zajmij się swoimi obowiązkami.*

– Nie zostawię jej!

*Nie masz wyboru, jeśli chcesz, żeby ocalał świat żywych.*

– Nie odejdę stąd! – Mój głos to czysta wściekłość. – Nie pozwolę wam jej dręczyć, nawet gdybyście miały mnie rozszarpać na strzępy. Niech cały świat spłonie, ja jej nie zostawię.

*Wszystko ma swoją cenę, Eliasie Veturiusie. Cenę za jej ocalenie będziesz płacił do końca swoich dni. Jesteś gotów ją zapłacić?*

– Puśćcie ją. Proszę. Przykro mi, że cierpicie. Ale to nie jej wina. Mauth, pomóż mi. – Dlaczego proszę? Przecież wiem, że to na nic. Tylko bezlitosność może mi pomóc. Tylko porzucenie własnego człowieczeństwa. Porzucenie Lai.

Nie mogę tego zrobić. Nie mogę udawać, że jej nie kocham.

– Wróć do mnie, Laio. – Jej ciało spoczywa bezwładnie w moich ramionach, odgarniam z jej twarzy splątane kosmyki włosów. – Zapomnij o nich i o ich łgarstwach. Wróć.

*Tak, Eliasie, mamrocze dżinn. Wlej w nią swoją miłość. Oddaj jej swoje serce.*

Marzę, żeby wreszcie zamilkły.

– Wracaj do świata. Nieważne, dokąd cię zabrali, w jakich wspomnieniach cię zamknęli, musisz wrócić. Twój lud cię potrzebuje. Potrzebuje cię twój brat. Ja cię potrzebuję.

Wypowiadając te słowa, mam wrażenie, że czytam w jej myślach. Widzę dżinny zatapiające kły w jej umyśle. Są to dziwne, zniekształcone twory z bezdymnego ognia i w niczym nie przypominają pięknych, pełnych gracji istot, które widziałem w mieście. Laia próbuje z nimi walczyć, ale z każdą chwilą słabnie.

– Jesteś silna, Laio. I jesteś tu potrzebna. – Jej policzek jest zimny jak lód. – Masz jeszcze tyle do zrobienia.

Oczy Lai stają się szkliste. Drzę z niepokoju. Trzymam ją w ramionach. Wołam ją. Ale ona się zestarzeje i umrze, podczas gdy ja będę dalej żył. Ona jest jak mrugnięcie oka. Ja jak cała wieczność.

Potrąfię to zaakceptować. Mogę przeżyć bez niej długie lata, jeśli będę wiedział, że miała szansę na życie. Poświęciłbym nasze wspólne życie, gdyby tylko mogła się obudzić.

*Proszę, wróć.*

Jej ciałem wstrząsa dreszcz i przez krótką chwilę wydaje mi się, że umarła. Ale zaraz potem otwiera oczy i patrzy na mnie oszołomiona. *Dzięki wam, o bogowie.*

– Ich już nie ma, Laio – odzywam się do niej. – Ale muszę cię stąd zabrać.

– Ja... nie mogę chodzić. Czy mógłbyś...

– Obejmij mnie za szyję – mówię i unoszę się wraz z nią w podmuchu wiatru. Mauth bezskutecznie przywołuje mnie do siebie, ziemia w Poczekalni drży i rozstępuje się. Podpływamy z wiatrem do granicy. Duchy napierają na nią z ogromnym impetem. Muszę wyprowadzić stąd Laię, a potem odepchnąć duchy, żeby przypadkiem nie przedarły się na wolność.

– Eliasie – szepcze Laia. – Czy ty jesteś prawdziwy, czy to też jakaś sztuczka?

– Nie, kochana. – Dotykam czołem jej czoła. – Jestem prawdziwy. I ty jesteś prawdziwa.

– Co tu się dzieje? – Laię przebiega dreszcz. – Jest tu tak tłoczno, jakby za chwilę miało dojść do wybuchu. Czuję to.

– To tylko duchy – tłumaczę. – Poradzę sobie z nimi. – *Mam nadzieję.* Pomiędzy drzewami widać już ciągnące się po horyzont łąki. To terytorium Imperium.

Graniczny mur wydaje się słabszy niż ostatnio. Liczne duchy ruszają moim śladem, ale rozbijają się o błyszczącą barierę, wyjąc głośno.

Kiedy jesteśmy już daleko za linią drzew, stawiam Laię na ziemi. Drzewa za naszymi plecami kołyszą się w szalonym tańcu. Muszę wracać. Jeszcze tylko raz na nią spoglądam. Włosy w nieładzie, zdarte buty, drobne zadrapania na twarzy po wędrówce przez Las, dłoń na rękojeści sztyletu, który dostała ode mnie.

– Dżinny – szepcze – powiedziały mi prawdę. Ale ta prawda jest... – Kręci głową z niedowierzaniem.

– Prawda jest szpetna – mówię. – A zwłaszcza prawda o naszych rodzicach. Ale przecież nie jesteśmy nimi, Laio.

– Ona gdzieś tam jest, Eliasie – mówi Laia i wiem, że ma na myśli swoją matkę. Kucharkę. – Ja... nie mogę... – Wraca do wspomnień i choć Las aż kipi za moimi plecami, to nie mogę pozwolić, żeby znów dostała się we władanie dzinnów. Chwytam ją za ramiona, gładzę po twarzy. Zmuszam, żeby na mnie spojrzała.

– Wybacz jej, jeśli potrafisz – mówię. – Pamiętaj, że los nigdy nie jest taki, jak byśmy chcieli. Twoja matka, moja matka... Nigdy nie zrozumiemy ich katuszy. Możemy cierpieć za ich błędy i grzechy, ale nie powinniśmy nosić ich w sercu. Nie zasłużyliśmy sobie na to.

– Czy zawsze będzie wokół nas panował chaos, Eliasie? Nigdy nie będzie normalnie? – Laia patrzy na mnie i uwalnia się na chwilę od tego, co zobaczyła w Lesie. – Czy będzie nam kiedyś dane spacerować w świetle księżyca albo spędzić popołudnie na robieniu dżemów...

*Miłość.* Moje ciało płonie na samą myśl o tym.

– Śniłeś mi się – szepcze Laia. – Byliśmy razem...

– To nie był sen. – Przyciągam ją do siebie. To straszne, że ona nic nie pamięta. Chciałbym, żeby wracała myślami do tamtego dnia, tak jak ja wracam. – Byłem tam i ty tam byłaś. To były piękne chwile. – Czuję jednak, że w moim sercu następuje jakaś zmiana. Pojawia się chłód. – Znajdziemy jakiś sposób, Laio. Ale jeśli... jeśli się zmienię... jeśli wydam ci się inny, pamiętaj, że cię kocham. Niezależnie od tego, co się ze mną stanie. Powiedz, że będziesz pamiętać, proszę...

– Twoje oczy... – Wpatruje się we mnie, a ja wstrzymuję oddech. – Stają się ciemniejsze. Jak oczy Shaevy.

– Nie mogę dłużej zostać. Wybacz. Muszę wracać. Muszę zająć się duszami. Ale wkrótce się zobaczymy. Przysięgam. Pospiesz się, idź do Antium.

– Zaczekaj. – Wciąż niepewnie stoi na nogach. – Nie idź. Proszę. Nie zostawiaj mnie tutaj.

– Jesteś silna – zapewniam ją. – Jesteś Laią z Serry. Nie jesteś Lwicą. Jej dziedzictwo, jej grzechy nie są twoimi grzechami, tak jak grzechy Keris nie są moimi.

– Co mi powiedziałaś tamtej nocy, zanim mnie zostawiłaś i poszedłaś do Kauf? Spałam wtedy w wozie Izzi. Co wtedy powiedziałaś?

– Powiedziałem: Jesteś...

Ale Mauth ostatecznie stracił cierpliwość. Zostają siłą zaciągnięty do Poczekalni.

*Znajdę cię, Laio. Znajdę jakiś sposób. To nie jest koniec.* Wołam w myślach, ale kiedy jestem z powrotem w Poczekalni, słowa te znikają z mojej świadomości. Granica wybrzusza się, przestaje istnieć, za chwilę pęknie. Próbuję ją wzmocnić, ale to tak jakbym korkiem zatykał pękającą tamę.

„Wszystko ma swoją cenę, Eliasie. – Słowa dzinna są nieubłagane. – Ostrzegliśmy cię”.

Poczekalnię rozrywa potworny ryk, który zdaje się dochodzić z samych trzewi ziemi. Duchy z wrzaskiem rzucają się na granicę. Muszę je powstrzymać. Podeszły

zbyt blisko. Za chwilę znajdą się na wolności.

*Za późno, uzurpatorze. Za późno.*

Umęczone dusze, którymi miałem się zajmować, ze skowytami przedzierają się przez barierę i wlewają do świata żywych, a ich wrzaski niesie w dal wiatr.

## XLI: Kruk Krwi

– Nie pójdę do augurów – mówię Marcusowi. Dobrze pamiętam, co powiedział mi Kain kilka tygodni temu. „Zobaczymy się jeszcze raz przed twoim końcem”. – Nic nie rozumiesz, oni...

– Odwagi, Kruku. – Marcus chwyta mnie za ramię i siłą wypycha z sali tronowej. – Te dziwadła potrafią każdego wystraszyć. Spodziewamy się inwazji, a oni widzą przyszłość. Pójdziemy razem do tej ich jaskini. Chyba że chcesz sprawdzić, czy zdołasz uleczyć roztrzaskaną rzepkę swojej siostry.

– Niech cię szlag...

Uderza mnie na odlew i łapię się za głowę, krzywiąc się. Ocieram wargi z krwi i rozglądam się wokół, a tymczasem on mamrocze coś do siebie. Sala tronowa jest pusta, ale w pobliżu kręcą się strażę.

– Weź się w garść – szepczę mu do ucha. – Lepiej, żeby Keris się o tym nie dowiedziała.

Marcus bierze głęboki wdech i wbija we mnie złowrogie spojrzenie.

– Zamknij się i ruszaj. – Choć mówi to cicho, w jego głosie wyraźnie słychać groźbę.

Pielgrzymi tłoczący się zwykle na szlaku prowadzącym do góry Videnns są teraz w mieście i przygotowują się na nadejście armii Grimarra. Teraz jest tu tylko Marcus, ja i tuzin Masek pełniących funkcję gwardii przybocznej imperatora. Przez całą drogę staram się powściągnąć gniew. Nie wolno mi działać pod wpływem impulsu. Choć szczerze nienawidzę augurów, to są jednak świętymi mężami Imperium. Skrzywdzenie jednego mogłoby wywołać straszliwe konsekwencje, a jeśli mnie się coś stanie, to Liwia i jej syn zostaną bez ochrony.

Przeklinam się w duchu. Nawet teraz, choć ich nie cierpię, daje o sobie znać długie szkolenie, które każe mi ich szanować. Sama myśl o tej niekonsekwencji przyprawia mnie o mdłości. *Zaprowadź tam Marcusa i pozwól mu mówić. Nie angażuj się. Nie zadawaj pytań. Nie pozwól, żeby mówili do ciebie. Powiedz im, że nie chcesz słuchać tego, co mają ci do powiedzenia.*

Burza, która krąży od rana, zawisa teraz nad szczytami gór, moczy nas do suchej nitki i zmienia ścieżkę prowadzącą do siedziby augurów w zdradliwą, śliską, śmiertelną pułapkę. Jesteśmy cali unurzani w błocie i podrapani przez gałęzie drzew, co wprawia Marcusa w jeszcze gorszy nastrój niż zwykle.

W jaskini augurów panują ciemności i nie ma śladów życia. Przez krótką chwilę łudzę się nadzieją, że wieszczce nie wpuszczą nas do środka. Znani są z tego, że potrafią być niegościnni.

Ale kiedy kierujemy się ku wejściu, rozbłyskuje niebieskie światło i od skały odrywa się cień z widocznymi nawet z daleka czerwonymi oczami. Zbliżamy się, a cień przemawia. To ta sama augurka, z którą ostatnio rozmawiałam.



– Imperator Marcus Farrar. Kruk Krwi. Witajcie, jesteście mile widziani. Ale wasi ludzie muszą pozostać na zewnątrz.

Tak jak ostatnim razem, kiedy tu byłam, augurka prowadzi nas długim tunelem połyskującym szafirowo w blasku błękitnych płomieni lamp. Chwytam za rękojeść szabli, kiedy przypominam sobie tamten dzień. *Najpierw muszę cię zniszczyć, złamać.*

Wtedy byłam jeszcze Heleną Aquillą. Teraz jestem kimś nowym. Choć moja psychiczna tarcza nie ochroniła mnie przed Zwiastunem Nocy, używam jej. Gdyby te czerwone demony miały ochotę pogrzebać mi w głowie, dowiedzą się przynajmniej, że są tam niemile widziani.

W głębi góry czeka na nas augurka, której imienia nie znam. Widzę jednak, jak Marcus bierze głęboki wdech, i wnoszę z tego, że dobrze ją zna.

– Artan. – Marcus wymawia jej imię z takim samym prychnięciem, z jakim ja witałam Kaina.

– Dawno już imperatorzy wojańscy nie przychodzili do augurów w potrzebie – odzywa się Artan. – Szukasz rady, Marcusie. Mam zaszczyt ci jej udzielić. Usiądź, proszę. Porozmawiam z tobą. – Wskazuje niską ławę, a potem odchrząkuje i zerka na mnie. – W cztery oczy.

Ta sama kobieta, która wprowadziła nas do jaskini, chwyta mnie za ramię i wyprowadza z sali. Po drodze nie odzywa się do mnie. Gdzieś w oddali słyszę kapiącą wodę, a potem dźwięk przypominający szczęk stali. Brzmi w tym miejscu dziwnie, wręcz niestosownie.

Wchodzimy do okrągłej komory o ścianach połyskujących czarnymi kamieniami. Z cienia wyłania się Kain, a ja bez zastanowienia sięgam po broń.

– Nie, Kruku. – Kain unosi dłoń, powstrzymując mój ruch. – Tu nic ci nie grozi.

Niechętnie puszczam rękojeść szabli i szukam czegoś, co uciszy mój gniew.

– Co to za dźwięk? – pytam. – Jest wyjątkowo irytujący.

– To tylko jaskinie wyśpiewują swoje historie – odpowiada Kain. – Jedne są pełne kryształów, inne wody. Wiele jest tak małych jak domy, kilka tak wielkich, że pomieściłyby całe miasto. Ale zawsze śpiewają. Czasem słyszymy dźwięki syren statków opuszczających Delphinium.

– Delphinium jest oddalone o setki mil – zauważam. Na bogów, wiedziałam, że pod miastem ciągną się jaskinie i tunele, ale nie przypuszczałam, że system jaskiń augurów jest tak rozbudowany. Ziemia na zachód stąd to lita skała, a w tamtejszych jaskiniach mieszkują tylko niedźwiedzie i dzikie koty. Sądziłam, że w górach na wschód stąd jest podobnie.

Kain przygląda mi się badawczo.

– Bardzo się zmieniłaś, Kruku Krwi. Twój umysł jest zamknięty.

Czuję ogromną satysfakcję, będąc musiała opowiedzieć o tym Harperowi.

– Nauczył cię tego Meherya, tak jak Farrarów? – Widząc moje zaskoczenie,

wyjaśnia: – Ty nazywasz go Zwiastunem Nocy.

– Nie – odpowiadam ze złością. I sama zadaję pytanie: – Dlaczego nazywasz go Meheryą? Czy to jego imię?

– Jego imię, jego historia, jego prawo przysługujące z urodzenia i jego przekleństwo. Prawda o każdym stworzeniu, czy to człowieku, czy dzinnie, jest zawarta w jego imieniu. – Kain przekrzywia głowę. – Ale czy przyszedłeś tutaj pytać o Zwiastuna Nocy, Kruku Krwi?

– Wcale nie chciałam tu przychodzić – odpowiadam. – Marcus kazał mi sobie towarzyszyć.

– Aha. W takim razie porozmawiajmy niezobowiązująco. Jak czuje się twoja siostra? Wkrótce zostanie przecież matką.

– Jeśli wcześniej nie zabije jej komendantka. I jeśli przeżyje poród. – I choć tego nie chcę, szukam w jego oczach odpowiedzi na moje wątpliwości. Nie znajduję w nich jednak niczego.

Kain krąży wokół pomieszczenia, a ja bezwiednie idę za nim krok w krok.

– Plemieńcy mówią, że niebiosy leżą u stóp matki – mówi Kain. – Tak wielkie jest jej poświęcenie. Faktycznie, nikt nie cierpi w czasie wojny bardziej niż matka. W tej wojnie nie będzie inaczej.

– Chcesz powiedzieć, że Liwia będzie cierpieć? – Mam ochotę wydusić z niego odpowiedź. – Teraz jest bezpieczna.

– Nikt nie jest bezpieczny. – Stary Augur przeszywa mnie wzrokiem. – Jeszcze się tego nie nauczyłaś, Kruku Krwi? – Wyczuwam w jego słowach zniewagę i moje palce zbliżają się do rękojeści młota.

– Chciałabyś sprawić mi ból – mówi Kain. – Ale już teraz każdy mój oddech jest torturą. Dawno temu zabrałem coś, co nie należało do mnie. I teraz ja, cały mój ród, płacimy za to.

Nie dostrzegając u mnie choćby śladu współczucia, wzdycha ciężko.

– Już niedługo, Kruku Krwi, będziesz świadkiem upadku moich braci i mnie. I nie będziesz potrzebowała młota ani szabli, ponieważ zniszczymy się sami. Zbliży się czas pokuty za grzechy. – Spogląda na korytarz za moimi plecami. – To samo czeka twojego imperatora.

Chwilę później pojawia się Marcus z ponurą miną. Mało kurtuazyjnie kiwam Kainowi głową na pożegnanie. Mam nadzieję, że nigdy go już nie spotkam.

Wychodzimy z tunelu i dostrzegamy naszych ludzi ścieśnionych pomiędzy wielkimi głazami, chroniącymi ich przed zacinającym deszczem.

– Będziesz dowodziła obroną miasta – zwraca się do mnie Marcus. – Poinformuję o tym generałów.

– Większość z nich ma znacznie większe doświadczenie w radzeniu sobie z łupieżczymi armiami, mój panie.

*Siła Kruka jest siłą Imperium, ponieważ ona jest pochodnią w mroku. Twój ród będzie rósł w potęgę i upadał za sprawą jej bojowego młota, twój los będzie lepszy lub gorszy zgodnie z jej wolą.*

Kiedy Marcus patrzy na mnie, wiem, jak musiał czuć się Kain, kiedy to ja na niego patrzyłam... Z oczu imperatora bije czysta nienawiść. A przy tym jest dziwnie przygaszony. Nie powiedział mi wszystkiego, co usłyszał od augurki.

– Czy... czy augurka powiedziała coś jeszcze...?

– Ta wiedźma się nie myli – odpowiada Marcus. – Ani co do mnie, ani co do ciebie. Dlatego, czy ci się to podoba, czy nie, Kruku, obrona Antium będzie w twoich rękach.

Jest już ciemna noc, kiedy docieramy do północnych bram miasta. Grupy plebejuszy wzmacniają mury, popędzani przez wrzaskliwego legionistę. W powietrzu unosi się drażniący smród smoły, którą żołnierze taszczą w beczkach po drabinie na szczyt murów miejskich. Rzemieślnicy dowożą wozami strzały dla łuczników. Choć księżyc jest wysoko na niebie, wydaje się, że nikt tej nocy w mieście nie śpi. Uliczni sprzedawcy oferują jedzenie i piwo, a scholarscy niewolnicy donoszą wodę ciężko pracującym ludziom.

To się wkrótce zmieni. Kiedy Karkaunowie podejną do miasta, cywilom nakaże się powrót do domów, gdzie będą czekać i z niepokojem obserwować, czy ich bracia i ojcowie, wujowie i kuzyni, synowie i wnukowie zdołają utrzymać miasto. Ale w tej chwili, kiedy wszyscy ludzie są tutaj, nieustraszeni, serce mi rośnie. Niech się dzieje, co chce, cieszę się, że jestem tu, by walczyć razem z moim ludem. I cieszę się, że jestem Krukiem Krwi, który poprowadzi Wojan do zwycięstwa. Do zwycięstwa nie tylko nad Karkaunami, ale także nad komendantką.

Marcus zdaje się niczego nie dostrzegać. Zatopiony w myślach kroczy przed siebie, nie oglądając się na tych, którzy ciężko pracują dla dobra Imperium.

– Mój panie – wyrywam go z zamyślenia. – Może zatrzymasz się na chwilę, żeby docenić pracę robotników.

– Musimy opracować wojenne plany.

– Wojny wygrywa się i przegrywa za sprawą ludzi, którzy w nich walczą – przypominam mu. – Zatrzymaj się choć na chwilę. Będą ci to pamiętać.

Spogląda na mnie z irytacją, ale ostatecznie podchodzi do oddziału posiłkowych. Obserwuję to z dystansu i kątem oka dostrzegam grupkę dzieci. Jedno z nich, dziewczynka, ma na twarzy drewnianą, pomalowaną srebrną farbą maskę i walczy z nieco młodszą dziewczynką udającą zapewne Barbaryjkę. Klekot ich drewnianych mieczy jest kolejnym instrumentem wygrywającym rozszalałą symfonię miasta gotującego się do wojny.

Dziewczynka w masce robi unik przed ciosem, kopie przeciwniczkę w zadek, przewraca ją i dociska butem do ziemi.

Wybucham śmiechem, a dziewczynka, widząc mnie, szybko zdejmuje maskę

z twarzy i nieudolnie salutuje. Ta druga, pewnie jej młodsza siostra, gapi się na mnie z otwartą szeroko buzią.

– Łokieć wyżej. – Poprawiam postawę małej wojowniczkii. – Ramiona wyprostowane, a czubek środkowego palca na wysokości czoła. Skup uwagę na przestrzeni pomiędzy tobą a mną. Staraj się nie mrugać oczami. Dobrze. Teraz wyglądasz jak Maska.

– Chryssa mówi, że jestem za mała. – Zerka na patrzącą nieruchomo siostrę. – Ale i tak będę walczyć z Karkaunami, kiedy tu przyjdą.

– Wtedy na pewno ich pokonamy. – Patrzę teraz na obie siostry. – Troszczcie się o siebie nawzajem. Zawsze. Obiecacie mi to.

Odchodząc, zastanawiam się, czy będą pamiętać o swojej obietnicy za dziesięć, dwadzieścia lat. Zastanawiam się, czy będą jeszcze wtedy żyły. Myślę o Liwii, mam nadzieję, że bezpiecznej tam daleko. Ta nadzieja dodaje mi otuchy. Pokonamy armię Grimarra. Jesteśmy najpotężniejszymi wojownikami. Choć czarownik jest sprytnym przeciwnikiem i walka będzie ciężka. Nikt nie wie, co się może wydarzyć w bitewnym chaosie. Prześladowują mnie słowa Kaina: „Nikt nie jest bezpieczny”. Niech będzie przeklęta komendantka, która z chciwości sprowadziła na nas to nieszczęście. Niech będzie przeklęta za to, że bardziej troszczy się o to, czy zostanie imperatorem, niż o Imperium, którym chciałyby władać.

Marcus woła, żebym się pospieszyła. Wracamy do pałacu, gdzie jest rojno i gwarno jak w ulu. Konie, ludzie, broń i wozy blokują bramy, a strażnicy wzmocniają ściany workami z piaskiem i wbijają w ziemię pale. Wchodzi i wychodzi taki tabun ludzi, że trudno byłoby zabezpieczyć pałac przed przeniknięciem szpiegów komendantki, a także nasłanych przez nią zabójców.

Przyjdź po Marcusa, Keris, myślę sobie. Wykonaj za mnie brudną robotę. Ale nie waż się nigdy więcej podnieść ręki na moją siostrę i jej dziecko. Póki żyję, nie pozwolę na to.

Kiedy zbliżamy się do sali tronowej, słyszę jakiś szmer. Wydaje mi się, że któryś z dworzan wyszeptał imię komendantki, ale Marcus idzie zbyt szybko i nie mogę się wsłuchać w rozmowy. Drzwi sali tronowej otwierają się na oścież przed idącym rażno Marcusem. W środku kłębi się tłum ilustriańskich notabli czekających na to, co powie imperator na temat zbliżającej się armii wroga. Nie czuję atmosfery strachu, raczej ponurą determinację i dziwne napięcie, jakby wszyscy znali jakiś sekret, ale nie chcieli go ujawnić.

Źródło tego napięcia staje się oczywiste już w następnej chwili, kiedy ilustrianie rozstępują się na boki i naszym oczom ukazuje się drobna blondynka w zakrwawionej zbroi, stojąca obok innej blondynki, wysokiej i ciężarnej.

Komendantka wróciła do miasta.

I przywiozła ze sobą moją siostrę.

## XLII: Laia

W dniu, kiedy matka dała mi bransoletkę, miałam pięć lat. Zastłony w oknach domu babci były zaciągnięte. Nie mogłam widzieć księżycy. Musiał tam być dziadek. A także Darin, Lis i ojciec. Ale najlepiej zapamiętałam krzywy uśmiech matki. Jej lazurkowe oczy i długie palce. Siedziałam jej na kolanach i próbowałam wetknąć zmarznięte stopy pod jej koszulę. „Nie jesteś Laią – powiedziała wtedy. – Jesteś ifrytem z północy, który chce mnie zamienić w sopel lodu”.

Ktoś zawołał: „Pora iść!”. Szepnęła mi do ucha, żebym pilnowała bransoletki. Potem objęła mnie i uściśnięła trochę za mocno, choć wcale mi to nie przeszkadzało. Chciałam ją zatrzymać.

„Zobaczymy się znowu”. Ucałowała moje dłonie i czoło. „Przysięgam”.

„Kiedy?”

„Wkrótce”.

Furtka w bramie zaskrzypiała, kiedy przez nią wychodziła. Uśmiechnęła się jeszcze do mnie i Darina, wciśniętych pomiędzy dziadków. Potem wkroczyła w noc i pochłonęła ją ciemność.

\*\*\*

Wciąż jeszcze nie pozbierałam się po tym, co pokazał mi Zwiastun Nocy. Straszne jest to, że wciąż wkrada się do mojego umysłu. Trzymam w ręku bransoletkę otrzymaną od Eliasa. Wreszcie uwolniłam się od dzinnów. Chwiejnym krokiem oddalam się od Lasu, a kiedy głosy duchów stają się głośniejsze, przyspieszam. „Zmarły powstanie i nikt nie przeżyje”. W uszach dźwięczy mi przepowiednia Shaevy. W Poczekalni dzieje się coś strasznego i muszę uciekać jak najdalej od tego miejsca.

Biegnę, powtarzając sobie, co mam do zrobienia, i próbując pozbyć się z głowy głosu Zwiastuna Nocy.

Musa zaznaczył na mapie wioskę. Muszę do niej dotrzeć, spotkać się z jego człowiekiem i stamtąd pójść do Antium. Ale wcześniej zbiorę strzępy swojego umysłu i poskładam je ponownie w całość. Nie zmienię tego, co się stało. Mogę tylko iść naprzód i mieć nadzieję, że zanim ponownie spotkam Kucharkę, pogodzę się z tym, co zrobiła ojcu i Lis. Z tym, co wycierpiała. Z tym, co poświęciła dla ruchu oporu.

Kieruję się na północny zachód. Kilka mil przede mną wyrastają dwa bliźniacze wzgórza. W kotlinie pomiędzy nimi powinna skrywać się wioska Myrtium. Tam ma czekać na mnie zaufany człowiek Musy. Ponieważ znajduję się na terytorium Wojan, powinnam użyć magii i stać się niewidzialna. Nie mogę jednak znieść myśli o kolejnych wizjach, w których zobaczę ból i cierpienie.

Nie mogę znieść myśli, że w tych wizjach zobaczę ją. Myślę o Darinie. Czy wiedział, co zrobiła matka? Czy dlatego stawał się taki spięty, ilekroć o niej wspomniałam? Tak bardzo chciałabym, żeby był teraz tutaj przy mnie.

Choć jestem niecierpliwa, mam dość rozsądku, by poczekać do zmroku i dopiero wtedy podkraść się do wioski. Jest ciepła letnia noc, a jedyny dźwięk, jaki słyszę, to szmer wiatru wiejącego łagodnie od pobliskiego strumyka. Mam wrażenie, że zachowuję się głośniej od konia z dzwoneczkami na szyi, kiedy skradam się wzdłuż ścian.

Zajazd znajduje się w samym środku wioski. Długo się rozglądam, zanim podejść bliżej. Musa niewiele powiedział mi o tym człowieku, bo bał się, że wrogowie wyciągną ze mnie te informacje, jeśli zostanę schwytana. Wiem jednak, że nie jest Wojaninem i że będzie na mnie czekał w zajeździe, przy palenisku. Mam się zasłonić peleryną, szepnąć mu, że przyszłam, a potem postępować zgodnie z jego instrukcjami. Zabierze mnie do ambasady Morzan w Antium, gdzie dostanę plany pałacu i miasta oraz informacje na temat Kruka Krwi. Potem wystarczy zabrać jej pierścień i uciec.

Ulicę przed zajazdem rozświetla złotawy blask sączący się z szerokich, okrągłych okien. Przy stołach siedzi mnóstwo ludzi. Docierają do mnie strzępki rozmów poruszonych gości.

– Jeśli Kruk ich nie powstrzyma...

– Jak ma ich powstrzymać, skoro ma tylko...

– Te świny nigdy nie zdobędą miasta, przecież nie potrafią walczyć...

Kryję się w cieniu i próbuję zajrzeć do wnętrza, choć stoję po drugiej stronie ulicy. To niemożliwe. Muszę podejść bliżej.

Zajazd ma też szereg mniejszych, bocznych okien, a alejka jest pusta, przeskakuję więc jednym susem przez plac, wspinam się na skrzynkę i zerkam do środka. Mam całkiem przywoity widok na salę, ale widzę tylko Wojan. Za chmarą kelnerów uwijających się z nalewaniem napojów i roznoszeniem talerzy z potrawami widzę długi bar, a przy nim tłum przekrzykujących się wzajemnie wieśniaków. Jak mam znaleźć tajemniczego człowieka w tym gąszczu? Nie mam wyboru, muszę przybrać niewidzialność.

– Witaj, dziewczyno.

Podskakuję za strachu. Kiedy za mną pojawia się postać w kapturze, kiedy słyszę jej chrypiący głos, przychodzi mi na myśl, że wyszedł mnie Zwiastun Nocy i zaraz zacznie bawić się moim umysłem.

Ale tajemnicza postać podchodzi bliżej i ściąga kaptur, kryją się pod nim białe jak światło księżycy włosy, błękitne oczy i pokryta bliznami twarz, na której po raz pierwszy dostrzegam wyraźne zmarszczki. Palce ma poplamione na dziwny złotorudy kolor. Zwodzi mnie jej niski wzrost, zawsze myślałam, że jest wysoka.

– Dziewczyno?

Wyciągam rękę, żeby jej dotknąć, ale odsuwa się. *Jak to możliwe? Jak to możliwe,*

że po tak długim czasie patrzę w twarz matce?

To jest prawdziwe. Zwiastun Nocy musiał widzieć, że będzie tu czekać, bo po co dręczyłby mnie opowieścią o jej prawdziwej naturze. Mógł mi pokazać, kim była, już wiele tygodni temu, w wizjach po porzuceniu niewidzialności. Wtedy nie zrobił tego. Wiedział, że teraz zaboli mnie to najmocniej.

Z jednej strony mam ochotę podbiec do niej, poczuć jej dłonie na swojej skórze. Chciałabym, żeby Darin tu był. I Izzi.

A z drugiej strony wiem, że matka milczy, bo mam ochotę wykrzyknąć jej prosto w twarz: „Kłamałaś!”. Zadać te wszystkie pytania, które dręczą mnie od chwili, gdy dowiedziałam się, kim jest. Na jej twarzy pojawia się zrozumienie.

– Kto ci powiedział? – Zimne spojrzenie jej oczu jest takie obce. – To nie Musa. On nic nie wie. Nikt nie wie, oprócz Keris, oczywiście.

– Zwiastun Nocy – odpowiadam szeptem. – Zwiastun Nocy powiedział mi, kim jesteś.

– Kim byłam. – Naciąga kaptur i odwraca się w stronę mroku. – Chodź. Porozmawiamy po drodze.

Kiedy odwraca się do mnie tyłem, ogarnia mnie panika. *Nie odchodź!* Chcę za nią pobiec. A jednocześnie nie chcę jej więcej widzieć na oczy.

– Nigdzie z tobą nie pójdę – rzucam hardo – póki nie powiesz mi, co się z tobą działo. Dlaczego nic nie powiedziałaś w Czarnym Klifie? Przez tyle lat byłaś niewolnicą Keris. Jak mogłaś...

Na przemian zaciska i rozprostowuje palce. Tak jak Darin, kiedy jest niespokojny.

Wpatruję się w nią, ale ona nie odwzajemnia spojrzenia. Krzywi się w grymasie.

– Posłuchaj, dziewczyno – odzywa się. – Musimy iść. Masz misję do wypełnienia. Nie zapominaj o tym.

– Misja, misja... Jak możesz... – Mijam ją i idę dalej. – Poradzę sobie. Nie potrzebuję cię. Nie...

Po kilku krokach odwracam się. Nie mogę jej tak zostawić. Brakowało mi jej przez tyle czasu. Tęskniłam za nią, odkąd skończyłam pięć lat.

– Przed nami daleka droga. – Zupełnie nie mówi jak matka, którą znałam. To nie jest ta kobieta, która nazywała mnie Świerszczykiem, łaskotała do utraty tchu, obiecywała, że nauczy mnie strzelać z łuku. Kimkolwiek jest teraz, nie jest już Mirrą z Serry.

– Po drodze będziesz miała dość czasu, żeby na mnie krzyknąć. Nie mam nic przeciwko temu. – Jej usta unoszą się w szyderczym uśmiechu. – Ale nie możemy zwlekać. Kruk Krwi jest w Antium i tam musimy się udać. Ale jeśli się nie pospieszymy, nie uda nam się wejść do miasta.

– Nie – szepczę. – Najpierw załatwmy nasze sprawy. One są ważniejsze, a poza tym musisz znać dziesiątki sposobów na wślizgnięcie się do miasta...

– Znam – odpowiada Kucharka. – Ale na stolicę maszerują dziesiątki tysięcy Karkaunów i moje sposoby nie zdadzą się na nic, kiedy najeźdźcy okrążą miasto.



## XLIII: Kruk Krwi

Faris i Rallius są bladzi jak śmierć, kiedy spotykam ich w apartamentach Liwii. Obaj są roztrzęsieni po tym, co przeżyli, obaj mają liczne krwawiące rany. Nie mam czasu, żeby się z nimi cackać. Muszę wiedzieć, co tam się stało i jakim cudem Keris znowu nas przechytrzyła.

– To był atak Karkaunów. – Faris krąży po salonie Liwii, podczas gdy imperatorową dwórkę umieściły w jej sypialni. – Dwustu przeklętych diabłów. Pojawili się znikąd.

– Czekali. – Rallius postępuje, bandażując sobie nogę. – Może nie na imperatorową, ale z pewnością na jakąś okazję. Gdyby nie pojawiła się Keris ze swoimi ludźmi, byłoby z nami krucho.

– Gdyby nie pojawiła się Keris – rzucam poirytowana – to nie pojawiłby się też Grimarr ze swoimi hordami. Ona z nimi współpracuje. Zrobiła to, żeby dostać w swoje ręce Liwię. Dzięki bogom, byliście wy i pozostałe Maski. Musiała zdać sobie sprawę, że nie zdoła zabić was wszystkich, więc postanowiła odgrywać bohaterkę.

Przebiegłe i pokrętne, zgoda, ale jakże typowe dla komendantki. Zawsze miała łatwość dostosowania się do sytuacji. Teraz plebejusze w mieście okrzykną ją bohaterką, bo uratowała życie na wpół plebejuszowskiego następcy tronu.

– Idźcie się umyć – mówię. – A potem... potroić strażę wokół imperatorowej. Jej posiłki mają być próbowane dzień wcześniej. Jeden z was ma być obecny przy ich przygotowywaniu. Liwia ma nie opuszczać pałacu. Jeśli będzie chciała zażyć świeżego powietrza, może się wybrać na spacer do ogrodu.

Mężczyźni wychodzą, a ja powtarzam sobie w myślach to, co od nich usłyszałam, czekając na Dexa, którego posłałam po położną. Kiedy wreszcie po kilku godzinach wraca, prowadzi ze sobą inną kobietę, nie tę, którą osobiście wybrałam.

– Tamta zniknęła, Kruku – tłumaczy mi Dex, a nowa położna zaczyna krzątać się w apartamentach Liwii. – Najwidoczniej wyjechała z miasta. Podobnie jak wszystkie inne położne, które próbowałem znaleźć. Ta przyszła tylko dlatego, że jest Morzanką. Nie wiem, kogo Keris Veturia posłała, żeby zastraszył tamte kobiety, ale najwyraźniej do tej nie trafił.

Przeklinam pod nosem. Keris uratowała moją siostrę przed Karkaunami, bo tak jej pasowało, i plebejusze wygłaszają peany na jej cześć. Ale teraz będzie się starała zabić Liwię po cichu, dyskretnie. Mnóstwo kobiet umiera w trakcie porodu, zwłaszcza jeśli nie ma przy nich położnej.

– A co z lekarzami z koszar? Przynajmniej jeden powinien potrafić przyjąć poród.

– Oni znają się na ranach odniesionych na polach bitewnych, a nie na porodach, Kruku. Od tego są akuszerki. To ich słowa – zastrzega szybko, widząc mój gniew – nie moje.

Nowa położna, chuda Morzanka o delikatnych dłoniach i dudniącym głose, który

zawstydziliby niejednego wojańskiego sierżanta uczącego rekrutów dyscypliny, uśmiecha się do Liwii i zadaje jej mnóstwo pytań.

– Utrzymaj tę jedną przy życiu, Dex – szepczę. – Nie obchodzi mnie, czy postawisz przy niej tuzin strażników, czy zamieszkas z nią w koszarach Czarnej Gwardii. Ona ma żyć. Poszukaj też zastępczyni. To pewnie niejedyna położna, jaka została w mieście.

Dex kiwa głową i choć pozwalam mu odejść, widzę, że się ociąga.

– Wyduś to wreszcie z siebie, Atriusie.

– Chodzi o plebejuszy. Pewnie słyszałaś, że coraz bardziej ochoczo wspierają komendantkę. Ale... robi się jeszcze gorzej.

– Jakim cudem może być jeszcze gorzej?

– Coraz szersze kręgi zatacza plotka, jakoby zamordowała wysoko urodzonych ilustrian, którzy jej się przeciwstawili – tłumaczy Dex. – Notable są wkurzeni. Ale plebejusze uważają, że Keris stawiała czoło potężniejszym od siebie. Twierdzą, że stanęła w obronie mężczyzny, plebejusza, którego kochała. Ich zdaniem ilustrianie, którzy zginęli, zasłużyli na śmierć.

*O bogowie.* Jeśli komendantka ma teraz wsparcie plebejuszy, to znaczy, że nie wyrządziłam jej żadnej krzywdy. Przeciwnie, powiększyłam tylko listę jej sojuszników.

– Pozwól plotkom krążyć – mówię, a kiedy Dex kiwa głową, wzdycham. – Musimy znaleźć inny sposób na podkopanie jej reputacji.

W tym samym momencie w drzwiach pojawia się głowa położnej, która gestem przywołuje mnie do sypialni Liwii.

– Jest silny jak tur. – Patrzy na mnie rozpromieniona i z czułością poklepuje brzuch Liwii. – Imperatorowa i dziecko mają się dobrze. Jeszcze kilka tygodni, dziewczeczko, i będziesz trzymała w ramionach swój skarb.

– Czy możemy coś dla niej zrobić? Jakiś napar albo... – Zdaję sobie sprawę, że zachowuję się jak idiotka.

*Napar, Kruku? Naprawdę?*

– Płatki róży gotowane w kozim mleku każdego ranka, aż pojawi się jej własne mleko – odpowiada akuszerka. – I herbatka z hibiskusa dwa razy dziennie.

Kiedy kobieta w końcu wychodzi, Liwia siada na łóżku, a ja ze zdumieniem dostrzegam nóż w jej dłoni.

– Zabij ją – szepcze.

– Akuszerkę? – Unoszę ze zdziwieniem brwi. – Dlaczego...

– Płatki róży – tłumaczy Liwia – podaje się kobiecie, kiedy spóźnia się poród i trzeba go wywołać. A mój termin jest dopiero za kilka tygodni. Urodzenie dziecka teraz byłoby dla niego niebezpieczne.

Bezwzględnie przywołuję Dexa. A kiedy wychodzi z bronią w ręku, Liwia kręci

tylko głową.

– To wszystko sprawka Keris, prawda? Atak Karkaunów. Zniknięcie akuszerki. Ta akuszerka.

– Powstrzymam ją – obiecuję siostrze. – Nie spodziewam się, żebyś mi uwierzyła, bo wszystko, co do tej pory zrobiłam, nic nie dało, ale...

– Nie. – Liwia chwyta moją dłoń. – Nie stawajmy przeciwko sobie, Hel... Kruku. Niezależnie od tego, co się wydarzy. I tak, musisz ją powstrzymać. Ale musimy także utrzymać poparcie plebejuszy. Jeśli oni teraz wspierają Keris, nie możesz jawnie przeciwko niej wystąpić. Nie posadzimy tego dziecka na tronie, jeśli plebejusze nie uznają go za swego. A nie uznają, jeśli zaatakujesz Keris.

\*\*\*

Wieczór zastaje mnie w sali dowodzenia, gdzie spieram się z głowami rodów i próbuję ich uciszyć.

Generał Sissellius, który okazuje się równie irytujący jak jego wynaturzony wuj, naczelnik więzienia Kauf, obchodzi dookoła stół i rozłożoną na nim mapę, którą co chwila dźga wyprostowanym palcem.

– Jeśli pošlemy jakiś mały oddział, żeby powstrzymał Grimarra – tłumaczy – to stracimy dobrych ludzi w beznadziejnej misji. W misji samobójczej. Jak można rzucić pięciuset, nawet tysiąc żołnierzy przeciwko armii stukrotnie liczebniejszej?

Avitas, który niedawno do mnie dołączył, rzuca mi znaczące spojrzenie. *Nie trać cierpliwości*, zdaje się mówić jego wzrok.

– Jeśli wyślemy większe siły – powtarzam chyba tysięczny raz – pozostawimy Antium bezbronne. Bez posiłków z Estium i Silas mamy tylko sześć legionów do utrzymania miasta. Posiłki z terytoriów Plemieńców, Navium i Tiborum dotrą tu nie wcześniej niż za miesiąc. Musimy posłać do natarcia mniejsze siły i spowodować maksymalnie dużo strat w szeregach wroga.

Ta taktyka jest tak prosta, iż dziwię się, że Sissellius i kilku innych generałów gwałtownie się jej sprzeciwiają. W końcu dociera do mnie, że starają się wykorzystać okazję, żeby w ten sposób osłabić moją pozycję, a co za tym idzie, pozycję Marcusa. Mogli już nie ufać komendantce, ale to nie oznaczało, że chcą dalej widzieć Marcusa na tronie.

Tymczasem imperator skupia całą swoją uwagę na Keris Veturii. Kiedy w końcu przenosi spojrzenie na mnie, jego mina mówi wszystko.

*Co ona tutaj robi, Kruku? Dlaczego jeszcze żyje?* Te jego oczy hieny płoną teraz gniewem i są zapowiedzią bólu, jaki sprawi mojej siostrze. Odwracam wzrok.

– Dlaczego to Kruk dowodzi armią? – dopytuje się Rufius. – Czy nie byłoby lepiej powierzyć dowództwo Keris Veturii? Nie wiem, czy to rozumiesz, imperatorze, ale to jest wysoce... – Jego wypowiedź kończy skowyt, kiedy Marcus niedbale rzuca nożem, który mija głowę Rufiusa o włos. Żalodne skrzeczenie Rufiusa sprawia mi

wiele radości.

– Spróbuj jeszcze raz odezwać się do mnie w ten sposób – mówi Marcus przez zaciśnięte zęby – a stracisz głowę. Keris ledwie obroniła port w Navium przed flotą Karkaunów.

Wymieniamy z Avitasem spojrzenia. Imperator po raz pierwszy ośmielił się wystąpić przeciwko komendantce.

– Kruk – ciągnie Marcus – odbiła port i uratowała życie tysięcy plebejuszy. Decyzja zapadła. To Kruk poprowadzi nasze wojska przeciwko Karkaunom.

– Ale mój panie...

Ramię Marcusa owija się błyskawicznie wokół szyi Rufiusa.

– Śmiało, mów dalej – zachęca go Marcus. – Słucham.

Rufius, ciężko dysząc, przeprosza i Marcus go puszcza. Patrycjusz wycofuje się chyłkiem jak kogut, który w ostatniej chwili uciekł z garnka. Imperator zwraca się do mnie:

– Niewielki oddział, Kruku. Uderzcie i uciekajcie. Nie bierzcie jeńców. I nie narażajcie się na niepotrzebne straty. Potrzebujemy każdego żołnierza do odparcia ataku na miasto.

Kątem oka widzę, że Keris mi się przygląda. Kiwa głową na powitanie. Zauważyła mnie po raz pierwszy, odkąd pojawiła się w Antium z moją siostrą. Przebiega mnie dreszcz. Ten wyraz jej twarzy – przebiegły, wyrachowany. Widziałam go jeszcze jako uczennica w Czarnym Klifie. Widziałam go też kilka miesięcy temu, tu w Antium, zanim Marcus zgładził moją rodzinę.

Teraz wiem, co on oznacza. Pojawia się, kiedy Keris zastawia pułapkę.

\*\*\*

Avitas pojawia się w moim gabinecie tuż po zachodzie słońca.

– Wszystko gotowe, Kruku – melduje. – Żołnierze wyjdą o świcie.

– Dobrze. – Przerywam i odchrząkuję. – Harper...

– Być może rozważasz, Kruku Krwi, czy nie powiedziec mi, że nie powinienem z wami iść. Że powinienem zostać tutaj, mieć na oku naszych wrogów i być w pobliżu imperatora, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Otwieram usta i zaraz je zamykam zdziwiona. Właśnie to chciałam mu powiedziec.

– Wybacz. – Widzę, jaki Avitas jest zmęczony. Zrzuciłam na jego barki zbyt dużo.

– Ale tego właśnie oczekuje komendantka. Może nawet na to liczy. Cokolwiek zaplanowała, na pewno nie zamierza zostawić cię przy życiu. A będziesz miała znacznie większe szanse przeżycia, jeśli ktoś będzie ją uważnie obserwował.

– Co ona kombinuje? – zastanawiam się głośno. – Oprócz próby przejęcia tronu, oczywiście. Dostałam meldunki, że ludzi z rodu Veturia widziano w archiwum. Kilka

godzin po powrocie Keris zaprosiła do swojej willi przedstawicieli trzech najpotężniejszych ilustrijskich rodów. Przekabaciła nawet ministra skarbu. Dziesięć lat temu zamordowała jego syna i zrobiła sobie wtedy tatuaż będący symbolem jej triumfu. Ci ludzie powinni jej nienawidzić, a tymczasem przełamują się z nią chlebem.

– Zabiega o ich względy – zauważyła Harper. – Próbuje grać ci na nerwach. W Navium udało ci się ją zaskoczyć. Drugi raz na to nie pozwoli i dlatego powinienem zostać z tobą. – Widząc moje wahanie, traci cierpliwość. – Rusz głową, Kruku! Kazała otruć kapitana Alistara. Otruła Favrusa. Dobrała się do imperatorowej. Nie jesteś nieśmiertelna. Do ciebie też może się dobrać. Bądź rozsądna, na bogów. Potrzebujemy cię. Nie możesz stać się zabawką w jej rękach.

Nie zastanawiam się nad następną kwestią. Słowa same płyną z moich ust.

– Dlaczego tak się przejmujesz moim losem?

– A jak sądzisz? – odpowiada ostro. A kiedy nasze spojrzenia się spotykają, widzę w jego oczach autentyczny gniew. – Jesteś Krukiem Krwi. Ja jestem twoim zastępcą. Zapewnienie ci bezpieczeństwa jest moim obowiązkiem.

– Czasem wolałabym, Avitasie – wzdycham – żebyś mówił to, co naprawdę myślisz. Mimo to pójdiesz ze mną. – Widząc wyraz zaskoczenia na jego twarzy, przewracam oczami. – Nie jestem głupia, Harper. Trzymajmy Keris w ryzach. I jest coś jeszcze. – Rośnie we mnie niepokój. Żaden generał nie powiedziałby tego głośno przed bitwą, ale muszę rozważyć i taki scenariusz po rozmowie z Liwią na temat plebejuszy. – Czy są wyznaczone drogi ewakuacji z miasta, którymi mogłyby się przemieszczać duże grupy ludzi?

– Przygotuję je.

– Zrób to, zanim wyruszymy – mówię. – Wydaj rozkazy. Drogi mają zostać utrzymane za wszelką cenę.

– Sądzisz, że nie odeprzemy natarcia Karkaunów?

– Sądzę, że skoro oni sprzymierzili się z Keris, głupotą byłoby ich nie doceniać. Może nie wiemy na razie, jaką grę prowadzi Keris, ale trzeba przygotować się na najgorsze.

Wyruszamy następnego ranka, a ja wyrzucam z głowy Keris i jej machinacje. Jeśli zdołam rozgromić siły Grimarra, a przynajmniej mocno je osłabić, zanim dotrą do Antium, Keris straci szansę na zdetronizowanie Marcusa i to ja, a nie ona, zostanę okrzyknięta bohaterką. Karkaunów dzieli dwanaście dni drogi od miasta, ale moje wojska mogą poruszać się szybciej. Moi ludzie za pięć dni powinni urządzać im piekło.

Nasz oddział jest mniejszy, więc jedziemy szybciej i wieczorem trzeciego dnia zwiadowcy potwierdzają, że tak jak raportował Dex, siły Karkaunów zgromadziły się na przełęczy Umbral. Są z nimi ludzie z plemienia Tundaran. To oni pewnie pokazali Grimarrowi drogę przez góry, bo znają je niemal tak dobrze jak Wojanie.

– Na co oni czekają? – pytam Dexa. – Powinni już dawno pokonać przełęcz i znaleźć się na otwartej przestrzeni.

– Może czekają na posiłki – zastanawia się na głos Dex – choć ich siły nie wydają się dużo większe od tych, które poprzednio widziałem.

Wysłałam swojego kuzyna Baristusa na zwiady na północ od przełęcz. Ma sprawdzić, czy do głównego korpusu wojsk dołączają kolejne oddziały Karkaunów. Ale kiedy wraca, rodzą się tylko kolejne pytania.

– To bardzo dziwne – relacjonuje Baristus. Dex, Avitas i ja siedzimy w moim namiocie, natomiast kuzyn krąży po nim zdenerwowany. – Przez przełęcz na północy nie przybywają posiłki. Rzeczywiście wygląda to tak, jakby Karkaunowie na coś czekali, ale nie mam pojęcia, na co. Myślałam, że czekają na broń albo pociski do swoich machin oblężniczych, ale oni nie mają takich machin. Jak w takim razie zamierzają pokonać mury Antium bez katapult i balist?

– Może Keris obiecała, że ich wpuści – podpowiadam. – A oni nie zdają sobie jeszcze sprawy, jaką jest krętaczką. To byłoby do niej podobne, gdyby grała na dwie strony.

– I co wtedy? – pyta Dex. – Pozwoli im oblegać miasto tygodniami?

– Będzie miała dość czasu, żeby znaleźć sposób na zaaranżowanie śmierci Marcusa w walce – odpowiadam. – I uniemożliwienie narodzin mojego siostrzeńca. – Nie ulega wątpliwości, że Keris chce rządzić Imperium, nie pozwoli więc zniszczyć stolicy. A to, że zginą tysiące ludzi? To dla niej nic nie znaczy. Już się o tym przekonałam. – Jeśli rozgromimy Karkaunów tutaj – ciągnę – to zdusimy jej zamiary w zarodku. – Przyglądam się planowi obozu Karkaunów, który dostarczył mi jeden z posiłkowych. Zaznaczono na nim magazyny żywnościowe, składy broni i innego wyposażenia. Najcenniejsze przedmioty ukryli w samym środku obozu, gdzie nie sposób się dostać z zewnątrz.

Są jednak ze mną Maski. A słowo „niemożliwe” wybito nam już dawno z głów.

Moje wojsko uderza w środku nocy, kiedy większość Karkaunów jest pogrążona we śnie. Wartownicy zostają błyskawicznie unieszkodliwieni. Dex dowodzi oddziałem, który wdziera się do obozu i równie szybko stamtąd ucieka, nim pierwsze płomienie zaczną trawić magazyny żywnościowe. Udaje nam się zniszczyć jakąś jedną szóstą ich zapasów, ale wróg wszczyna alarm i musimy wycofać się w góry.

– Na następny wypad pójdę z tobą, Kruku – deklaruje Harper. – Coś mi się tu nie podoba. Kiedy zaatakowaliśmy, nawet nie podnieśli się z posłań.

– Może to efekt zaskoczenia. – Harper przechadza się nerwowo. Kładę dłoń na jego ramieniu, żeby go uspokoić. Między nami przeskakuje iskra. Harper patrzy na mnie zaskoczony, a ja szybko cofam rękę. – Je... jesteś mi potrzebny na tyłach – odzywam się, żeby ukryć zakłopotanie. – Jeśli coś pójdzie źle, będziesz musiał wycofać naszych ludzi do Antium.

Drugiego ataku dokonujemy tuż przed świtem, kiedy Karkaunowie wciąż jeszcze usuwają skutki poprzedniego. Tym razem to ja stoję na czele stuosobowej grupy

mężczyzn uzbrojonych w łuki i pochodnie.

Jednak nim pierwsza strzała poleci w kierunku wroga, staje się jasne, że tym razem Karkaunowie przygotowali się na nasze natarcie. Od głównego trzonu ich armii odrywa się na zachodzie skrzydło liczące ponad tysiąc ludzi i rusza wprost na nas tyralierą tak uporządkowaną, jakiej nigdy nie widziałam w ich oddziałach.

Ponieważ znajdujemy się wyżej, staramy się powalić strzałami z łuku jak najwięcej żołnierzy. Karkaunowie nie mają koni, a góry nie są terenem, w którym czują się pewnie. Nie znają ich tak dobrze jak my.

Kiedy kończą nam się strzały, zarządzam odwrót i w tej samej chwili słyszę głośnie dudnienie bębnow oddziałów Avitasa na tyłach. Jedno uderzenie, drugie, trzecie.

*Pułapka.* Opracowaliśmy wcześniej system sygnałów ostrzegawczych. Obracam się z młotem w rękę i czekam na atak. Moi żołnierze zwierają szyki. Konie rżą niespokojnie. Kiedy bębny odzywają się ponownie, słyszę miotane przekleństwa.

Ale tym razem bęben rozbrzmiewa nieustannie, rozpaczliwie wzywając pomocy.

– Zaatakowali tyły! – woła Dex. – Jakim cudem... – Urywa w pół zdania i z głośnym stęknięciem paruje nóż nadlatujący spomiędzy pobliskich drzew. Potem pozostaje nam myśleć, jak przeżyć, ponieważ zostajemy otoczeni przez Karkaunów. Wynurzają się z dobrze ukrytych dołów w ziemi, zeskakują z drzew, zasypują nas gradem strzał i ognia.

Tam gdzie znajdują się nasze tyły, słyszymy dzikie wrzaski kolejnych oddziałów wroga zbiegających ze wzgórz. Są ich tysiące. Od północy nadciągają kolejni. Tylko na południu ich nie ma, ale to zaraz może się zmienić.

*Już jesteśmy martwi.*

– Tamten jar. – Wskazuję wąską ścieżkę pomiędzy zaciskającymi się kleszczami wrogich wojsk. Przedzieramy się w jego kierunku. Za jarem jest rzeka, a dalej wodospad. Wyciągnięto tam na brzeg wystarczająco dużo łodzi, by pomieściły pozostałych przy życiu żołnierzy. – Szybciej! Zbliżają się!

Biegniemy ile sił w nogach, słysząc rozpaczliwe krzyki żołnierzy na tyłach ginących z rąk wroga. O bogowie, tylu dzielnych żołnierzy! Członków Czarnej Gwardii. I Avitas. Gdyby był z nami, może w porę dostrzegłby zasadzkę. Wycofalibyśmy się, zanim Karkaunowie zdążyliby zaatakować tyły.

A teraz...

Spoglądam na szczyty gór. Pewnie nie przeżył tej rzezi. Nikt jej nie przeżył. Wróg był zbyt liczny.

Nigdy nie powiedział Eliasowi, że są braćmi. Nigdy nie porozmawiał z Eliasem jak brat z bratem. I jeszcze to wszystko, co nawygadywałam w chwilach gniewu, kiedy jedyną jego przewiną była chęć chronienia mojego życia. I ta iskra, która między nami przeleciała i zgasła, nim zdążyłam ją nazwać. Pieką mnie oczy.

– Kruku! – krzyczy Dex i powala mnie na ziemię, kiedy nad nami przecina powietrze strzała. Zrywamy się i biegniemy dalej. Przed nami rozciąga się jar

opadający dwa i pół metra w dół ku pozostałościom strumienia. Kiedy się do niego zbliżamy, zasypuje nas grad strzał.

– Tarcze! – wołam. Stal uderza z klekotem w drewno, a po chwili znów puszcza się gęsiego biegiem. Oglądam się za siebie i liczę pozostałych przy życiu. Siedemdziesięciu pięciu z pięciuset wysłanych przez Marcusa.

Zbiegamy ścieżką obok wodospadu. Huk spadającej wody zagłusza wszystkie inne dźwięki. Ścieżka prowadzi zakosami i kończy się piaskiem, na który wyciągnięto tuzin łodzi.

Żołnierze nie potrzebują rozkazu. Za plecami słyszymy okrzyki bojowe Karkaunów. Łodzie odbijają od brzegu jedna po drugiej.

– Kruku! – Dex ciągnie mnie w kierunku jednej z łodzi. – Musimy płynąć.

– Nie, dopóki wszystkie łodzie nie odpłyną – odpowiadam. Czterystu dwudziestu pięciu ludzi... zginęło. Avitas... zginął. O bogowie, to stało się tak szybko.

Od strony ścieżki dobiega nas szcęk mieczy. Z młotem w ręku ruszam w tamtym kierunku. Jeśli pozostali tam moi ludzie, to przecież ich nie zostawię.

– Kruku, nie! – woła Dex, wyjmując szablę i biegnie za mną. Na początku ścieżki natykamy się na grupkę Wojan, wśród nich są trzy Maski. Walczą z dużo liczniejszym oddziałem Tundaranów. Grupka posiłkowych podtrzymuje czwartą Maskę. Krew płynie z jej szyi, rany na brzuchu i z uda.

To Harper.

Dex przejmuje go od posiłkowych i uginając się pod jego ciężarem, niesie go do ostatniej łodzi. Posiłkowi napinają łuki i strzelają tak szybko, że w powietrzu słychać nieustanny świst. Jedna z Masek odwraca się w moją stronę. To mój kuzyn, Baristus.

– Zatrzymamy ich! – woła do mnie. – Płyn, Kruku. Ostrzeż miasto. Ostrzeż imperatora. Powiedz im, że jest jeszcze jeden...

W tej samej chwili Dex odciąga mnie, usadza w łodzi i brodząc w wodzie, odpycha ją od brzegu. *Co mam im powiedzieć?* Chce mi się płakać. Dex wiosłuje z całych sił i łódź odpływa szybko z nurtem rzeki. Przyklękam obok Harpera.

Jego krew jest wszędzie. Gdyby nie było mnie przy nim, zmarłby w kilka minut. Chwytam go za rękę. Gdyby nie poświęcenie Baristusa, wszyscy bylibyśmy martwi.

Muszę teraz odszukać pieśń Harpera. Jest Maską, więc wszystkie jego myśli i emocje muszą być głęboko ukryte i niełatwo będzie znaleźć pieśń.

Tymczasem jest ona tuż pod powierzchnią, silna, jasna i wyraźna jak rozgwieżdżone niebo w zimową noc. Zagłębiam się w jej esencję. Widzę uśmiech ciemnowłosej kobiety o szeroko rozstawionych, zielonych oczach. To jego matka. I silne ramiona mężczyzny zaskakująco podobnego do Eliasa. Harper przemierza mroczne korytarze Czarnego Klifu i dzień po dniu doświadcza samotności, którą i ja znam bardzo dobrze. Tęskni za ojcem, tajemniczą postacią, prześladowającą go pustką, której nigdy nie zdoła zapełnić.

Jest otwartą książką, w której czytam, że to on uwolnił Laię kilka miesięcy temu,



kiedy wpadła w naszą pułapkę. Uwolnił ją, bo wiedział, że mogłabym ją zabić. Wiedział, że Elias nigdy by mi tego nie wybaczył. Widzę samą siebie w jego oczach: wściekłą, zimną i słabą, ale także silną, odważną i ciepłą. To nie Kruk Krwi. To Helena. Byłabym ślepa, gdybym nie dostrzegła, co do mnie czuje. Jestem wpleciona w jego świadomość, tak jak Elias był wpleciony w moją. Harper zawsze wie, gdzie jestem i czy nic złego mi się nie dzieje.

Kiedy jego rany są już zabliznione, a serce bije mocno, czuję się osłabiona i przerywam pieśń. Dex wpatruje się we mnie, nic nie rozumiejąc, ale nie odzywa się słowem.

Układam wygodniej głowę Harpera, a wtedy on otwiera oczy. Chcę go zrugać, ale jego chrapliwy szept każe mi zamilknąć.

– Grimarr i ludzie, którzy uderzyli na nasze tyły, nadeszli ze wschodu, Kruku Krwi. Zaatakowali mnie i zginąłbym...

Mam kolejny powód do nienawiści wobec tych świń.

– Musieli jakimś sposobem okrążyć nas – mówię. – Albo czekali...

– Nie. – Avitas chwyta sprzączkę mojej zbroi. – Oni naprawdę przyszli ze wschodu. Miałem przecucie i posłałem zwiadowcę. Jest jeszcze jedna armia. Grimarr podzielił swoje siły, Kruku. Wcale nie pięćdziesiąt tysięcy ludzi maszeruje na Antium. Jest ich dwa razy więcej.

## XLIV: Laia

Początkowo nie wiem, jak zwracać się do Kucharki. Matko? Mirro? Wpatruję się w nią dzikim wzrokiem i sama już nie wiem, czy chcę spróbować zrozumieć jej postępowanie, czy wykrzyczeć cały ból, jaki towarzyszy mi od dwunastu lat.

Może zechce coś powiedzieć, myślę. Wytłumaczyć, dlaczego przeżyła. Jakim cudem przeżyła. Nie spodziewam się usprawiedliwienia tego, co zrobiła w więzieniu. Nie ma przecież pojęcia, że ja wiem. Ale liczę, że wyjaśni, dlaczego przybrała fałszywą tożsamość. Że przynajmniej za to przeprosi.

Tymczasem Kucharka milczy, skupiając się na jak najszybszym pokonaniu drogi. Widzę ją na tysiące sposobów, nawet jeśli ona sama siebie nie widzi. Czuję, że mnie do siebie przyciąga. Nie było jej tyle lat. Nie chcę dłużej pielęgnować w sobie gniewu. Nie chcę z nią walczyć, tak jak walczyłam z Darinem. Pierwszej nocy naszej podróży usiadłam obok niej przy ognisku.

Na co liczyłam? Może na to, że będzie tą kobietą, która nazywała mnie Świerszczykiem, kładła ciężką, ale delikatną dłoń na mojej głowie. Kobietą, której uśmiech rozjaśniał mrok.

Ale kiedy koło niej siadam, ona odchrząkuje i odsuwa się ode mnie. Zaledwie o kilka cali, ale rozumiem, co to znaczy.

Swoim chropawym głosem pyta mnie o Izzi, o to, co się ze mną działo od czasu ucieczki z Czarnego Klifu. Z jednej strony nie mam ochoty odpowiadać na te pytania. *Nie zasłużyłaś na to, żeby wiedzieć. Nie zasłużyłaś na wysłuchanie mojej historii.* Ale z drugiej strony widzę w niej kobietę złamaną i trudno mi być wobec niej okrutną.

Dlatego opowiadam jej o Izzi. O jej poświęceniu. O swojej brawurze. Opowiadam o Zwiastunie Nocy. O Keenanie, o tym, jak zdradził nie tylko mnie, ale całą naszą rodzinę.

Co ona musi sobie myśleć o dziewczynie, która zakochała się w potworze? Czekam na jej osąd, ale milczy. Kiwa tylko głową, zaciska pięści i znika w mroku nocy. Rano nie wspomina o tym słowem.

W kolejne wieczory, kiedy tylko się poruszę, Kucharka wzdraga się, jakby bała się, że się do niej zbliżę. Trzymam się więc od niej z daleka, przy ognisku zawsze siadam naprzeciwko, w drodze pozostaję kilka kroków z tyłu. Mój umysł jest wzburzony, ale nie odzywam się. Jej milczenie knebluje mnie i dławi.

Nadchodzi moment, kiedy słowa muszą wybrzmieć, muszę je wypowiedzieć, nie licząc się z konsekwencjami.

– Dlaczego nie zabiłaś komendantki? – Noc jest ciepła i nie rozpalamy ogniska. Leżymy wpatrzone w gwiazdy. – Mogłaś ją otruć. Zasztyletować. Na bogów, jesteś przecież Mirrą z Serry...

– Mirra z Serry nie istnieje! – Kucharka skrzeczy tak głośno, że z gałęzi pobliskiego drzewa zrywa się spłoszone stado wróbli. – Nie żyje! Umarła w więzieniu

Kauf, kiedy umarli jej córka i mąż! Nie jestem Mirrą. Jestem Kucharką. I nie wspominaj przy mnie o tej zdradzieckiej suce, o tym, co mogła, a czego nie mogła zrobić. Nic o niej nie wiesz.

Oddycha ciężko, jej ciemne oczy rzucają gromy.

– Próbowałam, dziewczyno – szepcze. – Kiedy zaatakowałam ją po raz pierwszy, złamała mi rękę i wychłostała Izzi tak, że ledwo uszła z życiem. To dziecko miało wtedy pięć lat. A ja musiałam na to patrzeć. Kiedy przyszło mi do głowy, żeby spróbować jeszcze raz, Suka z Czarnego Klifu wyłupiła Izzi oko.

– Dlaczego nie uciekłaś? Na pewno miałaś okazję.

– Próbowałam. Ale ryzyko, że Keris nas złapie, było zbyt wielkie. A wtedy torturowałaby Izzi. Nie chciałam, żeby ludzie dalej cierpieli z mojego powodu. Może Mirra z Serry byłaby gotowa poświęcić dziecko, żeby ocalić własną skórę, ale to by oznaczało, że nie miała duszy. Mirra z Serry była równie zła jak komendantka. I ja nią nie jestem. Już nie.

– Nie pytasz o babcię i dziadka – szepczę. – Ani o Darina...

– Nie zasługuję na to, żeby wiedzieć, jak się miewa twój brat – odpowiada. – Ani twoi dziadkowie. – Na jej ustach wykwita lekki uśmiech. – Zemściłam się na ich zabójcy.

– Na Masce? – pytam zdziwiona. – Jak?

– Polowałam na niego. W końcu sam chciał umrzeć. Zlitowałam się nad nim. – Oczy ma czarne jak węgle. – Osądzasz mnie.

– Też chciałam go zabić, ale...

– Mnie to bawiło. Czy to czyni ze mnie potwora? Daj spokój, dziewczyno. Nie można poruszać się w mroku tak długo jak ja i nie stać się potworem.

Przypominają mi się słowa Jaduny. „Jesteś zbyt młoda, by pozostawać w tak głębokim mroku”.

– Cieszę się, że go zabiłaś. – Urywam i zastanawiam się nad kolejnymi słowami. W końcu nie udaje mi się znaleźć delikatnego sposobu na zadanie tego pytania. –

Dlaczego nie chcesz mnie dotknąć? Czy... – Tęsknisz za tym tak mocno jak ja? – chcę zapytać.

– Dotyk dziecka przynosi matce ukojenie i radość. – Ledwie słyszę jej słowa. – Ale ja nie jestem matką, dziewczyno. Jestem potworem. Potwory nie zasługują na ukojenie.

Odwraca się ode mnie i milknie. Długo wpatruję się w jej plecy. Jest tak blisko. Na tyle blisko, że mogłabym jej dotknąć. Na tyle blisko, żeby usłyszała wyszeptane słowa wybaczenia.

Obawiam się jednak, że nie poczułaby objęć córki, gdybym jej dotknęła. Obawiam się też, że nie szuka przebaczenia.

Im jesteśmy bliżej Antium, tym bardziej oczywiste staje się, że można się spodziewać kłopotów. Z miasta wyjeżdżają wozy obładowane dywanami i meblami, a ich właściciele otaczają tuziny strażników. Raz udało nam się zobaczyć w oddali uzbrojoną karawanę. Nie widzę, co wiezie, ale doliczyłam się co najmniej tuzina ochraniających ją Masek.

– Uciekają – prycha Kucharka. – Są zbyt strachliwi, by zostać i walczyć. Większość to ilustrianie. Ruszaj się, dziewczyno. Jeśli bogacze opuszczają miasto, to znaczy, że Karkaunowie muszą być blisko.

Idziemy teraz bez przerwy dzień i noc. Ale kiedy docieramy do przedmieść Antium, widzimy, że nieszczęście już dotknęło słynną wojańską stolicę. Wdrapujemy się na grzbiet w paśmie wzgórz Argent, skąd roztacza się widok na całe miasto. A także na potężną armię otaczającą Antium z trzech stron. Chroniony jest tylko północny skraj miasta przylegający do gór.

– Na ognie piekielne – mamrocze Kucharka. – Oto sprawiedliwość wymierzona przez niebiosy.

– Ilu ich jest. – Głos więźnie mi w gardle. – A ludzie w mieście... – Kręcę głową i natychmiast na myśl przychodzą mi zniewoleni Scholarzy. *Mój lud*. – Tam muszą być Scholarzy. Komendantka nie zabiła wszystkich niewolników. Ilustrianie nie pozwoliliby na to. Co się z nimi stanie, kiedy miasto zostanie opanowane przez Karkaunów?

– Zginą – odpowiada Kucharka. – Tak jak wszyscy inni biedni głupcy, którzy mieli pecha i zostali w Antium. Zostaw to Wojanom. To ich stolica, będą jej bronić. Ty masz teraz inne zmartwienia. Jak my się tam dostaniemy?

– Dopiero co tu dotarli. – Od północno-wschodniej przełęczy płynie strumień żołnierzy dołączających do armii Karkaunów. – Trzymają się poza zasięgiem katapult, a to znaczy, że nie planują natarcia. Mówiłaś, że potrafisz się wślizgnąć do miasta.

– Z gór znajdujących się na północ od miasta – mówi Kucharka. – Będziemy musiały obejść dookoła wzgórze Argent. A to zajmie wiele dni.

– Będzie panował chaos, kiedy zaczną rozbijać obóz. Możemy to wykorzystać. Przedrzemy się nocą. Przecież jest tam trochę kobiet...

– Same prostytutki – gasi mnie Kucharka. – Wątpię, czy mogę uchodzić za jedną z nich.

– A kucharki? Pracunki? Karkaunowie są okropni. Nigdzie się nie ruszają bez swoich kobiet, które muszą im usługiwać. A ja mogę stać się niewidzialna.

– Mówiłaś, że niewidzialność miesza ci w głowie. Masz potem wizje, które trwają czasem kilka godzin. Musimy wymyślić coś innego. To kiepski pomysł.

– To konieczność.

– To samobójstwo.

Widzę, że Kucharka się waha. Dobrze wie, że nie mamy dużego wyboru.

Godzinę później idę obok niej, dźwigającej kosz pełen cuchnących, brudnych

ubrań. Zabiliśmy dwóch wartowników, którzy zagrodzili nam drogę do obozu. To było proste. Teraz, kiedy poruszamy się w tłumie Karkaunów, nic nie jest już proste.

Jest ich mnóstwo. Podobnie jak w Imperium, różnią się odcieniem skóry, rysami twarzy i kolorem włosów. Wszyscy są za to wytatuowani. Górna połowa ich twarzy jest niebieska, przez co białka oczu wyglądają jak u opętanych.

Palą się setki ognisk, ale mało jest namiotów, za którymi mogłybyśmy się skryć. Większość mężczyzn nosi skórzane spodnie i futrzane kamizelki, a ja zupełnie nie wiem, który z nich ma wyższą rangę, a który niższą. Jedyńi mężczyźni, którzy wyróżniają się z tłumu, mają na sobie dziwaczne zbroje z kości i stali, a w rękę dzierżą kije z ludzką czaszką na końcu. Kiedy idą, wszyscy omijają ich szerokim łukiem. Jednak większość z nich gromadzi się wokół olbrzymich niepodpalonych stosów i napełnia zdobne naczynia czymś, co przypomina szkarłatny piasek.

– To ich czarownicy – tłumaczy mi szeptem Kucharka. – Zastraszają swój lud i próbują wywoływać duchy. Nigdy im się to nie udaje, ale wciąż są traktowani jak bogowie.

W obozie cuchnie potem i zgniłymi warzywami. Sterty drewna opałowego świadczą o tym, że wcale nie jest im ciepło. Nie zwracają też sobie głowy sprzątaniem końskiego łajna. Wszędzie walają się dzbany z jakimś alkoholem, a nad tym wszystkim unosi się odór skwaśniałego mleka.

– Buh! – Jakiś starszy Karkaun odpycha Kucharke, która przypadkowo trąciła go koszem. – *Tek fidkayad urqin!*

Kucharka kiwa głową w przód i w tył, dobrze udając starą, zakłopotaną kobietę. Mężczyzna wytrąca jej kosz z rąk, a jego koledzy śmieją się głośno, kiedy ubrania lądują na brudnej ziemi. A kiedy Kucharka próbuje szybko zebrać ubrania, kopie ją w brzuch, wykonując przy tym obleśne gesty.

Szybko pomagam Kucharce, licząc na to, że Karkaun jest zbyt pijany, by zauważyć niewidzialną pomocną rękę. Ale kiedy przykucam, Kucharka szepcze:

– Zaczynasz migotać, dziewczyno! Jazda stąd!

Faktycznie, moja niewidzialność zaczyna szwankować. *Zwiastun Nocy!* Musi gdzieś tu być. W jego obecności moja magia przestaje działać.

Kucharka przeciska się szybko przez tłum mężczyzn i kieruje na północ.

– Wciąż tu jesteś, dziewczyno? – Czuję, że jest spięta, ale nie ogląda się za siebie.

– Nie są dobrze zorganizowani – zauważam szeptem. – Ale, na bogów, jest ich tak dużo.

– Na południu są długie zimy – odpowiada Kucharka. – Nie mają nic lepszego do roboty, więc się rozmnażają na potęgę.

– Dlaczego uderzają teraz? – pytam. – I dlaczego tutaj?

– Ich lud głoduje, a największy wichrzyciel, jeden z czarowników, postanowił to wykorzystać. Nic tak nie motywuje ludzi jak puste brzuchy ich dzieci. Karkaunowie widzą, że na północy jest bogate, tłuste Imperium. Z roku na rok Wojanie posiadają

coraz więcej, a Karkaunowie nadal nie mają niczego. Imperium nie zachowywało się w porządku, handlując z nimi. Grimarr przypomniał im o tym. I oto są.

Jesteśmy prawie przy północnym skraju obozowiska. Nad naszymi głowami góruje płaski występ skalny. Kucharka bez wahania rusza w jego kierunku, a kiedy zapada noc, porzuca kosz pełen ubrań.

– Zwycięstwo Karkaunów jest uzależnione wyłącznie od liczebności ich armii. Chyba że szykują jakąś przykrą niespodziankę, dysponując czymś, czego Wojanie nie zdołają pokonać.

Spoglądam na księżyc, jest już prawie pełnia. Za trzy dni stanie się idealnie okrągły, nastąpi Święto Księżyca. *W Święto Księżyca zapomniani odnajdą swojego mistrza.*

Kucharka dwukrotnie ogląda się za siebie, żeby się upewnić, czy nikt nie podąża naszym śladem, a potem przywołuje mnie gestem do ściany urwiska. Wskazuje w górę.

– Pięćdziesiąt stóp wyżej jest jaskinia – mówi. – Korytarze prowadzą w głąb góry. Zostań tu i na wszelki wypadek utrzymuj swoją niewidzialność.

– Jak zamierzasz...

Kucharka zakrzywia palce. Jest w tym ruchu coś znajomego, a wtedy nagle zaczyna się wspinać po pionowym urwisku żwawo jak pająk. Rozdziawiam usta. To niemożliwe i niezgodne z naturą. Nie frunie w powietrzu, ale jest w niej jakaś zdecydowanie nieludzka lekkość.

– Co to...

Z góry spada lina i uderza mnie w głowę. Nad krawędzią skalnego występu pojawia się głowa Kucharki.

– Obwiąż się w pasie – instruuje mnie. – Oprzyj stopy o skałę i zacznij się wspinać.

Kiedy wreszcie do niej docieram, brak mi tchu, a kiedy pytam ją, jak to zrobiła, ona tylko prychnie i znika w jaskini, nie oglądając się na mnie.

Jesteśmy już daleko w głębi góry, kiedy w końcu proponuje, żebym porzuciła niewidzialność.

– To może potrwać kilka minut – uprzedzam ją. – Miewam wizje i nie jestem pewna, czy...

– Zadbam o to, żebyś nie umarła.

Kiwam głową, ale nadal stoję jak sparaliżowana. Nie chcę znowu doświadczyć wizji. Nie po tym, co pokazał mi Zwiastun Nocy.

Choć matka nie może mnie widzieć, to przekrzywia głowę, jakby czuła mój niepokój. Policzki mi płoną i choć szukam gorączkowo wyjaśnienia, to nie znajduję żadnego. Jestem tchórzem, mam ochotę powiedzieć. Zawsze byłam. O bogowie, jakie to upokarzające. Gdyby była tylko Kucharką, nie przejmowałabym się, ale ona jest moją matką. Matką! Całymi latami zastanawiałam się, co mogłaby o mnie pomyśleć.

Kucharka rozgląda się i wreszcie siada na ziemi.

– Jestem zmęczona – mówi. – Przekłęci Karkaunowie. Chodź, usiądź, dziewczyno, obok staruszki.

Przysiadam obok i Kucharka po raz pierwszy nie odsuwa się ode mnie. Ponieważ mnie nie widzi.

– Czy te wizje – odzywa się po chwili – są przerażające?

Myślę o niej w więziennej celi. O śpiewie. O trzasku. O tych wszystkich dźwiękach, które nie miały żadnego znaczenia, a teraz oznaczają wszystko. I nawet teraz, kiedy nie pojmuję, kim się stała, nie potrafię powiedzieć jej, co widziałam. Nie mogę, bo kiedy powiem, stanie się to prawdą.

– Tak. – Nerwowo suwam stopą. – Są przerażające. – *Co zobaczę teraz, kiedy okazało się, że wizje przedstawiają przeszłość? Coś nowego? Jakiś inny koszmar?*

– W takim razie lepiej miejmy to już za sobą. – Jej głos nie jest może ciepły, ale nie ma w nim tamtej ostrej nuty. Waha się chwilę, potem wyciąga dłoń grzbietem do dołu. Zaciska szczęki i głośno przełyka ślinę.

Jej skóra jest ciepła. Szorstka. I choć może Kucharka nie wygląda jak moja matka, jej głos nie brzmi jak głos matki, nie zachowuje się jak matka, to ma jej ręce. Ściskam tę dłoń, a ona drży.

Zrzucam niewidzialność i czekam spokojnie na wizje, bo nie mogą być gorsze od trzymania dłoni kobiety, która mnie urodziła, a którą teraz mierzi mój dotyk.

Pojawia się wizja. Tym razem idę ulicą pełną ognia, mijam czarne, wypalone mury. Z płonących budynków dobiegają krzyki. Też zaczynam krzyczeć.

Kiedy otwieram oczy, Kucharka pochyla się nade mną. Jedną rękę trzyma na mojej twarzy, drugą wciąż ściskam palcami. Jej twarz jest pełna bólu, jakby nie mogła znieść mojego dotyku. Nie pyta mnie o wizję. A ja jej nie opowiadam.

\*\*\*

Podchodzimy do wykruszonych schodów prowadzących do drzwi morzańskiej ambasady i Kucharka zwalnia.

– Tu powinno stać dwóch wartowników – mówi. – Ambasada zawsze była strzeżona.

Wyciągam sztylet z pochwy, a Kucharka sięga po łuk. Delikatnie popycha drzwi i wchodzimy do środka, gdzie panuje cisza. Na ulicy słychać dudnienie bębnow i niemal natychmiast przenoszę się do Czarnego Klifu. Turkoczą mijające mnie wozy, ludzie coś wykrzykują, żołnierze wydają rozkazy. Buty miarowo uderzają o chodnik, czyjś głos kieruje pluton wojska na mury obronne. Antium szykuje się do wojny.

– Coś jest nie w porządku – mówię. – Musa miał tu swoich ludzi. Mieli przekazać nam niewolnicze kajdany, mapy, informacje o ruchach Kruka Krwi...

– Musieli uciec przez spodziewanym atakiem Karkaunów – wyjaśnia Kucharka. –

Ale nie mogli zniknąć wszyscy.

A jednak zniknęli. Czuję to. Ten budynek jest opustoszały od wielu dni.

Jesteśmy zdane na siebie.



## XLV: Elias

Duchy wpadają do Imperium jak rozżarzone kamienie miotane z balisty. Graniczny mur jest w gruzach.

Czuję duchy tak samo, jak czuję zarysy Poczekalni. Są kawałkami zimy otulonymi ciepłem i poruszają się jak ławica ryb, ścieśnione, wszystkie w jednym kierunku – na południowy zachód, ku wojańskiej wiosce, do której się czasem wykradałem. Mieszkają tam przyzwoici, ciężko pracujący ludzie. I nie mają pojęcia, co się teraz dzieje.

Chcę im pomóc. Ale chcą tego także dzinny, ponieważ byłoby to oderwaniem się od obowiązków. Znow próbują wykorzystać moje człowieczeństwo przeciwko mnie.

*Nie tym razem.* Teraz nie są najważniejsi ludzie, których duchy opętają i będą dręczyć. Najważniejsze są granice Poczekalni. Muszę je odtworzyć. W Lesie będą się pojawiać kolejne duchy. Przynajmniej te muszę utrzymać w granicach Poczekalni.

Ledwie udało mi się sformułować tę myśl, z ziemi wyrasta magia i wnika w głąb mojego ciała. Tym razem jest potężniejsza, jakby czuła, że w końcu zrozumiałem, jak bardzo dzinny mną manipulowały. Sprawia mi wielką ulgę to, że czuję *Mauth*, że pozwalam się pochłonąć magii, a jednocześnie jest to jakieś przekroczenie granic. Bliskość *Mauth* przyprawia mnie o dreszcze. To nie wygląda na wykorzystanie zwykłej magii, gdzie zaprzęgam do działania coś, co jest częścią mnie. Nie, ta magia jest czymś obcym. Wnika we mnie jak choroba i zmienia mój sposób widzenia. Zmienia coś bardzo fundamentalnego. Nie czuję się już sobą.

Nie mogę się teraz zajmować swoimi niepokojami. Mam pilniejsze zadania do wykonania.

Magia pozwala mi zobaczyć, jak powinny wyglądać granice. Wystarczy teraz użyć siły woli, by je odbudować. Zbieram w sobie siły.

Daleko na południu duchy zbliżają się do wioski. *Nie myśl o tym.*

W odpowiedzi magia *Mauth* zaczyna buzować, jej obecność staje się wyraźniejsza. Kawałek po kawałku odbudowuję granicę, wyobrażając sobie wielkie bloki światła stawiane jedno na drugich. Kiedy otwieram oczy, mur stoi i błyszczy, jakby nigdy nie legł w gruzach. Granica nie może wezwać z powrotem duchów, które uciekły. Ale może wyłapać duchy uwięzione w Poczekalni. A tych będzie dużo.

*Co teraz?* Mam wyłapać tamtych spryciarzy? Odpowiedzią jest szturchnięcie *Mauth* kierujące mnie ku południowemu zachodowi. Płynę z wiatrem – teraz łatwiej niż kiedykolwiek wcześniej. I choć spodziewam się, że magia będzie słabnąć wraz z oddalaniem się od Lasu, to ona wciąż jest we mnie, ponieważ to jest magia *Mauth*, nie moja.

Duchy rozpierzchnęły się po okolicy i podzieliły na dziesiątki małych grup. Ale ja zmierzam prosto do wioski położonej najbliżej Poczekalni. Kiedy dzieli mnie od niej mila, słyszę krzyki.

Zwalniam na centralnym placu wioski, a dowodem na zamieszanie, jakie spowodowały duchy, jest to, że żaden z mieszkańców nie zauważa, gdy przybywam prosto z nieba.

– Thaddiusie! Mój synu! Nie! – krzyczy siwowłosy mężczyzna. Młody mężczyzna wykręca staruszkowi ręce za plecy i szarpie nimi w górę z nieludzką, nieubłaganą siłą. – Puść mnie! Nie rób tego... Auu... – Słysząc głośny chrzęst i ojciec pada na ziemię nieprzytomny z bólu. Młodzieniec podnosi go, jakby był małym kamyczkiem, i rzuca nim na odległość kilkuset kroków.

Sięgam po broń gotów do ataku, ale czuję szarpnięcie Mauth.

Jesteś idiotą, Eliasie, rugam się w myślach. Nie mogę przecież w pojedynkę pobić wszystkich nawiedzonych przez duchy. Shaeva dotknęła kiedyś mojego serca i głowy. *Prawdziwa moc Mauth jest tu i tu.* Magia popycha mnie ku najbliższej grupce nawiedzonych wieśniaków. Czuję dziwne ciepło w gardle i odnoszę wrażenie, że Mauth chce, żebym przemówił.

– Przestańcie. – Mówię to nie jako Elias, ale jako Banu al-Mauth. Przygważdżam wzrokiem opętanych, jednego po drugim. Czekam na atak, ale oni tylko spoglądają na mnie złowrogo, świadomi obecności magii. – Chodźcie za mną – rozkazuję. Mój głos dudni z nadprzyrodzoną mocą. Muszą mnie usłuchać.

Prychają i skowyczą, a ja wyrzucam z siebie magię Mauth jak łąso i pętam ich ciasno. Część unieruchamiam w ciałach, które opanowali. Pozostałe wciąż są duchami i podpływają do mnie ze złowrogim jazgotem. Wkrótce grupa kilkudziesięciu duchów tworzy wokół mnie półokrąg.

Czy powinienem spętać je wszystkie magią? Odesłać do Poczekalni, tak jak uczyniłem z duchami dręczącymi Plemieńców?

Nie. Ponieważ kiedy patrzę na te udręczone twarze, uświadamiam sobie, że dusze wcale nie chcą tu być. Chcą przejść na drugą stronę, opuścić raz na zawsze ten świat. Odesłanie ich do Lasu tylko przedłuży ich cierpienia.

Magia wypełnia mój wzrok i widzę dusze takie, jakie są: obolałe, samotne, zagubione, rozżalone. Niektóre błagają o wybaczenie. Inne o odrobinę ciepła. Jeszcze inne o zrozumienie. Albo wyjaśnienie.

Kilka wymaga jednak osądu. Z tymi schodzi mi się dłużej, ponieważ nim odzyskają wolność, muszą wycierpieć to samo, co uczyły innym.

To wszystko wymaga czasu. Mijają długie minuty, a ja przyjrzałem się zaledwie tuzinowi dusz. Wkrótce gromadzą się wokół mnie wszystkie dusze z okolicy. Chcą ze mną porozmawiać, chcą zostać dostrzeżone. Wieśniacy błagają o pomoc w nadziei, że ulżą ich bólom. Przypatruję się im i widzę nie istoty ludzkie, lecz powoli umierające istoty niższe. Ludzie są śmiertelni, nieważni. Liczą się tylko dusze.

Ta myśl wydaje mi się obca. Dziwna. Jakby nie była moją myślą. Nie mam jednak czasu tego roztrząsać, bo czekają kolejne dusze. Skupiam się na nich i w końcu przeprowadzam wszystkie, nawet te, które znalazły schronienie w ludzkich ciałach.

Po skończeniu dostrzegam dopiero ogrom spustoszeń spowodowanych przez dusze. Widzę tuzin martwych ciał, a kilku tuzinów pewnie nie mogę zobaczyć.

Czuję coś w oddali. Smutek? Szybko o nim zapominam. Wieśniacy patrzą teraz na mnie z przerażeniem w oczach. W końcu są prostymi istotami. W każdym razie jest tylko kwestią czasu, kiedy strach każe im sięgnąć po pochodnie, szable i widły. Wciąż jestem śmiertelnikiem i nie mam ochoty z nimi walczyć.

Podchodzi do mnie młody mężczyzna, na jego twarzy maluje się wahanie. Otwiera usta i jego wargi formułują krótkie „dziękuję”.

Nim skończy, odwracam się. Czeka mnie dużo pracy. Poza tym nie zasłużyłem sobie na podziękowania.

\*\*\*

Dni mijają na odwiedzinach w wioskach i miastach. Odnajduję dusze, przyzywam je, gromadzę wokół siebie i odsyłam na drugą stronę. W niektórych wioskach zajmuje mi to godzinę. W innych prawie cały dzień.

Mój związek z Mauth jest coraz silniejszy, ale niekompletny. Czuję to w kościach. Magia trzyma mnie na dystans i nie będę prawdziwym Łowcą Dusz, póki się z nią całkowicie nie połączę.

Wkrótce magia staje się na tyle potężna, że w jednej chwili wiem, gdzie są dusze. Przeprowadzam setki dusz. Pozostały tysiące. A pojawiają się setki nowych, ponieważ duchy powodują spustoszenie, gdziekolwiek się pojawią. Pewnego wieczoru docieram do miasta, w którym niemal wszyscy nie żyją, a duchy zdążyły się już przenieść do innego miasta.

Blisko trzy tygodnie po ucieczce duchów, kiedy zapada noc, a nad łądem rozpętuje się burza, znajduję schronienie na trawiastym pagórku kilka mil od wojańskiego garnizonu. Dudnią garnizonowe bębny. Rzecz niezwykła w środku nocy, ale nie przywiązuję do tego wagi, nawet nie próbuję tłumaczyć treści.

Drżąc z zimna w przemoczonej skórzanej zbroi, zaczynam zbierać chrust. Ale deszcz nie przestaje padać i po półgodzinnych próbach rozpalenia ognia rzucam wszystko w diabły i kulę się pod peleryną z kapturem.

– Jaki jest pożytek z magii – mamroczę do siebie – skoro nie mogę jej użyć do rozpalenia ogniska?

Nie spodziewam się odpowiedzi, więc kiedy magia rośnie we mnie, jestem zaskoczony. A jeszcze bardziej, kiedy unosi się nade mną, tworząc niewidzialną, przypominającą kokon osłonę przed deszczem.

– Hm... dziękuję. – Trącam magię wyciągniętym palcem. Jest niematerialna, to jakieś dziwne poczucie ciepła. Nie wiedziałem, że potrafi takie rzeczy.

*Jest tyle rzeczy, o których nie masz jeszcze pojęcia. Czy Shaeva dobrze знаła Mauth? Zawsze darzyła magię wielkim szacunkiem, a nawet trochę się jej bała.*

Czy magia coś czuła, kiedy umierała Shaeva? Była związana z tym miejscem od

tysiąca lat. Czy Mauth to jakoś obeszło? Czy czuł złość z powodu głupiej zbrodni Zwiastuna Nocy?

Wzdrygam się na myśl o władcy dzinnów. Kiedy pomyślę, kim był – Łowcą Dusz przeprowadzającym ludzkie dusze z taką miłością – i kim się stał: potworem pragnącym jedynie nas zniszczyć. Z opowieści Mamie wynika, że był nazywany Bezimiennym Królem albo Zwiastunem Nocy. Ale ja zastanawiam się, czy miał jakieś prawdziwe imię, którego my, ludzie, nie znamy.

Choć budzi to konsternację, muszę przyznać, że dzinny zostały skrzywdzone. Ciężko skrzywdzone. Co nie sprawia, że postępowanie Zwiastuna Nocy jest słuszne. Na pewno jednak komplikuje to mój ogląd świata i moją zdolność do traktowania go z czystą, niczym nieskażoną nienawiścią.

Kiedy w końcu wstaję, rozgrzany i suchy dzięki parasolowi Mauth, słońce jest już wysoko na niebie. Nagle odkrywam, że zmieniła się materia świata. Duchy, które buszowały po okolicy, zniknęły. I jest coś jeszcze – pojawił się jakiś nowy, nadprzyrodzony mrok. Nie widzę go, ale wiem, że istnieje.

Wstaję i przyglądam się badawczo ciągnącym się po horyzont polom. Garnizon jest stąd na zachód. Potem przez kilkaset mil ciągną się posiadłości ilustrian. Dalej jest stolica, łańcuch gór Nevennes i Delphinium.

Magia próbuje pociągnąć mnie w tamtym kierunku. Kiedy pogrążam się w myślach, czuję to. Chaos. Krew. Bitwa. I jeszcze więcej duchów. Są nowe, świeżo uwiecznione przez dziwną magię, której wcześniej nie znałem.

Co się dzieje?

Wiem, że konflikty i krew wabią czasem duchy. Czyżby na północy toczyły się jakieś walki? O tej porze roku Tiborum jest często najeżdżane przez wrogów Imperium. Ale Tiborum leży na zachodzie.

Mauth zmusza mnie do działania. Płynę z wiatrem na północ. W końcu natykam się na gromadkę duchów, a zaraz potem na następną. Duchów jest coraz więcej, wygłodniałych i rozsierzonych. Zmierzają ku martwym ciałom, ku rozlewowi krwi, ku wojnie. Co to za wojna? – zastanawiam się. Czyżby Karkaunowie znów mordowali Dzikusów w Nevennes? Jeśli tak, to właśnie tam muszą kierować się duchy.

Odzywają się bębny w garnizonie i tym razem wsłuchuję się w ich dudnienie. *Wkrótce nastąpi natarcie Karkaunów. Wszyscy rezerwiści mają natychmiast zameldować się w koszarach Rzeki Południowej.* Wiadomość jest powtarzana, a ja wreszcie pojmuję, że duchy nie zdążają do Nevennes.

Spieszą do Antium.

## CZEŚĆ IV

### OBLĘŻENIE

## XLVI: Kruk Krwi

Karkaunowie nie mają katapult.

Nie mają wież oblężniczych.

Nie mają taranów.

Nie mają artylerii.

– Jaki jest sens – zwracam się do Dexa i Avitasa, obserwując przez okno wroga armię – trzymania przez trzy dni stu tysięcy ludzi pod miastem i pozwalania, by przejadali zapasy?

Może to dlatego komendantka knuła z nimi, żeby podstępem przejąć władzę w Antium. Wiedziała, że Karkaunowie są głupi i zdołamy ich szybko pokonać, ale wywołany ich przybyciem chaos mógł działać na jej korzyść.

– To głupcy – mówi Dex. – Wydaje im się, że z tak potężną armią zdołają opanować miasto.

– A może to my jesteśmy głupcami – odzywa się zza moich pleców Marcus, a obaj mężczyźni szybko przyklękają. Imperator gestem nakazuje nam wstać i kroczy naprzód w asyście gwardii honorowej. – A oni zaplanowali coś innego.

– Mój panie?

Imperator staje obok mnie, mruży swoje oczy hieny, kiedy omiata wzrokiem armię Karkaunów. Słońce zniża się nad horyzontem i wkrótce zapadnie noc.

– Mój brat mówi do mnie zza granicy śmierci, Kruku. – Marcus mówi spokojnie, w jego zachowaniu nie ma śladu niestabilności emocjonalnej. – Twierdzi, że Karkaunowie zabrali ze sobą najpotężniejszych czarowników, którzy przywołują mrok. Nie mają machin oblężniczych, bo nie są im potrzebne. – Robi chwilę przerwy. – Czy miasto jest przygotowane?

– Utrzymamy je, mój panie. Nawet cztery miesiące, jeśli będzie trzeba.

Usta Marcusa się wykrzywiają. On ma w zanadrzu jakiś sekret. *Jaki? Czego mi nie mówisz?*

– Przekonamy się w Święto Księżycy, czy utrzymamy – mówi z mrozącą krew w żyłach pewnością. Sztywnieję. Święto Księżycy przypada już za trzy dni. – Augurowie to widzieli.

– Wasza Wysokość. – Na schodach pojawia się Keris Veturia. Kazałam jej wzmocnić obronę bram wschodnich, które już wcześniej były dobrze strzeżone, ale w ten sposób miałam pewność, że będzie daleko od Marcusa i Liwii. Moi szpiedzy donoszą, że nie uchyla się od wykonania powierzonego zadania.

W każdym razie do teraz.

Chciałam się jej pozbyć z miasta, ale plebejusze gorliwie ją wspierają, musiałam więc zrezygnować z tego pomysłu, żeby nie podkopywać jeszcze bardziej reputacji

Marcusa. Komendantka ma stanowczo za dużo sprzymierzeńców. Dobrze, że przynajmniej straciła poparcie ilustrian. Patrycjusze przez ostatnich kilka dni pozostawali w swoich willach, bez wątplenia przygotowując się do walki.

– Przybył posłaniec Karkaunów – obwieszcza Keris. – Chcą porozumienia.

Choć Keris nalega, żeby Marcus trzymał się od tego z daleka, we trójkę wyjeżdżamy na koniach z pałacu. Towarzyszy nam jeszcze Avitas i gwardia Marcusa otaczająca go ochronnym półpiersiemiem.

Posłaniec, który jedzie w naszym kierunku, jest sam, nieuzbrojony i nie ma białej flagi. Połowa jego ciała jest pomalowana niebieskim barwnikiem, drugą połowę pokrywają prymitywne tatuaże. Włosy ma jaśniejsze od moich, a oczy niemal bezbarwne. Rumak, którego dosiada, jest ogromny, niemal tak wysoki jak Elias. Na szyi nosi podwójny naszyjnik z kości.

Z kości palców, spostrzegam, kiedy jest bliżej.

Choć widziałam go tylko z daleka w Navium, poznaję go od razu. To czarownik Grimarr.

– Czyżby brakowało wam mężczyzn, bezbożnicy – odzywa się, mierząc wzrokiem Keris i mnie – że musicie posyłać do boju wasze kobiety?

– Zamierzałem odrąbać ci głowę – mówi Marcus z szerokim uśmiechem – po tym, jak połkniesz swoją męskość. Ale chyba daruję ci życie. Wolę patrzeć, jak Keris powoli cię patroszy.

Komendantka się nie odzywa. Jej spojrzenie i spojrzenie Grimarra spotykają się na chwilę i teraz nie mam już wątpliwości, że musieli spotkać się wcześniej.

Keris wiedziała, że Grimarr tu idzie. I wiedziała, że nadciąga ze stu tysiącami żołnierzy. Co takiego obiecała temu potworowi, że zdecydował się ruszyć na Antium, żeby ona mogła przejąć władzę w Imperium? Mimo że Karkaunowie wydają się nie mieć żadnej strategii wojennej, Grimarr nie jest głupcem. Mało brakowało, a pokonałby nas w Navium. Musiał dostać coś więcej niż tylko okazję do oblegania przez kilka tygodni miasta.

– Przekaż szybko, co masz przekazać – Marcus wyciąga szablę i zaczyna w wymowny sposób polerować jej ostrze – bo już się zastanawiam, czy nie zmienić zdania.

– Moi bracia czarownicy i ja domagamy się, żebyś poddał miasto Antium. Jeśli uczynisz to niezwłocznie, wasi starcy zostaną wygnani, a nie zabici, wasi żołnierze trafią do niewoli, a nie będą torturowani i paleni na stosach, a wasze kobiety i córki poślubimy i nawrócimy na prawdziwą wiarę, zamiast je gwałcić i upodlać. Jeśli nie poddasz miasta, zajmiemy je do Świętego Księżyca. To ci przysięgam na krew mojej matki i ojca, i nienarodzonych dzieci.

Wymieniamy z Avitasem spojrzenia. Znów to Święto Księżyca.

– Jak zamierzacie zająć miasto? – pytam. – Nie macie machin oblężniczych.

– Milcz, bezbożnico. Rozmawiam z twoim panem. – Grimarr skupia uwagę na

Marcusie, choć moją dłoń od trzonka młota bojowego dzielą już tylko cale. – Jak brzmi twoja odpowiedź, panie?

– Ty i twoi czarownicy możecie zabrać swoje warunki do piekła, gdzie wkrótce was poślę.

– Znakomicie. – Grimarr wzrusza ramionami, jakby nie spodziewał się niczego więcej, i zawraca konia.

– Uderzą w ciągu godziny. – Marcus zwraca się do Keris i do mnie, kiedy jesteśmy z powrotem w mieście.

– Panie mój, imperatorze – odzywa się Keris. – Skąd...

– Uderzą, a my musimy być gotowi, bo atak będzie szybki i bezwzględny. – Marcus jest rozkojarzony, ma przekrzywioną głowę i wsłuchuje się w podszepty ducha swojego brata. – Ja będę dowodził ludźmi przy bramie zachodniej. Keris, tobie zadania wyznaczy Kruk.

Odchodzi energicznym krokiem, a ja zwracam się do Keris:

– Zajmij się wschodnim murem. Obrona jest najsłabsza w pobliżu bramy środkowej. Utrzymaj ją, w przeciwnym razie wróg pokona pierwszą linię obrony.

Komendantka salutuje i choć jej twarz nie wyraża niczego, wyczuwam jakąś formę samozadowolenia. Co teraz wymyśli?

– Keris. – Może to strata czasu, ale jednak decyduję się powiedzieć to głośno. – Wiem, że to wszystko twoja sprawa. Wydaje ci się pewnie, że zdołasz powstrzymać Karkaunów na tyle długo, żeby pozbyć się Marcusa i Liwii. A także mnie.

Komendantka nie patrzy na mnie.

– Wiem, czego pragniesz – ciągnę. – A fakt, że ściągnęłaś na miasto nieszczęście w postaci oblężenia, mówi mi, jak silne jest to pragnienie. Pamiętaj jednak, że setki, tysiące Wojan...

– Nie masz pojęcia, czego chcę – odpowiada spokojnie Keris. – Ale dowiesz się już wkrótce.

Odwraca się i odchodzi, a obecni w pobliżu plebejusze wiwatują na jej cześć.

– Co to ma znaczyć? – zwracam się do idącego za mną Avitasa. Dłoń zaciśniętą na rękojeści sztyletu mam śliską od potu. Instykt podpowiada mi, że dzieje się coś złego. Że zdecydowanie nie doceniłam komendantki. – Keris chce rządzić Imperium. Czego może chcieć jeszcze?

Nie jest mi dane poznać odpowiedzi na to pytanie. Na murach obronnych rozlegają się paniczne krzyki. Kiedy docieramy z Avitasem do alei ciągnącej się wzdłuż masywnej budowli, pojmujemy natychmiast ich przyczynę.

Niebo rozświetla blask płonących stosów. Bogowie tylko wiedzą, jak Grimarr zdołał je ukryć, ponieważ mogłabym przysiąc, że jeszcze chwilę temu ich tu nie było. Teraz ich płomienie strzelają wysoko w niebo.

Grimarr okrąża największy stos, mamrocząc zaklęcia. Z tej odległości nie mogę go



słyszeć. Ale powietrze jest przesycone złą magią, a słowa wślizgują się podskórnymi pod skórę.

– Szykować katapulty – wydaje rozkaz Dex. – Przygotować łuczników. Imperator miał rację. Wykonują swój ruch.

W obozie Karkaunów do stosów prowadzone są wijące się z przerażenia, związane postacie. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to zwierzęta, rytualne ofiary.

Nieludzki skowyt rozdziera powietrze. I wtedy uświadamiam sobie, co to za rytuał.

– O bogowie – szepcze Dex. – Czy to są...

– Tak – odpowiadam. – To kobiety i dzieci.

Kiedy jeden z moich ludzi zaczyna wymiotować pod murem, nie mogę go za to winić. Nawet stąd czuję dławiący smród palonych ciał. Grimarr intonuje pieśń, a Karkaunowie powtarzają ją jak echo. Po chwili do tego chóru dołącza dźwięk bębnow.

Wojanie na murach są wstrząśnięci widokiem, ale ja krążę pomiędzy nimi, starając się podnieść ich na duchu.

– Musicie być dzielni w obliczu takiego barbarzyństwa! – krzyczę. – Odwagi, w przeciwnym razie sprowadzą na nas wieczny mrok.

Zaśpiew spowalnia, każde słowo wydłuża się, aż wreszcie tworzą one jeden niekończący się pomruk, który zdaje się wydobywać z samych trzewi ziemi.

Teraz powietrze rozrywa odległy skowyt przypominający krzyki palonych na stosie kobiet i dzieci, ale jest w nim jakaś nieludzka nuta, która sprawia, że cierpię mi skóra. Nad stosami unoszą się nieforemne skrawki bieli, które swoim wyglądem przypominają...

– Duchy – mówi Harper. – Oni przywołują duchy.

W obozie Karkaunów rozlegają się krzyki mężczyzn atakowanych przez duchy. Niektórzy z tych mężczyzn zachowują się normalnie. Inni mają drgawki, jakby walczyli z czymś niewidzialnym.

Zapada cisza. A potem słychać tupot nóg, tysiący, dziesiątek tysięcy nóg.

– Nacierają na mury – odzywam się, nie wierząc własnym oczom. – Dlaczego mieliby...

– Przyjrzyj się im, Kruku – szepcze Harper. – Zobacz, jak się poruszają.

Karkaunowie rzeczywiście napierają na mury obronne miasta. Ale biegną z nadludzką prędkością. Kiedy natrafiają na las pik sterzących z ziemi w odległości dwustu kroków od Antium, nie nadziewają się na nie, lecz przeskakują nad nimi wysoko, czego nie zdołałyby zrobić zwykłe śmiertelniki.

Wśród Wojan rozlegają się ostrzegawcze krzyki, kiedy Karkaunowie zbliżają się do miasta. Z ich oczu bije oślepiająco biały blask. Wszyscy zostali opętani przez duchy, które wywołali ich czarownicy.

– Avitasie – mówię tak cicho, żeby nikt inny mnie nie usłyszał. – Czy plan

ewakuacji jest gotowy? Wszystko jest dograne? Drogi przygotowane?

– Tak, Kruku. – Harper odwraca się tyłem do zbliżającej się hordy. – Wszystko jest przygotowane.

– W takim razie przekonajmy się, jak to działa.

Avitas waha się, czy nie zaprotestować. Ale ja już zaczynam działać.

– Katapulty! – wołam do bębniisty, który wysyła wiadomość. – Strzelać bez rozkazu!

Kilka sekund później zaczynają hurgotać maszyny miotające, a płonące pociski przelatują nad murami miasta i spadają na opętanych Karkaunów. Wielu pada, ale jeszcze więcej robi unik przed pociskami i biegnie dalej z upiorną prędkością.

– Łucznicy! – wołam, kiedy żołnierze Grimarra przekraczają linię oznaczającą zasięg naszych strzał. – Strzelać bez rozkazu!

Na Karkaunów spada grad płonących strzał. Ale armii wroga to nie spowalnia. Łucznicy strzelają raz po raz, pewna liczba opętanych pada martwa, ale nie tylu, ilu bym sobie życzyła. Teraz się nie dziwię, że napastnicy nie mają machin oblężniczych.

Kiedy Karkaunów dzieli od murów mniej niż sto kroków, podnoszą z ziemi płonące pociski, nie przejmując się bijącym od nich żarem, i odrzucają je w stronę obrońców miasta.

– To... to niemożliwe – szepczę. – Jakim cudem...

Pociski spadają na miasto, trafiając w budynki mieszkalne, żołnierzy i wieże strażnicze. Bębniści natychmiast wzywają straż pożarną. Łucznicy wysyłają w powietrze strzałę za strzałą, a legioniści ładują pociski do katapult najszybciej, jak potrafią.

Karkaunowie są już blisko i słyszę teraz wygłodniały warkot, jaki wydają tylko dzikie bestie. Błyskawicznie pokonują linie okopów, następnie drugi szereg pik umocowanych u podstawy murów obronnych.

Nasza obrona już nie istnieje. W ciągu kilku minut bitwa przeistacza się ze strategicznej gry wymyślonej w odległym gabinecie w desperacką walkę o życie.

Niech tak będzie. Karkaunowie zaczynają wspinać się na mury, wymachując bronią, jakby opętał ich sam diabeł.

Biorę do ręki młot bojowy i wydaję rozkaz do natarcia.

## XLVII: Laia

Żołnierski mundur jest stanowczo zbyt obszerny i nieprzyjemnie wilgotny w okolicach krzyża. Poprzedni właściciel musiał zostać trafiony w nerkę. I z pewnością długo konał.

Na szczęście mundur jest czarny, więc nikt nie zauważa krwawych plam, kiedy idę wzdłuż linii obronnych przy południowym murze Antium i rozdzielam żołnierzom wodę. Włosy utknęłam pod hełmem, a dłonie skryłam w rękawicach. Uginam się pod ciężarem nosideł i ledwie powłóczę nogami. Na szczęście potwornie zmęczeni żołnierze nie zwracają na mnie uwagi. Mogłabym się pewnie rozebrać do bielizny, biegać po murach i wrzeszczeć „To ja spaliłam Czarny Klif” i też nikt by nie zareagował.

Dostrzegam błysk światła. To sygnał od Kucharki. *Nareszcie.*

Minęły dwa dni od naszego przybycia do Antium. Dwa dni od chwili, gdy Karkaunowie spuścili ze smyczy hordy opętanych, białookich żołnierzy. Dwa dni potwornych ataków i ulic zamienionych w gruzowiska. Dwa dni żałosnych krzyków towarzyszących gradowi płonących pocisków zrzucanych na miasto.

Udawałam sprzątaczkę, zbieraczkę pomyj, giermka – wszystko po to, by znaleźć się w pobliżu Kruka Krwi. Próbowалам wykorzystać swoją niewidzialność, ale mimo największych wysiłków, mimo zaangażowania całej siły woli nie byłam w stanie jej przybrać.

A to musi oznaczać, że gdzieś w pobliżu przebywa Zwiastun Nocy. Dawniej tylko on uniemożliwiał mi użycie magii.

Stąd różne przebrania, choć żadne nie okazało się pomocne. Kruk Krwi dowodzi obroną miasta i wszędzie jej pełno. Kilka razy udało mi się zobaczyć, jak w dłoni ozdobionej pierścieniem dzierży zakrwawiony młot.

Znów widzę błysk światła. Wycofuję się spod miejskich murów. Udaję, że śpieszę się uzupełnić zapas wody, choć wiadra doczepione do nosideł nie są nawet w połowie puste.

W mur za moimi plecami trafia pocisk. Fala uderzeniowa powala mnie na kolana, a wiadra fruną w powietrzu. Jestem cała rozedrgana, wszystko mnie boli, w uszach wciąż słyszę przeraźliwy huk.

*Wstawaj, Laio!* Zbieram wiadra z ziemi i uciekam z miejsca zaślanego trupami żołnierzy. Pocisk zostawił po sobie dymiący krater tuż pod murem, gdzie jeszcze przed chwilą stała grupka żołnierzy i scholarskich niewolników. Obrzydliwy smród przyprawia mnie o mdłości.

Wspinam się po schodach na sam szczyt murów obronnych. Idę z pochyloną głową. Tak blisko Kruka Krwi dotąd nie byłam. Tym razem nie wolno mi popełnić błędu.

Lusterko mruga ponownie, tym razem z lewej strony. Kucharka pokazuje mi drogę,

a ja podążam za świetlnym zajęczkiem, ignoruję błagania o wodę, udaję, że muszę szybko dotrzeć w jakieś inne miejsce.

Dostrzegam Kruka przed sobą. Mundur ma zbryzgany krwią, słania się na nogach ze zmęczenia. Włosy ma w nieładzie, skórzana zbroja jest w kilku miejscach uszkodzona. Dłoń z pierścieniem trzyma opuszczoną.

Kiedy dzieli nas już tylko dziesięć metrów, zwalniam. W odległości trzech metrów chwytam kij służący mi za nosidło i zsuwam go z barków, jakbym zamierzała poczęstować wodą otaczających ją żołnierzy.

O bogowie, jestem już tak blisko, na dodatek po raz pierwszy odłożyła ten przeklęty młot. Teraz wystarczy sięgnąć ręką po ten jej pierścień. Kiedy to zrobię, Kucharka ma zrobić zamieszanie. Nie zdradziła mi żadnych szczegółów w obawie przed Zwiastunem Nocy, który mógłby je poznać i pokrzyżować nam plany.

Kruk jest coraz bliżej, a mnie zasycha w ustach, nogi stają się ciężkie jak z ołowiu. *Tylko sięgnij ręką. Zdejmij jej pierścień z palca.*

Powinna była poćwiczyć. W tym krótkim czasie, jakim dysponowałyśmy, Kucharka nauczyła mnie rzemiosła kieszonkowców, ale prawdę mówiąc, nadal nie mam pomysłu, jak Krukowi zwędzić pierścień. Co, jeśli ciasno siedzi na palcu i nie uda mi się go zdjąć? Albo jeśli zaciśnie pięść?

Przebiega mnie dreszcz. To przeczucie. Ostrzeżenie, że coś się wydarzy. Oddalam się nieco od Kruka i zacznęm poić wodą wdzięcznych żołnierzy.

Światelko przede mną podryguje, wykonuje dziwne wygibasy. Na murze pojawia się cień.

Kruk Krwi też coś czuje, bo prostuje się i znów ma w zaciśniętej dłoni młot. Robi krok w tył, a wtedy cień znika.

To on – Zwiastun Nocy.

Nie tylko ja się wycofuję, chroniąc się w ten sposób przed jego spojrzeniem. Wszyscy żołnierze zgromadzeni wokół Kruka Krwi w pośpiechu uciekają, nie chcąc wzbudzać zainteresowania dzinna.

– Kruku. – Jego zgrzytliwy głos przyprawia mnie o dreszcze. – Keris Veturia potrzebuje twojej rady, ponieważ...

Nie słyszę reszty. Zbiegam po schodach, porzucając wiadra z wodą. Misja przerwana.

– Co jest? – pyta Kucharka, którą spotykam daleko od murów obronnych. Za plecami słyszę charakterystyczny świst kolejnego pocisku spadającego na miasto. – Mieliśmy przecież plan, dziewczyno.

– Plan się nie powiódł. – Zdejmuję hełm. Nie dbam o to, czy ktoś mnie zobaczy, bo wiem, że nie ma to żadnego znaczenia w panującym rozgardiaszu. – On tu był. Zwiastun Nocy. Tuż obok niej. Mógł mnie widzieć. – Kręcę głową. – Musimy znaleźć inny sposób. Trzeba ją jakoś zwabić.

Kucharka chwytam mnie za ramiona i obraca twarzą w kierunku murów.

– Wracamy tam – mówi głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Wystarczy poczekać, aż Zwiastun Nocy odejdzie. Wszystko jest przygotowane i nie będziemy musiały...

Kilka kroków od nas, gdzie scholarskie dzieci przeszukują gruzowisko pod czujnym okiem wojańskiego legionisty, dochodzi do eksplozji.

Chwilę później leżę płasko na ziemi i wykrztuszam z płuc pył i kurz.

– Najaam! – woła jakaś dziewczynka. – Najaam! – Odpowiedzią jest płacz, a potem szloch dziewczynki wyciągającej inne dziecko spod rumowiska. Wpatrując się w legionistę, który próbuje się podnieść z ziemi, dziewczynka chwytając chłopczyka za rękę i oboje zaczynają uciekać, utykając.

Kucharka widzi, że przyglądam się ucieczce małych niewolników i stawia mnie na nogi.

– Chodź, dziewczyno.

– Ci dwoje potrzebują pomocy – mówię. – Nie możemy tak po prostu...

– Możemy i zrobimy to – ucina Kucharka. – Rusz się. Zamieszanie, jakiego narobię, nie potrwa długo, ale zdążysz zabrać pierścień.

Ale ja nie mogę oderwać oczu od dziecka, które bezradnie rozgląda się wokół, szukając drogi ucieczki. Dziewczynka ma zmarszczone czoło, a jej młodszy brat – bo nie mam wątpliwości, że są rodzeństwem – wpatruje się w nią i czeka, aż powie mu, co mają zrobić. Dziewczynka dostrzega mnie i Kucharke, widzi, że jesteśmy Scholarkami, i podbiega do nas.

– Proszę, pomożecie nam się stąd wydostać? Nie możemy tu zostać. Zginiemy. Mama, tata i Subhan już nie żyją. Nie pozwolę, żeby Najaam też umarł. Obiecałam rodzicom, zanim... Obiecałam, że będę na niego uważała.

Biorę chłopca na rękę, ale Kucharka depcze mi po piętach.

– Niech cię diabli, dziewczyno.

– Nie zdołamy ukraść Krukowi tego pierścienia tam na murach – szepczę. – Niezależnie od tego, jakiego zamieszania narobisz. Ale możemy uratować tę dwójkę. Możemy dla nich coś zrobić. Znasz tunele, więc znasz drogę ucieczki. Zabierz ich jak najdalej stąd. Daj im szansę. Bo jeśli zostaną w tym piekle, zginą oboje.

– Postaw dziecko na ziemi, Laio. Mamy misję do wypełnienia.

– Tak samo mówiłaś, kiedy nas zostawiałaś? – pytam. – Że masz misję?

– Nie możesz im pomóc. – Kucharka ma zaciętą minę.

– Możemy wskazać im drogę ucieczki.

– Żeby zmarły z głodu w lesie.

– Żeby dać im nadzieję! – wrzeszczę na Kucharke, bo pewnie chcę zagłuszyć poczucie winy za to, że oddałam swoją bransoletkę Zwiastunowi Nocy. Za to, że nie zdołałam go powstrzymać, że nie potrafię pomagać mojemu ludowi i go chronić.

– Ja was wyprowadzę – mówię do dzieci. I tej obietnicy zamierzam dotrzymać. – Chodźcie, przejdziemy tunelami. Na końcu tunelu będzie las, a za lasem góry,

w których będziecie bezpieczni. Będziecie musieli żywić się grzybami i jagodami...

Rozlega się przeraźliwy świst, z każdą chwilą głośniejszy. Płonący pocisk leci łukiem w kierunku ziemi, piękny jak spadająca gwiazda.

Leci wprost na nas.

– Sissy! – Wystraszony Najaam chwyta siostrę za rękę. A ona wyrywa mi go z ramion i oboje rzucają się do ucieczki.

Wpadam w panikę i obracam się do matki.

– Uciekaj! – wołam. – Ucie...

Czuję, jak czyjeś ramię, silne, dziwnie znajome i gorące, obejmuje mnie w pasie. Ostatnią rzeczą, jaką słyszę, jest niski, przerażony głos, który zdaje się wydobywać z głębi ziemi.

*Jesteś głupia, Laio z Serry.*

Potem frunę dalej, niż zdołałaby mnie odrzucić istota ludzka, i cały świat staje się bielą.

## XLVIII: Kruk Krwi

Nie wiem, ile czasu minęło od chwili ataku Karkaunów. Nie wiem, ilu z nich zabiłam. Wiem tylko, ilu naszych zginęło. Wiem, gdzie wróg zaczyna forsować mury.

Moi ludzie zrzucają na nich kamienie, leją smołę, rażą ich ogniem. Na hordy wspinające się po drabinach rzucamy wszystko, co mamy pod ręką. Z wielkim trudem udaje nam się ich zatrzymać. Ale umierają powoli, jeśli w ogóle. I wciąż napływają nowi.

Żołnierze opierają się ciężko o mury, zakrwawieni i wyczerpani. Potrzebujemy zwycięstwa. Potrzebujemy czegoś, co zmieni bieg zdarzeń.

Zastanawiam się nad tym, kiedy pojawia się Dex, równie jak ja wykończony. Jego meldunek jest zgodny z tym, czego się spodziewałam: wielkie straty, mało zysków. Nie doceniliśmy Karkaunów i przeceniliśmy własne siły.

– Harper mówi, że tunele są pełne – melduje Dex. – Wyprowadził już około pięciu tysięcy plebejuszy na Drogę Pielgrzymów, ale pozostało jeszcze wiele tysięcy do ewakuowania. Ludzie wychodzą z tuneli na północ od Przełęczu Pielgrzyma. Teren tam jest trudny. To zajmie sporo czasu.

– Harper potrzebuje więcej ludzi?

– Ma wszystko, czego trzeba.

Kiwam głową. Przynajmniej jedna rzecz w tym zapomnianym przez bogów mieście przebiega zgodnie z planem.

– A co z moźnymi?

– Rodziny uciekły. A większość patrycjuszy ukrywa się w swoich domach.

Ci ludzie powinni być tu i walczyć. Z drugiej strony musiałabym zaangażować zbyt wielu żołnierzy, żeby powyciągać tamtych z ich nor. Przybycie legionów z Estium i Silas, które miały zaatakować tyły armii Karkaunów, opóźniają burze.

– A imperatorowa?

– Bezpieczna. Są przy niej Rallius i Faris. Nadal uważam, że potrzeba więcej ludzi do jej ochrony...

– Komendantka znajdzie ją, jeśli zabierzemy z pałacu kolejnych strażników. Z Ralliusem i Farisem może pozostawać w ukryciu. A co z wojskami Keris i imperatora?

– Imperator broni zachodniej bramy i nie można go odciągnąć z pola bitwy. Oni ponieśli najmniejsze straty. A imperator jest w swoim żywiole. Keris broni bramy wschodniej. Ród Ralliusa uczeplił się jej jak rzep, jak prosiłaś, ale ponieśli duże straty. Karkaunowie atakują zaciekle. Keris żąda wsparcia.

Zaciskam wargi. Podstępna wiedźma. „Nie wiesz, czego naprawdę chcę”. Faktycznie, nie udało mi się tego ustalić. Wiem jednak, że nie poświęci całej stolicy. Gdyby tak postąpiła, nie miałyby kim rządzić. Tu jest wszystko, co czyni Imperium

potężnym: skarbiec, Archiwum, pałac imperatora, a przede wszystkim obywateli. Jeśli pozwoli miastu upaść, będzie władczynią popiołów.

Kręcę głową. Tak bardzo potrzebujemy legionów z południa. Wojska, które powstrzyma te potwory.

„Wykorzystuj to, co masz, nie myśl o tym, co chciałabyś mieć”. To słowa komendantki.

– Coś jeszcze, Dex?

– Zauważyliśmy, że Karkaunowie rozsypują wokół swojej armii jakąś białą substancję. Jakby tworzyli jakąś granicę. Nie mamy pojęcia, co to może być.

– To sól. – Chropawy głos Zwiastuna Nocy za moimi plecami nie zdołał mnie wystraszyć. Jestem zbyt zmęczona.

– Sól? – dziwię się. – Po co miałiby rozsypywać sól wokół obozu?

– Duchy nie lubią soli, Kruku – mówi Zwiastun Nocy, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. – Nie powstrzyma opętanych Karkaunów, ponieważ ludzkie powłoki czynią ich odpornymi na takie sztuczki. Ale powstrzyma atak nadciągających dzikich duchów, tych, które nie zostały zniewolone przez czarowników.

– Duchów będzie więcej? – Czuję, jak ogarnia mnie przerażenie.

– Wydostały się z Poczekalni i wabi je teraz krew i przemoc tej bitwy. Ich pojawienie się jest nieuchronne.

Zwiastun Nocy dotyka dłonią mojego ramienia i nuci kilka taktów. Moje okaleczone, zmęczone ciało odpręża się natychmiast, a ból mija. Przyjmuję jego pomoc z wdzięcznością. Robi to codziennie od chwili, kiedy Karkaunowie przypuścili szturm, czasem nawet dwa razy dziennie. Dzięki temu mogę wciąż jeszcze walczyć. Nie zadaje pytań. Po prostu pojawia się, uzdrawia mnie i znika.

Zamierza właśnie zniknąć, ale zatrzymuję go.

– Kiedy uzdrowiłam Liwię, powiedziałeś, że pewnego dnia moją jedyną bronią będzie zaufanie do ciebie. – Na myśl o tym, co mnie czeka, z rozpaczą kręcę głową. Tracący zapal żołnierze, potężna armia Karkaunów. Antium, stolica i perła Imperium, popadające w ruinę.

– Dziś nie jest ten dzień, Kruku Krwi. – Wpatruje się uważnie w moją twarz. Nie, nie w twarz, tylko w pierścień, bo trzymam dłoń na policzku. Po chwili Zwiastun Nocy znika.

– Dex. Znajdź sól, ile tylko zdołasz. Posyp nią mury, szpitale, wszystkie miejsca, gdzie są nasi żołnierze. Powiedz ludziom, żeby jej nie dotykali. – *Co to znaczy, że duchy uwolniły się z Poczekalni? Czyżby zabiły Eliasa?*

O wschodzie księżyca Karkaunowie dają sygnał do odwrotu. Przecież sytuacja się nie zmieniła. Nasi ludzie z trudem odpierają ich ataki. Ich żołnierze dysponujący nieludzką siłą sieją zamęt. Mają przewagę liczebną. Dlaczego się wycofują?



Moi ludzie na murach wiwatują. Nie przyłączam się do ich chóru. To, co zmusiło Karkaunów do odwrotu, nie może być dla nas niczym dobrym.

Kilka chwil później wiatr przynosi dziwny dźwięk – zawodzenie. Kiedy staje się głośniejszy, włosy stają mi dęba. Te jęki są nie z tego świata. *To dzikie duchy.*

Żołnierze chwytają za broń. W obliczu nowego zagrożenia znów wydają się krzepcy. A zawodzenie jest coraz głośniejsze.

– Co to za dźwięk, Kruku? – Obok mnie pojawia się Dex.

– Sól, Dex – ponaglam go. – Rozsypałeś ją?

– Tylko wzdłuż murów – wyjaśnia. – Na rozsypanie w mieście już zabrakło.

– To nie wystarczy. – Błady obłok przelatuje obok obozu Karkaunów, omijając łukiem granice usypane z soli, tak jak ścieżki mrówek omijają kałuże z wodą.

Dobytający się z obłoku skrzek zagłusza wszystkie inne dźwięki – dudnienie bębnow, krzyki ludzi, mój niespokojny oddech. Obłok składa się z tysięcy twarzy.

*To duchy.*

Moi ludzie krzyczą z przerażenia, a ja nie wiem, co robić. Nie wiem, jak zabić takiego przeciwnika. Jak z nim walczyć. Nie wiem, co mogą nam zrobić. *Pomocy, wołam w duchu. Ojcie. Matko. Eliasie. Pomóżcie nam.* Równie dobrze mogłabym wyć do księżycy.

Obłok dociera do murów i przepływa nad nimi. Zawodzenie duchów przyprawia mnie o ciarki, kiedy z wściekłością omijają mury i spadają na niechronionych ludzi strzegących bram i na ulice miasta.

Żołnierze nie wiedzą, co ich zaatakowało. Najpierw wpatrują się ze strachem w nadciągający obłok, a chwilę później, już opętani, wiją się i trzęsą. Jeszcze później, ku mojemu przerażeniu, zaczynają atakować się nawzajem.

Karkaunowie wznoszą radosny okrzyk i szturmują bramy miasta. Zасыpujemy ich gradem strzał i kamieni, zalewamy strumieniami smoły, ale to za mało.

– Potrzebujemy więcej soli. – Szarpię Dexa za kołnierz.

– Nie ma. Zużyliśmy wszystko, co znalazłem.

– Jeśli nasi ludzie dalej będą atakować się nawzajem, nie zdołamy utrzymać bram – tłumaczę Dexowi. – Stracimy miasto. Biegnij do Harpera. Każ mu zawalić wejścia do tuneli. Nie możemy ryzykować, że Karkaunowie dopadną ludzi.

– A co z tymi, którzy pozostali w mieście?

– Biegnij!

– Kruku! – woła mnie kolejny głos. To Faris przeciska się przez ciżbę żołnierzy walczących z nawałą Karkaunów. Na dole, pod murami, ludzie rozrywają się na strzępy, walczą wszystkim, co wpadnie im w ręce. Jeden z żołnierzy na murach sypie w dół garść soli w nadziei, że wypędzi duchy z ciał opętanych, ale to nic nie daje.

Każda inna armia na widok Karkaunów wdrapujących się na mury i swoich kompanów opętanych przez duchy dawno już by się rozpięchła. Ale legiony

trzymają się dzielnie.

– Kruku! – Faris nie może złapać tchu, ale mimo to stara się mówić spokojnie. – Akuszerka, która miała zastąpić poprzednią, nie żyje. Znalazłem ją w jej domu. Wisiała na belce stropowej.

– W takim razie znajdź kolejną.

– Innych nie ma.

– Nie mam teraz na to czasu!

– Nic nie rozumiesz. – Faris przykuca. Trzęsą mu się ręce. Nigdy, w trakcie najbardziej zaciętego boju, nie był w takiej panice. – Pobieglem po akuszerkę, bo to już czas. Twoja siostra zaczęła rodzić, Kruku.

## XLIX: Laia

Kucharka długo się do mnie nie odzywa po obudzeniu. Z wyrazu jej twarzy mogę wyczytać, co stało się z dziećmi, którym próbowałam pomóc. Mimo to pytam.

– Zabił je wybuch – odpowiada. – To była szybka śmierć. – Przygarbione ramiona i drżące ręce mówią mi wyraźnie, jak jest zła. – Ciebie też o mało nie zabił.

– Gdzie my jesteśmy? – Siadam.

– W dawnej dzielnicy scholarskiej. W kwaterach niewolników. Dalej od całego tamtego chaosu niż ambasada Morzan, choć niewiele. – Przykłada wilgotną ściereczkę do rany na mojej twarzy, dbając, by jej skóra nie zetknęła się z moją. – Bogowie muszą cię kochać, dziewczyno. Wybuch odrzucił cię na dziesięć kroków. Upadłaś na kupę nawozu.

Boli mnie głowa, ale próbuję sobie przypomnieć. „Bogowie muszą cię kochać”.

Nie. To nie bogowie. Znałam ten głos. Znałam dobrze dotyk tego ramienia, silnego, niekształtnego, zbyt gorącego.

Dlaczego Zwiastun Nocy odrzucił mnie z miejsca, gdzie nastąpił wybuch? – zastanawiam się. Dlaczego, skoro wie, co zamierzam zrobić? W chwili wybuchu nie miałam żadnego planu. Chciałam jedynie wyprowadzić dzieci z miasta. Czyżby z jakiegoś powodu Zwiastun Nocy się mną bawił?

A może chodzi o coś innego?

– Twój heroizm drogo nas kosztował. – Kucharka miesza w garnku jakąś cierpką herbatę. – Wiesz, jaki dziś dzień?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale Kucharka nie dopuszcza mnie do głosu.

– Dziś jest Święto Księżycy – odpowiada sama sobie. – Straciliśmy szansę na dotarcie do Kruka Krwi. Jutro miasto zostanie zdobyte. Wojanie już ledwo zipią i znikąd nie ma nadziei.

Wącha napar w garnku i coś do niego dodaje.

– Czy uczyłaś się od... – bierze głęboki wdech – dziadka sztuki leczenia?

– Przez jakieś półtora roku.

– To tak jak ja. – Kiwa głową w zamyśleniu. – Zanim uciekłam jak ta głupia. A kiedy posłał cię na naukę do aptekarki Nelle?

– Hmm... – Jestem zdumiona, że Kucharka zna Nelle, choć przecież powinna ją znać. Dziadek uczył moją matkę, odkąd skończyła dwanaście lat aż do chwili, kiedy uciekła do ruchu oporu w wieku lat szesnastu.

– Na samym początku – odpowiadam. – Gdzieś po trzech miesiącach nauki u dziadka. – Nelle pokazała mi, jak z prostych składników przyrządzać herbatki i robić okłady. Większość tych leków była przeznaczona dla kobiet – na cykle miesięczne albo ustrzeżenie się ciąży.

– Tak myślałam. – Kucharka kiwa głową, wlewa obrzydliwą herbatę do tytkwy i zatyka szyjkę korkiem. Myślałam, że da mi ją do picia, ale ona wstaje. – Zmień opatrunki na swoich ranach – mówi. – Tu znajdziesz wszystko, czego potrzeba. I zostań w środku. Niedługo wrócę.

Kiedy wychodzi, zmieniam opatrunki, ale nie mogę przestać myśleć o wybuchu, Zwiastunie Nocy odrzucającym mnie w bok, braciszku i siostrzyczce, którzy zginęli. Na bogów, byli tacy mali. Dziewczynka miała nie więcej niż dziesięć lat, a jej brat, Najaam, najwyżej siedem. „Obiecałam rodzicom, że będę na niego uważała”.

– Przepraszam – mówię szeptem.

Mogłabym ich uratować, gdybym ruszała się szybciej, gdybym wybrała inną drogę. Ilu jeszcze scholarskim dzieciom kazano zostać w mieście? Ile dzieci nie miało dokąd uciec? Ile ich umrze wraz ze swoimi wojańskimi panami, jeśli Karkaunowie zdobędą Antium? Przypominam sobie słowa Musy. „Jesteś nam potrzebna w charakterze głosu wszystkich Scholarów. Jesteś nam potrzebna w charakterze miecza i tarczy”.

Choć Kucharka prosiła, żebym tego nie robiła, wychodzę z rozpadającego się ze starości baraku, w którym znalazłyśmy schronienie. Krzywię się, bo każdy ruch wywołuje ból i otwiera cięte rany na twarzy.

Barak stoi frontem do dużego placu. Po obu stronach spostrzegam sterty gruzów, a naprzeciwko stoją chaty w jeszcze gorszym stanie. Dziesiątki Scholarów usuwają cegły z wciąż jeszcze dymiących zgliszcz, szukając ocalałych.

Gdzieś w oddali słychać rytmiczny, coraz głośniejszy tupot nóg. Wieść rozprzestrzenia się lotem błyskawicy. Scholarzy znikają w swoich domostwach, a na placu pojawia się patrol. Mój barak stoi nieco na uboczu, ale na wszelki wypadek ze sztyletem w dłoni wspinam się po schodach na piętro. Przykucam obok okna, żeby widzieć żołnierzy, i czekam na krzyki Scholarów.

Słyszę krzyki tylko kilku, tych, których Wojanie znaleźli, wyciągnęli na plac i batem zmusili do ustawienia się w rzędzie. Teraz poprowadzą ich pewnie na pierwszą linię frontu, by walczyli i ratowali życie Wojan.

Kiedy patrol znika, pozostali Scholarzy natychmiast wychodzą z ukrycia i wracają do przeszukiwania ruin. Nagle słyszę skrzypienie schodów.

– Dziewczyno – sapie Kucharka. – Jesteś tu?

Schodzę na dół, a Kucharka wskazuje ruchem głowy na północ.

– Chodź ze mną – mówi. – I nie zadawaj pytań. – Tytkwy z herbatą już nie ma. Ciekawe, co z nią zrobiła. Gryzę się jednak w język. Kiedy przechodzimy przez plac, Kucharka nie zwraca uwagi na Scholarów.

– Kucharko. – Podbiegam i zrównuję się z nią. Zachowuje się tak, jakby wiedziała, o co zamierzam poprosić. – Mogłybyśmy pomóc tym ludziom. Wyprowadzić ich stąd.

– Mogłybyśmy. – Nie sprawia wrażenia zaskoczonej moją sugestią. – A potem mogłybyś patrzeć, jak Zwiastun Nocy zabiera pierścień Krukowi Krwi, uwalnia

swoich przeklętych pobratymców i niszczy cały nasz świat.

– To ja muszę zdobyć pierścień – odpowiadam. – Nie ty. Ty mogłabyś zebrać Scholarów i pokazać im drogę ucieczki. Sama mówiłaś, że Karkaunowie zdobędą miasto. Jak myślisz, co wtedy stanie się z tymi ludźmi?

Przekradamy się obok grupy Scholarów gaszących razem z wojańskimi posiłkowymi pożar. Są dziećmi, nastolatkami dźwigającymi kubły z wodą, a powinny być teraz daleko stąd.

– To nie nasz problem – warczy Kucharka, chwytając mnie za ramię i odciągając w bok, zanim posiłkowi nas zauważą i zmuszą do pracy. – Mam do zrobienia inne rzeczy, kiedy ty będziesz wykradać pierścień.

– Jakie inne rzeczy?

– Muszę wymierzyć karę! – odpowiada Kucharka. – Ta suka, komendantka, jest tutaj, na bogów, muszę...

– Przedkładasz zemstę na Keris Veturii nad życie tysięcy ludzi?

– Pozbycie się jej ocali tysiące innych istnień. Wiele lat czekałam na tę chwilę. I teraz, nareszcie...

– Nic mnie to nie obchodzi – mówię. – Nie obchodzi mnie, jak chcesz się zemścić i czy się to uda, czy nie. Ważniejsze są scholarskie dzieci, które zginą, jeśli nikt im nie pomoże. Proszę...

– Nie jesteśmy bogami, dziewczyno. Nie zdołamy ocalić wszystkich. Scholarzy przetrwali tak długo. Przetrwają jeszcze trochę. Liczy się tylko misja. Chodź już, mamy mało czasu. – Wskazuje budynek przed nami. – To są koszary Czarnej Gwardii. Kruk pojawi się tu za godzinę. Kiedy już tu będzie, wiesz, co masz robić.

– I to wszystko? A niby jak mam się dostać do środka? Jak...

– Musisz mieć plan, którego Zwiastun Nocy nie zdoła wydobyć z twojej głowy. Już ci jeden przedstawiłam. Przed bramą leży kosz, a w nim czyste mundury. Weź kosz i zanieś go do szafy na pierwszym piętrze. Z wnętrza szafy obserwuj korytarz. Kiedy nadarzy się odpowiednia okazja, będziesz wiedziała, co robić. A jeśli Kruk zacznie ci grozić, powiedz, że ja cię przysłałam. Idź już.

– Ty? Dlaczego miałabym...? Znasz ją?

– Ruszaj się, dziewczyno!

Robię dwa kroki i odwracam się.

– Kucharko. – Zerkam w kierunku dzielnicy scholarskiej. – Proszę, powiedz im...

– Będę tu czekała na twój powrót. – Kucharka, nie zważając na moje protesty, zabiera mi sztylety, w tym ten, który dostałam od Eliasa. Rozgląda się ukradkiem. – Pospiesz się, bo obie zginjemy.

Źle się czuję bez broni, ale podchodzę do głównej bramy koszar. *Co Kucharka zaplanowała? Skąd będę wiedziała, co robić?* Dostrzegam kosz z praniem, podnoszę go i opieram o biodro. Biorę głęboki wdech, mijam bramę i przechodzę w poprzek

brukowany dziedziniec.

Ziemia drży, a po drugiej stronie ulicy jakiś pocisk trafia w budynek, który w ciągu kilku sekund zamienia się w stertę gruzu. Dwóch legionistów stojących na warcie przy drzwiach koszar się chowa. Ja też. Kiedy jest już jasne, że nie nadleci kolejny pocisk, podchodzę do drzwi, licząc na to, że wytrąceni z równowagi legioniści nie zwrócą na mnie uwagi. Nic z tego.

– Ej, ty. – Jeden z nich wyciąga rękę. – Musimy przeszukać kosz.

*O bogowie.*

– Nie wiem, po co nam w ogóle mundury – odzywa się drugi. – I tak wszyscy już jesteśmy martwi.

– Zamknij się, Eddiusie. – Legionista kończy przeszukanie i macha ręką. – Idź, dziewczyno.

W głównej sali koszar stoją w rzędach łóżka polowe, w których pewnie śpią żołnierze po służbie na murach obronnych. Teraz wszystkie łóżka są puste. W takiej sytuacji nikt w tym przeklętym mieście nie śpi.

Choć koszary są bez wątpienia prawie zupełnie opustoszałe, omijam ostrożnie łóżka i ukradkiem wchodzę po schodach na piętro. Panująca tu cisza wyprowadza mnie z równowagi. Jestem u szczytu schodów, dalej ciągnie się korytarz, którego koniec tonie w mroku. Drzwi są pozamykane, ale zza jednych słyszę szelest ubrania i czyjś jęk bólu. Idę dalej i natrafiam na szafę. Jęki nie ustają. To musi być jakiś ranny żołnierz.

Po półgodzinie jęki zmieniają się w krzyk. To jest na pewno kobieta i po chwili zaczynam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie Kruk. Czyżby Kucharka ją zraniła? Mam tam pójść i ściągnąć umierającej pierścień z palca?

Ukradkiem wychodzę z szafy i na palcach zakradam się pod drzwi pokoju, z którego dochodzą krzyki. Słyszę męski głos, próbujący chyba uspokoić kobietę.

Słyszę kolejny krzyk, z innego miejsca. Nasłuchuję. Tym razem to nie jest krzyk kogoś rannego. Przypomina...

– Gdzie ona jest? – jęczy kobiety głos i otwierają się drzwi na korytarz. Ukrywam się z powrotem w szafie, ale wcześniej dostrzegam, jak jakaś kobieta chodzi w kółko po pokoju. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to Kruk Krwi. Ale nie ma maski i jest w zaawansowanej ciąży.

Wreszcie dociera do mnie, czym były dźwięki dochodzące z pokoju. Rozumiem teraz, dlaczego Kucharka pytała mnie o praktykę u Nelle. Nelle nauczyła mnie przyrządzać lekarstwa na bóle związane z księżycowym cyklem i sposobów na uniknięcie ciąży, ale pokazała mi także, jak łagodzić bóle porodowe. Musiałam się tego nauczyć, ponieważ przyjmowanie porodów było jednym z głównych zajęć dziadka.

Nareszcie rozumiem, w jaki sposób mam wejść w posiadanie pierścienia, który Kruk Krwi ma na palcu.



## L: Elias

Pojawiam się nad murami, zmuszam się, żeby nie patrzeć na piekło, jakie zgotowali opętani Karkaunowie, i słyszę wilcze powarkiwania wojańskich żołnierzy rzucających się sobie nawzajem do gardeł.

Antium zawsze mnie mierziło. Poczynając od wysokich murów obronnych po ulice zaprojektowane tak, żeby odeprzeć atak, wszystko krzyczy tu: *Imperium*. Po raz pierwszy jestem zadowolony, że to miasto jest w tak oczywisty sposób wojańskie. Ponieważ armia ustawiona w szyku bojowym wokół niego jest potężna, a obrona mizerna.

Płynę z wiatrem wzdłuż murów, zmierzając ku schodom, które zaprowadzą mnie do zajętych krwiozerczą walką tabunów opętanych wojańskich żołnierzy. Są tu setki duchów, które muszę wyłuskać, obezwładnić magią i ostatecznie uwolnić.

Zbiegam po dwa stopnie naraz i jestem już prawie na dole, kiedy poznaję głowę z blond włosami, walczącą w tłumie opętanych żołnierzy. Twarz ma ciemną od popiołu, z bruzdami wyżłobionymi na policzkach przez łyzy. Wymachuje wielkim młotem, próbując rozpędzić swoich rodaków. Z zachodu dobiegają głośne wrzaski, odgłosy rozłupywanego drewna i szczęk metalu. To Karkaunowie przedzierają się przez bramy w głąb miasta.

– Stop! – Mój głos, wzmocniony przez *Mauth*, niesie się daleko pod murami obronnymi. Opętani jak jeden mąż obracają się w moją stronę. Moja magia hipnotyzuje ich tak, jak kobra swoim spojrzeniem hipnotyzuje mysz.

– Elias? – szepcze Kruk Krwi, ale ja nie patrzę na nią.

– Chodźcie do mnie – wydaję polecenie duszom. – Opuśćcie ciała tych, których opętaliście.

Te duchy są bardziej zdziżące, opierają się, próbują się wywinąć. Rośnie we mnie złość, a ręce wyciągają się po broń. Powstrzymuje mnie jednak *Mauth* i po chwili ogarnia mnie nienaturalny spokój, a jednak jakaś część mnie buntuje się przeciwko wtrącaniu się magii, która nigdy wcześniej nie działała tak agresywnie wobec mnie. *Mauth* panuje nad moim ciałem i umysłem. *To nie w porządku.*

Czy aby na pewno? Przecież muszę się zjednoczyć z magią, by stać się Łowcą Dusz. Najpierw musiałem zerwać więzy ze światem ludzi. A teraz muszę pozbyć się samego siebie. Swojej tożsamości. Swojego ciała.

*Nie, protestuje coś w głębi mojej duszy. Nie, nie, nie.*

Ale jak inaczej przeprowadzę tak wiele dusz? Ich obecność tutaj jest wynikiem mojego błędu. To z mojej winy stały się przyczyną tylu cierpień. Nie cofnę tego. Każdy zgon spowodowany przez nie będzie obciążał mnie aż do dnia, w którym zejdem z tego świata, wiem jednak, jak to powstrzymać. Muszę się tylko poddać.

*Przejmuj kontrolę, zwracam się do magii. Stań się mną.*



– Uwolnijcie opętanych ludzi. – Duchy płoszą się na te słowa, tak zdziwione własną śmiercią, że pragną tylko raz jeszcze moc, cierpieć, kochać, czuć coś. – Tu czeka was tylko ból.

Dzięki magii przyciągam je wszystkie do siebie. Mauth zanurza się z każdą mijającą chwilą głębiej w moją duszę i staje się nieodwołalnie ze mną złączony. Kruk Krwi i Faris rozdziwiają usta i nie widzą swojego przyjaciela, Eliasa Veturiusa. Nie widzą człowieka, który uciekł z Czarnego Klifu, złamał przysięgę, przeciwstawił się komendantce i imperatorowi i wdarł się do więzienia Kauf. Nie widzą chłopaka, z którym kształcili się i dorastali w Czarnym Klifie.

Widzą Łowcę Dusz.

Duchy, wzdychając ciężko, opuszczają ciała opętanych i odchodzą z tego świata. Początkowo dziesiątkami, a kiedy już pozwolę magii przejąć kontrolę, setkami. Chaos kończy się, kiedy ostatnia grupka żołnierzy wraca do siebie.

– Jesteś. – Kruk Krwi otwarcie teraz szlocha. – Usłyszałeś mnie i przybyłeś. Eliasie, Karkaunowie szturmują mury obronne, zabijają nas. Wkrótce wedrą się do miasta.

– Nie przybyłem tu dla ciebie. – Słyszysz mój głos, bezlitosny, monotony głos Maski. Ale nie wypowiadam tych słów z własnej woli. To Mauth. *Stop!* – wrzeszczę na Mauth w myślach. *To moja przyjaciółka.*

Ale Mauth mnie nie słucha.

– Przybyłem – słyszę własny głos – ponieważ zobowiązałem się chronić świat żywych przed duchami. Daj mi wypełniać moje obowiązki, Kruku Krwi, a ja pozwolę ci wypełniać twoje.

Odpływam z wiatrem do kolejnej grupki opętanych, pozostawiając ją samą. *Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego byłem tak okrutny?*

*Ponieważ to konieczne.* Znam odpowiedź, nim zdążyłem sformułować pytanie. *Ponieważ muszę przeprowadzić dusze na drugą stronę. Ponieważ obowiązek przede wszystkim.*

*Ponieważ tu nie ma miejsca na miłość.*

Szybuję nad murami miasta i rozglądam się za kolejną grupą zbłąkanych dusz, które dla ludzkiego oka są niczym więcej jak mroczną smugą. Przed wschodnią bramą Antium gromadzą się Karkaunowie z taranem wielkości morzańskiego okrętu. Przebijają nim wrota miasta, jak pięść przebija się przez kartkę papieru.

Nie ma żadnej załogi na murach. Nikt nie leje z góry smoły. Nie ma łuczników. Wojanie się wycofali. Z pola bitwy wraca znajoma postać o jasnej cerze, a za nią grupka mężczyzn. Keris Veturia. Wydaje się spokojna, kiedy pozwala runąć wrotom miasta.

W powietrzu niesie się echem potworny jęk, głośniejszy od krzyku umierających i wrzasków tych, którzy jeszcze walczą. Słychać trzask rozłupywanego drewna, szcęk metalu i okrzyki zwycięstwa.

Wschodnia brama stoi otworem i do miasta wlewają się hordy Karkaunów. Antium, założone przez Taiusa Pierwszego, siedziba Niezwycięzonego Imperatora i Perła Imperium, jest zdobyte. A los jego mieszkańców przesądzony.

Odwracam się plecami, ponieważ to nie moje zmartwienie.

## LI: Kruk Krwi

Krzyki Liwii słyszę już w drzwiach koszar i pędzę schodami na górę. *Ona może umierać. Dziecko może umierać. O bogowie, co my zrobimy...*

Otwieram z hukiem drzwi pokoju. Siostra jest zgięta w pół i ściska dłońmi wielką jak bochen dłoń Ralliusa. Mój olbrzymi przyjaciel ma napięte wszystkie mięśnie i chmurną minę.

– Imperatorowo – odzywam się od progu. – Liwio, jestem tutaj.

– Zaczęło się, Heleno – dyszy ciężko Liwia. – Rallius próbował rano moją herbatę i dziwnie smakowała. Nie wiem, co robić. Nie czuję się dobrze...

*Na moce piekielne. Nie mam zielonego pojęcia o rodzeniu dzieci.*

– Może powinnaś usiąść?

Pukanie do drzwi.

Cała nasza czwórka – Rallius, Faris, Liwia i ja – milknie. Nikt prócz Marcusa nie wie, że Liwia tu jest. Ale przybiegliśmy tu z Farisem w takim pośpiechu, że mimo naszych starań ktoś mógł nas śledzić.

Liwia wpycha sobie zaciśniętą pięść do ust i pojękuje, trzymając się drugą ręką za brzuch. Odeszły jej wody i ma przemoczoną sukienkę, a pokryta kropelkami potu twarz jest poszarzała. Rallius wyswobadza palce z uścisku Liwii i podchodzi do drzwi z szablą w dłoni. Ja pociągam siostrę za siebie, a Faris zdejmuje ze ściany kuszę i celuje w drzwi.

– Kto tam?

– Ja... ja muszę porozmawiać z Krukiem Krwi – odzywa się kobiecy głos. – Ja... mogę pomóc.

Nie poznaję tego głosu, choć jest w nim coś dziwnie znajomego. Gestem nakazuję Ralliusowi otworzyć drzwi. W ułamku sekundy ostrze jego szabli znajduje się przy gardle zakapturzonej postaci.

Nie musi zdejmować kaptura, żeby ją poznała. Widzę jej złociste oczy połyskujące w cieniu.

– To ty! – wybucham, ale ona unosi ręce i widzę, że pochwy u jej pasa są puste.

– Mogę pomóc przyjść dziecku na świat – rzuca pospiesznie. – Przysłała mnie Kucharka.

– Po co ta stara nietoperzyca cię tu przysłała? – pytam.

Liwia znowu zaczyna krzyczeć, a Laia zerka na nią przez moje ramię.

– Już blisko – mówi. – Za kilka chwil będzie następny skurcz. Zaczął się poród.

Nie mam pojęcia, jak ona się tu dostała. To może być próba zabójstwa. Ale po co Laia z Serry miałyby tak ryzykować, wiedząc, że jeśli skrzywdzi moją siostrę, czeka ją natychmiast śmierć?

– Nie mam zamiaru jej skrzywdzić. – Laia zdaje się czytać w moich myślach. – Los mnie tu zesłał, Kruku Krwi. Pozwól sobie pomóc.

– Jeśli moja siostra albo dziecko umrą – mówię, usuwając się na bok – ty też umrzesz.

Jedyną odpowiedzią jest krótkie skinienie głowy. Ona wie. Teraz obraca się do Farisa, który patrząc na nią, mruży oczy.

– Zaraz, zaraz – mówi. – Czy ty nie jesteś...

– Jestem – odpowiada Laia. – A teraz, poruczniku Farisie, poproszę ciepłą wodę. Dwie miski. I czyste prześcieradła z pralni, najlepiej tuzin. I jeszcze ręczniki. – Podchodzi do Liwii i bierze ją pod rękę. – Zdejmijmy to ubranie – mówi, a łagodność i słodycz w jej głosie błyskawicznie uspokajają Liwię. Siostra wzdycha, a chwilę później Laia rozpina jej suknię, każąc się Ralliusowi odwrócić.

– Nie wiem, czy to uchodzi... – Przeszuję z nogi na nogę.

– Ona rodzi, Kruku Krwi – odpowiada Laia. – Jest gorąco, czeka nas trudne zadanie, nie powinna być tak obwiązana. To niedobrze dla dziecka.

– Racja – mówię, choć wiem, że zachowuję się jak idiotka. – Skoro to niedobrze dla dziecka...

Laia zerka na mnie, a ja sama nie wiem, czy jest na mnie zła, czy może śmieje się ze mnie w duchu.

– Kiedy porucznik Faris wróci z wodą – instruuje mnie Laia – napełnij nią miednicę, proszę. Umyj starannie ręce wodą z mydłem. Zdejmij pierścionki. Możesz położyć je tam. – Wskazuje miednicę i pomaga skąpo teraz odzianej Liwii usiąść na brzegu mojego prostego drewnianego krzesła.

Wchodzi Faris i czerwieni się na widok Liwii. Biorę od niego wiadra z wodą, a on zduszonym głosem pyta Laię, gdzie ma położyć prześcieradła.

– Stań na warcie, poruczniku – mówi Laia, odbierając od Farisa prześcieradła. – Na zewnątrz jest tylko dwóch wartowników, którzy nie trudzili się nawet, żeby mnie przeszukać. Skoro ja dostałam się tu tak łatwo, to wasi wrogowie też mogą.

Zaczynają dudnić bębny i w przesyłanych przez nie rozkazach wyczuwam panikę. *Wszystkie jednostki natychmiast na drugą linię obrony. Wróg wdiera się do miasta.* Na moce piekielne, więc pierwsza linia obrony została przełamana? – myślę.

– Muszę iść – rzucam. – Miasto...

– Nie poradzę sobie sama, Kruku – protestuje Laia. – Choć wiem, że twój człowiek – wskazuje porucznika Ralliusa, który ma rozbiegane oczy – pomoże mi, jeśli wydasz taki rozkaz, to przecież imperatorowa jest twoją siostrą i twoja obecność poprawi jej nastrój.

– Miasto... Karkaunowie... – Tymczasem Liwia znów zaczyna krzyżeć, a Laia klnie pod nosem.

– Kruku, czy umyłaś już ręce?

Robię to szybko, a Laia chwyta mnie za ramię i ciągnie w stronę Liwii.

– Uciskaj zaciśniętymi pięściami jej biodra, o tak. – Wskazuje miejsce tuż pod krzyżem. – Ilekroć krzyknie, masz ucisnąć. To przyniesie jej ulgę. A tymczasem masuj jej barki.

– O bogowie – jęczy Liwia. – Zaraz zwymiotuję.

– Co się dzieje? – Ogarnia mnie przerażenie.

– Mdłości to nic złego – uspokaja ją Laia i jednocześnie rzuca mi znaczące spojrzenie, które każe mi zamilknąć. – Oczyszczają organizm.

Scholarka podsuwa siostrze kubeł i przemawia do niej czule i łagodnie, pocierając jednocześnie dłonią o dłoń, aż jej złocistobrązowa skóra czerwienieje. Następnie rozchyła Liwii nogi i zaczyna ją badać. Czuję się nieswojo i odwracam wzrok. Liwia znów zaczyna drżeć. Od ostatniego krzyku minęło zaledwie kilka minut. Kiedy uciskam pięściami jej biodra, odpręża się.

– Ile razy to robiłaś? – pyta Laię Liwia.

– Dość, żeby wiedzieć, że wszystko będzie w porządku – odpowiada Laia. – A teraz oddychaj razem ze mną.

Słuchając rad udzielanych łagodnym tonem przez Laię, Liwia przez następne dwie godziny rodzi. Czasem chodzi, czasem siedzi. Kiedy proponuję, żeby się położyła na łóżku, obie jednocześnie rzucają gromkie: „Nie!”.

Bębny dudnią na zewnątrz jak oszalałe. Muszę stąd wyjść, muszę zająć się obroną miasta. Ale przecież nie mogę zostawić Liwii. Muszę widzieć, jak to dziecko się rodzi, bo ono jest naszą przyszłością. Jeśli miasto upadnie, muszę mu zapewnić bezpieczeństwo. Czuję się rozdarta, krążę po pokoju tam i z powrotem i sama już nie wiem, co robić. Dlaczego poród jest czymś tak skomplikowanym? I dlaczego nie wiem, jak się poród odbiera?

– Laio – zwracam się w końcu do Scholarki, kiedy Liwia odpoczywa pomiędzy jednym skurczem a drugim. – Miasto może upaść. Słyszę, co ogłaszają bębny. Nie mogę tu zostać. Rallius ci pomoże...

Laia ciągnie mnie na stronę, ma zaciśnięte wargi.

– To trwa zbyt długo – mówi.

– Powiedziałaś, że wszystko jest w porządku.

– Nie zamierzam mówić ciężarnej kobiecie, że nie jest dobrze – odpowiada Laia. – Widywałam takie rzeczy już wcześniej. W obu przypadkach dziecko zmarło, a wkrótce zmarła też matka. Oni są w niebezpieczeństwie. Mogę cię potrzebować. – Rzuca mi znaczące spojrzenie. *Mogę potrzebować twoich umiejętności uzdrawiania.*

**PRZEŁAMANA OBRONA. GŁÓWNA BRAMA. WSZYSTKIE JEDNOSTKI NA DRUGĄ LINIĘ OBRONY.**

Bębny dudnią nieustannie, przekazując wiadomość za wiadomością.

Liwia krzyczy i tym razem ten krzyk jest inny. Wracam do siostry, mając nadzieję, że bębny się mylą.

Laia rozściela prześcieradła na krzesłach i podłodze. Każe mi przynieść więcej wiader z wodą, ale kiedy prosi, żebym rozłożyła ręcznik na łóżku, moja siostra kręci głową.

– W gabinecie jest koc. Przyniosłam go ze sobą.

Chwytam koc, jasnoniebieski kwadrat miękki jak obłoczek. Nagle uświadamiam sobie, że to dziecko będzie moim krewnym. Nowym członkiem rodu Aquilla. Siostrzeńcem. Taka chwila zasługuje na coś więcej niż świst pocisków i krzyki siostry. Powinna tu być mama. I Hanna.

A jestem tylko ja. Dlaczego wszystko potoczyło się tak źle?

– W porządku, Liwio – mówi Laia. – Już czas. Byłaś bardzo dzielna i silna. Jeszcze trochę, a wkrótce będziesz trzymała dziecko w ramionach i obiecuję ci, że nie będzie okropnie bolało.

– Skąd wiesz?

– Zaufaj mi. – Uśmiech Lai jest tak przekonujący, że nawet ja w to wierzę. – Kruku, przytrzymaj jej ręce. – I dodaje szeptem: – I zaśpiewaj.

Siostra chwyta mnie z siłą Maski walczącego w zawodach zapaśniczych. Przywołuję z pamięci pieśń Liwii i śpiewam ją, wypełniając muzykę swoim pragnieniem dodania jej sił. Ponaglana przez Laię Liwia zaczyna przeciw wszystkim sił.

Nigdy nie zaprzętałam sobie głowy myśleniem o rodzeniu dzieci. Nie chcę mieć dzieci. I nigdy nie będę akuszerką. Mam siostrę, ale nie mam przyjaciółek. Dzieci mnie nie interesują, choć zawsze fascynowała mnie miłość naszej matki do nas. Była tak szalona i bezwarunkowa, że niemal przerażająca. Nazywała nas swoimi zwierciadłami. Teraz, kiedy Liwia wydaje z siebie głośny ryk, nareszcie to rozumiem.

Laia trzyma w rękach śliskie, mokre, brudne... coś. Bierze ode mnie ręczniki, na jednym kładzie dziecko, a drugą ręką odwija pępowinę z jego szyi. Jej ruchy są szybkie, gorączkowe, a mnie ogarnia przerażenie.

– Dlaczego ono nie wydaje żadnego dźwięku? – pytam niecierpliwie. – Dlaczego...

Laia wsuwa palec do buzi dziecka, oczyszcza ją i chwilę później rozlega się rozdzierający płacz.

– Och! – piszczę, kiedy Laia podtyka mi dziecko pod nos. – Ja...

– Szepnij mu do ucha, czego od niego oczekujesz – mówi. Kiedy patrzę nic nierozumiejącym wzrokiem, wzdycha niecierpliwie. – To przynosi szczęście.

Wraca do siostry i robi z nią bogowie wiedzą co, a ja wpatruję się w niemowlę. Przestało płakać, teraz patrzy na mnie i wygląda na lekko zdziwione. Trudno je za to

winić.

Ma złocistobrazową skórę, o kilka tonów ciemniejszą niż Liwia po spędzeniu całego lata na słońcu. Włosy ma proste i czarne. I żółte oczy ojca, a jednak inne niż Marcusa. Są piękne. Takie niewinne.

Otwiera buzię i wydaje z siebie pierwsze dźwięki. Brzmi to jak „hah”, zupełnie jakby próbowało wypowiedzieć moje imię. Może to wydawać się dziwne, ale jestem dumna. Wie, kim jestem.

– Cześć, siostrzeńcu. – Tulę go do siebie. – Życzę ci szczęścia i rodziny, która będzie cię kochać, przygód, które ukształtują twój charakter, i prawdziwych przyjaciół, z którymi będziesz przeżywał te przygody.

Siostrzeniec wymachuje piąstkami, pozostawiając smużkę krwi na mojej masce. Dostrzegam wtedy coś w nim. Częstkę siebie. Nie na twarzy, gdzieś głębiej. Przychodzi mi na myśl pieśń, którą mu zaśpiewałam. Czy w ten sposób go zmieniłam?

Moją uwagę przykuwają krzyki na zewnątrz. Z parteru niesie się znajomy głos, pełen złości tenor. Chwilę później słyszę tupot nóg na schodach i drzwi otwierają się z hukiem. Do środka wpada Marcus i pół tuzina ludzi z rodu Aquilla, wszyscy z bronią w ręku. Imperator jest poplamiony krwią, nie wiem, czy własną, czy Karkaunów. Nie patrzy na mnie ani na Laię czy Liwię. W dwóch krokach jest przy mnie. Nie chowając miecza do pochwy, wyciąga lewą rękę po dziecko. Oddaję mu je z niechęcią, nawet z nienawiścią.

Marcus wpatruje się w jego twarz. Nie potrafię odczytać z jego oblicza, co myśli. Oboje, i dziecko, i Marcus są cicho. Marcus przekrzywia tylko głowę, jakby kogoś słuchał, a potem kiwa głową.

– Zachariasie Marcusie Aquillusie Farrarze – odzywa się w końcu. – Życzę ci długiego panowania, chwały w walce i obecności brata u twojego boku. – W sposób wyjątkowo delikatny oddaje mi dziecko. – Zabierz siostrę i dziecko z miasta, Kruku. To rozkaz. Ona na nich poluje.

– Komendantka?

– Tak, przeklęta komendantka – przyznaje Marcus. – W bramach miasta dokonano wyłomu. Karkaunowie przedarli się przez pierwszą linię obrony. Komendantka przekazała obowiązki jednemu z poruczników i za chwilę tu będzie.

– Kruku – odzywa się niepewnie Laia. Teraz widzę, że naciągnęła kaptur na głowę i przypominam sobie, że miała okazję poznać Marcusa. O mało go nie zabiła, kiedy próbował ją zgwałcić. Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki. Wydaje się bardzo zajęta Liwią, mówi ochrypłym głosem, próbując ukryć swoją tożsamość. – Twoja siostra.

Liwia jest śmiertelnie blada.

– Nic mi nie jest – mamrocze, próbując wstać. – Podajcie mi go.

W dwóch krokach jestem przy niej, z moich ust płynie już jej pieśń. Nie zważam

na żołnierzy Marcusa, którzy są tego świadkiem, ani na Ralliusa czy Farisa. Śpiewam tak długo, aż czuję, jak jej ciało zdrowieje. Kiedy tylko na twarz Liwii wracają kolory, Marcus sprowadza ją na dół, pod drzwi pralni i otwiera je na oścież. Pierwszy wchodzi Rallius, za nim Faris, a potem moja siostra.

Marcus nie patrzy na dziecko. Niecierpliwym gestem każe mi wejść.

– Mój panie – odzywam się. – Nie mogę opuścić miasta, kiedy...

– Chronić mojego potomka – przerywa mi. – Miasto jest stracone.

– To... to niemożliwe.

Ale on wpycha mnie do tunelu i zamyka za mną drzwi. Dopiero teraz, w ciemnościach, uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie jest Laia.

\*\*\*

Biegniemy. W tunelach nie słyszymy odgłosów całego szaleństwa, które dzieje się na górze. Z jednej strony chętnie bym tam wróciła i stanęła do walki, z drugiej wiem, że muszę wyprowadzić siostrę i małego Zachariasa z Antium.

Kiedy docieramy do posterunku w tunelu, w którym Harper postawił żołnierzy kierujących ewakuacją, zwalniam.

– Muszę wracać – usprawiedliwiam się.

– Dostałaś wyraźny rozkaz. – Liwia stanowczo kręci głową. A Zacharias wybuch płaczem, jakby wyczuł przerażenie matki.

– Nie mogę opuścić miasta – mówię. – Nie w taki sposób, przekradając się w cieniu. Tam na górze są ludzie, którzy na mnie liczyli, a ja ich zostawiłam.

– Heleno, nie.

– Farisie, Ralliusie, zaprowadźcie ją do Harpera. Wiecie, gdzie go znaleźć. Pomóżcie mu. W mieście i w tunelach wciąż są plebejusze, których trzeba wyprowadzić. – Wbijam w nich surowe spojrzenie. – Jeśli coś się stanie imperatorowej albo dziecku, to przysięgam na bogów, że zabiję was obu.

Mężczyźni salutują, a ja obracam się w stronę siostry i po raz ostatni zerkam na dziecko, które widząc moją twarz, uspokaja się.

– Wkrótce się zobaczymy, młodzieńcze. – Całuję chłopca i Liwię, odwracam się, nie zważając na błagania, a potem stanowcze żądania siostry, żebym dotrzymała jej towarzystwa.

Kiedy wracam do koszar Czarnej Gwardii, krztuszę się dymem wypełniającym wnętrze. Front budynku trawią płomienie. Kilka ulic dalej wyją nieludzko Karkaunowie. Jeszcze nie dotarli do koszar, ale wkrótce tu będą.

Zasłaniam twarz chustą i pochylona nisko, z młotem w dłoni wychodzę z pokoju i prawie tracę równowagę, ślizgając się w kałużach krwi.

Mężczyźni z rodu Aquilla, którzy przysięgali chronić Marcusa, leżą martwi, choć widać, że zdążyli wcześniej zabić wielu ludzi komendantki. Jej ciała nigdzie nie



znajduję. Nic dziwnego. Keris Veturia nie mogłaby zginąć w taki niegodny sposób.

Wśród ofiar są też Morzanie. Próbuję zrozumieć, skąd mogli się tu wziąć, ale nagle dociera do mnie jakiś głos wzywający moje imię. Jest tak cichy, że w pierwszej chwili nie wiem, skąd dochodzi. W końcu dostrzegam w gęstych obłokach dymu Marcusa Farrara, Niezwyciężonego Imperatora, przybitego do ściany własną szablą, unurzanego we własnej krwi, niezdolnego do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Dłońmi trzyma się za ranę na brzuchu. Minie kilka godzin, nim umrze. Komendantka zrobiła to celowo.

Podchodzę do niego. Płomienie liżą drewniane schody, z dołu dobiega trzask walących się belek. Powinnam uciekać przez okno. Powinnam pozwolić, żeby ten potwór spłonął żywcem.

Jak długo czekałam na tę chwilę? Jak długo marzyłam, żeby umarł? Kiedy jednak patrzę na niego, przyszpilonego do ściany jak zwierzę zabijane dla sportu, czuję tylko żal.

I coś jeszcze. Jakiś przymus. Potrzebę. Pragnienie, by go uzdrowić. *Nie. O nie.*

– Keris przeniosła Archiwum, Kruku. – Marcus mówi cicho, spokojnie, oszczędza siły. – Przeniosła skarbiec.

– Więc Imperium przetrwa, nawet jeśli stracimy Antium – wzdycham z ulgą.

– Zrobiła to kilka tygodni temu. Ona chciała, żeby miasto upadło, Kruku. Wiedziała, że Karkaunowie sprowadzą duchy. Wiedziała, że zwyciężą.

Teraz pojedyncze elementy zaczynają układać się w jedną całość.

– A ilustrianie?

– Wyjechali kilka dni temu do Serry – mówi Marcus. – Keris ich ewakuowała.

Minister skarbu spotkał się z nią, mimo że wcześniej zabiła jego syna. Musiała powiedzieć mu, co się szykuje. Musiała obiecać, że zapewni jego rodzinie bezpieczeństwo w zamian za przeniesienie wszystkich bogactw Imperium.

I jeszcze Archiwum. *Archiwiści szykowali się do przeprowadzki.*

Harper powiedział mi o tym, kiedy zbierał informacje na temat komendantki. Tyle że wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, co to oznacza.

Keris wiedziała, że miasto upadnie. Przygotowywała się do tego. O bogowie, powinnam była ją zabić. Niechby plebejusze mnie znienawidzili, niechby Marcus został obalony, powinnam była zabić tego demona.

– A legiony z Silas i Estium? – dopytuję.

– Nie przybędą. Przejęła łączność i podała fałszywe wiadomości.

„Nie musiało się tak stać, Kruku Krwi”. Słowa Keris prześladowają mnie. „Zapamiętaj to”.

Marcus nie mówi, że to moja wina. Nie musi.

– Antium upadnie – szepcze tylko. – Ale Imperium przetrwa. Keris zadbała o to, choć zadba też, żeby mój syn nie przeżył. Powstrzymaj ją, Kruku Krwi. Posadź go na

tronie. – Wyciąga do mnie rękę. Wciąż ma tyle sił, że wbija palce w moje ciało, sprawiając, że leci mi krew. – Złóż przysięgę krwi, że tego dopilnujesz.

– Przysięgam – mówię uroczyście. – Na krew i kości. – Znow czuję potrzebę uzdrowienia go. Walczę z nią, ale wtedy Marcus się odzywa:

– Mam dla ciebie ostatni rozkaz, Kruku.

Uzdrow mnie, wiem, że to chce powiedzieć. Czuję, jak wbrew mej woli wzbiera we mnie magia. Jak mam uzdrowić potwora, który zabił mojego ojca, kazał mnie torturować, bił i poniewierał moją siostrą?

Płomienie są coraz bliżej. *Uciekaj, Kruku!*

Marcus puszcza moją rękę, sięga po sztylet u pasa i wciska mi go w dłoń.

– Okaż miłosierdzie, Kruku Krwi. To jest mój rozkaz. Nie zasługuję na to. Nawet go nie chcę. Ale okażesz mi je, bo jesteś dobra. Dlatego mój brat cię kochał.

Nasze spojrzenia się spotykają. Jego oczy jak zwykle przepięknie złość i nienawiść. Ale pod nią jest coś jeszcze, coś, czego nie widziałam u Marcusa Farrara nigdy w ciągu piętnastu lat naszej znajomości – rezygnacja.

– Zrób to, Kruku – szepcze Marcus. – On na mnie czeka.

Myślę o małym Zachariasie, o niewinności bijącej z jego oczu. Marcus też musiał kiedyś tak wyglądać. Może to widział w nim jego brat bliźniak. Nie potwora, jakim się stał, tylko brata, jakim był.

Przypominam sobie ojca, kiedy umierał. Matkę i siostrę. Swoją twarz mokrą od łez.

– Proszę, Kruku.

– Imperator umarł. – Mój głos drży, ale znajduję w sobie siłę i następne zdanie wypowiadam już bez emocji. – Niech żyje imperator.

Wbijam sztylet w jego gardło i nie odwracam wzroku, póki w jego oczach nie zgaśnie światło.

## LII: Laia

Pierścień nie znika.

Nie osmielam się na niego spojrzeć, póki nie jestem daleko za koszarami Czarnej Gwardii, schowana w altanie za stajniami, poza zasięgiem imperatora Marcusa. Dziecko jest silne, a siostra Kruka Krwi czuje się dobrze. Szeptem poradziłam jej, żeby zachowała higienę i dbała o siebie. Żeby nie wdała się żadna infekcja. Ale widziała moją minę, kiedy wszedł Marcus. Wiedziała.

– Idź – szepnęła. – Weź ręczniki pod pretekstem, że chcesz je zmienić.

Zrobiłam, jak kazała. Sięgnięcie po pierścień zajęło tylko chwilę. Nikt na mnie nie patrzył.

Zabrałam oba pierścienie, bo nie wiedziałam, który jest jej osobisty, a który jest pierścieniem rodowym. Teraz stoję z nimi na ulicach ogarniętego szaleństwem Antium.

*Tylko Duch może przeciwstawić się rzezi. Kiedy potomek Lwicy upomni się o chlubę Rzeźnika, zniknie i krew siedmiu pokoleń przeminie, nim Król będzie mógł ponownie szukać zemsty.*

Pierścień powinien zniknąć. Dlaczego tak się nie dzieje? Zakładam go na palec i zdejmuję. Coś jest nie tak. Nie jest taki jak moja bransoletka. Wygląda na zwykły kawałek metalu.

Wysilałam pamięć, próbując sobie uzmysłwić, czy nie przeoczyłam czegoś z przepowiedni. Może muszę coś z nim zrobić. Spalić albo rozłupać serrańską szablą. Rozglądałam się, czy jakiś żołnierz nie zgubił broni.

Nagle czuję na sobie czyjś wzrok. Uczucie to często mi towarzyszyło w ostatnich miesiącach.

Tym razem tajemnicza postać ukazuje się od razu.

– Wybacz mi, Laio z Serry. – Zwiastun Nocy mówi cicho i spokojnie, ale ukryta w jego słowach groźba jest głośniejsza od krzyków umierających w boleściach żołnierzy. – Chciałem zobaczyć twoją minę, kiedy zdasz sobie sprawę, że wszystkie wasze wysiłki i nadzieje pójdą na marne.

– Wcale nie.

– Owszem. – Podchodzi do mnie bliżej. – Ponieważ to, co trzymasz w ręku, nie jest Gwiazdą.

– Kłamiesz.

– Doprawdy? – Podchodzi jeszcze bliżej i zabiera oba pierścienie. Krzyczę, ale on zamyka je w swojej dłoni i rozgniata na proszek. *Nie. To niemożliwe.*

– Jak to jest, Laio z Serry, dowiedzieć się, że cokolwiek zrobisz, nie zdołasz zapobiec nadchodzącej wojnie? Wojnie, która zmiecie z powierzchni ziemi twój lud?

On się tylko mną bawi.

– Dlaczego mnie uratowałeś, kiedy nastąpił wybuch?

Przez chwilę stoi nieruchomo. A potem jego ramiona naprężają się jak u wielkiego kota szykującego się do skoku.

– Biegnij do brata, Laio z Serry – mówi. – Znajdźcie statek, który zabierze was daleko stąd. Nie musicie być świadkami tego, co się wydarzy.

– Wiesz, co to znaczy zniszczyć całą rasę. Jak możesz tego pragnąć, skoro sam to przeżyłeś?

– Scholarzy zasługują na zniszczenie.

– Już nas zniszczyłeś! – krzyczę. Z trudem powstrzymuję się, żeby go nie uderzyć. Nie dlatego że się go boję, ale dlatego że nie przyniosłoby to nic dobrego. – Spójrz, czym stali się Scholarzy. Jesteśmy niczym. Jesteśmy prochem. Spójrz... – Mój głos jest coraz bardziej gniewny. – Zobacz, co mi zrobiłeś. Zobacz, jak mnie zdradziłeś. Czy to nie wystarczy?

– Nigdy nie jest za dużo. – Jest zły, moje słowa trafiły w jakiś jego czuły punkt. – Zrób, co mówię, Laio z Serry. Uciekaj. Słyszałaś przepowiednię Shaevy. Biblioteka spłonęła. Zmarli uciekli i zaczęli grasować na wolności. *Dziecię skąpie się we krwi, ale będzie żyło.* Przyłożyłaś do tego rękę. *Perła pęknie, wedrze się zimno.* – Unosi ramiona nad głową.

Oczywiście, przecież Antium jest nazywane Perłą Imperium.

– Przepowiednie dzinnów są prawdziwe – ciągnie Zwiastun Nocy. – Uwolnię swoich braci. I dokonamy krwawej zemsty.

– Powstrzymam cię – mówię, cofając się o krok. – Znajdę sposób...

– Przegrałaś. – Gładzi parzącą dłonią mój policzek i choć pod kapturem widzę tylko jego oczy jak płonące słońca, to wiem, że się uśmiecha. – Idź już, dziecko. Uciekaj.

## LIII: Elias

Razem z Mauth wyłapujemy grupki liczące dziesięć, pięćdziesiąt, czasem sto dusz i przeprowadzamy je na drugą stronę. Z każdą kolejną przeprowadzoną duszą krzyki umierających Wojan stają się coraz odleglejsze, ryk płomieni trawiących miasto przycicha, los cywilów i dzieci coraz mniej mnie obchodzi.

Po zagnaniu na miejsce duchów, które uciekły, zajmuję się tymi zniewolonymi przez Karkaunów. Magia pozwalająca zapanować nad duchami jest stara jak świat, ale jest w niej coś znajomego. Zwiastun Nocy nauczył Karkaunów z niej korzystać. Dusze są przywiązane mniej więcej do tuzina czarowników, sługusów Grimarra. Jeśli zabiję czarowników, uwolnię spętane dusze.

Nie zastanawiam się: zabijać czy nie. Nie muszę nawet używać broni. Zalewa mnie magia Mauth, którą zaprzęgam do pracy. Otaczamy czarowników i zabieramy im po kolei życie, aż wreszcie o zachodzie słońca, kiedy bębny obwieszczają, które części miasta już upadły, znajduję się obok tak dobrze mi znanego wielkiego budynku koszar Czarnej Gwardii.

Szukam duchów, ale nie znajduję już żadnego. Szykuję się do powrotu, kiedy nagle dostrzegam czyjąś brązową skórę i czarne włosy.

*Laia.*

Ruszam w jej kierunku bez zwłoki. Resztki umysłu, które wciąż jeszcze znają ludzkie uczucia, każą mi do niej podejść. Spodziewam się, że Mauth będzie próbował mnie odciągać albo przejmie kontrolę nad moim ciałem, jak zrobił, kiedy spotkałem Kruka Krwi. Ale choć czuję jego obecność w swoim umyśle, to on nic nie robi.

– Elias! – Laia dostrzegła mnie, podbiega i rzuca mi się ze szlochaniem w ramiona. Obejmuję ją i czuję się dziwnie. Nie, nie dziwnie.

Nie czuję nic.

– To nie był ten pierścień – mówi Laia. – Nie wiem, gdzie jest ostatni fragment Gwiazdy, ale wciąż jest czas, by go znaleźć. Pomożesz mi?

*Tak, chcę powiedzieć.*

– Nie – mówią moje usta.

Jest zszokowana. A potem, tak jak kilka tygodni temu w morzańskiej wiosce, Laia nieruchomieje. Cały świat zastyga w bezruchu.

*Eliasia.*

Głos w mojej głowie nie jest moim głosem ani głosem dzinna.

*Poznajesz mnie?*

– Nie.

*Długo czekałem na dzień, w którym uwolnisz się od pęt wiążących cię ze światem żywych.*

– Mauth?

*Tak, Eliasie. Spójrz.*

Moje ciało pozostaje przy Lai, unieruchomione. Ale umysł wędruje do znajomego miejsca. Znam to bladeżółte niebo. To czarne morze, pod którego powierzchnią roi się od nieznanych stworów. Widziałem już kiedyś to miejsce, pokazała mi je Shaeva.

Pojawia się jakaś niewyraźna postać. Podobnie jak ja, unosi się nad wodą. Wiem, kim jest. To Mauth.

*Witaj w moim wymiarze, Eliasie Veturiusie.*

– Co to takiego? – pytam drżącym głosem, wskazując na morze.

*Nie zwracaj sobie nimi głowy, odpowiada Mauth. Porozmawiamy o nich kiedy indziej. Spójrz.* Macha dłonią i przed moimi oczami zaczynają przewijać się obrazy.

Zaczyna się od wojny Scholarów z džinnami. Widzę niewyobrażalne zbrodnie scholarskiego króla.

Dociera do mnie oczywista prawda: bez džinnów nie ma w tym świecie równowagi. To im wyznaczono rolę strażników bramy łączącej dwa światy – żywych i umarłych. I nikt inny, choćby najzdolniejszy, nie zastąpi całej cywilizacji.

Muszą wrócić, nawet jeśli miałyby to oznaczać wojnę. Nawet jeśli miałyby oznaczać zniszczenie. Ponieważ bez nich duchów będzie przybywać i za pięć, pięćdziesiąt albo pięćset lat znów się oswobodzą. A kiedy tak się stanie, zniszczą świat.

– Dlaczego nie możesz po prostu uwolnić džinnów? Sprawić, żeby zapomniały, co się zdarzyło?

*Potrzebuję łącznika, istoty z twojego świata zdolnej wykorzystać moją moc. A moc niezbędna do odtworzenia tamtej cywilizacji zniszczyłaby każdego, kogo wybierałem do tej pory – istotę ludzką, zjawę, džinna czy ifryta.*

Rozumiem teraz, że jest tylko jeden sposób – wolność dla džinnów. Ale ta wolność ma swoją cenę.

– Laia – szepczę. – Kruk Krwi. One ucierpią. Ale...

*Ośmielasz się stawiać te, które kochasz, ponad całą ludzkość, dzieciaku? – pyta spokojnie Mauth. Ośmielasz się być takim egoistą?*

– Dlaczego to Laia i Kruk mają płacić za to, co scholarski satrapa zrobił tysiąc lat temu?

*Za zachłanność i brutalność trzeba płacić. Nie zawsze wiadomo, kto poniesie koszty. Wiadomo tylko, że muszą być poniesione.*

Nie jestem w stanie powstrzymać tego, co nieuchronne. Nie mogę tego zmienić.

*Tym, których niegdyś kochałeś, możesz zaoferować świat bez duchów. Możesz wypełnić swoją powinność. Możesz dać im szansę na przeżycie ataku, który musi nastąpić. Możesz dać im szansę na zwycięstwo, pewnego dnia.*

– Ale nie dziś.

*Nie dziś. Zerwałeś związki z obcymi, przyjaciółmi, rodziną, swoją jedyną, prawdziwą miłością. A teraz poddaj się mojej woli, bo takie jest twoje przeznaczenie. Taka jest racja twojego istnienia. Już czas.*

Już czas.

Zapamiętuję tę chwilę, kiedy wszystko ulega zmianie. Chwilę, kiedy Mauth jednoczy się ze mną tak całkowicie, że nie potrafię wskazać, gdzie kończę się ja, a zaczyna magia. Wracam do swojego ciała, jestem w Antium, stoję obok Lai. Wydaje się, że nie upłynęła ani sekunda od chwili, gdy poprosiła mnie o pomoc, a ja jej odmówiłem.

Patrzę na tę piękną buzię i nie widzę już dziewczyny, którą kochałem. Widzę jakąś istotę niższą. Kogoś, kto się starzeje, powoli umiera, jak wszyscy ludzie. Widzę śmiertelnika.

– Eliasie?

Ta dziewczyna, Laia, mówi, a ja odwracam się w jej stronę.

– Dżinny mają swoją rolę do odegrania w tym świecie i muszą zostać uwolnione. – Przemawiam do niej łagodnie, bo jest śmiertelna i trudno będzie jej przyjąć to do wiadomości. – Świat trzeba zniszczyć, żeby go potem odbudować. Inaczej nigdy nie zostanie przywrócona równowaga.

– Nie, Eliasie – mówi Laia. – Nie. Mówimy o dżinnach. Jeśli zostaną uwolnione...

– Sam nie zdołam utrzymać równowagi. – To nieuczciwie oczekiwać, żeby Laia to rozumiała. – Świat spłonie. Ale powstanie z popiołów.

– Jak możesz tak mówić, Eliasie?

– Powinnaś stąd odejść. Nie chcę cię witać w Poczekalni. Jeszcze nie teraz. Niech bogowie cię prowadzą.

– Co tamto miejsce z tobą zrobiło?! – krzyczy Laia. – Potrzebuję twojej pomocy, Eliasie. Ludzie cię potrzebują. Tu są tysiące Scholarów. Jeśli nie mogę zdobyć Gwiazdy, to mogę ich przynajmniej stąd wyprowadzić. A ty mógłbyś...

– Ja muszę wracać do Poczekalni. Do widzenia, Laio z Serry.

Laia ujmuje dłońmi moją głowę i patrzy mi w oczy. Rośnie w niej mrok, coś nadprzyrodzonego. Chociaż nie, to coś więcej. To coś atawistycznego, sama esencja magii. Pełna furii.

– Co z nim zrobiłeś? – Zwraca się do Mauth, jakby wiedziała, że zjednoczył się ze mną. Jakby go widziała. – Zwróć mi go!

Odsuwam się i ruszam na wschód w kierunku Lasu Zmierzchu. Kilka chwil później przedzieram się przez ciżbę Karkaunów napierających na bramy miasta, mijam ich i wreszcie stanowiąc jedność z Mauth, płynę nad światem.

I choć wiem, że wracam do swoich obowiązków, to jakaś część dawnego mnie tęskni za tym, co straciłem. Jakie to dziwne uczucie.

*To ból po tym, z czego zrezygnowałeś. Ale on minie, Banu al-Mauth. Dużo*

*doświadczyłeś w krótkim czasie, ale i dużo się nauczyłeś. Nie możesz oczekiwać, że będziesz natychmiast gotowy.*

– To... – Szukam odpowiedniego słowa. – To boli.

*Poddanie się zawsze boli. Ale to minie.*

– Dlaczego ja? – pytam. – Dlaczego to my mamy się zmienić, a nie ty. Dlaczego my musimy stać się mniej ludzcy, a nie ty bardziej.

*Grzmią fale oceanu i to człowiek musi po nich płynąć. Wieje wiatr, zimny i porywisty, i to człowiek musi się przed nim schronić. Ziemia drży i pęka, pochłania i niszczy, ale to człowiek musi po niej chodzić. Tak samo jest ze śmiercią. Ja nie mogę się poddać, Eliasie. To musisz być ty.*

– Nie czuję się już sobą.

*Bo nie jesteś sobą. Jesteś mną. A ja tobą. I w ten sposób przeprowadzimy dusze i ocalimy świat przed drapieżcami.*

Milknie, kiedy Antium zostaje daleko za nami. Szybko zapominam o walce. Zapominam twarz dziewczyny, którą kochałem. Myślę tylko o czekającym mnie zadaniu.

Wszystko jest takie, jakie być powinno.



## LIV: Laia

Kucharka znajduje mnie obok stajni chwilę po zniknięciu Eliasa. Z niedowierzaniem patrzę, jak odchodzi. To nie jest ten sam Elias, którego widziałam dwa tygodnie temu, Elias, który wyrwał mnie z piekła Zwiastuna Nocy, który mówił, że znajdziemy jakiś sposób.

Ale zaraz przypominam sobie jego słowa: „Jeśli wydam ci się inny, pamiętaj, że cię kocham. Niezależnie od tego, co się ze mną stanie”.

*Co, na bogów, się z nim stało? Co było we mnie takiego, co go zaatakowało?* Pamiętam też słowa Zwiastuna Nocy wypowiedziane w Adisie: „Nie wiesz, jaki mrok kryje się w twoim sercu”.

*Eliasem zajmiesz się później, Laio.* Mam gonitwę myśli. Miasto upada. Zawiodłam. A scholaryscy niewolnicy są w pułapce. Antium jest otoczone z trzech stron. Tylko na północy, tam gdzie wznosi się ku niebu góra Videnns, nie ma Karkaunów.

To od tamtej strony dostałyśmy się z Kucharką do miasta i tamtędy się wydostaniemy, zabierając ze sobą Scholarów.

Zbyt dobrze znam to uczucie, które mnie teraz ogarnia. Wrażenie, że wszystkie moje wysiłki na nic się nie zdały. Że wszystko i wszyscy są kłamstwem. Że wszystko jest okrutne i niewybaczalne, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Radziłam sobie z tym uczuciem wcześniej, poradzę sobie i teraz. W tym piekielnym świecie, pełnym krwi i szaleństwa, sprawiedliwość trzeba sobie wywalczyć.

– Co się stało, dziewczyno? – Z bocznej uliczki wyłania się Kucharka.

– Czy ambasada Morzan nie została jeszcze zdobyta? – pytam, kiedy oddalamy się od odgłosów walki. – Karkaunowie zajęli tamtą dzielnicę czy możemy tamtędy uciekać?

– Możemy.

– To dobrze. Zabierzemy ze sobą tylu Scholarów, ilu zdołamy, rozumiesz? Zamierzam przysłać ich do ciebie, do ambasady. Musisz ich potem pokierować dalej.

– Karkaunowie przełamali drugą linię obrony. Do ambasady dotrą za kilka godzin i co wtedy zrobisz? Uciekaj teraz ze mną. Scholarzy sami znajdą drogę.

– Nie znajdą – protestuję. – Jesteśmy z trzech stron otoczeni. A oni nie wiedzą, że są jakieś drogi ewakuacji.

– Niech ktoś inny się tym zajmie.

– Nie ma nikogo innego! Jesteśmy tylko my.

– To głupi pomysł. Obie zginiemy.

– Nigdy o nic cię nie prosiłam. – Chwytam Kucharkę za rękę. Wzdryga się, ale ja jej nie puszczam. – Nie miałam okazji. Teraz proszę cię, żebyś to dla mnie zrobiła.

Wyślę ich do ambasady, a ty wyprowadzisz ich z miasta.

Nie czekam na jej odpowiedź. Odwracam się na pięcie i biegnę, wiedząc, że po tym, co usłyszała ode mnie, nie powie „nie”.

W dzielnicy scholarskiej panuje panika. Ludzie pakują dobytek, szukają krewnych, zastanawiają się, jak uciec z miasta. Zatrzymuję jakąś dziewczynę biegnącą przez plac. Wygląda na kilka lat młodszą ode mnie.

– Gdzie wszyscy idą? – pytam.

– Nikt nie wie, dokąd pójść! – szlocha dziewczyna. – Nie mogę znaleźć matki, a wszyscy Wojanie uciekli. Musiała zacząć się ewakuacja miasta, tyle że nikt nam o tym nie powiedział.

– Ja jestem Laia z Serry – przedstawiam się. – Karkaunowie wdarli się do miasta. Wkrótce tu będą, ale zamierzam pomóc wam się stąd wydostać. Wiesz, gdzie jest ambasada Morzan?

Dziewczyna kiwa głową, a ja wzdycham z ulgą.

– Powiedz wszystkim, każdemu napotkanemu Scholarowi, żeby szli do ambasady. Kobieta o twarzy naznaczonej bliznami wyprowadzi was z miasta. Powiedz ludziom, żeby zostawili swój dobytek i natychmiast szli do ambasady.

Dziewczyna ochoczo kiwa głową i rusza biegiem przed siebie. A ja zatrzymuję kolejnego Scholarza, w wieku Darina, i przekazuję mu tę samą informację. Powtarzam ją każdemu, kto się zatrzyma i zechce mnie wysłuchać. Mają iść do ambasady, odszukać kobietę z bliznami na twarzy. Kilka osób poznaje mnie, kiedy się przedstawiam, ale odgłosy walki są coraz wyraźniejsze i nikt nie ma czasu na zadawanie zbędnych pytań. Wiadomość się rozchodzi i wkrótce plac jest pełen uciekających Scholarów.

Mam nadzieję, że informacja dotarła do wszystkich w tej dzielnicy, i ruszam dalej w miasto. Dziewczyna miała rację, jedyne Wojanie, jakich spotykam, to żołnierze. Przypominam sobie karawany wozów, które widziałyśmy z Kucharką po drodze do Antium. Najbogatsi Wojanie uciekli już kilka tygodni temu. Porzucili swoją stolicę, zostawiając żołnierzy, plebejuszów i Scholarów na pewną śmierć.

Dostrzegam grupę Scholarów uprzątających gruz pod okiem dwóch Wojan zajętych teraz wsłuchiowaniem się w odgłos bębnow. Gorączkowo, szeptem komentują wiadomości. Wykorzystuję ich nieuwagę i podkradam się do Scholarów.

– Nie możemy tak po prostu uciec. – Jakaś kobieta zerka lękliwie na Wojan. – Pobiegną za nami.

– Musicie – tłumaczę. – Jeśli nie uciekniecie im teraz, będziecie musieli umykać przed Karkaunami, ale wtedy nie będzie już dokąd.

Naszą rozmowę słyszy druga kobieta. Rzuca kilof na ziemię i puszcza się pędem jak najdalej od strażników. Takiego sygnału potrzebowali pozostali Scholarzy. W jednej chwili sześćdziesiąt osób bierze na ręce dzieci i rozprasza się we wszystkich kierunkach. Zaskoczeni Wojanie orientują się z opóźnieniem, że niewolnicy uciekli.

Kiedy docieram do Dzielnicy Cudzoziemców, widzę setki Scholarów zdążających do ambasady.

Walki wylewają się na ulice przede mną. Grupka wojańskich posiłkowych walczy z dużo liczniejszym oddziałem Karkaunów. Choć stal Barbaryjczyków łamie się w zetknięciu z szablami wojańskimi, to posiłkowi ulegają przewadze liczebnej. Jeśli podobna sytuacja panuje w innych częściach miasta, to Antium zostanie zdobyte przed nastaniem nocy.

Omijam pole bitwy szerokim łukiem i kiedy docieram w pobliże ambasady, Scholarzy wylewają się z niej szerokim strumieniem. Kucharka swoim chrapliwym głosem kieruje ich do tuneli.

– Nareszcie! – warczy na mój widok. – Złaż do tunelu. Kilku z tych niewolników zna drogę. – Kucharka widzi moją minę i wydaje z siebie jęk. Wie już, że nie ucieknę, dopóki wszyscy nie wejdą do tuneli.

Cały czas napływają kolejni uchodźcy. Dostrzegam też Wojan, sądząc po ubraniu większość z nich to plebejusze. Wmieszali się w tłum, prawidłowo rozumując, że musi być jakiś powód, dla którego Scholarzy tu zmierzają.

– Na moce piekielne, dziewczyno, widzisz, co narobiłaś? – stęka Kucharka.

– Nie zamierzam mówić matce z płaczącym dzieckiem, że nie może tędy uciec. – Wskazuję na Wojan. – Nieważne, czy to Wojanka, czy nie. A ty?

– Niech cię piekło pochłonie. – Kucharka jest wściekła. – Jesteś taka sama jak twój ojciec... – Milknie i odwraca się plecami. – Ruszać się, niezguły! – Wyładowuje złość na Scholarach. – Za wami są jeszcze setki innych, którzy też chcą żyć.

Popędzani groźbami Kucharki, Scholarzy schodzą do tuneli i ambasada pustoszeje, choć nie tak szybko, jak trzeba. Karkaunowie zbliżają się, widać ich już na ulicach. Wojanie są pokonani.

Dostrzegam rozbity oddział posiłkowych. Ziemię pokrywają krew i wnętrzności. I choć doświadczyłam tyle zła ze strony Imperium, to z bólem patrzę na ten widok. Nigdy nie zrozumieję okrucieństwa wojny, nawet jeśli giną moi przeciwnicy.

– Czas na nas, dziewczyno. – Kucharka pojawia się obok i popycha mnie na schody prowadzące do piwnicy. Nie protestuję. Na pewno w mieście zostało jeszcze sporo Scholarów, ale zrobiłam, co mogłam. – Pomóż mi. – Kucharka rygluje drzwi do piwnicy. Nad naszymi głowami rozlega się brzęk tłuczonego szkła i dzikie wrzaski Karkaunów.

Kucharka majstruje przy drzwiach, a potem wyjmuje coś, co przypomina długi knot świecy, który po chwili zaczyna płonąć, rozsypując wokół iskry.

– Kryć się!

Biegniemy do drzwi prowadzących do tunelu, zatraskujemy je za sobą i zaraz potem ziemia zaczyna drżeć. Przez chwilę obawiam się, że kamienny strop tunelu zwali nam się na głowy. Ale kiedy kurz opada, okazuje się, że korytarz jest cały.

– Ładunek wybuchowy? – zwracam się do Kucharki. – Skąd?

– Morzanie mieli cały arsenał – odpowiada Kucharka. – Pokazali mi go mali przyjaciele Musy. No, dziewczyno, wejście do tunelu odcięte. Co dalej?

– Teraz wynosimy się stąd jak najprędzej.

## LV: Kruk Krwi

Karkaunowie zdobywają bramę za bramą i wlewają się do miasta. Ich wrzaski przyprawiają mnie o dreszcze. Na szczęście dzięki Eliasowi zniknęli wojownicy opętani przez duchy.

Mimo to dokonano się dzieło zniszczenia. Wrogowi udało się zdziesiątkować nasze siły. Marcus miał rację. Stolica Imperium jest stracona.

Jestem wściekła, rozszarpałabym na strzępy każdego napotkanego Karkauna. Kiedy w oddali dostrzegam znajomą postać z blond włosami otoczoną oddziałem żołnierzy, wybucham.

– Ty zdradziecka suko!

Słyszając to, zatrzymuje się i powoli obraca.

– Jak mogłaś? – Głos mi się łamie. – Jak mogłaś to zrobić swojemu ludowi? Dla tronu? Jaki jest sens bycia imperatorem, jeśli nie kocha się swoich poddanych? Jeśli nie ma się kim rządzić?

– Imperatorem? – Przekrzywia głowę. – To ostatnia rzecz, jakiej bym pragnęła, dziewczyno. Dlaczego miałabym się ograniczać do bycia imperatorem, skoro Zwiastun Nocy może dać mi władzę nad Plemieńcami, Scholarami, Morzanami, Karkaunami, nad całym światem?

*Nie, tylko nie to.*

Rzucam się w jej kierunku, bo nie mam już nic do stracenia. Nie muszę podlizywać się ilustranom ani słuchać rozkazów. Pozostał mi tylko gniew, któremu mogę dać ujście.

Keris usuwa się na bok, a jej ludzie, same Maski, błyskawicznie mnie obezwładniają. W jej dłoni połyskuje nóż. Przesuwa jego ostrzem w dół po mojej twarzy, zaczynając od czoła.

– Ciekawe, czy będzie bolało – mruczy do siebie.

A potem odwraca się na pięcie, wskakuje na konia i odjeżdża. Jej ludzie trzymają mnie, póki nie zniknie, a potem rzucają na skraj drogi jak śmieć.

Nie gonię ich. Nawet nie patrzę w ich stronę. Komendantka mogła mnie zabić, a jednak pozostawiła przy życiu. Bogowie tylko wiedzą dlaczego, ale nie zamierzam zmarnować takiej okazji. Wsłuchuję się w odgłos bębnow, a potem biegnę do ludzi z Czarnej Gwardii, którzy jeszcze żyją, i z kilkoma setkami żołnierzy stawiają opór fali najeźdźców na placu w dzielnicy merkatorów. Przyglądam się ich twarzom, szukając Dexa, mając nadzieję, że żyje. Kiedy na niego wpadam, o mało nie łamię mu żeber.

– Gdzie się podziali nasi ludzie, Dex?! – przekrzykuję kakofonię dźwięków. – To niemożliwe, żeby tylko tyłu zostało!

– Tylko tyłu. – Dex kręci głową, z jego licznych ran sączy się krew.

– A ewakuacja?

– Tysiące są już w jaskiniach augurów. Kolejne tysiące jeszcze tkwią w tunelach. Wejścia zostały zawałone. Ci, którzy zdołali wejść...

Unoszę dłoń. Z najbliższej wieży dociera do nas wiadomość. Ledwie ją słyhać w tym hałasie, ale udaje mi się zrozumieć jej koniec: Siły Karkaunów zbliżają się do Przełęczy Pielgrzyma.

– Harper kierował ludzi za przełęcz – mówię. *Liwia! Dziecko!* – Karkaunowie musieli tam wysłać zwiadowców. Jeśli przejdą przełęcz, wymordują wszystkich, których Harper ewakuował z miasta.

– Po co nas ścigają, skoro miasto jest ich? – zastanawia się Dex.

– Ponieważ Grimarr wie, że nie pozwolimy mu długo okupować Antium. Póki utrzymują przewagę, chcą wymordować jak najwięcej ludzi i osłabić nasze siły. – Wiem, co muszę powiedzieć, i mówię to. – Miasto jest stracone. Należy teraz do Grimarra. – O bogowie, pomóżcie biednym duszom, które są teraz we władaniu tego demona. Nie zapomnę ich nigdy. Ale teraz nie potrafię ich ocalić. Muszę ratować tych, którzy mają jeszcze szansę na ucieczkę. – Przekaż rozkaz. Wszyscy żołnierze mają zameldować się natychmiast na przełęczy. To nasza ostatnia pozycja. Jeśli mamy powstrzymać wroga, to właśnie tam.

\*\*\*

Kiedy z Dexem i garstką ludzi docieramy do Przełęczy Pielgrzyma, tuż za północną granicą miasta, wojska Karkaunów maszerują już w tamtym kierunku.

Obserwuję, jak wylewają się przez północną bramę Antium i idą Drogą Pielgrzyma, i wiem, że nie wygramy tej bitwy. Jest ze mną niecały tysiąc ludzi. Przeciwnik ma ich dziesięć tysięcy, a kolejne tysiące może w razie potrzeby wezwać z miasta. Nie pomoże nam nawet nasza znakomita stal.

Przełęcz Pielgrzyma ma szerokość dziesięciu stóp i leży pomiędzy dwoma stromymi urwiskami u szczytu szerokiej doliny. Droga Pielgrzyma wije się w dolinie i za przełęczą prowadzi do jaskiń augurów.

Oglądam się przez ramię. Miałam nadzieję, że Droga Pielgrzyma będzie pusta, że ewakuowani mieszkańcy już nią przeszli. Tymczasem na drodze są setki Wojan i Scholarów, a kolejne setki wychodzą z tuneli.

– Przekaż wiadomość Harperowi – zwracam się do Dexa. – Osobiście. Ma wypuścić biały dym, kiedy ostatnia osoba wejdzie do jaskini. Potem wejście trzeba zawałić. Ani chwili wahania.

– Kruku...

– To jest rozkaz, poruczniku Atriusie. Masz zadbać o jej bezpieczeństwo. I o bezpieczeństwo mojego siostrzeńca. On ma zasiąść na tronie. – Dex wie, co oznacza mój rozkaz. Ma tutaj nie wracać. Ja zginę tu z moimi ludźmi, on przeżyje.

– Obowiązek nade wszystko. – Salutuje. – Aż do śmierci.

Patrzę na moich ludzi – Maski, posiłkowych, legionistów. Przeżyli straszną rzeź. Są wyczerpani. I załamani.

Słyszałam wiele pięknych mów jako żołnierz. Nie pamiętam żadnej. Ostatecznie sięgam po słowa usłyszane dawno temu z ust Keris.

– Jest sukces – mówię. – I jest porażka. Wszystko, co pomiędzy, jest dla tych zbyt słabych, by żyć. Obowiązek nade wszystko, aż po śmierć.

Żołnierze krzyczą głośno zawołanie i ustawiają się w szyku. Tarcza przy tarczy, szabla przy szabli, szereg za szeregiem. Naszym łucznikom brakuje strzał, ale szykują do walki to, co mają. Karkaunowie wspinają się ku przełęczy, odgłos ich kroków narasta. Biorę do ręki młot.

– Chodźcie tu do mnie, bydlaki!

I nagle odległy tupot zmienia się w głucho, potężne dudnienie, tysięczne hordy wroga rzucają się na nas. Z gardeł moich ludzi dobywa się bojowy okrzyk.

Teraz przekonamy się, co warci są Wojanie, mówię do siebie.

\*\*\*

Po godzinie Karkaunowie przedzierają się przez naszą pierwszą linię. Bój jest krwawy i bezlitosny. Walczymy, a droga za naszymi plecami wciąż jest pełna ludzi uciekających z miasta.

Szybciej, poganiam ich w myślach. Na miłość bogów, ruszajcie się.

Czekamy na biały dym, a tymczasem wróg napływa kolejnymi falami. Nasze siły kurczą się z pięciuset do czterystu ludzi. Dwustu. Pięćdziesięciu. A dymu jak nie było, tak nie ma.

Przełęcz jest za szeroka, żebyśmy zdołali ją dłużej utrzymać. Zaścielają ją stosy trupów, ale Karkaunowie po prostu wspinają się na nie, jakby wzgórze było zbudowane ze skał, nie z ludzkich ciał.

Od strony miasta dobiegają piekielne dźwięki. Są gorsze niż cisza w Czarnym Klifie po Trzeciej Próbie, gorsze niż jęki torturowanych więźniów w Kauf. To są krzyki tych, którzy zostali w mieście, zdani na łaskę i niełaskę Karkaunów.

Nie możemy się załamać. Na Drodze Pielgrzyma wciąż są setki ludzi, z tuneli wychodzą jeszcze dziesiątki. *Jeszcze trochę czasu. Potrzebujemy trochę czasu.*

Ale już go nie mamy. Po mojej lewej dwóch kolejnych ludzi pada trafionych strzałami wroga. Trzon młota wyślizguje mi się z dłoni mokrych od krwi sączącej się z niezliczonych ran. Naciera nowa grupa Karkaunów. Nie mogę z nimi wszystkimi walczyć. Wołam o pomoc. Jedyłą odpowiedzią są bojowe okrzyki Karkaunów.

W końcu zdaję sobie sprawę, że zostałam sama. U mojego boku nie ma już nikogo zdolnego do walki. Wszyscy moi ludzie polegli.

Tymczasem zaporę z trupów pokonują kolejni wrogowie. O bogowie, czy to się kiedyś skończy? Chce mi się krzyczeć i płakać jednocześnie.

Przedrą się przez przełęcz. Rzucą się na ludzi jak szakale.

Szukam na niebie białego dymu. Nagle czuję silny ból w ramieniu. Ze zdumieniem patrzę na sterzącą z niego strzałę. Odbijam kolejną, ale atakuje mnie zbyt wielu łuczników.

To się nie dzieje naprawdę. To niemożliwe. Moja siostra jest gdzieś tam i tuli w ramionach nadzieję i przyszłość Imperium. Może nie dotarła jeszcze do jaskini.

Na myśl o niej, o Zachariasie, o dwóch dziewczynkach, które powiedziały, że będą walczyć z Karkaunami, zbieram w sobie resztkę sił. Jestem teraz postacią z najczarniejszych koszmarów Barbaryjczyków, demonem z piekieł o srebrnej twarzy i nie pozwolę im pokonać przełęcz. Zabijam, zabijam, zabijam. Ale nie jestem istotą nadprzyrodzoną. Jestem człowiekiem z krwi i kości i opadam z sił.

*Proszę. Proszę. Jeszcze trochę.*

Nie mam już więcej czasu. Czas się skończył.

„Wkrótce czeka cię próba, drogie dziecko. Wszystko, co ci drogie, spłonie, nie będziesz mogła liczyć tego dnia na przyjaciół, sojuszników, towarzyszy broni. Tego dnia zaufanie do mnie będzie twoją jedyną bronią”.

Padam na kolana.

– Pomóż mi – szlocham. – Proszę, pomóż mi. – Ale jak ma mi pomóc, skoro nie może mnie usłyszeć? Jak może zaoferować swoją pomoc, skoro go tu nie ma?

– Kruku Krwi?

Obracam się. Zwiastun Nocy stoi tuż za mną. Unosi ramiona i Karkaunowie zatrzymują się powstrzymani potężną mocą dżinna.

Beznamiętnie przygląda się krwawej jatce. Następnie odwraca się do mnie, ale nic nie mówi.

– Bierz, co chcesz – zwracam się do niego – ale ocal ich, proszę.

– Chcę kawałek twojej duszy, Kruku.

Kręcę głową, nic nie rozumiem.

– Weź moje życie – mówię. – Jeśli taka jest cena...

– Chcę tylko kawałek duszy.

– Ja... Ja nie mam...

Nagle wraca wspomnienie. Głos Quina, słowa wypowiedziane kilka tygodni temu, kiedy dałam mu maskę Eliasa.

„Stają się częścią nas. Dopiero kiedy łączą się z nami, stajemy się prawdziwi. Mój ojciec zwykł mawiać, że po połączeniu maska przejmuje tożsamość żołnierza, przez co traci on część duszy, której już nigdy nie odzyska”.

*Kawałek duszy...*

– To tylko maska – mówię. – To nie jest...

– Sami augurowie umieścili ostatni fragment potężnej broni w twojej masce –



wyjaśnia Zwiastun Nocy. – Wiedziałem o tym od dnia, kiedy ci ją podarowali. Wszystko, czym jesteś, wszystko, co w ciebie wlałi, wszystko, czym się stałaś, wszystko to czekało na ten dzień, Kruku Krwi.

– Nie rozumiem.

– Miłość do ludzi tkwi w tobie głęboko. Pielęgnowałaś ją przez wszystkie lata spędzone w Czarnym Klifie. Pogłębiła się, kiedy ujrzałaś cierpienie w Navium i uzdrawiałaś dzieci w szpitalu. Pogłębiła się, kiedy uleczyłaś siostrę i wpoilaś ją swojemu siostrzeńcowi. Pogłębiła się, kiedy zobaczyłaś siłę swoich rodaków szykujących się do oblężenia. Ta miłość stopiła się z twoją duszą, kiedy walczyłaś dla nich na murach Antium. A teraz osiąga szczyt, kiedy poświęcasz się dla nich.

– W takim razie zetnij mi głowę, bo nie mogę dać ci duszy. Jest częścią mnie, żywą częścią. Wniknęła w moją skórę!

– To jest moja cena – mówi Zwiastun Nocy. – Nie zabiorę ci jej. Nie będę cię straszył ani do niczego zmuszał. Maskę musisz mi oddać z miłością w sercu.

Oglądam się przez ramię na Drogę Pielgrzyma. Idą nią setki ludzi, a tysiące są w jaskiniach. Straciliśmy już tak wielu ludzi. Nie możemy tracić więcej.

*To ty powstrzymujesz mrok.*

Dla Imperium. Dla ojców i matek. Dla siostr i braci. Dla ukochanych.

*Dla Imperium, Heleno Aquillo. Dla twojego ludu.*

Chwytam się za twarz i szarpie. Wbijam paznokcie w skórę, jęczę, wzdycham, błagam maskę, żeby uwolniła się ode mnie.

*Nie potrzebuję cię już, chcę tylko, żeby moi ludzie byli bezpieczni. Uwolnij się ode mnie, proszę. Dla Imperium. Dla mojego ludu. Proszę...*

Twarz mi płonie. Krew płynie z miejsc, gdzie wbiłam paznokcie. A gdzieś w środku coś we mnie krzyczy, protestuje przed taką lekkomyślnością.

*Maska zawiera tożsamość żołnierza...*

Nie dbam o swoją tożsamość. Nie dbam nawet o to, czy jestem jeszcze żołnierzem. Chcę tylko, żeby moi ludzie żyli, chcę dożyć kolejnego dnia, by stanąć do walki.

Maska ustępuje. Po policzkach, szyi płynie mi krew, zalewa oczy. Nic nie widzę. Ledwo się ruszam. Wymiotuję z bólu.

– Weź ją. – Mój głos jest równie surowy jak Kucharki. – Weź ją i ocal ich.

– Dlaczego mi ją ofiarujesz, Kruku? Powiedz to głośno.

– Ponieważ to jest mój lud! – Wyciągam do niego rękę z maską, a kiedy jej nie bierze, wciskam mu ją w rękę. – Ponieważ ich kocham. Ponieważ nie zasługują na śmierć dlatego, że zawiodłam!

Pochyla głowę z głębokim szacunkiem, a ja padam na ziemię. Czekam, aż machnie ręką i wywoła zamęt. Ale on odwraca się i unosi w powietrze lekki jak liść.

– Nie! – Dlaczego nie walczy z Karkaunami? – Zaczekaj, zaufałam ci! Proszę... Mówiłeś... Musisz mi pomóc!

Ogląda się przez ramię na coś za mną, poza mną.

– Pomogłem, Kruku Krwi.

Mówiąc to, znika jak ciemna chmura niesiona przez wiatr. Moc, która powstrzymywała Karkaunów, znika i rzucają się na mnie ze zdwojoną siłą.

– Wróć. – Straciłam głos. Nieważne. Zwiastuna Nocy już tu nie ma. O bogowie, gdzie mój młot, moja szabla, cokolwiek...

Nie mam broni. Nie mam już sił.

Nie pozostało mi nic.

## LVI: Laia

Kiedy wychodzę z tunelu na światło słoneczne, w nozdrza uderza mnie odór krwi. Sto kroków dalej, u podstawy wąskiej przełęczy leży stos trupów. Dalej rozciąga się panorama Antium.

Obok martwych ciał, przed okrytym ciemną peleryną Zwiastunem Nocy klęczy Kruk Krwi.

Nie wiem, co Zwiastun Nocy do niej mówi. Wiem tylko, że kiedy Kruk krzyczy, to brzmi to tak jak krzyk babci, kiedy dowiedziała się o śmierci matki. Jak mój krzyk, kiedy zrozumiałam, że Dżinn mnie zdradził.

To jest krzyk samotności. Krzyk rozpaczy.

Dżinn obraca się. Patrzy w moim kierunku. A potem odpływa z wiatrem.

– Dziewczyno. – Obok mnie gramoli się Kucharka. Zagląda do tunelu, żeby sprawdzić, czy nikt w nim nie pozostał. Ostatni Scholarzy już dawno wyszli. Pozostałyśmy tylko my dwie. – Chodźmy. Wróg nadchodzi.

Przez przełęcz przedziera się coraz więcej Karkaunów, a Kruk podczołguje się do swojego młota i próbuje wstać. Zataczając się, zadziera głowę i patrzy w niebo, gdzie wznosi się kłęb białego dymu.

Szlochając, pada z powrotem na kolana, rzuca młot i pochyla głowę. Wiem, że jest gotowa umrzeć.

Wiem też, że nie mogę na to pozwolić.

Ruszam w jej stronę. Zostawiam Kucharkę, zostawiam ścieżkę prowadzącą w bezpieczne miejsce. Rzucam się na atakującego ją Karkauna, a kiedy ten chwytam mnie zębami za gardło, wbijam mu sztylet w brzuch i odpycham od siebie. Kolejny sztych jest wymierzony w szyję następnego napastnika. Trzeci atakuje mnie od tyłu. Potykam się i przewracam i w tej samej chwili głowę Karkauna przeszywa strzała.

Otwieram usta ze zdumienia, kiedy widzę, jak Kucharka wypuszcza strzałę za strzałą, zabijając wrogów z precyzją godną Maski. Robi przerwę tylko po to, by zabrać kołczan ze strzałami jakiemuś zabitemu Karkaunowi.

– Bierz Kruka! – Kucharka łapie ją pod lewe ramię, a ja pod prawe. Słaniając się na nogach, biegniemy Drogą Pielgrzyma.

– Tam! – Kucharka wskazuje stos wielkich głazów. Skrywamy się za nim i kładziemy Kruka na ziemi. Przełęcz pokonują teraz dziesiątki Karkaunów. Wkrótce będą ich setki. Mamy kilka minut, a może mniej.

– Jak mamy się stąd wydostać? – szepczę do Kucharki. – Nie możemy jej tak zostawić.

– Wiesz, dziewczyno, dlaczego komendantka nigdy nie przegrywa? – Kucharka nie oczekuje chyba odpowiedzi na dziwne w tej sytuacji pytanie, bo mówi dalej: – Ponieważ nikt nie zna jej historii. Poznaj jej historię, a poznasz jej słabe punkty.

Poznaj jej słabości, a pokonasz ją. Porozmawiaj z Musą. On ci pomoże.

– Dlaczego mówisz mi o tym teraz?

– Ponieważ zemścisz się za mnie na tym okrutnym potworze – mówi Kucharka. – A teraz wstawaj. Zabierz Kruka na górę. Wojanie wkrótce zablokują wejście do jaskini, musisz się więc pośpieszyć.

W naszą stronę biegnie grupka Karkaunów. Kucharka wychyla się zza głazów i wypuszcza tuzin strzał. Barbaryjczycy padają martwi. Nadciągają już jednak następni.

– Mam jeszcze pięćdziesiąt strzał, dziewczyno. Kiedy się skończą, będzie po nas. W walce wręcz pokonamy trzech, może czterech, ale nie setki. Ani tysiące. Jedna z nas musi ich zatrzymać.

O nie. Rozumiem już, co zamierza.

– Nie ma mowy. Nie zostawię cię tutaj na pewną śmierć...

– Idź! – Matka popycha mnie w stronę Kruka i choć uśmiecha się szeroko, jej oczy są pełne łez. – Nie musisz mnie ratować. Nie jestem tego warta. Idź!

– Nie...

– Wiesz, co zrobiłam w więzieniu Kauf, dziewczyno? – W jej oczach widzę nienawiść, kiedy to mówi. Zanim dowiedziałam się, kim jest, myślałam, że nienawidzi mnie. Teraz rozumiem, że ona nienawidzi siebie. – Gdybyś wiedziała, uciekłybyś stąd...

– Wiem, co zrobiłaś. – Nie ma teraz czasu na wielkoduszność. Chwytam ją za rękę i ciągnę w stronę Kruka. Ale ona nie rusza się z miejsca. – Zrobiłaś to, żeby ratować Darina i mnie. Dlatego że ojciec i Lis nie byli równie silni jak ty. Wiedziałaś, że w końcu nas wydadzą, a wtedy umrzemy wszyscy. Wiem o tym od chwili, gdy poznałam prawdę, mamu. Wybaczyłam ci w tej samej chwili, w której się o tym dowiedziałam. Ale musisz ze mną pójść. Uciekniemy...

– Niech cię, dziewczyno. – Kucharka chwyta mnie za ramiona. – Posłuchaj. Przyjdzie czas, że będziesz miała własne dzieci. I wtedy zrozumiesz, że zniesiesz najgorsze cierpienia, ale nie pozwolisz, żeby im spadł włos z głowy. Pozwól mi na ten dar. Pozwól mi chronić cię, tak jak powinnam była chronić Lis. I waszego ojca...

Nie może wydobyć głosu, odwraca się więc, napina łuk i wypuszcza strzałę za strzałą.

„Duch upadnie, jej ciało sześcinnie”.

To nie ja byłam Duchem, tylko ona. Powstała z martwych Mirra z Serry.

Matka obraca się, chwyta Kruka i stawia ją na nogi. Kruk Krwi otwiera oczy, a matka popycha ją w moją stronę.

Nie mam wyjścia, muszę ją złapać. Kolana uginają mi się pod nagłym ciężarem. Ale Kruk prostuje się i stara się utrzymać samodzielnie na nogach.

– Kocham cię, Laio. – Moje imię spływające z warg matki. To więcej, niż jestem

w stanie znieść. Kręcę głową, próbując powiedzieć „nie”, ale stać mnie tylko na szloch. – Opowiedz wszystko bratu, jeśli jeszcze nie wie. Powiedz mu, że jestem z niego dumna. Powiedz, że go przepraszam.

Wychyla się zza skał i odbiega, zasypując Karkaunów gradem strzał i ściągając na siebie ich atak.

– Nie! – krzyczę, ale ona robi swoje. Patrzę na nią i wiem, że nigdy nie zapomnę jej siwych włosów powiewających jak zwycięski sztandar ani błękitnych oczu lśniących furją i determinacją. Znowu jest Lwicą, kobietą, którą znałam jako dziecko, a może nawet kimś więcej.

– Kruku! – wołam. – Oprzytomniej, proszę...

– Kim ty... – Wpatruje się we mnie, ale twarz ma zalaną krwią.

– Jestem Laia. Musimy iść. Rozumiesz? Musimy.

– Widziałam biały dym.

– Idziemy, Kruku.

Krok po kroku idziemy Drogą Pielgrzyna, aż jesteśmy tak wysoko, że widzimy ciała zabitych i nacierających Karkaunów. Na tyle wysoko, żeby widzieć, jak moja matka powala jednego po drugim na ziemię, zabiera martwym kołczany ze strzałami, daje nam czas na ucieczkę.

Nie oglądam się więcej za siebie. Idę, trochę ciągnąc, a trochę popychając Kruka Krwi. Ale jaskinie są za daleko, a rany Kruka zbyt poważne. Jej ubranie jest przesiąknięte krwią, ciało rozdarte bólem.

– Przepraszam... – szepcze. – Idź dalej beze mnie...

– Kruku Krwi! – Głos dobiega z góry, w słońcu połyskuje srebro. Znam tę twarz. To Maska, która pomogła mi w Kauf. To on mnie uwolnił. Avitas Harper.

– Dzięki wam, o bogowie...

– Chwyć ją z tej strony, Laio. – Harper przerzuca sobie ramię Kruka przez barki i razem ciągniemy ją w górę ścieżki, a potem w dół, do jaskini, gdzie czeka kolejna przystojna, ciemnoskóra Maska. Dex Atrius.

– Harp... Harper – duka Kruk. – Kazałam ci zablokować wejście. Nie słuchasz rozkazów.

– Z całym szacunkiem, Kruku, ale to był cholernie głupi rozkaz – odpowiada Harper. – A teraz nie mów więcej.

Kiedy wchodzimy do jaskini, odwracam głowę. Widzę stąd wyraźnie przełęcz. I Karkaunów biegnących ścieżką, niezatrzymywanych już przez nikogo.

– Nie – szepczę. – Nie, nie, nie...

Ale jesteśmy już w jaskini.

– Wysadzić w powietrze wejście – rozkazuje Avitas. – Laio, chodź szybciej. Oni są blisko.

Nie chcę jej tak zostawiać, mam ochotę krzyczeć. Nie chcę, żeby umierała samotnie. Nie chcę jej znowu stracić.

Kiedy znajdujemy się na drugim końcu długiego korytarza oświetlonego pochodniami, rozlega się głośny wybuch, a po nim odgłos walących się tysięcy ton skał.

Wreszcie zalega cisza.

Osuwam się na ziemię obok Kruka. Nie widzi mnie, ale wyciąga rękę i chwyta moją dłoń.

– Znałaś ją? – szepcze. – Kucharkę?

Długo zwlekam z odpowiedzią. A kiedy otwieram usta, Kruk traci przytomność.

– Nazywała się Mirra z Serry – mówię, choć nikt mnie nie słucha. – Tak, znałam ją.

CZEŚĆ V

UKOCHANY

## LVII: Kruk Krwi

Nucąc pieśń, która ma ratować życie, Laia z Serry co chwila gubi rytm. Ale jej śpiew jest słodki i działa dziwnie kojąco. Kiedy kręci się po pokoju, próbuję zgadnąć, gdzie jestem. Przez wielkie okno sączy się światło lamp i ostre powietrze – nieomylny znak, że lato na północy ma się ku końcowi. Rozpoznaję niskie budynki za oknem i duży plac. Jesteśmy w Delphinium. Powietrze jest ciężkie. W oddali, nad górami Nevenes niebo przeszywają błyskawice. Czuję zapach nadciągającej burzy.

Moja twarz wydaje się jakaś dziwna. Sięgam ręką. *Maska. Dżinn. Myślałam, że to zły sen.* A teraz, po raz pierwszy od siedmiu lat, czuję dotyk własnej skóry i wiem już, że to nie był sen. Maska zniknęła.

A wraz z nią częśćka mojej duszy.

Laia słyszy, że się poruszyłam, i odwraca się do mnie. Dostrzegam szablę u jej boku i instynktownie sięgam po swoją.

– Nie ma potrzeby, Kruku Krwi. – Przekrzywia głowę. Jej wyraz twarzy nie jest specjalnie przyjazny, ale nie ma w nim wrogości. – Nie po to taskaliśmy cię tunelami setki mil, żebyś zaraz po przebudzeniu się miała mnie zarżnąć.

Gdzieś niedaleko rozlega się głośny płacz. Prerażona zmuszam się, żeby usiąść na łóżku. Laia przewraca oczami.

– To imperator – wyjaśnia. – Ciągłe głodny. A kiedy nie dostanie jedzenia... o bogowie, miejcie nas w swojej opiece.

– Liwia... Czy oni...

– Są bezpieczni. – Przez twarz Scholarki przelatuje jakiś cień, ale szybko znika. – Tak. Twoja rodzina jest bezpieczna.

Rozlega się szelest pod drzwiami i w progu staje Avitas. Laia wymawia się obowiązkami i wychodzi. Rozumiem znaczenie jej krótkiego uśmiechu i czerwienię się.

Przez ułamek sekundy widzę na twarzy Harpera coś dziwnego. Nie kontrolowaną pustkę Maski, ale serdeczne uczucie ulgi.

I szczerze mówiąc, Harper nie wygląda w tym momencie jak ktoś, kto uważa się tylko za przyjaciela.

Chcę mu coś powiedzieć. *Zająłeś się mną. Razem z Laią wyrwaliście mnie ze szponów śmierci. Jest w tobie więcej dobroci twojego ojca, niż sądzisz.*

Ale tylko odchrząkuję i opuszczam stopy na podłogę.

– Melduj, kapitanie Harper.

Harper unosi na chwilę swoje srebrne brwi, dostrzegam w jego oczach frustrację, ale szybko przyjmuje nieprzenikniony wyraz twarzy. Zna mnie. Wie, czego chcę.

– Mamy siedem tysięcy pięciuset dwudziestu Wojan, uciekinierów z Antium.



I dodatkowo tysiąc sześćset trzydziestu czterech Scholarów. Podejrzewamy, że co najmniej dziesięć tysięcy ilustrian i merkatorów opuściło miasto przed inwazją lub zostało wyprowadzonych przez komendantkę.

– Co z resztą?

– Połowa zginęła podczas oblężenia. Druga połowa pozostaje jeńcami Karkaunów. Barbaryjczycy zrobili z nich niewolników.

– Musimy ich uwolnić – mówię stanowczo. – Co z Keris?

– Uciekła do Serry i ustanowiła tam stolicę. – Avitas urywa, starając się opanować ogarniającą go wściekłość. – Ilustrianie ogłosili ją nowym imperatorem. Za upadek Antium obwinia się Marcusa i...

– I mnie. – W końcu to ja dowodziłam obroną miasta.

– Quin Veturius złożył hołd lenny imperatorowi Zachariasowi i rodowi Aquilla. Podobnie postąpiły wszystkie ilustriańskie rody w Delphinium. Komendantka uznała twojego siostrzeńca za wroga Imperium. Każdy, kto będzie go wspierał, ma zostać niezwłocznie stracony.

Nie dziwi mnie nic, co mówi. Już nie. Wszystkie moje plany i knowania na nic się zdały. Gdybym wiedziała, że wojna domowa jest nieunikniona, zabiłabym Keris bez wahania, nie zważając na konsekwencje. Przynajmniej Antium nie wpadłoby wtedy w ręce Grimarra.

Burza jest coraz bliżej, drobne krople deszczu zaczynają uderzać o bruk na ulicach. Harper wpatruje się we mnie zupełnie otwarcie. Odwracam głowę i zastanawiam się, jak musi wyglądać moja twarz. Mam na sobie czarny mundur, ale bez maski czuję się dziwnie. Naga.

Przypominam sobie, co powiedziała komendantka, zanim uciekła z Antium. „Ciekawe, czy będzie bolało”. Wiedziała. Dlatego darowała mi życie. Musiała dostać takie polecenie od Zwiastuna Nocy.

Harper wyciąga rękę i przesuwa dłonią po moim policzku, najpierw jednym, potem drugim.

– Nie widziałas się – mówi.

– Nie chcę.

– Masz blizny, identyczne, jakby od ostrza szabli.

– Czy ja... – Słowa przechodzą w szept i muszę odchrząknąć. – Jest bardzo źle?

– Są piękne. – W jego oczach widzę życzliwość. – Twoja twarz zawsze jest piękna, Kruku Krwi. W masce i bez maski.

Czerwienię się coraz bardziej, a nie mam maski, która mogłaby to skryć. Nie wiem, co począć z rękami. Włosy mam pewnie w strasznym nieładzie. Cała pewnie wyglądam strasznie. *Nieważne. To tylko Harper.*

Ale teraz to już nie jest tylko Harper.

*Był lojalny wobec komendantki. Torturował cię na rozkaz Marcusa.*

Ale przecież nigdy nie był do końca lojalny wobec Keris. A co do przesłuchania, jak mogę go osądzać po tym, co kazałam zrobić Dexowi z Mamie? I z plemieniem Saif?

*Jest bratem Eliasa.*

Moje myśli to jeden wielki galimatias. Nie mogę ich poukładać. Avitas ujmuje moje dłonie, przyciąga je do siebie, ogląda troskliwie z każdej strony.

Opuszką przesuwam wzdłuż mojego przedramienia, kreśląc linię od jednego piega do kolejnego. Ten lekki jak piórko dotyk budzi wszystkie zakończenia nerwowe w mojej skórze. Oddycham nierówno, kręci mi się w głowie od jego zapachu, od widoku jego skóry na krtani. Zbliża się, jego dolna warga jest jedyną miękkością na twarzy, zdawałoby się, wykutej z kamienia. Zastanawiam się, czy jego wargi smakują tak, jak moim zdaniem powinny, miodem i cynamonową herbatą w mroźną noc.

Kiedy podnoszę na niego wzrok, nie ukrywa niczego, nareszcie, w końcu odsłania swoje pragnienia. Siła tych pragnień przyprawia mnie o zawrót głowy i nie protestuję, kiedy przyciąga mnie do siebie. Przestaje, kiedy od moich ust dzieli go grubość włosów. Jest taki delikatny, jak zawsze. W tej chwili oczekiwania odsłania się. *Tylko jeśli tego chcesz.* Przybliżam się. Moje własne pragnienia są tak silne, że cała drzę.

Spodziewałam się własnej niecierpliwości i rozgorączkowania. Nie przewidziałam jego. Jak na kogoś tak irytująco spokojnego, całuje jak mężczyzna, który nigdy się nie nasyci.

*Jeszcze.* Pragnę czuć jego palce w swoich włosach, jego usta na swoim ciele. Powinnam wstać, zamknąć drzwi na klucz...

To zatruta siła tego impulsu, który czyni mnie zimną, budzi dwa sprzeczne uczucia.

*Pragnę go.*

*Ale nie mogę go mieć.*

I kiedy nagle nasze wargi stykają się, odsuwam się. Jego zielone oczy płoną pożądaniem, ale kiedy spostrzega moją minę, bierze głęboki wdech.

– Spójrz na mnie. – Już ma wypowiedzieć moje imię, prawdziwe imię. Jeśli to zrobi, już po mnie. – Spójrz na mnie, Hel...

– Kruku Krwi, kapitanie Harper. – Obrzucam go tak dobrze wyćwiczonym, najchłodniejszym ze spojrzeń. *To szaleństwo. On rozprasza moją uwagę. Liczy się tylko Imperium. Liczy się tylko twój lud.* Wojanie są w zbyt wielkim niebezpieczeństwie, żebyśmy pozwalali sobie na rozpraszanie uwagi. Gwałtownie wrywam dłonie z jego uścisku. – Jestem Krukiem Krwi. Lepiej, żebyś zawsze o tym pamiętał.

Zamiera na chwilę, a przez jego twarz przemyka wyraźny cień bólu. Szybko wstaje i salutuje, znów jest perfekcyjną Maską.

– Tak jest, Kruku Krwi. Proszę o pozwolenie oddalenia się do obowiązków.

– Możesz odejść.

Harper wychodzi, a ja czuję pustkę. Gdzieś niedaleko słychać głosy. Zmuszam się, żeby wstać, i wychodzę na korytarz. Uderzenia piorunów zagłuszają moje kroki. Podchodzę do otwartych drzwi, za którymi powinien być pokój Liwii.

– ...ludzie uratowali cię z rąk Karkaunów, choć narażali się na ogromne ryzyko. Błagam cię, imperatorowo, rozpocznij panowanie swojego syna od aktu godnego prawdziwego imperatora. Zwróć wolność scholarskim niewolnikom.

– To nie jest takie proste. – Rozpoznaję grzmiący głos Farisa.

– Czyżby? – Siła, jaka bije z głosu siostry, napawa mnie dumą. Liwia zawsze nienawidziła niewolnictwa, podobnie jak nasza matka. Ale w przeciwieństwie do matki najwyraźniej zamierza coś z tym zrobić. – Laia z Serry nie kłamie. Grupa Scholarów wyrwała nas z rąk Karkaunów, którzy wdarli się do tunelu. Nieśli mnie, kiedy byłam zbyt osłabiona, by iść samodzielnie. To jakaś Scholarka troszczyła się o imperatora Zachariasa, kiedy traciłam przytomność.

– Znaleźliśmy w tunelach mech, którym żywili się wasi ludzie – przypomina wyniosłym tonem Laia. – Gdyby nie my, umarlibyście z głodu.

– Przedstawiłaś odpowiednie argumenty. – Głos Liwii jest tak spokojny, że całe napięcie w jednej chwili znika. – Jako regentka zarządzam, że każdy Scholar, który uciekł tunelami z Antium, jest od tej chwili wolnym człowiekiem. Poruczniku Faris, poinformuj o moim dekrete możnowładców w Delphinium. Kapitanie Dex, zadbaj o to, żeby reakcja Wojan nie była zbyt... emocjonalna.

Wchodzę do pokoju. Liwia robi krok w moim kierunku, ale powstrzymuje ją moje gniewne spojrzenie. Przenoszę wzrok na zawiniątko leżące na łóżku, czarnowłose, dopiero co nakarmione, śpiące teraz w najlepsze.

– Urósł – zauważam z zaskoczeniem.

– Tak już jest z dziećmi. – Laia się uśmiecha. – Nie powinnaś jeszcze wstawać, Kruku Krwi.

Macham lekceważąco ręką, ale siadam, kiedy siostra nalega.

– Widziałaś się z Eliasem, Laio? Rozmawiałaś z nim?

Jej twarz zmienia się, pojawia się cień bólu, który znam aż za dobrze. Czyli jednak rozmawiała z nim. Widziała, czym się stał.

– Wrócił do Lasu. Nie próbowałam go szukać. Przede wszystkim chciałam się upewnić, że wam nic się nie stało. I...

– I byłaś bardzo zajęta – kończę za nią. – Teraz, kiedy twój lud ogłosił cię swoją przywódczynią.

Laia ma niechęć wymalowaną na twarzy, ale tylko wzrusza ramionami.

– Być może tymczasowo.

– A co ze Zwiastunem Nocy?

– Zwiastuna Nocy nikt nie widział od czasu oblężenia Antium – odpowiada Laia. – To już ponad tydzień. Spodziewałam się, że uwolni swoich braci. Ale... – Dostrzega

moją minę. Deszcz rozpadał się już na dobre. – Ale ty też to czujesz, prawda? Coś się wkrótce wydarzy.

– Coś się wydarzy – przyznaję. – On chce zniszczyć Scholarów. I zamierza wykorzystać w tym celu Wojan.

– I pozwolisz, żeby twój lud wykorzystano? – Laia ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

Nie spodziewałam się takiego pytania. Ale Liwia nie wydaje się zaskoczona i odnoszę nieodparte wrażenie, że musiała już z Laią na ten temat rozmawiać.

– Jeśli zamierzasz odzyskać tron dla swojego siostrzeńca – mówi Laia – będziesz potrzebowała sojuszników w walce z komendantką. Silnych sojuszników. Masz za mało ludzi, żeby załatwić to na własną rękę.

– A jeśli ty nie chcesz, żeby twój lud został zmieciony z powierzchni ziemi przez dzinny i armię wojańską, również będziesz potrzebowała sojuszników – odpowiadam. – Zwłaszcza takich, którzy dobrze znają Wojan.

Wpatrujemy się w siebie jak dwa nieufne psy.

– Kilka tygodni temu, jeszcze przed oblężeniem, augur powiedział mi coś na temat Zwiastuna Nocy. – Postanawiam w końcu złożyć Lai propozycję. – Prawda o każdym stworzeniu, czy to człowieku, czy dzinnie, jest zawarta w jego imieniu.

– Kucharka powiedziała mi coś podobnego. – W oczach Lai widzę błysk zainteresowania. – Powiedziała, że jeśli poznam historię komendantki, łatwiej będzie mi ją zniszczyć. Znam kogoś o wyjątkowych zdolnościach, kto mógłby nam pomóc.

– Nam?

– Pomóż mojemu ludowi, Kruku Krwi. – Widzę, jak wiele Laię kosztuje ta prośba. – A ja i moi sojusznicy pomożemy odzyskać koronę dla twojego siostrzeńca. Ale...

Przekrzywia głowę, a kiedy próbuję odgadnąć, co oznacza jej dziwne spojrzenie, sięga po sztylet i rzuca go we mnie.

– Co to... – Instynktownie strącam broń w powietrzu i mierzę nią teraz w Laię. – Jak śmiałaś...

– Jeśli mam nosić przy sobie broń z serrańskiej stali – mówi spokojnie Laia – to chcę się nauczyć jej używać. A skoro mam być sojuszniczką Wojan, chcę walczyć jak oni.

Wytrzeszczam na nią oczy, ale dostrzegam łagodny uśmiech Liwii. Laia patrzy na Zachariasa, potem wygląda przez okno. Na jej twarzy znowu pojawia się znajomy cień.

– Ciekawa jestem, czy nauczysz mnie strzelać z łuku, Kruku Krwi.

Wracają do mnie wspomnienia z minionego tygodnia. Silne ręce Kucharki wypuszczające strzałę za strzałą w kierunku Karkaunów. „Kocham cię, Laio”, powiedziała wtedy. Pamiętam wyraz twarzy Lai, kiedy Kucharka krzyknęła na nią, żeby zabrała mnie do jaskini augurów. I jeszcze dawniejsze wspomnienie: zaciekleść

w głosie Kucharki ostrzegającej mnie, że zginę z jej rąk, jeśli osmielę się skrzywdzić Laię. A kiedy uzdrawiałam staruszkę, jakaś odległa nuta w jej pieśni mówiła o scholarskiej dziewczynie.

Nareszcie pojmuję. *To jej matka.*

Przypominam sobie twarz mojej matki, kiedy umierała. „Bądź silna, moje dziecko”, powiedziała wtedy.

Przeklęty niech będzie ten świat za to, co robi matkom, i za to, co robi córkom. Przeklęty niech będzie za to, że czyni nas silniejszymi, wywołując ból, wrywając nam nieustannie serca z piersi.

Kiedy napotykam wzrok Lai, zdaję sobie sprawę, że przygląda mi się uważnie. Nie mówimy ani słowa. Ale w tej chwili Laia wie, co się kryje w moim sercu. A ja wiem, co w jej.

– Więc? – Laia z Serry wyciąga do mnie dłoń.

Ściskam ją.

## LVIII: Łowca Dusz

Opowiadanie o swoim bólu zajmuje temu duchowi kilka dni. Słuchanie tego mrozi mi krew w żyłach. Każde wspomnienie jest cierpieniem, pełnym brutalności, egoizmu i przemocy. Chyba po raz pierwszy czuje, jakie to wszystko jest straszne.

Większość dusz przechodzi na drugą stronę szybko. Ale czasem ich grzechy są tak wielkie, że Mauth im na to nie pozwala, póki nie wycierpią tego samego, co uczynili innym.

Tak właśnie jest z duchem Marcusa Farrara.

W tym czasie jego brat trzyma się na uboczu, cichy i cierpliwy. Ponieważ Zak spędził ostatnie dziewięć miesięcy przywiązany do cielesnej powłoki swojego brata bliźniaka, miał dość czasu, by odcierpieć swoje winy. Teraz czeka na Marcusa.

Nadchodzi wreszcie dzień, kiedy Mauth jest usatysfakcjonowany pokutą Marcusa. Obaj bracia idą cicho obok mnie, jeden z jednej, drugi z drugiej strony. Nie ma w nich złości, bólu ani samotności. Są gotowi do przejścia.

Zdążamy w kierunku rzeki. Beznamiętnie przesiewam ich myśli i znajduję zabawne wspomnienie. Dzień, który spędzili razem na dachu w Silas, zanim zostali wysłani do Czarnego Klifu. Ojciec kupił im latawiec. Wiatr wiał porządnie, więc puszczali go wysoko.

Podsuwam braciom to wspomnienie, żeby mogli zanurzyć się w rzece, nie sprawiając mi więcej kłopotów. Zabieram za to cały mrok, który Czarny Klif w nich znalazł i pielęgnował, i daję go Mauth do przetrawienia. Co on z nim robi, nie wiem. Podejrzewam jednak, że ma to coś wspólnego z kipiącym oceanem pełnym dziwnych stworów, który Mauth mi kiedyś pokazał.

Kiedy spoglądam na braci ponownie, znów są małymi chłopcami, niezezsutymi przez świat. A kiedy wstępują do rzeki, robią to razem, trzymając się za ręce.

Dni mijają teraz szybko, a odkąd Mauth zjednoczył się ze mną, krążę wśród duchów, dzieląc jednocześnie uwagę pomiędzy wiele z nich z taką łatwością, jakbym był wodą, a nie istotą cielesną. Dżinny ocierają się o moc Mauth, ale choć szepczą i posykują na mnie, potrafię je zwykle uciszyć samą myślą i nie sprawiają mi więcej kłopotów.

Przynajmniej na razie.

Jestem w Poczekalni już nieprzerwanie od tygodnia i nagle czuję obecność intruza daleko na północy, niedaleko Delphinium. Wystarczy chwila, żeby zrozumieć, kto to jest.

*Nie zwracaj sobie tym głowy, mówi do mnie Mauth w myślach. Wiesz dobrze, że ona nie przyniesie ci radości.*

– Chciałbym jej powiedzieć, dlaczego odszedłem. – Zapomniałem o niej. Ale czasem, gdzieś na obrzeżach umysłu pojawiają się dawne obrazy, pozostawiając

uczucie niepokoju. – Może kiedy jej to wytłumaczę, przestanie mnie dręczyć.

Słyszę, jak Mauth wzdycha, ale nie mówi nic więcej i pół godziny później widzę ją krążącą tam i z powrotem pośród drzew. Jest sama.

– Laio.

Obraca się, a na jej widok coś się we mnie skręca. Dawne wspomnienie. Pocałunek. Sen. Jej włosy jak jedwab pomiędzy moimi palcami, jej ciało unoszące się pod moimi dłońmi.

Za moimi plecami szepczą duchy i w oceanie ich pieśni wspomnienie Lai gaśnie. Sięgam po kolejne wspomnienie – o mężczyźnie, który kiedyś założył srebrną maskę i nic nie odczuwał. W myślach zakładam tę maskę ponownie.

– Jeszcze nie twój czas, Laio z Serry – odzywam się. – Nie jesteś tu mile widziana.

– Myślałam... – Jej ciało przebiega dreszcz. – Nic ci nie jest? Odszedłeś tak po prostu.

– Musisz stąd iść.

– Co się z tobą stało? – szepcze Laia. – Mówiłeś, że będziemy razem. Mówiłeś, że znajdziemy sposób. A potem... – Kręci z niedowierzaniem głową. – Dlaczego?

– Tysiące ludzi w całym Imperium zginęły nie z powodu Karkaunów, tylko duchów. Dlatego że duchy opętywały, kogo tylko mogły, i zmuszały do robienia strasznych rzeczy. A wiesz, jak duchy uciekły z Poczekalni?

– Czy to Mauth...

– Nie zdołałem utrzymać granic. Źle wypełniałem swoje obowiązki wobec Poczekalni. Na pierwszym miejscu stawiałem zawsze coś innego – obcych, przyjaciół, rodzinę, siebie. Aż w końcu mury graniczne runęły.

– Nie wiedziałeś. Nikt cię tego nie nauczył. – Bierze głęboki wdech, ściska dłoń. – Nie rób tego, Eliasie. Nie opuszczaj mnie. Wiem, że tam jesteś. Proszę, wróć do mnie. Potrzebuję cię. Kruk Krwi też cię potrzebuje. Plemięcy cię potrzebują.

Podchodzę do niej, ujmuję jej dłonie, patrzę w oczy. Cokolwiek chciałbym poczuć, tłumy to stała, kojąca obecność Mauth, szepty duchów w Poczekalni.

– Twoje oczy. – Laia przesuwając palcem po moich brwiach. – Są jak jej.

– Jak Shaevy – odpowiadam. Takie powinny być.

– Nie. Jak komendantki.

Jej słowa wprawiają mnie w zakłopotanie. Ale i ono minie z czasem.

– Byłem Eliasem – mówię. – Jestem Łowcą Dusz, Banu al-Mauth, Wybrankiem Śmierci, ale nie rozpaczaj. Wszyscy jesteśmy tylko gośćmi w czyimś życiu. Wkrótce zapomnisz o mojej wizycie. – Pochylam się i całuję ją w czoło. – Bywaj zdrowa, Laio z Serry.

Kiedy się odwracam do niej plecami, zaczyna szlochać. Czuje się zraniona i zdradzona.

– Weź to – mówi z żalostí, twarz ma zalaną łzami. Zrywa z ramienia drewnianą bransoletkę i wciska mi ją w dłoń. – Nie chcę jej. – Odwraca się i podchodzi do czekającego w pobliżu konia. Chwilę później zostaję sam.

Drewno jest jeszcze ciepłe od jej ciała. Kiedy go dotykam, mam ochotę krzyczeć ze złości, domagać się uwolnienia. Ale chwilę później kręcę tylko głową i marszczę czoło. Uczucia bledną. Zastanawiam się, czy nie rzucić bransoletki w trawę. Nie potrzebuję jej, tak jak nie potrzebuję tej dziewczyny.

Coś jednak każe mi schować bransoletkę do kieszeni. Chcę wrócić do duchów, do swoich zajęć, ale jestem wytracony z równowagi i w końcu siadam pod drzewem nad strumieniem niedaleko ruin chaty Shaevy. Wpatruję się w płynącą wodę. Wracają wspomnienia.

„Wkrótce przekonasz się, jaka jest cena za twoją przysięgę, braciszku. Mam nadzieję, że nie będziesz mnie bardzo źle wspominał”.

Czy to jest istotą tego uczucia? Złość na Shaevę?

*To nie złość, dziecko, przemawia do mnie łagodnie Mauth. Po prostu czujesz swoją śmiertelność. Ale nie ma już w tobie śmiertelności. Będziesz żył tak długo, jak długo będziesz mógł służyć.*

– To, co czuję, to nie jest śmiertelność – odpowiadam – choć jest to coś wyjątkowo śmiertelnego.

*Smutek?*

– Rodzaj smutku nazywany samotnością.

Zalega długa cisza, tak długa, iż mam wrażenie, że Mauth mnie opuścił. I nagle ziemia wokół mnie zaczyna żyć. Korzenie drzewa wychodzą na powierzchnię, wyginają się, miękną, tworzą rodzaj wygodnego siedziska. Wyrastają łodygi roślin, rozwijają się pąki kwiatów.

*Nie jesteś sam, Banu al-Mauth. Jestem z tobą.*

Obok mnie przemyka duch, wyraźnie pobudzony, wiecznie czegoś szukający. To Chucherko.

– Cześć, mały. – Przesuwa dłonią po mojej twarzy. – Widziałeś moją przytulankę?

– Nie – odpowiadam, ale tym razem poświęcam jej całą swoją uwagę. – A jak ma na imię?

– Przytulanka.

Kiwam głową, ale nie ma we mnie tej niecierpliwości co wcześniej.

– Przytulanka – powtarzam. – A ty? Jak masz na imię?

– Jak mam na imię? – szepcze. – Nazywali mnie Ama. Ale miałam inne imię. – Czuję, jak jest pobudzona, i próbuję ją uspokoić. Szukam drogi do jej wspomnień, ale nie potrafię jej znaleźć. Zbudowała wokół siebie wysoki mur. Kiedy przekrzywia głowę, ukazuje się na chwilę jej profil. Mam wrażenie, że patrzę na kogoś dobrze mi znanego.



– Karinna. – Siada obok mnie. – Tak miałam na imię. Zanim zostałam Amą, byłam Karinną.

*Karinna.* Przypominam sobie to imię, choć potrzebuję chwili, żeby uzmysłwić sobie, skąd je znam. Tak miała na imię moja babcia. Żona Quina.

*To niemożliwe...*

Otwieram usta, żeby zadać kolejne pytanie, ale ona gwałtownie obraca głowę, jakby coś usłyszała. W tej samej chwili wznosi się w powietrze i znika między drzewami. Coś ją wystraszyło.

Oglądam w myślach granice Lasu. Mur jest solidny. Żaden duch nie kręci się w pobliżu.

I nagle coś czuję. Po raz drugi dzisiaj ktoś ze świata zewnętrznego wchodzi do Poczekalni. Ale tym razem to nie jest przypadkowy przechodzień.

Tym razem ktoś wraca do domu.

## LIX: Zwiastun Nocy

W głębokim cieniu Poczekalni duchy nie wykrzykują, raczej westchnieniem śpiewają swoją pieśń żalu. Dusze są poskromione. Banu al-Mauth nauczył się wreszcie, co to znaczy być Wybrankiem Śmierci.

Za moimi plecami wyrastają cienie, czternaście cieni. Znam je i nienawidzę ich, bo to one są źródłem moich smutków.

Augurowie.

Czy nadal słyszają krzyki dzieci dzinnów, mordowanych zimną stałą i letnim deszczem? Czy pamiętają, jak mój lud błagał o litość, kiedy już został uwięziony w gaju dzinnów?

– Nie możecie mnie powstrzymać – odzywam się do augurów. – Moja zemsta jest nieodwołalna.

– Jesteśmy tu jako świadkowie – odpowiada Kain. W niczym nie przypomina żadnego władcy scholarskiego króla sprzed tysiąca lat. Trudno uwierzyć, że ta zwiędła kreatura jest tym samym człowiekiem, który zdradził dzinny, obiecując pokój, lecz sięjąc zniszczenie. – Ci, którzy wzniecali pożar, muszą poczuć jego potęgę.

– Jak sądzisz, co się stanie, kiedy przywrócę mojemu ludowi magię, którą nam skradliście? – pytam. – Magię, która pozwoliła wam przetrwać w tej żalösnej formie wszystkie te lata?

– Umrzemy.

– Chcecie umrzeć. Nieśmiertelność okazała się bardziej bolesna, niż się spodziewaliście, prawda, wężu? – Ubieram swoją magię w kształt grubego, opalizującego łańcucha, chłosczę nim augurów i przyciągam ich do siebie. Nie próbują się bronić. Nie są w stanie, bo tu ja jestem w domu i pośród tych drzew moc mojej magii jest największa. – Nie obawiaj się, Wasza Wysokość. Umrzesz. Twoje cierpienia się zakończą. Ale najpierw będziesz patrzył, jak niszczę wszystko, co miałeś nadzieję zachować.

Kain uśmiecha się. Tyle pozostało z jego dawnej próżności.

– Dzinny zostaną uwolnione – mówi Kain. – Równowaga pomiędzy naszymi światami przywrócona. Ale istoty ludzkie już na ciebie czekają, Zwiastunie Nocy. To one będą dominować.

– Biedny głupcze. – Dopadam do Kaina, a kiedy uwalnia swoją moc, żeby mnie odepchnąć, powietrze drga przez chwilę i odpieram jego atak z taką łatwością, jak człowiek opędza się przed komarem.

– Spójrz mi w oczy, nędzniku – szepczę. – Poznaj najmroczniejsze chwile ze swojej przyszłości. Przekonaj się, jakiego dzieła zniszczenia dokonam.

Kain sztywnieje, widząc w moich oczach pola usłane trupami. Płonące wsie i miasta. Swoją lud, swoich ukochanych Scholarów, ścieranych na pył przez moich

braci. Morzan, Plemieńców i Wojan pod okrutnym panowaniem Keris Veturii.

I swoich najzdolniejszych mistrzów, w których pokładał wszystkie nadzieje – Laię z Serry, Helenę Aquillę i Eliasa Veturiusa, trzy wspaniałe płomienie, które tłamszą, tłumię, gaszą. Ponieważ Krukowi Krwi zabrałem duszę. Poczekalnia odebrała Łowcy Dusz jego człowieczeństwo. A wkrótce złamię serce Lai z Serry.

Augur próbuje odwrócić wzrok od tych strasznych wizji, ale nie pozwalam mu.

– Jak zawsze arogancki – mówię. – Taki pewny, że wie, co jest dobre. Twoje przepowiednie pokazały ci sposób, jak uwolnić siebie i dzinny, a jednocześnie ochronić ludzkość. ale ty nigdy nie rozumiałeś magii. A ona jest przede wszystkim zmienna. Twoje marzenia o przyszłości rozkwitną, jeśli pielęgnować je będzie ktoś twardą ręką. W przeciwnym razie uschną, zanim zapuszczą korzenie.

Kieruję się do gaju, ciągnąc ze sobą opierających się augurów. Próbują walczyć ze mną wykradzioną magią, rozpaczliwie szukając sposobu na ucieczkę. Wiążę ich ciaśniej. Wkrótce będą wolni.

Kiedy jestem pośród drzew, czuję wyraźnie cierpienie moich braci. Mam ochotę krzyczeć.

Stawiam Gwiazdę na ziemi. Jest kompletna, nie widać żadnych śladów pęknięć, żadnych rys. Jest wysoka jak ja, romb przypominający symbol Czarnego Klifu. Augurowie wymyślili go, żeby przypominał im o ich grzechach. Żałosne, jakże ludzkie zachowanie. Jakby tonięcie w poczuciu winy i żalu mogło zatrzeć najbardziej nikczemne zbrodnie.

Kiedy kładę dłonie na Gwieździe, ziemia zamiera. Zamykam oczy. Tysiąc lat samotności. Tysiąc lat oszustw. Tysiąc lat intryg, knucia i pokuty. Wszystko dla tej jednej chwili.

Oczami wyobraźni widzę dziesiątki twarzy tych wszystkich, do których Gwiazda należała. Tych, których kochałem. *Ojca, matki, brata, córki, przyjaciela.*

*Uwolnij dzinny.* Gwiazda wydaje z siebie jęk, magia ukryta w niej skręca się, odkształca, wlewa się we mnie i wylewa. Ta magia żyje, jej świadomość jest prosta, ale nabrzmiała mocą. Przejmuję tę moc i czynię ją własną.

Augurowie trzęsą się, a ja związuję ich jeszcze ciaśniej. Wszystkich prócz Kaina. Tkam z magii tarczę, która uchroni go przed tym, co ma nastąpić.

Choć na pewno nie będzie mi za to wdzięczny.

*Uwolnij dzinny.* Drzewa budzą się z jękiem, ale Gwiazda stawia mi opór, jest ślamazarna i niechętna do współpracy. *Dostatecznie długo trzymałaś je na uwięzi. Uwolnij je.*

W gaju rozlega się trzask głośny jak uderzenie pioruna. Gdzieś w głębi Poczekalni szelest dusz zmienia się w krzyk, kiedy rozszczepia się jedno drzewo po drugim. Z tych wielkich wyłobień buchają płomienie tak potężne, jakby otwały się bramy piekieł. To moje płomienie. Moja rodzina. Moje dzinny.

Drzewa eksplodują żarem, którego blask barwi firmament piekielną czerwienią.

Mchy i krzewy zamieniają się w popiół, pozostawiając olbrzymi, czarny, wypalony krąg. Ziemia drży z taką mocą, że pewnie szyby wypadają z okien w Navium.

Czuję wiszący w powietrzu strach. Strach augurów i duchów, strach ludzi, którzy opanowali ten świat. W mojej głowie pojawiają się wizje: ranna kobieta w mundurze krzyczy, sięga po sztylet, który w niczym jej nie pomoże. Noworodek budzi się z płaczem. Dziewczyna, którą kiedyś kochałem, z trudem łapie powietrze i zawraca konia, żeby swoimi złocistymi oczami zobaczyć szkarłatne niebo nad Lasem Zmierzchu.

Przez chwilę wszystkie istoty ludzkie w promieniu tysięcy mil jednoczy niewysłowione przerażenie. Oni już wiedzą. Wkrótce wszystkie ich nadzieje, marzenia, radości będą niczym więcej jak popiołem.

Mój lud, ślaniając się na nogach, zmierza ku mnie, płomienie scalają się, tworząc na nowo nogi, ręce, twarze. Najpierw jest ich tuzin, potem setki. Jeden po drugim, wydostają się ze swojego więzienia i gromadzą obok mnie.

Na skraju polany trzynastu z czternastu augurów zamienia się w kupki popiołu. Moc, którą wykradli dzinnom, wraca do prawowitych właścicieli. Gwiazda rozkrusza się, a pył unosi wiatr.

*Bisham, moje dzieci.* Dostrzegam swoją rodzinę.

Gromadzę wokół siebie setki płomieni. Ich żar jest balsamem dla mojej duszy.

– Wybaczcie mi – zwracam się do płomieni. – Wybaczcie, że was zawiodłem.

Otoczają mnie ciasnym kręgiem, dotykają mojej twarzy, zdejmują mi pelerynę, uwalniają od ciała i przywracają mi moją prawdziwą formę, formę płomienia, który musiałem tłumić przez dziesięć stuleci.

– Uwolniłeś nas – pomrukują. – Jesteś naszym królem. Naszym ojcem. Naszym Meheryą. Nie zapomniałeś o nas.

Ludzie się mylili, nie byłem Bezimiennym Królem. Miałem imię. Piękne imię. Imię wypowiedziane przez wielki mrok, który był przed wszystkim. Imię, którego znaczenie mnie zrodziło i zdefiniowało, kim będę.

Moja królowa wypowiedziała to imię dawno temu. Teraz szepcze je mój lud.

*Meherya.*

Ich płomienie płoną jaśniej. Od czerwieni przechodzą do olśniewającej bieli, zbyt jaskrawej dla ludzkiego oka, ale wspaniałej dla mnie. Widzę ich moc i magię, ich ból i wściekłość.

Widzę ich żądzę zemsty. Widzę, że nadchodzą krwawe żniwa.

*Meherya.* To moje dzieci. Kiedy wypowiedają moje imię, padam na kolana.  
*Meherya.*

*Ukochany.*

## Podziękowania

Dla moich fantastycznych czytelników na całym świecie: Dziękuję za waszą miłość. Jestem taka szczęśliwa, że was mam.

Dla Bena Schranka i Marissy Grossman: To wy pomogliście mi zmienić szalony sen w książkę. Brakuje mi słów, więc będę wam dalej podsyłać broń i skarpetki w nadziei, że to wystarczy.

Dla Kashiego: dziękuję, że nauczyłeś mnie, jak znikać, i najgłośniej się cieszyłeś, kiedy mi się udało. Twoja cierpliwość do mojego rewolwerowca czyni cię świętym. Bóg tylko wie, co poczęłabym bez ciebie.

Dziękuję moim chłopcom, mojemu sokołowi i mieczowi, że wiedzieli, kiedy rano potrzebuję kawy. Mam nadzieję, że pewnego dnia przeczytacie tę książkę, i mam nadzieję, że jesteście dumni.

Moja rodzina jest moją szablą i tarczą, nieodłącznym towarzyszem. Mamo, dziękuję za miłość i wdzięk. Tato, bądź błogosławiony za to, że uważasz mnie za fajniejszą, niż jestem w rzeczywistości. Boon, jesteś superbratem i jestem z ciebie dumna. Przy okazji, wisisz mi kolację. Mer, następnym razem nie będę dzwoniła tak często, ha, ha, oszukuję, będę dzwoniła częściej. Heelah, ciociu Mahboob, Maani i Armo – dziękuję wam za ciepło i miłość. Aftabie i Sahibie Tahir, jak dobrze, że jesteście.

Dla Alexandry Machinist – za niezwykłą umiejętność planowania, filozoficzne dysputy przez telefon i ogarnianie tego, co nie do ogarnięcia. Uwielbiam cię i jestem ci dogonnie wdzięczna.

Dla Cathy Yardley – nie przeżyłabym pisania tej książki bez twojej mądrości. Kozak z ciebie.

Dla Renée Ahdieh – twoja przyjaźń znaczy dla mnie więcej niż wszystkie croissantsy we wszechświecie. Dla Nicoli Yoon, jak dobrze, że jesteś taka rozsądna. Dla Abigail Wen, czwartki, godzina dziesiąta, to moja szczęśliwa pora. Jak dobrze, że cię poznałam. Dla Adama Silvery – jestem taka dumna, że umieściłeś mnie na swoim tatuażu. Dla Marie Lu, ściskam cię za naszą przyjaźń i za najbardziej diaboliczny pedicure w moim życiu. Dla Leigh Bardugo, jesteś kochany i mądry jak sowa, a smakołykami możemy się zajadać bez końca. Dla Victorii Aveyard – nikt lepiej się nie zna na pisaniu książek.

Wielkie dzięki dla: Jen Loji za wsparcie; Felicii Frazier i zespołu z działu sprzedaży; Emily Romero, Erina Bergera, Felicity Vallence i zespołu z działu marketingu; Shanty Newlin i Lindsay Boggs, które zasłużyły na czekoladę; Kim Wiley, Shane Rebenschied, Kristin Boyle, Theresy Evangelisty i Maggie Edkins za pracę nad okładką; Kristy Ahlberg i Shari Beck za uchronienie mnie przed popełnieniem straszliwych błędów; Carmeli Iarii, Venessy Carson i ekipy ze szkoły i biblioteki; Casey McIntyre, Aleksa Sancheza i wszystkich z Razorbilla. Wielkie

dzięki dla twórcy mapy Jonathana Robertsa, którego talent szokuje.

Dla agentek praw autorskich, Roxane Edouard i Stephanie Koven, za to, że moje książki podróżują po całym świecie. Dla wszystkich zagranicznych wydawców, autorów okładek i tłumaczy. Wasze oddanie dla tej serii jest dla mnie nagrodą.

Wielkie dzięki dla Lilly Tahir, Christine Oakes, Tali Abbasi, Kelly Loy Gilbert, Stephanie Garber, Stacey Lee, Kathleen Miller, Dhonielle Clayton i Liz Ward. Dziękuję Farrah Khan za wsparcie.

Muzyka odgrywa ważną rolę w moim życiu i ta książka nie powstałaby bez niej. Wielkie podziękowania niech przyjmą: Austra za *Beat and the Pulse*, Matt Maeson za *Cringe*, Missio za *Bottom of the Deep Blue Sea*, Nas za *War*, Daughter za *Numbers*, Kings of Leon za *Waste a Moment*, Anthony Green za *You'll Be Fine*, i Linkin Park za *Krwlng*. Chesterze Bennington, dziękuję za wyśpiewanie swojego bólu, dzięki czemu nie byłam samotna z moim własnym.

I jak zawsze, na koniec, podziękowania dla Tego, który jest świadkiem widzialnego i niewidzialnego, który wędruje ze mną nawet po najmroczniejszych drogach.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6251975

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz